

Alvin Toffler i Heidi Toffler

REWOLUCYJNE

BOGACTWO

Przekład

Paweł Kwiatkowski

Tytuł oryginału Revolutionary Wealth

Wstęp

Każda książka powstaje w określonym czasie - pomiędzy pomysłem zrodzonym w głowie autora a chwilą, gdy gotowa ukazuje się drukiem. Podobnie jak na płód w łonie matki oddziałuje wszystko, co dzieje się na zewnątrz - także i na książkę, w trakcie jej powstawania, w sposób nieunikniony odciskają piętno wydarzenia wywierające wrażenie na autorze w czasie pracy nad dziełem. W tym sensie nawet książka o przyszłości, siłą rzeczy, staje się produktem swoich czasów.

Dwanaście lat, w ciągu których powstawała ta książka, to okres obejmujący nadejście XXI wieku: żadna w miarę rozsądna osoba ciekawa świata nie byłaby w stanie uniknąć zetknięcia się z dramatycznymi wydarzeniami tego okresu - atakiem tajemniczej sekty z użyciem sarinu na tokijskie metro; sklonowaniem owcy Dolly; próbą odsunięcia od władzy Billa Clintona; odcyfrowaniem genomu ludzkiego; absolutnym brakiem koszmarnego - wedle zapowiedzi - załamania systemów komputerowych wraz z początkiem nowego tysiąclecia; rozprzestrzenieniem się AIDS, SARS i innych chorób; atakiem na Amerykę w dniu 11 września 2001 r.; wojną w Iraku; wielkim tsunami w 2004 roku oraz równie gwałtownym uderzeniem huraganu Katrina w zaledwie rok później - w 2005 r.

Wydarzenia te rozgrywały się na tle dramatycznych wypadków i procesów ekonomicznych i biznesowych, takich jak kryzys azjatycki w latach 1997 -1998; fiasko wielkiej internetowej bańki tzw. dot-com'ów oraz ich stopniowy powrót na giełdę; wprowadzenie euro; drastyczne podwyżki cen ropy naftowej; kolejne skandale korporacyjne; gigantyczne deficyty w USA: budżetowy oraz handlu zagranicznego; a także, przede wszystkim, dynamiczny rozwój gospodarczy Chin.

Jednakże mimo obszernych relacji o wydarzeniach w biznesie i gospodarce, którymi jesteśmy wprost zalewani - za pośrednictwem prasy, Internetu, telewizji czy telefonii komórkowej - jakoś, wszyscy, w natłoku spraw mniej istotnych, pominęliśmy rzecz najważniejszą: historyczną transformację bogactwa. Naszym zadaniem jest przedstawienie na kartach tej książki właśnie tej pominiętej opowieści.

Bogactwo nie powstaje wyłącznie na polach, w fabrykach, biurach i za sprawą maszyn. A rewolucyjne bogactwo to coś o wiele więcej niż pieniądze.

Dziś jednakże nawet najmniej rozzarnięci obserwatorzy zgodzą się, że Stany Zjednoczone i wiele innych państw przeżywają transformację w kierunku gospodarki "umysłowej", której podstawą jest wiedza. Ale skutki tej przemiany - odczuwalne zarówno dla pojedynczych osób, jak i całych państw oraz kontynentów - dopiero dadzą o sobie znać w pełni. Minione półwiecze było zaledwie prologiem właściwych przemian.

Znaczenie wiedzy dla tworzenia bogactwa rośnie stopniowo, jednak można spodziewać się, że wnet dokonamy w tej mierze znacznego skoku jakościowego, na znacznie wyższy poziom, i przekroczymy kolejne granice. Stanie się tak dlatego, że coraz więcej części świata przyłącza się do wciąż powiększającego się, przeżywającego nieustanne zmiany i coraz łatwiej dostępnego ogólnoswiatowego banku "umysłowego". W rezultacie wszyscy - biedni i bogaci - będziemy żyć i pracować z tym rewolucyjnym bogactwem lub jego konsekwencjami.

Przywykliśmy posługiwać się terminem *rewolucja* w sposób wyjątkowo niechlujny i beztroski, odnosząc go równie chętnie do nowej diety, jak i do wstrząsów politycznych. Nic dziwnego, że słowo to się zdevaluowało. W tej książce posługujemy się nim w jego najszerszym znaczeniu. W porównaniu ze skalą rewolucji, w obliczu której dziś stoimy, takie wydarzenia, jak załamanie na giełdzie lub zmiana ekipy rządzącej, wprowadzenie nowych technologii, a nawet wojny i rozkład państw na pewno nie zasługują na określenie tym terminem.

Rewolucyjna zmiana, której poświęcamy uwagę na kartach tej książki, jest wstrząsem podobnym do rewolucji przemysłowej, lecz znacznie bardziej radykalnym w skutkach - dokonują się dziś bowiem tysiące pozornie nie związanych ze sobą zmian, które łącznie kształtują nowy system gospodarczy. Temu nowemu łaadowi towarzyszy też nowy sposób życia, nowa cywilizacja zwana "nowoczesnością."

Aby bogactwo można było uznać za prawdziwie rewolucyjne, musi przebyć transformację, i to nie tylko ilościową, ale również pod względem tego, jak jest wytwarzane, alokowane, dystrybuowane, wydawane, oszczędzane i inwestowane. Ponadto, o czym opowiemy szerzej nieco później, należy zmienić stopień jego niematerialności lub materialności. Dopiero wówczas, gdy zmiany zachodzą na tych wszystkich płaszczyznach, mamy prawo nazwać bogactwo "rewolucyjnym."

Dziś - jak wykażemy - wszystko to się naprawdę dzieje. Z bezprecedensową szybkością i w skali całego świata.

Jeśli chodzi o drugie słowo użyte w tytule książki - *bogactwo*: Podczas gdy niemal wszyscy żyjemy w gospodarce pieniężnej, bogactwo na stronicach niniejszej książki oznacza nie tylko pieniądze. Żyjemy wszak również wewnątrz fascynującej, w dużej mierze nie zbadanej gospodarki równoległej. W jej ramach zaspokajamy wiele życiowych potrzeb i zachcianek bez żadnego wynagrodzenia. Dopiero połączenie tych dwóch gospodarek - pieniężnej i niepieniężnej - stanowi to, co nazywamy "systemem bogactwa."

Poprzez jednoczesne rewolucjonizowanie obu tych gospodarek wchodzących ze sobą we wzajemne interakcje, tworzymy potężny, bezprecedensowy historycznie system bogactwa.

Aby pojąć doniosłość tego dziejowego procesu, musimy zgodzić się, że żaden system bogactwa nie istnieje w izolacji. System bogactwa jest bowiem jedynie składnikiem, wprawdzie niezwykle istotnym, obszerniejszego makrosystemu, którego inne części składowe - społeczne, kulturalne, religijne i polityczne - tkwią w nieustannym sprzężeniu zwrotnym z systemem bogactwa oraz ze sobą nawzajem. Razem formują cywilizację czy też sposób życia - z grubsza kompatybilny z systemem bogactwa.

Z tej przyczyny, kiedy mówimy o rewolucyjnym bogactwie, nieustannie pamiętamy o jego powiązaniach z wszystkimi pozostałymi podsystemami. A zatem rewolucjonizowanie bogactwa, co właśnie czynimy, polega na wprowadzaniu zmian - oraz oporu ze strony ustabilizowanych grup interesu - we wszystkich tych, a także w wielu innych sferach życia.

Podstawę rewolucyjnego bogactwa stanowią te zasadnicze idee, które, skoro je pojmiemy, mogą nam pomóc w zrozumieniu sensu sprzecznych, pozornie bezsensownych przemian i konfliktów, jakie rozgrywają się wokół nas.

Nie jesteśmy wprawdzie ekonomistami, jednakże większą część życia zawodowego poświęciliśmy na pisanie o polityce gospodarczej i społecznej, strategiach rozwoju i zagadnieniach biznesowych. Wykładaliśmy też sporo na niezliczonych uniwersytetach, zeznawaliśmy przed Połączoną Komisją ds. Gospodarki Kongresu USA, spotykaliśmy się z szefami wielkich koncernów na całym świecie i doradzaliśmy prezydentom i premierom w zakresie transformacji - od gospodarki przemysłowej do wysoce technologicznej gospodarki, której podstawą jest wiedza.

Ekonomia, bardziej niż inne dyscypliny wiedzy, wymaga silnego zakorzenienia w realiach życia. Dla obojga z nas owe realia, w czasach młodości, to także pięć niezapomnianych lat spędzonych w fabryce, na obsłudze prasy wykrojniskowej i linii montażowej przy produkcji samochodów, silników samolotowych, żarówek, bloków silnikowych i innych produktów. Musieliśmy czołgać się przewodami kanałowymi w odlewni stali, obsługiwać młot pneumatyczny i wykonywać różne inne uciążliwe prace fizyczne. Poznaliśmy wytwórczość przemysłową od samego dołu. Wiemy też, jak smakuje bezrobocie.

Od chwili ukazania się w druku *Szoku przyszłości*, pierwszej naszej książki o przemianach oraz o przyszłości, publikacja jej tłumaczeń w około stu krajach świata dała nam niesamowity, bezpośredni dostęp - twarzą w twarz - do ludzi z najróżniejszych sfer i środowisk: dzieci w slumsach Wenezueli, brazylijskich favelach i argentyńskich *oillas miserias*; miliardarów w Meksyku, Japonii, Indiach i Indonezji; kobiet-morderczyń osadzonych w zakładzie karnym w Kalifornii; ministrów finansów i szefów banków centralnych; laureatów Nagrody Nobla; nie wspominając już o królach i królowych. Ogólnie rzecz biorąc ludzie ci reprezentują najróżniejsze typy osobowości, wszystkie religie (a zarazem żadną), wszelkie możliwe ideologie polityczne, pazerność w dowolnym nasileniu oraz wrażliwość społeczną, idealizm i cynizm. Te zróżnicowane doświadczenia nadały jak najbardziej realny, życiowy kontekst wszystkim zgłębianym przez nas abstrakcyjnym zagadnieniom ekonomicznym.

Oczywiście przyszłości nie zna nikt - a już na pewno nikt nie jest w stanie powiedzieć z przekonaniem, k i e d y coś się wydarzy. Z tego też względu, gdy na kartach tej książki pojawia się termin "będzie" albo "zdarzy się", należy każdorazowo rozumieć to jako skróconą wersję "prawdopodobnie będzie" albo "naszym zdaniem zdarzy się." Dzięki temu unikniemy konieczności nieustannego powtarzania tych zastrzeżeń i warunków, a przez to - serwowania Czytelnikowi usypiającej monotonii.

Warto też mieć na uwadze, że dziś fakty coraz szybciej się dezaktualizują, ludzie awansują, tracą stanowiska i pozycję, przemieszczają się: prezes kojarzony z firmą A lub profesor uniwersytetu B mógł przenieść się do firmy czy uczelni C, zanim książka trafiła w Twoje, Czytelniku, ręce. Czytelników prosimy też ponadto, aby nie zapominali o pewnej ważnej okoliczności: mianowicie o tym, że wszystkie objaśnienia są uproszczeniami.

Ważne jest, abyśmy pamiętali o jeszcze dwóch faktach dotyczących sposobu napisania tej książki.

Dwanaście lat, które poświęciliśmy na jej napisanie, mogłoby nie wystarczyć, gdyby los nie postawił na naszej drodze Steve'a Christensena; pomógł on przyśpieszyć prace. W pewnym momencie zapytałem Steve'a, czy nie mógłby polecić nam dobrego redaktora, który pomógłby zredagować książkę, kiedy ukończymy jej pisanie. Ku mojemu zachwytowi, Steve polecił nam samego siebie. Jest doświadczonym dziennikarzem, byłym redaktorem Wydziału Zachodniego United Press Internationall - jednej z wówczas największych agencji prasowych świata, a następnie redaktorem i dyrektorem generalnym Los Angeles Times Syndicate. Przyłączył się do naszego zespołu przed trzema laty i okazał się pierwszorzędnym redaktorem. Ale chyba jeszcze ważniejsze jest to, że wniósł do naszej pracy dyscyplinę, intelekt, ciepło, miły charakter i fantastyczne, sardoniczne poczucie humoru. Dzięki niemu prace końcowe nad książką stały się prawdziwą przyjemnością. Nic dziwnego, że zawiązała się między nami autentyczna przyjaźń.

Wreszcie, z powodu przewlekłej, a w ostatecznym rachunku śmiertelnej choroby naszej jedynej córki Karen, która pochłaniała naszą uwagę i spowolniła prace nad książką, Heidi spędzała niezliczone godziny przy łóżku Karen, niejednokrotnie czuwając przy niej przez całą dobę, walcząc z chorobą, biurokracją szpitalną i ignorancją medyczną. Jej codzienny wkład do naszej wspólnej pracy siłą rzeczy miał charakter sporadyczny. A jednak mimo tego, wiele założeń, idei i modeli zawartych w *Rewolucyjnym bogactwie* jest wynikiem naszych wspólnych podróży, wspólnych wywiadów i trwających całe nasze życie rozmów i stymulujących dyskusji.

Niekiedy Heidi, z różnych względów, nie życzyła sobie, aby jej nazwisko ukazywało się na okładce książki. Dopuściła taką możliwość jedynie w 1993 roku przy okazji publikacji książki *Wojna i antywojna* oraz powtórnie, w 1995 roku, w przypadku *Budowy nowej cywilizacji*. Czytelnicy powinni jednak uważać wszystkie książki Tofflera za wspólne dzieło naszego pełnego miłości, wspólnego życia.

Alvin Toffler

Część I
Rewolucja

Rozdział 1

Forpoczta bogactwa

Książka ta opowiada o przyszłości bogactwa, widocznego i niewidocznego - o jego rewolucyjnej formie, która odmieni nasze życie, nasze firmy i świat w ciągu nadchodzących w zawrotnym tempie lat. Aby wyjaśnić, co to oznacza, na kolejnych stronach będziemy omawiali niemal wszystko - począwszy od życia rodzinnego i pracy, po presję czasową i wzrastającą złożoność życia codziennego. W trakcie lektury Czytelnik będzie musiał zmierzyć się z prawdą i kłamstwem, rynkami i pieniędzmi. Rzucimy całkiem nowe światło na zderzenie zmiany i antyzmiany w świecie zewnętrznym, a także wewnątrz każdego z nas.

Dokonująca się dziś rewolucja bogactwa otworzy niezliczone możliwości i nowe ścieżki życia, nie tylko dla pomysłowych, przedsiębiorczych biznesmenów, ale także dla przedsiębiorców społecznych, kulturalnych i edukacyjnych. Da nam nowe możliwości walki z biedą - zarówno w kraju, jak na całym świecie. Ale zaproszenie do tej świetlanej przyszłości będzie zawierało także i ostrzeżenie: ryzyka nie tylko się zwielokrotniają, ale i zwiększają. Przyszłość nie jest dla tchórzy.

Zalewa nas dzisiaj potop e-maili i blogów. EBay każdego z nas przeobraża w specjalistę w zakresie marketingu. Pierwsze strony gazet puchną od megaskandali korporacyjnych. Pojawiają się lekarstwa wspomagające leczenie raka piersi, stwardnienia rozsianego i dziesiątek innych chorób. Jednocześnie okazuje się - niestety po czasie - że inne leki są zbyt niebezpieczne i z pośpiechem wycofywane są z rynku. Wysyłamy roboty na Marsa, które lądują tam z niesłychaną precyzją. A z drugiej strony komputery, oprogramowanie, telefony komórkowe i sieci stale nas zawodzą. Globalne ocieplenie nasila się. Kuszą nas ogniwa paliwowe. Ostre kontrowersje wzbudzają badania nad genami i komórkami macierzystymi. A naszym nowym techno-Graalem stało się nano.

Jednocześnie przestępcze gangi uliczne z Los Angeles przemierzają Amerykę Środkową, budując tam quasi-armię, a trzynastoletni niedozrasi terroryści opuszczają Francję, by udać się na Bliski Wschód. W Londynie książę Harry przebiera się w hitlerowski mundur, jakby nic sobie nie robił z odradzających się tendencji antysemickich. W Afryce AIDS zabija całe pokolenie, podczas gdy w Azji wykluwają się dziwne, nowe choroby, zagrażające ludziom na całym świecie.

Aby uciec od tego, co wygląda jak chaos, albo przynajmniej o nim zapomnieć, miliony ludzi ucieka w zachłanne oglądanie telewizji, gdzie programy emitowane w konwencji "reality show" udają rzeczywistość. Tysiące ludzi umawia się tworząc "flash mob" i zgromadziwszy się tłumnie w jednym miejscu wszczyna wielką bitwę na poduszki. A jeszcze gdzie indziej uczestnicy gier on-line płacą tysiące jak najbardziej autentycznych dolarów za wirtualne miecze, za pomocą których, jako wirtualni wojownicy, mogą zdobywać wirtualne zamki czy dziewice. Nierealność rozprzestrzenia się.

Ważniejsze chyba jednak jest to, że instytucje zapewniające niegdyś społeczeństwu spójność, ład i stabilność - a więc szkoły, szpitale, rodzina, sądy, agencje regulacyjne, związki zawodowe - pogrążone są dziś w kryzysie.

To właśnie w takich warunkach deficyt handlu zagranicznego USA rośnie do bezprecedensowych rozmiarów. Budżet państwa chwieje się niebezpiecznie, niczym pijak. Ministrowie finansów z wielu

państw głośno zastanawiają się, czy powinni podjąć ryzyko uruchomienia ogólnoświatowej depresji, gdyby zdecydowali się wycofać miliardy dolarów, które wcześniej pożyczyci Waszyngtonowi. Europa świętuje rozszerzenie Unii Europejskiej, bezrobocie w Niemczech osiąga najwyższy od pięćdziesięciu lat poziom, a Francuzi i Holendrzy znaczną większością głosów odrzucają proponowaną konstytucję unijną. Tymczasem Chiny, jak się nam coraz częściej powtarza, już szykują się do objęcia roli kolejnego supermocarstwa światowego.

Ryzykowne działania gospodarcze w połączeniu z niewydolnością instytucjonalną sprawiają, że zwyczajni ludzie wciąż samotnie muszą borykać się z potencjalnie groźnymi problemami osobistymi. Zastanawiają się, czy kiedykolwiek otrzymają wypłatę emerytury, na którą wszak od lat pracują, lub też czy będą w stanie pokrywać rosnące w astronomicznym tempie koszty benzyny czy opieki zdrowotnej. Narzekają na okropne szkoły. Martwią się tym, że przestępczość, narkotyki i permissywizm moralny niszczą życie obywatelskie. Każdy chce wiedzieć, jak ten pozorny chaos wpłynie na stan naszego portfela. Czy w ogóle będziemy mieć jakiś portfel?

KRZYK MODY MIESIĄCA

Udzielanie odpowiedzi na te pytania przychodzi z trudem nie tylko zwyczajnym śmiertelnikom, ale także ekspertom. Prezesi wielkich firm zastępują się kolejno nawzajem, niczym pasażerowie tłoczący się w godzinach szczytu w kołowrotku prowadzącym do metra, łącząc się, dzieląc, bijąc czołem przed giełdą, dziś doskonaląc swe strategiczne specjalizacje, jutro budując synergii, a za tydzień wdrażając najnowszy krzyk mody w dziedzinie zarządzania. Zgłębiają najświeższe prognozy ekonomiczne, choć przecież wielu ekonomistów też się gubi, błędząc po cmentarzysku martwych idei.

Aby rozszyfrować ten nowy świat, musimy przebić się przez bełkot zapatrzonych w przeszłość ekonomistów i uczonych w piśmie biznesmenów paplających o "fundamentach biznesowych." Musimy zagłębić się pod to, co anachroniczne i co widoczne jest gołym okiem. A zatem na kartach tej książki skoncentrujemy się na niezbadanych "głębokich fundamentach," od których zależą owe tak zwane fundamenty. A skoro tak uczynimy, sprawy będą przedstawiały się nieco inaczej - mniej szaleńczo - a z cienia wyjdą niezauważane dotąd możliwości. Okazuje się bowiem, że chaos jest jedynie częścią całego obrazu sytuacji. Chaos zresztą sam także rodzi nowe idee.

Gospodarka przyszłości, na przykład, stworzy znaczące możliwości biznesowe w dziedzinie hiperrolnictwa, opieki zdrowotnej z zastosowaniem neuro-stymulacji, nanoceuteyków, zaskakujących nowych źródeł energii, systemów strumieni płatności, inteligentnego transportu, rynków tymczasowych (flash markets), nowych form edukacji, nieśmiercionośnej broni, wytwarzania za pomocą komputerów osobistych programowalnych pieniędzy, zarządzania ryzykiem, sensorów naruszania sfery prywatności, które podpowiadać nam będą, kiedy ktoś nas inwigiluje, oraz, w rzeczy samej, sensorów wszelkiego rodzaju, a także oszałamiającej obfitości innych towarów, usług i doświadczeń.

Niestety, nie mamy pewności, kiedy te nowe zjawiska okażą się zyskowne lub niezyskowne oraz jaki efekt da ich współwystępowanie. Ale zrozumienie głębokich fundamentów ujawni istnienie, już

teraz, nowych potrzeb oraz dotychczas niezidentyfikowanych branż i sektorów - na przykład olbrzymiej "branży synchronizacyjnej" czy "branży samotnościowej."

Aby przewidzieć przyszłość bogactwa, musimy także przeanalizować nie tylko pracę, którą wykonujemy dla pieniędzy, ale także pracę nieopłacaną, którą wszyscy wykonujemy jako "prosumenci." (Później wyjaśnimy ten termin, jednak większość osób może być zaszokowana, kiedy się dowie, jak wiele dajemy z siebie codziennie, nie otrzymując w zamian zapłaty.) Przyjrzymy się także niewidocznej "trzeciej pracy," którą wielu z nas wykonuje nawet o tym nie wiedząc.

Ponieważ wnet nastąpi eksplozja prosumpcji, nie można zrozumieć przyszłości gospodarki pieniężnej, nie mówiąc już o jej prognozowaniu, bez wzięcia pod uwagę gospodarki prosumpcyjnej. Są one, w rzeczy samej, nierozłączne. Łącznie stanowią system bogactwa. I jeśli to zrozumiemy - oraz kanały wzajemnego zasilania się tych gospodarek - zyskamy dogłębny wgląd w nasze życie prywatne obecnie i w przyszłości.

ROZLUŻNIONE OKOWY

Nowe systemy bogactwa nie rodzą się zbyt często i nie nadchodzą samotnie. Za każdym razem przynoszą nowy sposób życia, nową cywilizację. Nie tylko struktury biznesowe, ale nowe formaty rodziny, nowe rodzaje muzyki i sztuki, nową żywność, mody i kanony piękna fizycznego, nowe wartości i nowe postawy wobec religii i wolności osobistej. Wszystkie te aspekty życia oddziałują na siebie nawzajem i na kształtujący się nowy system bogactwa.

Dzisiejsza Ameryka jest forpocztą takiej właśnie nowej cywilizacji, budowanej na fundamencie rewolucyjnego sposobu tworzenia bogactwa. Na dobre i na złe, miliardy ludzi na całym świecie już dziś zmaga się z wyzwaniami, jakie stawia przed nami ta rewolucja. Narody i całe regiony świata rozwijają się lub podupadają, już dziś odczuwając jej oddziaływanie. Miliony ludzi na świecie nie lubi dziś Ameryki lub wręcz jej nienawidzi. Są i tacy fanatycy, którzy chcieliby puścić z dymem Stany Zjednoczone i wyciąć w pień mieszkańców USA. Na inicjatywy amerykańskie reagują w różny sposób, na przykład tak, jak na Bliskim Wschodzie, gdzie z powodów politycznych odmawia się podpisywania międzynarodowych traktatów, uważanych za przejaw imperialistycznych ambicji Ameryki. Jednakże nawet gdyby na Bliskim Wschodzie królował pokój i nawet gdyby wszyscy terroryści na świecie nawrócili się na pacyfizm, a demokracja zakwitłaby niczym różany ogród, reszta świata wciąż patrzyłaby na Stany Zjednoczone - w najlepszym razie - z drżeniem.

Dzieje się tak, ponieważ nowy system bogactwa rozwijany w Stanach Zjednoczonych siłą rzeczy zagraża starym, głęboko zakorzenionym na całym świecie interesom finansowym i politycznym. Co więcej, kształtowaniu się nowego systemu bogactwa w Stanach Zjednoczonych towarzyszą kontrowersyjne zmiany w zakresie ról kobiet, mniejszości rasowych i etnicznych, gejów i innych grup. Ponieważ rodząca się kultura amerykańska promuje większą indywidualność, traktowana jest jako zagrożenie dla wspólnoty. Co gorsza, ponieważ poluźniła niektóre tradycyjne więzy seksualne, moralne, polityczne, religijne i życiowe, nałożone na jednostki w czasie poprzednich epok ekonomicznych - traktowana jest jako niebezpieczna pokusa wciągająca młodych w nihilizm, permissywizm i dekadencję.

Mówiąc krótko, połączenie rewolucyjnego bogactwa ze zmianami społecznymi i kulturalnymi, jak dotąd z nim utożsamianymi, może mieć więcej wspólnego z globalnym nastawieniem anty-amerykańskim, niż ze zwyczajowo wymienianą w mediach długą listą innych powodów. Przekonamy się jednak wkrótce, że system rewolucyjnego bogactwa nie jest już zjawiskiem ograniczonym wyłącznie do Ameryki. Inne kraje ze wszystkich sił starają się doścignąć Stany Zjednoczone. I wcale nie jest jasne, jak długo Stany Zjednoczone utrzymają palmę pierwszeństwa.

GITARY I ANTYBOHATEROWIE

Korzenie rewolucyjnego bogactwa sięgają roku 1956 - roku, w którym po raz pierwszy liczba amerykańskich pracowników umysłowych oraz zatrudnionych w usługach przewyższyła liczbę pracowników fizycznych. Ta gigantyczna zmiana w strukturze siły roboczej była najprawdopodobniej punktem startowym transformacji gospodarki przemysłowej, której podstawą była praca rąk, w kierunku gospodarki opierającej się na wiedzy czy pracy umysłowej.

System bogactwa zasadzający się na wiedzy wciąż nazywany jest "nową gospodarką" - i dla wygody będziemy ją czasami tak tutaj nazywali - ale pierwsze komputery, wciąż olbrzymie i bardzo kosztowne, zaczęły przenosić się z biur rządowych do firm właśnie w połowie lat pięćdziesiątych. A ekonomista z Princeton, Fritz Machlup, już w 1962 roku wykazał, że produkcja wiedzy w latach pięćdziesiątych w Stanach Zjednoczonych rosła szybciej niż produkt krajowy brutto.

Lata pięćdziesiąte są często prezentowane jako okres śmiertelnie nudny. Ale przecież Sowieci wystrzelili *Sputnika*, pierwszego sztucznego satelitę na orbitę okołoziemską, właśnie wówczas - 4 października 1957 roku - uruchamiając tym samym wyścig kosmiczny ze Stanami Zjednoczonymi, który spowodował gwałtowne przyspieszenie rozwoju teorii systemów, informatyki, programowania i kształcenia umiejętności zarządzania projektami. Przyczynił się też do wyeksponowania nauki i matematyki w amerykańskich szkołach. Od tego czasu zaczęto wprowadzać do gospodarki nową wiedzę, ściśle związaną z bogactwem.

Zacząły dokonywać się zmiany także na polu kultury i polityki. Podobnie jak w czasie rewolucji przemysłowej przed wiekami, która wraz z nową technologią wniosła nowe idee, formy sztuki, wartości i ruchy polityczne – tak samo dzieje się teraz w przypadku gospodarki intelektualnej¹ w Stanach Zjednoczonych.

A zatem dekada lat pięćdziesiątych przyniosła upowszechnienie telewizji, a wraz z nią - Elvisa Presleya, gitary elektrycznej marki Fender Stratocaster i rock and rolla. Hollywood odszedł od bohaterów i "happy endów", hołubiąc raczej antybohaterów odgrywanych przez aktorów w typie Jamesa Deana czy Marlona Brando. Literacki ruch bitników i ich hippisowscy naśladowcy wyznawali zasadę "zajmowania się własnymi sprawami", co uznać należy za atak wymierzony precyzyjnie w postawy konformistyczne, cenione w masowych społeczeństwach industrialnych.

¹ terminem "gospodarka intelektualna" postanowiłem zastąpić dość niezgrabnie brzmiący termin bliższy oryginałowi, a mianowicie "gospodarka, której podstawę stanowi wiedza" (*knowledge economy, knowledge based economy*), bądź stosowany wymiennie przez autora termin "gospodarka nasycona wiedzą" (*knowledge-intense economy*). W poprzedniej książce Alвина Tofflera, którą miałem przyjemność przekładać na język polski (*Zmiana władzy*, Poznań 2003), autor stosował też inne, zbliżone znaczeniowo terminy, np. "nowa gospodarka" bądź "gospodarka nadsymboliczna" czy wręcz

Lata sześćdziesiąte naznaczone były protestami przeciwko wojnie w Wietnamie i powstaniem ruchu praw obywatelskich (równouprawnienia Czarnych), praw dla gejów oraz równości kobiet. Już w 1966 roku National Organization for Women (Krajowa Organizacja Kobiet) wskazywała, że "dzisiejsza technologia dosłownie wyeliminowała siłę mięśni jako kryterium przydatne w trakcie zatrudniania w odniesieniu do większości miejsc pracy, zwiększając jednocześnie zapotrzebowanie amerykańskiego przemysłu na twórczą inteligencję." Organizacja ta domagała się prawa kobiet do uczestnictwa na równych zasadach w "rewolucji zwanej automatyzacją" oraz ogólnie, w gospodarce.

Podczas gdy światowe media skupiały się na tych dramatycznych wydarzeniach, prawie wcale uwagi nie poświęcono pracy czołowych naukowców w ramach finansowanego przez Pentagon przedsięwzięcia, mianowicie badaniom nad nieznaną, nową technologią, zwaną ARPANET, która stanowiła zapowiedź tego, co wnet miało odmienić oblicze świata - Internetu.

Wziąwszy to pod uwagę, trzeba przyznać, że powszechne przekonanie, jakoby "nowa" gospodarka była produktem bańki mydlanej napompowanej na giełdzie w latach dziewięćdziesiątych oraz że bez wątpienia wkrótce odejdzie w niepamięć - jest po prostu żalosne.

ŚMIESZNE WIEŚCI

Historia zna niezliczone przykłady takich "rewolucji," które zastąpiły stare technologie i nawet rządy, nie zmieniając jednocześnie zbytnio samych społeczeństw i ludzi. W przeciwieństwie do nich, prawdziwe rewolucje zastępują stare instytucje i technologie - nowymi. I nie tylko: rozbijają i reorganizują to, co psychologia społeczna określa mianem struktury ról społecznych.

Dziś tradycyjne role zmieniają się bardzo szybko w wielu krajach przeżywających transformację ku gospodarkom intelektualnym. Role męża i żony, rodziców i dzieci, profesora i studenta, szefa i pracownika, teścia, aktywisty, prezesa i szefa zespołu mają implikacje zarówno psychologiczne, jak i ekonomiczne. Chodzi tu nie tylko o zadania czy funkcje danej osoby, ale związane z nimi oczekiwania społeczne.

Zarówno w pracy, jak w czasie wolnym od pracy, w wyniku tych przemian wzrasta niejednoznaczność, wysoka niepewność, złożoność i sprzeczność - w miarę jak zadania i tytuły podlegają ciągłym negocjacjom. Ileż dostrzegamy wokół stresu i wypalenia, kiedy podważa się role lekarzy i pielęgniarek, adwokatów i aplikantów, policjantów i pracowników gminnych, i to w stopniu nie znanym od czasów rewolucji przemysłowej.

Rewolucje druzgoczą także granice. Społeczeństwo industrialne wyznaczyło jasną granicę między życiem domowym i życiem zawodowym. Dziś jednak dla coraz liczniejszej, wielomilionowej rzeszy ludzi, którzy pracują w domu, granica ta coraz bardziej się zaciera. Czasami nie wiadomo nawet do końca, kto pracuje dla kogo. Robert Reich, były amerykański sekretarz ds. pracy, twierdzi, że znaczna część siły roboczej składa się z niezależnych zleceniobiorców, wolnych agentów i innych, którzy pracują w firmie A, ale faktycznie są zatrudnieni w firmie B. "Za parę lat - mówi Reich - firmę będzie można opisać poprzez wskazanie, kto ma dostęp do jakich danych czy też ile kto

"gospodarka Trzeciej Fali". Ilekroć zatem na kolejnych stronach pojawi się określenie "gospodarka intelektualna", należy rozumieć je odpowiednio, w świetle powyższego wyjaśnienia - przyp. tłum.

otrzymuje przychodów i w jakim czasie. Mówiąc precyzyjnie, być może w przyszłości wcale nie będzie »pracowników«.”

Erozji ulegają także granice akademickie. Mimo gigantycznego oporu, coraz więcej pracy na uczelniach nabiera charakteru interdyscyplinarnego.

W muzyce pop znikają granice pomiędzy grime, garage, rockiem, Eastern, hip-hopem, techno, retro, disco, big band, Tejano i najróżniejszymi innymi rodzajami muzyki - na rzecz "fusion" oraz "hybrydyzacji." Konsumenci stają się producentami tworząc remixy i samplując dźwięki różnych zespołów, różnych instrumentów i różnych wokalistów, tworząc tzw. "mash-ups" - muzyczne odpowiedniki kolażu.

W telewizji amerykańskiej wyraźny niegdyś podział na wiadomości i rozrywkę także ulega zamgleniu, skoro prezenterzy dowcipkują pomiędzy poszczególnymi wiadomościami, a publiczność zgromadzona w studiu bije brawo. Reklamodawcy wprowadzają swe przekazy i produkty wprost do tekstu wypowiedzanego przez aktorów seriali, zacierając podział między rozrywką i marketingiem.

Nawet granice seksualne nie mają już z góry ustalonego charakteru, wobec coraz powszechniejszego upubliczniania się homoseksualizmu i biseksualizmu, a także wzrostu populacji transseksualistów. Wystarczy zapytać o to Riki Annę Wilchins, specjalistkę-informatyka z Wall Street, która jest także, jak określił to "The New York Times", "zoperowanym mężczyzną, a obecnie żeńską transseksualistką." Wilchins stoi na czele GenderPAC, grupy prowadzącej lobbing w Waszyngtonie w zakresie zagadnień związanych z prawami płci. Jej zdaniem kategoryzowanie ludzi ze względu na płeć jest przejawem prześladowania i przymuszania do wypełniania jednej z dwóch ról - tych wszystkich, którzy nie czują się dobrze w żadnej.

Nie wszystkie nowe role i prawa przetrwają, bo przecież nieustannie bombardowani jesteśmy kolejnymi zmianami technologicznymi i społecznymi. Jeśli jednak ktoś nie docenia rewolucyjnego charakteru obecnych zmian - żyje w świecie złudzeń.

Świat przeobraża się diametralnie i nieodwołalnie.

ZAKORZENIANIE INTELIGENCJI

Dziś mamy na świecie ponad 800 milionów komputerów osobistych - jeden na siedem, osiem osób.

Dziś mamy też ponad 500 miliardów komputerowych układów scalonych. Wiele z nich zawiera ponad 100 milionów tranzystorów, a Hewlett-Packard wynalazł sposób na zmieszczenie miliardów, a nawet bilionów tranzystorów "wielkości cząsteczkowej" na pojedynczym, maleńkim chipie (układzie scalonym).

Dziś na świecie mamy około czterech miliardów cyfrowych przełączników, włączających się i wyłączających - dla każdej istoty ludzkiej na naszej planecie.

Dziś szacuje się, że rocznie trafia na rynek około 100 miliardów jeszcze lepszych układów scalonych.

W roku 2002 Japończycy zbudowali komputer zwany *Earth Simulator (Symulator Ziemi)*, pomyślany jako pomoc w prognozowaniu globalnych zmian klimatycznych. Wykonywał 40 000

miliardów obliczeń na sekundę - szybciej niż siedem konkurencyjnych komputerów razem wziętych. Już w 2005 roku komputer w Lawrence Livermore National Laboratory był w stanie przeprowadzić 136 bilionów operacji na sekundę. Naukowcy zaś przewidują, że przed końcem obecnej dekady komputery będą w stanie osiągać szybkości petaflopowe - a więc wykonywać biliard (10^{15}) operacji matematycznych na sekundę.

Tymczasem liczba użytkowników Internetu na całym świecie szacowana jest na 700-900 milionów osób.

Czy naprawdę ktoś mógłby sądzić, że wszystkie te układy scalone, komputery, firmy i połączenia internetowe tak po prostu znikną? Lub też, że licząca 1,4 mld osób rzesza użytkowników telefonów komórkowych zamierza wyrzucić swe telefony do śmieci? W rzeczy samej, nawet te telefony przepoczwarczają się niemal codziennie w coraz to bardziej zaawansowane i wszechstronne urządzenia cyfrowe.

A zatem jesteśmy świadkami równoległej transformacji ról i granic społecznych oraz jeszcze bardziej gwałtownej transformacji infrastruktury wiedzy. W porównaniu ze zmianami, jakie ta transformacja umożliwiała - wszystko, co wydarzyło się do tej pory, wydaje się błahostką. I to nie tylko w kilku "rozwinętych" krajach. Wprawdzie Stany Zjednoczone stanowią forpocztę tego postępu, to jednak nie jest on już wyłącznie amerykańskim zjawiskiem.

Język chiński wkrótce będzie językiem najpowszechniej stosowanym w Internecie. Koreańscy nastolatki umawiają się na randki w tysiącach kafejek internetowych, w których bawią się grami komputerowymi wymagającymi uczestnictwa wielu graczy; ścierają się więc z przeciwnikami podłączonymi do sieci w Kanadzie i Danii. Kostaryka, Islandia i Egipt eksportują oprogramowanie. Wietnam liczy, że sprzedaż oprogramowania przekroczy w ciągu pięciu lat poziom 500 milionów dolarów.

Brazylia liczy sobie ponad 14 milionów internautów, a miasto Recife przyciągnęło mnóstwo zagranicznych firm informatycznych, między innymi Microsoft i Motorolę, oraz setki miejscowych przedsiębiorstw. Ponadto, według grupy zadaniowej ONZ, "Ostatnich pięć lat w Afryce to okres eksplozji telefonii komórkowej," i mimo że wciąż przepaść cyfrowa jest olbrzymia, "w ośrodkach miejskich błyskawicznie przybywa punktów tele-informatycznych, cyber-kafejek i innych form publicznego dostępu do Internetu."

Łącznie, według Digital Planet 2004, obroty na globalnym rynku informatycznym przekraczają 2,5 biliona dolarów rocznie. Działa na nim 750 tysięcy firm z całego świata. Wkrótce nadejdzie jeszcze więcej zmian. A zmiany dokonują się tak szybko, że wszystkie te liczby na pewno zdążą się zdezaktualizować, zanim nasza książka ukaże się w druku.

KAPITAŁOWE NARZĘDZIA WIEDZY

Rewolucja cyfrowa nie jest jedynym źródłem nadchodzących zmian o fundamentalnym znaczeniu. Nasza baza wiedzy naukowej eksploduje we wszystkich kierunkach.

Astronomowie badają "ciemną materię." Naukowcy badający "antymaterię" stworzyli antywodór. Dokonujemy przełomów w dziedzinach tak zróżnicowanych, jak polimery przewodzące, materiały kompozytowe, energetyka, medycyna, mikrofluidy, klonowanie, chemia supramolekularna, optyka, badania nad pamięcią, nanotechnologia i mnóstwo innych.

Naukowcy amerykańscy słusznie krytykują niedawne cięcia w wydatkach na badania w wielu dziedzinach, szczególnie na badania podstawowe. Jednak często pomija się postępy osiągnięte w specjalnej klasie technologii - w dziedzinie narzędzi dostępnych naukowcom-badaczom.

Revolucja przemysłowa wskoczyła na wyższy bieg, sadowiąc się na całkowicie nowym poziomie, kiedy - poza zwyczajnym budowaniem maszyn, które by były w stanie wytwarzać produkty - nasi przodkowie zaczęli konstruować maszyny, które pozwoliłyby im produkować więcej maszyn i to lepszych. Dziś nazywamy je "narzędziami kapitałowymi." {{ W Polsce raczej stosuje się termin "dobra kapitałowe" - przyp. tłum. }}

Ten sam proces, jednak na znacznie większą skalę, dokonuje się dziś w odniesieniu do, powiedzmy, "W-narzędzi" {{ W oryginale - "K-tools"; Knowledge - (ang.) wiedza; tools - (ang.) narzędzia - przyp. tłum. }} - instrumentów, jakie stosujemy do wytwarzania wiedzy, najważniejszej formy kapitału w gospodarkach rozwiniętych.

Naukowcy dysponujący dziś zaawansowanymi superkomputerami i superoprogramowaniem, Internetem i siecią komputerową mają zarazem dostęp do potężnych narzędzi ułatwiających szybką współpracę. Tworzą więc coraz więcej międzynarodowych zespołów, wymieniając się poglądami, metodami i narzędziami, bez trudu pokonując strefy czasowe.

Inna grupa W-narzędzi składa się ze wspaniałych instrumentów służących wizualizacjom w laboratorium. W zasadzie, badacze mogą - lub wkrótce będą mogli - "obejść" dookoła wnętrza ziarenka ryżu, by dosłownie popatrzeć, jak zmieniają się jego wewnętrzne struktury w czasie wzrostu, a następnie śledzić je w czasie, gdy ryż jest magazynowany, przetwarzany, transportowany i gotowany. Badacze będą w stanie, w razie potrzeby, podążyć za ryżem wzdłuż układu pokarmowego i śledzić postępy jego trawienia.

Czasopisma naukowe oraz strony internetowe przepelnione są ogłoszeniami lepszych, szybszych, oszczędzających czas technologii badawczych. "Zautomatyzuj swoje badania" - czytamy w reklamie Roche Applied Science. "Przetwarzaj dosłownie każdą próbkę i wyizoluj DNA, RNA, mRNA oraz kwasy nukleidowe wirusów w niespełna 2 godziny. Przeprowadź analizę reakcji łańcuchowej polimerazy w czasie rzeczywistym mniejszym niż 40 minut." Inna reklama, zamieszczona przez AB Applied Biosystems, ogłasza, że "bez względu na to, dokąd zmierzasz w swoich badaniach," oferowany przez firmę analizator DNA "sprawi, że dotrzesz tam o wiele szybciej." Owo "szybciej" może oznaczać też zaskakująco powoli, jeśli weźmiemy fizykę jądrową. Aby zbadać chaotyczny ruch pojedynczych elektronów krążących wokół jądra atomu badacze muszą strzelać skrajnie krótkotrwałymi wiązkami promieniowania elektromagnetycznego. Im będą krócej trwały - tym lepiej.

Niedawno holenderscy i francuscy naukowcy, specjaliści w dziedzinie laserów, pobili rekord - wytwarzając impulsy światła stroboskopowego trwającego maksimum 220 attosekund przy czym 1

attosekunda, to jedna trylionowa sekundy. Dla badań wnętrza jądra nadal jednak jest to zbyt wolno, a zatem amerykańscy badacze pracują nad "lasetronem", który byłby zdolny do wytwarzania błysków mierzonych w zeptosekundach - czyli w jedno-tryliardowych częściach sekundy.

Na wszystkich tych rozmaitych polach wiadomo, jaki będzie następny krok. Najpewniej już niedługo ujrzymy bowiem nie tylko coraz potężniejsze narzędzia kapitałowe służące pozyskiwaniu wiedzy, ale również narzędzia kapitałowe służące wytwarzaniu tychże narzędzi kapitałowych.

DZIKIE POLA

Połączenie większej liczby naukowców, potężniejszych W-narzędzi, natychmiastowa telekomunikacja, rozpowszechniona współpraca i coraz szersza baza wiedzy, na której można się oprzeć, sprawia, że zmieniają się granice samej nauki, która dziś na nowo stawia sobie pytania niegdyś zepchnięte na bok, gdyż uznano, że ich zadawanie bardziej przystoi autorom scenariuszy filmów science-fiction kategorii B.

Dziś jednak poważni naukowcy nie obawiają się już, że zaszkodzi ich reputacji debatowanie na temat podróży w czasie, cyborgów, prawie-nieśmiertelności, urządzeń antygravitacyjnych, które mogłyby przeobrazić medycynę i zapewnić niewyczerpane źródło niekopalnych zasobów energii oraz wiele innych możliwości, niegdyś znajdowanych jedynie na dzikich polach tego, co nie do pomyślenia.

Obecnie nie odrzuca się już dyskusji na temat tych zagadnień, a przecież jeszcze w 1970 roku, kiedy pisaliśmy o nich w *Szoku przyszłości*, nikt nie chciał podjąć rozmowy. I nie jest tak, że tylko ekscentryczni naukowcy z bujnymi czuprynami inwestują swój czas i wysiłek w tych dziedzinach. Niektóre spośród największych korporacji świata, a nawet niektóre siły zbrojne - wydają pieniądze na zgłębianie tych spraw.

Dzień w dzień nasze laboratoria przedstawiają świeże odkrycia. Wiele z nich postawi nas wobec poważnych dylematów moralnych, o czym świadczą konflikty, jakie wybuchły wokół badań nad komórkami macierzystymi i klonowaniem. Dziś jednak dysponujemy tropami prowadzącymi do inżynierii genetycznej pewnych form inteligencji. Wyobraźmy sobie, cóż oznaczałoby to dla gospodarek intelektualnych oraz dla rodziców, którzy pragnęliby dziecka o biologicznie podwyższonej inteligencji. Ale wyobraźmy sobie także, jakie niebezpieczeństwa - społeczne i polityczne - mogłyby pojawić się w wyniku takiej manipulacji.

WSPÓŁWYSTĘPUJĄCE MOŻLIWOŚCI

Nikt nie wie, dokąd doprowadzą nas wszystkie te przełomowe odkrycia. Ani też tego, które z nich zaowocują praktycznymi i zyskownymi produktami czy usługami, które spotkają się z zainteresowaniem ze strony ludzi, a które udostępnią nam rządy czy firmy. Większość dzisiejszych tropów bez wątpienia zaprowadzi nas jednakże w ślepy zaułek.

Ale jeśli choćby jedno z tych pól okaże się urodzajne, jego oddziaływanie na bogactwo i na społeczeństwo może okazać się wybuchowe. Czy pamiętacie wszystkich tych ekspertów, którzy przysięgali, że samoloty nigdy nie będą latać? Albo londyńskiego "Times'a", który zapewniał swych

czytelników, że nowomodne urządzenie zwane telefonem to “po prostu kolejna amerykańska blaga?”

A teraz dodajmy do potężniejszych narzędzi kapitałowych oraz do współpracy naukowej dokonującej się on-line jeszcze czynnik przyśpieszenia.

Błędem jest traktowanie postępu nauki i zdobyczy technologicznych jako samodzielnych wydarzeń. Prawdziwie wielkie, intelektualne i finansowe, zyski pojawiają się wówczas, gdy dwa lub więcej przełomowych odkryć nakłada się na siebie lub zlewa w jedną całość. Im bardziej zróżnicowane są przedsięwzięcia badawcze, im więcej naukowców bierze w nich udział i im więcej postępów uda się im osiągnąć - tym większy będzie potencjał nowatorskiego zestawienia, dającego gigantyczne wyniki. W ciągu najbliższych lat ujrzymy wiele takich konwergencji.

Rozwój narzędzi kapitałowych służących ekspansji wiedzy można przyrównać do rakiety w stadium tankowania paliwa: przygotowanie do odpalenia będzie - wedle tej analogii - kolejnym etapem tworzenia bogactwa. Ta następna faza przyniesie jeszcze większe rozpowszechnienie nowego systemu bogactwa na całym świecie.

Nadchodzi rewolucja. A cywilizacja powstająca wraz z nią rzuci wyzwanie wszystkiemu, co - jak sądziliśmy - wiemy o bogactwie.

Rozdział 2

Dziecko pragnienia

Bogactwo ma przyszłość. Mimo wszystkich współczesnych znacznych zawirowań i regresów, istnieją szanse na to, że ludzkość wytworzy w najbliższych latach więcej, a nie mniej, bogactwa. Nie wszyscy jednak uważają, że to dobrze.

Bogactwo bywało źle widziane przez wielu: począwszy od starożytnych, którzy - jak Arystoteles - sądzili, że dążenie do bogactwa ponad poziom zaspokajania najbardziej elementarnych potrzeb jest rzeczą nienaturalną, poprzez dziewiętnastowiecznych socjalistów i anarchistów, którzy traktowali bogactwo jako niewłaściwie rozdzieloną własność, aż po wielu dzisiejszych fundamentalistów ekologicznych, którzy wyznają "dobrowolną prostotę", a "konsumeryzm" uznają za przekleństwo.

W przeciwieństwie do oskarżonego w amerykańskiej sali rozpraw sądowych, wobec bogactwa nie stosuje się zasady domniemanej niewinności. A jednak samo w sobie bogactwo jest neutralne. Z tego względu, na kartach tej książki, zakładamy, że bogactwo jest niewinne, dopóki nie udowodnimy mu winy.

Liczy się tylko to, kto je posiada, a kto nie. I jakim celom służy. Jak pisał meksykański pisarz Gabriel Zaid, "bogactwo przede wszystkim jest nagromadzeniem możliwości".

Oczywiście, pewne formy bogactwa są mniej lub bardziej powszechnie uznawane za "dobre". Zdrowie. Silna, kochająca się rodzina. Szacunek ze strony tych, których sami szanujemy. Rzadko kto zaprzeczy, że to też są formy bogactwa, nawet jeśli nie całkiem wpisują się w rachuby ekonomistów.

Aczkolwiek na co dzień termin ten określa, bez wątpienia zbyt wąsko, walory finansowe i często zabarwiony jest nutką nadmiaru. Dla niektórych bogactwo może oznaczać posiadanie nieco więcej, ponad subiektywnie postrzegane potrzeby, czymkolwiek by nie było. Innym nigdy niczego nie jest dość. Wśród biednych kwestie te nie mają aż tak subiektywnego charakteru. W oczach matki, której dziecko cierpi głód, codzienna miska ryżu będzie bogactwem ponad miarę. Jakkolwiek by go nie rozumieć, przynajmniej na potrzeby naszych rozważań, uznajemy, że bogactwo to nie tylko drugi ferrari w garażu.

Bogactwo nie jest też jednoznaczne z pieniędzmi, choć często bywa z nimi mylnie utożsamiane. Pieniądze są tylko jednym z przejawów czy też symbolicznych wyobrażeń bogactwa. W istocie bogactwo pozwala nam czasami posiadać to, czego nie można otrzymać za pieniądze.

Aby najpełniej zrozumieć przyszłość bogactwa - naszego własnego lub cudzego - musimy wyjść od jego najbardziej pierwotnego źródła: pragnienia.

ZNACZENIE BOGACTWA

Pragnienie może odzwierciedlać cokolwiek - od głębokiej potrzeby po przejściową zachciankę. W obu tych przypadkach to właśnie bogactwo zaspokaja owo pragnienie. Jest miodem na rany. Może

wręcz zaspokoić jednocześnie więcej niż jedno pragnienie. Możemy zapragnąć upiększyć nieco ścianę w naszym salonie. Obraz, choćby nawet niedroga reprodukcja, może nam sprawić przyjemność za każdym razem, kiedy zatrzymamy na nim wzrok. To samo dzieło sztuki może jednocześnie zaspokoić potrzebę imponowania gościom naszym wspaniałym poczuciem smaku lub pozycją społeczną. Ale bogactwem będzie też konto w banku, rower, zapas żywności lub zdrowotna polisa ubezpieczeniowa.

A zatem możemy, ogólnie rzecz biorąc, zdefiniować bogactwo jako jakikolwiek obiekt przez nas posiadany na wyłączność lub wspólnie z innymi, który ekonomiści określali by mianem "dobro", bowiem zapewnia nam w pewnym stopniu dobrobyt lub też może być wymienione na inną jego formę - taką, która nam je zapewni. Tak czy inaczej, bogactwo jest dzieckiem pragnienia. I z tego względu niektórzy nienawidzą samej nawet myśli o bogactwie.

RZĄDCY PRAGNIEŃ

Niektóre religie, na przykład, piętnują pragnienia. Wierzenia o charakterze ascetycznym zalecają pogodzenie się z ubóstwem i powiadają, byśmy poszukiwali szczęścia poprzez ograniczanie, a nie zaspokajanie naszych pragnień. Abyśmy mniej chcieli. Abyśmy obywali się bez dóbr. Przez całe stulecia tak właśnie postępowano w Indiach, krainie niewyobrażalnej biedy i nędzy.

Zupełnie inne podejście, od chwili swych narodzin na Zachodzie, zaproponował protestantyzm. Zamiast tłumić potrzeby materialne, zalecał ciężką pracę, oszczędność i zapał, obiecując, że Pan Bóg pomoże tym, którzy chcą pomagać sami sobie poprzez przestrzeganie tych właśnie zasad. Świat zachodni powszechnie przyjął te wartości i zdobył bogactwo. Wynałazł też maszynę wiecznego pragnienia - reklamę - wytwarzającą coraz więcej pragnień.

W nieco mniej odległych czasach, w latach siedemdziesiątych XX wieku, w Azji, oświeconemu, choć staremu komuniście chińskiemu Deng Xiaopingowi przypisywano powiedzenie, że "bogacenie się jest wspaniałe". Słowa te miały wyzwolić nabrzmiałe pragnienie najliczniejszego narodu świata i wyprowadzić Chiny z wielowiekowej biedy.

W Stanach Zjednoczonych z ekranów telewizyjnych aż bucha poradami finansowymi. Biją nas po oczach reklamy biur maklerskich i publikacji typu "Money" czy "Wall Street Journal". Infoklasy obiecują nam sposoby zmniejszenia podatków, oszałamiające sukcesy na giełdzie, trafne transakcje na rynku nieruchomości i zasobne emerytury na własnej, zalanej słońcem wyspie. Posiadanie pragnień legitymizowane jest olbrzymim ładunkiem propagujących je wiadomości.

W samym tylko roku 2004 amerykańskie firmy wydały 264 miliardy dolarów na reklamy w czasopiśmie, telewizji, radiu, marketingu bezpośrednim, specjalistycznych wydawnictwach biznesowych, książkach telefonicznych i w Internecie. W roku 2001 pięć największych krajów europejskich wydało na reklamę 51 miliardów dolarów, nie licząc Internetu, marketingu bezpośredniego i kilku innych kategorii, które obejmują dane z USA. W Japonii na ten cel wydano 36 miliardów dolarów.

Mówiąc krótko, czy to za pomocą ascezy, czy ideologii lub religii, czy wreszcie reklamy albo na jeszcze inny sposób - elity we wszystkich społeczeństwach, świadomie lub nieświadomie zarządzają pragnieniami; i to jest punkt początkowy tworzenia bogactwa.

Nie ulega jednak wątpliwości, że samo tylko nadymanie pragnień - czy też wręcz gloryfikowanie zachłanności, która jest czymś zgoła odmiennym od bogactwa bądź pragnienia - niekoniecznie uczyni kogokolwiek bogatym. Kultury propagujące posiadanie pragnień i dążenie do bogactwa nie zawsze potrafią je uzyskać. Z drugiej strony - kultury, które gloryfikują ubóstwo, zazwyczaj dostają to, o co wnoszą modły.

Część II

Głębokie fundamenty

Rozdział 3

Fale bogactwa

Ludzie tworzą bogactwo od tysięcy i mimo znacznych obszarów nędzy na świecie długoterminowe realia są takie, że my, jako rodzaj ludzki, jesteśmy w tym coraz lepsi. Gdyby tak nie było, Ziemia nie wyżywiłaby dzisiaj 6 miliardów ludzi. Nie żylibyśmy tak długo, jak żyjemy dzisiaj. I, dobrze to czy źle, nie doszłoby do tego, że dziś jest na świecie więcej ludzi z nadwagą, niż niedożywionych.

Osiągnęliśmy to wszystko - jeśli chcemy to traktować jako osiągnięcie - czyniąc o wiele więcej, niż tylko wynajdując pługi, rydwany, maszyny parowe i Big Maki. Osiągnęliśmy to poprzez zbiorowe wynalezienie kolejnych - jak je tutaj nazywamy - systemów bogactwa. W rzeczy samej należą one do najważniejszych wynalazków w dziejach człowieka.

PREHISTORYCZNY EINSTEIN

Bogactwo w najbardziej ogólnym znaczeniu to dowolna rzecz, która zaspokaja potrzeby lub chęci. System bogactwa natomiast to sposób tworzenia tego bogactwa, dla pieniędzy lub nie.

Na długo przed powstaniem pierwszego prawdziwego systemu bogactwa my, ludzie, najpewniej prowadziliśmy życie koczowniczych myśliwych, zabijając i zbierając dla uzyskania najbardziej elementarnych środków niezbędnych do przetrwania. Z chwilą udomowienia zwierząt myślistwo i zbieractwo stopniowo zlało się albo ustąpiło miejsca hodowli lub pasterstwu. Wówczas, tysiące lat temu, było to niewiele lepsze od systemu przetrwania, nie całkiem zasługującego na miano "system bogactwa".

Dopiero umiejętność wyprodukowania nadwyżki ekonomicznej umożliwiła powstanie pierwszego, autentycznego systemu bogactwa. I mimo że od tego czasu próbowano wypracować niezliczoną ilość nowych sposobów osiągnięcia tej nadwyżki, dochodzimy do wniosku, że wśród tych sposobów można wyróżnić trzy obszerne kategorie.

Pierwszy prawdziwy system bogactwa prawdopodobnie powstał dziesięć tysięcy lat temu, kiedy jakiś prehistoryczny Einstein (prawdopodobnie kobieta) posiał pierwsze ziarno, gdzieś w rejonie Gór Kackar Da, a więc na terenie dzisiejszej Turcji, tym samym wprowadzając sposób wytwarzania bogactwa. Zamiast czekać aż natura zapewni nam środki do życia, teraz mogliśmy sprawić, by natura spełniła nasze, w pewnych granicach, życzenia. (Powinno się ustanowić ogólnoświatowe święto na cześć tego nieznanego wynalazcy, którego innowacja wpłynęła na życie większej liczby ludzi niż jakikolwiek inny wynalazek w dziejach człowieka.)

Wynalezienie rolnictwa oznaczało, że w dobrym roku chłop mógł wyprodukować niewielką nadwyżkę płodów rolnych ponad ilość potrzebną do konsumpcji własnej. Oznaczało to także, że nasi przodkowie mogli porzucić koczowniczy tryb życia i założyć stałe osady, aby uprawiać zboże na

pobliskich polach. Krótko rzecz ujmując, rolnictwo wprowadziło całkowicie nowy sposób życia, z wolna rozprzestrzeniający się na całym świecie.

Sporadyczne, niewielkie nadwyżki umożliwiały przechowywanie zapasów na ciężkie chwile. Ale z biegiem czasu umożliwiły także elitom rządzącym - wodzom, szlachcie i królowi, wspieranym przez wojsko, kapłanów i poborców skarbowych - przejęcie kontroli nad całością lub częścią owych nadwyżek, a zatem nad bogactwem, dzięki któremu mogli utworzyć państwo dynastyczne lub sfinansować swoje własne luksusy.

Mogli budować wspaniałe pałace i katedry. Polowanie mogło stać się dla nich rozrywką. Mogli, i z regularną częstotliwością tak czynili, toczyć wojny lub zdobywać ziemię oraz niewolników albo chłopów pańszczyźnianych po to właśnie, by produkować coraz większe nadwyżki dla siebie samych. Nadwyżki te umożliwiły dworom ludzi możnych wspieranie artystów i muzyków, architektów i czarodziejów, nawet gdyby chłopci mieli głodować i umierać.

Krótko mówiąc, Pierwsza Fala bogactwa, obejmując kolejne połacie świata, wytworzyła coś, co nazywamy cywilizacją rolną (agrarną).

CZŁOWIEK, KTÓRY POŻARŁ SAMEGO SIEBIE

Przez całe tysiąclecia rolnictwo było najbardziej zaawansowaną formą produkcji - o wiele bardziej owocną niż łowiectwo czy zbieractwo. Do roku 1100, jak pisze historyk Lynn White, "ciężki pług, odsłonięte pola, niedawne połączenie rolnictwa i hodowli, trójpolówka, nowoczesna uprzęż końska, podkowy oraz dyszel - połączyły się w totalny system eksploatacji rolnej". White odwołuje się tu do "strefy dobrobytu chłopskiego obejmującej obszar od Europy Północnej po Ocean Atlantycki i Dniepr".

Pierwsza Fala przyniosła też bardziej wyspecjalizowany podział pracy - a zatem potrzebę wymiany w postaci handlu, wymiany barterowej, kupowania i sprzedawania.

Ale głód i skrajna nędza wciąż pozostawały normą. Wedle historyka Teofilo Ruiza, jeszcze w XIV wieku głód w niektórych częściach Europy mógł pojawiać się co trzy, pięć lat. Jak powiada Piero Camporesi z Uniwersytetu w Bolonii, "głód stanowił niemal strukturalną cechę" rzeczywistości aż do XVII wieku.

Bohater farsy wystawianej w czasie głodu w 1528 roku ogłasza: "Zabiję siebie... A nawet gorzej, ponieważ sam siebie pożrę, azaliż umrę dobrze odżywionym". Ponury żart w jeszcze bardziej ponurych czasach.

W swej niezapomnianej książce *Bread of Dreams*² Camporesi cytuje oryginalne, pełne życia źródła dokumentujące spustoszenia, jakie na skórze i organach swych ofiar sieje głód: gnilny odór, plugastwo, fekalia, sterty ciał ludzkich na kupie gnoju i przypadki kanibalizmu, kiedy matki zjadały swe własne potomstwo. Pisz o "niemal namacalnym związku i bliskości ze żniwem śmierci - ciałami, kośćmi, chorobami i umieraniem". Głodujący chłopci raz po raz pojawiali się tłumnie w miastach, tworząc "na wpół zmarginalizowaną" społeczność, masowo parającą się żebractwem.

² tytuł oryginału włoskiego // *pane seluaggio*, 11 Mulino 1980 - przyp. tłum.

Dziś społeczeństwa Pierwszej Fali dominują w wielu krajach. I choć kanibalizm należy obecnie do rzadkości, nadal można spotkać się z wieloma okropnościami opisanymi przez Camporesiego, w zacofanych regionach rolniczych, gdzie jeszcze dziś chłopci pracują i żyją tak, jak od wieków ich dziadowie.

NIE DO POMYŚLENIA

Drugi rewolucyjny system bogactwa i system społeczny zarazem - industrializm - zaczął kształtować się pod koniec XVII wieku i dał początek Drugiej Fali transformacji i przełomu w większości zakątków świata. Historycy wciąż debatują nad prawidłowym datowaniem rewolucji przemysłowej i wciąż analizują liczne przyczyny stanowiące jej podłoże. Skądinąd wiemy, że w okresie tym znacząca grupa intelektualistów zachodnioeuropejskich, filozofów, naukowców, radykałów politycznych i przedsiębiorców, zainspirowanych myślą Kartezjusza, Newtona i ideałami oświeceniowymi, znów odmieniła świat.

System bogactwa Drugiej Fali, jaki pojawił się wraz z tymi nowymi ideami, dał ostatecznie początek fabrykom, urbanizacji i sekularyzacji życia. Łączył w sobie energię otrzymywaną z przetwarzania kopalin oraz technologie wykorzystujące siłę zwierząt, wymagające rutynowych czynności i powtarzalnej pracy mięśni. Przyniósł wreszcie masową produkcję, masową edukację, masowe media oraz masową kulturę.

Druga Fala, kolidując z tradycyjnymi sposobami pracy, wartościami, strukturą rodziny i coraz bardziej anachronicznymi instytucjami politycznymi i religijnymi ery agrarnej, przeciwstawiła interesy rodzącej się elity handlowej, miejsko-przemysłowej - interesom mocno zasiedziały elit wiejsko-rolnych. W ostatecznym rezultacie "modernizatorzy" Drugiej Fali doszli do władzy we wszystkich krajach "rozwiniętych" gospodarczo, jak je dziś określamy.

Industrializm zatrzał ziemię. Towarzyszył mu kolonializm, wojny i całe morze nędzy. Ale dał też początek olbrzymiej, rozprzestrzeniającej się cywilizacji miejsko-przemysłowej, która zrodziła bogactwa, jakie nawet nie śniły się naszym chłopskim pradziadom.

Wzniesione na wspólnych zasadach standaryzacji, specjalizacji, synchronizacji, koncentracji, centralizacji i maksymalizacji skali gospodarki przemysłowe przybierały rozmaite formy: od anglo-amerykańskiego kapitalizmu po stalinowski komunizm, od szwedzkiej "drogi środka" po wariant japoński: znacznie zhierarchizowany i zbiurokratyzowany, czy też jego odmianę koreańską i wiele innych wersji. Wszystkie te formy koncentrowały się silnie na produkcji (na wczesnych etapach procesu) oraz konsumpcji (nieco później).

Dziś Organizacja Rozwoju Gospodarczego i Współpracy (OECD; Organization for Economic Cooperation and Development) określa swych trzydzieści państw członkowskich, o łącznej liczbie ludności 1,2 mld mieszkańców, jako kraje "rozwinięte" lub uprzemysłowione. Kraje te - wraz z Rosją i paroma innymi państwami - są produktami nowoczesności: Drugiej Fali, która rozlała się po całym świecie.

DZISIEJSZA FALA BOGACTWA

Trzecia i najnowsza fala bogactwa - wciąż gwałtownie rozprzestrzeniająca się, kiedy piszemy te słowa - obala zasady industrializmu, ponieważ w miejsce tradycyjnych czynników produkcji przemysłowej - ziemi, pracy i kapitału - wprowadza nieustannie doskonałą wiedzę.

Podczas gdy Druga Fala bogactwa wprowadziła umasowienie, Trzecia Fala niszczy wszelkie przejawy masowości produkcji, rynków i społeczeństwa.

Podczas gdy społeczeństwa Drugiej Fali wprowadziły jednakowy standard rodziny nuklearnej w miejsce obszernej rodziny typowej dla większości społeczeństw rolniczych Pierwszej Fali - Trzecia Fala uznaje i akceptuje różnorodność rozmaitych formuł życia rodzinnego.

Podczas gdy Druga Fala wznosiła pnące się coraz bardziej wzwyż hierarchie pionowe, Trzecia Fala raczej spłaszcza organizacje i preferuje sieci oraz wiele struktur alternatywnych.

To dopiero początek przydługiej listy radykalnych zmian. A zatem: produkcja dóbr, których możemy dotknąć - zasadnicza funkcja gospodarek Drugiej Fali - w coraz większym stopniu staje się dziś działalnością czysto towarową, relatywnie prostą i produkującą niewielką wartość dodaną.

W przeciwieństwie do produkcji, funkcje tak niematerialne, jak finansowanie, projektowanie, planowanie, badania, marketing, reklama, dystrybucja, zarządzanie, serwis i recykling często okazują się o wiele trudniejsze i bardziej kosztowne. Często generują wyższą wartość dodaną i zyski, niż gięcie metalu i praca mięśni. Rezultatem tego zjawiska jest dogłębna zmiana w relacjach pomiędzy poszczególnymi sektorami gospodarki.

Wzbierając, wszystkie kolejne fale przemieszczały się przez świat nierównomiernie, dzięki czemu w krajach takich, jak Brazylia czy Indie, możemy natrafić na wszystkie trzy fale nakładające się na siebie - jeszcze dziś wymierają tam ostatni łowcy i zbieracze, skoro chłopci Pierwszej Fali zagarniają ich ziemię; wciąż jeszcze chłopcy przenoszą się do miast w poszukiwaniu zajęcia w fabrykach Drugiej Fali; a wraz z Trzecią Falą jak grzyby po deszczu wyrastają kafejki internetowe i firmy programistyczne.

Wraz z tymi zmianami pojawia się połączenie dekadencji, innowacji i eksperymentu, wobec tego, że stare instytucje w coraz mniejszym stopniu wypełniają swe funkcje, a ludzie próbują nowych stylów życia, poznają nowe wartości, nowe systemy wierzeń, nowe struktury rodzinne, nowe formuły polityczne, nową literaturę i muzykę, nowe zasady relacji między kobietą i mężczyzną.

Żaden system bogactwa nie jest w stanie utrzymać się samodzielnie - bez społeczeństwa i kultury. Tymczasem społeczeństwo i kultura same przeżywają wstrząsy, kiedy dochodzi do kolizji dwóch lub większej liczby systemów bogactwa.

Te kreślone z grubsza szkice zaledwie sygnalizują różnice pomiędzy trzema światowymi systemami bogactwa i trzema wspaniałymi cywilizacjami, które im towarzyszą. Wystarczą jednak, by wskazać ich główne tematy: jeśli podstawą systemu Pierwszej Fali było głównie hodowanie rzeczy, a Drugiej Fali - produkowanie rzeczy, to system bogactwa Trzeciej Fali w coraz większym stopniu zasadza się na usługach, myśleniu, wiedzy i doświadczeniu.

TRZY ŻYCIA, TRZY ŚWIATY

Jasne jest, że tak jak industrializacja zazwyczaj tworzyła więcej bogactwa i wyższe nadwyżki na głowę, niż kiedykolwiek byłaby w stanie wytworzyć gospodarka rolna, kształtujący się dziś, wciąż niedojrzały system bogactwa Trzeciej Fali zapowiada, że ilość bogactwa, jaką produkowali jej poprzednicy, będzie wyglądała śmiesznie w porównaniu z tym, czego możemy oczekiwać w przyszłości. Nowy system może zwiększyć nie tylko bogactwo pieniężne, ale także bogactwo ludzkie - pozafinansowe, jakie osiągamy dla siebie i dla naszych najbliższych.

Każdy z tych trzech systemów bogactwa nakłada odmienne imperatywy na społeczeństwa oraz na życie zwyczajnych ludzi. Każdy z nich produkuje wszak całkowicie odmienne formy i ilości bogactwa. Niosą z sobą zgoła różne konsekwencje ekologiczne i kulturalne. I owocują trzema diametralnie odmiennymi stylami życia.

Wystarczy porównać życie chłopca w rolniczym Bangladeszu, robotnika obsługującego taśmę montażową Forda w Kolonii i programisty w Seattle czy Singapurze. Nawet w obrębie tego samego kraju, dajmy na to w Indiach, zupełnie inna jest sytuacja chłopca w Biharze niż robotnika fabrycznego w Bombaju czy informatyka w Bangalurze. Działając w różnych systemach bogactwa, żyją w trzech różnych światach.

Aby zrozumieć istotę tych różnic i dokąd nas one zaprowadzą, musimy teraz podążać tam, dokąd ekonomiści lub uczeni finansiści zabierają nas niezmiernie rzadko - do podziemnych fundamentów, od których zależy przyszłość bogactwa.

Rozdział 4

Głębokie fundamenty

Każdego ranka miliony ludzi na całym świecie, zrywają się z łóżka i pędzą do komputera, żeby sprawdzić w Internecie notowania cen akcji lub rzucić okiem na gospodarcze strony w gazecie czy obejrzeć najnowsze wiadomości ekonomiczne w telewizji, albo zrobić to wszystko naraz. Dopiero potem rozglądają się za śniadaniem.

Niektórzy z wielką chęcią daliby sobie wszczepić mikrochipa do mózgu, jeśliby automatycznie dawał im znać o najnowszych wahaniach stóp procentowych lub zmianach w portfelu ich akcji. I wkrótce wiele osób zafunduje sobie takie maleńkie urządzonek.

Na razie gospodynie domowe w Szanghaju, nowojorscy taksówkarze i dealerzy walutowi we Frankfurcie muszą się zadowolić informacjami dostarczonymi prawie w czasie rzeczywistym, przez 86 400 sekund dziennie, przez serwisy Reutera, Bloomberg, CNBC, CNN, BBC oraz ich partnerów i konkurentów na całym świecie. Nadawanie tych wszystkich informacji, samo w sobie, stało się już dziś globalną dziedziną gospodarki.

Nikt nie może twierdzić, że w pełni zdaje sobie sprawę, w jakim stopniu ta branża i ten bezprecedensowy zalew informacji (i dezinformacji) wpływają i zakłócają rynki akcji i światowy rynek finansowy. Niemniej w całym tym zgiełku eksperci z przekonaniem przypisują zaskakująco wiele wahań w notowaniach akcji, zmian w biznesie, wzlotom i upadkom gospodarki - zmianom, jak się je określa, "fundamentalnym".

Główny ekonomista koncernu General Motors utrzymuje, że "fundamentalne parametry głównego nurtu gospodarki są wciąż silne". Prezes firmy Time Warner Telecom przypisuje sukcesy swej firmy w warunkach słabej gospodarki "zdrowym podstawom biznesowym", mimo cokolwiek dziwnej okoliczności, iż kurs akcji jego firmy w ciągu ostatnich dwunastu miesięcy spadł o 90 proc.

Czołowy ekonomista w Credit Suisse First Boston apeluje do inwestorów, by zwracali uwagę raczej na "podstawy gospodarki rosyjskiej, niż na jej ostatnie wyniki". Wysoki rangą urzędnik administracji chińskiej skłonny jest tłumaczyć doskonałą koniunkturę eksportu "fundamentalnymi wskaźnikami gospodarczymi".

Co dokładnie rozumiemy pod tym terminem pozostaje jednak owiane mgiełką niezrozumienia. Znaczenie "fundamentów" zależy od tego, kto używa tego terminu: obejmuje on wszak takie czynniki, jak "niska inflacja", "zdrowy portfel kredytów" czy "światowe ceny złota i miedzi." A może nie.

Podczas szalonej hossy na amerykańskim rynku akcji w latach dziewięćdziesiątych XX wieku ekonomiści dorzucali do tego bigosu pojęciowego takie rzekomo fundamentalne parametry, jak zrównoważony budżet państwa, silny sektor wytwórczy, obecność lub nieobecność silnego światowego banku centralnego, nierównowagę między cenami akcji i zyskami, poziom kredytów

indywidualnych oraz odsetek nisko płatnych miejsc pracy, o podwyższonym poziomie bankructw nie wspominając.

Bez wątpienia niektóre z tych zmiennych są ważne - czasami. Tymczasem zastanówmy się, czy przypadkiem nie jest tak, że skupiając na nich właśnie uwagę pomijamy o wiele ważniejsze fakty? A jeśli wszystkie te czynniki zależą, bezpośrednio lub nie, od głębszych sił - powiedzmy, że od "głębszych fundamentów", które kształtują te bardziej powierzchowne fundamenty?

Co myśleć o sytuacji, w której fundamentalne wskaźniki mówią nam coś zgoła odmiennego od tego, co wynika z analizy głębokich fundamentów? A jeśli te bardziej podstawowe, potężniejsze podstawy w szybkim tempie ulegają zmianom?

NIEOMYJNI

Chrześcijańscy teologowie posługują się terminem inerrantysty (nieomylni) dla określenia tych, którzy z przekonaniem twierdzą, że dziś, po dwóch tysiącach lat dyskusyjnych tłumaczeń i błędnych interpretacji, Pismo Święte wolne jest od wszelkich błędów, a ponadto, że każde jego słowo należy rozumieć w najbardziej dosłownym sensie.

Ekonomia ma swych własnych inerrantystów, którzy mimo rozmaitych nieprawidłowych, zaskakujących i wewnętrznie sprzecznych dowodów utrzymują, że nic tak naprawdę się nie zmieniło. Twierdzą, iż na poziomie analizy fundamentalnej zaledwie nieznaczny wpływ na gospodarkę wywarła digitalizacja wielu sfer życia oraz transformacja ku gospodarce intelektualnej (tj. opartej na wiedzy).

Menadżer jednego z największych amerykańskich funduszy inwestycyjnych zapewnia grupę prezesów branży petrochemicznej w Europie, że w finansach zawsze raz jest lepiej, raz gorzej, a zatem co nowego się dzieje? Brent Moulton, przedstawiciel U.S. Bureau of Economic Analysis (Biura Analiz Gospodarczych USA) - rządowej agencji zajmującej się coraz bardziej precyzyjnym pomiarem coraz mniej istotnych zmiennych - powiada, że gospodarka jest dziś taka sama, jak niegdyś.

Ta iluzja jednakowoż będzie nie do obrony z chwilą, gdy odwrócimy się od codziennych fundamentów i spojrzymy na te bardziej dogłębne. Bo to właśnie na tych głębszych poziomach znajdujemy najbardziej przekonujące dowody na to, że gospodarka wcale nie jest taka "jak niegdyś" i że, w istocie, cała dzisiejsza struktura tworzenia bogactwa przeżywa wstrząsy i się chybcze, zapowiadając nadejście jeszcze poważniejszych zmian.

PRZESTARZAŁE FUNDAMENTY

Istnieją nie tylko te podpowierzchniowe fundamenty, ale także głębszy oraz spójny wewnętrznie sposób określania, o jakie podstawy tu chodzi.

Dziś na całym świecie odnajdujemy trzy zgoła odmienne systemy tworzenia bogactwa, z grubsza symbolizowane przez pług, linię montażową oraz komputer. Przede wszystkim musimy wiedzieć, że większość z tego, co dziś skłonni jesteśmy uznawać za "fundamenty," jest nieobecne we wszystkich trzech systemach. Na przykład, podczas gdy "silny sektor wytwórczy" w praktyce określa

przemysłowy system bogactwa, w preindustrialnych gospodarkach rolniczych występował w stanie szczątkowym i nadal tak jest w wielu częściach świata.

Podczas gdy Bank Rezerw Federalnych i banki centralne, ogólnie, odgrywały kluczową rolę w epoce industrialnej - nie istniały przecież, jako takie, w erze preindustrialnej i być może nie będą istniały w przyszłości. Możliwość ich zniknięcia zasugerował nie kto inny, jak Mervyn King, dyrektor Bank of England, ponieważ wiele z ich funkcji już nie będzie potrzebnych lub też będzie wykonywanych automatycznie w ramach infrastruktury elektronicznej. Krótko rzecz ujmując: pośród wielu tzw. wskaźników fundamentalnych niektóre są istotne jedynie dla społeczeństw na pewnym etapie rozwoju, a na innym - bynajmniej.

W przeciwieństwie do tych, niektóre podstawy są tak żywotne dla wytwarzania bogactwa, że liczą się we wszystkich gospodarkach, na wszystkich stadiach rozwoju, we wszystkich kulturach i cywilizacjach, przeszłych lub obecnych. To właśnie te fundamenty głębokie.

PRZYSZŁOŚĆ PRACY

Niektóre z głębokich fundamentów są ewidentne - na przykład praca.

Dla wielu niespodzianką będzie fakt, iż zanim pracę w polu zastąpiono pracą w fabryce, rzadko kto spośród naszych przodków miał etat. Na pewno nie dlatego, że byli tak bogaci. W większości byli koszmarne biedni. Nie mieli etatu, ponieważ "praca" w dzisiejszym sensie, a zatem oficjalnie zadeklarowana aktywność w zamian za umówioną z góry wypłatę, nie została jeszcze wynaleziona. Podobnie jak maszyna parowa i inne wynalazki przemysłowe, etat i płatna praca rozpowszechniły się dopiero w ciągu ostatnich trzech stuleci.

Sama praca przeniosła się z dworu do wewnątrz i zamiast do wschodów i zachodów słońca - dostosowała się do tykania zegara. W większości przypadków zapłata przybierała formę pensji opartej na produktywności. Te właśnie ustalenia określają to, co nazywamy dziś "pracą".

Jednakże etat to tylko jedna z form występowania pracy. A w miarę rozwoju systemu bogactwa opartego na wiedzy dążymy do przyszłości, w której więcej ludzi będzie "pracowało", ale mniej ludzi będzie miało "pracę". Przekonamy się o tym już wkrótce. Zmiany te drastycznie odmienia stosunki pracy. Działy kadr, legislację i cały rynek pracy. Jest to zła wiadomość dla związków zawodowych - takich, jakie dziś znamy. Głębokie fundamenty pracy zmieniają się bardziej zasadniczo niż w jakimkolwiek okresie od początku rewolucji przemysłowej.

Podział pracy, podobnie jak sama praca, bierze swój początek w łowiectwie i zbieractwie, kiedy zależał zasadniczo od płci. Dziś po raz kolejny docieramy do punktu zwrotnego.

Słyszeliście kiedykolwiek o "konsultantach procesowych w zakresie metalurgii i błędnych analiz" albo o "ogrodniku post-zbiorczym"? Pewnie nikt z nas o nich nie słyszał. (Ten drugi, to specjalista określający takie rzeczy, jak liczba mikroporów w folii do przechowywania warzyw w supermarkecie dla zapewnienia odpowiedniego dopływu tlenu).

Adam Smith w 1776 roku nazwał podział pracy źródłem "największej poprawy wytwórczych sił pracy". I od tamtej pory jest to niezaprzeczalna prawda. Jednakże im bardziej wyszukane i

wyspecjalizowane stają się zadania, coraz trudniejsza i kosztowniejsza jest ich integracja - szczególnie w gospodarce konkurencyjnej, napędzanej innowacyjnością.

W pewnym momencie koszt integracji może przewyższyć koszty takiej superspecjalizacji. Co więcej, wąsko wyspecjalizowani fachowcy mogą sprawdzać się w innowacjach. Innowacje przełomowe są często dziełem tymczasowych zespołów, których członkowie przekraczają granice poszczególnych dyscyplin, i to w czasach, gdy przełomy dokonują się niemal w każdej dziedzinie, skutecznie zamazując te granice. I nie jest to tylko sprawa naukowców i badaczy.

Nowy system bogactwa wymaga od całej gospodarki wstrząsu w sposobie pozyskiwania coraz bardziej tymczasowych umiejętności dla coraz bardziej tymczasowych celów. Nic nie ma bardziej fundamentalnego znaczenia dla wytwarzania bogactwa.

Zmieniają się jednak nie tylko praca i podział pracy, ale być może także sama dystrybucja dochodu - czyli "ile komu się należy" - zmierza, w sensie długofalowym, ku prawdziwie rewolucyjnej zmianie.

WSPÓŁGRA

Oto zaledwie kilka przykładów fundamentów, które są podstawą "fundamentów". Być może, mają jeszcze większe znaczenie niż może się to wydawać, ponieważ razem składają się na system. A zatem zmiany głębokich fundamentów współgrają ze sobą. Co więcej, ograniczone przykłady przytoczone dotychczas są właśnie takie: ograniczone. Pełniejsza lista na pewno objęłaby i inne: energetykę, środowisko naturalne i strukturę rodziny, na przykład. Wszystkie one przeżywają błyskawicznie dokonujące się zmiany i wszystkie sprawiają, że chwieje się grunt pod bardziej powierzchownymi, widocznymi na co dzień fundamentami.

Wiele z głębokich fundamentów było już jednak, raz po raz, poddawanych analizie. Na przykład od lat siedemdziesiątych XX wieku relacje pomiędzy biosferą i tworzeniem bogactwa stały się przedmiotem ogólnoświatowego zainteresowania i źródłem kontrowersji.

Dla kontrastu, kilka spośród głębokich fundamentów, niezwykle istotnych dla rewolucyjnego bogactwa, spotkało się z zainteresowaniem zgoła mizernym.

Z tej to przyczyny, podróż, w którą się wybieramy, przebiegać będzie przez dziwne, w zasadzie nieznanne terytorium. Naszym celem będzie zbadanie trzech najszybciej zmieniających się, najpotężniejszych i najbardziej fascynujących spośród wszystkich dzisiejszych fundamentów - trzech, które bez wątpienia ukształtują przyszłość bogactwa.

Rozdział 5

Zderzenie prędkości

Wszystkie najbardziej liczące się dziś pod względem gospodarczym kraje świata - Stany Zjednoczone, Japonia, Chiny i Unia Europejska - zmierzają ku kryzysowi, do którego żaden z tych krajów nie tęskni, na który gotowi są jedynie nieliczni przywódcy polityczni i który określi granice przyszłego postępu gospodarczego. Ten zagrażający nam kryzys jest bezpośrednim wynikiem "efektu desynchronizacji," przykładem tego, jak bezmyślnie podchodzimy do najgłębszego z głębokich fundamentów: czasu.

Kraje całego świata walczą w zróżnicowanym tempie o zbudowanie zaawansowanej gospodarki. Większość liderów gospodarczych, politycznych i społecznych nie do końca rozumie to, co jest rzeczą zgoła prostą: rozwinięta gospodarka wymaga rozwiniętego społeczeństwa, ponieważ każda gospodarka jest produktem społeczeństwa, którego stanowi integralną część i od którego instytucji jest uzależniona.

Jeśli jakiś kraj potrafi przyspieszyć swój rozwój gospodarczy, ale pozostawia swe instytucje w nie zmienionym stanie, w ostatecznym rachunku ograniczy swe możliwości wytwarzania bogactwa. Nazwijmy to "prawem zgodności." Instytucje feudalne wszędzie utrudniały postępy przemysłu. Tak samo dzisiejsze instytucje wywodzące się z epoki przemysłowej spowalniają transformację ku bardziej zaawansowanemu, opartemu na wiedzy systemowi wytwarzania bogactwa.

Zasada ta znajduje potwierdzenie w odniesieniu do Okurasho, japońskiego Ministerstwa Finansów, i innych biurokratycznych agend rządowych. To samo możemy powiedzieć o państwowych przedsiębiorstwach chińskich czy rozrośniętych francuskich ministerstwach i elitarnych uczelniach wyższych. Nie inaczej dzieje się w Stanach Zjednoczonych. We wszystkich tych krajach kluczowe instytucje publiczne nie nadążają za otaczającym je powiewem zmian.

Najbardziej drastycznym przykładem jest nieudolność U.S. Security and Exchange Commission (Komisji Papierów Wartościowych USA) w borykaniu się z zawrotną szybkością i złożonością finansowych instytucji sektora prywatnego, których działalność winna nadzorować. W wielkim skandalu Enronu, w nielegalnych machinacjach związanych z funduszem inwestycyjnym, w których czas i wycucie chwili były najważniejsze, w kolejnych przypadkach nadmiernie kreatywnej księgowości - regulatorzy rynku finansowego przypominali pijane dzieci we mgle, kiedy stykali się z manipulacjami błyskawicznie przeprowadzanymi przez podejrzane podmioty. Dodajmy do tego porażającą indolencję agend wywiadu amerykańskiego, które nie dość szybko zdały sobie sprawę, że ważniejsza od celów zimnowojennych jest dziś umiejętność walki ze światowym terroryzmem, co stanowiło zaproszenie dla tragedii 11 września 2001 roku. A ostatnimi czasy siłę rażenia desynchronizacji zwielokrotniło żalosne, tragicznie niekompetentne podejście służb rządowych do klęski żywiołowej spowodowanej uderzeniem huraganu Katrina w 2005 roku.

I za każdym razem, o czym się bardziej szczegółowo przekonamy jeszcze z niniejszej lektury, próby reformowania lub likwidacji agend ery industrialnej wywołują ostry opór ze strony swych tradycyjnych beneficjentów i ich sojuszników. Opór ten sprawia lub przynajmniej przyczynia się do tego, że tempo zmian jest silnie zróżnicowane. Dzięki temu łatwiej zrozumieć, dlaczego tak wiele naszych najważniejszych instytucji nie działa prawidłowo - nie nadąża za wzrastającym tempem, jakiego wymaga gospodarka oparta na wiedzy. Mówiąc krótko, dzisiejsze rządy mają poważny problem z samym tylko czasem.

PUNKTUALNE POCIĄGI?

Wielu “modernizatorów”, którzy kształtowali epokę industrialną, łudziło się marzeniami o doskonale zsynchronizowanym społeczeństwie, działającym jak szwajcarski zegarek. A zatem tym, czym taylorizm był dla fabryki, leninizm był dla Związku Radzieckiego. Ich celem było stworzenie państwa i społeczeństwa, które funkcjonowałyby równie wydajnie jak maszyna. Wszystkie instytucje miały działać jak jeden organizm, a obywatele równać krok w marszu.

Ale ludzie i społeczeństwa są przecież, w istocie, systemami otwartymi. Nieuładzonymi i niedoskonałymi. W życiu każdego z nas i w życiu społeczeństw obszary chaosu i przypadkowości występują naprzemiennie lub tworzą obszary czasowej stabilizacji. I oba te obszary są nam potrzebne.

Stabilizacja i synchronizacja zapewniają nam pewną dozę przewidywalności, niezbędnej jednostkom do działania w grupach społecznych, a szczególnie w gospodarce. Bez pewnej dozy stabilizacji i koordynacji czasowej życie sprowadza się do rządów anarchii i przypadku. A co się dzieje wówczas, gdy ich miejsce zajmie destabilizacja i desynchronizacja?

Mimo całych dekad rozlewu krwi i wewnętrznego ucisku, komunistyczny reżym ZSRR (1917-1991) nigdy nie zdołał dokończyć procesu uprzemysłowienia kraju, co obiecywali jego założyciele. A synchronizacja i wydajność, o której marzyli przywódcy partii komunistycznej, nigdy nie zmaterializowała się w oficjalnej gospodarce. Funkcjonowała ona wyłącznie dlatego, że skorumpowane podziemie gospodarcze prowadziło równoległą działalność w szarej strefie, w ramach której - jeśli tylko zyski były wystarczające - towary mogły bez problemu pojawiać się na czas.

W roku 1976, niemal w sześćdziesiąt lat po rewolucji Lenina, w moskiewskich hotelach nie można było nawet marzyć o kawie czy pomarańczy. Chleb był racjonowany i płacono się zań według gramatury. Dziesięć lat później nawet uprzywilejowana moskiewska klasa średnia, siadając do obiadu, często musiała zadowolić się ziemniakami z kapustą.

Później nastąpiło załamanie systemu sowieckiego i jego gospodarki. Pamiętam jak wędrowaliśmy po wyludnionych supermarketach moskiewskich w 1991 r. i widzieliśmy tam jedynie puste półki. Do dziś mam przed oczami kilka słoików szarawego, kluchowatego makaronu, jaki można tam było wówczas nabyć. I przemarznięte na kość staruszki stojące na schodach urzędów

publicznych, usiłujące sprzedać długopis lub rękawicę do trzymania gorącego garnka - czyli wszystko, co posiadały.

Całkowitej zagładzie uległ nie tylko sowiecki model gospodarczy, znikł także sam ład społeczny, od którego zależała gospodarka, a wraz z nim wszelkie tęsknoty do zsynchronizowanej wydajności. Nikt nie miał zielonego pojęcia, kiedy, jeśli w ogóle, dotrą obiecane produkty. Zamiast na zasadzie punktualności dostaw, rosyjskie przedsiębiorstwa działały wedle zasady gwarantowanej niepunktualności. Podczas jednej z naszych podróży nie pozwolono nam polecieć z Kijowa do Moskwy zgodnie z rozkładem lotów i zmuszono do podróży nocnym pociągiem, ponieważ nikt nie miał pewności, czy dotrze na czas paliwo lotnicze.

Ludzie marzyli o jakiegokolwiek pracy, o przewidywalności, o kimś - jak to niegdyś ujął włoski dyktator Benito Mussolini - "kto sprawi, że pociągi będą jeździły punktualnie". Licząc, że dokona tego prezydent, Rosjanie wybrali Władimira Putina.

Spółczeństwu potrzeba jednakże czegoś więcej niż tylko pociągów kursujących zgodnie z rozkładem jazdy. Potrzeba mu instytucji, które działają punktualnie. Co dzieje się wówczas, gdy firmy działają z tak ogromną szybkością, że inne instytucje społeczne wloką się daleko w ogonie?

WEDLE RADARU

Naukowo na to pytanie nie odpowie nikt. Brak danych. A jednak obserwowanie tego, co dzieje się w kluczowych instytucjach amerykańskich, może być inspirujące. Bo przecież to właśnie tam, przynajmniej na razie, wyścig do gospodarki XXI wieku jest najbardziej zaawansowany.

Dzięki takiej obserwacji można stworzyć pierwszy szkic, czysto spekulacyjny i bez wątpienia dyskusyjny, ale na pewno pomocny nie tylko liderom biznesu i politykom rządowym, ale nam wszystkim, którzy chcemy radzić sobie z błyskawicznymi zmianami. A skoro posługujemy się przykładem Stanów Zjednoczonych, wnioski płynące z tej analizy mają znaczenie międzynarodowe.

A zatem skoncentrujmy się na tempie dokonujących się zmian. Na początek wyobraźmy sobie autostradę. Na poboczu, na zaparkowanym motocyklu przysiadł policjant i ręcznym radarem celuje w nadjeżdżające pojazdy. Autostradą pędzi dziewięć samochodów, z których każdy symbolizuje którąś z najważniejszych instytucji w Ameryce. Każdy samochód podróżuje z prędkością odzwierciedlającą faktyczne tempo zmian w swojej instytucji.

Zacznijmy od najszybszego pojazdu na naszej drodze.

LIDERZY I HAMULCOWI

Sto mil na godzinę: z taką prędkością mknie po naszej wymagowanej drodze samochód reprezentujący najszybciej zmieniającą się instytucję w dzisiejszej Ameryce - firmę lub biznes. W istocie jest też motorem wielu nurtów transformacji dokonujących się w pozostałej części społeczeństwa. Firmy nie tylko same szybko się poruszają, ale zmuszają też swoich dostawców i dystrybutorów do dokonywania równoległych zmian, zgodnie z wymogami silnej konkurencji.

W rezultacie firmy na wyścigi zmieniają swą misję, funkcje, aktywa, produkty, rozmiary, technologię, siłę roboczą, relacje z klientami, kulturę organizacyjną i niemal wszystko inne. Każdy z tych obszarów zmienia się w różnym tempie.

W świecie biznesu technologia pędzi do przodu - często o wiele za szybko jak na możliwości menedżerów i pracowników. Z zawrotną prędkością dokonują się też przeobrażenia w świecie finansów, ale nie tyle w odpowiedzi na nowe technologie, co raczej na kolejne skandale, nowe przepisy, dywersyfikujące się rynki, finansową lotność. W tym samym czasie rachunkowość i inne systemy z całych sił starają się nadążyć.

Dziewięćdziesiąt mil na godzinę: tuż za biznesem pędzi inny samochód, a skład grupy jego pasażerów może was zaskoczyć, podobnie jak zaskoczył nas. Doszliśmy do wniosku, że instytucją numer dwa jest kolektywnie rozumiane społeczeństwo obywatelskie - stłoczone niczym cyrk w drugim z kolei samochodzie.

Spółeczeństwo obywatelskie to swego rodzaju cieplarnia tętniąca tysiącami pączkujących i zmieniających się autentycznie oddolnych organizacji pozarządowych (NGO's) - koalicji probiznesowych i antybiznesowych, grup zawodowych, federacji sportowych, zakonów katolickich i zgromadzeń buddyjskich mniszek, stowarzyszeń wytwórców plastyku i aktywistów walczących z plastikiem, związków wyznaniowych, koalicji antyopodatkowych, obrońców wielorybów i wszystkich innych organizacji wszelakiej maści.

Większość tego typu grup żyje z żądania zmian - w środowisku, regulacjach rządowych, wydatkach na obronę narodową, lokalnych planach zagospodarowania przestrzennego, finansowaniu badań medycznych w związku z taką czy inną chorobą, standardach żywieniowych, prawach człowieka i tysiącu innych spraw. Ale są też tacy, którzy do ostatniej kropli krwi walczą ze zmianami i gotowi są uczynić wszystko, by do nich nie dopuścić albo przynajmniej je spowolnić.

Obrońcy środowiska naturalnego wytaczając procesy sądowe, organizując pikety i odwołując się do innych sposobów spowolnili budowę elektrowni jądrowych w Stanach Zjednoczonych, tak bardzo opóźniając inwestycje, że koszty prawne wzrosły do pułapu, powyżej którego niejedno przedsięwzięcie mogłoby się okazać nieopłacalne. Bez względu na to czy zgadzamy się z ruchem antyjądrowym, czy nie - musimy przyznać, że umiejętne posługiwanie się czasem i właściwy wybór czasu działania może być skuteczną bronią ekonomiczną.

Ponieważ siłą napędową ruchów organizacji pozarządowych często bywają niewielkie, szybkie i elastyczne grupy działające w sieciach, potrafią one skutecznie otoczyć gigantyczne korporacje i instytucje rządowe. Ogólnie rzecz biorąc, możemy zaryzykować twierdzenie, że żadna z pozostałych najważniejszych instytucji w społeczeństwie amerykańskim nawet nie zbliża się do prędkości zmian, jaką radar naszego policjanta zarejestrował w tych dwóch sektorach: biznesie i społeczeństwie obywatelskim.

Sześćdziesiąt mil na godzinę: trzeci samochód też zaskakuje nas zestawem swych pasażerów. Samochodem tym podróżuje rodzina amerykańska.

Od tysięcy lat typowe gospodarstwo domowe w większości krajów świata było liczne i wielopokoleniowe. Znaczne zmiany zaczęły się dokonywać dopiero wraz z uprzemysłowieniem i urbanizacją. Rodziny znacznie się wówczas skurczyły i dominującym modelem stała się podstawowa komórka rodzinna (rodzina nuklearna), bardziej odpowiadająca warunkom przemysłowym i miejskim.

Jeszcze w połowie lat sześćdziesiątych XX wieku eksperci utrzymywali, że rodzina nuklearna - oficjalnie definiowana jako pracujący ojciec, zajmująca się domem matka oraz dwoje dzieci poniżej 18 roku życia - nigdy nie utraci swej dominującej pozycji. A dziś do tego opisu pasuje mniej niż 25 proc. amerykańskich domów.

Samotni rodzice, pary żyjące bez ślubu, pary pobierające się po raz drugi, trzeci (czy kolejny) posiadające dzieci z poprzednich związków, małżeństwa starszków, a także niedawno zalegalizowane związki (jeśli nie - małżeństwa) homoseksualistów - wszystkie te formy związków pojawiły się lub upubliczniły. W ciągu zaledwie kilkudziesięciu lat system rodzinny - do niedawna należący do najpowolniej zmieniających się instytucji społecznych - całkowicie się przeobraził. A na horyzoncie już widać kolejną, gwałtowną zmianę.

Podczas długich tysiącleci dominacji rolnictwa rodzina pełniła wiele istotnych funkcji. Stanowiła brygadę produkcyjną na polu lub w obejściu. Prowadziła edukację swych dzieci, doglądała chorych i opiekowała się starcami.

Jednak z biegiem wieków, w miarę postępów industrializacji, praca przeniosła się z pola do fabryki. Edukację powierzono szkołom. Odpowiedzialność za opiekę zdrowotną przejął lekarz lub szpital. Opieka nad starszymi stała się obowiązkiem państwa.

Dziś, w miarę jak firmy pozbywają się wielu swych funkcji - przejmuje je amerykańska rodzina. Dla dziesiątek milionów Amerykanów praca powróciła do domu w pełnym lub niepełnym wymiarze. Ta sama rewolucja komputerowa, która ułatwia pracę w domu, przenosi też do domu zakupy, inwestowanie, handel akcjami i wiele innych funkcji.

Edukacja zdaje się wciąż przywilejem szkół, ale podobnie jak praca, być może powróci, przynajmniej częściowo, do domu i innych miejsc wraz z dalszym upowszechnianiem się dostępu do Internetu, sieci łączności bezprzewodowej i telefonii komórkowej. Istnieją coraz większe szanse również i na to, że opieka nad osobami starszymi powróci do domów wraz z rozwojem państwowego systemu zabezpieczeń i prywatnych polis emerytalnych, które mają ograniczyć wysokie koszty funkcjonowania domów opieki i hospitalizacji.

Szybko zmienia się też sam format rodziny, częstotliwość rozwodów, aktywność seksualna, relacje międzypokoleniowe, wzorce relacji emocjonalnych i wychowania dzieci.

Trzydzieści mil na godzinę: jeśli firmy i organizacje pozarządowe, a także organizacja rodziny zmieniają się w szybkim tempie, co dzieje się ze związkami zawodowymi?

Przez ostatnie półwiecze Stany Zjednoczone coraz bardziej oddalają się od pracy mięśni i w coraz większym stopniu zajmują się pracą umysłową, odchodząc od umiejętności łatwo zastępowalnych do niezastępowalnych, od mechanicznych, powtarzalnych zadań do projektów

innowacyjnych. Praca nabiera coraz bardziej mobilnego charakteru, wykonywana bywa na pokładach samolotów, w samochodach, hotelach i restauracjach. Zamiast przez lata trwać w jednym miejscu pracy i współpracować z tym samym zespołem, wiele osób przenosi się z jednego zespołu projektowego do innej grupy zadaniowej czy grupy roboczej, nieustannie tracąc i zyskując nowych współpracowników. Coraz częściej spotykamy "wolnych strzelców" na kontrakcie, zamiast pracowników jako takich. Jednak podczas gdy amerykańskie firmy zmieniają się z szybkością stu mil na godzinę, amerykańskie związki zawodowe zdają się tkwić w bezruchu, obarczone dziedzictwem organizacji, metod i modeli, których początki sięgają lat trzydziestych XX wieku i epoki produkcji masowej.

W roku 1955 związki zawodowe skupiały 33 proc. całkowitej siły roboczej. Dzisiaj ich liczebność spadła do 12,5 proc.

Rozpowszechnienie organizacji pozarządowych (NGO's) odzwierciedla gwałtowne rozdrobnienie interesów i stylów życia w Ameryce, która dziś w przeważającej części przeżywa Trzecią Falę. Równoległy spadek popularności związków zawodowych odzwierciedla zmierzch masowego społeczeństwa Drugiej Fali. Związki zawodowe odgrywają dziś zaledwie marginalną rolę, ale warunkiem przetrwania jest dla nich nowa mapa drogowa i nowy samochód.

KIEDY SŁONIE OBSTAJĄ PRZY SWOIM

Dwadzieścia pięć mil na godzinę - na prawym pasie wloką się: zbiurokratyzowana administracja państwowa i urzędy regulacyjne.

Wielopiętrowa biurokracja, posiadłszy umiejętność uchylania się od krytyki i opóźniania zmian, niekiedy nawet o dziesięciolecia, na całym świecie załatwia codzienne sprawy rządowe. Politycy doskonale sobie zdają sprawę z tego, że o wiele łatwiej jest utworzyć nowy urząd niż zlikwidować stary, bez względu na to, jak bardzo zbędne czy bezcelowe byłoby jego istnienie. Urzędy nie tylko same zmieniają się powolnie, ale spowalniają także tempo, w jakim firmy są w stanie reagować na szybko zmieniające się warunki rynkowe.

Typowym przykładem jest koszmarnie długi czas, jakiego Amerykański Urząd ds. Żywności i Leków (U.S. Food and Drug Administration) potrzebuje na przetestowanie i zatwierdzenie nowych leków, mimo że czekają na nie cierpiące ofiary chorób. Czasami, niestety, umierają. Instytucje rządowe podejmują decyzje tak ospale, że zazwyczaj uzyskanie zezwolenia na budowę nowego pasa startowego na lotnisku trwa nawet i dziesięć lat lub dłużej. Siedem lat na zatwierdzenie projektu autostrady, to zazwyczaj zbyt mało!

Dziesięć mil na godzinę: nawet urzędasy, kiedy zerkną do lusterka wstecznego, mogą w nim zobaczyć wlokący się w ognie samochód. Toczy się na oponach pozbawionych powietrza, z chłodnicy buchają kłęby pary, a co gorsza - opóźnia jazdę wszystkich samochodów pozostających z tyłu. Czy to możliwe, żeby za 400 miliardów dolarów utrzymywać taki wrak? Odpowiedź brzmi: tak! I to rokrocznie! Oto bowiem po autostradzie wlecze się amerykański system szkolnictwa.

Zaprojektowane w epoce masowej produkcji, zarządzane niczym zwyczajne fabryki, pozostające pod ochroną wszechwładnych związków zawodowych i polityków uzależnionych od głosów nauczycieli-wyborców - amerykańskie szkoły są wiernym odbiciem gospodarki początku XX wieku. Najlepsze, co można o nich powiedzieć, to to, że bynajmniej nie są gorsze od szkół w większości innych państw świata.

Podczas gdy w biznesie siłą napędową zmian jest rozpędzona konkurencja, system szkół publicznych stanowi swego rodzaju chroniony monopol. Rodzice, innowacyjni nauczyciele i media głośno domagają się zmian. A jednak, mimo wzrastającej liczby eksperymentów edukacyjnych, trzonem amerykańskiej edukacji publicznej wciąż jest szkoła w stylu fabrycznym, zaprojektowana z myślą o epoce przemysłowej.

Czy system edukacji posuwający się z prędkością dziesięciu mil na godzinę jest w stanie przygotować studentów do pracy w firmach mknących setką na godzinę?

Pięć mil na godzinę: nie wszystkie niewydolne instytucje wywierające wpływ na gospodarkę mają charakter ogólnokrajowy. Gospodarka każdego państwa świata podlega, bezpośrednio lub pośrednio, organizacjom globalnym - zbiorowi organizacji międzyrządowych (intergovernmental organizations; IGO's), takich jak Organizacja Narodów Zjednoczonych, Międzynarodowy Fundusz Walutowy (IMF), Światowa Organizacja Handlu (WTO) i mgławica mniej widocznych instytucji ustalających zasady działalności transgranicznej.

Niektóre z nich, jak na przykład Universal Postal Union (Międzynarodowa Organizacja Pocztowa), mają dziś ponad sto lat. Inne powstały jakieś siedemdziesiąt pięć lat temu, w epoce Ligi Narodów. Większość pozostałych, jak np. WTO oraz World Intellectual Property Organization (Światowa Organizacja Własności Intelektualnej), to wyjątki - powstały bowiem po II wojnie światowej, ponad pół wieku temu!

Dzisiaj nowe siły rzucają wyzwanie suwerenności narodów. Na arenie międzynarodowej pojawiają się nowi gracze i nowe problemy, ale biurokratyczne struktury i praktyki organizacji międzyrządowych w zasadzie nie zmieniają się.

Kiedy 184 przedstawiciele państw członkowskich Międzynarodowego Funduszu Walutowego wybierało niedawno nowego dyrektora, Stany Zjednoczone i Niemcy wdały się w gwałtowny spór dotyczący kandydatury. Ostatecznie wybrano kandydata Niemiec, ponieważ, jak doniósł "The New York Times", prezydent Clinton i jego sekretarz skarbu, Larry Summers, doszli do wniosku, że "nie mogą gwałcić 50-letniej zasady, wedle której stanowisko to obsadzane jest kandydatem z Europy."

Trzy mile na godzinę: Jeszcze wolniej zmieniają się struktury polityczne w zamożnych krajach świata. Amerykańskie instytucje polityczne, od Kongresu poprzez Biały Dom po same partie polityczne, bombardowane są żądaniami coraz większej rzeszy różnych grup oczekujących szybszych reakcji ze strony systemu skonstruowanego z myślą o niespiesznych debatach i biurokratycznej indolencji. Connie Mack, czołowy wówczas senator amerykański, zwierzył się nam niegdyś:

W Kongresie nigdy nie mamy więcej niż dwie i pół minuty spokoju. Nie ma czasu, by się zatrzymać i przemyśleć cokolwiek, że nie wspomnę o niczym, co w jakimkolwiek stopniu przypominałoby intelektualny dyskurs...

Dwie trzecie naszego czasu musimy poświęcać na public relations, prowadzenie kampanii lub zdobywanie funduszy na kampanię. Jestem w jednej komisji, w grupie zadaniowej, w grupie roboczej i diabli wiedzą w czym jeszcze. Czy sądzicie, że mam jakiekolwiek szanse na to, by na jakiś temat wiedzieć wystarczająco dużo, aby podjąć rozsądną decyzję w takiej czy innej sprawie, na której przecież powinienem się znać? To niemożliwe. Nie ma na to czasu. W rezultacie to mój zespół podejmuje coraz więcej decyzji.

Podziękowaliśmy mu za szczerość. A potem zapytaliśmy: "A kto konkretnie wybrał twój zespół?"

System polityczny nigdy nie miał zajmować się wysoce skomplikowaną i błyskawicznie działającą gospodarką intelektualną (czyli opartą na wiedzy). Partie i wybory przychodzą i odchodzą. Powstają nowe metody prowadzenia kampanii i zdobywania na nie funduszy, ale w Stanach Zjednoczonych, gdzie gospodarka intelektualna jest najbardziej zaawansowana, a Internet umożliwia niemal błyskawiczne tworzenie nowych ciał politycznych, bardziej zasadnicze zmiany polityczne dokonują się tak wolno, że są niemal niezauważalne.

Doniosłego znaczenia stabilności politycznej dla gospodarki i społeczeństwa nie trzeba uzasadniać. Czym innym jednak jest bezruch. Liczący dwa stulecia system polityczny USA zreformował się zasadniczo po wojnie secesyjnej (1861-1865) i, powtórnie, w latach trzydziestych XX wieku, po Wielkim Kryzysie, kiedy to pełniej dostosowano go do wyzwań epoki industrialnej.

Od tego czasu administracja na pewno powiększyła się. Jednakże jeśli chodzi o podstawową reformę instytucjonalną, struktury polityczne USA nadal będą wlokły się z szybkością trzech mil na godzinę, często zatrzymując na przydrożnych parkingach, dopóki nie przytrafi się nam kryzys konstytucyjny. A może przytrafić się szybciej, niżby się tego można spodziewać. Byliśmy o włos od takiego kryzysu w trakcie wyborów w roku 2000, kiedy to prezydent Stanów Zjednoczonych został wybrany praktycznie większością jednego głosu w Sądzie Najwyższym.

Wreszcie mila na godzinę: oto najbardziej powolna z najwolniejszych naszych instytucji - prawo. Prawo składa się z dwóch części: organizacyjnej, a więc sądów, samorządów prawniczych, uczelni prawniczych i kancelarii, oraz z części merytorycznej, którą stanowi materia prawna interpretowana i broniona przez te instytucje.

Wprowadzie kancelarie prawne w USA zmieniają się szybko - łącząc się z sobą, reklamując się, kreując nowe specjalizacje, jak np. ochronę dóbr intelektualnych, organizując telekonferencje, globalizując się i ze wszech miar starając dostosować do nowych realiów wszechobecnej konkurencji, amerykańskie sądownictwo oraz wydziały prawnicze uczelni wyższych pozostają w zasadzie niezmienione. A tempo, w jakim działa cały system prawny, nadal można określić jako żółwie: niezliczone, ważne sprawy ciągną się w sądach przez długie lata.

W czasie sztandarowego postępowania antytrustowego przeciwko Microsoftowi powszechnie mówiło się, że rząd amerykański może podjąć próbę rozbicia firmy na mniejsze części. Taki proces

trwałby przez długie lata, a do tego czasu postęp technologiczny sprawiłby, że cała sprawa straciłaby jakikolwiek sens. Kronikarz Krzemowej Doliny Robert X. Cringley pisał wówczas, że było to zderzenie "superszybkiego czasu Internetu" z "czasem sądowym".

Powiada się, że materia prawna jest żywą tkanką, ale właściwie - ledwo żywą. Zmienia się codziennie, bo Kongres ustanawia nowe przepisy, a sądy dopisują nowe interpretacje do istniejących przepisów. Dodatki te stanowią jednak minimalny, wręcz znikomy odsetek całości stosowanego prawa. Nadymają one więc tylko ogólny wolumen istniejących przepisów, jednak nie dekodyfikują go w zauważalnym stopniu ani nie przebudowują całego systemu prawnego.

Prawo, oczywiście, p o w i n n o zmieniać się powoli. Zapewnia wymaganą dozę przewidywalności w życiu społecznym i gospodarczym, uruchamiając hamulce w czasach nadmiernie gwałtownych przemian społecznych i ekonomicznych. Ale co to znaczy powoli?

Do roku 2000, na podstawie przepisów prawa ograniczono świadczenia wypłacane beneficjentom systemu ubezpieczeń społecznych w USA (U.S. Social Security) w wieku od sześćdziesięciu pięciu do sześćdziesięciu dziewięciu lat o jednego dolara na każde trzy zarobione, jeśliby podjęli pracę i otrzymali wynagrodzenie powyżej pewnej kwoty. Przepisy te, napisane w okresie znacznego bezrobocia, miały w zamyśle zniechęcić starszych wiekiem obywateli do dorabiania sobie do emerytury, aby nie odbierali miejsc pracy młodym. Prawo to pozostało niezmienione przez ponad siedemdziesiąt lat, co skłoniło dwutygodnik "Forbes" do zamieszczenia humorystycznego tytułu: *Z ostatniej chwili! Wielki Kryzys zakończony*.

Kongres USA, zakończywszy trwające całe dziesięciolecie debaty, także przepisał dwa spośród fundamentalnych przepisów prawa zarządzających gospodarką intelektualną. Aż do 1996 roku jedna z najszybciej zmieniających się branż świata - telekomunikacja - podlegała regulacjom sprzed sześćdziesięciu lat, obowiązującym od 1934 roku. Podobnie ustawa tzw. Glass-Steagal Act, regulująca działalność sektora bankowego w USA, także nie była rewidowana przez sześćdziesiąt lat. Podstawowy zrąb przepisów odnoszących się do emisji akcji i innych papierów wartościowych w Stanach Zjednoczonych powstał w 1933 roku.

Tymczasem dziś działa w USA ponad 8,3 tys. funduszy wzajemnego inwestowania (mutual funds) skupiających blisko 250 milionów rachunków inwestycyjnych i aktywa o wartości prawie 7 bilionów dolarów. I okazuje się, że te gigantyczne inwestycje wciąż podlegają przepisom ułożonym w 1940 roku, kiedy to działało niespełna 300 tys. rachunków inwestycyjnych, zarządzanych w zaledwie 68 funduszach o wartości aktywów rzędu 1/146 000 dzisiejszej wartości tych inwestycji.

W jeszcze innej dziedzinie, kiedy w 2003 roku północny wschód Ameryki spowiły ciemności, jakżeż bezsilni musieli czuć się technicy usiłujący przywrócić elektryczność, skoro - wedle słów Thomasa Homera-Dixona z Toronto University - zmuszeni byli stosować się do "zasad ustalonych kilkadziesiąt lat wcześniej, kiedy większość energii generowano relatywnie blisko konsumenta".

Kluczowe przepisy prawa bezpośrednio wpływające na rozwiniętą gospodarkę w takich dziedzinach, jak prawa autorskie, prawo patentowe i ochrona prywatności, są dziś beznadziejnie

anachroniczne. Gospodarka intelektualna powstała nie tyle d z i ę k i, co raczej mimo tych przepisów. Nie jest to ani stabilność, ani nieruchawość. Są to prawne symptomy zgonu.

Prawnicy mogą zmieniać sposób, w jaki pracują. Ale przepisy prawie się nie poruszają.

INERCJA KONTRA SUPERSZYBKOŚĆ

Kiedy patrzymy na te instytucje i obserwujemy ich interakcje, staje się jasne, że Ameryka staje dziś w obliczu nie tyle gwałtownego przyśpieszenia przemian, ile raczej znacznego rozdźwięku pomiędzy wymaganiami szybko rosnącej nowej gospodarki a pogrążoną w inercji instytucjonalną strukturą starego społeczeństwa.

Czy superszybka, info-biologiczna gospodarka XXI wieku może kontynuować swój rozwój? Czy powolne, kulejące i zbędne instytucje społeczne nie powstrzymają tego procesu?

Biurokracja, zakorkowane sądy, krótkowzroczność legislacyjna, regulacyjny klinch i patologia procesu podejmowania decyzji, polegająca na pozorowaniu zmian, nie powinny ale jednak - zbierają swe żniwo. Z jakąś stratą, jak się wydaje, będziemy musieli się pogodzić.

Niewiele problemów wydaje się bardziej złożonych niż coraz większa systemowa niewydolność tak wielu powiązanych z sobą, ale zdesynchronizowanych instytucji. Jeśli Amerykanie chcą osiągnąć wielkie korzyści z racji zajmowania pozycji gospodarczego lidera świata, będą musieli wyplenić, usunąć lub radykalnie zrestrukturyzować anachroniczne instytucje stojące im na drodze.

Wraz z dalszym przyśpieszeniem zmian kryzys instytucjonalny nie ograniczy się wyłącznie do Stanów Zjednoczonych. Każdy kraj funkcjonujący w ramach gospodarki intelektualnej XXI wieku, włącznie z Chinami, Indiami, Japonią i krajami Unii Europejskiej, będzie musiał wynaleźć instytucje nowego typu i odszukać równowagę pomiędzy synchronizacją i desynchronizacją. W niektórych krajach może się to wydać zadaniem trudniejszym niż w Stanach Zjednoczonych, których kultura, na szczęście, zawsze rozpieszczała naprawiaczy świata.

Tak czy inaczej: oczywiście można kwestionować nasz częściowo żartobliwy ranking szybkości samochodów, ale na pewno nie można wątpić w to, że ogólnie rzecz biorąc - na poziomie rodzin, firm, branż, gospodarek narodowych i całego systemu globalnego - przeżywamy dziś jedną z najgłębszych transformacji w dziejach, jeśli chodzi o związek pomiędzy wytwarzaniem bogactwa i głębokim fundamentem, jakim jest czas.

Rozdział 6

Branża synchronizacyjna

Nieemożność osiągnięcia doskonałej synchronizacji najbardziej żalosna jest chyba w sypialni - aczkolwiek niewiele mniej żenująca jest sytuacja, w której amerykański Bank Rezerw Federalnych czy też bank centralny Japonii obniżają lub podwyższają w niewłaściwym czasie stopy procentowe! Odpowiednie wycucie czasu, co potwierdzi również każdy chyba komik, przesądza o wszystkim! A my właśnie, w większości mimowolnie, zmieniamy nasze związki z czasem. I to wcale nie na żarty.

O ile inwestorzy i ekonomiści są bardzo zainteresowani precyzyjnym wyborem czasu w finansach, o tyle aż dziw bierze, jak mało wiedzą o roli synchronizacji (a jeszcze mniej o desynchronizacji) - w tworzeniu bogactwa i ubóstwa. A przecież zrozumienie tych dwóch czynników może zaowocować całkowicie nowym sposobem myślenia o tworzeniu bogactwa.

TANECZNYM KROKIEM KO WYDAJNOŚCI

Pewien stopień synchronizacji był potrzebny od chwili, gdy myśliwi i zbieracze zaczęli pracować w grupach. Historyk William McNeill dowodzi, że synchronię promowały w dziejach właśnie zbiorowe czynności o charakterze rytmicznym. Synchronia zaś z kolei poprawiała wydajność w gospodarce. Taniec plemienny, jak wykazuje McNeill, wzmacniał ducha pracy zespołowej i zwiększał skuteczność polowań. Od tysięcy lat rybacy śpiewają unisono ciągnąc sieci, a rytm muzyki wskazuje im, kiedy mają ciągnąć, a kiedy wziąć oddech.

Gospodarki rolne także odzwierciedlały zmiany związane z porami roku. Wedle antropologa Johna Omohundro, który opisał filipińską wyspę Panay, "w czasie pory suchej (...) oraz deszczowej (...) chińscy biznesmeni przeżywają najpowolniejsze okresy. Wszystkie aspekty systemu dystrybucji spowalniają. We wrześniu lub październiku zbiory ryżu docierają do miast (...). Ponieważ bogactwo prowincji regulowane jest cyklami rolnymi, miejska działalność biznesowa wznosi się i opada w zgodzie z tymi cyklami".

Antropolog gospodarczy Willem Wolters dodaje: "Czysto lokalne banki nigdy nie były zdolne do działania w pólsuchych tropikach ze względu na sezonowość i synchronizację".

Pierwsze gospodarki przemysłowe działały w całkowicie odmiennych warunkach czasowych. Praca przy taśmie montażowej wymagała innego rytmu. Tak więc wynaleziono syrenę fabryczną i zegar, by koordynować harmonogram pracy.

W przeciwieństwie do tych warunków, dzisiaj, o czym się przekonamy, działalność biznesowa dokonuje się niemal w czasie rzeczywistym. W dodatku posługiwanie się czasem nabiera w coraz większym stopniu charakteru osobistego, nieregularnego, jeśli nie - wręcz nieobliczalnego. Trzeba zintegrować więcej odmiennych zadań, a efekt przyśpieszenia znacznie skraca czas dostępny na wykonanie każdego z tych zadań. Z tego powodu coraz trudniej osiągnąć synchronizację. A to dopiero początek.

Jeśli spojrzeć głębiej, można się przekonać, że każda gospodarka pulsuje i wibruje wedle niedostrzegalnych rytmów. Możemy codziennie kupować gazetę, raz na tydzień zaopatrywać się w mleko czy mydło w supermarkecie, tankować benzynę do samochodu raz na mniej więcej dziesięć dni, podejmować gotówkę z banku raz na dwa tygodnie i raz na miesiąc pokrywać wydatki dokonane za pomocą karty kredytowej. Do maklera dzwoniemy zapewne sporadycznie, zależnie od sytuacji na giełdzie, książkę lub bilet do kina kupujemy wedle widzimisię kilkakrotnie w ciągu roku, podatki płacimy raz na rok lub raz na kwartał, chodzimy do dentysty, kiedy nas zaboli ząb, a w czerwcu, na ślub kogoś z rodziny, kupujemy prezent. Te i niezliczone inne transakcje wytwarzają rytmy, które przepływają przez banki, rynki i życie innych ludzi.

Wraz z pierwszym kłapsem, który dostaliśmy w dzieciństwie, każdy z nas stał się częścią tej nie milknącej muzyki gospodarki. Nawet nasze biorytmy podlegają wpływom (i same nań oddziałują) tego cudownie złożonego, współbrzmiącego procesu, który pulsuje wokół nas. Pulsuje - dodajmy - gdy ludzie pracują tworząc rzeczy, zapewniając usługi, zarządzając innymi ludźmi, opiekując się sobą nawzajem, finansując firmy czy przetwarzając dane i informacje w coś, co nazywamy wiedzą.

W każdym momencie, niektóre prędkości wzrastają, inne zmniejszają się. Wpadają nam w ucho nowe melodie i harmonie, inne nieco milkną. Słyszymy chóry, kontrapunkty i crescendo. A za nimi, w całym społeczeństwie i gospodarce, tętni uogólniony puls życia, który sam stanowi średnią wszystkich, jak gdyby podporządkowanych mu, prędkości składowych. Ta "ekonomiczna muzyka" nigdy się nie kończy.

Wynikiem tego nieustającego koncertu nie jest jednak kakofoniczny chaos, ponieważ w ramach każdego systemu bogactwa rozmaite komponenty i podsystemy nieustannie dostosowują do siebie nawzajem swe prędkości, fazy i częstotliwości. W biologii proces ten określa się mianem "entrainment" (w Polsce wymiennie stosuje się tu takie terminy, jak "rezonans," "pobudzenie" i "synchronizacja" - przyp. tłum.)

Okazuje się, że neurony nie działają w osamotnieniu. Tworzą czasowe zespoły - podobnie zresztą jak coraz częściej czynią dziś firmy. Jak ujęło to czasopismo "Science": "Neurony często dotrzymują kroku sobie nawzajem, tworząc zespoły grające jak gdyby tę samą melodię, "strzelając" impulsami synchronicznie przez krótkie okresy, do czasu gdy jeden z nich nie wyłamie się, prawdopodobnie po to, by przyłączyć się do innego zespołu".

Co więcej, strzelanie zsynchronizowane najwyraźniej ułatwia neuronom "wspólne przetwarzanie", na wyższych poziomach systemu. Obserwowany dziś rozpad monolitycznych korporacji na zbiory krótkotrwałych zespołów projektowych, sojuszy, partnerstw i joint ventures odpowiada tym efemerycznym "zespołom" w systemie nerwowym.

NIGDY WIĘCEJ ZIMNYCH JAJEK

W świecie doskonale zgranym czasowo przyjaciele nigdy by się nie spóźniali, jajka podawane na śniadanie nie zdążyłyby wystygnać, a dzieci zawsze wracałyby do domu zgodnie z umową. Co więcej, zapasy zostałyby ograniczone do zera, eliminując rozmaite koszty, takie jak

przechowywanie, utrzymywanie, zarządzanie i magazynowanie. Ale najlepsze w takim świecie byłoby to, że zebrania zawsze zaczynałyby się i kończyły punktualnie.

Ale cóż by to za gospodarka powstała w takim świecie?

W ekonomii funkcjonuje termin "zrównoważony wzrost," którym ekonomiści posługują się dość dowolnie w odniesieniu do wielu rzeczy. Jedni uważają, że "zrównoważony wzrost" to taki, w którym pod uwagę bierze się czynniki ekologiczne. Dla innych równoznaczny jest z uwzględnieniem transportu lub jakiegokolwiek, dowolnie wybranego czynnika w definicji "wzrostu". Może oznaczać wzrost, jaki pojawia się, kiedy nakłady kapitałowe i praca (skorygowana o wydajność) wzrastają w tym samym tempie. Albo też może implikować równy nacisk na rolnictwo i przemysł w polityce rozwoju.

W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX wieku szkoła ekonomistów wyznających "zrównoważony wzrost" utrzymywała, że najlepszą drogą rozwoju gospodarki byłby wzrost wszystkich sektorów w tym samym tempie, przy utrzymywaniu stałych relacji między wszystkimi nakładami i osiąganymi wynikami. Był to, w istocie, wyraz tęsknoty za doskonale zsynchronizowanym rozwojem - przekonaniem, że drogą do coraz większego bogactwa jest coraz większa synchronizacja. Świat jednak nie jest taki prosty.

Teoretycy ci pominęli pewien istotny aspekt tego zagadnienia. Otóż doskonała synchronizacja utrzymująca kluczowe zmienne w stałych relacjach usztywnia każdy system, zwiększa jego inercję i opóźnia innowacje. Tworzy sytuację "wszystko albo nic," w której trzeba zmienić wszystko jednocześnie lub nie zmieniać nic w ogóle. A zmienianie wszystkiego jednocześnie - i to właśnie "na sztywno" - jest wyjątkowo trudne.

Ekonomista Joseph Schumpeter wykazał, że - w przeciwieństwie do takiej sytuacji - rozwój gospodarczy wymaga także "ducha kreatywnej destrukcji": powiewu zmian, który unicestwia stare, zacofane technologie i branże, by zwolnić miejsce dla nowych i przełomowych. A pierwszą rzeczą, którą niszczy kreatywna destrukcja, jest dotychczasowy harmonogram.

Każda firma, każdy system finansowy i każda gospodarka narodowa potrzebują zatem zarówno synchronizacji, jak i pewnej dozy desynchronizacji. Niestety, obecnie nie dysponujemy ani danymi, ani miarami, które pomogłyby nam dowiedzieć się, kiedy zbliżamy się do granic jednej czy drugiej. To, co moglibyśmy nazwać "chronoekonomią" (dziedzina wiedzy badająca rolę czasu w gospodarce), jest dziś w najlepszym razie na bardzo prymitywnym stadium rozwoju.

KONIEC Z IMPROWIZACJĄ NA OSTATNIĄ CHWILĘ

Nie ma dziś wątpliwości, że koordynacja w czasie jest bardzo skomplikowana i ważna, ponieważ pojawiła się wokół nas wielka, rozwijająca się branża synchronizacji. Branża ta przeżyła trzy "wielkie skoki naprzód" - między latami osiemdziesiątymi XX w. a początkiem obecnego stulecia. Dzisiaj jest już gigantyczna, a jutro będzie jeszcze większa.

W roku 1985, kiedy Institute of Industrial Engineers (Instytut Inżynierii Przemysłowej) opublikował książkę zatytułowaną *Innovations in Management: The Japanese Corporation (Innowacje w*

zarządzaniu: japońska korporacja), termin *kanban* - co na Zachodzie zwykle się nazywa zasadą "just-in-time" lub JIT (a więc "dokładnie na czas ; ani za późno, ani za wcześniej) - ledwo został tam wspomniany. Przemysł wytwórczy w Stanach Zjednoczonych wciąż zdominowany był wówczas przez tzw. MRP, czyli Manufacturing Requirements Planning (planowanie wymagań produkcyjnych), a więc system oparty na ramach programowych wyznaczających wymagania fabryki w zakresie harmonogramu zasobów niezbędnych do prowadzenia działalności produkcyjnej.

Celem MRP było produkowanie części i produktów według z góry ustalonego harmonogramu. W przeciwieństwie do niego, system JIT, opracowany w Toyocie, umożliwiał zmianę harmonogramu zależnie od zmieniających się potrzeb klienta. Sprawił, że elastyczny czas nabrał charakteru praktycznego.

Do roku 1990, kiedy National Center for Manufacturing Science w USA (Krajowy Ośrodek Nauk Przemysłowych) opublikował raport *Competing in World-Class Manufacturing (Konkurowanie w Produkcji Światowej Klasy - WCM)*, JIT stał się już w Stanach niezwykle modnym terminem, bardzo popularnym w przemyśle.

Wkrótce konsultanci w dziedzinie zarządzania wskoczyli do pociągu zwanego JIT i przyspieszyli wdrożenie tego systemu. Stało się tak w IBM, Motoroli, Harley-Davidsonie i wielu innych firmach. Badanie 291 różnych zakładów przemysłowych w Stanach Zjednoczonych i 128 zakładów w trzydziestu innych krajach wykazało, że - jak podsumował to NCMS - "spośród wielu potencjalnych sposobów zwiększenia wydajności, jedynie te wypracowane na bazie JIT wykazały konsekwentną skuteczność w świetle danych statystycznych." JIT jednakże sprawił, że jeszcze bardziej ograniczamy tolerancję czasową. To zaś wymagało o wiele bardziej wymyślnej synchronizacji niż kiedykolwiek przedtem.

Kolejna faza przemian w biznesie zaczęła się wówczas, gdy konsultanci Jim Champy i Michael Hammer, w swej bijącej rekordy popularności książce *Reengineering the Corporation*, nakazali menadżerom "przebudowę" ich firm wówczas, gdy "główni konkurenci osiągają znacznie krótsze cykle rozwojowe", kiedy organizacja reaguje na sygnały rynkowe zbyt powolnie, kiedy zamówienia realizowane są z opóźnieniem lub kiedy praca coraz częściej przypomina "improvizację na ostatnią chwilę."

Na kolejnym etapie synchronizacja wskoczyła na wyższy bieg. Tym razem (w latach dziewięćdziesiątych i na początku XXI wieku) nie chodziło już o pojedynczego dostawcę: niezbędna była restrukturyzacja całego, długiego łańcucha dostaw. Nie tylko bezpośredni dostawcy komponentów musieli dostarczać je wtedy, gdy były potrzebne, ale tak samo musieli działać i poddostawcy, zmuszeni do przyspieszenia przerobu i ograniczania zapasów. Celem tej operacji było jeszcze większe zacieśnienie synchronizacji.

Gigantyczne firmy, takie jak Oracle, SAP, PeopleSoft i setki innych, sprzedających systemy planowania zasobów (ERP; enterprise resource planning) i oprogramowanie wspomagające, zawdzięczają swe istnienie w znacznej mierze rosnącemu popytowi na lepsze i ściślejsze zgranie czasowe w biznesie. Setki firm doradczych mocno zaangażowały się wówczas w dziedzinę

synchronizacji. Powiedzmy, że SAP czy Oracle sprzedawały oprogramowanie. Wówczas jednak informatycy - konsultanci proszeni byli o pomoc w jego wdrożeniu.

Anderson Consulting (obecnie Accenture), jedna z największych firm doradczych na świecie, zawdzięcza swój ogromny wzrost w dużej mierze nowym systemom synchronizacyjnym. Żeby posłużyć się słowami Davida L. Andersona, konsultanta firmy Accenture, i profesora Hau Lee ze Stanford University, "im większa synchronizacja, tym większa wartość dodana w działaniu całego łańcucha dostaw."

Ale branża synchronizacyjna ma jeszcze sporo do zrobienia - i może jeszcze znacznie urosnąć. Po pierwsze, wiele małych firm, które do tej pory nie dokonały restrukturyzacji swego łańcucha dostaw lub/i łańcucha tworzenia wartości, coraz bardziej będą zmuszone do takiego kroku. Po drugie, synchronizacja kanałów dostaw i dystrybucji to tylko jeden krok ku głębszej i bardziej kompleksowej integracji czasowej w przyszłości. Dzisiaj synchronizatorzy chcą czegoś więcej niż tylko sprzedać początkowe pakiety oprogramowania. Chcą także obsługiwać swych bezpośrednich klientów oraz ich dostawców, poddostawców dostawców i tak dalej, aż do ostatecznego użytkownika.

W istocie, może to się nawet któregoś dnia rozciągnąć jeszcze dalej, ponieważ coraz więcej produktów można oddawać producentom w celu recyklingu, jak już to ma miejsce z samochodami w Europie czy pojemnikami po atramencie od drukarek w Stanach Zjednoczonych. Wszystkie te zmiany zwielokrotniają się - warstwa po warstwie obejmując dostawców, dystrybutorów, firmy serwisowe i użytkowników, którym także potrzebna jest synchronizacja. Wreszcie, branża synchronizacyjna rozwinie się również dlatego, że rosnąca konkurencja wymaga kolejnych innowacji, z których każda także zmienia wymagania czasowe i wymaga resynchronizacji.

Okrytym paradoksem prawa desynchronizacji jest stwierdzenie, że im więcej synchronizacji wprowadzamy na jednym poziomie systemu, tym więcej desynchronizacji pojawia się na innym.

Rozdział 7

Gospodarka arytmiczna

Aż do niedawna bezrefleksyjny kult przyśpieszenia, rozniecany w Stanach Zjednoczonych przez licznych "guru" biznesu, sprawiał, że firmy wyznawały zasadę "Bądź pierwszy, bądź szybki, najpierw strzelaj, potem celuj!" Ta jakżeż prosta rada doprowadziła do powstania wielu niskiej jakości, nie przetestowanych odpowiednio produktów, rozgoryczonych konsumentów, niezadowolonych inwestorów, utraty koncentracji na strategicznych celach i znacznej rotacji na stanowiskach szefów firm. Ci, którzy formułowali tę radę, ignorowali problemy synchronizacji i desynchronizacji. Był to powierzchowny sposób radzenia sobie z głębokim fundamentem, jakim jest czas.

Nieodpowiednio dobrany czas może zaszkodzić poszczególnym firmom, a nawet je zniszczyć. Ale nie jest to wyłącznie problem pojedynczych przedsiębiorstw. Może też nadwerężyć relacje pomiędzy wieloma firmami. Co więcej, anegdotyczne dowody wskazują przynajmniej na to, że może on mieć wpływ na całe branże, całe sektory gospodarki narodowej czy wręcz światowej.

EKOLOGIA CZASU

Jeśli poddaliśmy badaniu małe jezioro czy staw, odnajdziemy w nim wiele współwystępujących form życia, na przykład gatunki pasożytujące i żywicielskie czy też rozmnażające się szybko lub powoli; wszystkie zmieniają się w różnym tempie, wchodząc we wzajemne interakcje. W efekcie powstaje coś na kształt ekologicznego baletu.

Także wewnątrz każdej firmy - jak również każdego szpitala, szkoły, urzędu państwowego czy gminnego - funkcjonuje coś, co możemy określić mianem "ekologii czasu". Rozróżnić w nich możemy podjednostki i procesy: wszystkie one oddziałują na siebie nawzajem i działają z różnymi szybkościami. I choć prawdziwie doskonała synchronizacja jest nie do utrzymania, w normalnych warunkach można utrzymywać brak synchronii do pewnego pułapu tolerancji.

Dzisiejsze warunki dalekie są jednakże od normalnych. Rada rozmaitych "guru" była nierealna, ale przyśpieszenie, którego miała dotyczyć, było - i jest - całkiem prawdziwe. Presja, jakiej poddawane są firmy i inne organizacje w celu przyśpieszenia swych działań, nigdy nie była silniejsza. Kaskadowanie innowacji technologicznych oraz konsumenckiej czy klienckiej potrzeby natychmiastowej gratyfikacji w połączeniu z konkurencją - wszystko to wspólnie podnosi tempo zmian. Jeśli jeden wydział czy pion wlecze się z tyłu, efekt zwielokrotniający takie opóźnienie odbija się rykoszetem po całej organizacji.

Jeden często pomija koszt przesądza o marnotrawstwie energii i odwróceniu uwagi od innych potrzebnych zadań, w miarę jak czas coraz bardziej się upolitycznia. Często bywa, że przywódcy organizacji desperacko miotają się pomiędzy sprzecznymi harmonogramami i błąkają się pomiędzy horyzontami czasowymi. Polem bitwy stają się wówczas działy IT (informatyczne).

OFIARY CZASU

Czas potrzebny do rozwoju oprogramowania lub większej reformy jest niemal zawsze trudny do oszacowania. Niekiedy trudno jest wręcz ocenić, ile czasu potrzeba na dokonanie takich szacunków. A do tego właśnie często zmuszeni są szefowie działów IT.

Menadżerowie ds. oprogramowania, którzy twierdzą, że potrzebują sporo czasu na wykonanie zadania, obrywają od swoich bossów lub szefów innych działów, którym grożą opóźnienia lub przestoje w pracy. Z drugiej strony, menadżerowie IT, którzy obiecują szybkie wyniki, często tracą posady, kiedy następujące potem kikszy utrudniają progres.

Gdy rozmaite jednostki biznesowe przeżywają desynchronizację, a harmonogramy wymagają weryfikacji, do gry wchodzi budżety, władza i ego, a zatem cała emocjonalna artyleria. Także samo i czas, w formie celowych opóźnień lub narzucanych terminów, może być używany jako śmiertcionośna broń.

Bitwy o czas są jeszcze częściej spotykane tam, gdzie w grę wchodzi badania i rozwój (research and development; R&D). Szefowie firm, naciskani przez inwestorów, którzy domagają się szybszych zwrotów z ponoszonych nakładów, często czują się przymuszeni do obcinania wydatków na R&D. Lub też przesuwają fundusze z R&D i przeznaczają wszystko, co jeszcze zostało w kasie, z badań podstawowych - na badania stosowane. W rezultacie innowacje mogą się mocno spowolnić wówczas, gdy są najbardziej potrzebne.

Bitwy o czas w szybko zmieniających się firmach przybierają także wiele innych form. Mogą zablokować ważne transakcje czy, paradoksalnie, zmarnotrawić tak wiele uwagi kadry zarządzającej i energii, że w końcu w całej firmie spadają zdolności przystosowawcze do zmian.

POSTFUZYJNY BLUES

Sprawy te komplikują się o wiele bardziej, gdy dotyczą dwóch lub większej liczby firm, z których każda posiada swój własny ekosystem czasu. Walki synchronizacyjne znacznie komplikują związki partnerskie, joint ventures i inne sojusze, a także generują spory stres przed i po połączeniu się (fuzji) tych firm.

I nawet kiedy pokonane zostaną główne problemy, próby zsynchronizowania wewnętrznego rytmu obu firm, już po ślubie, wymagają sporo czasu i pieniędzy, odwracają uwagę od innych spraw, powodują przerwy w działaniu i załamują już i tak załamanych ludzi. A ludzie nienawidzą, kiedy się ich popędza lub spowalnia. I chociaż mało się o tym pisze, wiele aliansów i połączeń (mergers) kończy się niepowodzeniem dokładnie z tego powodu, że synchronizacja okazuje się tak bolesna. Spójrzmy na AOL Time Warner. Niekoniecznie technologiczne kwestie stanowią tam największą trudność.

Desynchronizacja w każdej, praktycznie, firmie może pojawić się pomiędzy wydziałami, funkcjami, szczeblami hierarchii, oddziałami regionalnymi, a także na innych wymiarach. Często wszystko przesądza się w sferze kultury firmowej.

Kiedy na czele firmy Siemens Nixdorf stanął przed kilkoma laty nowy szef, zdawało się, że bardziej martwił się - według "Financial Times"- o jednostki czasu niż dolary. Siemens, niemiecki gigant elektroniczny, przejął Nixdorfa, firmę komputerową, by uzupełnić swoją podstawową działalność komputerową w zakresie platform typu mainframe.

Nowy prezes wiedział, że część firmy powinna "zmieniać jedną z zasadniczych cech technicznych co sześć miesięcy". Ale firma przejmująca była starsza, bardziej hierarchicznie zorganizowana i wolniejsza w reakcjach. Zmiana produktu to jedno, ale - jak zwierzał się w czasie konferencji prasowej -"zmiana mentalności korporacyjnej zazwyczaj trwa od trzech do pięciu lat, których nie mamy." Prezesa tego nie ma już w Siemensie. Nixdorfa też.

Oczko wyżej od firm: jeszcze poważniejsze przykłady kosztownej desynchronizacji znajdujemy na pułapie całych branż. Niektóre z nich są wręcz słynne z własnej desynchronizacji.

PODATEK OD STRACONEGO CZASU

Zapytajmy o zdanie pierwszego z brzegu Amerykanina, który kiedykolwiek wynajął firmę budowlaną do wzniesienia lub wyremontowania domu. Na ogół podawany termin zakończenia prac okazuje się bajeczką dla grzecznych dzieci. Opóźnienia wynoszą niekiedy całe miesiące. Potrzebne elementy - od spluczek po gałki do szuflad - z rzadka docierają na czas. Bardziej frustrującym przeżyciem jest chyba tylko załatwianie spraw w gminnym wydziale architektury i budownictwa, który wydaje rozmaite zezwolenia i ich modyfikacje w czasie trwania budowy.

Poprosiliśmy poważnego developera z Kalifornii, by przyjrzał się bliżej kwestii opóźnień budowlanych w realizowanym przez niego przedsięwzięciu: budowy stu domów w centrum technologicznym. "Byłem zszokowany" - powiedział nam przedsiębiorca, którego zazwyczaj wcale tak łatwo nie można zszokować.

Koszty budowy każdego z naszych domów, łącznie z zakupem działki, wynosiły 228 tys. dolarów. Budowa miała trwać 120 dni, ale niektóre domy budowaliśmy przez aż 180 dni. Oznacza to 60 dodatkowych dni, za które trzeba było zapłacić odsetki od kredytu w wysokości 110 tys. dolarów. A więc na każdy dom przypadają dodatkowe koszty rzędu 1741 USD, a nawet więcej, jeśli oprocentowanie kredytu wzrastało. Kalkulacje te dotyczą jedynie samej budowy i nie obejmują kosztów opóźnień w uzyskiwaniu zezwoleń, zgód środowiskowych, a także opóźnień firm komunalnych w uzbrojeniu działki i instalacji podłączeń elektrycznych, gazowych i wodno-kanalizacyjnych.

Podwykonawcy nie pojawiają się na budowie w umówionym terminie. Dostarczone zlewy są wadliwe - trzeba je odesłać i czekać na nowe. Podwykonawcy się opóźniają, ale w kolejnym kontrakcie domagają się większych pieniędzy, żeby zabezpieczyć się przed stratą czasu. Do tego dochodzi jeszcze sporo innych wydatków. Podatki od nieruchomości? Wynagrodzenia dla kadry kierowniczej? Płacę firmie zarządzającej za nadzorowanie przedsięwzięcia. Rachunek rośnie. A jeśli nabywca domu wycofuje się z powodu opóźnienia?

Poprosiłem mojego księgowego o zsumowanie obsuw czasowych, o których wiemy. Zazwyczaj nie pozwalam sobie na żadne luzy. Ale tym razem okazało się, że opóźnienia stanowią łącznie prawie 4 proc. kosztów budowy domu. Większe firmy pewnie są w stanie gdzieś poupychać oszczędności. Ale gdybym był osobą czysto prywatną, która buduje dom po prostu dla siebie, opóźnienia byłyby procentowo o wiele większe. Cały ten stracony czas stanowi swego rodzaju karę - jakby podatek od czasu, płacony przy każdym przedsięwzięciu.

W Stanach Zjednoczonych na budownictwo mieszkaniowe wydaje się rocznie około 544 mld dolarów. A zatem podatek od straconego czasu, rzędu 3 - 5 proc, czyli łączny koszt marnotrawnych, niepunktualnych, zdesynchronizowanych działań może wynosić rocznie od 16 do 27 miliardów dolarów.

Jeśli założymy, że wybudowanie domu kosztuje średnio 150 tys. dolarów, kwota ta stanowi mniej więcej równowartość 1,4 mln domów lub mieszkań, które można by wybudować w ciągu każdej dekady dla Amerykanów osiągających niższe dochody. Być może w ten sposób udałoby się rozwiązać problem ludzi bezdomnych w USA.

Szacunki te odnoszą się jedynie do budownictwa mieszkaniowego. Jego nieprzewidywalne, kosztowne działanie z kolei odzwierciedla (lub wywołuje) desynchronizację w branżach dostawców, jak również na rynku pracy. Powszechne są braki płyt gipsowo-kartonowych, izolacji, dobrych cieśli i tym podobne. Jeśli prześledzimy te opóźnienia i braki aż do samego dołu, koszty okażą się o wiele wyższe.

Jeśli budownictwo mieszkaniowe jest ogniskiem niezsynchronizowanych operacji, ciekawe co można powiedzieć o przykładzie zgoła odmiennym - gigantycznym amerykańskim przemyśle zbrojeniowym?

W branży zbrojeniowej znaleźć można firmy produkujące wszystko - od najbardziej zaawansowanych urządzeń telekomunikacyjnych, satelitów i systemów obronnych po stosunkowo nieskomplikowane produkty, jak koszule i buty. Jest to branża nieustannie atakowana przez Kongres za przekraczanie budżetów, niegospodarność i nieefektywność. Młotek za 700 dolarów (słownie: siedemset!) czy sedes - bez względu na to, czy to przykłady prawdziwe czy nie - stały się narodowym symbolem skandalicznego marnotrawstwa.

Warto jednak odnotować, że desynchronizacja w danej branży mogła jej być narzucona z zewnątrz. Z takim właśnie przypadkiem mamy do czynienia tutaj. A zatem, aby nie dopuścić do korupcji i maksymalnie zwiększyć wydajność, procedury zamówień publicznych w Departamencie Obrony USA, z których wiele zostało zaprojektowanych w Kongresie, są tak bizantyńskie, tak skomplikowane i tak uciążliwe, że wiele co bardziej wrażliwych firm w ogóle odmawia brania udziału w przetargach organizowanych przez Pentagon. Co gorsza, te, które podejmują się robót na rzecz obronności, nieświadomie trafiają w potrzask zastawiony na nie głównie przez sam Kongres.

Redaktor "Armed Forces Journal International" posumował kiedyś tę sytuację jednym niezapomnianym sformułowaniem: "Na zagrożenie dwudziestoletnie - pisał - rząd odpowiada

piętnastoletnim programem i pięcioletnim planem obronnym, realizowanym przez wynajęty na trzy lata personel finansowany corocznymi prowizoriami budżetowymi.”

Widzieliśmy zatem efekt desynchronizacji w obrębie pojedynczych firm, grup firm i całych branż. Desynchronizacja pojawia się też na jeszcze większą skalę, kiedy dwie branże powiązane rozwijają się z różnymi prędkościami.

DO TECHNOLOGICZNEGO TANGA TRZEBA DWOJGA

Wejście do użytku komputera osobistego w latach siedemdziesiątych XX wieku naznaczone było swego rodzaju *pas de deux*, kiedy Microsoft wprowadził na rynek większe i wyposażone w bogatsze możliwości wersje swych Windowsów dla PCtów, a Intel sukcesywnie rozwijał szybsze i potężniejsze chipy, niezbędne do prawidłowego działania nowych programów.

Przez lata całe te dwie działające w symbiozie firmy nazywane były przez media tak, jakby były jedną firmą “Wintel.” Synchronizacja, czasami niedoskonała, stanowiła siłę napędową rozpowszechnienia się komputera osobistego na całym świecie. Całkiem odmiennie jednakowoż dzieje się pomiędzy ściśle powiązanymi branżami komputerową i telekomunikacyjną: niejedną raz okazało się, że zabrakło tego drugiego do tanga. Z tanga nici.

Branża komputerowa kształtowała się w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat w Stanach Zjednoczonych w sposób dziki, surowy i nieobjęty regulacjami. Producenci komputerów nierzadko popadali we frustrację z powodu mniejszego tempa przemian w obrębie ściśle przeregulowanej, i to w sposób zgoła nieczytelny, branży telekomunikacyjnej. Z czasem podstawowe technologie tych dwóch branż zaczęły się wzajemnie przenikać, ale tempo przemian - wręcz przeciwnie. Wedle wielu analityków, postępy w zakresie układów scalonych, komputerów i dziedzin pokrewnych mogłyby być jeszcze szybsze, gdyby nie ta różnica szybkości. Podobnie - co wydaje się jeszcze bardziej interesujące - rzecz miała się w ostatnich latach z rozwojem sieci: postępował on o wiele wolniej niż tempo zwiększania prędkości działania układów scalonych. Jednakże w roku 2005 desynchronizacja ta przybrała kierunek wsteczny.

Po prostu nie znamy łącznego kosztu efektu desynchronizacji na poziomie firm i branż, ale możemy sobie tylko wyobrazić, o ile silniejsze są te efekty, kiedy patrzymy na desynchronizację w całych sektorach gospodarki w epoce rewolucji bogactwa.

KOLACJA BEZ SUSHI

Była sobota, kiedy Minoru Naito, drobny biznesmen, postanowił uczcić urodziny swej córki w eleganckiej restauracji sushi w Tokio. Poszedł do pobliskiego bankomatu, by podjąć trochę gotówki. Ale była już godz. 18.00, a bankomat działał tylko do 17.00. A więc tego wieczoru pan Naito musiał obejść się smakiem na sushi.

Fakt, że banki wyłączały bankomaty tak wcześnie, był, że posłużę się słowami “Nihon Keizai Shimbun”, gazety, która jest japońskim odpowiednikiem “Wall Street Journal”, “szczególnie szokujący, ponieważ w Japonii więcej sklepów działa przez 24 godziny na dobę”. Krótko rzecz

ujmując, sektor bankowy był zdesynchronizowany w stosunku do rozwoju handlu detalicznego w gospodarce japońskiej.

Relatywnie niewielki Tokio Sowa Bank, stając w obliczu konkurencji zagranicznych banków i biur maklerskich, które oferowały całodobowe usługi, pierwszy spośród japońskich banków uruchomił bankomat całodobowy (choć początkowo i tak wyłączano go o godz. 22.00). Jeden z największych banków w Japonii, JFJ, zdecydował się pójść jego śladami dopiero w 2003 roku.

Likwidacja różnicy między godzinami otwarcia sklepów i pracy banków wymaga nowych systemów informatycznych. Normalnie oznacza to zmianę lub aktualizację istniejącego środowiska IT, kawałek po kawałku, program po programie. I nie można tego dokonać bez zmiany harmonogramu przepływu danych, procedur rachunkowości, rozkładu pracy, raportów i innych spraw, przyspieszając pracę niektórych jednostek organizacyjnych, ale koniecznie pozostawiając inne na jakiś czas nieco w tyle. Każdy nowy komputer, system operacyjny, aplikacja lub zmiana w ustawieniach sieci zmienia - w sposób nieunikniony - tempo, rytmy i poziomy synchronizacji w całej organizacji. Także w Japonii synchronizacja jednego człowieka - jest desynchronizacją innego.

Co więcej, są podstawy do twierdzenia, iż różnice w tempie przemian otwierają niezliczone możliwości dla przedsiębiorczych synchronizatorów, którzy, synchronizując niektóre działy czy organizacje, wywołują nowe różnice w innych miejscach.

Problemy synchronii coraz bardziej się komplikują, a nie upraszczają, ponieważ tak jak w czasie rewolucji przemysłowej, po raz kolejny przekształcamy sposób, w jaki ludzie pracują, bawią się i myślą - w wymiarze czasowym. Bardzo poważnie modyfikujemy sposób, w jaki radzimy sobie z głęboko fundamentalną wartością, jaką jest czas. Dopóki nie zrozumiemy stosunku czasu do wytwarzania bogactwa, nigdy nie uwolnimy się od dzisiejszych presji czasowych czy też olbrzymich, niepotrzebnych kosztów.

Rozdział 8

Nowy czasobraz

Samolot linii American Airlines, 757, zbliżał się do Gór Skalistych, lecąc z Bostonu do Los Angeles, kiedy nagle ramię i głowa jednego z pasażerów, Michaela Tighe'a, omsknęły się w stronę przejścia między fotelami. Jego żona, z zawodu pielęgniarka, siedząca tuż obok niego, od razu wiedziała, że za chwilę stanie się coś strasznego. Serce jej męża zaczęło bić nieregularnie, nie dostarczając dość krwi do mózgu. Sześćdziesięcioletni Tighe znalazł się na krawędzi, kiedy tuż obok pojawił się personel pokładowy z przyrządem wielkości laptopa.

Do ciała pasażera przymocowano kabelki elektryczne i zaaplikowano mu wstrząs - jeden, drugi, kolejny. Dosłownie przywrócono mu życie. W ten sposób Michael Tighe stał się pierwszym człowiekiem, któremu defibrylator uratował życie w czasie rejsu lotniczego. Urządzenie to znalazło się na wyposażeniu samolotu zaledwie dwa dni wcześniej.

Podobnie jak ludzkie serce, także społeczeństwa i gospodarki przeżywać mogą przedwczesne uderzenia, miejscowe migotania, arytmie i kołatania, podobnie jak "chaotyczne" nieregularności czy paroksyzmy. I wprawdzie nie od dzisiaj tak jest, to jednak nierównomierne, coraz większe tempo zmian oraz nieustająca desynchronizacja, która im towarzyszy, dziś mogą wywołać przejściowe niespójności - tyle że na pokładzie nie mamy na razie defibrylatora.

Co się dzieje z nami, jednostkami, kiedy nasze instytucje, firmy, branże i całe gospodarki nie są z sobą nawzajem zsynchronizowane? Jeśli istotnie działamy szybciej i mocno dyszymy - jak się to wszystko skończy? A przede wszystkim: jak to się stało, że zostaliśmy przykuci do czasu i szybkości?

OKOWY CZASU

Zacznijmy od tego, co już wcześniej zostało zasygnalizowane: w społeczeństwach rolnych, starożytnych Chinach lub średniowiecznej Europie ludzie, ogólnie rzecz biorąc, nie byli opłacani wedle przepracowanych godzin. Niewolnicy, chłopci pańszczyźniani lub dzierżawcy na ogół zachowywali lub otrzymywali pewną część tego, co faktycznie wyprodukowali. Czas pracy jako taki nie miał bezpośredniego przełożenia na pieniądze.

Dodajmy, że pogoda, ograniczenia ludzkiej energii czy zwierzęcej siły oraz skrajnie prymitywna technologia wyznaczały górne pułapy ludzkiej wydajności, bez względu na to, ile godzin musiała pracować rodzina chłopska. Wynikiem tego była zgoła odmienna od naszych - relacja do czasu.

Jeszcze w czternastowiecznej Europie, jak powiada francuski historyk Jacques Le Goff, duchowni wciąż utrzymywali, że czas należy wyłącznie do Boga, wobec czego nie może być na sprzedaż. Sprzedawanie pracy o określonym czasie trwania było niemal równie naganne, jak lichwa, czyli sprzedawanie pieniędzy na procent. A w opinii piętnastowiecznego mnicha Bernarda ze Sieny, ludzie nie powinni nawet posiadać umiejętności oceniania upływu czasu.

Rewolucja przemysłowa zmieniła to całkowicie. Paliwa pochodzenia kopalnego oraz fabryki zniweczyły rolne ograniczenia ludzkiej wydajności. Zegarki i zegary umożliwiły śledzenie i mierzenie czasu bardziej dokładnie. I wiele zależało od tego, czy się pracowało powoli czy szybko.

Pracodawcy Drugiej Fali, w nadziei na maksymalne zwiększenie produkcji, przyśpieszyli linie montażowe lub płacili za ilość wyprodukowanych towarów, by wycisnąć z robotników więcej siły ich mięśni. A robotników, w zgodzie z zasadą “czas to pieniądz”, zaczęto opłacać godzinowo. Co tłumaczy, dlaczego Amerykańskie Biuro Statystyki Pracy (*U.S. Bureau of Labor Statistics*) wciąż mierzy “wydajność siły roboczej” wielkością produkcji na godzinę.

Pierwsi modernizatorzy poszli jeszcze dalej, nakładając kolejne, nierozzerwalne ogniwo wiążące bogactwo z czasem. Zachód stopniowo zaniechał przepisów antylichwiarskich i uprawomocnił odsetki naliczane wedle jednostek czasu. Ostatecznie w ślad za tym nastąpiła olbrzymia ekspansja innych płatności wyliczanych według czasu, które odtąd odprowadzają konsumenci, korporacje, a przede wszystkim rządy.

W ten sposób zarówno wycena pracy, jak i wycena pieniądza w ściślejszy sposób zostały oparte na jednostce czasu. Wprowadzane oddzielnie i stopniowo, te dwie bliźniacze zmiany miały doniosłe znaczenie. Oznaczały wszak, że ta sama osoba jako pracownik, jako konsument, jako pożyczkodawca i kredytobiorca, dzierżawca i inwestor zostali przykuci do czasu, jak nigdy dotąd.

Robotnicy zaczęli utyskiwać na ten wyścig szczurów. Artyści, pisarze i filmowcy wyśmiewali ten nowy ład, jak np. uczynił to Fritz Lang w scenach z robotnikami i zegarami w swym cudownym filmie *Metropolis* (1927) i Charlie Chaplin w należącym już do klasyki filmie *Dzisiejsze czasy* (*Modern Times*; 1936). Z upływem lat jednak więzy czasu zaczęły się jeszcze bardziej zacieśniać, wraz z upowszechnieniem się i kart zegarowych, i Taylorowskich metod zarządzania opartych na czasie.

Jeszcze dzisiaj niektórzy pracownicy firm typu *call center* i biur zorganizowanych w stylu fabrycznym, wyposażonych w najnowsze technologie Trzeciej Fali, nadal działają według metod zarządzania rodem z Drugiej Fali. Zliczanie uderzeń w klawiaturę lub rozmów telefonicznych na godzinę nie jest niczym innym jak tradycyjną metodą popędzania, stosowaną w starej przędzalni czy montażowej linii samochodowej.

W naszej książce zatytułowanej *Szok przyszłości*, która ukazała się w 1970 roku, przepowiedzieliśmy, że tempo życia - nie tylko w pracy - na pewno wzrośnie jeszcze bardziej. Od tego czasu przyśpieszenie wskoczyło na jeszcze wyższy pułap, a temat poruszony w *Szoku przyszłości* wywołał prawdziwą lawinę komentarzy.

Trafność tej naszej dawnej prognozy potwierdza potok określeń, jakie od tego czasu weszły do języka: “zawrotna szybkość,” “chorobliwy pośpiech,” “rozciągliwość czasu,” “czas Internetu,” “czas rzeczywisty,” “niedoczas”. Miliony ludzi czują się dziś poganiani, zestresowani i “zszokowani przyszłością” za sprawą presji czasowej. Londyńska gazeta “Evening Standard” opisuje bynajmniej nie będące niespodzianką pojawienie się psychoterapeutów, którzy pomagają “pośpiecholikom” zwolnić nieco.

Nienawidzimy czekać. Epidemia zaburzeń zdolności koncentracji wśród dzieci w Stanach Zjednoczonych jest być może bardziej pochodzenia chemicznego niż kulturowego, ale idealnie oddaje rosnący dziś - w warunkach rozpędzonej przyszłości - sprzeciw wobec odkładania nagrody na później.

SUPERSZYBKA MIŁOŚĆ

Na całym świecie dzieci w coraz większym stopniu są wieloczynnościowe - to znaczy, że wykonują wiele czynności jednocześnie. Młodzi Amerykanie, o czym piszą Ian Jukes i Anita Dosaj z InfoSawy Group, "nie doceniają dostępu do komputerów, pilotów, Internetu, poczty elektronicznej, pagerów, telefonów komórkowych, MP-trójek, płyt CD, DVD, gier wideo, palmtopów i aparatów cyfrowych. (...) dla nich takie pojęcia, jak czas i dystans (...) znaczą bardzo niewiele." Przetwarzają coraz więcej danych w coraz większym tempie i nudzi ich wszystko to, co uważają za powolne.

Serwisy matrymonialne na miarę XXI wieku oferują "szybkie randki". Jedna z takich firm amerykańskich, obsługująca społeczność żydowską, organizuje siedmiominutowe spotkania twarzą w twarz dla par, po których klienci za pomocą formularza wypowiadają się, czy są zainteresowani kolejną (zapewne nieco wolniejszą) randką z siedmiominutowym partnerem. Żeby nie pozostać w tyle, podobna firma z New Delhi oferuje randki "trzyminutowe".

Na drugim końcu świata, w jednym z brytyjskich banków, dziesiątki klientów krążą po sali, by prowadzić pięciominutowe rozmowy w nadziei na nawiązanie nowych kontaktów - co "Financial Times" nazwał "szybkimi randkami biznesowymi."

W Internecie trzy minuty to cała wieczność, ponieważ internauci wycofują się ze stron, które ładują się dłużej niż osiem sekund. Młodzi Chińczycy wynaleźli coś, co można nazwać "mikropowieścią" - krótkie opowiadanie, o objętości maksymalnie 350 słów, które można wyświetlić na ekranie telefonu komórkowego.

Do przyspieszenia komunikacji na całym świecie przyczynia się głównie młodzież. Nastolatki tworzą swój własny, skrótowy język, wykorzystywany w SMS-ach i e-mailach. Zamiast pisać "boyfriend" - piszą "BF", "keep in touch" przybiera postać "KIT," a "Why doesn't he love me?" staje się lakonicznym "WDHLM."³ Obrazy w telewizji kablowej w USA zmieniają się co 3,5 sekundy. Szybciej jest tylko w MTV. Jakżeż relaksująco brzmi oferta firmy NextCard, która obiecuje skasować historię kredytową klientów i zatwierdzić wniosek o wydanie nowej karty kredytowej w trzydzieści pięć sekund. A kiedy specjaliści z Wall Street wychwalają jakieś akcje w telewizji, widzowie mogą niemal na bieżąco śledzić, jak kurs akcji rośnie lub spada, w bezpośredniej reakcji na to, co się mówi.

Ten nacisk na szybkość wyjaśnia, dlaczego gromadka konsultantów w dziedzinie "zarządzania czasem" oraz niezliczona liczba książek oferują porady na temat tego, jak przeorganizować sobie dzień i zaprząć czas do osiągania naszych osobistych priorytetów. A jednak wszystkie te dobre rady w bardzo znikomym stopniu dotyczą mniej ewidentnych powodów przyspieszenia życia.

³ Boyfriend - (ang.) chłopak (z którym się chodzi); "keep in touch" - pozostajmy w kontakcie; "Why doesn't he love me?" - Dlaczego on mnie nie kocha? - przyp. tłum.

Kilka różnych współdziałających sił bowiem sprawia, że przyspieszenie przekracza wszelkie miary. W latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XX wieku nastąpił ogólnoświatowy zwrot ku gospodarce liberalnej i hiperkonkurencji. W połączeniu z faktem, że wydajność układów scalonych podwaja się co osiemnaście miesięcy, stanowi to klucz do niemal natychmiastowych transakcji. (Dealerzy walutowi dowiadują się o dowolnej transakcji w kilka milisekund po jej zakończeniu.) Innymi słowy, za tymi wszystkimi przejawami presji czasu stoi historyczne przejście do systemu intelektualnego, którego główny surowiec - wiedza - można dzisiaj transportować w czasie niemal rzeczywistym. Żyjemy wszak w tak zawrotnym tempie, że trzeba zweryfikować nawet starą zasadę, że "czas to pieniądz". Każda jednostka czasu jest dziś warta więcej niż poprzednia, ponieważ, w zasadzie (jeśli nie w praktyce), w tym samym czasie można wytworzyć więcej bogactwa.

To wszystko z kolei zmienia nasze osobiste odniesienie do tego najgłębszego fundamentu, jakim jest czas.

CZAS SKROJONY NA MIARĘ

We wczorajszym świecie pracy czas występował w standardowych "opakowaniach". Praca "od dziewiętej do piątej" stała się w USA normą dla milionów pracowników. Podobnie półgodzinna czy godzinna przerwa na lunch i z góry wyznaczona długość urlopu. Umowy o pracę oraz prawo pracy sprawiły, że nadgodziny stały się zbyt kosztowne dla pracodawców i zniechęcały do wprowadzania wszelkich odstępstw od standardowego wymiaru czasu pracy.

Zatem ze szwajcarską dokładnością całe masy ludzi wstawały, jadły śniadanie, dojeżdżały do fabryki lub do biura, pracowały przez osiem godzin, a następnie przebijały się przez korki, żeby zdążyć na obiad i pooglądać wieczorem telewizję. Wszyscy - zsynchronizowani ze sobą - robili mniej więcej to samo o tej samej porze.

Te standardowe przedziały czasowe rozciągały się z fabryki również na pozostałe sfery życia. Równoległe do fabryk, również i wszystkie biura epoki przemysłowej wyznaczały stałe, znormalizowane godziny pracy. Szkoły zaś tymczasem wychowywały kolejne pokolenia robotników fabrycznych poprzez poddawanie dzieci tej samej dyscyplinie czasowej. W Ameryce dzieciaki dojeżdżające do szkoły charakterystycznymi żółtymi autobusami mimowolnie przyzwyczajały się do tego, by punktualnie stawiać się w pracy. A w szkole witał ich dzwonek i dzieci karnie maszerowały (i nadal maszerują) przez kolejne lekcje o zestandaryzowanym czasie trwania.

Tymczasem całkiem inaczej przedstawia się sytuacja w kształtującej się dziś gospodarce. Niestety dzieci są do działania w jej warunkach przygotowywane w sposób nieprawidłowy, bowiem działa ona na radykalnie odmiennych zasadach organizacji czasu. Wymaga ona od nas rozczłonkowania wczorajszych standardowych przedziałów czasowych i przejścia od czasu zbiorowego do czasu zindywidualizowanego. Inaczej rzecz ujmując, odchodzimy od bezosobowego czasu i zmierzamy do osobistego czasu, podobnie jak zdążamy ku zindywidualizowanemu, osobistym produktom i rynkom.

KIEDY POJAWIAJĄ SIĘ DOBRE POMYSŁY

W swej książce *Free Agent Nation* Daniel H. Pink odmalowuje obraz kraju, którego siła robocza w coraz większym stopniu składa się z "wolnych strzelców", a więc z pracowników, którzy są działającymi pojedynczo specjalistami, wykonawcami umów o dzieło, niezależnymi kontraktorami, konsultantami i innymi pracownikami prowadzącymi (np. jednoosobową) działalność gospodarczą. Wielu z nich samodzielnie ustala swe godziny pracy.

Według Pinka w Stanach Zjednoczonych już dziś pracuje 33 miliony wolnych strzelców czy też kobiet i mężczyzn działających w "dysorganizacji" - ponad jedna czwarta całej amerykańskiej siły roboczej. Jest to, jak zauważa Pink, ponad dwukrotnie więcej, niż pracowników zatrudnionych w produkcji przemysłowej i dwukrotnie więcej, niż członków związków zawodowych.

I chociaż dostępne statystyki nie mówią nam tego szczegółowo, to jednak Pink skłonny jest sądzić, że "prawdopodobnie ponad połowa" wszystkich wolnych strzelców opłacana jest na zasadzie projektowej, każdorazowo za wykonanie dzieła czy też na jakiejś innej zasadzie, nie związanej z czasem wykonywania pracy. Tak więc etatowa siła robocza jest kolejnym elementem kapitalizmu przemysłowego, którego nie można już traktować jak oczywistości.

Ludzie pracujący w domu, stanowiący już dziś wielomilionową rzeszę, mogą zatrzymać się na posiłek albo pójść na spacer, kiedy tylko mają na to ochotę, w przeciwieństwie do pracownika linii montażowej, którego nieobecność, nawet chwilowa, może spowodować przestoje w pracy wielu innych pracowników na kolejnych etapach ciągu produkcyjnego.

To samo oczywiście odnosi się do innych rodzajów prowadzonej w domu czy on-line działalności gospodarczej - zakupów, bankowości czy inwestowania - z których większość można wykonywać asynchronicznie w dowolnym czasie. Co ważniejsze, skoro wartość pracy coraz bardziej zależy od wiedzy, czas pracy niełatwo poddaje się zestandaryzowanym przedziałom. Nie można zapisać w harmonogramie, kiedy przyjdzie nam do głowy dobry pomysł.

Nieżyjący już dziś współzałożyciel Sony, Akio Morita, powiedział nam kiedyś: "Mogę powiedzieć robotnikowi w fabryce, żeby przyszedł do pracy na siódmą rano i żeby był wydajny. Ale czy mogę kazać inżynierowi lub badaczowi mieć o siódmej dobry pomysł?"

CZAS MEDIÓW

Ponieważ czas relaksu jest zazwyczaj postrzegany jako czas wolny od pracy, stanowi on odwrotność kalendarza pracy. Według Billa Martina i Sandry Mason, autorów publikujących na łamach "Foresight", "rozkład czasu wolnego od pracy jest coraz bardziej zróżnicowany, w miarę jak godziny i tygodnie płatnej pracy stają się coraz bardziej elastyczne."

Być może tą samą drogą podąży wkrótce czas mediów. Odcinek serialu *American Idol*, *Desperate Housewives*, *CSI* czy *24* albo nawet programu informacyjnego na BBC, na francuskim Canal Plus czy japońskim NHK, ma przewidywalną długość. W Stanach Zjednoczonych programy typu "reality show" trwają pół godziny lub godzinę minus czas emisji reklam. Reklamy z kolei

zazwyczaj produkowane są w okrągłych modułach po sześćdziesiąt, trzydzieści, piętnaście czy dziesięć sekund.

Tymczasem w przyszłości telewizja i programowanie on-line być może nie będą konieczne występowały w takich przewidywalnych formatach. Jeden z pierwszych sygnałów tego typu zmiany dał o sobie znać, kiedy poproszono laureata Emmy, producenta nowych mediów Ala Burtona, aby wyprodukował czterdzieści pięć krótkometrażowych programów rozrywkowych dla telewizji. "Niecodzienne było to - wspomina Burton - że nie określono nam standardowej, stałej długości odcinków. Mogły mieć od sześćdziesięciu sekund aż do pięciu minut".

Przyszłe formaty rozrywki mogą składać się z segmentów różnej długości, nierówno z sobą poskładanych. NBC przeprowadzała eksperymenty z półgodzinnym odcinkiem *Friends* w rozmiarze XXL, czyli trwającym czterdzieści minut, oraz skróconymi wersjami dwudziestominutowych odcinków *Saturday Night Live*, a także próbowała wcielić w życie pomysł jednogodzinnych "filmów," którymi przeplatane byłyby reklamy. No i wreszcie są też programy składające się wyłącznie z najciekawszych momentów meczów piłkarskich, z których wycina się całą pozostałą grę.

Kiedyś widzowie będą w stanie ściągnąć tylko wybranych osiem minut, kiedy na ekranie pojawia się konkretny aktor. A w stosownym czasie widz będzie w stanie przebudować fabułę, wprowadzić nowych bohaterów oraz wedle uznania skracać lub wydłużać dowolne sceny.

Jak ujęła to Betsy Frank, wiceprezes ds. badań i planowania w MTV Networks: "Oto widownia, która chce sama układać sobie ramówkę". Nowe urządzenia już dziś dają widzom możliwości skracania lub kopiowania programów, zgodnie z indywidualnymi preferencjami. To odejście od standardowych formatów czasowych nabierze większego tempa, kiedy widzowie wyposażeni w odpowiednie urządzenia zaczną tworzyć własne programy. Produkując swoje własne przekazy medialne, jednocześnie domagają się dostępu do programów "na żądanie," a nie w czasie przewidzianym w programie. Jak powiedział słynny magnat medialny William Randolph Hearst III: "Telewizja wyznaczająca pory emisji już jest martwa."

RODZINA, PRZYJACIELE I SPOTKANIA TWARZĄ W TWARZ Z DRUGIM CZŁOWIEKIEM

Tego rodzaju zmiany znajdują swe odzwierciedlenie także w życiu rodzinnym. Granica między życiem rodzinnym i czasem pracy zaciera się wraz z odchodzeniem w przeszłość stałych harmonogramów. Jak mówi John Moody, jeden z szefów Fox News: "Kiedy dorastałem, moi rodzice wracali do domu, o wpół do szóstej jedliśmy obiad i o szóstej oglądaliśmy wiadomości (...). Nie znam nikogo w mojej okolicy, kto by dzisiaj miał tak poukładane życie". "Business Week" donosi, że mniej niż jedna trzecia Amerykanów pracuje dziś według schematu "od dziewiętej do piątej," a "takie rytuały, jak obiad w gronie rodzinnym - zanikają".

Mając dziś do dyspozycji nagrywarki DVD czy video i inne technologie zmiany czasu, nie oglądamy dziś wiadomości o tej samej porze. Rozkład dnia poszczególnych osób jest dziś tak silnie zindywidualizowany, że członkowie rodziny i przyjaciele nie mogą tak po prostu założyć, że są w stanie spotkać się ze sobą twarzą w twarz. Wielu z nas mogłoby posłużyć się bazą danych, w której

członkowie rodziny i znajomi układaliby swoje harmonogramy udostępniane pozostałym zainteresowanym, aby móc zorganizować czas na spotkanie.

System bogactwa, krótko mówiąc, nie tylko przyspiesza, ale wprowadza większą nieregularność do naszych relacji wobec czasu. Czyniąc tak, uwalnia jednostki z niemal więziennego reżymu i rygorów czasowych epoki przemysłowej. Ale zwiększa też nieprzewidywalność i wymaga fundamentalnych zmian w sposobie koordynacji relacji osobistych i tworzenia bogactwa, a także prowadzenia biznesu.

AMERYKANIZACJA CZASU?

Nic chyba bardziej nie denerwuje ludzi - a nawet całych kultur czy gospodarki - niż zmiana ustalonego czasu. Tłumaczy to, jak pisaliśmy w roku 1970, kiedy we Francji pojawiły się masowo restauracje typu fast food, patologiczny antagonizm wobec tego, co wielu ludzi uważa za "amerykanizację Europy."

Niemal trzydzieści lat później, w Niemczech, detalista Gunter Biere poznał smak dokładnie tych samych reakcji, kiedy - wykorzystując lukę w prawie zabraniającym handlu w niedziele - uparł się, by dom towarowy Kaufhof w Berlinie był otwarty właśnie także w niedzielę. Natychmiast znalazł się w ogniu ogólnoniemieckiej krytyki; zarzucano mu, że łamie zasady i określano go mianem Rambo.

W sukurs przyszli mu zwolennicy handlu w niedzielę. Pewien klient ze Schwedt, w byłej NRD, stwierdził, że "jedynym argumentem »przeciw« jest tylko głupia tradycja starych Niemiec. Powinniśmy się pogodzić z tym, że jesteśmy zamerykanizowani."

Jednak to, co się dzieje, to nie amerykanizacja. Oto bowiem nastaje nieznanym nam rytm życia związany z najnowszym systemem bogactwa. Rytm już i tak został zmieniony i jest obecny w naszym życiu. I mimo opozycji, czyni z wolna postępy we Francji, w Niemczech i w Wielkiej Brytanii. Szybciej jednak niż w Paryżu, Londynie czy Berlinie - posuwa się w Tokio, Seulu i Szanghaju.

PRZYSZŁOŚĆ 24/7

Szybkość i zanik regularności idą ramię w ramię z jeszcze inną przemianą związaną z czasem, mianowicie z odejściem od okresowości i godzin urzędowania, a przyjęciem nieustającej formuły działania, bez przerwy. Dowodem na występowanie tej tendencji jest gwałtowne rozpowszechnienie się formuły 24/7 (dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu) we wszelkich możliwych dziedzinach - od hotelowych centrów biznesowych, poprzez drukarnie prasowe. W Japonii salony piękności, siłownie, supermarkety i sklepy detaliczne coraz bardziej przedłużają godziny otwarcia, przesuwając je do późna w noc. Coraz więcej sklepów sieci Maruetsu i Aeon Maxvalue działa całodobowo. Z czasem, jak twierdzi profesor marketingu Tomoo Noguchi z uniwersytetu w Waseda, wielkość sprzedaży w późnych godzinach nocnych osiągnie rozmiary 50 proc. przeciętnego utargu całodziennego.

Żeby przekonać się, jak w przyszłości będą wyglądały noce, warto odwiedzić Kurytybę w Brazylii. W mieście tym swą siedzibę ma firma Conectiva, dystrybutor Linuxa i z dwieście innych firm

programistycznych. Jest to wzorcowe "zielone miasto", do którego z całego świata przyjeżdżają architekci i specjaliści w dziedzinie urbanistyki, żeby się uczyć na jego przykładzie.

Któregoś razu, około północy, wraz z byłym burmistrzem, Jamie Lernerem, z wykształcenia planistą urbanistycznym, udaliśmy się do "Ulicy 24 h" czyli ulicy lśniącej nowymi kawiarniami i restauracjami wypełnionymi tłumem młodych par, które się uśmiechały, machały i wołały "Cześć Jamie!" Kolejna ulica była pomyślana jako centrum usług całodobowych: gabinetów lekarskich, dentystów i kancelarii prawnych. A na kolejnej zaplanowano dwudziestoczęterogodzinne biura urzędu miasta, gdzie mieszkańcy mogli uzyskać zezwolenia i koncesje czy też załatwić jakąkolwiek inną sprawę urzędową bez względu na porę.

Usługi świadczone nieprzerwanie w ciągu doby umożliwiają ustawienie własnego harmonogramu konsumpcji przez każdego z nas, jeszcze bardziej wzmacniając transformację ku nieregularnemu czasowi. A zatem zarówno w produkcji, jak i w konsumpcji czas i szybkość nabierają coraz bardziej złożonego charakteru i stają się coraz bardziej "nie-masowe". To zaś z kolei niesie z sobą praktyczne konsekwencje dla każdej firmy, we wszystkich sektorach i każdej gospodarce na każdym szczeblu rozwoju.

Zwrot ku nieprzerwanej płynności jest szczególnie jaskrawy w dziedzinie finansów. Sieci komunikacji elektronicznej (electronic communication networks; ECNs) umożliwiają ludziom kupno i sprzedaż akcji nawet po oficjalnym zamknięciu rynków. A handel on-line zmusił konserwatywne giełdy do rozważenia możliwości przedłużenia godzin działania, dokładnie tak samo, jak uczynił to wspomniany dom towarowy w Niemczech. Szwecja już się na to zdecydowała, a giełdy w Nowym Jorku i Toronto poważnie biorą pod uwagę taki ruch. Najwyraźniej jednak jest to jedynie pierwszy, nieśmiały krok. Systemy obrotu akcjami w przyszłości będą pracowały nieustannie.

Presja czasowa, nasza umiejętność poszatkowania czasu na coraz cieńsze, nierówne plasterki, oszałamiająca potęga i szybkość infrastruktury elektronicznej, indywidualizacja produktów, coraz większa granulacja płatności - wszystko to wskazuje na dzień, w którym przepływy finansowe niekoniecznie osiągnąć będą szczyt w przewidywalnym terminie - np. w piątkowe popołudnie czy każdego piętnastego dnia miesiąca.

Te wzajemnie powiązane zmiany - przyspieszenie, coraz powszechniejsze nieregularności i nieprzerwana płynność - przekształcają cały "czasobraz." Ale nawet te zmiany są jedynie częścią obszerniejszego procesu zamiany czasu przemysłowego na czas XXI wieku.

Jak wskazaliśmy już na kartach *Szoku przyszłości*, te samonapędzające się alternatywy wywołują wiele następstw o charakterze społecznym: szybszy przepływ towarów, ludzi, miejsc, relacji i informacji przez życie firmowe i osobiste. Przybywa nam produktów jednorazowego użytku - dziś są to aparaty fotograficzne, jutro - telefony. Podobnie rzecz ma się z jednorazowymi ideami i modelami biznesowymi, jak też ze związkami międzyludzkimi.

PĘDEM, ALE DOKĄD?

Zmiany te popychają nas też silnie ku ad-hocracji: odchodzimy wszak od stałych lub długotrwałych struktur organizacyjnych w biznesie do pojedynczych "strzałów" i krótkoterminowych formatów organizacyjnych, np. tymczasowych sklepów. Na tej właśnie zasadzie tokijska firma założona przez projektantkę Rei Kawakubo i jej męża otworzyła w Berlinie sklep, który, wedle zapowiedzi, ma istnieć tylko jeden rok, a następnie zostanie zamknięty bez względu na to, czy pojawią się zyski czy nie. Pomysł ten ma odzwierciedlać coraz krótszy żywot mody, filmów, muzyki i sławy.

Firmy także angażują się w nieustającą, płynną reorganizację wewnętrzną, w pośpiechu dostosowując się do wymagań rynku, finansów i innych zmiennych. Tymczasowość lub przejściowość organizacyjna, której od dziesięcioleci przybywa w wielu firmach, stały się dziś nieuniknioną przyszłością rozwiniętej gospodarki.

Jeszcze bardziej efemeryczne są mody w zakresie zarządzania: pojawiają się, odciskają swe piętno na kolejno następujących po sobie reorganizacjach, po czym znikają w odmętach zapomnienia równie szybko, jak się pojawiły. Częściej zmieniają się też ceny. Inwestorzy żądają coraz to szybszych stóp zwrotu. Znacznie skraca się żywot relacji z ludźmi, miejscami, ideami, technologiami i partnerami biznesowymi.

Jak daleko może się posunąć społeczeństwo ku superszybkości i rozchwianych relacjach czasowych, jeśli jego część uwalnia się od rutyny, standardowych harmonogramów, a inne części nadal żyją według wskazań zegara przeszłości? Jak pracodawcy mają sobie radzić z młodymi pracownikami, produktami i nowym sposobem życia, dla których punktualność jest ograniczeniem ich wolności i kreatywności?

Badacze uważają dziś, że rozpowszechnieniu telefonii komórkowej towarzyszyła nieco bardziej liberalna postawa wobec punktualności, skoro ludzie mogą dziś po prostu zadzwonić i uprzedzić, że się spóźnią. Głębszą przyczyną tego zjawiska jest jednak upadek linii montażowej. Linie montażowe wymagają zsynchronizowanej pracy, co oznacza, że spóźnienie jednego pracownika spowalnia pracę wszystkich pozostałych przy tej samej linii. Wymaga tak wielkiej dozy punktualności, o jakiej w społeczeństwach rolnych nikt nie słyszał. Dzisiaj, wobec większej liczby wolnych strzelców i osób pracujących wedle rozmaitych harmonogramów, czas jest ważniejszy, ale precyzyjna punktualność znaczy o wiele mniej.

Nie możemy tu w pełni omówić społecznych, kulturowych, psychologicznych i ekonomicznych implikacji tych przemian. Jednak jasne jest że na naszych oczach dokonuje się dziejowa zmiana, o której świadczy wzajemna desynchronizacja kluczowych instytucji, wzrost napięcia między synchronizacją i desynchronizacją, trwające superprzyspieszenie, zatracenie regularności czasowych, coraz słabszy związek wydajności z czasem, skoro każdy kolejny interwał czasowy jest potencjalnie bardziej wartościowy od poprzedniego, czy wreszcie ludzka umiejętność mierzenia, wykorzystywania i kontrolowania zarówno coraz krótszych, jak i coraz dłuższych postępow czasu.

Dokonujemy dziś rewolucji w zakresie związków ludzkości z jednym z najgłębiej posadowionych fundamentów bogactwa: z czasem. Sama tylko ta zmiana odmieni życie nasze i naszych dzieci. Ale to nie wszystko!

Część IV

Rozciąganie przestrzeni

Rozdział 9

Koło historii

Dziś dokonuje się także jedna z największych w dziejach ludzkości geograficznych przemian bogactwa. Bogactwo przemieszcza się, jak nigdy dotąd.

Podczas gdy zmieniamy nasze relacje wobec czasu, zmieniamy także nasze relacje z dogłębnymi, fundamentalnymi podstawami przestrzeni - miejscami, gdzie wytwarza się bogactwo, nowymi kryteriami wyboru tych miejsc i sposobem, w jaki są połączone.

Wynikiem tych przemian jest swoista turbulencja przestrzenna. Rosnąca "mobilność bogactwa" będzie miała wpływ na przyszłość naszej pracy, inwestycji, możliwości biznesowych, struktur organizacyjnych firm, lokalizacji rynków i codziennego życia zwyczajnych ludzi na całym świecie. Określi los naszych miast, krajów i całych kontynentów.

AZJA, HO HO HO!

Ponieważ Zachód przez długi czas dominował gospodarczo, często pomija się fakt, że przed pięciuset laty to Chiny, a nie Europa, posiadały najbardziej zaawansowaną technologię i to Azja była światowym liderem, zapewniającym 65 proc. mierzalnego produktu ekonomicznego świata.

Nie pamięta się dziś na ogół, przynajmniej na Zachodzie, że w roku 1405 flota składająca się z 317 okrętów z załogą 27 tys. żeglarzy i wojowników wybrała się na jedną z siedmiu niezwykłych wypraw badawczych. Według historyka Louise Levathesa, na czele floty stanął admirał Zheng He, muzułmański eunuch chiński i jeden z najznakomitszych zdobywców mórz. He zbadał wybrzeże Afryki oraz Zatokę Adeńską na Bliskim Wschodzie, docierając aż do Dżuddy i Zufaru (dawniej Dhofaru), kładąc podwaliny pod chiński handel w obrębie całego Oceanu Indyjskiego.

Zachód potrzebował jeszcze dwustu pięćdziesięciu lat, Oświecenia oraz zapoczątkowania rewolucji przemysłowej, by wielka transformacja Drugiej Fali stopniowo przeniosła gospodarczy, polityczny i wojskowy środek ciężkości - do Europy.

Jednak nie na długo. Pod koniec XIX stulecia światowe centrum wytwarzania bogactwa zaczęło się przesuwac jeszcze dalej na Zachód, ku Stanom Zjednoczonym, a pozostałości europejskiej dominacji gospodarczej znikły za sprawą dwóch wojen światowych.

I już w 1941 roku, tuż przed japońskim atakiem na Pearl Harbor, który wciągnął Stany Zjednoczone do II wojny światowej, Henry Luce, wydawca tygodnika "Time", miał prawo napisać, że XX wiek już był "wiekiem Ameryki". Odwołując się do jego słów, Stany Zjednoczone "powinny pełnić rolę Miłosiernego Samarytanina wobec całego świata, nakarmić tych wszystkich ludzi na świecie, którzy w wyniku globalnego upadku cywilizacji cierpią głód i nędzę".

Istotnie, od tego czasu, a szczególnie od połowy lat pięćdziesiątych XX wieku, kiedy rozpoczęła się Trzecia Fala i transformacja ku gospodarce intelektualnej, gospodarka amerykańska posiada pozycję dominującą. Przesunięcie na Wschód, ku Azji, rozpoczęte nieśmiało w Japonii, a następnie

w tzw. krajach świeżo uprzemysłowionych, jak Korea Południowa, w ciągu kolejnych dziesięcioleci nabrało jednak całkiem sporej siły.

OTWARCIE TAMY

Tamy zaczęły się naprawdę otwierać, kiedy w latach osiemdziesiątych XX wieku Chiny jednoznacznie zalegalizowały i zaczęły propagować niekoniecznie komunistyczną drogę do bogactwa. W latach dziewięćdziesiątych tamy puściły całkowicie i Chiny zostały zalane bezpośrednimi inwestycjami zagranicznymi, o wartości szacowanej na 570 mld USD w ciągu ostatnich dwudziestu pięciu lat.

W roku 2002 w doniesieniach serwisu prasowego Sinhua stwierdzono, że wartki strumień owych inwestycji to "prawdziwy cud". Chiny stały się największym na świecie odbiorcą inwestycji zagranicznych, większym nawet od Stanów Zjednoczonych. W samym tylko roku 2003 trafiło tam 53,5 mld USD, a wartość inwestycji, jakie napłynęły do Chin w roku 2005 szacuje się na 70 miliardów dolarów.

Wspaniały rozkwit Chin stanowi uhonorowanie ciężkiej pracy, pomysłowości i innowacyjności chińskiego społeczeństwa, uwolnionego z okowów komunizmu. Jednak - i tu powraca do nas opowieść Henry Luce'a - wszystko to nie mogłoby się wydarzyć bez pomocy Stanów Zjednoczonych.

Luce był synem misjonarza działającego w Chinach, gorliwym chrześcijaninem i antykomunistą, który jednak nigdy nie przestał interesować się Chinami. I gdyby mógł żyć dostatecznie długo, by móc spojrzeć na kilka minionych dziesięcioleci, byłby mile zaskoczony gigantycznym wsparciem, jakiego udzieliły Stany Zjednoczone błyskawicznie rozwijającym się Chinom, mimo że rzadko kto wierzy w czysto altruistyczne motywy Ameryki.

Do 2003 roku Amerykanie wpompowali w Chiny inwestycje rzędu 44 mld USD. Stany Zjednoczone zapewniły też Chinom gigantyczny rynek zbytu, importując towary o wartości przekraczającej 150 mld USD w samym tylko 2003 roku. W tym czasie eksport chiński wynosił już ponad 436,1 mld USD, a produkt krajowy brutto (PKB) osiągnął pułap 6,5 biliona dolarów.

Ów rok przyniósł istny potop azjatycki. Chiny wraz z Singapurem, Południową Koreą i Tajwanem osiągnęły PKB niemal równy łącznemu PKB Niemiec, Francji, Wielkiej Brytanii, Włoch i Hiszpanii - pięciu najpotężniejszych gospodarczo państw europejskich. A zestawienie to nie obejmuje jeszcze Japonii. Jeśli dodamy Japonię i Indie, to tych sześć państw azjatyckich osiąga łączny PKB o 3 biliony dolarów wyższy, niż dwadzieścia pięć państw członkowskich Unii Europejskiej razem wziętych lub niż Stany Zjednoczone.

A zatem jesteśmy świadkami dziejowego przesunięcia się bogactwa i jego wytwarzania - na drugi kraniec świata. Można je potraktować jako zwyczajną kontynuację ruchu zapoczątkowanego w chwili, gdy potęga gospodarcza po raz pierwszy przemieściła się z Chin do Europy Zachodniej, a następnie do Stanów Zjednoczonych, a zatem jako dopełnienie wielkiego historycznego cyklu: jako powrót supremacji ekonomicznej do Azji, którą przed wiekami opuściła.

“Wyobraźmy sobie świat w roku 2050 - puścił wodze fantazji Robert Manning z Rady Stosunków Międzynarodowych (Council on Foreign Relations) - widzimy Azję skupiającą ponad połowę ludności świata; może 40 proc. gospodarki światowej, ponad połowę światowego przemysłu informatycznego i światowej klasy zdolności obronne nasycone zaawansowanymi technologiami”.

Ale czy naprawdę chodzi o to, że koło historii właśnie zatacza wielki krąg? Czy obserwowane dzisiaj zmiany będą w przyszłości przebiegały liniowo czy może kołowo? Jeszcze wrócimy do przyszłości Chin i Azji. Na razie jednak zajmijmy się innymi, zaskakującymi przemianami przestrzennymi, które towarzyszą rewolucji bogactwa.

Rozdział 10

Miejsca o wyższej wartości dodanej

Wyobraźmy sobie takie nic, gdzie wszyscy mieszkamy i gdzie produkuje się wszystkich bogaczy świata. Taka właśnie, jota w jotę, fantastyczna wizja zaczęła się ziszczać pod koniec lat dziewięćdziesiątych XX wieku, kiedy doszło do eksplozji Internetu. Rozwój Internetu był tak zdecydowany, że podważył znaczenie przestrzeni i relacji przestrzennych. Wielu zapalonych komputerowców i entuzjastycznych internautów z euforią mówiło o “bezmiejscowiu”. William Knoke w jednym ze swych bardziej skrajnych stwierdzeń na ten temat zawarł pytanie: “Co by było, gdyby lokalizacja straciła wszelkie znaczenie? Wyobraźmy sobie świat, w którym wystarczyłoby zamknąć oczy, żeby się znaleźć w Bombaju lub Paryżu, zupełnie jakby się miało do dyspozycji urządzenie do teleportacji prosto z filmu *Star Trek*. Wyobraźmy sobie, że mamy możliwość namiętnie kochać się z naszym partnerem, który może w tym samym czasie przebywać w innej dzielnicy czy wręcz w innym mieście. Pomyślmy, jak to jest być w dwóch albo trzech miejscach naraz... Oto świat bez miejsca. Społeczeństwo Bez Miejsca nie istnieje jednak. Przynajmniej na razie.” Aczkolwiek, jego zdaniem, kilka różnych ale przenikających się technologii kieruje nas dokładnie w tę stronę.

Inni przedstawiali cyberprzestrzeń jako terytorium, które nie ma miejsca w świecie fizycznym, albo wręcz jako pierwszy przejaw świata równoległego. Dla nich świat wirtualny zajmuje coś, co dosadniej można określić mianem “bez-przestrzeń”.

Jeśli jednak odsuniemy na bok całą tę poezję i przepiękne hiperbole, musimy przyznać, że nawet elektroniczne bity są przechowywane w jakimś konkretnym miejscu i kiedy je przesyłamy - przemieszczają się w przestrzeni, a nie w “bez-przestrzeni”.

A zatem digitalizacja, mówiąc krótko, nie dematerializuje przestrzeni. Nie zastępuje rzeczywistości jakąś “wirtualną przestrzenią”. Ale przyspiesza i ułatwia przemieszczanie się bogactwa i tworzenie bogactwa wszędzie: nie tylko na skalę wielkiego kręgu, ale także na całkiem lokalnym szczeblu.

A tu, na ziemi, na nowo kreśli się mapy światowego bogactwa, w miarę jak fale zmian przetaczają się przez świat, z impetem wpychając niektóre miasta w przyszłość, inne strącając w mroki zapomnienia. Już dziś kształtują się jutrzejsze miasta wyższej wartości dodanej.

WCZORAJSZE MIEJSCA

Cleveland w stanie Ohio było niegdyś ważnym ośrodkiem przemysłu ciężkiego z walcowniami, hutami i fabrykami motoryzacyjnymi. Dzisiaj Cleveland szczyci się jedną z najlepszych w USA uczelni naukowych i politechnicznych Case Western Reserve i dysponuje rozbudowanym sektorem usług medycznych na czele z Cleveland Clinic. Poczerniałe fasady domów i sklepów wciąż jednak przypominają o dekadach smogu i dymu. Miasto to uważane jest za najbiedniejsze miasto Ameryki -

ofiarę swego niegdysiejszego sukcesu przemysłowego i nieumiejętności nadążenia za Trzecią Falą, która unosi inne części Ameryki w stronę przyszłości.

Co więcej, Cleveland jest jedynie najbardziej jaskrawym przypadkiem. Ale przecież mniej więcej taki sam los stał się udziałem wielu innych, wielkich i dymiących miast na całym świecie - które jeszcze wczoraj były motorem napędzającym przemysłowe bogactwo. Taki los spotkał nie tylko miasta. Całe regiony podupadają, tracąc pozycję ekonomiczną, a inne wyrastają zajmując ich miejsce.

Prowincja Guangdong (dawniej Kantońska) w południowo-wschodnich Chinach. Jeszcze dziesięć lat temu, jak pisze "Industry Week", "tam, gdzie bawół ciągnął z mazołem pług przez pole ryżowe - teraz stoją długie szeregi fabryk produkujących komputerowe układy scalone, radia, zabawki i odzież. Zainwestowały tam wielkie koncerny; swe bazy produkcyjne posiadają już w prowincji Guangdong takie firmy, jak Procter & Gamble, Nestle, Coca-Cola i Mitsubishi".

Sprowadziły się tam miliony ludzi. Powstały miliony nowych miejsc pracy, a PKB Guangdong zwiększył się czterokrotnie w ciągu zaledwie dziesięciu lat.

Dzisiaj prowincja Guangdong i cały rejon delty Xi Jiang (tzw. Rzeki Perłowej), w której jest położona, wraz z Hongkongiem i Makao, stanowi jeden z największych na świecie ośrodków produkcyjnych. Region ten przeszedł transformację od gospodarki rolnej do ośrodków przemysłowych, przejmując sporą część produkcji zapewnianej dawniej przez fabryczne ośrodki na Zachodzie.

Ale to nie wszystko, co udało im się osiągnąć. Ponieważ zamiast zapatrzeć się w Drugą Falę jako docelową przyszłość, Guangdong już dzisiaj chce wiedzieć, co się stanie w momencie, gdy skończy się praca w fabrykach napędzanych tanią siłą roboczą. Na razie rejon ten przechwytuje całą robotę nie wymagającą zaawansowanej technologii, ale idzie krok w krok za produkcją rodem z Trzeciej Fali: wymagającą wiedzy, oferującą wyższą wartość dodaną.

Nic dziwnego, że Chiński Instytut Rozwoju zauważa, iż rozwijający się sektor high-tech w Guangdong obejmuje przedsiębiorstwa działające w branży "technologii informacyjnych, nowych materiałów, nowych źródeł energii, biotechnologii i produkcji zintegrowanych elektronicznych systemów maszynowo-laserowych." Oprócz ośrodka badawczego Case Western Reserve, w Cleveland działa raczej niewiele tego typu firm, podobnie jak w jej - także samo podupadłych - miastach bliźniaczych. Wszystkie te ośrodki dziś wymagają nowych strategii przetrwania. I nowych map bogactwa.

PO CO NAM TE GRANICE?

Nowe strategie potrzebne są dlatego, że nowe realia gospodarcze niekoniecznie pokrywają się ze starymi granicami i istniejącymi stosunkami władzy.

Błyskotliwie o powstaniu w wielu rejonach świata tzw. "regionów-państw" pisał Kenichi Ohmae, nazywając je "motorami dobrobytu". W Chinach - twierdzi Ohmae - anachroniczny, scentralizowany rząd komunistyczny "celowo czy przypadkowo" reorganizuje się na wzór korporacyjny. "Podobnie

jak wiele firm - pisze Ohmae - Chiny przenoszą kompetencje do podejmowania większości decyzji na szczebel "jednostki biznesowej" - quasi-autonomicznych, posiadających własny samorząd gospodarczych regionów-państw, konkurujących między sobą zawzięcie o kapitał, technologie i zasoby ludzkie".

Istotnie, w swej książce zatytułowanej *The Next Global Stage*, opublikowanej w roku 2005, pisze: "Dalian, podobnie jak kilkanaście innych regionów chińskich, stał się faktycznym regionem-państwem, realizującym własny program gospodarczy. Mimo że wciąż leży w granicach Chin i, teoretycznie, podlega władzy Pekinu, jest w zasadzie autonomiczny. W rzeczywistości jego związki z Pekinem są słabsze niż powiązania z ośrodkami biznesowymi na całym świecie".

Wiele powstających stref ekonomicznych rozlewa się niezależnie od istniejących granic państwowych. A zatem części Teksasu i południowej Kalifornii łączą się z połączeniami północnego Meksyku, tworząc dwa wielkie dwunarodowe regiony ekonomiczne, z których każdy mógłby w ciągu najbliższych kilkudziesięciu lat wypracować własną charakterystyczną dwunarodową kulturę, jak również ponadgraniczną strukturę polityczną.

Na drugim krańcu globu, Jussi Jauhiainen, profesor geografii na Uniwersytecie Helsińskim, opisuje region sięgający od Helsinek w Finlandii po Tallin w Estonii; kolejny region tego typu istnieje w Karelii - po dwóch stronach granicy fińsko-rosyjskiej, a trzeci obejmuje Narwę w Estonii i Iwangorod w Rosji. Ze strony ONZ padła propozycja rozwoju rzeki Tumen w północno-wschodniej Azji, wzdłuż której ciągnie się granica Rosji, Chin i Północnej Korei. Z kolei "Financial Times" spekuluje, że oś Władywostok - Vancouver - Sapporo z różnych względów ma szansę stać się "zapleczem energetycznym rejonu Pacyfiku".

Tak oto po raz kolejny zmieniamy mapy przeszłości i nasze różne stosunki z głębokimi fundamentami przestrzeni.

Przyśpieszenie przemian sugeruje jednak, że nowe mapy będą coraz bardziej tymczasowe, zawsze gotowe do zwrotów i naziemnych relokacji. W razie wątpliwości, warto zasięgnąć opinii Alexandro Bustamante.

WYŚCIGI TANIEJ SIŁY ROBOCZEJ

W roku 1993 Meksyk przystąpił wspólnie z Kanadą i Stanami Zjednoczonymi do tzw. NAFTA, czyli North American Free Trade Agreement (Północnoamerykańskiego Układu Wolnego Handlu). W ciągu siedmiu lat wzdłuż granicy meksykańsko-amerykańskiej wyrosło 3,5 tys. zakładów posiadających przywilej montowania i konfekcjonowania bezcłowo importowanych półproduktów i surowców z przeznaczeniem do reeksportu, tzw. maquiladora. Zakłady te produkowały wszystko: od mebli poprzez odzież po telewizory, tworząc 1,4 mln miejsc pracy, głównie przy obsłudze linii montażowych dla robotników ściąganych tam z całego Meksyku.

Ale pod koniec lat dziewięćdziesiątych wobec silnej konkurencji ze strony Guandongu, a właściwie całych Chin, oferujących tanią siłę roboczą, szacuje się, że od 250 tys. do 300 tys. tych nowych miejsc pracy odpłynęło, zgodnie z wielkim cyklem, na przeciwne wybrzeże Pacyfiku.

To właśnie wtedy objawił się Bustamante. Kiedy firma, w której był zatrudniony, Plantronics, czołowy producent akcesoriów telefonicznych, otrzymała zlecenie, zwrócono się do Bustamantego. Chociaż nadzorował trzy fabryki należące do firmy w Tijuanie, powiedziano mu, że musi konkurować o każde zlecenie, tak jak każdy inny. Ale Bustamante płacił swoim robotnikom średnio 2,2 dolara za godzinę (łącznie ze świadczeniami). Jak tu konkurować z chińskimi firmami, w których płaci się robotnikom średnio zaledwie 60 centów?

I nie ma w tym ani nic dziwnego, ani nowego. Wiele firm prowadzących zakłady maquiladora w północnym Meksyku musi stawiać czoło chińskim konkurentom. Ale tym, co szczególnie rozdrażniło Bustamante, był fakt, że chiński rywal, z którym miał konkurować, także należał do Plantronics!

Być może jest to przypadek seryjnego eksportu - odsyłania do Chin pracy, która już została wyeksportowana do Meksyku. Taki outsourcing, mimo że dotyczy znikomej części ogólnej liczby miejsc pracy, wywołał na tyle zaciętą krytykę i tak obszerne publikacje medialne, że nie ma powodu, byśmy przypominali tutaj dobrze znane argumenty. Ograniczymy się tylko do stwierdzenia, że zjawisko to było częścią szerszego procesu zmian w przestrzennej dystrybucji bogactwa i tworzenia bogactwa.

Outsourcing wywołuje oburzenie krytyków re-globalizacji, utrzymujących, że tworzy on "wyścig na samo dno" - nie dający się powstrzymać i brutalizujący życie społeczne. Zazwyczaj twierdzą, że firmy zawsze podążają tam, gdzie koszty pracy są najniższe i że zawsze gotowe są zebrać się i przenieść w dowolne miejsce niemal bez uprzedzenia.

Jeśli byłaby to prawda, łatwo byłoby przewidzieć, dokąd zmierza bogactwo. Byłaby to dobra wiadomość dla Afryki, która może zaoferować znaczne zasoby siły roboczej po najniższych kosztach na świecie. (Afrykanie zaś powinni się cieszyć za każdym razem, kiedy robotnicy w Azji zapisują się do związków zawodowych i wpływają na podwyższenie płac.) Jeśli koszty pracy byłyby tu jedyną przesłanką, dlaczego zamiast w Chinach nie zakładano tych wszystkich fabryk w Afryce?

Sęk w tym, że nawet w przypadku pracy nie wymagającej zaawansowanej technologii, koszt pracy rzadko, jeśli w ogóle, bywa wyłączną podstawą decyzji firm o przeprowadzce. Morze przemocy i wojen w Afryce, nieodpowiednia infrastruktura, gigantyczna skala korupcji, szalejący AIDS i dyktatura rozmaitych reżymów mogą przekreślić szanse Afryki na co znaczniejsze inwestycje, bez względu na poziom płac.

Co więcej, teoria "wyścigu na samo dno" zakłada, że robotnicy są w zasadzie zastępowalni, co może w dużej mierze być słusznym założeniem w odniesieniu do powtarzalnych czynności w ramach obsługi taśm montażowych. Jednak im wyższy szczebel gospodarki intelektualnej będziemy rozpatrywać, tym bardziej twierdzenie to będzie traciło na słuszności.

W miarę wzrostu ważności i złożoności intelektualnych komponentów tworzenia bogactwa - marketingu, finansów, badań, zarządzania, telekomunikacji, informatyki, relacji z dystrybutorami i partnerami handlowymi, zgodności z przepisami prawa, zagadnieniami prawnymi i innymi wartościami niematerialnymi - pracownicy, podobnie jak i sama praca, stają się coraz mniej zastępowalni, a wymagane umiejętności mają coraz bardziej przejściowy charakter.

Z tego względu próby przewidzenia, które miasta, regiony czy wręcz kraje staną się kolejnym Guangdongem, skazane są na niepowodzenie, jeśli ekstrapolacje dotyczące gospodarki przyszłości będą budowały wyłącznie na podstawie obecnego lub spodziewanego w przyszłości poziomu płac.

Każda tak uproszczona analiza stanie się jeszcze bardziej dyskusyjna, ponieważ tam, gdzie gospodarka dokonuje transformacji od fabryk i linii montażowych do produkcji opartej na wiedzy, już teraz radykalnie zmieniamy same kryteria, wedle których dane miejsce, miasto, region czy kraj staje się miejscem o wyższej wartości dodanej.

Przekonamy się, że mniej będzie wyścigów w kierunku “na dno”, a więcej - na sam szczyt.

NIERUCHOMOŚCI JUTRA

Aby przewidzieć zaskakującą geografie jutra - włącznie z lokalizacją wysokopłatnej pracy, najlepszych nieruchomości, możliwości biznesowych, bogactwa i władzy - należy zrozumieć jeszcze inną, kluczową sprawę: zmieniamy nie tylko “gdzie” bogactwa, ale “dlaczego”, czyli kryteria, wedle których określamy wartość miejsca.

Władze stanu Indiana, chcąc przypodobać się przemysłowi, umieściły w 1955 roku na łamach dwutygodnika “Forbes” listę swych zalet ekonomicznych. Wśród nich znaleźć można było: tani węgiel, wapień, łożowisko, aluminium, gips, złoża asfaltu, dolomit, fluoryt, wodę, piasek, żwir, drewno, kukurydzę, soję i łatwy dostęp do rzeki Ohio. Dodatkowo obiecywano “godne pozazdroszczenia tradycje strajkowe i lockoutowe”, co miało oznaczać słaby lub ospały ruch związkowy.

Tak było niegdyś. Dzisiaj Rada Rozwoju Indiany bazuje na odcinaniu się od “nadmiernego zaufania wobec branż tradycyjnych”.

Ani słowa o wapniu.

Czasopismo “Inc.” mówi swoim czytelnikom - szefom małych i średnich przedsiębiorstw amerykańskich - że najlepszym miejscem do założenia firmy jest Phoenix w stanie Arizona, ze względu na rosnącą tam siłę roboczą związaną z zaawansowanymi technologiami, słoneczny klimat, odnowione muzeum sztuki i “cztery duże obiekty sportowe”.

Grupa znana jako Small Business Survival Committee (Komitet Przetrwania Małych Firm) rekomenduje Południową Dakotę jako miejsce pod inwestycje, ponieważ nakłada się tam najmniej kosztów na firmy w postaci podatków, przepisów określających minimalną płacę, liczbę pracowników administracji i tym podobne. Jeszcze inny system oceny przyszłej atrakcyjności inwestycyjnej opiera się na analizie wieku i stopy wzrostu liczby firm w dowolnej lokalizacji. Firma współpracująca z Microsoftem, bCentral.com, kalkuluje następnie podwójny wskaźnik na podstawie dwóch ostatnich metod i wskazuje, że pieniądze na inwestycje najlepiej wysupłać z portfela w Nowadzie.

Cytujący owo ogłoszenie z 1955 roku w swym opracowaniu, zatytułowanym the State New Economy Index (Stanowy Wskaźnik Nowej Gospodarki), Robert D. Atkinson oraz Rick Coduri z Progressive Policy Institute piszą: “W gospodarce, w której mniej niż 20 proc. aktywności

gospodarczej składa się z produkowania, przetwarzania lub transportowania dóbr materialnych - dostęp do surowców, środków transportu i rynków ma mniejsze znaczenie. Wraz ze wzrostem udziału elektronicznych bitów w nakładach i wynikach działalności - znaczenie dawnych czynników lokalizacyjnych zmniejsza się.”

Weźmy na przykład bliskość. Niektórzy współcześni ekonomiści skłonni są uważać, że ponieważ Meksyk jest tak blisko rynków amerykańskich, w wymiarze długofalowym zdoła pokonać chińską konkurencję. Zakładają, że odległość nadal odgrywa taką samą rolę, jak przed nadejściem gospodarki intelektualnej (opartej na wiedzy). Ale dzięki technologiom nasyconym informacjami produkty z każdym dniem stają się coraz mniejsze i coraz lżejsze.

Liczyć na bliskość oznacza do pewnego stopnia wierzyć w to, że liczą się koszty transportu, że przewaga Meksyku ujawni się wobec starszych, większych, bardziej spakowanych, cięższych dóbr materialnych - a więc dokładnie tych, które się dziś usuwa. Ma to coraz mniejsze znaczenie dla usług niematerialnych o wysokiej wartości dodanej, w których przypadku koszty transportu mają bardzo niewielki lub zgoła nie mają żadnego związku z odległością - chodzi tu o finanse, oprogramowanie, telewizję satelitarną, systemy rezerwacji biletów lotniczych, muzykę i tym podobne. Dalsze liczenie na bliskość sprawi, że Meksyk pozostanie jeszcze bardziej w tyle. I to na dobre.

Dzisiaj w swym wyścigu na szczyt stany mniej przechwalają się wapniem i węglem, chlubiąc się raczej wspaniałymi uczelniami, niskimi kosztami telekomunikacji, zaawansowaną technologią, bogatą siecią połączeń lotniczych, niskim poziomem przestępczości, dobrym klimatem i wysokim komfortem życia. Gospodarka przekształciła się wraz z wartościami pracowniczymi i sposobem życia.

Same kategorie, w jakich opisuje się jednostki przestrzenne i relacje, zmieniają się wraz z powstawaniem nowych sieci w gospodarce. Obserwujemy, na przykład, powstanie całkowicie nowego środowiska portów lotniczych powiązanych z sobą nawzajem silniej niż z lokalnymi samorządami czy administracją państwową. W świecie, który Greg Lindsay na łamach “Advertising Age” nazywa “Airworld” (powietrzny świat), każde lotnisko jest coraz ściślej otoczone swym własnym pierścieniem “centrów handlowych, ośrodków konferencyjnych, siłowni działających całodobowo przez siedem dni w tygodniu, kaplic, urzędów pocztowych, gabinetów dentystycznych i przychodni lekarskich, basenów na dachu i luksusowych hoteli.”

W rezultacie dochodzi do wyścigu - i to nie tylko w Stanach Zjednoczonych - o stworzenie miejsc, które nazwijmy miejscami o wyższej wartości dodanej, które ściągają nie tylko najlepiej wykształconą i najbardziej kreatywną siłę roboczą, zdolną do produkowania nasyconych wiedzą produktów o wyższej wartości dodanej, ale także firmy z całego świata.

Podsumowując: historyczne przesunięcie ku Azji, digitalizacja wielu funkcji gospodarczych, powstanie regionów ponad granicami państwowymi oraz zmiana kryteriów oceny wartości miejsc lub lokalizacji razem stanowią część szerszej transformacji w obrębie naszych relacji z głębokim fundamentem, jakim jest przestrzeń. Są jednak zarazem zaledwie tłem dla o wiele bardziej zasadniczych zmian, które widać na horyzoncie.

Rozdział 11

Zasięg przestrzenny

Kiedy w roku 2002 Puchar Świata w piłce nożnej organizowany były w Japonii i Korei Południowej, Hugo Enciso z Los Angeles, postanowił zabrać swego syna do Tokio. Enciso, z pochodzenia Meksykanin, ale Amerykanin z wykształcenia i stylu życia, pracuje w "La Opinión", największym hiszpańskojęzycznym dzienniku w Stanach Zjednoczonych, jako szef marketingu. Wraz z synem spotkał się w Japonii z nieliczną tam społecznością latynoamerykańską i miał okazję poznać japońską kuchnię, obyczaje i japońską manię sportową. Dla Enciso miało to być doświadczenie, które miał długo pamiętać. Do Korei i Japonii przybyły wówczas na mistrzostwa setki tysięcy innych obcokrajowców z wszystkich stron świata.

Później spotkaliśmy się z Enciso w Kalifornii na ślubie dwojga młodych informatyków - on urodzony był w Pakistanie, ona w Indiach. Jego rodzina była muzułmańska, jej - hindu. Kiedy z głośników rozlała się muzyka pashtun, Enciso przyłączył się do podrygującego energicznie tłumu uszczęśliwionych tancerzy, z których większość nie słyszała dotąd ani jednej nuty muzyki pashtun. Można było wśród nich dojrzeć sporo szefów firm reprezentujących kulturę WASP⁴, azjatyckich studentów, amerykańskich Żydów i przedstawicieli wielu innych grup etnicznych, religijnych, pochodzących z różnych stron świata. Nie było to więc tylko mieszane małżeństwo, ale mieszane wesele. Jakżeż głęboka była symbolika tej uroczystości!

Nie tylko przenosimy do Azji, w tym do Południowej Azji, środek ciężkości gospodarki światowej, skąd wywodzili swe korzenie przodkowie pary młodej. Nie tylko zmieniamy kryteria, które przesądzą kierunek przyszłego odpływu miejsc pracy, nowych zakładów, biur i domów, jak również przyszłe umiejscowienie tworzenia rewolucyjnego bogactwa. Poszerzamy także coś co można określić jako nasz osobisty "zasięg przestrzenny".

Blisko dwa i pół tysiąca lat temu w starożytnych Chinach, gdzie chłopcy byli przywiązani do ziemi, chiński filozof Chuang Tzu stwierdził, że ludzie, którzy podróżują, są "kłopotliwi, fałszywi, pełni niepokoju i biorą udział w tajnych spiskach". Dziś szacuje się, że w ciągu roku 8 proc. ludności świata - mniej więcej pół miliarda osób - przekracza w trakcie swych podróży granice państw. Ta liczba równa jest liczbie łącznej ludności świata w roku 1650, a więc w przededniu ery przemysłowej. Może i jesteśmy kłopotliwi i być może bierzemy udział w tajnych spiskach, może poszukujemy pracy, a może po prostu lecimy do Milwaukee, żeby się spotkać z klientem: jesteśmy gatunkiem niezwykle ruchliwym.

⁴ Akronim od White Anglo-Saxon Protestants; (dosł. biali, anglosascy protestanci); termin ten odnosi się do białych Amerykanów należących do zamożnej, konserwatywnie nastawionej elity. Nie wszyscy jej przedstawiciele muszą koniecznie mieć anglosaskie korzenie, albo istotnie być protestantami - przyp. tłum.

OSOBISTA GEOGRAFIA

Przeciętny Amerykanin pokonuje rocznie 11 tysięcy mil. W większości są to dojazdy do pracy i powroty do domu - taka dwukierunkowa podróż to średnio dwadzieścia trzy mile. Często jeździmy też do miejsc w pobliżu domu - supermarketu czy banku. Rodzinne wyprawy wakacyjne są z reguły nieco dłuższe. Bez trudu prześledzimy naszą samochodową podróż na mapie. Osoba podróżująca w biznesie może też wskazać miasta na mapie, które odwiedziła w ciągu roku, oraz podróże wewnątrz tych miejsc. W rezultacie otrzymamy mapę ukazującą "podróżny zasięg" każdego z nas. Ale moglibyśmy też na mapie zaznaczyć te wszystkie miejsca, w które wysłaliśmy albo z których otrzymaliśmy e-maile, tradycyjną korespondencję pocztową [snail mail - ang., dosł. pocztę ślimaczą - przyp. tłum.], rozmowy telefoniczne i faksy oraz wszystkie adresy w naszych wizytownikach i wszystkie strony, które obejrzelśmy w Internecie.

Nieco więcej trudności sprawiłoby nam prześledzenie geograficznego miejsca pochodzenia produktów, które kupujemy, oraz drogi, którą odbędą odpady przez nas wytwarzane i zanieczyszczenia powietrza. Nawet to nie wyczerpuje listy wszystkich miejsc, z którym łączą nas, lub chcielibyśmy, żeby nas łączyły - jakiegokolwiek powiązania. Ale ćwiczenie takie da nam wyobrażenie o zasięgu przestrzennym każdego z nas - nieustannie zmieniającej się mapie naszej osobistej geografii.

Porównajmy nasz dzisiejszy, osobisty zasięg przestrzenny z tym, jaki mogli mieć chłopcy, powiedzmy, w dwunastowiecznej Europie, którzy przez całe swoje życie raczej nie oddalili się od swojej wsi na większy dystans niż 15 mil. Może z wyjątkiem idei religijnych, które do nich przywędrowały z odległego Rzymu, wszelkie życiowe horyzonty pewnie nie przekraczały dystansu owych 15 mil. Taki właśnie był osobisty świat chłopca.

Jeśli tym samym sposobem nakreślimy mapę przedsiębiorstw, branż i społeczeństw, wnet przekonamy się, że przestrzenny zasięg każdej z nich jest odmienny i nieustannie się zmienia. Także samo każdy segment dowolnej gospodarki świata wymaga odmiennego "zasięgu". Dany kraj zmuszony jest importować surowce lub komponenty z wielu krajów po to, by eksportować gotowe towary jedynie do kilku państw. Albo na odwrót. W Hollywood kręcą filmy za pomocą sprzętu sprowadzanego z Japonii, talentów aktorskich ściąganych z Wielkiej Brytanii, ale filmy wysyłane są potem na cały świat. Ale to jest dość prosty przykład.

"Business Week" zauważa, że w zwykłym palmtopie czy komórkowym aparacie fotograficznym zamontowane mogą być procesory wyprodukowane w Stanach Zjednoczonych, płytki sprowadzane z Chin, układy scalone zaprojektowane na Tajwanie, w Austrii, Irlandii czy Indiach, ciekłokrystaliczny wyświetlacz z Korei Południowej i obiektyw z Niemiec. To właśnie kombinacja tych różnych relacji przestrzennych określa zasięg przestrzenny każdej firmy czy kraju.

Na przykład Japończycy przez całe dziesięciolecie debatowali nad tym, czy skoncentrować swą gospodarkę na związkach z Azją, czy otworzyć ją na cały świat. W okresie przejściowego triumfu Japonii w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych wymachujący szabelką politycy w typie

Shintaro Ishihara, który obecnie jest gubernatorem Tokio, nawoływali Japonię do zajęcia miejsca Stanów Zjednoczonych jako dominującej potęgi w Azji.

Tak było jednak jeszcze przed kryzysem gospodarczym w Japonii i jednoczesnym boorem ekonomicznym w Chinach, nie wspominając o wzroście potęgi militarnej Chin i, ostatnio, wybuchach antyjapońskiego nastawienia. Teraz bowiem Ishihara, wyczuwając słabość Japonii w regionie, stał się orędownikiem wzmocnienia związków Japonii ze Stanami Zjednoczonymi.

Istota problemu tkwi w zasięgu przestrzennym gospodarki japońskiej. Czy Japonia jest graczem regionalnym czy globalnym? Jaki wywiera wpływ gospodarczy i kulturalny w świecie, skoro "Manga Blast!", czasopismo oparte na komiksie japońskim, wydawane jest w Milwaukee w stanie Oregon, a sprzedawane, o czym ostatnio mieliśmy okazję się przekonać, na stoisku z gazetami w Mexico City?

Niektórym krajom niepotrzebny jest zasięg globalny; wystarczy im kilku partnerów w pobliżu. Wymagania Japonii są jednak zgoła odmienne, nawet w czasie recesji: są daleko bardziej skomplikowane i zróżnicowane, by Japonia mogła rozkwiąć nawet jako potęga regionalna. Po stronie wkładów: musi importować ropę naftową z Bliskiego Wschodu, oprogramowanie ze Stanów Zjednoczonych, komponenty do produkcji samochodów z Chin. A po stronie wyników: sportowe samochody Nissana (SUV-y), zestawy Playstation marki Sony, telewizory plazmowe Matsushita, komputery NEC - sprzedawane są na całym świecie. Firmy japońskie posiadają zakłady dosłownie na każdym kontynencie.

Czy się to komuś podoba czy nie - Japonia potrzebuje zasobów, rynków, możliwości, energii, idei i informacji z całego świata, nie tylko od pobliskich sąsiadów. Bez względu na to, czy dominuje w regionie czy nie, jej przestrzenne oddziaływanie ma skalę globalną. A Japonia jest jedynie przykładem. Dziś zasięg przestrzenny czy też pozycja każdej osoby, firmy czy kraju przechodzi zasadniczą przemianę.

Przemieszczają się zaś nie tylko ludzie i towary. Także pieniądze mają swój zasięg przestrzenny. I on też zmienia się gwałtownie, wywierając głęboki wpływ na gospodarkę światową.

MOBILNE PIENIĄDZE

Powszechnie wiadomo, że biliony dolarów pędzą kanałami elektronicznymi z fenomenalną prędkością, z kraju do kraju, z banku do banku, od jednej osoby do drugiej - tworząc istny, gigantyczny balet finansowy. Większość ludzi zdaje sobie także sprawę, lub powinna zdawać sobie sprawę z tego, że międzynarodowy obrót walutowy to globalne kasyno. Większość ludzi jednak nie do końca ma świadomość, że amerykański dolar nie jest jedynie walutą amerykańską.

Powszechnie sądzi się, że Amerykanie posługują się dolarami, Niemcy euro, Japończycy jenami, a Argentyńczycy - pesos. Tymczasem, zdaniem ekonomisty Benjamin J. Cohena z University of California/Santa Barbara, autora *The Geography of Money*, "nie ma nic bardziej odległego od prawdy." Idea ta stała się "zniekształceniem i jakżeż mylącą karykaturą." Konkurencja "znacznie zmieniła przestrzenną organizację relacji pieniężnych."

Innymi słowy, każda waluta, podobnie jak każdy człowiek, posiada swój własny, nieustannie zmieniający się zasięg przestrzenny. Obecnie dolar, mimo niedawnego osłabienia, dysponuje największym zasięgiem. W niektórych krajach odchodzi się od własnych walut preferując "dolaryzację". Legalizuje się tam dolara amerykańskiego jako środek płatniczy i staje się on oficjalną walutą w tym kraju. W innych krajach dolar zastępuje niekiedy lokalne waluty nieoficjalnie.

Według stanu na styczeń 2002 roku dolar był oficjalnym środkiem płatniczym w piętnastu najmniejszych państwach - od Panamy i Ekwadoru po Timor Wschodni. Ale nieoficjalnie dolar służył także jako waluta w Argentynie, Boliwii, Peru i Ameryce Środkowej. To samo działo się w Rosji, podobnie jak w większości byłych republik sowieckich, włącznie z Armenią, Gruzją, Azerbejdżanem i Ukrainą. Również nieoficjalnie dolaryzowanymi krajami były Rumunia, Turcja i Wietnam. W istocie, wedle Banku Rezerw Federalnych, więcej dolarów amerykańskich znajduje się w rękach obcokrajowców niż Amerykanów - od 55 do 70 proc, w większości w banknotach studolarowych.

Dolar nie jest jedyną walutą uzupełniającą lub zastępującą inne. Z licznych względów praktycznych, przed wprowadzeniem euro, mile widzianym środkiem płatniczym w krajach bałkańskich była marka niemiecka, frank francuski w niektórych częściach Afryki, frank szwajcarski w Lichtensteinie, indyjska rupia w Butanie, a korona duńska na Grenlandii. Podsumowując, w jednym z opracowań Międzynarodowego Funduszu Walutowego wymienia się osiemnaście krajów, w których obca waluta stanowi ponad 30 proc. ogólnych zasobów pieniężnych, i kolejnych trzydzieści cztery, w których ilość ta wynosi 16,4 proc. lub więcej.

Wedle Cohena, waluty "w coraz większym stopniu znajdują zastosowanie poza krajem pochodzenia, penetrując przestrzeń monetarną innych państw (...). Gwałtowne przyśpieszenie międzynarodowej konkurencji walutowej (...) przekształciło przestrzenną organizację globalnych stosunków pieniężnych. Rodzime obszary walut narodowych są dziś bardziej spenetrowane niż kiedykolwiek do schyłku ery pieniędzy terytorialnych."

Mówiąc krótko, pieniądze zostały uwolnione ze swych ograniczeń przestrzennych.

ZDOBYWCY I ZDOBYWANI

Zmiany te przynoszą także istotne konsekwencje w zakresie układu sił. Waluta dokonując "inwazji" (to nasze własne określenie) nie zawsze przynosi korzyści krajowi, do którego trafia. Wiele czynników odgrywa tu rolę i czasami proces ten bywa bardzo kosztowny. Rząd "podbijanego" kraju zazwyczaj traci częściowo kontrolę nad krajową polityką pieniężną; postrzegany jest przez obywateli tego państwa jako słaby. Drukując i puszczając w obieg własną walutę, traci część ekonomicznego "senioratu" - pieniądze emitowane są tam tylko po to, żeby je emitować. I jeśli waluta ta ma słabe notowania wedle standardów międzynarodowych, z zasady jest podwójnie narażona na oddziaływanie gospodarki innych państw.

Jednakże o wiele większa zmiana, wedle Cohena, dokonuje się nie w relacjach pomiędzy państwami, ale - pomiędzy rządami a rynkami. Tak więc obecność w obrocie danego kraju więcej niż jednej waluty otwiera szersze możliwości przed firmami i instytucjami finansowymi prowadzącymi

interesy w tym kraju. Nowe możliwości związane są z ryzykiem kursowym, podatkami, regulacjami prawnymi, zasadami rachunkowości, kosztami transakcji i wymiany, instrumentami finansowymi i tym podobnymi. Druga waluta zmniejsza przy okazji wpływ danego rządu i zakres jego kontroli.

Wreszcie jej obecność sprawia, że "zdobywany" kraj jest bardziej wrażliwy i bardziej podatny na procesy zachodzące na światowych rynkach finansowych. I to dlatego nowo wybrani prezydenci czy świeżo upieczeni premierzy swe pierwsze kroki obowiązkowo kierują na Wall Street, gdzie dokonują rytualnych zapewnień co do przejrzystości finansowej w czasie swej kadencji.

Dotychczas omówiliśmy wielkie przesunięcie bogactwa w stronę Azji, powstanie cyberprzestrzeni, zmianę kryteriów, według których ocenia się lokalizacje, ekspansję zasięgu globalnego oraz geograficzne rozprzestrzenienie się aktualnie niepewnego dolara. Są to jedynie wybrane zmiany, jakie dokonują się wobec autentycznie fundamentalnej wartości, którą jest przestrzeń.

Teraz przyjrzymy się najbardziej kontrowersyjnej spośród obecnych zmian przestrzennych, która wyprowadziła swych zajadłych wrogów na ulice, którzy dziś maszerują i biją w bębny (dosłownie) w Porto Alegre w Brazylii, podczas gdy jej zwolennicy, podczas swej dorocznej sesji w szwajcarskim Davos, usiłują miło się uśmiechać do protestujących. Chodzi tu, rzecz jasna, o najbardziej niezrozumiany, mylący i błędnie używany termin w całym słowniku pojęć ekonomicznych: *Globalizację*.

Czy globalizacja ma przyszłość?

Rozdział 12

Świat niegotowy

Początek nowego wieku uczczono w Paryżu w 1900 roku Wystawą Światową poświęconą postępowi, a gazeta "Le Figaro", nie posiadając się ze szczęścia, zapiszczała radośnie: "Jakżeż jesteśmy szczęśliwi, że dożyliśmy tego dnia - pierwszego dnia XX wieku!" Źródłem entuzjazmu był światowy postęp - jak to widziały zasobne kraje - ku globalnej integracji gospodarczej: racjonalny proces, który zmieniając stosunki polityczne i przestrzenne miał przynieść rozkwit ekonomiczny.

Ówczesni ekonomiści z entuzjazmem wypowiedali się - w czym przypominają ich dzisiaj wyznawcy gospodarczej globalizacji - o tym, jak to świat coraz bardziej jest zjednoczony czy wewnątrz powiązany. Handel zagraniczny, jako odsetek produktu światowego, wzrósł między rokiem 1800 a 1900 r. dziewięciokrotnie, przy czym częściowo za sprawą handlu z koloniami w Azji i Afryce. Każdy, kto wówczas próbowałby przewidzieć przyszłość tych trendów, doszedłby do wniosku, że proces globalizacji ekonomicznej zakończy się na długo przed rokiem 2000. Przyszłość jednak nie nadchodzi w postaci prostych stwierdzeń, a świat nie był gotowy na to, co miało się wydarzyć później.

W czternaście lat po wielkiej Wystawie Światowej to, co świat "jednoczyło" i "wiązało", zostało zerwane, a okropności I Wojny Światowej gwałtownie zablokowały przepływ towarów i kapitału. Wkrótce, w 1917 roku, doszło do Rewolucji Październikowej (Bolszewickiej), Wielkiego Kryzysu w latach trzydziestych, II Wojny Światowej (1939-1945) i komunistycznego przewrotu w Chinach w roku 1949 oraz, począwszy od lat czterdziestych aż do 1960 - procesu dekolonizacji Indii, Afryki i Azji.

Razem te wydarzenia i wiele innych, na mniejszą skalę i mniej widocznych, zdruzgotały długotrwałe porozumienia, przyczyniły się do odwetowego protekcjonizmu i wyzwoliły przemoc i destabilizację. Te zaś z kolei osłabiły handel międzynarodowy, inwestycje i integrację gospodarczą. Mówiąc krótko świat wszedł w trwający pół wieku proces deglobalizacji.

BARDZIEJ ŚWIĘTA OD PAPIEŻA

W latach po zakończeniu II Wojny Światowej Ameryka, której przemysłowa baza pozostała nietknięta i która wyszła z wojny wręcz wzmocniona, poszukiwała rynków eksportowych dla swoich towarów, a przede wszystkim dla swego kapitału. Świat spragniony był amerykańskich produktów, które często były jedynymi dostępnymi produktami w ogóle.

Co więcej, za sprawą postępu technologicznego, coraz tańsza i łatwiejsza była obsługa rynków większych niż narodowe. Tak więc elity amerykańskie, w przekonaniu, że globalna reintegracja gospodarcza mogłaby służyć ich interesom, przystąpiły do tworzenia rynków międzynarodowych, przez które towary, kapitał, informacje i umiejętności mogłyby raz jeszcze popłynąć bez

najmniejszych przeszkód. Następnie wysiłki te przybrały formę ideologicznej krucjaty na rzecz re-globalizacji.

Jeszcze w latach dziewięćdziesiątych obszerne połacie świata były wciąż w zasadzie zamknięte na bezproblemową wymianę towarów, walut, ludzi i informacji. Za ledwie miliard ludzi żyło w gospodarce otwartej, w dowolnej postaci. Do roku 2000 liczba ta, wedle niektórych szacunków, zwiększyła się do 4 miliardów.

Same Chiny, liczące grubo ponad miliard obywateli, zaczęły budowę "socjalizmu rynkowego", którego lepszym określeniem jest raczej "kapitalizm socjalny" i otworzyły drzwi przed zagranicznymi zakładami, produktami i pieniędzmi. Inwestycje zagraniczne zaczęły do siebie ściągać nawet postkomunistyczna Rosja. Tą samą drogą zaczęły kroczyć i kraje Europy Wschodniej oraz były republiki sowieckie w rejonie Kaukazu i Azji Środkowej. Duża część Ameryki Południowej, ponaglana przez Stany Zjednoczone, idąc w ślady Chile i Argentyny, rozpoczęła deregulację, prywatyzację, zaczęła ściągać kapitał z Wall Street i przez pewien czas była w swym oddaniu kapitalizmowi "bardziej święta od papieża."

Także waluty, jak już widzieliśmy, coraz bardziej uwalniały się od związków z krajem swego pochodzenia. Poszerzyliśmy przestrzenny zasięg nie tylko gigantycznych korporacji globalnych, ale także maleńkich firm, nawet internetowych, finansowanych przez fundusze mikro małomiasteczkowych przedsiębiorstw w odległych regionach, jeszcze bardziej wzmacniając marzenia o w pełni zintegrowanej gospodarce światowej - takiej, w której najmniejszy kawałek powierzchni Ziemi, liczącej wszak 510 milionów kilometrów kwadratowych, nie pozostawałby niedostępny. Był to czas re-globalizatorów.

TEST WODY EVIAN I KETCHUPU

Prawdą jest, że ten pęd do re-globalizacji nie zaprowadził nas dokładnie tam, gdzie skłonni są sądzić zarówno jego przeciwnicy, jak i zwolennicy. Wedle R.I. Weingartena, prezesa Whitehall Financial Group, nawet w sektorze finansowym ogólny termin globalizacja "maskuje diametralnie różne tempo zmian. Podczas gdy rynki walutowe są autentycznie globalne, z tyłu wloką się rynki obligacji, akcji, ponieważ w zasadzie nadal obraca się na nich głównie krajowymi papierami wartościowymi."

W Europie silna presja w kierunku integracji gospodarczej doprowadziła do wspólnej waluty i banku centralnego. Mimo to "Financial Times" donosi: "Rynki kapitałowe są nadal silnie sfragmentaryzowane i rządzą się mgławicą rozmaitych zasad i regulacji." Mimo setek, często wątpliwych, nowych przepisów i regulacji, wprowadzonych w imię ujednoczenia zasad funkcjonowania rynków, taka sama butelka wody mineralnej Evian, która w roku 2003 kosztowała we Francji 44 eurocenty, sprzedawana była w Finlandii po 1,89 euro; butelka ketchupu Heinz, za którą w Niemczech trzeba było zapłacić 66 eurocentów, we Włoszech kosztowała już 1,38 euro. Nie do końca tak wyobrażali to sobie eurokraci w Brukseli!

O wiele bardziej znaczące, na skalę globalną, było to - jak zauważa Zanny Minton Beddoes w "Foreign Policy" - że "jedynie 18 krajów rozwijających się ma stały dostęp do prywatnego kapitału", a nawet gdyby więcej państw go posiadało, "nie oznaczałoby to, że istnieje jednolity globalny rynek kapitałowy." Na jeszcze innej płaszczyźnie, w różnych częściach świata, wciąż obowiązują odmienne metody rachunkowości, mimo dążenia do uniwersalnych standardów.

Niemniej już w latach dziewięćdziesiątych między trzydziestoma pięcioma a czterdziestoma tysiącami korporacji międzynarodowych posiadało dwieście tysięcy spółek własnych lub zależnych. Światowe depozyty walutowe wzrosły z poziomu 1 mld USD w 1961 r. do 1,5 bln USD do końca stulecia. Wartość bezpośrednich inwestycji na świecie wzrosła do 1,3 bln USD. Międzynarodowy dług natomiast osiągnął poziom 1,7 bln USD w roku 2001, a światowy handel wart był 6,3 bln USD.

Jedną z najbardziej kompleksowych prób określenia stopnia globalizacji jest wskaźnik opracowany przez firmę doradczą A. T. Kearney i redakcję "Foreign Policy". Zawiera on pomiar takich obszarów, jak handel, bezpośrednie inwestycje zagraniczne, przepływ inwestycji portfelowych, technologia, podróże i turystyka. Następnie umożliwia porównywanie różnych krajów ze sobą. Metodologia uwzględnia także zestaw innych zmiennych, począwszy od kultury i telekomunikacji aż po liczbę ambasad zagranicznych utrzymywanych w danym kraju oraz liczbę organizacji międzynarodowych, do których to państwo należy.

W zestawieniu A. T. Kearney za rok 2003, opracowanym na podstawie wszystkich tych danych, zamieszczono ranking sześćdziesięciu dwóch państw. Okazało się, że czołowe pozycje pod względem stopnia globalizacji zajęły niewielkie państwa - Irlandia, Szwajcaria, Szwecja, Singapur i Holandia. Stany Zjednoczone uplasowały się na pozycji jedenastej, Francja - dwunastej, Niemcy - siedemnastej, podczas gdy Korea Południowa zajęła miejsce dwudzieste ósme, wyprzedzając Japonię (z lokatą trzydziestą piątą).

Faktycznie poziom międzypaństwowej integracji ekonomicznej obniżył się w roku 2002 z powodu spowolnienia gospodarki amerykańskiej oraz spadku poziomu bezpośrednich inwestycji zagranicznych w roku 2001. Ale i tak ogólny poziom integracji był wyższy niż kiedykolwiek przed 1999 rokiem. Mimo wymowy tych danych, na łamach "Foreign Policy" nie wyrażano zbyt wielu wątpliwości, że re-globalizacja będzie trwać. Jeśli dodamy do tego coraz częstsze, opisane już wcześniej, krzyżowanie się walut - tym bardziej podzielać można ten optymizm.

ŻÓŁTY PYŁ

Paradoksalnie - jeszcze jednego powodu do optymizmu można doszukać się w wypowiedzi Harriet Babbitt, byłej zastępczyni dyrektora U.S. Agency for International Development (Amerykańskiej Agencji Rozwoju Międzynarodowego): "Szybciej globalizujemy nasze słabości niż zalety."

Sam tylko przemysł narkotyków to biznes wart 400 miliardów USD, wedle ONZ, co znaczy, że wartość określającą wielkość gospodarki światowej należy podwyższyć o 8 procent. Przemysł narkotykowy, posługując się najnowszymi technologiami, tworzy gigantyczne podziemie

gospodarcze, które w wielu krajach przyćmiewa normalną, oficjalną gospodarkę, obejmując swymi mackami każdy zakątek globu. Od Afganistanu i Kolumbii, poprzez klasy szkolne i slumsy Rio de Janeiro po chicagowskie chodniki - handlarze narkotyków działają w jednej z najbardziej zglobalizowanych branż świata. Żaden rząd nie jest w stanie kontrolować tego biznesu, nawet gdyby zechciał.

Podobnie na globalną skalę działa biznes usług seksualnych. W albańskim obozie uchodźców młoda kobieta uprowadzona z Rumunii oczekuje na przerzut do Włoch, gdzie stanie się seksualną niewolnicą. Bukareszteńskie tzw. agencje wyłuskują tzw. tancerki, które zasilają biznes seksualny w Grecji, Turcji, Izraelu, a nawet w dalekiej Japonii. Wedle danych UNICEF, około 1 miliona młodych osób, głównie dziewcząt, rokrocznie trafia jako towar na rynek seksu.

W swym wstrząsającym artykule zamieszczonym na łamach "Foreign Policy", redaktor Moises Naim wyjaśnia: "Narkotyki, broń, własność intelektualna, ludzie i pieniądze to nie jedyne towary, którymi się nielegalnie handluje, napędzając ciemnym, międzynarodowym sieciami krociowe zyski. Istnieje wszak również handel ludzkimi organami, zwierzętami z zagrożonych gatunków, kradzionymi dziełami sztuki i odpadami toksycznymi." Dokładnie z tej przyczyny, że działalność tego rodzaju jest nielegalna - przemytnicy, aby uniknąć wykrycia, nieustannie zmieniają szlaki, którymi podróżują z dostawami "towaru."

Przemytnicy wyposażeni w fałszywe dokumenty, wspomagani przez przekupionych urzędników łatwo prześlizgują się przez graniczne kontrole. Tymczasem dla depreczujących im po piętach policjantów często granice są nie do pokonania. Jak tłumaczy Naim, nadąsane rządy bronią przed sobą nawzajem swej "suwerennej" przestrzeni. Jednakże tę samą "suwerenność" przestrzenną "dzień w dzień naruszają nie tyle inne państwa, co bezpieczeństwa sieci łamiące prawo i przekraczające granice w imię rozwoju nielegalnego handlu." Na przykład Wenezuela nie zezwala na przekraczanie swej przestrzeni powietrznej samolotom amerykańskim, które wszak polują na kolumbijskich przemytników narkotyków; ci ostatni zaś zgoła bezkarnie naruszają, i to regularnie, tak zwaną suwerenność Wenezueli.

Zdaniem Naima, nasze wysiłki zmierzające do kontrolowania tej bezprawnej i antyspołecznej działalności podziemia gospodarczego spełzną na niczym, ponieważ rządowe strategie zakorzenione są w "błędnych ideach, oparte są na z gruntu fałszywych założeniach i prowadzone są przez nieudolne instytucje." Jego poglądy stanowią prosty przekaz: do ich powstrzymania niezbędne będą globalne lub przynajmniej międzynarodowe działania.

No i jest jeszcze "żółty pył" z chińskich pustyni, który raz na jakiś czas zasypuje Seul w Korei Południowej. I indonezyjskie pożary rodzące dławiący dym; tysiące ludzi w Malezji i Singapurze trafia z ich powodu do szpitala. A wyciek cyjankali w Rumunii, zatruwający węgierskie i serbskie rzeki?

A globalne ocieplenie, zanieczyszczenia atmosfery, uszkodzenia warstwy ozonowej, stopowienie znacznych obszarów ziemi, niedobory wody - podobnie jak przemyt narkotyków i seksualne

niewolnictwo? Te problemy - czy się to komu podoba, czy nie - też wymagają zorganizowanych wysiłków na skalę ogólnoświatową lub regionalną.

GORLIWI WYZNAWCY

Bardzo powszechne są dziś, być może na całym świecie, kontrowersje wokół korzyści i kosztów, jakie może dać dalsza integracja międzynarodowa. Jedno jest pewne: nie ma sprawiedliwości na świecie. Integracja gospodarcza i jej konsekwencje przestrzenne nie owocują czymś na kształt "równych szans" - jest to jedynie metafizyczna koncepcja nie znajdująca potwierdzenia w rzeczywistości.

Nie ma potrzeby powtarzania wszystkich argumentów na rzecz korzyści i kosztów rozszerzania przestrzennego zasięgu i globalizacji gospodarek. Nawet samo dokładne określenie za i przeciw jest bardziej skomplikowane, niż mogłoby się wydawać. Z tego względu węgierski ekonomista Andras Inotai, dyrektor Institute for World Economics (Instytutu Gospodarki Światowej) w Budapeszcie, poddał analizie plusy i minusy krajów wchodzących do Unii Europejskiej; jego słowa odnoszą się również do integracji gospodarczej na szczeblu światowym.

Odnosząc się do dwóch fundamentalnych wartości, omówionych wcześniej, Inotai wskazuje, że "korzyści i straty nie rozkładają się równo w sensie geograficznym," a wyniki "różnią się też w czasie." Jego zdaniem krótkoterminowe zyski i straty mogą w wymiarze długofalowym przekształcić się w swoje własne przeciwieństwa. Niektóre korzyści i straty objawiają się jedynie tu i teraz. Inne dadzą się zauważyć tutaj, ale jeszcze nie teraz. Jeszcze inne dają o sobie znać już teraz, ale nie tutaj.

Obie strony sporu sprowadzają te złożone problemy do prostych haseł.

Literatura pro- i antyglobalizacyjna w samej tylko wyszukiwarce Google'a zalewa nas istotnymi dokumentami w liczbie ponad 1,5 mln! "Newsweek" w czterdziestu ważniejszych tytułach prasowych i czasopismach doszukał się w roku 1991 jedynie 158 artykułów na temat globalizacji, ale już w roku 2000 znalazł ich aż 17 638.

Biorąc pod uwagę to olbrzymie zainteresowanie tematem, łatwo jest wskazać zagrożenia, jakie z sobą niesie globalizacja: choć w większości dotyczą raczej korupcji, degradacji środowiska naturalnego i brutalnego przymusu niż samej integracji gospodarczej jako takiej.

Niemniej fakty mówią same za siebie. Chiny mają sobie do wyrzucenia sporo - właśnie jeśli chodzi o te grzechy: niebotyczną korupcję, masowe szkody ekologiczne, bezwstydną dławienie niepokojów społecznych.

A jednak te negatywne strony integracji należy zestawić z tym doniosłym faktem, że Chiny systematycznie integrują się z gospodarką światową i za pomocą kapitału światowego podźwignęły 270 milionów ludzi ze skrajnej nędzy chłopskiej doli.

Siły globalistyczne, choć ich entuzjazm nieco przyblakł w obliczu krytycyzmu i obecnej słabości gospodarki światowej, pozostają jednak wierne optymizmowi w długofalowym wymiarze. Niektórzy z religijną pobożnością wierzą w to, że globalizacja jest naszym przeznaczeniem - że bez względu na

przeszkody i spowolnienia, w ostatecznym rachunku zatriumfuje ona, łącząc nie tylko każdego człowieka, ale i każde miejsce na świecie w globalną sieć przypominającą tkankę mózgową.

Ci gorliwi wyznawcy utrzymują, że: (1) żaden kraj nie będzie wiecznie odwracał się od “zapierających dech w piersiach” możliwości podnoszenia standardu życia, jakie oferuje globalizacja właśnie; (2) stajemy wobec nowych problemów, których nie jesteśmy w stanie rozwiązać bez globalizacji; (3) nowe technologie w coraz większym stopniu ułatwią postępy globalizacji.

Na te argumenty nie pozostają głusi sceptycy, dopowiadając jednak: (1) korzyści płynące z pokoju także mogą “zapierać dech w piersiach”, a jednak mimo to wielokrotnie były odrzucane; (2) nie wszystkie problemy da się rozwiązać w ten sposób; (3) w dziejach ludzkości pojawiło się wiele kontr-technologii rozwijanych po to, by utrudnić to, co wcześniej ułatwiały inne technologie.

Re-globalizacja może też utknąć w miejscu, jeśli ceny ropy naftowej pozostaną wysokie lub wręcz pójdą jeszcze bardziej w górę wraz ze spadkiem stanu zapasów; jeśli stabilizujące sojusze się rozpadną; jeśli rozpowszechni się odnowiony protekcjonizm handlowy; lub też w sytuacji, gdy niezbędne będzie kontrolowanie na granicy każdej osoby, każdego opakowania i każdej paczki ze względu na zagrożenie terroryzmem, epidemiami czy z innych względów.

A zatem prawdziwe pytanie, wobec którego stajemy, brzmi następująco: czy trwający od dziesięcioleci proces re-globalizacji zatrzymuje się właśnie na chwilę, dla złapania oddechu? A może raz jeszcze gwałtownie się odwróci i cofnie? Czy - mimo coraz większej mobilności zakładów przemysłowych oraz bezpośrednich inwestycji zagranicznych, mimo Internetu i cyberprzestrzeni, mimo masowych migracji - zbliżamy się właśnie do kolejnego historycznego zwrotu od re-globalizacji do de-globalizacji? Ale to jeszcze nie wszystko!

Rozdział 13

Na wstecznym biegu

Mało jest na świecie takich słów, jak globalizacja: słów stanowiących siłę napędową nienawiści, wypowiedzianych z równie wielkim ładunkiem czy to hipokryzji, czy to naiwności, i to przez wszystkich. Ze słowem tym nierozzerwalnie związany jest jak najbardziej realny obiekt powszechnego gniewu: Stany Zjednoczone, światowa centrala gospodarki wolnorynkowej.

Trwający już kilkadziesiąt lat amerykański pęd do globalizowania (a, właściwie, dokładniej: re-globalizowania) gospodarki światowej także szermuje fałszywymi hasłami. Kolejne ekipy administracyjne, a szczególnie sztab Billa Clintona, głosiły je światu niczym mantrę. Tak zwany Konsensus Waszyngtoński polegał na tym, że globalizacja w połączeniu z liberalizacją w formie prywatyzacji, deregulacji i wolnego handlu - złagodzi ubóstwo i wytworzy demokrację oraz po prostu naprawi nieco świat.

Zarówno ideolodzy globalizacji, jak i ich oponenty do jednego worka wrzucają globalizację i liberalizację, jakby z zasady były nierozłączne. Jednak kraje integrują się gospodarczo bez liberalizowania gospodarki. Liberalizacja krajów z kolei prowadzi do sprzedaży przedsiębiorstw państwowych, deregulacji i prywatyzacji gospodarki, bez konieczności uczestniczenia w globalizacji. Ani jedno, ani drugie nie daje jednak gwarancji, że długofalowe korzyści makroekonomiczne przełożoną się na mikroekonomię, w której faktycznie żyją ludzie. Nie są też sprawdzonym przepisem na demokrację.

Obecnie wiadomo dziś bez cienia wątpliwości, że postawy obu stron tej ideologicznej wojny o globalizację są całkowicie i z premedytacją nieczytelne.

Nic dziwnego, że na stronie internetowej ruchu sprzeciwu, który prowadzi nieustającą kampanię antyglobalistyczną, znaleźć można opis "akcji" w Hyderabadzie w Indiach, szwajcarskim Davos, Porto Alegre w Brazylii, Buenos Aires w Argentynie, Waszyngtonie w USA i w hiszpańskiej Barcelonie, czy też w Nowej Zelandii, Grecji, Meksyku i Francji. Wielokrotnie dochodziło do tego, że demonstranci otaczali przywódców światowych w luksusowych hotelach w czasie licznych międzynarodowych spotkań od Seattle po Genuę lub też zmuszali ich, by szukali schronienia w odległych miejscach, wzywali służby bezpieczeństwa dla zachowania spokoju. Obecnie zaprasza się protestujących na spotkania z tymi przywódcami, więc też poziom adrenaliny w ruchu antyglobalistycznym nieco się obniżył.

Trudno jednak nie zauważyć, że w sporej mierze ta działalność rzekomo antyglobalistyczną koordynowana jest poprzez wzajemnie powiązane strony internetowe, a przecież Internet sam w sobie jest technologią globalną. Motorem oddziaływania politycznego tego ruchu w dużej mierze są relacje telewizyjne na temat jego akcji, nadawane za pomocą globalnego systemu satelitarnego. Wiele postulatów tych grup, jak choćby obniżka cen leków przeciwko AIDS, mogą spełnić wyłącznie globalne korporacje, tak gorąco wszak zwalczane przez antyglobalistów, za pomocą komputerów

skonstruowanych przez jeszcze inne, również globalne korporacje. Większość uczestników demonstracji nie byłaby w stanie dolecieć na swe akcje protestacyjne bez globalnego systemu rezerwacji lotniczych. A celem wielu z protestujących jest właśnie stworzenie ruchu o globalnej sile oddziaływania.

Faktycznie zatem ruch ten dzieli się na wiele odmiennych, częstokroć krótkotrwałych grup ukierunkowanych na mgławicę rozmaitych celów - od wyrugowania pracy dzieci poprzez delegalizację wyrobów tytoniowych po obronę praw transseksualistów przebywających w zakładach karnych. Spotkać można w ramach tego ruchu naiwniutkie, anarcho-syndykalistyczne grupki gloryfikujące rzekomy autentyzm życia twarzą w twarz na wsi przedindustrialnej, z właściwą sobie dezynwolturą pomijające całkowity brak prywatności takiego trybu życia, seksizm czy też krótkowzrocznych, lokalnych tyranów i bigotów, jakże często spotykanych w niejednej prawdziwej wsi. Inni, to romantycy nawołujący do powrotu do źródeł. Jeszcze inni to super-nacjoniści nienawidzący Stanów Zjednoczonych i Unii Europejskiej, chętnie identyfikujący się z ruchami neofaszystowskimi czy ugrupowaniami wrogimi imigrantom. Ale jest jeszcze wielu, którzy w istocie wcale nie są "antyglobalni", lecz "kontrglobalni".

Ci kontrglobaliści silnie popierają, na przykład, ONZ i inne organizacje międzynarodowe. Wielu z nich z ochotą powitałoby coś na kształt jednego, ogólnosiwiatowego rządu, albo przynajmniej silniejszy ład światowy utrzymywany z - kto wie - może światowych podatków? A zatem wielu z nich w rzeczywistości domaga się zemsty świata na korporacjach globalnych, które obwiniają o eksploatację pracowników, dewastowanie środowiska naturalnego, wspieranie rządów niedemokratycznych i niezliczone inne grzechy tego świata.

Ruch antyglobalistyczny potrafi wokół siebie narobić niesamowitego szumu. Ale nawet gdyby pewnej nocy wszyscy ci demonstrujący, skandujący swe antyglobalistyczne czy kontrglobalistyczne hasła działacze mieli w cudowny sposób zniknąć z powierzchni ziemi - globalizacja w jakimś stopniu jednak musiałaby przyhamować lub wręcz całkiem się zatrzymać w ciągu najbliższych lat. Na horyzoncie bowiem widać potężne czynniki, które mogą wstrzymać ciągle poszerzanie zasięgu przestrzennego. Kto wie, czy niektórzy antyglobaliści nie żałowaliby, kiedy by się przekonali, co się dzieje.

NOWY TITANIC

Czasy re-globalizacji przyniosły nam kolejno po sobie następujące poważne kryzysy w wielu krajach lub na skalę regionalną: w Azji, Rosji, Meksyku i Argentynie. W każdym przypadku inwestorzy, szefowie firm i rządy na całym świecie zamartwiali się, czy aby ta choroba nie będzie zakaźna finansowo. Czy katastrofa finansowa Argentyny pociągnie za sobą gospodarkę Brazylii? Czy kryzys azjatycki w latach 1997-1998 wywoła schłodzenie gospodarki światowej? (O włos!)

Ponieważ integracja gospodarcza jest dzisiaj o wiele silniejsza, wielopłaszczyznowa i złożona, ponieważ łączy tak wiele zróżnicowanych gospodarek na tak wielu różnych szczeblach - wymaga systematycznie pomyślanych wentyli bezpieczeństwa, zapasów na czarną godzinę i innych

zabezpieczeń. Niestety, nazbyt entuzjastycznie nastawieni globaliści budują gigantyczny finansowy statek nie wyposażony w wodoszczelne komory, które zamontowano nawet na "Titanicu".

Giełdy papierów wartościowych w Stanach Zjednoczonych dysponują "bezpiecznikami obwodowymi", których celem jest niedopuszczenie do krachu. Na przykład na giełdzie nowojorskiej (the New York Stock Exchange) zawieszają obrót akcjami na godzinę, jeśli kurs tych akcji spadnie 10 proc. przed godziną 14.00 w danym dniu. Tego rodzaju ograniczenia notowań wprowadza się w odniesieniu do pewnych walorów właśnie wówczas, gdy ceny zbyt szybko przekraczają pewien górny lub dolny limit.

Podobne mechanizmy wprowadzono już lub się to rozważa w wielu innych krajach od Indii po Tajwan. W danym kraju mogą to być posunięcia uzasadnione bądź też nie, ale handel, wymiana walut oraz rynek papierów wartościowych na szczeblu globalnym nie zostały wyposażone w zabezpieczenia choćby takie, jak te wymienione powyżej, nie wspominając już o całościowym systemie kurtyn bezpieczeństwa (firewalls), komór, kopii zapasowych i tym podobnych.

Integrując się szybciej, niż zdołamy się zaszczepić przeciwko "wirusom", desynchronizacji ulegają dwa procesy - przygotowań do globalnej epidemii, która może wysłać całe kraje wstecz, na łeb na szyję, wprost ku protekcjonizmowi finansowemu. Ich gorączkowe reakcje mogą polegać na odstraszeniu inwestycji zagranicznych, odbudowywaniu barier handlowych, drastycznej rekonstrukcji wzorców eksportu i importu czy na relokacji biznesu, miejsc pracy i kapitału na świecie. Mówiąc krótko: na odwracaniu aktualnego kierunku przemian.

PRZECIĄŻENIE EKSPORTU

Jakie jeszcze wydarzenia lub warunki mogą ograniczyć lub odwrócić re-globalizację? Jest ich mnóstwo.

Wkroczyliśmy w epokę nadwyżek eksportowych; a jeśli nie epokę, to przynajmniej okres. Począwszy od lat siedemdziesiątych Japonia buduje swój dobrobyt łącząc projektowanie komputerowe i tworzenie relatywnie zamkniętych rynków krajowych z agresywnym eksportem.

Za pomocą tej samej strategii wnet zaczęły z Japonią rywalizować inne kraje: Korea Południowa, Tajwan, Hongkong, Singapur, a następnie także Malezja i Indonezja. Wszystkie te państwa zaczęły zalewać rynki europejskie i amerykańskie swoimi produktami i więcej "rzeczy" niż kiedykolwiek dotąd zaczęło pokonywać Pacyfik kontenerowcami, tankowcami i samolotami transportującymi cargo. Eksport - zjawisko z definicji przestrzenne - zaczęto uważać za jedyną drogę rozwoju.

We wszystkich tych krajach azjatyckich eksport rósł szybciej niż popyt wewnętrzny - co stanowi kolejny przykład desynchronizacji na wielką skalę. Jednocześnie do wyścigu dołączyły Chiny, zarzucając już zatłoczone rynki światowe, a szczególnie Stany Zjednoczone, jeszcze tańszymi produktami. Amerykę nagle zalała masa suszarek do włosów, węży ogrodowych, toreb, zegarków i kalkulatorów, narzędzi i zabawek. Zbędne moce produkcyjne i drapieżność szły ramię w ramię.

Nie trzeba powtarzać, że jeśli gospodarka Stanów Zjednoczonych, która dziś zapewnia ponad 30 proc. ogólnoświatowego popytu, podupadłaby kiedyś, relokacja bogactwa na świecie byłaby

miażdżąca dla wielu innych krajów - nie wyłączając również i niektórych najbiedniejszych państw świata.

Pośród tych najbardziej dotkniętych taką zapaścią znalazłyby się kraje, których rządy niebezpiecznie polegają na prostym eksporcie jako źródle bieżących przychodów. Zambia, na przykład, uzależniona jest od eksportu miedzi. W przypadku innych krajów takimi towarami są boksyty, cukier kawa kakao czy kobalt. Albo ropa naftowa.

Taki scenariusz wydaje się nieprawdopodobny w sytuacji, gdy ceny ropy naftowej biją wszelkie rekordy. A jednak to, co nieprawdopodobne, zdarza się i to dość często: poważny kryzys amerykański czy zapaść gospodarki chińskiej mogłyby - mimo że producenci ze wszystkich sił starają się zapewnić dostawy - wywołać kolejny, gigantyczny spadek cen ropy naftowej. Nawet jeśli spadek ten byłby tymczasowy, jego skutki mogłyby wysadzić z siodła ekipy rządzące w wielu krajach świata.

Aż 80 proc. przychodów skarbu państwa Nigeria zawdzięcza eksportowi ropy naftowej, podobnie jak Arabia Saudyjska (75 proc). Mniej więcej to samo można powiedzieć o Kuwejcie, Omanie, Zjednoczonych Emiratach Arabskich czy Angoli. W przypadku Wenezueli odsetek ten wynosi 50 proc, a Rosji - niespełna 30 proc. Niestabilne lub w najlepszym przypadku politycznie wrażliwe rządy opierające swą pozycję na eksporcie ropy naftowej mogą zostać zmuszone do obciążenia subsydiów wewnętrznych i świadczeń socjalnych, ryzykując jednakże tym samym wyprowadzenie ludzi na ulice. Nie są to zbyt dobre wieści dla re-globalizacji.

W ciągu najbliższych dziesięcioleci możemy być świadkami także i kształtowania się innych bloków międzypaństwowych i grup handlowych, na wzór Unii Europejskiej.

Bloki takie, począwszy od Mercosuru w Ameryce Południowej po nowe grupy państw azjatyckich, tworzą rynki większe od krajowych, a zatem można je traktować jako nieśmiałe kroki prowadzące do integracji globalnej i szerszej strefy wolnego handlu. Tak się je na ogół przedstawia. Jednakże mimo uroczyстых zapewnień, że jest odwrotnie - można sobie wyobrazić, iż w warunkach skrajnej presji zdecydują się nacisnąć guzik z napisem "protekcjonizm" i staną się gigantyczną przeszkodą przed dalszym otwarciem i globalizacją. Z szacunkiem dla integracji światowej, regionalne bloki ponadpaństwowe mogą okazać się obosiecznym nożem sprężynowym.

NANO-ŁYŻECZKA DO HERBATY

To samo dotyczy też kolejnej eksplozji przełomowych dokonań naukowych i technologicznych. Eksplozja taka, przyśpieszona zlanie się technologii informatycznych i biologicznych, mogłaby ograniczyć niegdyś znaczne zapotrzebowanie na niektóre surowce i inne towary. Radykalna miniaturyzacja, indywidualizacja i częściowe zastąpienie surowców treścią intelektualną oznaczają, że gospodarka jutra być może nie będzie już potrzebowała tak wiele towarów masowych, które dziś wciąż jeszcze stanowią sporą część rynku światowego. Być może odrobina nanoprodktu nabrana na łyżeczkę od herbaty z powodzeniem zastąpi tony materiałów, które dziś trzeba transportować na drugi koniec świata. Być może zmiany takie nadejdą nieprędko, ale ich oddziaływanie będzie

odczuwalne w wielu miastach portowych dookoła kuli ziemskiej - od Qingdao po Los Angeles czy Rotterdam. A zatem powtórzmy raz jeszcze, że wszystkie te zjawiska wskazują na procesy raczej lokalne i sugerują mniejsze uzależnienie od rynków globalnych.

Co więcej, nie możemy wykluczyć wojny i towarzyszącego jej terroru - najbardziej widocznych czynników deglobalizacji. Jedno i drugie mogą fizycznie zniszczyć infrastrukturę energetyczną i transportową, które wszak są niezbędne dla przemieszczania i relokacji ropy naftowej, gazu, surowców, produktów gotowych i innych rzeczy. Mogą też wywołać ucieczkę kapitału czy fale uchodźców, których nie powstrzymają żadne granice. / wojna, i terror wezmą na cel infrastrukturę informatyczną - kluczową dla funkcjonowania gospodarek zaawansowanych intelektualnie.

Niestety przyszłość najprawdopodobniej przyniesie nam sporą dozę destabilizacji politycznej i częste wybuchy konfliktów zbrojnych, zostawiając nie tylko zabitych i rannych na polu bitwy, ale także dezintegrując to, co już udało się zintegrować.

SCENARIUSZE A LA MAD MAX

Oprócz tych scenariuszy deglobalizacyjnych są też i inne, czarne, kreślone przez futurystów. Są wysoce nieprawdopodobne, lecz nie można ich całkiem wykluczyć: nowe, dziwne pandemie, kwarantanny, uderzenia asteroidów, katastrofy ekologiczne. Wszystkie te wydarzenia mogą przestawić cały ekonomiczny firmament świata na całkiem nowe tory albo zminimalizować go do postcywilizacyjnych warunków znanych z filmu *Mad Max*. Bardzo pożytecznym nawykiem jest utrzymywanie małego zakątka, z tyłu głowy, na myśli nie-do-pomyślenia, ponieważ historia, na dobrą sprawę, jest ciągiem wydarzeń o silnym oddziaływaniu, które rozpoczynały się w zgoła nieprawdopodobny sposób i nagle stawały się jak najbardziej rzeczywistą realnością.

Nie ma szans, byśmy dowiedzieli się, który z tych hamulców da o sobie znać, lub też, jak niektóre z nich mogą ze sobą współgrać. Ale dowolny czynnik może okazać się siłą o wiele bardziej potężną, zdolną do odwrócenia re-globalizacji, niż wszystkie nagłaśniane przez media protesty razem wzięte. Łatwo możemy sobie wyobrazić dwa lub więcej z tych deglobalizacyjnych wydarzeń jednocześnie i to w nie tak znów odległej przyszłości. O wiele trudniej wyobrazić sobie przyszłość, w której żaden z tych czynników nie pojawia się w ogóle.

Najbardziej prawdopodobnym scenariuszem globalizacji jest pojawienie się pęknięcia, rozszczepienia: możliwe jest bowiem spowolnienie dalszej integracji gospodarczej jako takiej i jednoczesny wzrost światowej presji na globalnie skoordynowane działania przeciwko takim zjawiskom, jak terror, przestępczość, ekologia, prawa człowieka, niewolnictwo i ludobójstwo.

Mozemy natomiast przestać marzyć o liniowym postępie ku w pełni zintegrowanej, autentycznie globalnej gospodarce, podobnie jak - w ciągu najbliższych, poddających się prognozowaniu dekad - o wspólnym światowym rządzie. Zamiast tego powinniśmy raczej przygotować się na więcej, a nie mniej, szybszych a nie wolniejszych, większych a nie mniejszych przestrzennych wstrząsów na rynkach pracy, w technologii, na rynkach pieniężnych i wśród ludzi na całym naszym globie. Nadchodzi era coraz szybszych turbulencji przestrzennych.

A zatem to wszystko, czego doświadczyliśmy do tej pory, to nie tylko gigantyczne przesunięcie bogactwa do Azji, rosnące znaczenie regionów-państw i zmiana w kryteriach przestrzennych zaawansowanych systemów gospodarczych, ale także olbrzymi - choć odwracalny - proces re-globalizacji. Każdy z tych procesów, sam w sobie, stanowi doniosłą zmianę w tym, jak rewolucyjne bogactwo jest związane ze swą ważną podstawą, głębokim fundamentem - przestrzenią. A jednak, o czym przekonamy się na kolejnych stronach tej książki, jedna, ostateczna zmiana przestrzenna może któregoś dnia przyćmić swą potęgą wszystkie opisane powyżej.

Rozdział 14

Pęd do przestrzeni

Nasza cywilizacja pierwsza w dziejach ludzkości umieściła wytworzone ludzką ręką obiekty daleko poza powierzchnią naszej rodzimej planety i posługuje się nimi do wytwarzania bogactwa. Już tylko to dokonanie przesądzi o określeniu naszych czasów jako rewolucyjnego momentu w dziejach.

A jednak na ogół niewiele wiemy o oddziaływaniu tego faktu na nasze życie codzienne i gospodarkę. Rzadko kto wie, że za każdym razem, gdy posługujemy się bankomatem lub telefonem, polegamy na technologii wystrzelonej w miejsce odległe o dwadzieścia tysięcy kilometrów od powierzchni globu. Nie zdajemy sobie też na ogół sprawy z tego, że każdy pacjent przechodzący dializę albo noszący elektrostymulator zawdzięcza po trosze swe zdrowie technologiom, a w niektórych przypadkach i ludziom, którzy opuścili powierzchnię planety nazywanej przez nas domem.

Satelity telekomunikacyjne i system lokalizacji GPS (Global Positioning System) - opracowywane przez amerykański Departament Obrony w ciągu czterdziestu lat kosztem, jak się szacuje, 14 miliardów USD - oraz komercyjny, zdalny przesył obrazów, stanowią część kształtującej się właśnie infrastruktury, która w ciągu kilku najbliższych dekad i stuleci zostanie znacznie rozbudowana i w coraz większym stopniu będzie oddziaływać na sposób wytwarzania wartości ekonomicznej. Trudno wyobrazić sobie coś, co lepiej symbolizowałoby dzisiejsze przemiany w relacjach między bogactwem a głębokimi, fundamentalnymi jego podstawami.

Pęd do przestrzeni kosmicznej, w swej obecnej, wciąż prymitywnej formie często dość krótkowzrocznie bywa wyszydzany jako zbędny luksus. Ale przecież już zdołał odmienić wiele aspektów naszego codziennego życia. Jednym z rezultatów jest ogólnoswiatowa branża satelitarna o wartości 100 mld USD, do której zaliczają się tacy producenci, jak Boeing, EADS/Atrium i Alcatel Space, firmy wystrzeliwujące satelity, jak np. China Great Wall Industry Corporation, operatorzy i koordynatorzy, jak na przykład Intersputnik w Rosji oraz mgławica firm usługowych, dystrybutorów obrazów pozyskiwanych z kosmosu i dostawców sprzętu naziemnego.

W latach dziewięćdziesiątych gazety na stronach gospodarczych donosiły, że inwestorzy potracili miliardy dolarów na akcjach firm branży kosmicznej, a same firmy tej branży popadły w śmiertelne tarapaty. Niedawny raport opracowany przez Satellite Industry Association (Stowarzyszenie Branży Satelitarnej) przedstawia jednak zgoła inny obraz sytuacji: stały, rokroczny, piętnastoprocentowy wzrost począwszy od połowy lat dziewięćdziesiątych. Co więcej, mimo czasowej nadwyżki mocy, coraz więcej firm i krajów na wyścigi stara się dołączyć do "kosmicznego klubu." Na przykład Brazylia i Ukraina pragną współpracować w zakresie umieszczania na orbicie ukraińskich rakiet Cyklon 4, które wystrzeliwane byłyby z brazylijskiego ośrodka Alcantara, uważanego za jedną z

najlepszych na świecie placówek tego typu. W roku 2005 banki i fundusze inwestycyjne kupowały pakiety akcji takich operatorów satelitarnych, jak Intelsat, PanAmSat czy New Skies.

I choć kwota 100 miliardów dolarów może wydawać się trywialna w zestawieniu z multibilionową gospodarką światową, to jednak nie wszystko do niej się sprowadza. Nie obejmuje ona ukrytego wzrostu wartości wytwarzanej przez wiele branż, które pośrednio lub bezpośrednio zależą od przestrzeni kosmicznej - wielkich sieci telewizyjnych, technologii medycznych, zespołów sportowych, agencji reklamowych, operatorów telefonicznych i internetowych czy dostawców danych finansowych, żeby wymienić choć kilka przykładów.

OD DIALIZY DO SZTUCZNEGO SERCA

Mało znane konsorcjum firm branży kosmicznej, występujące pod nazwą Mapping Alliance Program, oferuje obecnie zdalne wykrywanie obiektów, zdjęcia wykonywane z kosmosu i oprogramowanie z przeznaczeniem do projektowania komputerowego, sondaży, automatycznego generowania map i inne usługi. Wśród klientów MAP znaleźć można firmy naftowe i gazowe, elektrownie, wodociągi, firmy z sektora rolnego, wydobywczego i transportowego, a także firmy zarządzające zasobami naturalnymi.

Wiedza pozyskana za pomocą operacji kosmicznych pomaga też firmom przewidywać, ograniczać i neutralizować rozmaite ryzyka. A zatem dane pochodzące z kosmosu odgrywają kluczową rolę na rynkach finansowych, na których obraca się derywatami pogodowymi.

Jak mówi Ian Dudden z London International Financial Futures and Options Exchange (LIFFE; Międzynarodowej Giełdy Derywatów i Opcji w Londynie)⁵, wahania pogody mogą mieć “zasadniczy wpływ na wydajność, obroty i ogólną zyskowność” w tak zróżnicowanych sferach, jak “ubezpieczenia i rolnictwo, a także produkcja i handel detaliczny wszelkimi towarami od napojów chłodzących po leki,” nie wspominając o firmach “organizujących festiwale rozrywkowe i turystykę wypoczynkową.” W Stanach Zjednoczonych, wedle Departamentu Handlu, jedna siódma całej gospodarki amerykańskiej, wartej w 2001 roku 10 bilionów dolarów, była podatna na ryzyka związane z pogodą. Derywaty pogodowe, którymi handluje się na LIFFE i innych giełdach, stanowią sposób ubezpieczenia się od tego ryzyka.

Przemysł medyczny jest jeszcze jednym “nieoficjalnym” beneficjentem działalności w przestrzeni kosmicznej. Dwieście pięćdziesiąt tysięcy osób chorych na nerki w (JSA zawdzięcza życie codziennym dializom, które z kolei możliwe są po części dzięki NASA i astronautom amerykańskim. Proces chemiczny opracowany przez agencję lotów kosmicznych i mający służyć usuwaniu odpadów toksycznych z płynów pochodzących z dializy pomaga dziś uratować życie ludzi chorych.

Tymczasem firma StelSys za pomocą technologii lub pomysłów wykorzystywanych na podstawie licencji udzielonej przez NASA stara się rozwinąć odpowiednik systemu dializ, tym razem z myślą o pacjentach z uszkodzoną wątrobą. Jeszcze inne badania kosmiczne być może pomogą leczyć guzy

⁵ derywaty - instrumenty finansowe (papiery wartościowe) gwarantujące ich nabywcy ustalone z góry przychody w zależności od wskaźników pogodowych, jak np. liczby słonecznych dni w określonym czasie, wielkości opadów,

na mózgu, ślepotę, osteoporozę i inne choroby, na których leczenie wydaje się dziś miliardy dolarów z i tak rozdętych już budżetów systemu ochrony zdrowia.

Europejczycy testują dziś w warunkach klinicznych sztuczne serce skonstruowane na bazie technologii, jaką wykorzystuje się do produkcji pomp paliwowych w promach kosmicznych. W samych tylko Stanach Zjednoczonych leczenie chorób serca i zawałów pochłania rocznie ponad 350 mld USD. Ile z tej kwoty można zaoszczędzić dzięki sztucznemu sercu? Jak wielką wartość ekonomiczną można przypisać "bioreaktorowi" zaprojektowanemu z myślą o hodowaniu komórek w przestrzeni kosmicznej (jest to narzędzie wykorzystywane dziś przez laboratoria inżynierii tkanki pracujące nad technologią hodowli ludzkiego serca)?

Podobne pytania można zadać odnośnie do ślepoty, utraty organów i chorób nerek związanych z cukrzycą - chorobą, której leczenie pochłania obecnie w Stanach Zjednoczonych rocznie co najmniej 32 mld USD, a wedle szacunków ma pochłaniać znacznie więcej wraz ze starzeniem się ludności USA.

Tymczasem przestrzeń odgrywa kluczową rolę także w monitorowaniu środowiska naturalnego. Francuski statek kosmiczny SPOT-4, na przykład, ma na pokładzie amerykański instrument POAM III służący do dokonywania pomiarów polarnej warstwy ozonowej i aerozolu. Według "U.S. Naval Research Laboratory's Review" za rok 2001 (Przeglądu Amerykańskich Laboratoryjnych Badań Morskich), "znaczne połacie lasów na Alasce, w północnej Kanadzie, Skandynawii, Rosji i w Chinach trawione są pożarami wybuchającymi co roku w okresie między majem i październikiem. Olbrzymie ilości dymu wdzierają się do atmosfery, gdzie wiatry wiejące na znacznych wysokościach czasami przenoszą dym tysiące kilometrów od miejsca pożaru." Zjawiska te śledzi SPOT-4/POAM III.

Podobnie celem wspólnego przedsięwzięcia kosmicznego NASA i Brazylii jest badanie globalnego wpływu zmian ekologicznych w rejonie Amazonii. "Ptaszek" NASA mierzy tempo topnienia lodu na biegunach północnym i południowym. Inne ekologiczne przedsięwzięcia kosmiczne skupiają się na wielu innych problemach - od uzdatniania wody i rybołówstwa po ekologię ujść wielkich rzek podlegających działaniu przyptyków i odpływów morza czy efekt pogody El Nino⁶.

Nigdy dotąd człowiek nie dysponował tak szczegółowym i dokładnym obrazem powierzchni Ziemi. Promy kosmiczne, takie jak *Endeavour*, umożliwiły zdobycie kolosalnej ilości danych niezbędnych do tworzenia wysokiej rozdzielczości fotografii bezludnej tundry i obszarów pustynnych, też dżungli zamieszkałej przez zagrożone wyginięciem goryle czy starożytnych ruin, takich jak Angkor Wat i Obar. Te same, cudownie precyzyjne dane mogą, pośród wielu zastosowań, być wykorzystywane do lokalizacji anten telefonii komórkowej, określania zagrożeń lotniczych i przewidywania powodzi.

temperatury itp. Firmy nabywające derywaty zabezpieczają się w ten sposób od utraty przychodów w razie niepogody - przyp. tłum.

⁶ El Nino - zjawisko pogodowe polegające na zmianie kierunku lub zanikaniu pasatów wiejących nad równikiem; wraz ze zmianą wiatrów zmieniają się też prądy oceaniczne i temperatura wody. W rezultacie w niektórych częściach świata może dojść np. do intensywnych opadów śniegu w ciepłych zazwyczaj i suchych rejonach czy intensywnej suszy w miejscach wilgotnych. El Nino wpływa również na pogodę w Polsce, wywołując m.in. szczególnie obfite opady latem - przyp. tłum.

PILOCI, SAMOLOTY I PACZKI

W wojskowej bazie lotniczej Schriever w Colorado, przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, garstka żołnierzy i żołnerek amerykańskich sił powietrznych - a są wśród nich również osiemnasto- i dziewiętnastolatki - siedzi przed konsolami komputerowymi i kontroluje satelity krążące po oddalonej o dwanaście tysięcy mil morskich orbicie ziemskiej. Załoga bazy zarządza ponad dwudziestoma satelitami tworzącymi razem Globalny System Lokalizacyjny (Global Positioning System; GPS) NAVSTAR, który może każdemu, kto dysponuje małym, niedrogim odbiornikiem, wskazać jego (lub jej) dokładną lokalizację na ziemi.

Używany przez firmy świadczące usługi on-line, wędrowców, kierowców, kierowców, żeglarzy, transportowców i firmy telekomunikacyjne, że nie wspomnę o wojsku, GPS jest jednym z cudownych wynalazków naszej ery.

Implikacje zarówno dla bezpieczeństwa, jak i dla biznesu sięgają tak daleko, że Europa - mimo niejakiego opóźnienia - także planuje teraz zbudować swój własny system lokalizacyjny, zwany Galileo.

Mało znaną okolicznością dotyczącą GPS-u jest fakt, że pomaga nam lokalizować nie tylko w przestrzeni, ale także w czasie. A zatem w dodatku do pozycjonowania nas przestrzennie, system działa także jako kluczowy synchronizator. Żeby posłużyć się słowami Glena Gibbona z Advanstar Communications: "Za każdym razem gdy pobieramy gotówkę z bankomatu lub dzwoniemy przez telefon (komórkowy lub stacjonarny), strumień zsynchronizowanego głosu i danych przepływa przez te sieci telekomunikacyjne niemal z całkowitą pewnością w oparciu o czas GPS. System ten udostępnił całemu światu możliwość synchronizacji czasowej z dokładnością do 9 nanosekund, za sprawą cezowych i rubidowych zegarów atomowych zainstalowanych na satelitach GPS." Korzyść dla wydajności płynąca z precyzyjnego ustalania czasu i synchronizacji w gospodarce nie została jeszcze oszacowana. A tyle jeszcze przed nami.

Od chwili ataku na World Trade Center w Nowym Jorku, eksperci w zakresie zwalczania terroryzmu poświęcają coraz więcej uwagi dwustu milionom kontenerów transportowych przenoszonych rocznie drogą morską. Każdy z nich może zawierać ukrytą broń biologiczną, poszukiwanego terrorystę, nielegalne narkotyki lub broń czy inne niebezpieczne ładunki. Dziś zaledwie 2 proc. tej masy transportowej poddawana jest inspekcji po dotarciu na terytorium Stanów Zjednoczonych. Dodajmy do tego kontenery przybywające do USA drogą lądową i powietrzną.

Satelity GPS, z zasady, mogą śledzić współrzędne tych kontenerów na każdym etapie ich wędrówki. W przyszłości nie tylko kontenery, ale każdy produkt będzie nieustannie śledzony na każdym etapie swej drogi wzdłuż łańcucha dostaw - z fabryki do hurtownika, detalisty, na półkach w sklepie i do domu konsumenta. Prototypowe systemy śledzenia produktów są już badane i testowane przez takie firmy jak Wal-Mart, Target, Sears i Kmart.

Co więcej, nadejdzie dzień, kiedy wiele palet z produktami żywnościowymi, na przykład, będzie zaopatrzonych w mikroukłady scalone i na bieżąco będzie informować nadawcę o stanie, w jakim znajduje się żywność w czasie swej wędrówki do konsumenta.

Inne "inteligentne" opakowania będą wręcz przetwarzały swoją zawartość w czasie transportu. W połączeniu z systemem GPS lub podobnymi systemami satelitarnymi, wynalazek ten zmieni wielkie sektory zarówno branży transportowej jak i żywnościowej, zapewniając świeższe produkty żywnościowe i inne, transportowane w wyższej jakości opakowaniach, zmieni ekonomikę zarówno produkcji, jak i dystrybucji w tej i wielu innych dziedzinach - przy okazji zaś poprawi nasze bezpieczeństwo.

Podobnie jak w przypadku wszystkich technologii w ogóle, GPS, rzecz jasna, zawiera w sobie nie tylko pozytywny, lecz również negatywny potencjał. Może sprawić, że będziemy żyli o wiele bezpieczniej. Może wysledzić samochód wypełniony bojownikami Al Kaidy w samym środku jemeńskiej pustyni. Może także nawiedzić agencję towarzyską albo szwajcarski bank, który nie będzie w stanie chronić prywatności tak doskonale, jak niegdyś. To samo dotyczy cookies instalowanych w komputerach osobistych czy skłonnego do plotek sąsiada. Cóż, warto dobrze zastanowić się nad zarówno zaletami, jak i wadami tej technologii.

Jednakże jedną z największych ekonomicznych korzyści, jakie nam daje GPS, docenimy dopiero wówczas, gdy dzisiejszy system kontroli lotów oparty na instalacjach naziemnych stanie się zaledwie kopią awaryjną wobec nowej jego wersji - zainstalowanej w kosmosie. Dzisiaj wymaga się, aby większość samolotów kursowała od jednej stacji nadawczej do następnej wzdłuż niezwykle zagęszczonych radiowo korytarzy. Ich przepustowość w rejonie wielkich miast jest ograniczona. System GPS może zwiększyć tę przepustowość, podnosząc zarazem precyzję. Dzięki temu systemowi można byłoby też lądować w warunkach uznawanych dzisiaj za niedopuszczalne, np. na małych, odległych lotniskach, czy poprawić nawigację transoceaniczną. Wszystko to po znacznie mniejszym koszcie niż system stacji naziemnych.

Jeszcze wspanialszy system, Global Differential GPS, niedawno skonstruowany w należącym do NASA laboratorium Jet Propulsion Lab w Pasadenie (Kalifornia), testowany jest właśnie w Stanach Zjednoczonych i na Grenlandii. Jest on dziś w stanie lokalizować samoloty z dokładnością do 10 cm horyzontalnie i 20 cm wertykalnie w dowolnym zakątku świata. Laboratorium JPL dumnie ogłosiło, że nowy system oferuje dziesięciokrotnie wyższą precyzję od obecnie funkcjonujących.

NIEZBADANE GRANICE BOGACTWA

Na każdym polu zatem, działalność w kosmosie jest opłacalna dla kształtującej się gospodarki, często w niedostrzegalny sposób, i zawiera w sobie obietnicę kolejnych korzyści w przyszłości. Wedle badań Midwest Research Institute (Instytutu Badawczego Środkowego Zachodu) każdy dolar zainwestowany w NASA generuje dodatkowych dziewięć dolarów Produktu Krajowego Brutto (PKB) Stanów Zjednoczonych. W innym opracowaniu, przygotowanym przez Chase Econometrics, czytamy, że badania związane z przestrzenią kosmiczną owocują wzrostem wydajności przekładającym się na 43-procentowy zwrot z inwestycji. Wszystkie te szacunki są nieco już zdezaktualizowane, wątpliwe i niekompletne. Niemniej jednak nawet jeśli arbitralnie podzielimy je

przez dwa, nadal silnie dokumentują niesamowitą opłacalność działalności w kosmosie dla gospodarki. A przecież na razie wykorzystujemy zaledwie maleńki ułomek możliwości.

Oczywa wyobraźni dostrzeżemy niezliczone tysiące kolejnych satelitów krążących w przyszłości po niebie wokół globu. Algieria, Pakistan i Nigeria już zakupiły miniaturowe satelity, o wadze niewiele większej niż 45 kg, które są w stanie przenosić kamery, za to ich umieszczenie na orbicie możliwe jest po niewspółmiernie niskim koszcie w porównaniu do kwot, jakie pochłania wystrzelenie na orbitę okołoziemską satelitów tradycyjnych. Profesor Martin Sweeting reprezentujący producenta tych satelitów, brytyjską firmę Surrey Satellite Technology, twierdzi, że w ciągu dziesięciu lat będziemy wysyłać w kosmos satelity nie większe rozmiarami od karty kredytowej. Wraz ze spadkiem rozmiarów, znacznie obniżą się też koszty, dzięki czemu będą mogły sobie na nie pozwolić nawet średniej wielkości firmy, organizacje pozarządowe, a wręcz osoby prywatne - nie tylko dobrzy ludzie, ale i czarne charaktery.

Mówiąc krótko, nadszedł czas, by przyznać, że nawet w wymiarze czysto ekonomicznym pęd do kosmosu bynajmniej nie jest naszą fanaberią. Pierwsze, dziecięce kroki ludzkości w przestrzeni międzyplanetarnej już wytwarzają znaczną wartość na ziemi na takie sposoby, o których wcześniejsze cywilizacje mogły tylko fantazjować. A to dopiero początek!

Dziś ponad pięćdziesiąt krajów twierdzi, że dysponuje programem kosmicznym. Ale w kosmosie spotykają się nie tylko rządowe przedsięwzięcia. W roku 2004 dwadzieścia sześć firm rywalizowało o nagrodę Ansari X Prize dla pierwszej firmy prywatnej świata, która byłaby w stanie zbudować statek kosmiczny zdolny do wyniesienia trzyosobowej załogi w przestrzeń suborbitalną i po dwóch tygodniach powtórzyć próbę z wykorzystaniem tego samego okrętu. Cel: przyspieszyć rozwój komercyjnej turystyki w kosmosie.

W dniu 4 października 2004 roku - dokładnie, co do dnia, w czterdzieści siedem lat od wystrzelenia *Sputnika* - *SpaceShipOne* z powodzeniem udał się w przestrzeń suborbitalną i zdobył ową nagrodę. Przedsięwzięcie nie było finansowane grubymi miliardami pochodzącymi ze środków rządowych ale zaledwie dwudziestoma milionami USD, które wyłożył Paul Allen, współzałożyciel Microsoftu. Pilot okrętu, Brian Binnie, był czterysta trzydziestym czwartym człowiekiem, który opuścił Ziemię, by udać się w podróż kosmiczną.

Zaledwie kilka miesięcy wcześniej, kiedy *Spirit* oraz *Opportunity*, dwa bezzałogowe okręty kosmiczne NASA zdołały bezpiecznie wylądować na Marsie, zastępca dyrektora Jet Propulsion Laboratory, Eugene Tattini oszacował, że wydarzenie to wywołało zainteresowanie internautów mierzone 10 miliardami kliknięć; ludzie na całym świecie pragnęli być na bieżąco i dzielić z innymi przeżywanie tej ważnej chwili.

Nawet gdybyśmy nie dokonywali żadnych innych zmian w przestrzennym wymiarze bogactwa - jeśli nie doszłoby do przesunięcia ku Azji ani do powstania regionów-państw, jeśli nie poszukiwanoby miejsc o wyższej wartości dodanej, jeśli nie dokonywalibyśmy re-globalizacji ani deglobalizacji gospodarki świata - samo tylko oderwanie się od naszej planety stanowi rewolucyjny punkt zwrotny w wytwarzaniu bogactwa.

Kompletny materiał dowodowy jest zatem wręcz przytłaczający. Jednocześnie dokonujemy transformacji stosunków łączących bogactwo zarówno z czasem, jak przestrzenią - a więc z dwoma wartościami fundamentalnymi, stanowiącymi podłoże wszelkiej działalności gospodarczej od czasów naszych praojców zbieraczy i myśliwych.

Bogactwo wcale nie ma dzisiaj charakteru rewolucyjnego, ale coraz bardziej go nabiera. I nie jest to jedynie kwestia technologii. Mamy bowiem do czynienia, co postaramy się wykazać na kolejnych kartach tej książki, także z rewolucją umysłową.

Część V

Zaufajmy wiedzy

Rozdział 15

Rubież wiedzy

Nguyen Thi Binh, ponad pięćdziesięcioletnia wietnamska chłopka uprawia ryż na małym poletku, jakieś sto kilometrów na południe od Hanoi. Kiedy ona uprawia na tym poletku ryż - my tego tam już robić nie możemy.

Tatiana Raseikina, dwudziestoparoletnia Rosjanka, przykręca klamki do samochodów marki Awto-VAZ, przemykających przed nią na linii montażowej w Togliatti⁷, przemysłowym mieście na południe od Moskwy. I, podobnie jak w przypadku poletka ryżowego w Wietnamie: kiedy klekocząca linia Tatiany mknie przed siebie - my nie możemy z niej korzystać w tym samym czasie.

Życie i kultura tych dwóch kobiet są całkiem odmienne. Los Wietnamki symbolizuje produkcję rolną, druga kobieta przywodzi na myśl produkcję przemysłową. A jednak obie żyją w warunkach gospodarczych, w których najważniejsze aktywa, zasoby i produkty - jak powiadają ekonomiści - wymuszają rywalizację, co znaczy, że posługiwanie się nimi przez jedną stronę automatycznie uniemożliwia komukolwiek innemu jednoczesny do nich dostęp.

Ponieważ większość państw posiada gospodarkę albo rolniczą, albo przemysłową, nie będzie dla nikogo niespodzianką, że większość ekonomistów poświęciło całe swe zawodowe życie gromadzeniu danych i ich analizowaniu oraz budowaniu teorii dotyczących rywalizacyjnych środków wytwarzania bogactwa.

Nagle, powiedzmy, pojawił się nowy system wytwarzania bogactwa, którego siłą napędową są nie tylko zasadnicze zmiany w naszych relacjach wobec czasu i przestrzeni, ale również wobec trzeciego fundamentu: wiedzy.

Konserwatywni ekonomiści skłonni są podważać jej znaczenie i pracują, jakby nic się nie zmieniło bądź też podchodzą do niej za pomocą nieodpowiednich narzędzi. Jednym z powodów tej sytuacji jest fakt, że w przeciwieństwie do ryżu czy klamek samochodowych wiedza jest niematerialna i próby jej zdefiniowania prowadzą wprost do labiryntu, z którego zazwyczaj nie ma dogodnego wyjścia.

Na szczęście, dla naszych celów, nie musimy dokonywać kompleksowego przeglądu niezliczonych, konkurencyjnych, a co gorsza drętwych definicji. Skrajna precyzja i szczegółowość nie są tu niezbędne. Z pozoru wyjście takie będzie nie satysfakcjonujące, jednakże ograniczymy się do roboczej definicji, która pomoże ustalić, jakiego rodzaju transformacjami zostały objęte nasze światowe podstawy intelektualne, czyli wiedza. Rozważymy też, jak dzisiejsze zmiany wpłyną na bogactwo jutra.

Bardzo rozpowszechnionym podejściem wobec wiedzy jest jej oddzielanie od danych i informacji. Dane są na ogół rozumiane jako zespół odrębnych obiektów pozbawionych kontekstu - na przykład

⁷ Togliatti - dawniej Stawropol nad Wołgą - przyp. tłum.

“trzysta akcji”. Kiedy dane te umieścimy w kontekście, stają się informacją - na przykład “posiadamy trzysta akcji firmy farmaceutycznej X”.

Tylko wtedy, gdy informacja sformułowana jest w taki sposób, że otrzymujemy bardziej ogólne wzory na wyższym poziomie i łączymy je z innymi wzorami, docieramy do czegoś, co można nazwać wiedzą - na przykład “posiadamy trzysta akcji firmy farmaceutycznej X, której kurs wzrósł 2 punkty w warunkach ogólnego wzrostu kursu akcji, jednak przy niskich obrotach; spodziewamy się ponadto, że zostaną podwyższone stopy procentowe.”

Terminami tymi posługiwać się zatem będziemy właśnie w taki sposób, lecz dla uniknięcia nużącego powtarzania rozróżnienia na “dane, informacje i wiedzę”, będziemy zamiennie stosować, tam gdzie nie będzie to szczególnie istotne, wiedzę i informacje, dla oznaczenia dowolnego z powyższych desygnatów.

Razem wzięte podziały te zapewniają jedynie bardzo surową definicję wiedzy. Ale właśnie teraz najważniejszą rzeczą będzie opisanie tego, co możemy nazywać “podażą wiedzy” w systemie rewolucyjnego bogactwa.

O gospodarce intelektualnej, czyli opartej na wiedzy, napisano już miliardy słów. Zostały one puszczane w obieg, umieszczone w Internecie i zostały przedyskutowane pewnie w każdym języku świata. Jednakże bardzo niewiele z tych słów trafnie określa, jak bardzo wiedza różni się od wszelkich innych zasobów lub aktywów, które biorą udział w wytwarzaniu bogactwa. Zastanówmy się nad najważniejszymi spośród tych doniosłych różnic.

Wiedza jest z istoty dobrem nierywalizacyjnym. Ty i milion innych osób możecie posługiwać się tym samym fragmentem wiedzy bez jego umniejszania. W rzeczy samej, im więcej ludzi jednocześnie posługuje się takim samym fragmentem wiedzy, tym większa szansa, że ktoś wytworzy za jego pomocą dodatkowy zasób wiedzy.

Fakt, że wiedza nie wymaga rywalizacji, nie ma nic wspólnego z tym, czy musimy za dostęp do niej płacić czy nie. Patenty, prawa autorskie, technologie antypirackie mogą chronić określony zasób intelektualny i wyłączać możliwość posługiwania się nim przez tych, którzy nie opłacą dostępu do wiedzy. Ale są to jedynie narzędzia o charakterze prawnym, a nie cechy ściśle związane z samą istotą wiedzy, która, w zasadzie, jest niewyczerpana. Arytmetyka nie wyczerpuje się w miarę jej stosowania.

We współczesnych gospodarkach zaawansowanych pracownicy w olbrzymiej większości zajmują się tworzeniem i wymianą nierywalizacyjnych danych, informacji i wiedzy. Jednakże nie znana jest nam teoria, która by w sposób systematyczny obrazowała współoddziaływanie rywalizujących i nierywalizacyjnych sektorów w całej gospodarce i to, co się dzieje, kiedy następuje zachwianie równowagi pomiędzy nimi.

Wiedza jest niematerialna. Nie możemy jej dotknąć, pogłaskać ani uderzyć. Ale możemy - i korzystamy z tej możliwości - manipulować nią.

Wiedza jest nieliniowa. Małe pomysły mogą dać kolosalne rezultaty. Studenci Stanford, Jerry Yang i David Filo, uruchomili Yahoo! po prostu kategoryzując swe ulubione strony internetowe.

Fred Smith, także jako student, doszedłszy do wniosku, że w warunkach przyspieszającej gospodarki ludzie chętnie zapłacą więcej za szybkość, założył Federal Express, najbardziej znaną na świecie firmę kurierską.

Wiedza jest relatywna. Każdy wybrany fragment wiedzy zachowuje swe znaczenie tylko wówczas, gdy zestawimy go z innymi fragmentami, stanowiącymi kontekst. Czasami kontekst trzeba komunikować bez słów: uśmiechem czy grymasem.

Wiedza obcuje z inną wiedzą. Im więcej jest wiedzy, tym więcej jest wielopłaszczyznowych, licznych i urozmaiconych - wszystkich jej użytecznych kombinacji.

Wiedza jest bardziej mobilna niż jakikolwiek inny produkt. Po przetworzeniu na kod zero - jedynkowy, natychmiast można ją dostarczać czy to najbliższemu sąsiadowi, czy dziesięciu milionom ludzi od Hongkongu po Hamburg, w tej samej, niemal zerowej cenie.

Wiedzę można sprowadzić (skompresować) do symboli lub abstraktów. Spróbujcie skompresować "materialny" toster.

Wiedzę można przechowywać na coraz mniejszej przestrzeni. Toshiba pojawiła się na kartach Księgi Rekordów Guinnessa w roku 2004 za sprawą komputerowego dysku twardego mniejszego od znaczka pocztowego. A już wkrótce nadejdą czasy przechowywania danych w nanoskali, czyli mierzonej miliardowymi częściami metra. A nawet w mniejszej skali, bo posiadamy prawidłową wiedzę na ten temat.

Wiedza może być jawna lub ukryta, wyrażona lub niewyrażona, udostępniana lub niema. Nie istnieją natomiast niejawne stoły, ciężarówki czy inne dobra materialne.

Wiedzę trudno zamknąć w butelce. Zawsze wycieknie.

Wszystkie te cechy wiedzy wzięte razem dają nam coś tak niepodobnego do dóbr materialnych, tradycyjnie zajmujących ekonomistów, że wielu z nich po prostu drapie się po głowach i, jak większość ludzi, szuka ukojenia w dobrze im znanym świecie - znajomym świecie materialnych dóbr rywalizujących.

Ale nawet wszystkie te różnice nie wystarczą, by otrzymać kompletny obraz wiedzy, która wcale nie pasuje do istniejących kategorii ekonomicznych.

PROSZĘ NIE KOPAĆ OPON

Wartości intelektualne (a więc takie, których podstawą jest wiedza) posiadają przedziwne, paradoksalne właściwości. Spójrzmy na różnicę między kupowaniem samochodu i kupowaniem wiedzy autorskiej.

Właściciele i autorów bardzo wartościowego dorobku intelektualnego chronią przepisy z zakresu tajemnicy handlowej. Nie tak dawno temu Lockheed Martin Corporation pozwała Boeinga twierdząc, że jeden z zatrudnionych w Lockheed Martin inżynierów wyniósł z firmy dokumentację dotyczącą wyrzutni raketowej łącznie z kosztorysem i udostępnił ją Boeingowi. W pozwie stwierdzono, że Boeing za jej pomocą wygrał przetarg o wartości wielu miliardów dolarów.

W ten sposób dochodzimy do tego, co profesor Max Boisot z ESADE (La Escuela Superior de Administración y Dirección de Empresas) w Barcelonie nazywa paradoksem. "Wartość dóbr materialnych ustalana jest w oparciu o porównywanie ich wartości ze sobą nawzajem." Nabywca samochodu kopie opony, zagląda pod maskę, prosi przyjaciół o radę, bierze toyotę, forda czy volkswagena na jazdę próbną. Nie obniża to wartości samochodu.

W przeciwieństwie do tej sytuacji, w przypadku konfliktu między Lockheed Martin i Boeingiem, założmy hipotetycznie, że jeszcze inna firma aeronautyczna, powiedzmy Northrop, chciałaby zakupić tajne dane Lockheeda. Aby ustalić ich wartość, musi wiedzieć, co zawierają. Ale w tej samej chwili, w której przekonuje się, co zawiera dokumentacja - przestaje to już do końca być tajemnicą, więc być może przynajmniej część jej wartości może być już stracona.

Posługując się słowami prof. Boisota, "informacji o dobrach informacyjnych (...) nie można tak rozpowszechniać bez uszczuplenia ich "unikatowości" - teźże unikatowości, która stanowi podstawę jej wartości. Przypominałoby to zagłębienie pod maskę tylko po to, by wymontować ukradkiem system wtrysku paliwa.

W gospodarce coraz silniej związanej z wiedzą i innowacjami tworzy to istotny problem nie tylko dla ekonomistów, ale dla ekonomii. Boisot pisze wręcz, że "kiedy informacja przestaje odgrywać rolę tylko wspierającą w transakcjach gospodarczych, ale kiedy raczej staje się głównym ich przedmiotem, logika kierująca produkcją i wymianą dóbr materialnych traci rację bytu."

Wzrost nasycenia wiedzą nie jest tylko pomniejszą przeszkodą na drodze. Ekonomiści, którzy mieli nadzieję na przekształcenie ekonomii w naukę równie precyzyjną i przewidywalną jak fizyka Newtona, przedstawiali niegdyś gospodarkę na sposób deterministyczny, niemal jak maszynę potrafiącą zapewnić equilibrium. Nawet dzisiaj ekonomia w sporej części, obejmującej dorobek Adama Smitha, Davida Ricardo i potem także Karola Marksa, Johna Maynarda Keynesa i Milтона Friedmana, wciąż oparta jest, przynajmniej częściowo, na mechanice Newtonowskiej i Kartezjańskiej logice.

Aczkolwiek przed niespełną stu laty teoria kwantowa, względności oraz zasada niepewności wywołały kryzys w fizyce, który umożliwił pierwszym fizykom, następnie także nie-fizykom, pełniejsze zrozumienie ograniczeń modelu mechanicznego. Okazuje się, że nie wszystko na świecie i nie zawsze zachowuje się z zachowaniem regularności, przewidywalnie i zgodnie z prawami, jak maszyna. Jak powiada Bisot: "Wiadomość ta (...) rozczaruje kogoś, kto wierzy, że ekonomia jest lub powinna być precyzyjną wiedzą: otóż dobra informacyjne są nieokreślone co do wartości. I tak jak odkrycie indeterminizmu w procesach fizycznych pociągnęło za sobą odejście od paradygmatu klasycznej fizyki do fizyki kwantowej, tak nieokreśloność dóbr informacyjnych wymaga odrębnej politycznej ekonomii informacji."

Teraz zestawmy pytania dotyczące wiedzy, na które nie znamy odpowiedzi, z tymi, które narzucają się nam - wobec jednocześnie dokonujących się zmian w naszych relacjach wobec czasu i przestrzeni. Zaczynamy dostrzegać, jak niewiele wiemy o rewolucyjnym systemie bogactwa, który dziś przekształca Amerykę i rozprzestrzenia się na całym świecie.

Dla początkujących: ile jest w ogóle wiedzy na świecie?

Rozdział 16

Ropa naftowa jutra

Może się to wydawać zadziwiające, ale w pół wieku po narodzinach gospodarki intelektualnej (opartej na wiedzy) wiemy zawstydzająco mało o “wiedzy”, która za nią stoi.

Jeśli, na przykład, wiedza ma być ropą naftową jutrzejszej gospodarki, a pogląd ten jest dość popularny, warto zastanowić się, jak wiele istnieje tej “niematerialnej” ropy? Koncerny paliwowe, siły zbrojne, maklerzy z Wall Street i szejkwowie z Bliskiego Wschodu wydają dziś fortuny na oszacowanie realnej - a nie szacunkowej - wielkości zasobów ropy naftowej na świecie. Ale czy ktoś wie, ile świat w ogóle wie? Albo: Jak zmienia się światowa podaż wiedzy? Jak wiele warto wiedzieć? I jaką to ma wartość?

Aby udzielić odpowiedzi na tego rodzaju pytania musimy wytyczyć całkiem niespodziewane ścieżki, przenicować najbardziej dziwaczne przekonania na temat wszystkiego - od Pisma Świętego i Koranu po naukę, zachowania bobrów i trujące pomidory. Spójrzmy na sposób, w jaki traktujemy ekonomię, a następnie zbadamy przyszłość prawdy jako takiej.

IM WIĘCEJ ZUŻYWAMY...?

Punktem wyjścia będzie dla nas prosty, kluczowy fakt: wiedza - jeszcze jeden głęboki fundament rewolucyjnego bogactwa - stała się jednym z najszybciej zmieniających się komponentów naszego otoczenia społeczno-ekonomicznego. To z tego względu wszelkie porównania wiedzy do ropy naftowej będą mylące.

Sposób przechowywania i transportowania paliwa zmienił się w ciągu minionego stulecia w bardzo umiarkowanym stopniu - nadal stosujemy rury, zbiorniki i tankowce. Jakżeż kontrastują z nimi mocno rozpowszechnione komputery, satelity, telefony komórkowe, Internet i inne technologie cyfrowe. Diametralnie zmieniamy sposoby tworzenia i przechowywania wiedzy, tempo jej dezaktualizacji, oceny jej wartości, narzędzia, za pomocą których produkujemy jeszcze większe zasoby wiedzy, języki, w których ją wyrażamy, stopień specjalizacji i abstrakcji, w jakim jest zorganizowana, analogie, na których polegamy, ilość, w której jest kwantyfikowalna, oraz środki jej rozpowszechniania.

Co więcej, wszystkie te parametry wiedzy zmieniają się jednocześnie z taką szybkością, z jaką nigdy dotąd się nie zetknęliśmy, udostępniając nam zarazem niezliczone, nowe sposoby tworzenia bogactwa.

Inną zasadniczą różnicą między ropą naftową i wiedzą jest to, że im więcej ropy zużywamy, tym mniej nam jej zostaje. W przeciwieństwie do niej, im więcej używamy wiedzy, tym więcej jej tworzymy. Sama tylko ta różnica sprawia, że dorobek głównego nurtu ekonomii staje się anachronizmem. Ekonomii nie można już dziś rozumieć (choć często tak bywa) - jako nauki o alokacji ograniczonych zasobów. Wiedza jest w zasadzie niewyczerpywalna.

Te zmiany w sposobie naszych odniesień do wiedzy wywierają silny wpływ na rzeczywiste bogactwo świata - komu ono przypada i jak się to odbywa. Za ich sprawą prawnicy, księgowi i twórcy prawa z wszystkich sił starają się na nowo określić istniejące przepisy prawne dotyczące podatków, rachunkowości, prywatności i własności intelektualnej. Sprawiają, że nasila się konkurencja i wzrasta tempo innowacji. Dzięki nim dawne zasady regulacyjne są przestarzałe. Wywołują ciągle zawirowania i zwroty w metodach działania, na rynkach i w zakresie zarządzania.

Umożliwiają całym branżom i sektorom odejście od masowej produkcji i masowej konsumpcji ku bardziej zindywidualizowanym produktom, usługom i doświadczeniom - o większej wartości dodanej. Przede wszystkim jednak zmiany te w zakresie wiedzy wymagają znacznie szybszego i bardziej sprawnego podejmowania decyzji w coraz bardziej skomplikowanych (jeśli nie wręcz chaotycznych) warunkach.

A jednak mimo tysięcy analiz i opracowań kształtującej się gospodarki intelektualnej, oddziaływanie wiedzy na wytwarzanie bogactwa było i wciąż jest boleśnie niedoceniane.

WALCOWNIE I KOMPUTERY

Choć Stany Zjednoczone wciąż są w produkcji przemysłowej niekwestionowaną potęgą, to jednak w przemyśle zatrudnienie znajduje poniżej 20 proc. siły roboczej USA. Aż 56 proc. pracowników amerykańskich wykonuje pracę w dziedzinie zarządzania, usług finansowych, na stanowiskach związanych ze sprzedażą, w urzędach lub w ramach wolnego zawodu. Najszybciej rosnącą kategorią są właśnie wolne zawody: wymagają najwięcej wiedzy.

Te często cytowane liczby nie w pełni oddają jednak obraz nowych realiów. Wiedzą bowiem zajmuje się daleko więcej niż 56 proc. wykonujących pracę. Dzieje się tak, ponieważ bardzo wielu operatorów maszyn - czy to w supernowoczesnych walcowniach amerykańskich czy, skoro już o tym mowa, w południowokoreańskich zakładach wytwarzających dobra konsumpcyjne, co najmniej część swego czasu pracy spędza przed monitorem komputera, podobnie jak, na przykład, piloci boeingów 747 - w kokpicie. Kierowcy ciężarówek korzystają z komputerów zainstalowanych w kabinach. Pewnie nie zaliczymy ich do kategorii pracowników umysłowych, ale także i oni wytwarzają, przetwarzają i przesyłają wiedzę lub dane i informacje stanowiące ich podstawę. Są zatem, w rezultacie, częściowo zatrudnieni jako pracownicy umysłowi, choć nie bierze się ich w rachubę przy tego rodzaju obliczeniach.

Ale nie tylko takie przypadki wypadają z kalkulacji. Wiedza, którą wszyscy posługujemy się do wytwarzania bogactwa, obejmuje trudno poddającą się pomiarom lub wręcz ukrytą wiedzę przechowywaną wewnątrz naszych głów. Jesteśmy "mądrzy" za sprawą codziennego rozumienia ludzi wokół nas. Obejmuje ona to, komu warto zaufać, jak szef zareaguje na złą wiadomość, jak pracują zespoły. Obejmuje ona umiejętności zawodowe i zachowania, jakie przyswoiliśmy sobie wyłącznie w drodze obserwacji innych ludzi. Obejmuje ona znajomość własnego ciała i umysłu - tego, jak się one zachowują i kiedy umożliwiają nam osiągnięcie najlepszych wyników w pracy.

W pewnej mierze ta wiedza ukryta jest banalna. Ale jednak w pewnej części ma kluczowe znaczenie w życiu codziennym oraz dla przedsięwzięć twórczych. Chodzi tu o wiedzę, którą trzymamy gdzieś tam, w szarych komórkach, a z której istnienia niekiedy - być może - nie zdajemy sobie nawet sprawy, a przecież wszyscy od niej zależymy. I właśnie dlatego, że jest tak zróżnicowana i tak głęboko ukryta, także często bywa lekceważona przez ekonomistów.

Mówiąc krótko, z tych i innych powodów nie od dziś ekonomiści - zawsze, kiedy mówią o wiedzy - muszą nas trochę oszukać. Dzisiaj zresztą zdarza się im to częściej niż kiedykolwiek wcześniej. A zatem, aby jednak dotrzeć do jądra gospodarki jutra musimy zrównoważyć sobie jakoś ten brak wiedzy na temat wiedzy.

NASZ WEWNĘTRZNY "MAGAZYN"

Każdy z nas, w każdej chwili, posiada zindywidualizowany rejestr wiedzy związanej z pracą i bogactwem. Pisarze prawdopodobnie wiedzą coś o rzemiośle pisarskim i o branży wydawniczej. Dentyści znają się na zębach. Pracownicy stacji benzynowej wiedzą o płynie do układu wspomaganie kierownicy.

Ale nie cała ta wiedza jest indywidualną własnością każdego z nas. Zespoły pracownicze, firmy, branże, instytucje i całe gospodarki w dowolnie wybranej chwili rozwijają swe własne zasoby kolektywnej wiedzy. To samo można powiedzieć o społeczeństwach i narodach.

Cała ta wiedza przechowywana jest na dwa zasadniczo odmienne sposoby. Część zasobu wiedzy znajduje się wewnątrz czaszki każdego z nas. Jest to dość przepelniony, acz niewidoczny magazyn wiedzy, danych, które ją poprzedzały oraz informacji. Ale w przeciwieństwie do zwyczajnego magazynu, jest to zarazem i warsztat, w którym my - albo, precyzyjniej, związki elektrochemiczne w naszym mózgu - nieustannie przesuwają, dodają, odejmują, łączą i na nowo organizują liczby, symbole, słowa, wizerunki i wspomnienia, łącząc je z emocjami i w rezultacie wytwarzają nowe myśli.

Myśli przechodzące nam przez głowę mogą dotyczyć czegokolwiek: statystyk giełdowych z Wall Street, wyglądu naszego klienta, porady kolegi, jak lepiej uderzać piłkę golfową, obrazu twarzy matki, zmartwienia chorobą dziecka czy technicznej formuły poprawienia jakości produktu, a wszystko to może przeplatać się z fragmentami wczorajszego meczu w koszykówkę transmitowanego w telewizji, kawałkami reklam samochodowych i szkicem nieukończonyj, spóźnionej już mocno notatki służbowej.

Każda z osobna myśl, wśród tak rozproszonych tematycznie wątków, może być pozbawiona znaczenia. Ale jeśli myśli te zostaną zaaranżowane nieco inaczej - nabiorą wówczas szerszego znaczenia. Często przekładają się na działania, które zmieniają ważne decyzje dotyczące naszego życia osobistego, pracy i zdrowia. Troska o zdrowie dziecka może utrudnić skoncentrowanie się na notatce albo jutrzejszego golfa z klientem, a spadek kursów akcji na giełdzie może opóźnić kupno nowego samochodu.

Dokonajmy przeglądu tego naszego magazynu wiedzy i intelektualnego warsztatu. Jeśli potrafilibyśmy skurczyć się do nanorozmiarów i obejść dokoła tę nieustannie zmieniająca się przestrzeń umysłową, natknęlibyśmy się na niekończące się rzędy i sterty faktów oraz przypuszczalnych faktów. Znaleźlibyśmy pomysły całkiem splątane lub też ładnie poukładane na innych pomysłach i powiązane z jeszcze innymi faktami. Na pewno natrafilibyśmy na wszystkie nasze założenia - słuszne lub też nie - odnośnie do ludzi, miłości, seksu, przyrody, czasu, kosmosu, religii, polityki, życia, śmierci i przyczynowości. A ukrytą w jakimś ciemnym zaułku odnaleźlibyśmy gramatykę, nasz język, logikę i zasady, które stosujemy, by odnaleźć i uporządkować naszą kolekcję znaczeń.

Jest to miejsce niezwykle ruchliwe, tętniące życiem, działające bez ustanku, nawet kiedy śpimy. Podczas gdy pewnej części wiedzy nieustannie się pozbywamy, zapominamy, odkształcamy lub pozbawiamy sensu, wciąż zdobywamy nową wiedzę, która jest istotna z punktu widzenia bogactwa. Wszystko to razem wzięte stanowi nasz osobisty zasób wiedzy. Każdy z nas ma tylko jeden taki zasób.

Po powierzchni naszego globu spaceruje zatem około sześć miliardów takich zasobów - więcej niż kiedykolwiek w dziejach człowieka.

PO PROSTO ASK (ZAPYTAJ)

Poza wszelką dyskusją jest fakt, że większość światowego zasobu wiedzy przechowywana jest poza mózgami żywych istot ludzkich. Zakumulowana wiedza stuleci - ale też ulotna wiedza o chwili obecnej - przechowywana jest zewnątrz na najróżniejszych materiałach - od prehistorycznych ścian jaskiń po najnowsze dyski twarde i płyty DVD.

Ludzie od tysiącleci dysponowali bardzo ograniczonymi możliwościami przekazywania wiedzy z pokolenia na pokolenie. Oprócz opowieści ustnych (przekazywanych wciąż na nowo z coraz większą niedokładnością), większość wiedzy umierała wraz ze śmiercią tego, kto ją posiadał i wraz z każdym odchodzącym pokoleniem. Tempo zmian społecznych i technologicznych w tych wczesnych społeczeństwach ludzkich było w rezultacie tak powolne, że nawet dokładne relacje w zasadzie przekazywały wielokrotnie tę samą opowieść.

Gigantyczny przełom nastąpił trzydzieści pięć tysięcy lat temu, kiedy pewien zapomniany geniusz nakreślił pierwszy piktogram czy ideogram na kamieniu bądź na ścianie pieczary dla upamiętnienia wydarzenia, osoby czy rzeczy. Czyniąc to rozpoczął przechowywanie niewerbalnych wspomnień poza umysłem człowieka. Kolejny wielki skok nastąpił po wynalezieniu różnych form pisma. W kilka tysięcy lat później dokonaliśmy jeszcze innych wielkich wynalazków: biblioteki, indeksowania i druku. Wszystkie one zwiększyły tempo akumulacji wiedzy na przestrzeni kolejnych pokoleń.

Jakżeż wymowna jest myśl, że bez tego właśnie czynnika - wzrostu naszych zdolności wytwarzania i gromadzenia wiedzy - być może wciąż żylibyśmy tylko odrobinę lepiej niż nasi przodkowie przed trzydziestoma pięcioma tysiącami lat.

Dziś, wraz z pojawieniem się coraz potężniejszych komputerów, coraz większej liczby stron internetowych i nowych mediów, tworzymy - i gromadzimy - dane, informacje i wiedzę z niespotykaną dotąd szybkością. Aby sobie z nimi poradzić, od kilkudziesięciu lat budujemy coś, co w rezultacie stało się olbrzymim zewnętrznym mózgiem, jako dodatek do sześciu miliardów indywidualnych mózgów ludzkich.

Ten globalny megamózg wciąż jest w swym okresie dziecięcym: niepełny i nie posiadający dojrzałych połączeń. Jednak w pewnym nieokreślonym punkcie zwrotnym historii człowieka ilość wiedzy przechowywanej poza mózgiem przerosła zasoby zgromadzone wewnątrz ludzkich mózgów. Dowodem naszej niewiedzy na temat wiedzy jest fakt, że ta prawdziwie przełomowa przemiana w historii naszego gatunku była albo nieświadomiona, albo niezauważona przez ludzkość.

Ów "zewnętrzny mózg" powiększa się z niewiarygodną szybkością. W roku 2002 badacze School of Information Management and Systems z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley szacowali, że ilość danych, informacji i wiedzy zgromadzonej w formie drukowanej, filmowej, magnetycznej czy optycznej w ciągu tego (2002) roku odpowiada zawartości "pół miliona bibliotek równych wielkością Bibliotece Kongresu USA". Było tego dokładnie tyle, ile słów wypowiedzieli ludzie "od początku dziejów". Możemy zatem przyjąć, że dzisiaj to tempo jest jeszcze wyższe.

Dopiero jednak po połączeniu tej gwałtownie przyrastającej ilości wiedzy zewnętrznej z tym, co znajduje się wewnątrz sześciu miliardów ludzkich umysłów, otrzymujemy Zagregowany Zasób Wiedzy (Agregated Supply of Know-ledge; ASK). Staje się on bezmiernym źródłem, z powodzeniem zasilającym rewolucyjne bogactwo.

Nie chodzi tu jednak bynajmniej wyłącznie o poszerzanie Zagregowanego Zasobu Wiedzy, ale o jego reorganizację, zmianę zasad jego oceny i dystrybucji. Wyszukiwarki internetowe umożliwiają nam dzisiaj coraz bardziej szczegółowe i precyzyjne kwerendy i dostarczają coraz więcej sposobów łączenia i obróbki rozmaitych treści. Co więcej, systemy do tej pory zdominowane zachodnim podejściem do logiki i myślenia, wkrótce zostaną wzbogacone o alternatywną epistemologię i bardziej zróżnicowane sposoby organizowania myśli. W ten sposób zbliżać się będziemy do globalnego meta-systemu wiedzy.

Przekształcamy zatem całą relację łączącą bogactwo we wszystkich formach, z jednym z jego głębokich fundamentów - wiedzą, podobnie jak to się ma w przypadku jego związków z czasem i przestrzenią. Musimy zdać sobie z tego sprawę, abyśmy mogli wreszcie zrozumieć, dlaczego współczesne bogactwo rewolucyjne jest tak - jakościowo wręcz - odmienne od bogactwa poprzednich epok.

ZAPOMNIJMY O ALZHEIMERZE

Opracowanie naukowców z Berkeley to nie jedyna próba dokonania pomiaru wielkości zasobów kształtującego się mózgu globalnego. Naukowiec informatyk Michael E. Lesk z US National Science

Foundation (Narodowej Fundacji Nauki USA) także rzucił nieco światła na ten problem, dzięki czemu nabrał on nieco innej barwy.

Otóż od naszych sześciu miliardów umysłów począwszy i wzięwszy pod uwagę tempo przyswajania informacji i prędkości ich zapominania, Lesk obliczył z grubsza, że "całkowita pamięć wszystkich ludzi żyjących aktualnie na świecie" jest odpowiednikiem 1200 petabajtów danych. A ponieważ jeden petabajt równy jest 1 125 899 906 842 624 bajtów, trzeba przyznać, że 1200 petabajtów brzmi imponująco. Lesk beztrąsko zapewnia nas, że "jesteśmy w stanie przechowywać cyfrowo wszystko, co pamiętają wszyscy ludzie. W przypadku pojedynczych osób nie jest to nawet trudne."

Zresztą, twierdzi Lesk, "statystyczny Amerykanin spędza 3304 godziny rocznie na kontakcie z takimi czy innymi mediami." Około 1578 godzin - przed telewizorem, 12 w kinie - co razem daje około 11 milionów pochłoniętych słów. Kolejne 354 godziny poświęcamy na czytanie gazet, czasopism i książek. W efekcie, jak wyjaśnia Lesk, "w ciągu 70 lat życia stykamy się z około sześcioma gigabajtami ASCII." A przecież dziś bez trudu można kupić dysk twardy o pojemności 400 gigabajtów do domowego komputera osobistego.

Zdaniem Leska połączenie informacji przechowywanej w ludzkich umysłach z informacjami zgromadzonymi poza naszymi czaszkami dałoby ilość wiedzy równą 12 000 petabajtów informacji na świecie - lub też, żeby użyć prostych słów, na każdy bajt ludzkiej pamięci przypada około 10 przechowywanych w czymś, co właśnie nazwalibyśmy megamózdzkiem naszej planety.

Wszystko to skłoniło Michaela Leska do postawienia konkluzji, że za niedługo uczniowie nie będą musieli niczego zapamiętywać - będą wyposażeni w maleńkie urządzenie, które wyręczy ich w przechowywaniu wszystkiego. Taki pogląd rodzi fascynujące pytania: czy taki gadżet pomoże również osobom cierpiącym na chorobę Alzheimera? Jeśli naukowiec z U.S. National Science Foundation ma słuszość i do przechowywania informacji nie będzie nam potrzebna wewnętrzna pamięć, powstaje pytanie, jak wielka część mózgu może się okazać zbędna. A jakiej części wciąż potrzebować będziemy do przechowywania i opracowywania wiedzy?

Oczywiście liczbami, na które się tu powołujemy, i dalekosiężnymi spekulacjami można dowolnie żonglować. Możemy dyskutować o wielozadaniowości, informacji niewerbalnej i innych problemach rzutujących na miarodajność tych szacunków. Co więcej, doskonale wiemy, że informacja jest tylko dalekim krewnym wiedzy. Ani opracowanie naukowców z Berkeley, ani badania Leska - a wszak jedno i drugie sprowadza informacje do cyfrowych bitów - nie wyjaśniają nam znaczenia tego, co chcemy pomierzyć. Na czym polega to, że rzeczywiście coś "wiemy"?

Próbie udzielenia odpowiedzi na to pytanie podjął niedawno Adrian Woolfson, stypendysta Darwin Research na Uniwersytecie Cambridge. W swej książce *Life Without Genes* pisze: "Wszystko, co istnieje, może istnieć lub kiedykolwiek będzie istnieć, w tym czy jakimkolwiek innym świecie, można wyczerpująco opisać za pomocą kompletnego zbioru odpowiednich faktów i odpowiadającego mu zestawu połączeń logicznych."

Aż by się chciało chwycić pana Woolfsona za kołnierz i krzyknąć: “Doprawdy?” Nie ma jednak takiej potrzeby. Jego wywody na temat naszej wiedzy o tym, co wiemy, są porażające, jednakże ostatecznie Woolfson wywiesza białą flagę i przyznaje, że to, co proponuje, jest, tak naprawdę, niemożliwe.

A zatem żaden z opisanych powyżej wysiłków nie przybliżył nas ani trochę do zrozumienia, jak wielkie znaczenie ma przechowywana w różnych formach wiedza. Lub też ile jest warta. Jednak wszystkie te próby potwierdzają nasze przekonanie o tym, że w głęboko fundamentalnej podstawie wiedzy dokonują się rewolucyjne zmiany - w odniesieniu do których nawet określenie rewolucja jest nazbyt eufemistyczne.

W gruncie rzeczy żyjemy bowiem w czasie najgłębszych wstrząsów w systemie wiedzy światowej od czasów, gdy przedstawiciele naszego gatunku zaczęli myśleć. Dopóki się z tym nie pogodzimy - nawet nasze najbardziej dopracowane plany spalą na panewce.

W ten sposób docieramy do owych trujących pomidorów i... zagrzebanej w ziemi głowy dziecka.

Rozdział 17

Pułapka starowiedzy

Myślenie wiele znaczy. Wiele faktów, o których myślimy, jest jednak fałszywych. I spora część tego, w co wierzymy, niemal na pewno jest głupia.

Mimo powodzi danych, informacji i wiedzy, którymi dzień w dzień jesteśmy zalewani, coraz większa część tego, co wiemy, jest - w istocie rzeczy - coraz mniej zgodna z prawdą. Wnet przekonamy się, że byłoby tak samo nawet wówczas, gdybyśmy mogli wierzyć mediom, gdyby każda reklama mówiła tylko prawdę, gdyby każdy prawnik był uczciwy, a każdy polityk trzymał usta zamknięte na kłódkę, gdyby każdy cudzołożnik się spowiadał, a każdy pracownik telefonicznej sprzedaży mówił szczerze.

A skoro tak, to w jaki sposób mają ludzie, firmy czy kraje przekuć swe głębokie fundamenty intelektualne, czyli wiedzę - na bogactwo?

Pewna ilość wiedzy zawsze była potrzebna do osiągnięcia bogactwa. Łowcy i zbieracze musieli znać zwyczaje migracyjne zwierząt, które tropili. Chłopi z czasem wiedzieli wiele o ziemi. Zazwyczaj jednak, skoro już raz posiadli tę wiedzę, przydawała się ona wielu kolejnym pokoleniom. Robotnicy musieli nauczyć się szybkiej i bezpiecznej obsługi maszyn tylko na czas zatrudnienia w fabryce.

Dzisiaj wiedza związana z pracą zmienia się tak gwałtownie, że trzeba przyswajać coraz więcej wiedzy w ramach pracy i poza nią. Uczenie się przybiera formy nieustannego, płynnego procesu. Nie wszystkiego jednak możemy nauczyć się tak szybko, jak trzeba; może dzięki temu łatwiej zrozumiemy, dlaczego nie musimy od razu wstydzić się tego, że zdarzają nam się niekoniecznie najmądrzejsze myśli. Nie tylko my wierzymy w głupoty.

Dzieje się tak dlatego, że każdy fragment wiedzy ma ograniczony czas "przydatności do spożycia." W pewnym momencie nie jest on już wiedzą, ale czymś, co należałoby raczej nazwać "starowiedzą."

WCZORAJSZE PRAWDY

Czy *Rzeczpospolitą* Platona albo *Poetykę* Arystotelesa możemy zaliczyć do "wiedzy"? Albo dorobek Konfucjusza lub Kanta? Możemy oczywiście określić ich myśl jako mądrość. Mądrość tych pisarzy czy filozofów oparta była na tym, co wiedzieli - na ich własnych podstawach intelektualnych - a większość z tego, co wiedzieli, była, niestety, fałszywa.

Arystoteles, którego poglądy dominowały w Europie przez niemal dwa tysiące lat, był przekonany, że węgorze są bezpłciowe i "rodzą się (...) w trzewiach ziemi". Uważał także, że Ocean Indyjski jest morzem śródładowym; błąd ten pokutował w geografii jeszcze długo - dawał mu wiarę i Ptolemeusz, i inni uczeni europejscy i muzułmańscy.

W trzecim wieku naszej ery Porfiriusz, biograf Pitagorasa, zapewniał czytelników, że jeśli się weźmie kawałek fasoli i umieści w donicy, zagrzebie w ziemi, a po trzech miesiącach odkopie, w miejscu fasoli na pewno odnajdzie się albo główkę dziecka, albo żeńskie organy płciowe.

W VII wieku św. Izydor z Sewilli zapewniał sobie współczesnych, że “pszczoły rodzą się z rozkładającej się cieleciny”. W pięćset lat później nie kto inny tylko genialny Leonardo da Vinci sądził, iż bobry są świadome tego, że ludzie używają bobrzyczych jąder do celów medycznych. Dlatego, zdaniem Leonarda, schwyty w pułapkę bóbr odgryza sobie jądra “i pozostawia je wrogowi.”

Kiedy pochodzące z Ameryki Południowej pomidory po raz pierwszy zawiąły w Europie (w XVI wieku), nawet najbardziej inteligentni ludzie uznali, że są trujące dla ludzi. Potrzeba było aż dwustu lat, by Linneusz wykazał, że jest wręcz przeciwnie. Jeszcze w 1820 roku pewien śmiałek ściągnął niemałe tłumy na pokaz swej niezwyklej odwagi: publicznie zjadł dwa pomidory, by wykazać, że Linneusz ma rację.

Taka “starowiedza” nie zawsze jednak jest zabawna. Jeszcze w 1892 roku powszechnie uważano, i to - od czasów Galileusza - z pełnym poparciem świata nauki, że Jowisz ma tylko cztery satelity. Wiedza ta zdezaktualizowała się jednak właśnie w 1892 roku (9 września), kiedy astronom E.E. Barnard z Obserwatorium Lick odkrył piąty księżyc Jowisza. W roku 2003 astronomowie doliczyli się sześćdziesięciu satelitów tej wielkiej planety.

Przez wiele dziesięcioleci naukowcy zakładali też, że w systemie słonecznym jest tylko dziewięć planet. W 2005 roku astronom z instytutu California Institute of Technology odkrył obiekt, nazywając go Xena, który jego zdaniem oraz innych naukowców może być dziesiątą planetą krążącą po orbicie naszego Słońca⁸.

Następnie pewien londyński fizjolog, L Erskine Hill, ogłosił w 1912 roku eksperymentalne dowody na to, że “czystość powietrza nie ma żadnego znaczenia.” Ileż to ludzi na całym świecie straciłoby życie z powodu chorób wywołanych zanieczyszczeniem atmosfery, gdybyśmy jakoś inaczej nie odkryli prawdy? I ilu chorych umrze dzisiaj, ponieważ jeden czy drugi lekarz polega z całą pewnością na dawno już nieaktualnych “faktach,” o których uczył się przed laty w czasie studiów medycznych? Iluż to firmom powinie się noga za sprawą strategii marketingowych opartych na wczorajszych modach? Ileż inwestycji skazanych jest na klęskę z powodu nieaktualnych danych finansowych? Czy przypadkiem tuż za rogiem nie czekają nas katastrofy siejące śmierć?

Rzućmy okiem, na przykład, na sprawozdanie ze spotkania Komitetu Doradczego CERN (CERN to Europejska Organizacja Badań Jądrowych), które odbyło się we wrześniu 2002 r. Gdzieś w plątaninie przypisów odnośnie do decyzji nakazującej zapewnienie popielniczek “dla osób palących, umieszczonych w pobliżu drzwi wyjściowych głównych budynków” czy zawiadomieniu o “zmianach w zakresie dostarczania korespondencji pocztowej” natrafić można na następującą pozycję: “Nazwiska osób, z którymi należy kontaktować się w razie wypadku, powinny być przechowywane w bazie danych Działu Kadr.”

⁸ Dziwnym zbiegiem okoliczności, dokładnie w dniu, w którym tłumaczyłem ten fragment książki, prasa doniosła o sporze astronomów z Unii Astronomicznej, który zakończył się uzgodnieniem nowej definicji planety. W rezultacie jej przyjęcia uznano, że Pluton nie jest planetą, a zatem nasz układ słoneczny składa się tylko z ośmiu planet - przyp. tłum.

Jak, na miłość Boską, mogło dojść do tego - mógłby ktoś zapytać - że nie było listy osób, z którymi należy się kontaktować w przypadku wypadku jądrowego? Odpowiedź: Ponieważ "informacje dotyczące większości osób dezaktualizowały się", a administracja "nie dysponowała środkami, by zapewnić regularną ich aktualizację." Sprawą musiał zająć się sam prezes organizacji wskazując, że "potencjalny koszt ofiar w ludziach jest niezmierny i należy znaleźć rozwiązanie problemu."

NA STRYCHU U CIOCI EMILII

Jasne jest zatem, że bez względu na to, gdzie przechowywana jest wiedza, czy to w cyfrowych bazach danych, czy w naszych mózgach, znaleźć tam można też coś na kształt strychu w domu ciotki Emilii, zagraconego starociami: faktami, ideami, teoriami, obrazami i pomysłami, które - po zmianach - zostały w tyle albo wręcz zastąpiono je nowszymi, prawdopodobnie bardziej dokładnymi prawdami. Starowiedza jest wielką częścią podstaw intelektualnych każdego człowieka, każdej firmy, branży, instytucji i społeczeństwa.

Przyśpieszając zmiany, zwiększamy też tempo dezaktualizowania się wiedzy. Jeśli nieustannie i bezwzględnie nie będziemy aktualizować naszych doświadczeń zawodowych, wnet stracą znacznie na wartości. Bazy danych dezaktualizują się, ledwo tylko zakończymy je budować. Także samo książki (łącznie z niniejszą) tracą na aktualności z chwilą ukazania się w druku. Z każdą upływającą półsekundą, dokładność naszej wiedzy na temat własnych inwestycji, rynków, konkurencji, technologii i potrzeb klientów zmniejsza się. W rezultacie świadomie lub nieświadomie - firmy, rządy i osoby prywatne opierają dziś więcej swych decyzji na przestarzałych ideach i założeniach, które w wyniku późniejszych zmian zostały podważone, niż miało to miejsce kiedykolwiek dotąd.

Oczywiście sporadycznie pewne fragmenty wiedzy z zamierzchłych czasów powracają do życia i przydają się nam dzisiaj, ponieważ zmienił się kontekst i nabrały one nowego, niebagatelnego znaczenia. Ale częściej bywa wręcz przeciwnie.

Paradoksalnie, w gospodarkach rozwiniętych firmy chętniej się "zarządzaniem wiedzą" (knowledge management), "zapleczem intelektualnym" i "własnością intelektualną". Jeśli jednak wziąć pod uwagę wszystkie liczby, jakie mieli analitycy, ekonomiści, firmy i rządy, nikt nie ma pojęcia, ile kosztuje nas starowiedza ukryta w procesie podejmowania decyzji. Może ktoś zapytać, jaki jest ukryty koszt każdej inwestycji, zysków firmy, rozwoju gospodarczego, programów ograniczania ubóstwa i, ogólnie, wytwarzania bogactwa?

Ważniejsza jest jednak pewna zmiana epistemologiczna, stanowiąca tło tego zjawiska. Wpływa ona nie tylko na to, co nazywamy wiedzą, ale także na narzędzia, za pomocą których ją pozyskujemy. Wśród tych intelektualnych narzędzi niewiele można znaleźć ważniejszych niż analogia, pozwalająca nam wskazać podobieństwa między dwoma (czy więcej) zjawiskami, a następnie wyciągnąć wnioski, które przenosimy z jednego zjawiska i stosujemy wobec tego drugiego.

Ludzie prawie nie potrafią mówić lub myśleć bez uciekania się do analogii. Irlandzki gracz w golfa Pdraig Harrington powiedział dziennikarzowi sportowemu, że "Zawody US Open rzeczywiście są

sprawdzianem umiejętności uderzania (...). Aż chce się być jak maszyna.” Stąd bardzo blisko już chyba do wyznawców Newtona, którzy twierdzili, że cały kosmos jest “jak maszyna”.

No i są jeszcze ludzie, o których mówi się, że mają “mózg jak komputer”, lub, że “śpią jak niemowlę”, że w inwestycjach są “jak jasnowidz” czy, że myślą “jak geniusz”. Ukryte analogie są wbudowane w strukturę języka. A zatem wciąż oceniamy samochody w kategoriach liczby “koni mechanicznych” - co jest pozostałością z czasów, kiedy samochody traktowano jak analogię do wozów zaprzężonych w konie i kiedy określano je jako “powozy bezkonne.”

Intelektualny instrument, jakim jest analogia, staje się jednak coraz mniej poręczny. Analogie zawsze były ryzykowne, ale ostatnio - coraz bardziej. Ponieważ w miarę dokonywania się przemian na świecie dawne podobieństwa mogą przeistoczyć się w różnice. Niegdyś w pełni uzasadnione porównania mogą dziś być nie na miejscu. Kruszą się paralele z przeszłością, a nieuświadomione często wnioski z nich wyciągane - zaczynają nas wprowadzać w błąd. A im szybsze jest tempo zmian, tym krótszy jest żywot analogii.

W ten oto sposób zmiana w jednym z głębokich fundamentów - czasu - wpływa na podstawowe narzędzie, za pomocą którego staramy się pozyskiwać inny z tak ważnych fundamentów bogactwa - wiedzę.

Podsumowując: jak widzieliśmy, nawet wśród ekspertów w zakresie gospodarki intelektualnej rzadko kto myślał o tym, co można nazwać prawem starowiedzy; wraz ze zwiększeniem tempa przemian zwiększa się też tempo gromadzenia coraz większej ilości starowiedzy. Każdy z nas niesie z sobą daleko cięższy bagaż zbytecznej wiedzy, niż nasi przodkowie żyjący w o wiele powolniejszych społeczeństwach dnia wczorajszego.

I to dlatego tak wiele z naszych najbardziej hołubionych pomysłów przyprawiać będzie naszych potomków o spazmy śmiechu.

Rozdział 18

Czynnik Quesnaya

Dziś częściej niż kiedykolwiek wcześniej rządzą nami studenci profesorów ekonomii. Prezydenci i politycy, sekretarze skarbu, ministrowie finansów, kanclerze, prezesi banków centralnych, bankierzy inwestycyjni i prezesi największych i najpotężniejszych korporacji świata spędzali całe godziny w salach wykładowych pilnie wsłuchując się w głos profesorów ekonomii, zaczytywali się w ich podręcznikach i nasiąkali ich kluczowymi ideami.

To samo odnosi się do brokerów, doradców finansowych czy innych uczonych w piśmie, którzy w telewizji i w prasie publicznie głoszą swe poglądy. Niestety, wiele z tych idei, zapamiętanych z czasów studiów, w krzywym zwierciadle przedstawia sposób działania gospodarki w czasach kształtującego się rewolucyjnego bogactwa. Wprawdzie wielu rozważnych ekonomistów nie waha się wyrzucić niejedną ideę na naukowy śmietnik, to jednak sporo jeszcze pozostaje do zrobienia w tej mierze.

EKONOMIA KULĄ W PŁOT

W lutym 2004 roku prezydent USA George W. Bush obezwładnił swój własny Komitet Doradców Gospodarczych (Council of Economic Advisers) odmawiając publicznego poparcia dla jego prognoz, wedle których w gospodarce amerykańskiej w bieżącym roku miało powstać 2,6 mln miejsc pracy. Jak doniósł "The Washington Post",

(...) prognoza ta została wyśmiana, jako nadmiernie optymistyczna, choć była jedną z najbardziej umiarkowanych prognoz gospodarczych sformułowanych przez administrację w ciągu ostatnich trzech lat.

Przed dwoma laty administracja przewidywała, że w roku 2003 będzie o 3,4 mln więcej miejsc pracy, niż w roku 2000. Zapowiedziano deficyt budżetowy na rok fiskalny 2004 w wysokości 14 mld dolarów. Tymczasem w okresie tym ubyło 1,7 mln miejsc pracy, a deficyt budżetowy [za rok 2004] (...) będzie najprawdopodobniej wynosił 521 mld USD.

Bez wątpienia w jakiejś części jest to polityczna przesada. Każdą statystykę można "nakłonić do posłuszeństwa." Zresztą taką statystyczną żonglerką zajmują się nie tylko republikanie. Różnice między prognozami i realnymi wynikami zaczęły się powiększać za czasów poprzedniej, demokratycznej administracji. Jasne było, że nawet wzięwszy poprawkę na manipulację polityczną, coś się tu poważnie nie zgadzało.

Jak powiedział rzecznik prasowy republikańskiego Białego Domu, "Dawne teorie (...) okazały się zasadniczo błędne (...). Nikt czegoś takiego nie widział - ani Wall Street, ani Las Vegas, ani Biedny Rysio⁹, ani Nostradamus."

Ekonomiści pomylili się nie tylko w prognozowaniu liczby miejsc pracy i wielkości deficytu budżetowego. Przyczynili się też do najgłośniejszych, najbardziej wstydlivych krachów finansowych ostatnich kilkudziesięciu lat. Sam fakt, że dwóch noblistów z dziedziny ekonomii było partnerami w funduszu inwestycyjnym Long-Term Capital Management nie wystarczył, by zapobiec jego zapaści, bliskiej upadkowi, w 1998 roku. Łańcuch reakcji, który mógłby wstrząsnąć całą gospodarką światową, odwrócono jedynie dzięki interwencji Banku Rezerw Federalnych.

Optylizmem nie napawa też bynajmniej rola, jaką odegrali ekonomiści w dezintegracji gospodarki rosyjskiej po upadku Związku Radzieckiego. Lub też błędy, do których popełnienia przyznali się z niejakim ociąganiem makroekonomiści z Międzynarodowego Funduszu Walutowego pod koniec lat dziewięćdziesiątych, a które przyczyniły się do wybuchu krwawych zamieszek na tle etnicznym w Indonezji.

Przepowiednie formułowane przez ekonomistów tak często bywają bezpodstawne, że "Financial Times" zasugerował w 2001 roku, aby wraz z pogardzanymi analitykami z Wall Street ekonomiści także zostali umieszczeni w "alei prognostycznych niesław". I nie chodzi o to, jak podaje "Financial Times", że mieli po prostu zły rok. "To żadna nowość. Prognozy makroekonomiczne bardzo rzadko mają dobry rok. A ich dokonania są szczególnie mizerne, kiedy najbardziej pożądana jest precyzja."

Ekonomiści formułują tak wiele nietrafionych ekstrapolacji, że często związani są czymś w rodzaju "consensusu prognostycznego" w nadziei, że ostateczna średnia okaże się bardziej dokładna niż indywidualne sądy. Jednak w ciągu siedemnastu lat poprzedzających rok 2000, the Blue Chip Consensus Forecast on Economic Growth¹⁰ ani razu nie zdołał trafnie oszacować tego, co ekonomiści nazywają wzrostem.

W styczniu 2001 roku "The Wall Street Journal" odnotował prognozy wzrostu sformułowane przez pięćdziesięciu czterech czołowych ekonomistów amerykańskich na kolejne cztery kwartały. Zaledwie dwóm udało się zbliżyć do realnych wyników.

Ekonomiści poza Stanami Zjednoczonymi bynajmniej nie radzą sobie lepiej. Ich "udokumentowane porażki w zakresie przewidywania recesji są dosłownie niezaprzeczalne", jak twierdzi Międzynarodowy Fundusz Walutowy. (Tak oto przysłowiowy kocioł przyganiał garnkowi: nie dalej jak sześć miesięcy przed krachem gospodarki tajskiej w 1997 roku, MFW sam głośno wychwalał wspaniałą kondycję gospodarki Tajlandii i jej systemu finansowego.) Krytycy MFW z kolei zarzucają jego ekspertom, że pominęli poprzedzające kryzys istotne zjawiska, takie jak "spowolnienie wzrostu przemysłowego w 1995 roku" oraz "hiperinflację po koniec lat osiemdziesiątych".

SZACUNKI EKSTRAPOLOWANE

Oczywiście niezmiernie łatwo brać na celownik ekonomistów. Tak długo, jak w sprawach człowieka jakąkolwiek rolę odgrywa przypadek, nikt nie zna przyszłości z taką dozą pewności, o jakiej marzą decydenci. Trudno nie przyznać racji ekonomistom, kiedy narzekają na nierealistyczne oczekiwania opinii publicznej, polityków i mediów, z których każde domaga się zgodnej z przyjętą tezą interpretacji czy też wulgarnie lakonicznych uproszczeń bardzo złożonych danych.

Ekonomiści są przecież mądrymi, ciężko pracującymi ludźmi. I mają w pełni uzasadnione powody wielu ze swych porażek. Na przykład, dane pochodzące z administracji państwowej i od firm, na których muszą się opierać, są w dużej mierze niekompletne, mylące lub przekłamane. Dane dotyczące takich zagadnień, jak postęp technologiczny, napięcia geopolityczne, konsumpcja energii i ceny ropy naftowej - często mają charakter wstępny i siłą rzeczy skazują ekonomistów na formułowanie zaledwie szacunkowych prognoz. Ale nie ma w tym nic nowego. Dawniej ekonomiści mieli do dyspozycji jeszcze mniej informacji.

Aczkolwiek braki te nie do końca tłumaczą głębsze przyczyny oderwania tradycyjnej ekonomii od rzeczywistości lub wręcz często wprowadzania przez nią w błąd.

⁹ Biedny Rysio (ang. Poor Richard) - pseudonim używany przez Benjamina Franklina, autora corocznego almanachu publikowanego w wielkich nakładach w koloniach brytyjskich. Almanach ów zawiera kalendarz, poezje, informacje meteorologiczne, astronomiczne, astrologiczne, a także słynne do dziś aforyzmy, przysłowia i maksymy - przyp. tłum.

¹⁰ The Blue Chip Consensus Forecast on Economic Growth - uśredniona prognoza wzrostu gospodarczego opracowana na podstawie około 50 prognoz składowych, publikowana co miesiąc (od 1976 roku) przez fachowe wydawnictwo prawno-finansowe Aspen Publishers, Inc. Prognozy składowe formułowane są przez wybitnych ekonomistów reprezentujących największe amerykańskie firmy wytwórcze, banki, towarzystwa ubezpieczeniowe i firmy brokerskie. (Firmy te, o ogromnej kapitalizacji, potocznie określa się mianem "blue chip") - przyp. tłum.

Po pierwsze, gospodarka, którą starają się zrozumieć ekonomiści, jest o wiele bardziej skomplikowana niż ta, z którą stykali się wielcy ekonomiści w przeszłości. Ani Adam Smith, ani Karol Marks, David Ricardo czy Leon Walras, ani nawet John Maynard Keynes ani Joseph Schumpeter nie musieli stawiać czoła czemuś podobnemu do obecnej gęstwy skomplikowanych relacji, interakcji i zwrotnych powiązań mających dziś wpływ na tworzenie i podział bogactwa, i to na globalną skalę.

Po drugie, i jest to okoliczność ważniejsza, bezprecedensowa jest też dzisiejsza szybkość transakcji i transformacji wewnątrz badanego systemu. Ekonomiści nie są w stanie zaproponować mapy pewnych aspektów gospodarki czy przedstawić sensownych wyjaśnień przed wystąpieniem zmian. Pożyteczne liczby i odkrycia - oraz związki między nimi - żyją równie długo, co światełko.

Po trzecie, jest jeszcze większy problem. Tak jak ekonomiści u progu rewolucji przemysłowej musieli pokonać ramy myślenia rolniczego i porzucić to, co nie miało już zastosowania, współcześnie ekonomiści stoją wobec podobnego wyzwania. Muszą sięgnąć poza myślenie przemysłowe, aby zrozumieć siłę oddziaływania transformacyjnego najnowszej fali bogactwa rewolucyjnego.

Stają twarzą w twarz z systemem bogactwa, który w ciągu kilku dziesięcioleci uniezależnił się od ograniczonych zasobów i oparł się na nowym, głównym czynniku wzrostu, jakim jest wiedza - w zasadzie niewyczerpana. Uwolnił się od zasobów i rezultatów rywalizacyjnych i dziś zasadza się na nie-rywalizacyjnych; od zasadniczo lokalnej i określonej granicami państwa produkcji i dystrybucji przeszedł ku globalnej; porzucił wymagania niskich umiejętności i dziś zmusza do posiadania wysokich kwalifikacji; nie zależy już dziś od homogenicznej produkcji masowej, ale od odmasowionej produkcji heterogenicznej. Ale na tym lista różnic się nie kończy.

Poza tym ekonomiści muszą poradzić sobie ze zmianami w zakresie stopnia integracji wymaganej w poszczególnych częściach gospodarki. Muszą rozeznaczyć się w zmieniających się poziomach skomplikowania, szybkości innowacji i dziesiątek innych zmiennych, nie wspominając już o wielości rytmów działalności gospodarczej i interakcjach między nimi.

Wiele wspaniałych postępów myśli ekonomicznej w ciągu minionego stulecia zrodziło się z zastosowania coraz bardziej wymyślnej matematyki do analizy aktualnych problemów. Oznaczało to konieczność mierzenia różnych rzeczy, i tu nacisk kładziono, co rozumiałe, głównie na rzeczach rozumianych w sensie materialnym.

Ale by zrozumieć bogactwo rewolucyjne, które coraz obficiej czerpie z zasobów niematerialnych i zarazem wydaje z siebie dobra niematerialne, zmuszeni jesteśmy radzić sobie z bardzo nieuchwytnym i najtrudniejszym w pomiarze zasobem - wiedzą.

Nie można powiedzieć, że dawniej czołowi ekonomiści byli nieświadomi znaczenia dóbr niematerialnych. Ale na pewno gospodarka nigdy nie była tak nasycona wiedzą, jak obecnie.

NIEWIDOCZNY INTERNET

Trzeba też przyznać, że w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat ekonomiści dokonali wielu znaczących przełomów. Począwszy od wprowadzenia teorii gier aż po bardziej dogłębne rozumienie

sprężenia zwrotnego między czynnikami ekonomicznymi, które wcześniej uważano za endogeniczne i egzogeniczne. Obejmują one lepsze modele wyceny aktywów kapitałowych, opcji i zobowiązań firmowych. Za rozwój wspaniałych narzędzi analitycznych przyznawano nawet nagrody Nobla.

Przez dziesiątki lat koncepcja gospodarki intelektualnej, której podstawą jest wiedza, spotykała się jednak ze sceptycyzmem. Jeszcze w 1987 roku dowcip wypowiedziany przez laureata nagrody Nobla Roberta Solowa ("erę komputerów widać wszędzie z wyjątkiem statystyk wydajności") wzbudzał powszechne w środowisku ekonomistów potakiwanie.

Od tego czasu ekonomiści starali się wypracować swój stosunek wobec Trzeciej Fali. Wedle jednego z nich, Jeffreya Eisenacha, wiceprezesa CapAnalysis, niegdysiejszego współpracownika Biura Zarządzania i Budżetu Białego Domu, "nie zauważyli jakoś Internetu i jego długofalowego oddziaływania (...) a teraz stali się jego gorącymi wyznawcami."

Eisenach zauważa cztery fundamentalne zmiany, jakie dokonały się w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat, a które okazały się i wciąż są twardym orzechem do zgryzienia dla ekonomistów i analityków.

Pierwszą z nich jest wzrost "branż sieciowych" (network industries). Są to branże, w których, jak ujmuje to Eisenach, "jeśli ja posługuję się danym produktem - zwiększa on swoją wartość dla ciebie. Im więcej ludzi posiada telefony, do tym większej liczby ludzi mogę, teoretycznie, dotrzeć za pomocą mojego telefonu, co sprawia, że wszystkie telefony w sieci są bardziej pożyteczne, a przez to wartościowsze. Poważne badania takich »zewnętrzności sieciowych« rozpoczęto na początku lat dziewięćdziesiątych".

Drugą zmianą, już wskazaną wcześniej, jest nierywalizacyjny, niewyczerpany charakter produktów wiedzy. Alfabet nie zużywa się przez to, że się nim posługujemy. W przypadku programów komputerowych zaś, skoro tylko pokryjemy koszt wytworzenia oprogramowania, można je powielać bez końca, w zasadzie bezkosztowo. Na pewno nie jest tak w przypadku produktów materialnych, a dalekosiężne konsekwencje tego faktu wciąż są nie w pełni zrozumiane.

Trzecie wyzwanie pojawia się wraz z odmasowieniem i gwałtownym nasileniem indywidualizacji produktów - co prowadzi nas do gospodarki, w której nie będzie dwóch identycznych produktów. Teoretycznie rzecz biorąc, każdy produkt powinien być zatem inaczej wyceniony. Osiągnięcie takiego stadium okazuje się jednak skomplikowane i wpływa na naturę rynków.

Wreszcie pojawiają się efekty światowej mobilności kapitału, który - jak powiada Eisenach - "w sposób zasadniczy zmienił sposób działania gospodarki."

Ekonomiści roztrząsają te nowe problemy, ale - żeby przytoczyć słowa Jeffreyego Eisenacha :

"wielu ekonomistów wciąż nie docenia oddziaływania innowacji i dynamiki w gospodarce intelektualnej - tego, jak wszystko jest płynne (...) jak szybko innowacje mogą odmienić całe branże, na nowo ustalić warunki handlowe i przeobrazić porównywalne korzyści.

Wreszcie, wydaje się, że pomijają potencjalny wzrost wydajności, jaki da przeniesienie kilku miliardów ludzi, którzy dziś utrzymują się na poziomie podtrzymania egzystencji - w warunki światowej gospodarki informacyjnej."

BRAKUJĄCE RAMY

Aby poradzić sobie z tymi coraz bardziej złożonymi i nowymi problemami, ekonomiści z niejakim opóźnieniem zaczęli odwoływać się do pomocy psychologów, antropologów i socjologów - których pracą niegdyś pogardzali, jako w zbyt małym stopniu "ściśłą" czy ilościową. Powstały całkiem nowe dziedziny ekonomii - na przykład ekonomia środowiska naturalnego czy ekonomia behawioralna - i specjalizacje w obrębie tychże nowych dziedzin.

Ekonomiści poświęcają też sporo uwagi wielu nowym zagadnieniom związanym z powstaniem rewolucyjnego bogactwa. Na przykład, według Eisenacha, wskaźnik kosztów życia jest obecnie skorygowany statystycznie tak, by uwzględniał poprawę jakości kolejnych wersji tego samego produktu. Naukowcy wyprodukowali obszerną literaturę fachową poświęconą kosztom pozyskiwania informacji niezbędnej dla dokonywania inteligentnego wyboru. Starają się też wypracować stanowisko wobec skomplikowanych zagadnień własności intelektualnej, informacji asymetrycznej i innych aspektów rewolucyjnego bogactwa.

Wciąż jednak istnieją luki. Mimo olbrzymiej uwagi, jaką poświęca się własności intelektualnej, nadal nie jest ona właściwie pojmowana, podobnie jak nierywalizacyjny i w zasadzie niewyczerpany charakter wiedzy. Inne pytania także pilnie wymagają odpowiedzi. Nie padło jeszcze ostatnie słowo - a czasami nawet pierwsze - na temat wartości wiedzy, która okazuje się wartościową jedynie wówczas, gdy występuje w połączeniu z innym fragmentem wiedzy, czy też na temat oddziaływania desynchronizacji bądź tego, co stanie się z wzorcami handlu w sytuacji kolizji różnych fali bogactwa.

Mimo olbrzymiego wysiłku pojedynczych naukowców czy ich zespołów, współczesna ekonomia jako taka nie w pełni docenia ogrom dokonujących się dzisiaj błyskawicznych, rewolucyjnych zmian. Nie podjęto systematycznych wysiłków rozpoznania współzależnych zmian w zakresie naszych relacji wobec czasu, przestrzeni i wiedzy, nie mówiąc już o zmianach dokonujących się w ramach szerszego, pełnego zestawu dogłębnych fundamentów, z których wszystkie, o czym piszemy wcześniej, zachodzą z wielką szybkością.

W pół wieku od początku rewolucji nie udało się jeszcze sformułować koherentnych, uogólnionych teorii obecnego stadium historycznego rozwoju gospodarczego. Teorie takie pomogłyby nam zrozumieć, kim jesteśmy i dokąd zmierzamy.

LEKARZ KOCHANKI

Nieumiejętność uchwycenia przez ekonomistów powagi dokonujących się obecnie rewolucyjnych zmian jest zaiste groteskowa. Nie po raz pierwszy błyskotliwość idzie ramię w ramię z krótkowzrocznością.

Francis Quesnay był geniuszem; pełnił rolę oficjalnego lekarza słynnej kochanki Ludwika XV, Madame de Pompadour.

Pochodził z gminu. Aż do jedenastego roku życia był analfabetą. Ale skoro tylko nauczył się czytać - nie mógł już oderwać się od książek. Wnet opanował łacinę i grekę. Przez krótki czas pracował w pracowni grawerskiej, a następnie zapisał się do szkoły medycznej, został chirurgiem i słynnym specjalistą w sprawach dotyczących krwi. Z biegiem lat zyskał uznanie jako nestor francuskiej medycyny i zdobył posadę na dworze Ludwika XV.

Jednak po głowie chodziło mu coś więcej niż tylko medycyna i Madame de Pompadour. Przesiadując w przyciasnej pakamerze wśród komnat Madame, zgłębił tajniki ekonomii rolnictwa. Mówi się, że często odwiedzał go tam Turgot, który później, za czasów Ludwika XVI został generalnym kontrolerem finansów. Bywali tam również i inni myśliciele oraz możni owych czasów. Quesnay napisał szereg artykułów do wspaniałej *Encyclopedie* Diderota, poświęconych takim zagadnieniom, jak rolnicy i zboże. Pisał także o podatkach, stopach procentowych a także o tak odległych dziedzinach, jak peruwiańscy Inkowie czy chiński despotyzm.

Myśl ekonomiczna Quesnaya skryształizowała się na tyle do 1758 roku, że medyk ów opublikował *Tableau economique*, znakomite dzieło, poprzedzające o wiele bardziej skomplikowane tabele bilansu nakładów i wyników w gospodarce, za które Wassily Leontief został uhonorowany nagrodą Nobla w 1973 roku. W swych *Tableau* Quesnay porównał gospodarkę do krwiobiegu w żywym ciele.

Okazało się, że analogia ta niosła z sobą poważne implikacje polityczne - zarówno w czasach Quesnaya, jak i w naszych. Ponieważ, jeśli gospodarka rzeczywiście jest naturalna i homeostatyczna, jak sądził, w naturalny sposób dążyła będzie do stanu równowagi.

Zdaniem Quesnaya, jeśli istotnie tak było, merkantylistyczna polityka rządu francuskiego i niezliczone regulacje dotyczące handlu i produkcji kłóciłyby się z naturalną równowagą gospodarki. Wkrótce wokół genialnego medyka wyrosła grupa Fizjokratów, jak siebie samych nazywali jej członkowie, i zaczęła szerzyć i propagować te idee. Samego Quesnaya zaczęto wnet uważać za jednego z największych *penseurs* świata zachodniego - myśliciela, którego niektórzy porównywali nawet z Sokratesem na Zachodzie i Konfucjuszem na Wschodzie.

Niestety, Quesnay popełnił jeden fatalny błąd. Z uporem twierdził, że jedynym źródłem bogactwa jest rolnictwo. Dla niego i dla Fizjokratów liczyła się jedynie gospodarka wiejska. Pisał wręcz, że istnieją tylko trzy klasy ludzi: chłopci, właściciele ziemscy i cała reszta. Dwie pierwsze były produktywne i stanowiły rdzeń bogactwa. Cała reszta, wedle przekonania Quesnaya, należała do "klasy bezpłodnej".

Myśliciel ów bez wątpienia był błyskotliwy, ale przecież nie był w stanie wyobrazić sobie społeczeństwa przemysłowego, w którym większość bogactwa miała wszak już wkrótce pochodzić z buchających dymem fabryk w miastach i powstawać za sprawą rąk i umysłów właśnie owej "klasy bezpłodnej". Zabrakło mu szerszej perspektywy.

Dziś także okazuje się, że wielu ekonomistów cierpi na podobną krótkowzroczność: mogą poszczyścić się wspaniałym wkładem w zrozumienie pewnych elementów problemu, ale nie zgłębiają obszerniejszego obrazu, z którym zjawiska owe muszą się komponować - nie wyłączając zeń

społecznego, kulturowego i politycznego oddziaływania rewolucyjnego bogactwa. Nadszedł czas, mówiąc krótko, by zaszczerpić się przeciwko czynnikowi Quesnaya.

Nie będziemy w stanie tego zrobić, dopóki nie oddzielimy prawdy od fałszu.

Rozdział 19

Filtrowanie prawdy

Skoro, jak wiemy, Leonardo da Vinci żywił bardzo osobliwe przekonania na temat jąder bobrów, jakżeż my mamy zrozumieć niektóre z pozoru dziwaczne przekonania pokutujące dziś w naszej kulturze? Wystarczy zajrzeć do Internetu, by zetknąć się z zalewem spiskowych teorii dziejów, relacji z uprowadzeń ludzi przez przybyszów z kosmosu i niezbitych dowodów na to, że Elvis żyje.

Powiada się nam, że Kentucky Fried Chicken hoduje genetycznie zmodyfikowane kurczaki o sześciu nogach, że jeśli nie wyłączy się telefonu komórkowego na stacji benzynowej, można w ten sposób wywołać samozapłon paliwa, że Amelia Earhart, pilot zaginiony na polu bitwy, była szpiegiem, że portfele wykonane ze skóry węgorka rozmagnesowują karty kredytowe, że wodoodporny olejek do opalania może spowodować ślepotę u dzieci, że niektóre urodzone dzisiaj dzieci otrzymały tajemnicze wiadomości od spermy i jaj tego pokolenia, ostrzegające ich przed mającymi nastąpić katastrofami ekologicznymi. Mało? Wystarczy podłączyć się do Internetu i poszukać "dziwacznych teorii."

Wiedza może być jedną z najbardziej fundamentalnych, głębokich podstaw rewolucyjnego bogactwa, ale nawet jeśli odrzucimy "starowiedzę", jako wiedzę przestarzałą, zdezaktualizowaną - czy zdajemy sobie sprawę, w jakiej części to, co wiemy o pieniądzu, biznesie i bogactwie - w ogóle o czymkolwiek - to całkowite bzdury? Albo czysta fikcja? Na ile możemy wierzyć w to, co nam mówią inni? I jak tu podejmować decyzje?

PRÓBA PRAWDY

Kłamstwa i błędy pojawiają się we wnioskach o zatrudnienie, zeznaniach podatkowych, kosztorysach, raportach z wykonywania zadań, komunikatach prasowych, badaniach i statystykach oraz, bez wątpienia, w komunikatach na temat wielkości osiągniętych zysków. W rzeczy samej na przełomie tysiącleci zawyżanie raportowanych zysków wywołało w świecie biznesu falę spektakularnych skandali.

Na jednym szczeblu, prezesom, dyrektorom finansowym, księgowym, analitykom giełdowym i innym, którzy pojawiali się na pierwszych stronach gazet na całym świecie, wyrosły nosy Pinokia. Niektórzy z nich, odwracając się wstydliwie od telewizyjnych kamer, zostali skuci i doprowadzeni do więzienia za kłamstwa na temat zysków, za wyzbywanie się własnych pakietów akcji i jednocześnie publiczne namawianie innych do zakupu tychże papierów wartościowych oraz za inne poważne przestępstwa i wykroczenia. Władze oskarżyły ich o podważenie zaufania inwestorów do rynków

papierów wartościowych i o wywołanie wstrząsu na światowych rynkach finansowych. Czyli: za sianie nieprawdy.

SZEŚĆ FILTRÓW

Decyzje czasami wpływające na życie i śmierć firm czy nawet ludzi często podejmowane są w oparciu o nieaktualną, mylną, niedokładną czy wprost fałszywą wiedzę. Dziś komputer, Internet, środowisko nowych hiper-mediów, efekty specjalne i inne narzędzia znacznie ułatwiają popełnianie oszustw i fabrykowanie faktów on-line. Jednocześnie ilość niewinnej, ale też zwyczajnie niesprawdzonej i nieprawdziwej wiedzy rośnie w Internecie w zastraszającym tempie.

W rezultacie pytania będące niegdyś domeną filozofów, teologów i epistemologów w coraz większym stopniu staną się strapieniem decydentów w każdej dziedzinie życia. Każda próba oszacowania ryzyka, każda zakupowa decyzja konsumencka, każda decyzja inwestycyjna (inwestować czy czekać) i każda decyzja biznesowa (zlecać na zewnątrz czy wykonywać zadania własnymi siłami firmy; zwolnić się czy zostać; zatrudniać czy zwalniać; łączyć się czy działać w pojedynkę) jest w ostatecznym rachunku uzależniona od płynących strumieniami danych, informacji i wiedzy. W obliczu tego wszystkiego jakżeż mamy dziś wiedzieć, co jest, a co nie jest prawdą?

Większość z nas stwierdza, czy ma do czynienia z prawdą, za pomocą przynajmniej sześciu konkurencyjnych kryteriów. Różni ludzie i poszczególne kręgi kulturowe mogą odwoływać się w różnym czasie do innych testów, jednakże tych sześć filtrów należy do najbardziej powszechnych.

Jak na ironię, badacze rynku, ankieterzy przeprowadzający sondaże preferencji politycznych, agencje reklamowe, firmy badawcze i inne wydają fortuny tylko po to, by zapytać ludzi, w co wierzą. Z rzadka tylko trudzą się, by zapytać ich o coś głębszego: dlaczego w to wierzą? Odpowiedź w dużej mierze zależy od tego, którym z sześciu kryteriów weryfikacji prawdy się posługujemy.

KONSENSUS

Zakładamy, że wiele z tego, co skłonni jesteśmy nazwać prawdą, w pełni zasługuje na takie określenie wyłącznie ze względu na konsensus. Chodzi tu o powszechnie uznaną, konwencjonalną mądrość. Wszyscy "wiedzą", że X to prawda. A zatem to musi być prawda. Wiedzę wynikającą z konsensusu przejmujemy w domu rodzinnym, od przyjaciół, współpracowników i otaczającej nas kultury i zazwyczaj nie zastanawiamy się nad nią zbyt wiele. Wiedza ta kształtuje Zeitgeist Lemingów¹¹.

Pójście za tłumem nie wymaga myślenia. Jeszcze lepiej: prawda lemingów jest bezpieczna i pozbawiona kontrowersji. Nie wychodzi się na głupka nawet wtedy, gdy okaże się, że wiedza ta jest błędna. W końcu wszyscy w nią wierzyli - nawet ludzie naprawdę mądrzy.

¹¹ Lemingi to małe gryzonie występujące w tundrze Europy Północnej, Azji i Ameryki Północnej, słynące z masowych samobójstw. Kolonia lemingów pokonuje znaczne odległości w poszukiwaniu pożywienia. Kiedy gryzonie dotrą do morskiego brzegu, niekiedy klifowego, kolejno skaczą w otchłań usiłując przepłynąć morze i wszystkie giną. Obyczaje lemingów znane są m.in. za sprawą dokumentalnego filmu Bena Sharpsteena pt. *White Wilderness*, uhonorowanego Oscarem w roku 1959 - przyp. tłum.

Zachowanie typowe dla lemingów mieliśmy okazję obserwować w przypadku inwestorów, którzy najpierw rzucili się na akcje pierwszych dot.comów, a następnie, równie masowo, zaczęli się ich wyzbywać. Podobnie zachowują się też skądinąd inteligentni szefowie firm, pośpiesznie wdrażając, a następnie potępiając i rugując z firm nowinki w zarządzaniu. Nowe pomysły zyskują przychylną wyżej kadry zarządzającej, są wdrażane w firmach, narzucane ludziom, a potem szybko się je unieważnia. Często mają one bezpośredni, szkodliwy wpływ na gospodarkę, prowadząc, przykładowo, do źle pomyślanych, masowych zwolnień, połączeń z innymi firmami tylko dlatego, że inni też się łączą i tym podobnych. Teraz nawet całe branże są restrukturyzowane albo deformowane w wyniku zaufania pokładanego w Prawdzie Lemingów.

Katastrofy wynikające z prawdy lemingów nie zdarzają się wyłącznie w biznesie i gospodarce. W roku 2004 Komisja ds. Wywiadu Senatu USA oskarżyła amerykańskie agencje wywiadowcze o "stadne myślenie," ponieważ wszystkie agencje jednomyślnie informowały, że Irak posiada albo zamierza posiadać broń masowego rażenia. W odpowiedzi na tę krytykę agencje wywiadowcze zauważyły, że wywiad krajów zaprzyjaźnionych potwierdzał informacje, na których amerykański wywiad oparł swe konkluzje. Konsensus zaiste miewa nie lada siłę przekonywania!

Dopiero znacznie później opinia publiczna dowiedziała się, że dysydenci iraccy, pragnący skłonić Stany Zjednoczone do obalenia reżymu irackiego, rozpowszechniali te same fałszywe informacje wśród agencji wywiadowczych Francji, Niemiec, Wielkiej Brytanii, Hiszpanii, Danii i Szwecji. Przechytrzyli w ten sposób system, wspierając zarazem powstanie konsensusu, na którym polegał wywiad USA. Nie po raz pierwszy prawda lemingów przyczyniła się do wybuchu wojny.

KONSEKWENCJA I SPÓJNOŚĆ

Kryterium to oparte jest na założeniu, że jeśli dany fakt zgodny jest z faktami uważanymi za prawdziwe, sam także musi być prawdziwy. Detektywi, prawnicy i sądy bardzo mocno polegają na spójności jako pierwszorzędnej wartości sprawdzanie prawdomówności świadka. W słynnej na cały świat sprawie o molestowanie seksualne dzieci przez Michaela Jacksona miliony widzów w wielu krajach świata jak zahipnotyzowane obserwowały, jak to raz jedna raz druga strona - oskarżenie i obrona - podkreślały rozbieżności w materiale dowodowym przedstawianym przez stronę przeciwną. Każdy, najdrobniejszy nawet dowód był rozdzielany na czworo w poszukiwaniu wewnętrznych sprzeczności, jakby w przekonaniu, że brak sprzeczności stanowi dowód prawdy.

Spójność jest w cenie także w biznesie, mimo że bez trudu można konsekwentnie mylić się i wierzyć w całkiem spójne wewnętrznie, acz fałszywe opinie. Kiedy specjalny zespół audytorów pojawia się w firmie, aby wykonać tzw. due dilligence z myślą o przygotowywanym połączeniu firmy z inną lub o jej przejęciu, na początku szuka się wszelkich niekonsekwencji. Czy wpływy na dane konto, wykazane w księdze przychodów i rozchodów idealnie zgadzają się z tym, co wykazują kolejne zapisy? Brak spójności rodzi podejrzenie, że prawdę się nieco koloryzuje. Od czasów skandali rachunkowych w takich firmach, jak Enron, WorldCom, Adelphia czy Tyco i wielu innych gigantach kryterium spójności stosuje się o wiele bardziej konsekwentnie.

AUTORYTET

W naszym codziennym życiu jakże często powszechnie uznawana "prawda" oparta jest na autorytecie - świeckim lub duchowym. Przez całe lata w Stanach Zjednoczonych prawdą musiało być to, co słynny inwestor Warren Buffet wymamrotał pod nosem, nawet jeśli była to zaledwie monosylaba, na temat kierunku rozwoju sytuacji na Wall Street. Dla innych prawdą na pewno było to, co im mówiło Pismo Święte czy Koran. Autorytet jest probierzem.

Autorytet może przybrać postać muzułmańskiego imama czy ajatollaha. Jak powiedział czołowy duchowny szyicki Wielki Ajatollah Ali al-Sistani: "Czyńcie to, co wam mówi słowo mądrego przywódcy i odsuwajcie od siebie to, co wam opinia mądrego przywódcy nakazuje odsunąć, bez wnikania w istotę rzeczy z własnej strony."

Alternatywny autorytet może mieć swą siedzibę w Watykanie: od 1870 roku obowiązuje wszak dogmat o nieomyślności papieża. Wyznawcy poszczególnych religii zakładają, że duszpasterze tego kalibru posiadają dogłębne zrozumienie Koranu czy Pisma Świętego, które też, nawiasem mówiąc, zawierać mają poglądy pochodzące od niepodważalnego autorytetu.

Niektórzy sądzą, że informacje podawane przez najważniejsze światowe media, takie jak "The New York Times", "Le Monde" czy CBS News, muszą być prawdziwe. Oczywiście tak było do czasu, gdy CBS przyznał, że wyemitował materiał o służbie prezydenta Busha w Gwardii Narodowej na podstawie sfałszowanych dokumentów. Tak było, zanim "The New York Times" ujawnił fakt, że drukował mnóstwo artykułów napisanych przez dobrze się zapowiadającego dziennikarza, który konsekwentnie karmił redaktorów gazety kłamstwami, fikcją i plagiatami. I zanim we Francji bestsellerem była książka o czołowych redaktorach "Le Monde", którzy w artykułach publikowanych na łamach uznanej gazety załatwiali swe własne, prywatne interesy.

Autorytet przypisuje się także (często absurdalnie) osobom słynnym, często przedstawianym przez media. Aktor Richard Gere traktowany jest jako autorytet w zakresie zagadnień dotyczących Tybetu, piosenkarka Barbra Streisand - polityki zagranicznej, a Carlton Heston - Pisma Świętego (nic dziwnego, przecież odgrywał w jednym filmie rolę Mojżesza!). Jednak absolutnie ślepym uwielbieniem otaczają biznesmeni prezesów wielkich korporacji. Przez całe lata głównym autorytetem amerykańskich biznesmenów był obecnie emerytowany szef General Electric, Jack Welch.

Dzisiaj tak wiele potrzeba wiedzy, aby podejmować trafne decyzje, że najmądrzejsi ludzie, to tacy, którzy wiedzą, czego nie wiedzą. Autorytet często jest wobec tego dzielony z innymi lub przekazywany kolejnym osobom. W czasie posiedzenia zarządu wielkiej firmy, jego uczestnicy mogą pójść za myślami jednego z nich w sprawach finansowych, skłaniać się ku opiniom innego - kiedy mowa o schemacie wynagradzania menadżerów, a jeszcze innego - w sprawach dotyczących technologii.

Rzadko w spójny sposób sprawdzamy faktyczną wiarygodność autorytetu, któremu ufamy, zadowolając się raczej wizerunkiem takiej osoby, kształtowanej przez jej tytuł, dyplom czy instytucję,

którą reprezentuje. A w takim razie uznajemy wyższy autorytet, który taki "certyfikat" tej osobie wydał. Staje się on zatem autorytetem ponad autorytetami.

OBJAWIENIE

Niektórzy uznają prawdę objawioną. Jest dla nich niepodważalna: po prostu jest. Trzeba jej zaufać, bo ja tak mówię. (Oczywiście, jeśli mi uwierzycie i zaufacie mi w tej mierze, staję się godnym zaufania autorytetem, a zatem polegacie na kryteriach stosowanych wobec autorytetów.)

TRWAŁOŚĆ

A oto próba prawdy oparta na kryterium wieku i trwałości. Czy "prawda" przetrwała "próbę czasu"? Czy mamy do czynienia z czymś wypróbowanym, a zatem prawdziwym czy też jest to coś nowego, a zatem wątpliwego? Tutaj autorytetem nie jest Bóg, ani książka, ani osoba, lecz ten ów szmat czasu zwany przeszłością.

Być może to prawda, że rosół pomaga pokonać przeziębienie, ale czy fakt, że wersja taka dotarła do nas za pośrednictwem wielu kolejnych pokoleń babek i prababek, wystarczy, żeby tak istotnie było?

Większości z nas trudno dziś wyobrazić sobie, jak ważna była dziedziczona prawda przed epoką Oświecenia i rewolucją przemysłową. Historyk Alan Kors z Uniwersytetu w Pensylwanii powiada, że "obalenie uważanego za oczywisty autorytetu z przeszłości jest jedną z najcenniejszych zdobyczy w dziejach świata zachodniego."

NAUKA

Nauka różni się od wszystkich innych kryteriów próby prawdy. Jako jedyne, samo zależy od rygorystycznych prób prawdziwości. Jednakże spośród tych wszystkich kryteriów, w naszym codziennym życiu prawdopodobnie w najmniejszym stopniu polegamy właśnie na nauce.

Z zasady nie dlatego wybieramy szczeniaka, że pomyślnie przeszedł przez jakieś naukowe badania, ale dlatego, że się po prostu w nim zakochaliśmy. Nie przeprowadzamy badań laboratoryjnych, kiedy zastanawiamy się, na który film wybrać się do kina. Albo z kim się zaprzyjaźnić. Decyzje podejmowane w sposób naukowy stanowią znikomy ułomek wszystkich naszych decyzji osobistych i codziennych decyzji biznesowych. Jednakże spośród sześciu kryteriów prawdy żaden nie miał większego wpływu na bogactwo. I żaden, o czym się za moment przekonamy, nie jest tak bardzo zagrożony.

Nauka to nie zbiór faktów. To proces - często chaotyczny i nieliniowy - sprawdzania pomysłów. Pomysły muszą poddawać się testom, przynajmniej z zasady, oraz, warto dodać, muszą być podważalne. Testowanie przybiera formy obserwacji i eksperymentu. Ich wyniki muszą być powtarzalne. Wiedza, która nie została poddana takiemu sprawdzianowi, nie ma charakteru naukowego.

Nawet najbardziej przekonujące odkrycia naukowe uważa się zatem za niecałkowite i tymczasowe. Zawsze stanowią przedmiot dalszych poszukiwań, możliwej weryfikacji

dotychczasowych uzgodnień i ewentualnego obalenia w świetle nowych, naukowo sprawdzonych odkryć.

Dzięki temu nauka jest jedynym z sześciu filtrów, która z definicji jest przeciwieństwem fanatyzmu jakiegokolwiek maści: religijnego, politycznego, nacjonalistycznego, rasistowskiego itp. Bo to właśnie fanatyczna pewność przekonań jest zaczątkiem prześladowań, terroryzmu, inkwizycji, samobójczych bombardowań i innych okropności. Tę fanatyczną pewność nauka zastępuje zasadą, że nawet najgłębiej zakorzenione zdobycze nauki są w najlepszym razie cząstkową tylko i tymczasową prawdą, a zatem rzeczą niepewną.

Myśl ta - że każde twierdzenie naukowe można i powinno się poprawić albo wyrzucić do kosza - sprawia, że nauka staje się klasą samą w sobie. A zatem spośród wszystkich innych głównych filtrów prawdy - konsensusu, spójności, autorytetu, objawienia czy trwałości - tylko nauka samoczynnie się koryguje.

Podczas gdy ludzkość stosuje pięć pozostałych kryteriów od zarania dziejów i odzwierciedlają one statyczny i mało podatny na zmiany charakter społeczeństwa agrarnego, nauka otworzyła na oścież drzwi przed zmianami.

Joseph Needham, wielki historyk nauki chińskiej, z wykształcenia biolog, wykazał, jak bardzo Chińczycy byli zaawansowani technologicznie w porównaniu z Europejczykami aż do pewnego momentu zwrotnego, kiedy to nauka na Zachodzie dokonała skokowego postępu, wyprzedzając Chiny. Ten wielki skok ku przyszłości zawdzięcza jednak Zachód nie temu czy innemu odkryciu naukowemu, lecz czemuś znacznie potężniejszemu. Jak ujął to Needham "w czasach renesansu na Zachodzie, w czasach Galileusza (...), odkryto najskuteczniejszą metodę dokonywania odkryć."

Elementy "metody naukowej" zrodziły się w czasach początków Islamu, w czasach renesansu i Francisa Bacona w XVI i na początku XVII wieku. Ale dopiero nieco później zaistniała jako jasna, powszechnie przyjęta metoda określania prawdziwości dowolnego założenia czy hipotezy.

Kanadyjski historyk Ian Johnson z Malaspina University-College wyjaśnia: "Poszukiwanie odpowiedzi na pytania nauki zawsze było przede wszystkim działaniem skoordynowanym, zdyscyplinowanym, rządzącym się jasnym i powszechnym zrozumieniem metody (...) Nauka wciąż prowadziła selekcję czynności należących do tychże działań, z wykorzystaniem rywalizacyjnych metod, teorii i systemów w niemal wszystkich dziedzinach" począwszy od XVIII i pierwszych lat XIX wieku.

Odtąd stopniowo scalano elementy obserwacji empirycznej, eksperymentu, kwantyfikowania i rozpowszechniania wyników badań, ich powtarzania i podważania, wraz z losowymi, ślepyimi testami i innymi technikami powszechnie stosowanymi także i dziś.

Wynalezienie naukowej metody było dla ludzkości darem nowego sposobu filtrowania czy próbowania prawdy, potężnym metanarzędziem zgłębiania tego, co nieznanne i - jak się okazało - przyspieszania przemian technologicznych i postępu gospodarczego.

Spośród wszystkich decyzji zapadających w gospodarce w dowolnym momencie, jedynie o znikomej ich liczbie można powiedzieć, że zostały podjęte naukowo. Jednak ta minimalna liczba

odmieniła zdolności świata do wytwarzania i powiększania bogactwa. I tak też będzie w przyszłości - jeśli tylko nie będziemy przeszkadzać.

ZMIANY PRAWDY

W rzeczywistości, oczywiście, wszyscy polegamy na więcej niż jednej formie weryfikacji prawdy. Odwołujemy się do nauki, kiedy potrzebujemy pomocy medycznej, do religii objawionej - gdy nam potrzeba wskazówek moralnych, a w przypadku innych zagadnień korzystamy z autorytetów osobistych lub ogólnych. Zmieniamy te kryteria lub posługujemy się ich kombinacją.

Wiele przedsiębiorstw, partii politycznych, ruchów religijnych, rządów i innych grup usiłuje manipulować nami, podkreślając znaczenie tego czy innego filtra prawdy. Spójrzmy na przykład, w jaki sposób reklamy telewizyjne wykorzystują autentycznych lekarzy, by wcisnąć nam farmaceutyki, sugerując, że przekaz ten jest prawdziwy, ponieważ odwołuje się do nauki. Inne reklamy ukazują osoby sławne - Bob Dole reklamował viagrę, a Lance Armstrong leki Bristol-Myers Squibb - jakby one były tu odpowiednimi autorytetami. Przekazy firmy Dell Computers prezentuje nieformalnie ubrany młody mężczyzna, mniej więcej w tym samym wieku co potencjalni nabywcy, do których pragnie dotrzeć Dell - sugerując widzom, że kupując produkty tej firmy przyłączą się do konsensusu tejże grupy wiekowej.

Produkty w rodzaju płatków śniadaniowych marki Quaker czy suchego ciasta naleśnikowego marki Aunt Jemima - i cała gama produktów, których nazwy rozpoczynają się od "Old-Fashioned" (ang. - w starym stylu) - wskazują na to, że to, co ludzie kupują od dawna, musi być dobre, jak by powiedziała nasza babcia. W ten sposób handlowo wykorzystuje się poszczególne kryteria prawdy. Kolejnym krokiem będzie segmentacja konsumentów, a następnie precyzyjne adresowanie przekazów do nich kierowanych, z wykorzystaniem tego konkretnego kryterium prawdy, które w odniesieniu do każdej z tych grup będzie działać najskuteczniej.

Ale nie tylko poszczególne osoby w ten sposób uznają, czy coś jest prawdziwe lub nieprawdziwe. Całe kultury czy społeczeństwa posiadają coś, co można określić mianem "profilu prawdy" - charakterystyczne preferencje wobec jednego bądź kilku kryteriów prawdy.

W danym społeczeństwie może dominować ufność wobec autorytetów i objawienia religijnego - tak jest, na przykład, w Iranie od czasów rewolucji teokratycznej w 1979 roku. W innych społeczeństwach podkreśla się znaczenie nauki i jej przedłużenia - technologii. Za przykład niech nam posłuży tutaj Japonia, począwszy od lat sześćdziesiątych XX wieku.

Społeczny profil prawdy silnie oddziałuje na ilość i typ bogactwa, jakie wytwarza dane społeczeństwo. Wywiera wpływ na to, ile pieniędzy przeznaczają się na budowę meczetów i kościołów, zamiast na badania naukowe i rozwój, lub też ile środków przeznaczają się na hołubienie imperialnych sentymentów (niegdyś tak postępowały Francja i Wielka Brytania). Wpływa na skłonność do procesowania się, na naturę wymiaru sprawiedliwości, znaczenie tradycji i poziom oporu wobec zmian.

W ostatecznym rachunku wybór filtrów prawdy przyspiesza lub spowalnia tempo tego, co nieżyjący już czeski ekonomista Euglen Loebł nazywał "zdobyczami" - ludzkiej akumulacji dodatkowej wiedzy, niezbędnej do podnoszenia standardu życia.

Kształt przyszłych gospodarek w dużej mierze będzie uzależniony od tego, jakiego filtra prawdy będzie się używało do weryfikacji wiedzy. Po raz kolejny zmieniamy nasze relacje wobec głębokich fundamentów bogactwa, nie przewidując konsekwencji tego kroku - i kładziemy na szalę jedno z kluczowych źródeł postępu gospodarczego.

A stawką jest przyszłość nauki.

Rozdział 20

Dewastacja laboratorium

Spośród tego wszystkiego, co możemy odnaleźć w całej ludzkiej bazie intelektualnej (ang. - *knowledge base*), nie wyłączając obecnej wiedzy i starowiedzy, w ostatnich stuleciach nic bardziej nie przyczyniło się do zwiększenia długości trwania życia ludzkiego, wartości pożywienia, zdrowia i bogactwa człowieka, niż ten śladowy element, który nazywamy nauką. Jednak do wielu sygnałów świadczących o tym, że zmieniamy głębokie fundamenty bogactwa, należy też nasilająca się wojna partyzancka przeciwko nauce.

Wojna ta jest próbą nie tylko podważania faktów naukowych, ale także obniżenia wartości samej nauki. Najgłębszym celem tej wojny jest ogólnoświatowy odwrót od prawdy, mający zmniejszyć zaufanie do nauki jako sposobu dowodzenia prawdy. Jeśli ten ruch odniesie sukces, może skierować na boczny tor przyszłość gospodarki intelektualnej i szanse na pomniejszenie światowej sfery ubóstwa i nędzy, pogrążając przyszłe stulecia w mroku.

Z pozoru wydawać by się mogło, że światowe podstawy wiedzy są w stanie rozkwitu. Na całym świecie rośnie liczba naukowców i inżynierów, podobnie jak wydatki na rozwój i badania - w samym 2003 roku tylko w Stanach Zjednoczonych na ten cel przeznaczono 284 miliardy dolarów.

Znaczna część funduszy badawczych została przyznana badaczom-obcokrajowcom oraz imigrantom, którzy masowo zasilili świat nauki amerykańskiej przybywszy do USA z wielu zakątków globu. Stany Zjednoczone są też poligonem dla niemałej rzeszy naukowców pracujących dziś w różnych częściach świata, od Chin po Indie, Bliski Wschód i Meksyk.

W sektorze gospodarczym sama tylko IBM wydała w 2004 roku 5 miliardów dolarów na badania naukowe. Naukowcy zatrudnieni w IBM z Paulem Hornem na czele opatentowali łącznie 3248 wynalazków - prawie 2,6 na godzinę, przez 24 godziny na dobę, 365 dni w roku. IBM uzyskał 68 proc. licencji patentowych więcej niż druga z kolei firma, Matsushita.

Wynalazki te nie tylko wpłynęły na podniesienie jakości produktów IBM, ale, co ważniejsze, stanowią własność intelektualną o wartości handlowej, która w tymże roku wygenerowała 1,2 mld dolarów zysków z tytułu udzielonych licencji - mniej więcej 15 proc. zysku netto wypracowanego przez tę firmę w 2004 r. Najważniejsze produkty IBM nie mają już zatem charakteru fizycznego - są to bowiem usługi i wiedza.

Ścieżki prowadzące do przełożenia nauki na uogólniony wzrost gospodarczy są wyjątkowo skomplikowane i stanowią przedmiot ożywionych sporów. Ale, żeby odwołać się do słów Gary'ego Bachuli, byłego sekretarza handlu USA, "czołowi ekonomiści uznają dziś postęp techniczny za główny, jeśli nie wyłączny czynnik trwałego wzrostu gospodarczego, generujący aż połowę wzrostu gospodarczego USA w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat."

W ostatnich latach, wedle raportu US National Science Foundation (Narodowej Fundacji Nauki USA), "inne kraje zwiększają nakłady na badania, koncentrując się na takich dziedzinach, jak nauki

fizyczne i inżynierskie, na które w Stanach Zjednoczonych przeznaczają się stosunkowo mniej środków.”

Oczywiście banałem jest twierdzenie, że wiedza naukowa to miecz obosieczny, ponieważ niektóre jej zdobycze są wykorzystywane w sposób destrukcyjny. To samo wszak można powiedzieć o religii i wiedzy nienaukowej - żadna z nich jednak nie wyzwoliła tak wielkiej powodzi odkryć, które by przyczyniły się do poprawy stanu zdrowia ludzkości, wyżywienia, bezpieczeństwa i innych korzyści społecznych.

ŻYLETKI I PRAWA

Mógłby ktoś pomyśleć, że wobec tak znacznych nakładów naukowcy nie tylko w Stanach Zjednoczonych, ale na całym świecie powinni cieszyć się szacunkiem, jak niegdyś.

Tymczasem zdarzało się, że kiedy badacze wydziałów medycznych amerykańskich uniwersytetów otwierali koperty, wewnątrz znajdowali żyletki - jako ostrzeżenie kierowane pod ich adresem przez ekstremistycznych obrońców praw zwierząt, by przerwali eksperymenty na zwierzętach, albo... To “albo” mogło oznaczać samochody-pułapki, podpalenia czy inne formy zastraszania lub przemocy.

Fanatyczni obrońcy praw zwierząt są zaś zaledwie jedną z licznych odnóg szerokiej koalicji antynaukowej, której członkowie rekrutują się z najbardziej skrajnych odłamów feminizmu, ruchów ekologicznych, marksizmu i innych postępowych, przynajmniej teoretycznie, grup. Aktywiści ci cieszą się poparciem zarówno niektórych przedstawicieli świata nauki, jak i polityki oraz showbiznesu. Lista zarzutów formułowanych wobec naukowców jest niezmiernie długa, przy czym w najlepszym razie oskarża się naukowców jedynie o hipokryzję, zaś w najgorszym wydaniu - o okrucieństwo i zbrodnie.

Działacze ci twierdzą, na przykład, że naukowcy-farmaceuci zaprzędają swój naukowy obiektywizm tej korporacji, która skłonna jest im zapłacić najwięcej. (Niektórzy, bez wątplenia, tak właśnie czynią, ale nie można przecież wyłącznie tej jednej, jedynej profesji zarzucać braku zasad.)

Z innej strony atakują neofeministki, twierdząc (z godną podziwu precyzją), że w wielu krajach dziewczęta cierpią dyskryminację w szkolnictwie, a kobiety w świecie nauki napotykają seksistowskie bariery w polityce zatrudnienia i awansowania. Cel tej walki jest bez wątpienia szczytny - praktyki tego rodzaju są niemądre, nieuczciwe i pozbawiają nas wszystkich połowy potencjału intelektualnego ludzkości. Lecz jednak dyskryminacja na tle płci nie jest zjawiskiem występującym jedynie w świecie nauki, a - niestety - bardzo często silnie zaznacza się w niezliczonych innych profesjach.

Tymczasem sama nauka jest jednocześnie piętnowana przez radykalnych działaczy ekologicznych. Wmawia się nam, że naukowcy mogą zaszkodzić ludziom, podsuwając im żywność modyfikowaną genetycznie.

Na pewno nie jest to problem wydumany. Przecież sami, jako jedni z pierwszych, przed ponad trzydziestu laty, ostrzegaliśmy, że z inżynierią genetyczną należy postępować bardzo ostrożnie. Ale trudno też poważnie traktować irracjonalną opozycję wyrosłą jedynie z czystej paniki.

Eko-ekstremiści w Europie karmią media sensacyjnymi opowieściami o “żywności a la Frankenstein”, skwapliwie popierając protekcjonistycznie nastawione rządy niektórych państw europejskich, które z kolei starają się zablokować import produktów rolnych z Ameryki. I mimo groźby masowego głodu w Zimbabwie, niektóre społeczeństwa europejskie wywierały naciski na rządy swych państw, by skłoniły władze Zimbabwe pod groźbą sankcji handlowych do odrzucenia pomocy żywnościowej oferowanej przez Stany Zjednoczone właśnie z tego powodu, że była to żywność modyfikowana genetycznie.

I wszystko to działo się na oczach Jamesa Morrisa, dyrektora Światowego Programu Żywnościowego ONZ (O.N. World Food Program), który poinformował rządy państw afrykańskich, że “owa genetycznie modyfikowana kukurydza była spożywana dosłownie miliardy razy i nie odnotowano żadnych negatywnych tego skutków. Jeśli zatem przedmiotem troski jest bezpieczeństwo żywieniowe, nie istnieją żadne naukowe dowody dokumentujące jakiegokolwiek zagrożenie.”

Szalejąca kampania skierowana przeciwko genetycznie modyfikowanym organizmom (GMO) dotkliwie zaszkodziła firmie Monsanto Corporation, która jest liderem w wytwarzaniu nasion modyfikowanych genetycznie. W Lodi we Włoszech działacze dopuścili się podpalenia magazynów nasion kukurydzy i soi należących do Monsanto, zaś na murach firmy wymalowali napisy “Zabójcy z Monsanto” i “Precz z GMO.”

Kampanie tego rodzaju wywołują także w innych firmach obawy, że zniszczeniu może ulec popyt na produkty powstające dzięki badaniom naukowym, że wprowadzone zostaną nazbyt rygorystyczne lub nieprzemysłane regulacje prawne, że inwestorzy przeniosą swe sympatie na inne branże, że zabraknie młodych, inteligentnych ludzi, którzy chcieliby podjąć pracę w tej dziedzinie.

Wrogość wobec nauki sprawia, że pod tymi samymi sztandarami zaczynają maszerować przedziwnie dobrani partnerzy: od lewicowych działaczy po brytyjskiego księcia Karola, który w emitowanym przez BBC programie Reith Lecture pod tytułem *Respect for the Earth* zaatakował - jak to określił - “niezgłębione pokłady racjonalizmu naukowego”. Także w swych wcześniejszych wypowiedziach zarzucał nauce, że usiłuje “tyranizować nasze umysły.” W jego słowach pobrzmiwały echa haseł powtarzanych przez nawiedzonych ekologów, wyznawców New Age i innych poszukiwaczy rzekomej “świętości.”

W ten sposób docieramy do kolejnego źródła agitacji antynaukowej - twardogłowych i niezłomnych kreacjonistów religijnych, którym zaciekle wrogość wobec darwinizmu nakazuje prowadzić krucjaty przeciwko podręcznikom szkolnym, wytaczać procesy sądowe przeciwko programom szkolnym i standardom nauczania i, ogólnie, atakować utożsamiany z nauką świecki świat.

Do tych wszystkich bojowników należy dodać sporadycznych rycerzy, nie zawsze w pełni zrównoważonych, którzy - dla sprawy - gotowi są nawet do popełnienia zbrodni.

Ted Kaczyński, zwany Unabomberem, zabił trzy osoby i zranił kolejnych dwadzieścia trzy w zamachach bombowych przeprowadzonych w latach dziewięćdziesiątych. Szantażował redakcje największych gazet, domagając się publikacji swych długaśnych i antytechnologicznych wywodów, grożąc kolejnymi zabójstwami - w razie odmowy. Powszechną reakcją była po prostu wściekłość. Ale niektórzy naukowcy pośpiesznie zaczęli chwalić ów manifest, a w Internecie powstały specjalne strony zakładane przez zwolenników Kaczyńskiego, jak np. Chuck's Unabomb czy alt.fan.unabomber.

Ogólnie rzecz biorąc okazuje się zatem, że istnieje luźny, zróżnicowany ruch partyzantki antynaukowej, który łączy się na swych skrajnych skrzydłach z zastępami wyznawców zjawisk paranormalnych i zielonych ludzików z kosmosu, nie wspominając już o szarlatanach parających się różnymi formami "medycyny alternatywnej" i osobnikach spod znaku Falun Gong uprawiających lewitację.

Głos tych ruchów niezmiennie może liczyć na wsparcie Hollywoodu, który skwapliwie ukazuje naukowców jako zło wcielone, i telewizji, serwującej rzeszom widzów programy w stylu *Crossing Over* (oferujące możliwość porozumienia się z naszymi bliskimi zmarłymi) czy *Pet Psychic* (poświęcone porozumiewaniu się z naszą domową iguaną).

W Wielkiej Brytanii ta antynaukowa histeria przybrała tak groźne rozmiary, że kiedy czołowy biolog brytyjski, prowadzący badania nad reprodukcją, Richard Godsen, wyjechał na placówkę do Kanady, w the British Royal Society pojawiły się obawy, że wyjazd ten może wywołać lawinę emigracji naukowców. Tymczasem francuska Sorbona, mimo fali protestów, przyznała tytuł doktora w dziedzinie astrologii byłej miss Francji, która para się astrologią na potrzeby pewnego tygodnika z programem telewizyjnym. Jak na ironię, obrona tej pracy doktorskiej odbyła się publicznie - wobec barwnego tłumu gwiazd i gwiazdek showbiznesu. I to gdzie! Jakżeżby inaczej - na Université Rene Descartes w Paryżu¹².

POLITYKA WAŃKI-WSTAŃKI

W przeszłości, w Europie i Stanach Zjednoczonych, źródła wrogości wobec nauki zazwyczaj tkwiły w mentalności tradycjonalistycznych środowisk prawicowych, niekiedy profaszystowskich, a nawet nazistowskich. Jeszcze dziś wielu naukowców amerykańskich skarży się na "wojnę Republikanów z nauką," twierdząc, że to właśnie ta partia, a w szczególności Biały Dom rządony przez George'a W. Busha, dopuszcza się manipulacji politycznych i zniekształcania odkryć naukowych w tak zróżnicowanych dziedzinach, jak globalne ocieplenie, kontrola urodzeń, kwaśne

¹² Obrona pracy pióra Germaine Elisabeth Teissier, o objętości 900 stron, zatytułowanej "Epistemologiczna **sytuacja** astrologii wobec ambiwalencji - fascynacji bądź odrzucenia - społeczeństwa postmodernistycznego" odbyła się w dniu 7 kwietnia 2002 roku. Wydarzeniu towarzyszyła gorąca, skandaliczna atmosfera (nieobecność większości członków komisji, głośne uwagi wypowiedziane z audytorium, specyficzna publiczność, a także wady samej dysertacji, jak liczne błędy ortograficzne, literówki i częste pomieszanie źródeł i ich autorów itp.). W komentarzach prasowych przypomniano wówczas, że astrologię jako dziedzinę nauki usunięto z Sorbony w roku 1666, za panowania Ludwika XIV, wraz z utworzeniem Akademii Nauk - przyp. tłum.

deszcze i badania nad komórkami macierzystymi. Lewica - wręcz przeciwnie - z reguły popiera naukę. Marksizm wręcz sam siebie ubierał w szaty "naukowego" socjalizmu.

Jakżeż dziś inaczej przedstawia się sytuacja: antynaukowymi sztandarami najenergiczniej powiewają przedstawiciele lewicy. Tak dzieje się na wydziałach filologicznych, nauk społecznych, badań kobiecych i humanistycznych uniwersytetów w Europie i Ameryce. Niestety: ta sama lewica amerykańska, która z zapalem spiera się z religijną prawicą na polu jakżeż obarczonych emocjami zagadnień, takich jak aborcja czy publiczne dotacje dla szkół wyznaniowych - ramię w ramię z prawicą prowadzi partyzancką wojnę przeciwko nauce.

Przykłady powyższe bynajmniej nie mają sugerować, że naukowcy są poza wszelką krytyką ani że w naukowych gabinetach nigdy nie dochodzi do oszustw, czy też nie mają miejsca nieodpowiedzialne, a nawet niebezpieczne eksperymenty lub też że biedni i bogaci w równym stopniu korzystają z dobrodziejstw nauki. Można wręcz powiedzieć, że szybki światowy rozwój badań naukowych wyprzedził możliwości monitorowania nieprawidłowości przez rządy, uczelnie czy samą kadrę naukową. I jest to kolejny przejaw de-synchronizacji.

Skorygowanie tych błędów jest, rzecz jasna, niezbędną. Antynaukowa krucjata ma jednak o wiele szersze cele.

Do wojny tej doszło akurat w momencie, kiedy coraz szybciej dokonują się przełomy w kolejnych dyscyplinach nauki. Podstawowe zasoby wiedzy poszerzyły się radykalnie za sprawą samego tylko choćby odczytania genomu ludzkiego. Jednocześnie zwiększyło się też tempo potencjalnego nawarstwiania się wiedzy, jej akumulacji. Jak to ujął Philip Stott, biogeograf z University of London, "stoimy na wspaniałym szczycie, a u naszych stóp rozciąga się nowa kraina. Ale nie wszyscy chcą ją poznać." Zamiast tego, jak pisze Stott, są ludzie, którzy "z wielką determinacją chcą tę nową naukę zacieśnić, stłoczyć i ograniczyć."

PATRIARCHAT I CHIROMANCJA

Większość krytyków nauki strzela jednak tak, aby nie zabić: nie podważają metody, która jest esencją nauki. Zamiast tego narzekają, że jedynie 3 procent badań nad lekami, na przykład, poświęconych jest chorobom, na które cierpi biedna część ludzkości. Albo, że zbyt wiele funduszy przeznaczona jest na zgłębianie chorób mężczyzn, a nie kobiet. Albo, że zwierzęta wykorzystuje się w badaniach służących wytworzeniu produktów nie ratujących życia, takich jak kosmetyki. Albo, że zbyt wielka część wysiłku naukowego służy zbrojeniom. Wszystkie te zarzuty dokumentują bardzo niewygodną prawdę. Zmiana tego stanu rzeczy nie zaszkodziłaby nauce, a wręcz przeciwnie.

Krytycy także narzekają, i to słusznie, że mimo swego wizerunku, nauka nie jest i nie może być całkiem bezwartościowa. Niektóre feministki zarzucają nauce, że w swej istocie jest androcentryczna i zmaskulinizowana. Inni twierdzą, że jest nazbyt pozytywistyczna i ilościowa - pozbawiona elementu intuicji. Inni wreszcie zapytują, czy nie powinna istnieć jakaś alternatywna nauka feministyczna nie oparta na metodach naukowych.

Innym źródłem wyzwań rzucanych nauce jest religia, popularny spirytualizm New Age i rozmaitej maści okultyzm. Spacer przez pierwszą z brzegu dzielnicę handlową bez wątpienia zaprowadzi nas do sklepu z książkami New Age, kadzidełkami i świecidełkami. Każdy, kto chciałby uruchomić taki sklep, może bez trudu wyszukać w Internecie setki hurtowni oferujących tysiące produktów związanych z New Age i czarną magią. Każdy z internetowych dostawców proponuje ponad 900 plakatów w "czterdziestu kategoriach New Age: astrologii, czakramach, bóstwach, czarnej magii, chiromancji, tarocie, starożytnych miejscach, szamanizmie, aniołach, jodze, wielorybach, delfinach, Cyganach, Egipcjanach, Zen i wielu innych."

W kulturze tak intensywnie obecne są zjawiska paranormalne, irracjonalne i okultyzm, że tygodnik "New York" poświęcił jedną ze swych okładek takim tematom, jak "Nowojorskie Medium" i "Nadprzyrodzone supergwiazdy Nowego Jorku". Na okładce tej ukazano otwartą dłoń otoczoną słowami "jasnowidze... medium... telepaci... mistycy... szamani."

Kraina New Age obejmuje zadziwiającą różnorodność praktyk i wierzeń, ale w samym ruchu, ogólnie rzecz biorąc, dominują schizofreniczne postawy wobec zarówno nauki, jak i religii.

W swej pracy magisterskiej zatytułowanej *New Age Religion and Western Culture (Religia New Age i kultura zachodnia)* Wouter Hanegraaff definiuje New Age jako system wierzeń "nie odrzucający ani religii i spirytualizmu, ani nauki i racjonalizmu", przy czym jego wyznawcy twierdzą, że stanowi on ich "wyższą syntezę." Jednak - skoro nieustannie odwołuje się do "bytów wyższego poziomu", a rzeczywistość traktuje jako niematerialną projekcję naszych wierzeń, przy czym do mieszanki tej dodaje pogaństwo, łączność z niematerialnymi formami bytu lub energii (tzw. channeling) i reinkarnację, obiecując zarazem bezgrzeszną szczęśliwość - nakazuje nam uwierzyć w niepodważalne twierdzenia nie poddające się naukowej weryfikacji.

LAS VEGAS JAKO WZÓR DO NAŚLADOWANIA

Jeszcze jeden atak na naukę jako filtr wiedzy inspirowany jest schyłkowym postmodernizmem - mroczną filozofią francuską, która przed kilkudziesięciu laty zaczęła przedostawać się na filologie i wydziały nauk społecznych, a nawet uczelnie ekonomiczne na całym świecie. O firmach powiada się, że wdrażają "zarządzanie postmodernistyczne" i oferuje się im systemy przesyłu danych dla "małych i średnich przedsiębiorstw postmodernistycznych." Studenci mogą zgłębiać "postmodernistyczną etykę w biznesie" na Brunei Univeristy w Londynie czy Simon Fraser University w Kanadzie. Namawia się ich, by jechali do Las Vegas, aby zapoznawać się z postmodernistycznymi "wzorcami biznesowymi."

Dziś postmodernizm, znany także jako POMO, nie byłby aż tak ważny - w dużej mierze został wyparty przez innego rodzaju rozmaite obskurantyzmy - gdyby nie atakował samej prawdy. W swej ofensywie skierowanej przeciwko nauce jako próbie prawdziwości POMO powiada, że prawdy naukowe nie mają charakteru uniwersalnego. I to ma sens! Z poglądem tym zgodziłoby się wielu naukowców. Skoro nie znamy granic wszechświata (uniwersum), w którym zamieszkujemy i być

może nie jesteśmy w stanie w ogóle ich poznać - nie możemy logicznie wykazać uniwersalności czegokolwiek.

Postmoderniści, wraz z krytykami feministycznymi i innymi, twierdzą też, że prawdy naukowe nie są całkowicie neutralne. Bo przecież to pieniądze często przesądzają o tym, które badania są przeprowadzane, a wartość decyduje o tym, jakie naukowcy zgłębiają zagadnienia, stawiają hipotezy, a nawet w jakim języku prezentują wyniki swych badań.

Właśnie w tym momencie ich argumenty z na poły słusznych - stają się na poły opaczными. Wmawia się nam, że wszelkie prawdy są względne, przez co jedno wyjaśnienie czegoś nie jest lepsze niż drugie. Ale prawdziwe pytanie brzmi: "Lepsze - po co"? Czy kiedy mamy lecieć z Monachium do Maui, wolimy kompetentnego, doświadczonego pilota przy sterach, czy też wystarczy nam najlepszy na świecie bukieciarz?

To właśnie wówczas zwolennicy POMO mówią nam, że wszystkie prawdy, naukowe czy nie, są subiektywne i istnieją wyłącznie w naszych umysłach: zataczają koło tworząc nieporadny, szkolny solipsyzm. Wedle ich własnej teorii wszak ich własne założenia nie poddają się jakiegokolwiek weryfikacji. Nawet gdyby były prawdziwe, musielibyśmy nadal żyć tak, jak gdyby nie były. Spróbujmy zapłacić wyciąg z karty kredytowej pieniędzmi, które istnieją tylko w naszej głowie.

Rdzeń teorii POMO stanowi nie tylko próbę zdyskredytowania nauki; w skrajnej swej postaci podważa też kryteria prawdy, ponieważ kwestionuje samą koncepcję prawdy. To właśnie tu postmoderniści zlewają się w jeden nurt ze sprzedawcami oleju z węży, sekciarzami, naciągaczami i innymi, którzy nie wahają się wykorzystać całkowicie naszej łatwowierności. A na pytanie: "Dlaczego miałbym ci wierzyć?", nie znajdują lepszej odpowiedzi, niż: "Bo tak".

EKO-MISJONARZE

Nauka, jak widać, musi jednocześnie stawić czoło atakom części ruchu ekologicznego - ruchu, który coraz wyraźniej ujawnia swój religijny charakter.

Jak pisze profesor Robert N. Nelson z University of Maryland: "Pod koniec XX wieku w społeczeństwach zachodnich panowała pustka religijna. (...) W tej sytuacji współczesny ruch ekologiczny stał się jednym ze sposobów na jej wypełnienie (...) Dla wielu swych zwolenników ruch ekologiczny stał się namiastką blaknącej religii chrześcijańskiej czy tzw. progresywnej."

Oczywiście obrońcy środowiska naturalnego także posługują się danymi o charakterze naukowym, jednak sam ruch ekologiczny, jak wskazuje Nelson, "opanywany jest silnym poczuciem misji." Co więcej, język ekologów ma "wprost religijny charakter, skoro ekologowie mówią o »wybawieniu« ziemi od gwałtów i grabieży, pragną budować »katedry« w dziczy, utworzyć nową »Arkę Noego« za pomocą takich przepisów, jak Ustawa o Zagrożonych Gatunkach, wzywają do zachowania pozostałych, dziewiczych obszarów czy starają się chronić to, co pozostało od czasów "Stworzenia świata»."

W samym “jądrze przekazów ekologicznych”, jak podkreśla Nelson, “tkwi nowa wersja opowieści o upadku rodzaju ludzkiego i wspomnienie dawnych czasów - szczęśliwszych, bardziej zgodnych z naturą i niewinnych. Jest to świecka wizja biblijnej opowieści o wygnaniu człowieka z raju.”

Nelson podsumowuje: “mimo pozorów nowoczesności, ruchowi ekologicznemu bliżej jest do anachronicznych form fundamentalizmu religijnego.”

TAJNA NAUKA

Jeśli byłyby to jedyne zagrożenia nauki - głównej podpory gospodarki intelektualnej - nasza troska i tak byłaby w pełni uzasadniona. Ale właśnie zanoszą się na kolejny, daleko groźniejszy atak, który każdemu wrogowi nauki w społeczeństwie może dać do ręki śmiertelność. Atak ten również nie jest skierowany przeciwko metodzie naukowej, ale przeciwko dwóm elementom etyki z nią związanej: przeciw koncepcji, że każda wiedza naukowa powinna być ogólnie dostępna oraz że naukowcom wolno badać wszystko.

Swobodne rozpowszechnianie wyników badań naukowych jest zawzięcie krytykowane zarówno przez świat biznesu, jak i przez rząd. Coraz więcej badań naukowych finansowanych jest lub prowadzonych przez korporacje, które z ważnych względów handlowych prześcigają się w patentowaniu swych odkryć lub chowaniu ich do szuflady. Jednocześnie rządy, w reakcji na faktyczne zagrożenie terrorystyczne, domagają się by ze względów bezpieczeństwa utajniać coraz więcej odkryć naukowych.

Wielkimi krokami nadchodzi epoka “Super-Potężnej Jednostki” - terrorysty, zbrodniarza czy szaleńca, uzbrojonego w broń masowego rażenia. Wobec tego, że panuje powszechna zgoda co do tego, by w Internecie nie zamieszczać instrukcji konstruowania ładunków wybuchowych czy obchodzenia się z materiałami toksycznymi, trwają gorące debaty na temat tego, w jak wielkiej części należy usuwać wiedzę z publicznego widoku.

Z jednej strony, w świetle zagrożenia terroryzmem, być może niezbędne jest rejestrowanie laboratoriów oraz monitorowanie prowadzonych badań, jak uważa noblista David Baltimore, szef California Institute of Technology. Z drugiej strony jednak, jak powiada, “najniebezpieczniejszą rzeczą jest tajność”, zauważając, że broń biologiczna została wyprodukowana w całkowitej tajemnicy.

Baltimore przewodniczy okrągłemu stołowi Akademii Nauk USA (U.S. National Academy of Science), poświęconemu zagadnieniom wolności wymiany informacji naukowej. “Bardzo trudno jest precyzyjnie określić, kiedy wiedza naukowa może być niebezpieczna i kiedy należy ją ocenzurować.” Na przykład “rozdzielenie między ofensywnym i defensywnym zastosowaniem czynników biologicznych jest jedynie kwestią tego, w jaki sposób posługujemy się informacją, a nie kwestią samej informacji. Musimy wiedzieć, jak bronić się przed bioterroryzmem, ale wiedząc to, wiemy także, jak stosować bioterroryzm.”

Zapobieganie ujawnianiu nowych odkryć naukowych to jedno, ale o wiele bardziej niepokojące są propozycje zakazu badań w zakresie całych, obszernych dziedzin wiedzy. Niektóre z tych pomysłów

są formułowane nawet przez samych naukowców, kreślących - na poparcie swoich tez - apokaliptyczne scenariusze.

Bill Joy, szef naukowy firmy Sun Microsystems, wywołał wielkie zamieszanie, kiedy zaapelował o "porzucenie" badań, które jego zdaniem mogłyby doprowadzić do zdominowania gatunku ludzkiego przez niekontrolowaną "destruktywną auto-replikację" technologii, możliwą dziś dzięki postępom genetyki, robotyki i nanotechnologii. Joy przewiduje, że do 2030 roku komputery mogą przewyższyć ludzi pod względem inteligencji - mogą być na tyle sprytne, by nauczyć się samodzielnej reprodukcji i w praktyce przejąć panowanie nad światem.

Jeszcze bardziej przerażające scenariusze formułuje brytyjski astronom Martin Rees. W swej książce *Our Final Hour (Godzina nasza ostatnia)* Rees opisuje różne katastroficzne eksperymenty omawiane aktualnie przez fizyków, które - wedle jego przekonania - mogłyby, gdyby coś się nie udało, zniszczyć nie tylko ludzkość, ale całą Ziemię i kosmos. Inni naukowcy uważają to za czysty nonsens.

Rees jednak twierdzi, że na razie nie wiemy wystarczająco dużo, by w ogóle ocenić ogrom ryzyka! Dlatego proponuje różne działania, które powinny poprzedzać niebezpieczne badania w każdej dyscyplinie naukowej, nie tylko w fizyce. Astronom powołuje się przy tym na delikatną sugestię fizyka Francesco Calogero, aby zgromadzić dwa zespoły naukowców: zespół "czerwony" miałby przedstawić powody, z których tego rodzaju eksperymenty rzeczywiście byłyby niebezpieczne, a zespół "niebieski" miałby wykazać, że jednak warto je prowadzić. Rees chciałby też zaangażować przedstawicieli społecznych w proces wydawania zgody na tego rodzaju eksperymenty.

Na razie jednak, jak wskazuje Rees, nawet próby uniknięcia ryzyka są ryzykowne, wobec czego "najostrzejsza polityka prewencyjna (...) całkiem sparaliżowałaby naukę." A wraz z nią, możemy dodać, gospodarkę intelektualną przyszłości.

Samokrytyka należy do rdzenia nauki. Nauka i naukowcy nigdy nie powinni wynosić się ponad krytykę społeczną. Nauka z istoty rzeczy jest działalnością społeczną, uzależnioną - w stopniu, którego wielu naukowców nie docenia - od idei, epistemologii i milczących założeń środowiska kulturowego. Nie można zostawiać samym naukowcom kwestii nadzoru nad nauką, ponieważ, jak wszyscy inni, oni także posiadają swe własne interesy.

Jednakże obserwujemy dziś nie tyle serię różnych niepowiązanych ze sobą ataków na naukę, ale wspólne przekonanie, że należy ograniczyć wpływy nauki, pozbawić ją szacunku, jaki zdobyła - mówiąc krótko, obniżyć jej wartość jako kluczowego mechanizmu weryfikacji prawdy.

Bitwa o prawdę nie toczy się jedynie na polu nauki. Różne grupy społeczne z różnych powodów podejmują wysiłki, by zawładnąć naszymi umysłami poprzez przesuwanie filtrów prawdy, za pomocą których postrzegamy świat - testów oddzielających prawdę od fałszu.

Jest to bitwa bez imienia. Wyrwie jednak dogłębny wpływ na rewolucyjny system bogactwa zajmujący miejsce systemu epoki przemysłowej.

Rozdział 21

Zarządcy prawdy

W filmie *The Manchurian Candidate* żołnierz amerykański dostaje się do niewoli i poddany zostaje praniu mózgu, które sprawia, że przeistacza się w mordercę. Ten sam temat - pranie mózgu jednostki - stanowi podstawę wszystkich badań od zachowań konsumenckich i sekciarskich po zamachowców-samobójców.

Pranie mózgu będzie o wiele bardziej skuteczne, jeśli uda się nam zmienić to, dla czego dana osoba myśli tak, jak myśli, niż to, co konkretnie myśli. Oznacza to, że zmiana filtrów stosowanych przez człowieka przesądzi o tym, co będzie uważał za prawdziwe. Odnosi się to nie tylko do indywidualnego prania mózgu, ale także do społecznego i kulturalnego.

Obszerny jest dorobek badawczy poświęcony mechanizmom, za pomocą których reklamodawcy i media usiłują nami manipulować. Dość pokaźna jest też literatura opisująca, w jaki sposób elity dominujące manipulowały ludnością w podbitych koloniach - psychologicznie i kulturalnie - by utrwalić jej bierność polityczną. Tymczasem o wiele rzadziej dostrzega się i bada sposoby oddziaływania na całe gospodarki i kultury poprzez zmiany w definicji prawdy.

Jedną z przyczyn tego deficytu refleksji jest fakt, że zmiany te następują długookresowo i często nie są - na poziomie indywidualnym - uświadamiane. Możemy jednak stwierdzić, że każdej rewolucyjnej fali towarzyszyły istotne zmiany filtrów stosowanych przez ludzi do oddzielenia prawdy od fałszu oraz że zmiany te wpłynęły na ilość i rodzaj wytwarzanego bogactwa.

W epoce Oświecenia i pierwszych latach rewolucji przemysłowej na Zachodzie ludzie przestali wierzyć w boskie prawa królów i zaczęli obalać swych monarchów. Następnie zaczęła się kształtować demokracja, polegająca na głosowaniu i władzy większości, a wraz z nią pojawił się nowy filtr prawdy - powszechny konsensus; o wiele ważniejszy niż jakkolwiek inny w przeszłości, i to nie tylko w polityce. Wprowadzenie powszechnego szkolnictwa, a zatem przekazywanie młodemu pokoleniu silnie zuniformizowanego przekazu jeszcze bardziej wzmocniło pozycję konsensusu jako próby prawdy.

Wraz ze stopniową poprawą standardów życia i upowszechnieniem zamożności industrializacja doprowadziła do powstania nowych, pożytecznych produktów, od zegarków i maszyn do szycia po samochody. Ludzie zaczęli cenić to, co nowe, a nie tylko trwałe zdobycze przeszłości. Wierzenia niekoniecznie musiały być prawdziwe tylko dlatego, że mają prastare korzenie. A zatem można je podważać.

Najważniejszą spośród tych zmian była pewna dewaluacja autorytetów i władz religijnych, do jakiej doszło po powstaniu nauki. Ludzie nie od razu i nie całkowicie przestali ufać autorytetom kościelnym, ale coraz częściej było tak, że gdzie indziej poszukiwali odpowiedzi na nowe problemy. Ksiądz czy duchowny przestał już być jedynym czy choćby najlepszym źródłem wiedzy.

Zmiany te nie dokonały się bezkonfliktowo.

Była to bitwa, w której stopniowo szala zwycięstwa przechylała się coraz bardziej na stronę nauki, i to nie poprzez wyrugowanie autorytetu czysto religijnego, ale poprzez obalenie twierdzenia, jakoby religia była jedynym źródłem uniwersalnej prawdy ostatecznej. Ta zmiana - zawężanie zasięgu autorytetu religii i poszerzanie autorytetu wiedzy - przyczyniła się do powstania i dominacji sekularyzmu wszędzie tam, gdzie Druga Fala przyniosła gospodarkę przemysłową, społeczeństwo i kulturę.

PRZEKONAĆ SZEFA

Dziś po raz kolejny toczy się subtelna bitwa o prawdę. W miarę zagłębiania się w XXI wiek i rozwijania gospodarki opartej na tych ideach, kulturze i wiedzy, które mają związek z bogactwem i w coraz większej liczbie krajów, kwestia "Dlaczego wierzymy w to, w co wierzymy?" nabiera coraz bardziej kluczowego znaczenia.

Każda kultura zawsze posiada swój profil prawdy, czyli wagę, jaką ludzie przykładają do poszczególnych filtrów prawdy. Zmiany pomiędzy tymi wagami wpływają na podejmowanie decyzji na każdym szczeblu większości życia prywatnego, politycznego i biznesowego. Spróbujmy namówić nastawionego na konsensus prezesa, aby nie poszukiwał synergii, kiedy widzi, że konkurencja depta mu po piętach. Albo spróbujmy sprzedać nowy pomysł, nieważne jak dobry, szefowi uznającemu tylko autorytety, jeśli nie mamy stopnia naukowego czy dyplomu, który by z nas taki autorytet uczynił.

Rewolucyjna gospodarka sprawi, że wiele nowych produktów i usług przybierze silnie zindywidualizowaną formę, a zatem przyniesie większą różnorodność. Podobnie rzecz będzie się miała z pracą: coraz większej jej różnorodności towarzyszyć będą coraz to bardziej indywidualne harmonogramy w coraz to bardziej rozrzuconych lokalizacjach. Jednocześnie zauważymy rosnącą różnorodność modeli rodziny, co doprowadzi do tego, że coraz więcej dzieci o silnych indywidualnościach, o zróżnicowanych przeżyciach z okresu dorastania - coraz mniej będzie miało ze sobą wspólnego.

Zmiany tego typu wskazują na dalsze odmasowienie masowego społeczeństwa industrialnego - coraz trudniej będzie bowiem elitom, czy komukolwiek w ogóle, budować konsensus inaczej niż poprzez dekryty lub przymus. W tych warunkach przekonanie, że konsensus stanowić może probierze prawdy, najprawdopodobniej samo straci część swej zasadności.

Zastanówmy się wobec tego, czy wiek lub trwałość mogą nadal pełnić rolę filtrów prawdy - czy zasadne jest przekonanie, że idea, która przetrwała setki i tysiące lat, musi być słuszna? Niejednemu z nas zakręci się łezka w oku wobec tak znacznego przyspieszenia zmian, co niejednego propagandzista będzie chciał wykorzystać dla swoich celów. Inwazja nowości w gospodarce jest jednak nieunikniona i przynajmniej obecne pokolenie chce nie tylko tego, co nowe, ale tego, co jest najnowsze, z ostatniej chwili!

We wcześniejszych raczej niezmiennych społeczeństwach stare było poważane nie dlatego - jak powiadają niektórzy - że ludzie znali przeszłość, ale dlatego, że znali przyszłość, która okazywała się potem czymś niewiele więcej niż tylko powtórzeniem przeszłości.

Dzisiaj, wzięwszy pod uwagę tempo zmian, znaczna ilość dawnej wiedzy to starowiedza, która raczej nie pomoże młodemu pokoleniu w życiu. I młodzi ludzie tak też ją traktują. Oparta na tradycyjnej wiedzy metoda testowania prawdy może nawet zdawać egzamin, ale lepiej na to nie liczyć.

Zatem co z autorytetami? Czy przyszłe pokolenia pokornie ugną karku przed autorytetami? A jeśli tak, to jakimi? Dzisiaj wszędzie tam, gdzie rozprzestrzenia się gospodarka oparta na wiedzy, autorytety na niej zbudowane są podważane tak mocno, jak nigdy jeszcze dotąd.

Pacjenci kwestionują dziś autorytet lekarza, a czasami wręcz przeciwstawiają się zaleceniom medycznym. Autorzy blogów rzucają wyzwanie zawodowym dziennikarzom. Amatorzy zastępują profesjonalistów - i to nie tylko w programach telewizyjnych. Sławy startują w wyborach i nierzadko pokonują zawodowych polityków. A amatorzy wyposażeni w komputery mogą dziś reżyserować, produkować i grać w swych własnych filmach.

Jednocześnie długa lista niepowodzeń wielu instytucji, katastrofy i skandale korporacyjne, a także nadużycia seksualne w Kościele katolickim sprawiają, że podupada zaufanie do utrwalonych autorytetów - i do prawd, które mają uwiarygodniać.

A zatem atak na autorytety naukowe trzeba postrzegać właśnie w świetle tej ogólnej rewolty przeciwko autorytetom epoki industrialnej. Różnica polega na tym, że nauka wciąż jest najpotężniejszym narzędziem umysłowym, jakim możemy posłużyć się dla zwiększenia prosperity i dobrobytu.

Nauka jest kluczem do projektowania lepszych, bardziej inteligentnych i bezpieczniejszych technologii, do identyfikowania i łagodzenia kryzysów ekologicznych oraz do powstrzymywania epidemii, na przykład takich jak SARS. Nauka będzie nam niezbędna do tego, byśmy byli w stanie osłabić naszą zależność od paliw kopalnych, zapewnić światu większe bezpieczeństwo, rozwijać medycynę oraz byśmy mogli łagodzić różnice w zamożności między miastem a wsią oraz pomiędzy poszczególnymi państwami.

Problemy tego typu będziemy rozwiązywać nie decyzjami opartymi na konsensusie w stylu lemingów czy na prawdzie objawionej albo ślepej akceptacji autorytetów, ale na prawdzie zaobserwowanej, zweryfikowanej eksperymentem oraz swobodnym, nieustannym podważaniem i rewidowaniem oraz zapotrzebowaniem na dodatkową wiedzę. Mówiąc krótko, przyszłość rewolucyjnego bogactwa zależeć będzie coraz bardziej od tego, jaki pożytek uczynimy z nauki i na ile będziemy ją szanować.

Nauka i podstawowa metoda stanowiąca jej podwaliny zmieni się wówczas, gdy uprawiającym ją przyjdzie zmierzyć się z nowymi, dziwnymi i niełatwymi problemami, jak również poważnymi zagadnieniami natury etycznej w genetyce, biologii i innych dziedzinach, w miarę jak naukowcy sięgać będą w głąb - poza nanonaukę, docierając do coraz mniejszych zjawisk, a zarazem do coraz

większych - w rozszerzającym się wszechświecie. Ci, którym marzy się oślepienie nauki lub odebranie jej prawa głosu, muszą wiedzieć, że to nie tylko zmniejszyłoby bogactwo jutra i pośrednio spowolniło rugowanie ubóstwa, ale zafundowałoby ludzkości powrót do fizycznej i umysłowej nędzy Ciemnych Wieków.

A przecież po Oświeceniu niekoniecznie musi nastąpić zmierzch. Nie możemy do tego dopuścić.

Rozdział 22

CODA: Konwergencja

Przeszłość odpywa od nas w coraz większym tempie. Kiedy spojrzymy wstecz na, powiedzmy, drugą połowę XX wieku, zdamy sobie sprawę, że wiele wydarzeń, które przesądziły o obliczu tego stulecia, już tak mocno nie chwyta nas za serce (ani za gardło). Generacji, która dziś przejmuje władzę, wydarzenia takie, jak lądowanie człowieka na powierzchni Księżyca, zamach na Johna F. Kennedy'ego, wojna w Wietnamie, festiwal w Woodstock, rewolucja kulturalna w Chinach, wydają się coraz bardziej odległe i nie wzbudzające namiętności.

Jednakże to, co wydarzy się za naszego życia, będzie w dużej mierze polegało na adaptowaniu się do procesu, który rozpoczął się przed półwieczem, i dalszym jego rozwijaniu - najbardziej rewolucyjnej fali zmian w wytwarzaniu bogactwa, przynajmniej od XVIII wieku.

Zatrzymajmy się zatem na chwilę, by zebrać w jedną całość główne tematy naszkicowane na poprzednich stronach.

Po pierwsze, ta rewolucja nie jest jedynie sprawą technologii, zmian na giełdach, inflacji lub deflacji, ale również dogłębnych zmian społecznych, kulturalnych, politycznych i geopolitycznych. Jeśli nie zdołamy dostrzec powiązań między nimi a gospodarką, doprowadzi to nas do poważnego niedoszacowania nadchodzących wyzwań.

Po drugie, podczas gdy media i codzienne rozmowy na temat biznesu przez cały czas odwołują się do poprawy lub pogarszania się wskaźników "fundamentalnych" - my sugerujemy, że lepsze i gorsze wyniki to w większości sztuczne reakcje na znacznie ważniejsze przesunięcia "głębokich fundamentów" - czyli tych czynników i sił, które rządzą całą aktywnością gospodarczą od czasów, gdy nasi pradziadowie byli nomadami, zbieraczami i myśliwymi.

Ekonomiści od dawna badają te same wartości podstawowe - takie zjawiska, jak praca, podział pracy, wymiana i dystrybucja wypracowanych nadwyżek. Wypełnili całe biblioteki wynikami badań technologii, energii i środowiska naturalnego. Guru biznesowi, korzystając z wyników tych badań, prześcigają się w udzielaniu rad na każdy temat - od zarządzania zasobami ludzkimi po organizację sieciową, insourcowanie i outsourcowanie, przywództwo i strategię.

Czyż można dawać dobre rady i proponować strategię, jeśli ignoruje się trzy kluczowe siły napędzające obecną rewolucję bogactwa - radykalne zmiany w naszych odniesieniach do czasu, przestrzeni i, przede wszystkim, wiedzy? Staraliśmy się wykazać, że możemy się przygotować do tego, co przyniesie jutro, jedynie poprzez uznanie, że są to absolutnie najważniejsze siły napędowe bogactwa.

W ŻÓŁWIM TEMPIE

Z tego powodu przyjrzelśmy się bardzo dokładnie każdemu z tych trzech fundamentów i jego oddziaływaniu na bogactwo.

Spójrzmy, na przykład, na skutki desynchronizacji. Wiemy już, że firmy zmuszane są niejednokrotnie, wręcz bezustannie, do przesunięć produktów i związków z innymi podmiotami. Oczekiwania klientów, względy finansowe i siły rynkowe zmieniają się w coraz to szybszym tempie, ale każde z nich - w swoim. Tym samym wywierają krzyżujące się z sobą i destabilizujące naciski na firmy, podczas gdy ich menadżerowie usiłują zdążyć ze wszystkim na czas. W odpowiedzi na desynchronizację wyrosła nowa, wielka branża synchronizacyjna mająca pomagać firmom radzić sobie z kolizyjnymi szybkościami.

Jednocześnie zacofany, wlokący się w żółtim tempie sektor publiczny, sam mocno zdesynchronizowany, nakłada na firmy wielki "podatek od czasu" opóźniając ich działanie poprzez wydawanie mocno spóźnionych wyroków sądowych, powolne rozpatrywanie wniosków, opieszale wdrażanie przepisów regulacyjnych, wydawanie zezwoleń i na tysiąc innych sposobów. Mówiąc krótko, część systemu z całej siły dociska na pedał gazu, podczas gdy drugi jego element wali po hamulcach.

Najbardziej frustrująca, jak zauważyliśmy wcześniej, jest sprzeczność pomiędzy szybko zmieniającymi się wymaganiami zaawansowanej, przyśpieszającej gospodarki a paraliżem szkolnictwa.

Przekonaliśmy się też, że w pewnym stopniu desynchronizacja jest podstawą konkurencji i innowacyjności. Ale z jednakowo silnym przekonaniem możemy stwierdzić, że nadmierna desynchronizacja może wtrącić firmy, branże, a nawet całe gospodarki w odmęty chaosu. W rzeczy samej, wielkie wstrząsy na rynku akcji można traktować jak desperackie próby autoresynchronizacji systemu bogactwa.

Czas stanowi tu jedynie część problemu. Aby zrozumieć nadchodzące zmiany, należy spojrzeć na kumulatywny skutek konfliktów czasowych w kontekście równie zasadniczych przeobrażeń krajobrazu przestrzennego. Tak oto cały świat wstrzymuje dziś oddech patrząc na gigantyczną przeprowadzkę bogactwa i wytwarzania bogactwa do krajów należących do niedawna do "trzeciego świata" z Chinami i Indiami na czele. Bez wątplenia są to najszybsze relokacje w dziejach i - być może - stanowią zwieńczenie wielkiego cyklu przemieszczania się bogactwa, który rozpoczął się około pięćset lat temu.

Co więcej, wskazaliśmy, że zamiast pytać, czy globalizacja będzie trwać, dostrześliśmy nadchodzące rozszczepienie: *d e g l o b a l i z a c j ę* na poziomie gospodarczym i *g l o b a l i z a c j ę* kampanii przeciwko takim problemom, jak zanieczyszczenie powietrza atmosferycznego, terroryzm, narkotyki, niewolnictwo seksualne i ludobójstwo. Tu również jednocześnie naciska się zarówno pedał gazu, jak hamulca.

Rezultatem tego zderzenia będzie przyśpieszone przemieszczenie wytwarzania bogactwa światowego do nowych, modnych miejsc o podwyższonej wartości dodanej. Proces ten wytworzy też nowe obszary nędzy.

Ta najbardziej drastyczna przemiana przestrzenna ma niewiele wspólnego z ziemskimi troskami. Mimo że miliony ludzi po prostu niedbale machnie na to ręką, w istocie jednak stoimy dzisiaj u progu

wielkiego skoku ludzkości w przestrzeń kosmiczną. Dla przyszłych historyków badających dzieje XXI wieku jednym z absolutnie najważniejszych wydarzeń gospodarczych może okazać się kolonizacja przestrzeni i wytwarzanie bogactwa poza naszą macierzystą planetą.

Żadna z tych zmian nie dokona się jednak bez jeszcze potężniejszych transformacji w ramach głębokich fundamentów wiedzy i naszych relacji wobec niej.

Podczas gdy łatwo będzie można rozpoznać zmiany w sposobie posługiwania się przez nas czasem i przestrzenią, o wiele trudniej przyjdzie nam uchwycić dzisiejszą rewolucję w zakresie wiedzy, która jest wszak najgłębszym fundamentem określającym nasze czasy. Zmiany te są, z istoty rzeczy, niematerialne, niewidoczne, abstrakcyjne, epistemologiczne i z pozoru odległe od naszego codziennego życia. Jednak bez poważnego potraktowania nowej roli wiedzy nie można podejmować prób przepowiadania przyszłości bogactwa.

A zatem w kilku rozdziałach przedstawiłm świadomie uproszczony elementarz zakresu, istoty i roli wiedzy, jako centralnego zasobu gospodarek rozwiniętych. Sama analiza tu jednak nie wystarczy, jeśli nie dokonamy również i syntezy: musimy bowiem dostrzec interakcję pomiędzy tymi fundamentalnymi przemianami.

Kiedy zmienimy nasze odniesienia wobec czasu, na przykład poprzez przyśpieszenie, w sposób nieunikniony sprawiamy, że część dotychczasowej naszej wiedzy staje się bezużyteczna. A zatem zwiększamy balast starowiedzy, jaki za sobą wlecemy.

NIEGDYŚ UPRAWNIONE ANALOGIE

Przyśpieszenie nie tylko przemienia fakty w starowiedzę, ale przytępia też kluczowe narzędzia, jakimi posługujemy się w trakcie myślenia. Możemy to pojąć na przykładzie analogii. Otóż człowiek nie jest w stanie myśleć bez odwoływania się do analogii. Zasadą działania tego “myślowego narzędzia” jest rozpoznawanie podobieństw pomiędzy dwójgiem lub większą liczbą zjawisk, a następnie wyciąganie wniosków tak, aby na podstawie jednego zjawiska orzekać o innym.

Lekarze, na przykład, często mawiają “serce jest jak pompa”, a następnie opisują jego “zawory” i inne części składowe, posługując się przy tym terminologią mechaniczną. Taki model pomaga im wyobrazić sobie serce i je leczyć. Często proces ten daje znakomite rezultaty.

Skoro już zidentyfikujemy te podobieństwa, na ogół przyjmujemy założenie, że mają one charakter trwały. W obszarach, w których zmiany dokonują się powolnie, podobieństwa te mogą mieć długotrwały charakter. Jednak w dzisiejszym, superzmiennym otoczeniu rzeczy niegdyś do siebie podobne także się zmieniają i często stają się wręcz znacząco niepodobne do siebie, ale mimo to niejednokrotnie w oparciu o te nieaktualne analogie stawia się fałszywe i mylne wnioski. Aby sobie poradzić z tym, co jest dzisiaj, potrzebna jest nam nie tylko nowa wiedza, lecz także nowe sposoby myślenia o niej.

Wielu ekonomistów, świadomie czy nie, silnie przywiązało się do przekonania, że ekonomia podobna jest do fizyki. Pogląd taki zrodził się przed wiekami, w czasach, gdy w tej dyscyplinie nauki dominowały Newtonowskie poglądy na równowagę, przyczynowość i determinizm. Od tego

jednakże czasu fizycy diametralnie zrewidowali swe poglądy na ten temat. Wielu ekonomistów zaś wciąż opiera swe badania na pierwotnych założeniach Newtonowskich. Wielu z nich nauczone myślenia w kategoriach przemysłowych, dlatego z trudem przychodzi im uporanie się z dziwną naturą wiedzy - z faktem, że jest zasobem nierywalizacyjnym i niewyczerpanym, że ma charakter niematerialny, a zatem trudno ją pomierzyć.

Dopiero kiedy zestawimy dzisiejsze niepowodzenia ekonomii z nadchodzącym kryzysem nauki, zaczynamy doceniać ich prawdziwe znaczenie. A stanie się tak dlatego, że gospodarka i nauka razem wzięwszy wywierają najsilniejszy, a przynajmniej najbardziej bezpośredni wpływ na to, jak wytwarzamy bogactwo. I obie czeka transformacja.

MAPA POZNAWALNEGO

Te kryzysy stanowią jednak zaledwie okruchy o wiele większego dramatu intelektualnego. Z racji swej ważności, ekonomia i nauka są jedynie współdziałającymi częściami daleko obszerniejszego systemu wiedzy na świecie. A system ten przeżywa dziejowy wstrząs.

Rozdzielamy dziś wiedzę, niczym włos na czworo, burząc granice dyscyplin naukowych ustalone w erze przemysłowej i przebudowując głęboką strukturę naszego systemu wiedzy. Wiedza bez organizacji staje się niedostępna i pozbawiona kontekstu. Dlatego naukowcy w minionych wiekach podzielili wiedzę na odrębne kategorie.

Kiedy Europejczycy w XII wieku przełożyli dzieła arabskiego filozofa Abu Nasr al-Farabiego (870-950 n.e.), odkryli coś, co nazwano "mapą poznawalnego" - systematyczną, hierarchiczną kategoryzacją wiedzy. Następnie, w okresie średniowiecza, uniwersytety w Europie Zachodniej w inny sposób kreśliły mapę wiedzy. Każda wykształcona osoba powinna opanować *triuuium* (składające się z gramatyki, literatury, poezji i logiki Arystotelesowskiej) oraz *quadriuium* (astronomię, arytmetykę, geometrię i muzykę).

Dziś, wobec tego, że wiedza rozbita jest na coraz bardziej wyspecjalizowane podkategorie i podspecjalności, uniwersytety wciąż oferują kształcenie według, zupełnie jak u al-Farabiego, pięknie skategoryzowanych struktur hierarchicznych. Na przykład nauka zarówno pod względem statusu akademickiego, jak i środków budżetowych zazwyczaj wyodrębnia nauki społeczne uważane za "miękkie". Fizyka aż do niedawna wieńczyła piramidę nauki, ale ostatnio jej miejsce na szczycie coraz częściej zajmuje biologia. Natomiast wśród wszystkich nauk społecznych naczelne miejsce przysługuje ekonomii, ze względu na to, że jest silnie zmatematyzowana, a zatem jest najbardziej "ściśła" (lub tylko taką udaje). Strukturom tym grozi jednak katastrofa - mogą zawalić się pod własnym ciężarem.

Coraz więcej zawodów wymaga dziś wiedzy interdyscyplinarnej, przez co coraz silniej odczuwamy potrzebę posiadania wykształcenia mieszanego - "astrobiologicznego", "biofizycznego", z zakresu "inżynierii środowiskowej", "prawno-księgowego". Niektóre zadania wymagają wiedzy z zakresu trzech dyscyplin, czyli np. "neuropsychofarmakologii."

Raczej nie ma wątpliwości, że wnet zabraknie nam określeń, jeśli w nazwach zawodów będziemy chcieli łączyć wszystkie dyscypliny. Wszystkie te trwałe, z pozoru, dyscypliny i hierarchie mogą zniknąć, jeśli przeorganizujemy wiedzę, nadając jej ad hoc konfiguracje niehierarchiczne, określane naturą rozpatrywanego problemu. Wówczas mapa poznawalnego stanie się kalejdoskopem nieustannie zmieniających się wzorów.

Samo tylko to jest nie lada wstrząsem wewnątrz systemu wiedzy i odmieni organizację pracy, zawodów, uniwersytetów, szpitali i w ogóle wszelkiej biurokracji. Zmianom tym opierać się będą beneficjenci starych sposobów organizacji coraz bardziej wyspecjalizowanej wiedzy - etatowi profesorowie, biurokraci, ekonomiści i inni. Nic dziwnego: wąska specjalizacja na pewno sownie się opłaca. Ale także zabija niespodzianki i wyobraźnię, wychowuje naukowców obawiających się wykroczenia (i myślenia) poza wyznaczony obszar specjalności dyscyplinarnej.

W przeciwieństwie do niej wyobraźnia i kreatywność karmią się niepowiązanymi dotychczas ideami, koncepcjami, kategoriami danych, informacją czy wiedzą zestawianymi na nowe, świeże sposoby. Łącząc znacznie zróżnicowane strumienie osobistych doświadczeń i know-how, pracownicy intelektualni mają spore szanse na to, by w swym myśleniu i przy podejmowaniu decyzji wykorzystały tymczasowe, całkowicie nowe, niekonwencjonalne analogie. Jak mieliśmy okazję przekonać się, rekompensatą za to, co prawdopodobnie utracimy wraz z wiedzą opartą na długofalowej, coraz głębszej specjalizacji, w tym nowym systemie może być większa kreatywność i wyobraźnia.

Nowe, potężne technologie pomogą nam zaszczerpić pionierskie, tymczasowe dyscypliny do świeżego zestawiania najróżniejszych, elastycznych kombinacji modułów i modeli. To się już dokonuje! Zestawiamy z sobą coraz większe i coraz bardziej zróżnicowane bazy danych w poszukiwaniu dotychczas niezauważonych wzorów i związków. Takie zestawianie jest czymś więcej niż tylko poręcznym narzędziem pozwalającym dowiedzieć się, co ma wspólnego z huraganami - zwiększona sprzedaż piwa, pieluszek czy pieczywa w supermarketach.

Taka obróbka danych czasami prowadzi do zachwycających odkryć w stylu "nigdy bym na to nie wpadł." Urzędnicy wydziału zdrowia stanu Wirginia posłużyli się tą metodą, aby wysledzić pochodzenie salmonelli w owocach pakowanych w małej hali gdzieś w Brazylii. Jak powiedział przedstawiciel U.S. Center for Disease Control and Prevention (Amerykańskiego Ośrodka Kontroli i Prewencji Chorób): "Nigdy dotąd nie stwierdziliśmy zatrucia za pośrednictwem owoców mango." Jeśli kreatywność obejmuje nowe sposoby zestawiania faktów, idei lub poglądów do tej pory uznawanych za całkiem niepowiązane, to obróbka i zestawianie stanowiąc musi fundamentalną część procesu innowacji.

Kiedy patrzymy na ogólny obraz zmian, a następnie dodajemy szczegółowe dane, informacje i wiedzę w postaci mniejszych, bardziej ziarnistych kawałków - sprawiając, że tracą swój trwały charakter, odmiennie je klasyfikując, mnożąc scenariusze "a co, jeśli...", w coraz większym tempie wprowadzając nowe modele i działając na coraz wyższych poziomach abstrakcji - staje się jasne, że nie jest to zwyczajne gromadzenie większej ilości wiedzy.

A jeśli do tego dodamy kryzys refleksji ekonomicznej i nauki, nie można mieć wątpliwości, że bierzemy udział w najszybszej i najbardziej dogłębnej przebudowie wiedzy w dziejach, której skutki będą sięgały daleko poza ekonomię, obejmą bowiem także kulturę, religię, politykę i życie społeczne. Jednocześnie silniej niż kiedykolwiek do tej pory uzależniamy bogactwo zarówno pojedynczych osób, jak i całych narodów od powiększających się wciąż na całym świecie zasobów wiedzy.

Nie wiemy, jakimi skrótami czy krętymi ścieżkami wędrować będzie wiedza, jako system żywy i rozszerzający się, ani dokąd nas w ostatecznym rachunku doprowadzi.

Nawet kiedy połączymy wszystkie zmiany naszych relacji wobec czasu, przestrzeni, wiedzy - a także innych głębokich fundamentów - dostrzeżemy zaledwie zarysy (jakżeż wspaniałe) dzisiejszej rewolucji światowej. Aby spojrzeć w głąb, musimy przyjrzeć się nadzwyczajnym zmianom, jakie są jeszcze przed nami, nawet nie tyle w widocznej gospodarce, ile w "ukrytej połowie" całego kształtującego się systemu bogactwa.

Jeśli nie postawimy jeszcze jednego kroku wyjaśniającego, my, jako pojedyncze osoby i jako społeczeństwa, podrepczemy w nieodległą przyszłość nieświadomi cudownych możliwości, jakie dzierżymy we własnych dłoniach.

Część VI

Prosumpcja

Rozdział 23

Ukryta połowa

Ponad miliard ludzi, jak się nam często powiada, wydaje na przeżycie poniżej dolara dziennie. Wielu żyje - na krawędzi - za o wiele mniej. Tak naprawdę mnóstwo ludzi żyje w ogóle bez pieniędzy. Nigdy nie wkroczyli do światowego systemu pieniężnego, wiodą życie zupełnie jak nasi przodkowie: w zasadzie konsumując tylko to, co są w stanie samodzielnie wyprodukować. W znacznej części ta najbiedniejsza ludność zrobiłaby niemal wszystko, żeby tylko dostać się do gospodarki pieniężnej.

Aby do niej dotrzeć, ludzie musieli pokonać coś, co można określić mianem "Siedmiu Bram Pieniądza". Wyobraźmy sobie długi korytarz o siedmiu zamkniętych na klucz drzwiach. Umęczony, brudny i wygłodniały tłum napiera na drzwi i rozpaczliwie szarpie klamki. Na każdych drzwiach widnieje krótki, ogólnikowy znak wyjaśniający, co należy zrobić, aby otworzyć drzwi. Analfabeci z przejęciem proszą innych o odczytanie tych objaśnień. Oto one:

Brama Pierwsza: WYTWÓRZ COŚ, CO MOŻNA SPRZEDAĆ. Osiągnij nadwyżkę plonów kukurydzy. Namaluj portret. Wykonaj parę sandałów. Znajdź nabywcę. Wówczas drzwi się otworzą.

Brama Druga: ZNAJDŹ PRACĘ. Pracuj. Otrzymuj w zamian za to pieniądze. Należysz do systemu pieniężnego. A skoro tak, jesteś teraz częścią widzialnej gospodarki.

Brama Trzecia: WEŹ SPADEK. Jeśli rodzice albo wujek Franek zapiszą ci coś, drzwi się otworzą. Wejdiesz do systemu. Być może nigdy nie będziesz musiał już pracować.

Brama Czwarta: OTRZYMAJ PODARUNEK. Ktoś - ktokolwiek - może dać ci pieniądze albo coś, co można sprzedać lub wymienić na pieniądze. W jakiej by to nie było formie, skoro otrzymasz podarunek, zostaniesz wpuszczony do środka.

Brama Piąta: OŻEŃ SIĘ/WYJDŹ ZA MAŹ. (Pierwszy raz lub powtórnie.) Wybierz małżonka, który już przeszedł przez jedną z bram i podzieli się z tobą swoimi pieniędzmi. Wówczas ty także możesz przekroczyć próg.

Brama Szósta: IDŹ NA ZASIŁEK. Pieniądze będą przekazywane z niejakim ociąganiem przez państwo. Kwota może być mizerna, ale proporcjonalnie do niej znajdziesz się wewnątrz systemu pieniężnego.

Brama Siódma: Poza tym zawsze jest jeszcze kradzież, najpopularniejszy środek zaradczy wśród przestępców i najmniej popularny wśród rozpaczliwie biednych. A zatem OKRADNIJ COŚ.

Oczywiście istnieją też pewne odmiany tych sposobów - posagi, łapówki, przypadkowe odkrycia pieniędzy i tym podobne. Ale tych siedem bram to najważniejsze wejścia, przez które ludzkość wchodziła przez wieki do gospodarki pieniężnej.

Dzisiaj całkowity roczny wynik światowej gospodarki pieniężnej - czyli tej, którą wcześniej określiliśmy jako gospodarkę widzialną - wart jest mniej więcej pięćdziesiąt bilionów dolarów. Jak się mówi, jest to całkowita wartość ekonomiczna wytwarzana rokrocznie na naszej planecie.

Jeżeli jednak wszystko, co my, ludzie, produkujemy każdego roku w postaci dóbr, usług i doświadczeń jest warte nie 50 bilionów dolarów, co raczej około 100 bilionów? A jeśli oprócz tych 50 bilionów dolarów jest jeszcze drugie tyle, powiedzmy, “poza oficjalnymi księgami”? Sądzimy, że jest to bardzo prawdopodobne i w kilku kolejnych rozdziałach prowadzić będziemy poszukiwania tych brakujących 50 bilionów. Śledztwo to zaprowadzi nas do hollywoodzkich superkomputerów, muzyki hip-hopowej, zagrożeń biologicznych, piractwa własności intelektualnej i poszukiwania życia w kosmosie.

GOSPODARKA PROSUMENCKA

W przeciwieństwie do siedmiu bram gospodarki pieniężnej, do tej ukrytej, nie księgowanej gospodarki prowadzi tysiąc drzwi. Są one otwarte dla wszystkich - i tych posiadających pieniądze, i pozostałych. Nie stawia się żadnych wymagań, aby przez nie przejść. Wszyscy rodzimy się z odpowiednimi kwalifikacjami.

Tej niewidocznej gospodarki nie należy mylić z podziemiem gospodarczym, z szarą strefą, w której pierze się pieniądze, unika płacenia podatków, w której działają terroryści, dyktatorzy i baronowie karteli narkotykowych. Sam fakt, że szara strefa służy przesyłaniu i ukrywaniu pieniędzy, sprawia, iż należy ona do pieniężnej, a nie do niepieniężnej gospodarki, o której tu jest mowa.

Gospodarcza mapa, którą większość z nas się dzisiaj posługuje i której ufają bardzo mocno liderzy świata biznesu i politycy, stanowi jedynie fragment, detal o wiele obszerniejszej mapy. Okazuje ona tylko tę widzialną gospodarke.

Ale istnieje też gospodarka “ukryta,” w której pojawia się bardzo szeroka działalność gospodarcza nie rejestrowana, nie zmierzona i nie opłacana. Jest to Gospodarka Prosumencka.

Kiedy ludzie produkują towary, usługi i doświadczenia na sprzedaż w gospodarce pieniężnej, nazywamy ich “producentami”, a cały proces - “produkcją”. Niestety, nie istnieje odpowiednia terminologia, przynajmniej w języku angielskim, dla określenia tego, co się odbywa w gospodarce nie księgowanej, nie pieniężnej.

Na potrzeby książki *Trzecia Fala* (1980) ukuliśmy termin “prosument” dla określenia tych, którzy wytwarzają dobra, usługi i doświadczenia na użytek własny albo dla satysfakcji, a nie z przeznaczeniem do sprzedaży czy wymiany. Kiedy zatem jako jednostki czy grupy ludzi zarówno *produkujemy* jak i *konsumujemy* nasz własny urobek, dokonujemy “prosumpcji.”

Kiedy pieczemy ciasto i również je spożywamy, jesteśmy prosumentami. Ale prosumpcja nie jest jedynie działaniem jednostkowym. Częściowym celem pieczenia ciasta może być poczęstowanie nim rodziny, przyjaciół czy sąsiadów bez oczekiwań finansowych lub jakiegokolwiek ekwiwalentu w zamian za nie. Dzisiaj, biorąc pod uwagę kurczenie się świata za sprawą rozwoju transportu, telekomunikacji i informatyki, pojęcie prosumpcji może obejmować także nie zapłaconą pracę, dzięki której wytwarza się wartość, którą dzielimy się z obcymi ludźmi na drugim końcu świata.

Wszyscy bywamy prosumentami, a sektor prosumencki występuje we wszystkich gospodarkach, ponieważ wiele z naszych wyjątkowo osobistych potrzeb i dążeń nie może znaleźć lub nie znajduje

zaspokojenia na rynku, lub też są to potrzeby zbyt kosztowne, lub też, w istocie rzeczy, ponieważ lubimy zachowania prosumenckie albo bardzo ich potrzebujemy.

Skoro tylko odwrócimy uwagę od gospodarki pieniężnej i zaprzestaniemy typowo ekonomicznej paplaniny, dokonujemy zaskakujących odkryć. Otóż po pierwsze, przekonujemy się, że gospodarka prosumencka jest olbrzymia; po drugie, że obejmuje niektóre z najważniejszych rzeczy, jakie robimy, a po trzecie, mimo iż ekonomiści poświęcają jej niewiele uwagi, gospodarka pieniężna o wartości pięćdziesięciu bilionów dolarów, którą monitoruje oficjalna ekonomia, nie przetrwałaby nawet dziesięciu minut bez prosumpcji.

Tradycyjni biznesmeni są święcie przekonani, że "nie ma lunchu za darmo." Większość z nas szczęśliwie mamrocze to zdanie, nawet w trakcie pochłaniania posiłku. Trudno jednak wyobrazić sobie bardziej mylną mantrę. Wyniki prosumpcji stanowią swego rodzaju subsydlum, od którego zależy cały system pieniężny. Produkowanie i prosumowanie są nierozzerwalne.

Większość ludzi, włącznie z większością ekonomistów, bez wahania zgodziłaby się, że to, co robimy jako prosumenci - czy będzie to opieka nad chorym ojcem, czy wolontariat sąsiedzki na naszym osiedlu lub ochotnicza służba w straży ogniowej - posiada wartość społeczną. Ale większość zgodziłaby się także - w takim stopniu, w jakim o tym w ogóle myśli - z powszechnym założeniem, że to, co robimy dla pieniędzy i to, co robimy jako prosumenci, oddzielone jest od siebie Żelazną Kurtyną czy Murem Berlińskim.

W przeciwieństwie do tego, mamy nadzieję wykazać - logicznie, aczkolwiek jedynie opisowo, wobec niedostatku danych ilościowych - że ta kurtyna czy mur w rzeczywistości w ogóle nie istnieje oraz że wielu prosumentów przemieszcza się w tę i z powrotem przez tę kurtynę i że to, co robimy jako prosumenci, silnie oddziałuje na gospodarkę pieniężną, i to na wiele pomijanych często sposobów.

Co więcej, wykażemy, że nie jest to jedynie abstrakcyjne zagadnienie, nad którym mogą snuć swe rozważania ekonomiści. Jest to sprawa bardzo ważna dla rodziców płacących chesne czy podatki, aby w przyszłości wykształcić swoje dzieci. Jest ważna dla specjalistów marketingu i ich szefów, dla agencji reklamowych i inwestorów, dla prezesów firm i inwestujących w przedsięwzięcia typu capital venture¹³, bankowców, lobbystów i ekspertów sporządzających plany strategiczne. Jest szczególnie ważna dla przywódców społecznych i politycznych, którzy chcą nas bezpiecznie wprowadzić w przyszłość.

JEDNA TAKA MAMA NA MILION

Prosumowanie przybiera niezliczone formy, od pisania programów typu shareware czy przewajania lamp po pieczenie ciasteczek na szkolną akcję charytatywną. Może obejmować tropienie węglika, akcję ratowania ofiar trzęsienia ziemi, budowę kościoła czy poszukiwanie śladów

¹³ Capital venture (ang.) - inwestycja dająca szansę na bardzo wysokie zyski, jednak obciążona nadmiernie wysokim ryzykiem. Niektóre instytucje finansowe specjalizują się w wyszukiwaniu możliwości inwestycyjnych tego typu na całym świecie i finansowaniu ich. Bardzo często jest to sposób na finansowanie innowacyjnych i nowatorskich pomysłów i inicjatyw - przyp. tłum.

życia w kosmosie. Można je wykonywać za pomocą młotka i gwoździ lub też gigantycznego superkomputera i Internetu.

Prosumowaniem właśnie zajmuje się Sharon Bates z angielskiego miasta Alvaston: opiekuje się cierpiącym na epilepsję mężem spędzającym cały czas w domu, mimo że sama jest chora na artretyzm. Nikt jej za tę pracę nie płaci pensji, mimo że zgłoszono jej kandydaturę do nagrody "Jedna taka mama na milion." (Opiekuje się także dwójką dzieci.)

Prosumowaniem jest to, co zrobił nasz przyjaciel Enki Tan, kiedy niespodziewanie odwołał nasz wspólny obiad w Kalifornii, aby polecieć do zrujnowanego przez uderzenie tsunami terytorium Aceh w Indonezji, w grudniu 2004 r. Enki, który jest z wykształcenia lekarzem, opatrywał dzieci, operował, walczył o życie ofiar, nie dysponując odpowiednimi instrumentami medycznymi, w niewyobrażalnych warunkach - jako jeden z tysięcy wolontariuszy z dwudziestu ośmiu krajów, którzy pośpieszyli na pomoc ofiarom tej tragicznej katastrofy.

Jest też kanadyjski lekarz Bruce Lampart, wędrujący przez Nigerię czy Sudan i pomagający w zakładaniu szpitali w wioskach pozbawionych elektryczności lub czystej wody pitnej.

Marta Garcia, matka samotnie wychowująca troje dzieci, nie może włączyć się po świecie, ale oprócz płatnej pracy przez sześć godzin dziennie ochotniczo stempluje książki w pobliskiej bibliotece szkolnej oraz pracuje jako sekretarka w stowarzyszeniu sąsiedzkim.

Pracownik banku w Yokosuka w Japonii, Katsuo Sakakibara, co roku pomaga w organizacji rozgrywek sportowych dla osób niepełnosprawnych intelektualnie. A Mariana Pimenta Pinheiro w Belo Horizonte, w Brazylii, mimo zagrożenia przestępczością i przemocą, raz w tygodniu wspina się po wąskiej klatce schodowej na sam szczyt "faveli" - dzielnicy nędzy - żeby uczyć dzieci języka angielskiego i obsługi komputera, przygotowując je w ten sposób do ucieczki z tego padołu nędzy.

Kiedy pocieszamy przyjaciół po stracie dziecka - czynimy to w ramach niewidzialnej gospodarki prosumenckiej. Zbieramy zabawki dla dzieci bezdomnych, wynosimy śmieci, segregujemy odpadki, podwozimy dziecko sąsiadów na plac zabaw, organizujemy chór parafialny i wykonujemy bezpłatnie wiele innych zadań w domu i dzielnicy.

Wiele z tych zbiorowych działań, pisarz i aktywista Hazel Henderson określa mianem "społecznie spajających." Równoważą one równie wartościowe, konkurencyjne działania w obrębie gospodarki płatnej. Jedne i drugie wytwarzają wartość. Wychodząc z tego założenia, japoński minister zdrowia, pracy i spraw socjalnych zauważył w 2005 roku, wedle dziennika "Yomiuri", że praca "to nie tylko płatna praca, ale także praca wolontariuszy na rzecz organizacji non-profit i służb gminnych."

Specjalizujący się w problematyce rodziny, norweski psycholog Stein Ringen z Uniwersytetu w Oxford wyjaśnia: "Kiedy rodzina zasiada do posiłku, jej członkowie cieszą się z owoców wielu czynności wykonywanych na rynku i w domu. Jeśli chodzi o działania rynkowe - korzystają z rolnictwa i rybołówstwa, przetwarzania, pakowania, przechowywania, transportu i handlu detalicznego. Rodzina dokłada do tego robienie zakupów, przygotowywanie składników, gotowanie, nakrywanie do stołu i, następnie, zmywanie naczyń."

Wszystkie te czynności - zazwyczaj nie mierzone - także stanowią działalność produkcyjną, pisze Ringen, "dokładnie w takim samym stopniu, w jakim podobne czynności wykonywane są na rynku." Są bowiem - jednym słowem - prosumpcją, czyli produkcją w gospodarce niepieniężnej. I gdybyśmy musieli wynajmować kogoś i płacić za wykonywanie takich czynności - wysokość rachunku wprawiłaby nas w osłupienie.

TEST NOCNIKOWY

Założenie, że gospodarka pieniężna nie przetrwałaby nawet dziesięciu minut bez wkładu gospodarki prosumenckiej, nie jest znaczną przesadą. Być może jedynie "dziesięć minut" może być nieco przeszacowane, ale istota sprawy jest bezsprzeczna.

Codziennie część siły roboczej przechodzi na emeryturę lub umiera i trzeba ją zastąpić. Szeregi pracowników zasila nowa generacja, podczas gdy stara je opuszcza. Gdyby ten proces miał się kiedykolwiek zakończyć, gospodarka pieniężna musiałaby w którymś momencie zatrzymać się ze zgrzytem (albo z jękiem). Nie byłoby już nikogo, kto mógłby pracować dla pieniędzy. Nastąpiłby kres tego, co marksistowscy ekonomiści nazywali "reprodukcją." Ci, którzy by przetrwali, musieliby powrócić wyłącznie do zaspokajania swych prosumenckich potrzeb, jak niegdyś czynili to nasi przodkowie.

To tłumaczy, dlaczego gospodarka pieniężna zależy tak silnie wyłącznie od najbardziej elementarnych form prosumowania w społeczeństwie: wychowania dzieci. Rodzice (lub ich zastępcy) zawsze byli najważniejszym czynnikiem socjalizacji i wychowania, przygotowującym wszystkie kolejne pokolenia do wtopienia się w istniejący ład społeczny i jego gospodarkę.

Rzadko zdarza się, by pracodawcy zdawali sobie sprawę z tego, jak wiele zawdzięczają rodzicom swoich pracowników. Często zwracaliśmy uwagę menadżerów w przedsiębiorstwach na tę kwestię, zadając im proste pytanie: "Jak wydajna byłaby wasza siła robocza, gdyby ktoś nie nauczył waszych pracowników załatwiania się?" Nazywamy to "testem nocnikowym."

Pracodawcy na ogół w ogóle tego nie doceniają, ale przecież faktycznie ktoś musiał pracowników tego nauczyć. Niemal na pewno mama. Oczywiście rodzice uczą dzieci więcej niż tylko zaspokajania potrzeb fizjologicznych. Poświęcają całe lata - i olbrzymie ilości energii kalorycznej i wysiłku umysłowego - starając się przygotować swą młodzież do długich lat mozołu. Ujmując rzecz szerzej, dają im narzędzia niezbędne do pracy z innymi ludźmi, wśród których szczególnie ważny jest język.

Jak wydajni byliby pracownicy, jeśli nie potrafili komunikować się za pomocą słów? Język jest jedną z tych podstawowych umiejętności człowieka, które również często się lekceważy. Jest ona szczególnie istotna w gospodarce pieniężnej, w dwójnasób zaś - w gospodarce opartej na wiedzy.

Być może jako gatunek jesteśmy predestynowani do uczenia się języka, jednak faktycznie nabywamy niezbędnych umiejętności w domu jako dzieci, słuchając i rozmawiając z członkami rodziny. Naszymi pierwszymi nauczycielami są matki i ojcowie. Są najważniejszymi prosumentami -

bez ich wkładu nie możemy sobie wyobrazić gospodarki producentów działających w gospodarce pieniężnej.

Ujmując rzecz ogólniej: o ile mniej wydajna byłaby gospodarka, jeśliby rodzice nie przekazywali dzieciom kultury rozumianej jako reguły zachowania umożliwiające ludziom wspólną pracę w zespołach, grupach i wspólnotach?

Młodzi ludzie zasilający siłę roboczą zazwyczaj potrzebują dziś o wiele szerszego przygotowania niż ich poprzednicy, którzy pracowali głównie siłą własnych rąk. Pracodawcy nieustannie narzekają na brak odpowiedniego przygotowania siły roboczej. Domagają się lepszego kształcenia w zakresie matematyki i nauk ścisłych, większej liczby standardowych testów. A jednak źródłem głównej słabości rynku pracy nie są jedynie nieodpowiednie umiejętności zawodowe. Jest nim ogólna słabość naszej kultury - niejasnych i autodestrukcyjnych wartości, braku motywacji, słabych umiejętności interpersonalnych, nietrafnych wyobrażeń co do przyszłości. Razem stanowią one podstawę, na której buduje się umiejętności zawodowe wymagane na konkretnym stanowisku. W jakim stopniu osłabiamy wydajność gospodarki pieniężnej, jeśli źle wypełniamy swe rodzicielskie obowiązki?

Któregoś dnia, jeśli gospodarka kiedykolwiek pozyska zdolność autonomicznego działania, bez udziału człowieka, jak się to niekiedy przedstawia w twórczości science fiction, albo jeśli ludzie posiadą tajemnicę nieśmiertelności, rodzicielstwo może okazać się czymś z ekonomicznego punktu widzenia zbędnym. Ale aż do tego czasu produkcja w najgłębszym możliwym wymiarze jest całkowicie zależna od nie opłacanego wysiłku miliardów prosumentów - rodziców.

ILE KOSZTUJE DEZINTEGRACJA?

Jako outsiderzy, my i wielu innych, od kilkudziesięciu lat wciąż na nowo potępiamy ekonomistów za to, że nie potrafią odpowiednio docenić roli, jaką w wytwarzaniu bogactwa odgrywa prosumpcja. Tym samym podążamy pionierskimi śladami ekonomistów tej miary co Gary Becker i Amartya Sen. Jako członkowie środowiska ekonomistów, już bardzo wcześnie nie oszczędziliśmy imponujących intelektualnie wysiłków, by unaocznić swym kolegom znaczenie tej ukrytej gospodarki. W odpowiedzi na te tezy przez kilkadziesiąt lat uprzejmie ich uciszano, aż w końcu przyznano im jakżeż spóźnioną nagrodę Nobla.

Spośród działaczy także i Hazel Henderson, w *Paradigms in Progress* i innych frapujących książkach, Edgar Cahn, w *Time Dollars*, Nona Y. Glazer, w *Women's Paid and Unpaid Labor*, i inni ostro krytykowali klapki, jakie ekonomiści głównego nurtu sami nałożyli sobie na oczy. Wreszcie, co zresztą być może jest tu najważniejsze, niezliczone organizacje pozarządowe w wielu krajach powtarzały te słowa krytyki.

Mimo to, do dziś uczyniono zgoła niewiele dla systematycznego opisanie witalnych powiązań dwukierunkowych łączących gospodarkę pieniężną z jej olbrzymim, nie księgowanym alter ego.

Kiedy prosumenci starają się scalić rodziny, wspólnoty sąsiedzkie i całe społeczeństwa, czynią to jako część zwykłego, codziennego życia, z założenia nie czyniąc jakichkolwiek kalkulacji co do

oddziaływania tych czynności na widzialną gospodarkę narodową. Jednak byłoby rzeczą niezwykle pouczającą, gdyby ekonomiści byli w stanie nam powiedzieć, ile warta jest integracja społeczeństwa - wyrażona w dolarach, jenach, juanach, wonach czy euro. Lub też ile kosztuje społeczna dezintegracja.

A zatem ile warta jest ta nieopłacona praca?

PRODUKT KŁAMLIWY BRUTTO (PKB)

W swej pionierskiej pracy, opublikowanej już w 1965 roku, trzydziesto-czteroletni Gary Becker wskazał, że "czas poza pracą może być obecnie ważniejszy dla dobrobytu gospodarczego, niż czas pracy; mimo to ekonomiści poświęcają temu drugiemu nieporównanie więcej uwagi, niż pierwszemu."

Analizując alokację czasu pomiędzy tymi dwoma parametrami, obliczył wartość czynności pozazawodowych, takich, jak uzyskanie wykształcenia. Wyszacował ich wartość założywszy, że każda godzina poświęcona w klasie szkolnej jest godziną, którą można było zamiast na naukę - poświęcić na płatną pracę, a następnie podsumował utracone zarobki.

Jego praca, o wiele bardziej skomplikowana niż wynikałoby z tego prostego opisu, stanowiła błyskotliwy postęp w teorii ekonomii. Problem przedstawiała za pomocą terminologii matematycznej, którą ekonomiści darzą szacunkiem. A jednak Becker musiał czekać aż 27 lat, do 1992 roku, na nagrodę Nobla - głównie ze względu na tę pracę. Dziś, mimo wielu badań, prosumowanie i nie opłacana praca, szczególnie wykonywana przez kobiety, pozostaje daleko poza głównym przedmiotem zainteresowań codziennej, tradycyjnej ekonomii.

Wysiłki zmierzające do oszacowania wartości prosumowania podejmowali także socjologowie i eksperci w zakresie polityki społecznej. Szacując liczbę godzin poświęcanych na wykonywanie niezapłaconej pracy i badanie, ile kosztowałoby zlecenie tych zadań pracownikom najemnym, niektórzy doszli do zaskakujących konkluzji. Przypominają one założenie Beckera, że gospodarstwo domowe jest "małą fabryką" i że rzeczywiście opłacony czas pracy może być mniej ważny w całej gospodarce niż się to wydaje.

Stein Ringen pisał w 1996 roku: "Materialny standard życia byłby o ponad połowę niższy, gdyby nie był rezultatem funkcjonowania w ramach gospodarstw domowych. Wkład gospodarstw domowych w całokształt życia gospodarczego jest równy wkładowi instytucji rynkowych. Jest to zaskakujący rezultat" - pisze, zauważając, że "często uważa się, iż rodzina ma marginalne znaczenie w kategoriach ekonomicznych." A przecież wkład tej rodziny jest niemal wyłącznie skutkiem prosumowania.

Nawet jeśli takie dane są prawidłowe tylko w małej części, wciąż mamy do czynienia z olbrzymią, ziejącą wyrwą w standardowej ekonomii, co szczególnie dobitnie tłumaczy, dlaczego nawet najbardziej uznani ekonomiści i naukowcy mają na swym koncie tak mizerne osiągnięcia w dziedzinie prognozowania. Nie ujmując odpowiednio prosumowania w swych obliczeniach, polegają w bardzo dużym stopniu, niemal dogmatycznie, na miarach, które są dla nich - i dla nas - mylące.

Tradycyjni ekonomiści i ich "wyznawcy" często pomniejszają znaczenie tej działalności w ramach ukrytej gospodarki, jakoby nie rodziła żadnych konsekwencji gospodarczych, mimo dowodów zaczerpniętych z realnego życia świadczących o tym, że jest przecież wręcz przeciwnie. Definiując "wartość" ekonomiczną jako, w zasadzie, wytwarzaną tylko wówczas, gdy pieniądze przechodzą z rąk do rąk, ekonomiści często koncentrują się na łatwo mierzalnych, powierzchniowych zjawiskach. Tak oto, podobnie jak głębokie fundamenty - czas, przestrzeń i wiedza, najistotniejsze dla gospodarek rozwiniętych, które należą do najrzadziej badanych zjawisk przez ekonomistów, tak też ich uparte przywiązanie do tradycyjnej definicji "wartości ekonomicznej" przesłania im widok nadchodzącego dramatu, jaki rozegra się jutro.

Kurczowo trzymają się tej podstawowej definicji częściowo dlatego, że pieniądze można łatwo policzyć, a jednocześnie bez oporu poddają się matematyzacji i modelowaniu. A nie opłacone czynności - wręcz przeciwnie. A wobec tego, że obsesją przedstawicieli tej profesji są miary, prosumowanie automatycznie trafia poza główne pole ich zainteresowań. Niewiele robi się dla utworzenia równoległych miar z myślą o prosumpcji i dla systematycznego śledzenia wielu ścieżek, którymi przebiega interakcja pomiędzy systemem płatnym i niepłatnym.

Wyjątkiem jest tu praca Rishaba Ghosha z holenderskiego uniwersytetu w Maastricht, w której czytamy, że "bez pieniędzy, jako narzędzia miary, należy znaleźć inne sposoby szacowania wartości i należy wskazać różne systemy przypisywania wartości i kursu wymiany pomiędzy nimi." Jednakże praca Ghosha, ogólnie rzecz biorąc, koncentruje się na niezapłaconej pracy wykonywanej przez prosumentów piszących oprogramowanie komputerowe, jako odmiennej od niepłatnych czynności wykonywanych w wielu innych dziedzinach.

Można by się nawet pogodzić z naszą niewiedzą o prosumowaniu, gdyby prosumowanie rzeczywiście nie rodziło żadnych konsekwencji lub też gdyby miało niewielkie oddziaływanie na gospodarkę pieniężną. Ale tak nie jest. W rezultacie podstawowe narzędzie, jakim jest Produkt Krajowy Brutto (PKB), które wykorzystywane jest jako podstawa w podejmowaniu wielu decyzji w biznesie i administracji państwowej, powinno raczej zostać nazwane Produktem Kłamliwym Brutto.

Wziąwszy pod uwagę, jak niewiele uwagi poświęca się tej ogromnej sile napędowej wytwarzania bogactwa i jak mało danych na jej temat jest osiągalnych, skazani jesteśmy na spekulowanie. Ale jest to lepsze rozwiązanie niż ignorowanie tak potężnego czynnika w wytwarzaniu bogactwa. Jeśli wartość prosumpcji jest mniej więcej równa wartości wyniku gospodarki pieniężnej mierzonej przez ekonomistów, stanowi ona ową ukrytą połowę. Jeśli odniesiemy to do całego świata - biorąc pod uwagę również niezliczone miliony chłopów, którzy żyją wyłącznie dzięki prosumpcji - prawdopodobnie doliczymy się brakujących pięćdziesięciu bilionów dolarów.

Kwestia ta jest dziś tak bardzo ważna, ponieważ wobec tego, że przechodzimy do kolejnej fazy bogactwa rewolucyjnego, prosumencki sektor naszych gospodarek czekają gigantyczne przeobrażenia, na miarę dziejowego zwrotu.

Zadziwiające jest to, że choć miliony chłopów na całym świecie wchłanianych jest przez gospodarkę pieniężną, miliony ludzi w bogatej części świata czyni coś wręcz przeciwnego:

gwałtownie poszerzają swą działalność w ramach niezmonetyzowanej połowy gospodarki świata - w jej prosumenckiej części.

W istocie, o czym przekonamy się na kolejnych stronach książki, kładziemy dziś fundamenty pod istny wybuch prosumowania w najbogatszych krajach - nie tylko w dziedzinie majsterkowania. Otworzą się przed nami całkowicie nowe rynki, podczas gdy inne się zamkną. Przeobrażeniu ulegnie rola konsumenta, a jednocześnie rozszerzy się rola prosumenta. Wywrze to silny wpływ na opiekę zdrowotną, system emerytalny, edukację, technologię, innowacyjność i budżet państwa.

Nie myślmy o młotkach i śrubokrętach. Myślmy o biologii, nanoinstrumentach, fabrykach na biurku i fantastycznych, nowych materiałach, które pozwolą wszystkim nam, jako prosumentom, robić rzeczy, o jakich nikt z nas nigdy nawet nie marzył.

Rozdział 24

Prosumenci zdrowia

Nadchodzący wybuch gospodarki prosumenckiej wielu z nas uczyni milionerami. I dopiero wtedy wybuch ten "odkryją" rynki papierów wartościowych, inwestorzy i media; wówczas ostatecznie utraci on swój niewidzialny charakter. Takie kraje, jak Japonia, Korea, Indie, Chiny i Stany Zjednoczone - zasobne w zaawansowane technologie, marketing niszowy i wysoko kwalifikowanych pracowników intelektualnych - będą pierwszymi jego beneficjentami. Ale to nie wszystko.

Prosumowanie doprowadzi do wstrząsów rynkowych, zmieni strukturę ról w społeczeństwie i zmieni nasz sposób myślenia o bogactwie. Zmieni także przyszłość zdrowia. Żeby zrozumieć, dlaczego tak się stanie, należy zapoznać się pokrótce z gwałtownie nakładającymi się na siebie zmianami demograficznymi, zmieniającymi się kosztami opieki medycznej, wiedzy i technologii.

Opieka zdrowotna to miejsce, w którym najbardziej zaawansowane technologie współistnieją z anachronicznymi, zdezorganizowanymi, nieproduktywnymi i często śmiertelnościami instytucjami. Jeśli określenie "śmiertelność" wydaje się przesadzone, warto się nad tym zastanowić raz jeszcze.

Według U.S. Centers for Disease Control¹⁴, rocznie w Stanach Zjednoczonych umiera aż 90 tysięcy osób wskutek zakażeń szpitalnych. Wedle innych kalkulacji, od 44 tys. do 98 tys. umiera z powodu błędów w sztuce medycznej popełnionych w szpitalach - i to w kraju, który szczyci się najlepszym i najhojniej finansowanym systemem opieki zdrowotnej na świecie. W roku 2001 ryzyko śmierci wskutek błędu lekarza lub zakażenia szpitalnego było znacznie wyższe niż w wypadku samochodowym.

Oczywiście nie wiemy, ile osób umiera z braku opieki zdrowotnej, nawet w najbogatszych państwach świata. Wiemy jednakże, że we wszystkich zamożniejszych krajach, od Japonii i Stanów Zjednoczonych po kraje Europy Zachodniej, koszty opieki zdrowotnej wymykają się spod kontroli, ludność szybko się starzeje, a politycy wpadają w panikę.

Fakty te są częścią większego i głębszego kryzysu. Na przełomie XIX i XX wieku inwestycje infrastrukturalne zapewniły lepszą wodę i publiczną higienę, niemal całkiem wypierając niektóre choroby, które dawniej dziesiątkowały ludność całych krajów. Nadano nową rolę medycynie, co doprowadziło do specjalizacji. Zaczęło przybywać szpitali, które stopniowo przekształcały się w wielkie, biurokratyzowane instytucje związane z jeszcze bardziej biurokratyzowanymi agendami rządowymi, towarzystwami ubezpieczeniowymi i gigantami farmaceutycznymi.

Zmiany te zdecydowanie poprawiły warunki zdrowotne, praktycznie eliminując w unowocześniających się krajach Zachodu część najpowszechniej występujących tam chorób.

Dziś jednak inna jeszcze zmiana w obrębie głębokiego fundamentu, jakim jest przestrzeń - wielka, opasająca kulę ziemską infrastruktura transportowa - sprawia, że państwa są praktycznie bezbronne wobec międzynarodowego rozprzestrzeniania się starych i nowych chorób. Publiczna

¹⁴ Właściwie: The Centers for Disease Control and Prevention (CDC; ang.). Ośrodki Kontroli Chorób i Prewencji to wydzielona jednostka amerykańskiego Departamentu Zdrowia i Służb Socjalnych uważana za główną rządową instytucję

służba zdrowia w wielu państwach jest niedofinansowana. A zagrożenie bioterroryzmem czy też zamachami chemicznymi lub nuklearnymi bynajmniej przestało być fantazją wprost z komiksów dla młodzieży.

Tymczasem specjalizacja medyczna osiągnęła punkt, w którym komunikacja pomiędzy różnymi specjalnościami jest niebezpiecznie uboga. Biurokratyczne molochy znalazły się o krok od paraliżu administracyjnego. Szpitale bankrutują. W krajach o rozwiniętej gospodarce znacznie zmieniły się wzorce zachorowalności.

Dzisiaj najobfitsze żniwo w zamożnych krajach nie zbierają już choroby zakaźne, takie jak zapalenie płuc, gruźlica czy grypa, ale choroby serca, rak płuc i inne przypadłości nabywane bez wątplenia w wyniku indywidualnych zachowań w zakresie stosowanej diety, aktywności fizycznej, konsumowania alkoholu, narkotyków, palenia tytoniu, stresu, życia seksualnego i międzynarodowych podróży.

Nie zmieniło się jednak jedno: podstawowe założenie, że lekarze “zapewniają nam zdrowie”, a pacjenci są ich “klientami.” Zjawiska demograficzne mogą zmusić nas do zweryfikowania tego przekonania.

STO LAT, STO LAT, NIECH ŻYJE NAM!

Demografia, jak skłonni są sądzić niektórzy, jest przeznaczeniem. A skoro tak, przeznaczenie zmienia się wraz z wszystkim innym. Szybko zbliżamy się do punktu, w którym miliard ludzi na Ziemi przekroczy sześćdziesiąty rok życia.

Według Światowej Organizacji Zdrowia, przeciętna długość życia zwiększa się, nawet w wielu biednych częściach świata. W ciągu minionych pięćdziesięciu lat - mimo biedy, nędzy, chorób, braku wody i katastrof ekologicznych - średnia długość życia w krajach rozwijających się wzrosła z 41 lat na początku lat pięćdziesiątych do 62 - w latach dziewięćdziesiątych. Do roku 2020 będzie wynosiła około 70 lat; przekroczyła zaś już ten pułap w Kostaryce, na Jamajce, w Sri Lance i Malezji.

Tymczasem demografowie z Cambridge University i z Instytutu Maksa Plancka w Niemczech twierdzą, że dziewczynki przychodzące dziś na świat we Francji mają pięćdziesiąt procent szans na dożycie setnego roku życia, a więc doczekają nadejścia XXII wieku.

Światowa Organizacja Zdrowia donosi, że Europa jako region jest dziś “najstarszą” częścią świata, podczas gdy Japończycy jako naród posiadają największy odsetek osób w wieku powyżej sześćdziesięciu lat. WHO (Światowa Organizacja Zdrowia) przewiduje, że do roku 2020 niemal jedna trzecia ludności Japonii będzie liczyła ponad sześćdziesiąt lat. A w Japonii, Francji, Niemczech i Hiszpanii, pośród osób powyżej sześćdziesiątego roku życia, co piąta osoba będzie miała ponad osiemdziesiąt lat.

Żaden kraj nie dysponuje systemem opieki zdrowotnej, który byłby przygotowany do kombinacji takich chorób, które w dużym stopniu uzależnione są od trybu życia i starzejącej się populacji. Jest to całkowicie nowe zjawisko w dziejach i żadna z obecnie proponowanych “reform” systemu opieki zdrowotnej nie będzie w stanie temu zaradzić. Nie rozumiemy też w pełni skutków tych przemian dla

systemu podatkowego, finansowego i kluczowych dla bogactwa zmiennych. Potrzebujemy czegoś o wiele bardziej radykalnego, niż zwykłych reform.

STREFA PANIKI

Wedle OECD (Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju), prywatne i publiczne nakłady na opiekę zdrowotną w Niemczech w roku 2002 stanowiły równowartość 10,9 proc. PKB, jak zazwyczaj się je mierzy. Analogiczne dane dla Francji wynoszą 9,7 proc, Wielkiej Brytanii - 7,7 proc, Japonii -7,8 proc. i Korei Południowej - 5,1 proc. W Stanach Zjednoczonych wydatki te stanowią 14 proc. PKB. Jak wysoko mogą się piąć te liczby, zanim dojdzie do bankructwa?

Jak już wiemy, dane określające PKB są w dużym stopniu zniekształcone, z racji tego, iż nie uwzględniają wkładu prosumpcji. Jeśli ekonomiści przypisaliby jej wartość, całkowity koszt opieki zdrowotnej byłby o wiele wyższy.

Wedle Biura Budżetowego Kongresu Amerykańskiego, długoterminowa opieka zdrowotna nad osobami starszymi kosztuje 120 miliardów dolarów rocznie. James R. Knickman i Emily K. Snell z Robert Wood Johnson Foundation ¹⁵ uważają jednak, że liczba ta "nie obejmuje zasobów ekonomicznych poświęconych długoterminowej opiece zdrowotnej (...) ponieważ większość opieki świadczona jest w sposób nieformalny przez rodzinę i przyjaciół, a zatem nie jest ujmowana w statystykach ekonomicznych. (...) Szacuje się, że wartość ekonomiczna tej nieformalnej opieki w Stanach Zjednoczonych sięga poziomu 200 mld USD rocznie - a więc półtora raza tyle, ile wynoszą wydatki na oficjalną opiekę."

Inni badacze sugerują, że w Stanach Zjednoczonych sama tylko opieka rodzinna nad osobami cierpiącymi na chorobę Alzheimera warta była w 2004 roku ponad 100 mld dolarów. Wszystkie te liczby nie obejmują jednak niepłatnej opieki w sytuacjach krótkotrwałych problemów zdrowotnych.

Przedstawiciele administracji państwowej i opieki zdrowotnej ostrzegają, że starzenie się ludności oznaczać będzie więcej chorób i niesprawności, a zatem wyższe koszty. W Stanach Zjednoczonych, według czasopisma "Chain Drug Review", apteki realizują średnio dziewiętnaście recept rocznie dla pacjentów powyżej pięćdziesiątego roku życia, podczas gdy jedynie osiem - dla młodszych osób. Według szacunków redakcji "Journal of the American Dietetic Association" - "w Stanach Zjednoczonych koszty opieki zdrowotnej nad osobami powyżej sześćdziesiątego piątego roku życia są 3-5 razy wyższe niż dla osób poniżej tego wieku".

Wreszcie należy wziąć pod uwagę potencjalne bankructwo dobrze nam znanych systemów emerytalnych: nic dziwnego, że nerwowa debata publiczna wkracza w strefę paniki.

Na tym ogólnym obrazie widać jednak pewne rysy. Otóż po pierwsze - wiele przytaczanych tu liczb wyliczono na podstawie prostych, liniowych projekcji opartych na doświadczeniach z przeszłości. W czasach kryzysu czy rewolucji podejście to może być mylące. Nowe, dłużej żyjące pokolenie na pewno okaże się zdrowsze, niż pokolenie jego rodziców. Po drugie - te same procesy

demograficzne, które zwiększają odsetek osób starszych, zmniejszą odsetek osób młodszych, a zatem mogą zmniejszyć wymagane nakłady na szkolnictwo. Można sobie wyobrazić też i inne pozytywne zjawiska finansowe. Niemniej, przesłanki te nie zmieniają potrzeby gwałtownego przewartościowania całego problemu zdrowia w XXI wieku.

Niestety, pełne jak najlepszych intencji reformy oparte na założeniach z epoki przemysłowej tylko pogarszają sprawę. Politycy w dążeniu do cięć kosztów zazwyczaj poszukują "zwiększonej efektywności", która przekłada się w praktyce na coś w rodzaju zdrowotnej linii montażowej, kontrolowanych usług medycznych szytych na jedną miarę - zestandaryzowanych terapii itp.

Podobnie jak w dawnych, prymitywnych fabrykach - podejmuje się dziś wysiłki zwiększenia tempa przesuwu linii montażowej, włączającej lekarzy w przedziały czasowe umożliwiające poświęcenie każdemu pacjentowi zaledwie kilku minut. Jest to samoobronna strategia Drugiej Fali wobec sytuacji wymagającej reakcji zgodnej z Trzecią Falą.

Działając w branży wlokącej się za innymi branżami, mądre firmy farmaceutyczne wkrótce rozpoczną transformację ku produktom odmasowionym, wąsko celowanym i zindywidualizowanym, które będą mogły zmniejszyć efekty uboczne terapii oraz dodatkowe koszty, które często się z nimi wiążą.

Reformatorzy tnący koszty kontynuują tymczasem poszukiwania w całkowicie odmiennym kierunku - masowej opieki zdrowotnej w postaci zestandaryzowanej rutyny, procedur i leków.

Wobec nieustannego wzrostu liczby rozwiązań nieefektywnych, nie można pokonać kryzysu w ekonomice zdrowia - dopóki nie dojrzymy rozwiązań innych niż industrialne: dopóki nie sięgniemy po nadzwyczajne możliwości, jakie daje nam nadejście gospodarki intelektualnej oraz obecny potencjał prosumenckiej opieki zdrowotnej.

NATŁOK PRZEŁOMÓW

Nie tylko fantastyczny rozwój wiedzy medycznej (i starowiedzy) w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat zawiera w sobie rewolucyjny potencjał obiecujący poprawę opieki zdrowotnej. To samo można powiedzieć o równoległym przesunięciu kontroli nad tą wiedzą.

Pacjenci dziś zasypywani są nowinami o przełomowych postępach medycyny i innymi informacjami medycznymi, które dawniej były niedostępne, a dziś aż tętni nimi Internet i telewizyjne programy informacyjne, w których rutynowo wręcz przeprowadza się z zapraszonymi do studia lekarzami wywiady.

Coraz więcej ujawnia się też wiedzy z otoczenia medycyny, wiedzy drugoplanowej, zresztą z różną dokładnością, w popularnych filmach o tytułach takich, jak *Trauma: Life in the E.R.*, *M.D.s*, *Scrubs* czy *Houston Medical*. Kiedy w jednym z odcinków *E.R. (Ostry dyżur)* pojawił się wirus brodawczaka ludzkiego (HVP), który, mimo że niemal zupełnie nie znany pod tą nazwą, jest

¹⁵ Największa w USA prywatna fundacja zajmująca się ochroną zdrowia; jej fundator - Robert Wood Johnson (1845-1910) wstawił się m.in. rozbudowaniem malej, rodzinnej firmy Johnson & Johnson do rozmiarów międzynarodowego koncernu - przyp. tłum.

najczęstszą chorobą przekazywaną drogą płciową w Stanach Zjednoczonych - jednego wieczoru dowiedziało się o niej ponad pięć milionów widzów.

Produkuje się mnóstwo filmów dokumentalnych o tematyce medycznej. Znakomity program telewizyjny o implantach umieszczanych w ślimaku błędnika ucha u dzieci głuchych zdobył najwyższą nagrodę dla telewizyjnych filmów dokumentalnych w Japonii. W Chinach, w ramach polityki zdrowotnej państwa, wyemitowano dwunastoczęściowy serial poświęcony AIDS, łamiąc przy okazji odwieczne tabu - za pomocą serialu edukacyjnego dla nastolatków poświęconego problematyce seksualnej, zatytułowanego *Jak mam ci o tym powiedzieć*.

Od 1997 roku, odkąd US Food and Drug Administration (Amerykański Urząd ds. Żywności i Leków) zezwala koncernom farmaceutycznym reklamować w telewizji leki wydawane na receptę, widzowie bombardowani są reklamami zachwalającymi wszystkie możliwe medykamenty, począwszy od środków przeciwwzapalnych, poprzez leki obniżające poziom cholesterolu, a skończywszy na preparatach antyhistaminowych. W większości tych reklam mimochodem wspomina się o efektach ubocznych i namawia pacjentów do zasięgnięcia opinii lekarza. Dopuszczenie takich reklam bez wątpienia przyczyniło się do utworzenia całodobowego kanału telewizji kablowej Discovery Health Channel.

Zalew informacji zdrowotnych, dezinformacji i wiedzy, z jakim mamy do czynienia, jest znacznie zróżnicowany pod względem obiektywności i wiarygodności. Ale bez wątpienia kieruje coraz więcej uwagi opinii publicznej na problematykę zdrowotną - i zmienia tradycyjne relacje między lekarzem a pacjentami, zachęcając tych drugich do większej samodzielności.

Paradoksalnie, podczas gdy pacjenci dysponują szerszym dostępem do informacji zdrowotnej różnej jakości, ich lekarze borykają się z presją czasu i mają go coraz mniej na zapoznanie się z najnowszymi czasopismami fachowymi (czy to w formie elektronicznej, on-line czy to w formie drukowanej), a także na odpowiednie porozumiewanie się z właściwymi specjalistami - i z pacjentami.

Co więcej, podczas gdy lekarze powinni dowiedzieć się jak najwięcej o stanie chorych i gdy widzą przed swymi gabinetami coraz dłuższe kolejki pacjentów, których twarze nie są w stanie nawet spamiętać - zdarza się, że wyedukowani, biegli w posługiwaniu się Internetem pacjenci czytają więcej na temat najnowszych badań medycznych w zakresie ich konkretnej jednostki chorobowej niż niejeden lekarz.

Pacjenci przychodzą na wizytę z wydrukami materiałów, które znaleźli w Internecie, kserokopiami stron z *Physicians' Desk Reference* (podręcznego leksykonu lekarskiego - przyp. tłum.) czy też wycinkami z czasopism medycznych i popularnych magazynów poświęconych zdrowiu. Zadają pytania i bynajmniej nie padają już pokornie na twarz na widok białego kitla lekarskiego.

Tak oto zmiany w relacjach wobec głębokich fundamentów czasu i wiedzy gwałtownie zmieniły realia medycyny.

W kategoriach ekonomicznych, lekarz, sprzedający usługi, wciąż jest "producentem." Pacjent zaś, w przeciwieństwie do niego, jest bardziej aktywnym "prosumentem", zdolnym do coraz

większego wkładu w ekonomiczny wynik w zakresie dobrobytu lub zdrowia. Czasami producent i prosument współpracują; czasami działają niezależnie od siebie; czasami dzieli ich konflikt interesów. Jednak konwencjonalne statystyki zdrowotne i prognozy w dużej mierze pomijają dokonujące się dziś gwałtowne zmiany tych ról i relacji.

Wielu z nas zmienia dietę, rzuca palenie albo picie i zaczyna regularnie się gimnastykować. Jeśli stan naszego zdrowia się poprawia, zastanawiamy się, w jakim stopniu zawdzięczamy to lekarzowi, a w jakim - własnemu samozaparciu? Innymi słowy, w jakiej części wynik opieki zdrowotnej wypracowywany jest przez producentów, a w jakiej przez prosumentów? I dlaczego większość ekonomistów liczy tylko jedną część, całkowicie ignorując tę drugą?

Wedle Lowella Levina, emerytowanego profesora Yale School of Public Health, "85 do 90 proc. opieki zdrowotnej w Stanach Zjednoczonych zapewniają zwyczajni ludzie." Środki autoterapeutyczne, jak mówi profesor, obejmują aspirynę na ból głowy, chłodzące żele na kontuzje, maści na poparzenia i wiele innych. Levin, wedle dziennikarza przeprowadzającego z nim wywiad w 1997 roku w "The World & 1", "uważa wszystkich lekarzy i szpitale za zło konieczne, jak więzienia."

Bez względu na to, jaki jest obecnie rzeczywisty odsetek, połączenie trendów demograficznych, presja kosztowa i wiedza - wszystko wskazuje na radykalny wzrost znaczenia czynnika prosumenckiego. To wszystko nie obejmuje jednak prawdopodobnie zmiany najważniejszej: technologii jutra. Dodajmy ją do tej mieszanki i patrzmy, co się będzie działo.

GRA Z CUKRZYCĄ

Pacjenci nie prosumują zdrowia, wyłącznie uprawiając więcej sportów i rzucając palenie. Inwestują pieniądze w technologie, które mogą im pomóc uzyskać lepszą opiekę dla siebie i swojej rodziny.

W 1965 roku, wedle Toma Antone'a, ówczesnego szefa organizacji, która obecnie działa jako American Association for Homecare (Amerykańskie Stowarzyszenie Opieki Domowej), "jedynym sprzętem dostępnym w domu pacjenta były chyba tylko laski, kule, chodziki i łóżka." W roku 1980, kiedy po raz pierwszy zwróciliśmy uwagę na prosumowanie zdrowia w Trzeciej Fali, rynek instrumentów medycznych do użytku domowego wciąż był stosunkowo niewielki.

Dziś, jak twierdzi Sharon O'Reilly, prezes firmy MedTech specjalizującej się w badaniach rynku medycznego, pacjenci samodzielnie wykonują 99 proc. czynności w ramach kontrolowania cukrzycy, a sprzedaż produktów do użytku domowego dla cukrzyków ma, wedle prognoz, osiągnąć pułap piętnastu miliardów dolarów do roku 2010. Technologia opieki domowej nie ogranicza się już dzisiaj do kilku podstawowych produktów, takich jak zestawy do podawania insuliny, aparaty do mierzenia ciśnienia czy testy ciążowe, a gama technologii mających pomóc prosumentom w zachowaniu zdrowia - wciąż się powiększa.

Dziś bez trudu każdy może znaleźć w Internecie i kupić wyposażenie do samodzielnych testów wykrywających cokolwiek - począwszy od alergii i HIV, a skończywszy na raku prostaty i zapaleniu wątroby. Problem z ręką? Katalog firmy FlagHouse dla "grup specjalnych" oferuje "ręczny

goniometr” pozwalający na dokonywanie pomiarów zasięgu ruchu w śródreęcznych stawach palców. Można też od razu zamówić dynamometr hydrauliczny czy uściskowy dla dokonywania innych pomiarów dłoni.

Kłopoty z oddychaniem? Wystarczy kupić ultradźwiękowy dozownik, spirometr, a nawet wentylujący zestaw ratunkowy. Można bez trudu nabyć młotek neurologiczny albo własny stetoskop pediatryczny.

Kobiety mogą regularnie kontrolować swój poziom estradiolu, testosteronu i progesteronu. Istnieją już dziś domowe testy służące do badania osteoporozy czy raka jelita grubego.

Według Food and Drug Administration (FDA), systemy opieki domowej są już “najszybciej rozwijającym się segmentem branży instrumentów medycznych.” Ta rosnąca w siłę technologia samodzielnych badań wciąż jest jednak prymitywna w porównaniu z tym, co przed nami.

Czasopismo FDA donosi, że “listę planowanych i wyobraźalnych urządzeń medycznych czyta się jak powieść science fiction (...). Wyobraźmy sobie szczoteczkę do zębów zaopatrzoną w bioczuły układ scalony, sprawdzający poziom cukru w krwi i profil bakteriologiczny podczas mycia zębów (...) skomputeryzowane okulary z wbudowanym ekranem pomagającym użytkownikom o osłabionej pamięci w rozpoznawaniu ludzi i przedmiotów (...) inteligentny opatrunek (...) zdolny do wykrywania bakterii lub wirusów w ranie i wskazywania najodpowiedniejszej terapii antybiotykowej oraz czy w ogóle takowa jest konieczna.”

W czasopiśmie tym czytamy o “inteligentnych bluzkach”, które “monitorowały oznaki życia himalaistów w czasie ostatniej wyprawy na Mount Everest”, oraz urządzeniu umożliwiającym obsługę maszyn bez używania dłoni, a jedynie za pomocą mrugania okiem czy samej aktywności mózgowej.

“Wyobraźmy sobie posługiwanie się tomografem w zaciszu naszej własnej łazienki. Automatyczne analizy moczu przy splukiwaniu wody. Skomputeryzowane projekcje długości życia, aktualizowane po każdym posiłku” - snuje śmiało wizję “The New York Times Magazine”.

Podobnie jak w przypadku wszystkich prognoz tego typu, nie wszystkie produkty tu wymieniane kiedykolwiek ujrzą światło dzienne; niektóre okażą się zbyt kosztowne, niezbyt praktyczne lub zgoła niebezpieczne. Stanowią one jedynie pierwsze oznaki technologicznego postępu, który nas czeka. Zmieni on zarówno ekonomikę opieki domowej, jak i płatnej opieki zdrowotnej. Stanowi jeszcze jeden przejaw interakcji pomiędzy, w zasadzie, nie badaną gospodarką prosumencką i pieniężną.

Prosumenci inwestują pieniądze dla nabycia dóbr kapitałowych, które pomogą im osiągać lepsze wyniki w gospodarce pozapieniężnej - co następnie obniży koszty w gospodarce pieniężnej.

Czy ogólny “wynik zdrowotny” nie byłby wyższy, gdybyśmy uznali istotną rolę prosumpcji i zmieniający się udział wkładu lekarzy z jednej strony, a pacjenta - z drugiej?

Kiedy analizujemy czy to trendy demograficzne, czy koszty bądź zmianę ilości i dostępności wiedzy lub nadchodzące przełomy technologiczne - jasne się staje, że prosumenci odegrają jeszcze większą rolę w potężnej gospodarce zdrowotnej jutra.

Nadszedł zatem czas na ekonomistów. Zamiast uważać gospodarkę niepieniężną za nieistotną lub pozbawioną jakiegokolwiek zgoła znaczenia - powinni zacząć systematycznie śledzić najważniejsze zjawiska, w ramach których obie te gospodarki nawzajem się zasilają i z sobą integrując tworzą system bogactwa.

Jeśli lepiej zrozumiemy te relacje, ukażą one światowy kryzys służby zdrowia w całkiem nowym świetle. W wariacie minimalnym, w wielu krajach wprowadzą one istotne, nowe kwestie do absolutnie nieprzewidywalnych debat politycznych o zdrowiu.

Jeśli prosumenci będą wnosili gigantyczny, nie opłacany wkład w ogólną poprawę stanu zdrowia i jeśli przy okazji zainwestują swe pieniądze, czy nie byłoby sensowne zmniejszenie ogólnych kosztów medycznych poprzez edukowanie i szkolenie prosumentów, tak jak szkolimy producentów?

Lowell Levin uważa, że jedną z najlepszych inwestycji, na jakie mógłby się zdecydować rząd, byłoby nauczanie dzieci szkolnych, jak być lepszymi prosumentami zdrowia. Nauka taka obejmować powinna "niektóre z rzeczy, których naucza się w szkołach medycznych - podstawy anatomii i fizjologii człowieka oraz przyczyny niektórych chorób i ich leczenia (...) Nauczmy je diagnozowania i leczenia powszechnych, pomniejszych dolegliwości. Moglibyśmy też uczyć dzieci, które problemy zdrowotne naprawdę wymagają opieki zawodowego lekarza."

Vikram S. Kumar współpracował w Joslin Diabetes Center w zakresie, jak powiada, "projektowania przewidywalnej, społecznościowej gry internetowej" dla dzieci z cukrzycą typu 1. DiaBetNet pragnie rozwinąć psychologicznie chorych, aby zmotywować ich do częstszego sprawdzania poziomu glukozy. Gra zachęca dzieci cierpiące na cukrzycę, połączone bezkablowo za pomocą rozwiązań internetowych, aby grały na komputerze przewidując poziom glukozy - swój własny i innych dzieci. Chodzi o to, by raczej "wyzwolić swobodną dynamikę społeczną," a nie polegać wyłącznie na zaleceniach lekarza czy napominaniu przez rodziców.

W gospodarce intelektualnej nasyconej wielorakimi połączeniami nie powinniśmy nadal myśleć o kryzysie zdrowotnym i kryzysie edukacji oddzielnie, ale raczej w powiązaniu. Czy nie możemy posłużyć się wyobraźnią dla zrewolucjonizowania idei i instytucji w obu tych dziedzinach? Miliony prosumentów, chętnych do udzielenia pomocy w tej mierze, czekają tylko na hasło.

Rozdział 25

Nasza trzecia praca

Któż nie cierpi z powodu nadmiernego stresu! Któż nie zastanawia się nad nieubłaganym upływem czasu! W warunkach gospodarki pieniężnej działającej w zawrotnym tempie chroniczny brak czasu i pośpiech stają się dziś źródłem powszechnej na świecie złości. Ludzie wyrzekają na to, że dostają dwieście e-maili dziennie, a ustawicznie dzwoniące komórki skutecznie uniemożliwiają spokojne zebranie myśli. Wielu z nas jednocześnie ogląda telewizję, rozmawia przez telefon, gra na komputerze on-line, a przy okazji czyta doniesienia z giełdy i wysyła sms-y w nieustannej, rozedrganej interakcji ze światem zewnętrznym.

To przyśpieszenie i przejście od sekwencyjnej do quasi-symultanicznej aktywności, napędzane hiperrywalizacją, stanowi wielką zmianę w ramach naszych relacji wobec głębokiego fundamentu, którym jest czas, ale także wobec naszej pracy, przyjaciół i rodziny. Coraz więcej jest domów i firm, w których zmiana biegu i ostre przyśpieszenie prowadzi do bolesnego konfliktu pomiędzy czasem na pracę i czasem dla rodziny.

Oprócz godzin, które poświęcamy płatnej pracy lub wykonywaniu swej profesji, przeznaczamy też bezpłatnie nasz czas na codzienne osobiste i rodzinne czynności, jakich od nas wymaga życie. Ciężar ten jest szczególnie dotkliwy dla kobiet oraz dla tych z tzw. pokolenia kanapkowego, którzy włóczeni są - niczym szynka między kromki chleba - między jednoczesną opieką nad dziećmi oraz starzejącymi się rodzicami.

Dzisiaj jednakowoż do tych ciężarów dołożono nam coś jeszcze. Oprócz Pracy Nr 1 (płatnej) oraz Pracy Nr 2 (niepłatnej pracy w domu), wielu z nas wykonuje jeszcze Pracę Nr 3 (także niepłatną).

W czasie, gdy pisaliśmy ten rozdział, z firmy, która niedawno sprzedała nam kserokopiarkę, nadszedł e-mail. W zwięzłej wiadomości dość stanowczo polecono nam dokonać odczytu licznika w kserokopiarce i przesłać e-mailem ów odczyt, wraz z seryjnym numerem naszej kopiarce, aby można było prawidłowo wystawić rachunek. Zastanawialiśmy się, co też takiego stało się z panem, który niegdyś przychodził do nas, żeby dokonać odczytu licznika?

Kiedyś było tak, że jeśli nie otrzymaliśmy paczki, mogliśmy zadzwonić pod bezpłatny numer firmy Federal Express i dowiedzieć się, dlaczego przesyłka się opóźnia i gdzie w ogóle jest. Usłużny pracownik - z reguły kobieta - siedział przy terminalu komputerowym w Memphis w stanie Tennessee czy też w jakimś innym, równie odległym mieście i śledził dla nas naszą paczkę.

W którymś momencie, chwając się tym, jako wielkim ułatwieniem dla klientów, FedEx ogłosił, że my, klienci, od teraz możemy sami sobie śledzić nasze własne paczki on-line w Internecie, po wprowadzeniu kilku danych. Zastanawialiśmy się wówczas, co się takiego stało z tą miłą panią?

Ale przecież nie tylko producenci kserokopiarce i firmy kurierskie wymusiły na konsumentach zachowania prosumenckie. The Bank of America, wyjaśniając, iż otrzymał "olbrzymią liczbę" zapytań o unieważnione czek, co wymagało zatrudnienia ośmiuset pracowników tylko po to, by

wyszukiwali czeki na mikrofilmach, kopiowali je, a następnie wysyłali - wprowadził technologię umożliwiającą klientom samodzielne przeglądanie unieważnionych czeków on-line lub nawet w bankomacie.

Także i tu zmiana została przedstawiona jako korzyść dla konsumenta, i bez wątplenia tak było w istocie, ale jednocześnie jednak wymagało się od konsumenta wykonania pewnej pracy. Jednym tchem, bank zachwalając nową usługę - oznajmił zmniejszenie zatrudnienia o 6,7 procent.

ZA BUFETEM

To tylko jeden bank. W Stanach Zjednoczonych klienci banków w samym tylko 2002 roku wykonali 14 miliardów transakcji bankomatowych - jedną trzecią wszystkich operacji tego rodzaju na świecie. Klienci lubią bankomaty, częściowo dlatego, że oszczędzają im stania w kolejkach. W gospodarce pośpiechu liczy się każda minuta.

Załóżmy, że średnio jedna transakcja wykonywana przy okienku w banku mogła trwać, powiedzmy, dwie minuty. Oznacza to, że klienci wykonują niepłatną pracę przez łącznie 28 miliardów minut - w przeciwnym razie banki musiałyby zatrudnić ponad 200 tysięcy pełnoetatowych pracowników obsługi.

Nie oznacza to jednak wcale, że klientom zaoszczędzono 28 miliardów minut. Przeciętna transakcja bankomatowa nadal trwa kilka minut. Tyle tylko, że teraz to klient wystukuje cyfry na klawiaturze, wykonując część pracy dawniej wykonywanej przez etatowego pracownika banku i nierzadko musi wręcz dodatkowo zapłacić za ten przywilej. Paradoksalnie, według ekspertów w zakresie bankowości, zajmowanie klientów tego typu czynnościami - wystukiwaniem cyfr czy czymkolwiek innym - daje im poczucie, że stracili mniej czasu.

Przerzucanie pracy na prosumentów rozpowszechnia się. W 2002 roku 17 milionów amerykańskich gospodarstw domowych przeprowadzało transakcje giełdowe on-line, a blisko 40 milionów klientów dokonało rezerwacji podróży przez Internet. Łącznie w Stanach Zjednoczonych wykonano blisko 360 milionów transakcji on-line. W każdej z nich prosumenci wystąpili w roli swych własnych maklerów, agentów turystycznych i ekspedientów, skoro tak wiele firm wyłączyło pracę ze swych struktur.

Firma General Electric, podobnie jak inni producenci sprzętu AGD, bombardowana była telefonami od klientów pragnących uzyskać informacje na temat zakupionych urządzeń. Ponieważ w którymś momencie obsłużenie jednej rozmowy telefonicznej kosztowało firmę 5 dolarów, a jedynie 20 centów, jeśli klient zasięgał informacji w Internecie - firma postanowiła spróbować zaoszczędzić 96 milionów dolarów, przy czym w dużej części, możemy się domyślać, oszczędności te pochodziłyby z redukcji zatrudnienia. Ale skoro tak - to co się stało z tymi miejscami pracy?

Odpowiedź: to samo, co z miejscami pracy pań z okienek bankowych - płatne miejsca pracy po stronie producentów przekształciły się w niepłatną pracę prosumentów.

Poważne firmy na całym świecie odkrywają jeszcze lepsze sposoby na wyłączenie pracy poza swe struktury. Nagroda za innowacyjność w tej dziedzinie powinna jednak zostać przyznana nie

jakiejś chciwej, wielkiej amerykańskiej korporacji, ale sieci restauracji Dohton Bori w Japonii. Dohton Bori potraktował koncepcję samoobsługowego bufetu bardzo dosłownie: konsumenci gotują sobie sami na gorącej płycie umieszczonej wprost na stole.

To prawda, że niektóre zmiany oferują nowe usługi i są bardzo mile widziane przez klientów. I teoretycznie rzecz biorąc - prawdą jest, że idealna konkurencja powinna doprowadzić do obniżenia cen tych usług, pośrednio płacąc tym samym klientom za wykonywaną przez nich pracę. Któregoś dnia część oszczędności uzyskanych drogą wyłączenia pracy na zewnątrz może istotnie trafić do kieszeni klientów. Teraz jednakże konkurencji daleko do ideału i to klienci w praktyce finansują po części działalność firm. A przed nami jeszcze więcej przejawów wyłączania pracy poza firmę. Przerzucanie pracy z producenta na prosumenta to kolejny wielki cel outsourcingu.

PRZERZUT SCIPERMARKETOWY

Przerzucanie pracy na klientów nie jest niczym nowym. Kiedyś towary spożywcze spoczywały na półkach za ladą i ekspedientka podawała je na prośbę klienta. Samoobsługowe supermarkety zostały wynalezione w 1916 roku, kiedy Clarence Saunders doszedł do wniosku, że może zagonić klientów do pracy na swoją rzecz i (w 1917 roku) opatentował ten system.

Nowe technologie jeszcze bardziej ułatwiają takie działanie. Jeśli Saunders powróciłby pomiędzy żywych choćby parę lat temu, nie miałby pojęcia, czym są skanery optyczne przy kasach. Skanery te musiały być obsługiwane przez pracownika sklepu. Dzisiaj w Stanach Zjednoczonych i w innych jeszcze miejscach sieci supermarketów dają klientom ręczny przyrząd, który skanuje każdy towar, jaki pragną zakupić i obciąża ich kartę kredytową. Mamusiu, patrz, nie ma pani w kasie!

Wielkie sieci supermarketów oferują dziś także samoskanujące maszyny przy wyjściu, dzięki którym klient oszczędza mnóstwo czasu, bowiem nie musi stać w kolejce do kasy, a supermarket - oszczędza mnóstwo pieniędzy na pensjach kasjerek i pakowaczy. Oczywiście protestuje Donald L. Potter, spec od reklamy z Los Angeles: "Sklep nie przyznaje żadnego rabatu klientom, którym każe wykonywać pracę swoich dotychczasowych pracowników." Jeden z internetowych krytyków uznał, że supermarkety powinny mieć "ceny z obsługą i ceny bez obsługi, podobnie jak na stacji benzynowej. Skłoniłoby mnie to do częstszego korzystania z samoobsługowego kasowania."

Dzisiaj nowością jest cyberstruktura umożliwiająca przekształcenie konsumenta w prosumenta w zaskakująco szerokim obszarze rozmaitych aktywności. Wiele różnych firm odkrywa dziś cudowne możliwości gospodarki skłaniającej klientów do darmowej pracy.

Pośród zwłok wielu firm e-commerce'owych, które poległy w czasie kryzysu na przełomie wieków, dzielnie daje sobie radę firma, która nie tylko przetrwała. Jej model biznesowy polegał na maksymalnej eksploatacji nie opłacanego wkładu prosumentów. Tak to klienci firmy Amazon.com zapewniali jej stronie internetowej bezpłatnie treści w postaci recenzji książek i muzyki, osobistych opinii, list ulubionych książek itp.

Kiedy jednak chodzi o ograniczenie kosztów poprzez zagonienie kogoś innego do roboty za darmo, nagroda za tę hucpę musi przede wszystkim trafić do urzędów skarbowych, które

przerzucają konieczność prowadzenia skomplikowanych wyliczeń i kalkulacji na podatnika wykonującego bezpłatnie tę pracę - w zamian za przywilej płacenia podatków!

Podsumowując: kiedy dodamy trzecią (nie opłacaną) pracę do naszej prosumpcji, nie ma się co dziwić, że mamy na wszystko za mało czasu. Alokujemy nasz czas pomiędzy produkcją, konsumpcją i prosumpcją - jest to jeszcze jedna transformacja w naszej relacji wobec samego czasu.

A kiedy weźmiemy pod uwagę presję konkurencyjną w gospodarce pieniężnej w połączeniu z silnymi tendencjami demograficznymi, takimi jak starzenie się społeczeństw, postęp i rozpowszechnianie się wiedzy oraz superszybką ekspansję technologii dostępnych prosumptom - wiele jest powodów byśmy mogli spodziewać się eksplozji prosumpcji.

Tendencja do wyłączania pracy poza firmy poprzez zwiększanie prosumpcji jest tak silna, że na jednym z najświeższych komiksów o Gilbertcie widzimy menedżera przechwalającego się, że "z czasem, przy odrobinie powodzenia, tak wyszkolimy naszych klientów, że za nas będą produkowali i sami zajmą się dystrybucją." Jak się przekonamy w kolejnych rozdziałach, prawdopodobnie miał on rację.

Rozdział 26

Nadchodzi eksplozja prosumpcji

Nadchodząca eksplozja prosumpcji jest niedoceniana nie tylko w mediach biznesowych i finansowych, ale także w kręgach akademickich i rządowych. Prosumenci nie będą rządzili światem, ale będą kształtować nową gospodarkę. I rzucają wyzwanie niektórym największym na świecie firmom i branżom. A właściwie już rzucają.

Właśnie przekonaliśmy się, w jaki sposób - pracując na "trzecim etapie" - oddają darmową przysługę bankom, liniom lotniczym i bardzo wielu innym branżom. I przekonaliśmy się, jak bardzo zwiększa się wartość ekonomiczna ich wkładu w działanie opieki zdrowotnej. Historia prosumentów dopiero się zaczyna.

GITARY I TORBY NA KIJE DO GOLFA

Jeśli prosumenci kupują dzisiaj narzędzia i technologie dla zwiększenia swego "wyniku zdrowotnego", tak samo zachowują się w innych sferach. Według stanu na 2005 rok, Home Depot miał ponad 1800 sklepów w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie i Meksyku. Jako największy w Stanach Zjednoczonych detaliczny dostawca artykułów remontowych i dekoracyjnych do mieszkań zatrudnia 300 tysięcy osób i osiąga roczną sprzedaż rzędu 73 miliardów dolarów. Oferta sklepów tej sieci obejmuje czterdzieści tysięcy artykułów, głównie z zakresu "zrób to sam".

Wartość rynku "zrób to sam" (artykułów remontowo-dekoracyjnych) w Stanach Zjednoczonych szacuje się na 200 miliardów dolarów rocznie. Porównywalne dane z Japonii, gdzie domy są znacznie mniejsze i słabiej umeblowane, przekraczają kwotę 30 miliardów dolarów. W Niemczech firmy tej branży, na czele z Obi, Praktikerem i Bauhausem, osiągają sprzedaż rzędu 33 miliardów dolarów. W roku 2003 wartość sprzedaży europejskiego rynku "zrób to sam" szacowana była na 100 miliardów dolarów rocznie.

Cała ta działalność nabiera rozpędu za sprawą wzrostu popularności programów remontowych w telewizji. W Wielkiej Brytanii takie programy, jak *Changing Rooms* czy *Ground Force*, oferujące praktyczne informacje, porady dla majsterkowiczów, cieszyły się największą oglądalnością wśród programów emitowanych przez BBC. A kanały telewizji kablowej HGTV i DIY ogląda się w ponad 80 milionach amerykańskich domów i dwudziestu dziewięciu krajach - od Japonii, Australii i Tajlandii po Czechy i Węgry.

Jeśli prosumentom to nie wystarcza, mogą skorzystać z Internetu, np. z portalu RepairClinic.com, który sprzedaje części zapasowe do urządzeń domowych, lub z "RepairGuru" oferującego porady techniczne. Konkurencyjny portal, Point and Click Appliance Repair, zapewnia on-line profesjonalne diagnozowanie dowolnego sprzętu - od zamrażarek i lodówek po piekarniki i kuchenki mikrofalowe. Na stronie internetowej Sears majsterkowicze mają dostęp do "ponad 4,5 mln części do urządzeń, ogrodu, narzędzi elektrycznych i elektroniki domowej."

Prosumenci kupują od tych firm, następnie wkładają wiele wysiłku - czyli nie opłacanej pracy - w wytworzenie wartości ekonomicznej czy to poprzez dobudowanie nowego pokoju do istniejącego domu, czy to poprzez przedłużenie żywota pralki, czy wreszcie poprzez upiększenie swej posesji.

Podobnie inwestuje się nie opłacaną pracę w samodzielnie reperowane samochody, czego można się domyślać odwiedzając jeden z wielkich sklepów z częściami zamiennymi do samochodów. Wedle Automotive Aftermarket Industry Association, wartość sprzedaży części dla domorosłych mechaników w Stanach Zjednoczonych osiągnęła pułap blisko 37 miliardów dolarów rocznie.

Co więcej, "w roku 2002 podejmowano samodzielne prace w ogrodzie i na posesjach w prawie w 80 proc. amerykańskich gospodarstw domowych", jak wynika z danych National Gardening Association, które oszacowało łączne wydatki na blisko 40 miliardów dolarów. W znacznie mniejszej Anglii Brytyjczycy, "pasjonaci ogródków", jak określił ich tygodnik "Time", wydają 5 miliardów dolarów. Niemieccy ogródkowicze wydają 7 miliardów dolarów. W Japonii, gdzie prosumenci wyczarowują zieleń nawet w najmniejszych szczelinach pomiędzy budynkami, a ogródek uprawia co trzeci Japończyk (około 40 milionów ludzi), na narzędzia, rośliny i odżywki przeznacza się rocznie około 15 miliardów dolarów.

Żeby zająć się tego rodzaju prosumpcją, nie trzeba jednak sobie zbytnio kłaść rąk. Około 30 milionów Amerykanek para się szyciem, jako swoim hobby; są to głównie kobiety z wyższym wykształceniem - niemal jedna trzecia amerykańskiej populacji kobiet. A co więcej, kiedy już się taką sukienkę uszyje, można o nią odpowiednio zadbać za pomocą domowego zestawu do czyszczenia chemicznego, reklamowanego w eleganckich katalogach którymi jesteśmy wręcz zasypywani.

Dla tych, którzy tęsknią do prawdziwych wyzwań, przygotowano zestawy "zrób to sam" pozwalające prosumetom budować wszystko - od gitar elektrycznych i komputerów po kije golfowe, żaglówki, czteropokojowe dacje, a nawet samoloty zdolne do startowania w zawodach lotniczych.

ZACIEKŁY KONSUMERYZM?

Ekonomia tradycyjna traktuje tego typu zakupy jak konsumpcję, ale można też je rozumieć zgoła odmiennie. Tak naprawdę są one gigantycznymi inwestycjami w dobra kapitałowe, zwiększającymi wciąż w większości nie zmierzony wynik prosumpcji.

Dzisiaj, w gospodarkach rozwiniętych, wykaz dóbr kapitałowych, jakie można znaleźć w domu zwyczajnego robotnika, może się składać z pralki, suszarki, zmywarki do naczyń, kuchenki mikrofalowej, lodówki, gazowego lub elektrycznego pieca CO., klimatyzatora, tostera, ekspresu do kawy i być może wyciskarki do soków lub robota kuchennego oraz narzędzi do wykonywania prostych napraw, przedłużaczy elektrycznych itp.

Do tego musimy dodać komputery, kamery wideo, palmtopy i szeroki wachlarz innych urządzeń cyfrowych, dzięki którym "Zosie-samosie" mają dziś możliwość inwestować w papiery wartościowe na giełdzie, kupić dom, odnaleźć dawno zapomnianego krewnego czy zaprojektować pocztówkę według własnego pomysłu. Posługując się słowami tygodnika "Time", urządzenia cyfrowe

umożliwiają “każdemu, kto posiada choćby minimalne umiejętności komputerowe (...) produkowanie własnych filmów, programów telewizyjnych, albumów, książek, a nawet programów radiowych. Nagle samodzielne tworzenie rozrywki strasznie staniało. To marzenie “majsterkowiczów”! A szaleństwo rozrywki cyfrowej wciąż rośnie.”

Krytycy “zacieklego konsumeryzmu” potępiający zakupy tego rodzaju przedmiotów (choć sami w domu mają na pewno sporo z nich) nie potrafią zrozumieć ich znaczenia. Nie są one jednak materialnym wyrazem sknerstwa, ale raczej inwestycją w potęgę prosumpcji - zdolność samodzielnego wykonania większej liczby rzeczy dla siebie i dla rodziny; istotnie - przy jednoczesnym wycofaniu się, przynajmniej częściowo, z rynku. Umożliwiają nam wykonanie wielu zadań poza rynkiem, na którym musielibyśmy, w przeciwnym razie, zapłacić za ich wykonanie komuś innemu, oraz zadań, których kupić po prostu nie można.

Jeśli byśmy zagregowali wszystkie koszty samodzielnego aktywności tego typu - remontów mieszkań, napraw samochodów, prac ogrodowych, informatyki i twórczości cyfrowej - zamiast ponosić je kawałek po kawałku, otrzymalibyśmy kolosalną kwotę, która, przynajmniej częściowo, stanowi nie konsumpcję, ale inwestycje - inwestycje kapitałowe dokonywane przez prosumentów dla dodania wartości do systemu bogactwa.

A jeśli teraz dodamy do tej kwoty godziny poświęcane na używanie tych wszystkich narzędzi, zestawów i innych zakupionych towarów i hipotetycznie przypiszemy każdej naszej niezapłaconej a przepracowanej godzinie minimalną stawkę godzinową - otrzymamy jeszcze wyższe kwoty, które mogłyby zaszokować niejednego statystyka, jak również i wstrząsnąć obiegowymi poglądami na działanie systemu bogactwa.

Granica między pracą zapłaconą i niezapłaconą, pomiędzy wymierną wartością efektów działalności producenta i w zasadzie niezmierną wartością tego, co dają z siebie prosumenci, jest mylącą fikcją definicyjną. Po jednej stronie mamy gospodarkę pieniężną, po drugiej - niepieniężną. Obie jednak są niezbędne do funkcjonowania dzisiejszego systemu bogactwa; i tak właśnie należy rozumieć system bogactwa, jako całość, jeśli chce się czynić jakiegokolwiek plany na przyszłość.

CIASZTECZKA I SYMULACJE

Prosumenci przekraczają tę fikcyjną granicę w tę i z powrotem, jak gdyby w ogóle jej nie było. Na całym świecie powstają tysiące firm, kiedy prosumujący hobbyści zaczynają sprzedawać to, co wcześniej robili tylko dla siebie lub przyjaciół i sąsiadów.

Kiedy Don Davidson z miasteczka Wilson w stanie Connecticut, jeden z szefów wydawnictwa publikującego takie czasopisma, jak “Ladies’ Home Journal” oraz “Woman’s Day”, miał trochę ponad pięćdziesiąt lat, zaczął zastanawiać się, co będzie robić, kiedy skończy sześćdziesiątkę i przejdzie na emeryturę. Zawsze miał w domu dobrze wyposażony warsztat i spędzał weekendy na robotach stolarskich. A więc rzeczą naturalną wydawało się wykorzystanie swych umiejętności stolarskich w ramach prowadzonej na pół gwizdka działalności gospodarczej na czas emerytury.

Jedyną rzeczą, której nie przewidział, było to, że firma ta urosła do dobrze prosperującego biznesu rodzinnego, w którym zatrudnienie znalazło także dwóch jego wnuków.

Na przeciwległym krańcu Ameryki, w Piano, w Teksasie, Neil Planick rozwijał swe hobby, którym były wyścigi modeli samochodowych. Z pomocą miejskiego ośrodka wspierania przedsiębiorczości przekształcił swe hobby w Neil's Wheel Model Car Speedway.

Tak więc prosumenci w powyższych przykładach rozwijają i sprawdzają swe umiejętności i zainteresowania, które z czasem stają się dobrem rynkowym oferowanym przez małe firmy: kolejnym przejawem wkładu wartości w gospodarkę pieniężną.

Firmy zakładane przez prosumentów nie zawsze są takie małe i wyspecjalizowane. Spójrzmy na pewnego agenta w Hollywood - jako chłopak został usunięty z liceum, ale kiedy dorósł, został agentem teatralnym, a w latach sześćdziesiątych odkrył Simona i Garfunkela. Wkrótce zaczął reprezentować nie tylko ich interesy - także czołowych gwiazd muzycznych tej klasy, co Diana Ross czy Marvin Gaye.

Zainspirowany przez swą ciotkę Delię, zaczął hobbystycznie wypiekać ciasteczka, którymi częstował przyjaciół i rodzinę. "Doszło do tego - wspomina - że ludzie widząc mnie nie mówili »cześć«, ale pytali, »czy masz dla mnie ciasteczko?«"

"Wszyscy mi powtarzali, że powinienem otworzyć firmę cukierniczą, ale nie traktowałem tego wówczas poważnie."

Kiedy Wally Amos w końcu zdecydował się założyć firmę, rozpoczął sprzedaż ciasteczek "Famous Amos" z kawałkami czekolady. Dziś są jedną z najbardziej znanych marek w Stanach Zjednoczonych i liderem w branży cukierniczej. Ale to jeszcze nic!

HOLLYWOOD TO PESTKA!

Bywa, że prosumenci nie tylko przekształcają swe hobby w działalność gospodarczą. Czasami tworzą lub przyczyniają się do powstania całkowicie nowych branż. Przed dwudziestu pięciu laty wymyślne gry komputerowe i symulacje były głównie produkowane i używane przez wojsko. Jak piszą J.C. Herz i Michael R. Macedonia w artykule *Defence Horizons*, "przekształciły się one w wyspecjalizowane, sformalizowane i zhierarchizowane środowisko, ponieważ zamawiano sprofilowane, kosztowne aplikacje instalowane w potężnych komputerach." W przeciwieństwie do nich, w handlu oferowano wówczas prościutkie gry komputerowe dla entuzjastów, sprzedawane na miękkich dyskietkach i w woreczkach foliowych.

Artykuł wyjaśnia, że cywilni komputerowcy, dysponujący tanimi, słabymi komputerami, a nie superkomputerami wojskowymi, wnet utworzyli społeczności internetowe i wspólnie zaczęli modyfikować, dostosowywać i poprawiać dostępne w handlu gry, w sporej części militarne. Do końca lat dziewięćdziesiątych "niemal każda strategia i gra wojenna na rynku wyposażona była we wbudowaną funkcję edytowania oraz w narzędzia umożliwiające tworzenie własnych postaci lub scenariuszy."

Mówiąc krótko, gry dostępne w sklepach komputerowych zachęciły prosumentów do ich indywidualizowania, rozbudowywania i wzbogacania. Jaki jest efekt tego procesu dzisiaj? “W kategoriach innowacyjności branża gier komputerowych wyprzedza o całą długość strategiczne gry wojskowe, ponieważ ich użytkownicy mają silną motywację, są powiązani w skali ogólnoświatowej i stanowią zorganizowaną oddolnie wielomilionową rzeszę graczy, z których każdy chce prześcignąć innego.”

Innowacje prosumenckie w gospodarce niepieniężnej pomogły zatem rozwinąć branżę gier komputerowych, której wartość szacowana jest dziś na 20 miliardów dolarów, czyli - co może zaskoczyć niejednego - więcej niż wynosi wartość imperium filmowego Hollywood.

PROSUMPCJA ZBIOROWA

Jednak żaden inny przejaw współczesnego prosumowania nie wywarł równie gwałtownego wpływu na biznes i stosunki międzynarodowe, jak niewielkie przedsięwzięcie dwudziestoletniego studenta, które zatrzęsło branżą informatyczną - a niektórzy powiedzieliby nawet, że wręcz światowym systemem kapitalistycznym.

W czasie studiów na uniwersytecie w Helsinkach Linus Torvalds posługiwał się Minixem, odmianą systemu operacyjnego UNIX, jaki stosuje się w wielkich komputerach. Nie był z niego zbytnio zadowolony i podjął próbę utworzenia wersji systemu dla komputerów osobistych. Pracując nad tym projektem za darmo przez trzy lata, zdołał ogłosić w 1994 roku podstawę tego, co dziś znamy jako system operacyjny Linux.

Linux określono mianem “free-to-share”¹⁶, ponieważ w przeciwieństwie do opatentowanych produktów Microsoftu i innych firm posługuje się on jako podstawą ogólnie dostępnym, bezpłatnym kodem źródłowym. Dzięki temu każdy może dostosować Linux do swych własnych potrzeb lub też opierać na nim inne produkty komercyjne tak długo, jak długo dostęp do kodu będzie otwarty.

Dzisiaj system operacyjny Linux wspierany jest przez wielu producentów komputerów i posługują się nim miliony ludzi na całym świecie. Według “The New York Timesa” “posługuje się nim około 40 procent amerykańskich firm.”

Linux sprawdza się nie tylko w biznesie w USA. Jego oddziaływanie idzie znacznie dalej. Według stanu na rok 2005, rządy na całym świecie, poszukujące oszczędności i pragnące rozwijać własne branże programistyczne także propagują posługiwanie się Linuxem. W Chinach Linuxem posługuje się Poczta, Ministerstwo Handlu Zagranicznego i Centralna Telewizja Chińska, a rząd silnie naciska na urzędy państwowe na wszystkich szczeblach, aby przyjęły ten właśnie system operacyjny. Rząd brazylijski nakazał swoim agendom przejście na system Linux lub inne oprogramowanie otwarte. W Indiach zainstalowano Linux w banku centralnym i lokalnych wydziałach skarbowych. Według United Press International, “rządy na całym świecie zainwestowały ponad 2 miliardy dolarów w Linuxa”, a “ponad 160 różnych rządów na świecie posługuje się programami Linuxa.”

¹⁶ Free-to-share (ang.) - oprogramowanie rozpowszechniane bez jakichkolwiek restrykcji i opłat - przyp-tłum.

Linux przeskoczył poszczególne kraje i firmy i zagnieździł się na szczeblu regionalnym. Dlatego przedstawiciele Chin, Japonii i Korei Południowej spotkali się niedawno, aby omówić użytkowanie Linuxa w ramach wspólnej informatycznej polityki technologicznej.

Na tym jednak entuzjazm wobec Linuxa się nie kończy. W czasie konferencji informatycznej zorganizowanej przez ONZ wielkie kraje nawoływały delegatów, by ich państwa uznały oprogramowanie oparte na otwartych źródłach za sposób na likwidację podziałów informatycznych.

A wszystko to wzięło się z nie opłaconej pracy Torvaldsa i wielkiej, rozrzuconej przestrzenie sieci programistów - prosumentów, połączonych za pośrednictwem Internetu, dobrowolnie poświęcających swój czas i wysiłek dla wspólnego udoskonalenia produktu.

Torvalds i programiści posługujący się Linuxem wywarli zatem olbrzymi wpływ na gospodarkę pieniężną. Linux nie oznacza końca kapitalizmu, jak sugerowali niektórzy jego entuzjaści, ale stanowi kolejny dowód tego, jak poważnie działalność prosumencka wpływa na gospodarkę pieniężną.

A Linux jest tylko częścią jeszcze obszerniejszej historii.

BURZENIE HIERARCHII

Jeśli wiedza jest jednym z głębokich fundamentów, od których coraz silniej uzależnione jest rewolucyjne bogactwo - to, w jaki sposób zyskujemy dostęp do wiedzy i jak ją organizujemy, odnosi się wprost do wzrostu gospodarki pieniężnej. Dzisiaj niemal nie można wyobrazić sobie świata bez Internetu, a Internetu bez tego, co określamy mianem Word Wide Web - czyli dwóch najpotężniejszych narzędzi intelektualnych, jakie kiedykolwiek wynaleziono¹⁷.

Sieć (Web) - wszechobecne www - łączy w sobie Internet ze zdolnością krzyżowego łączenia danych, informacji i wiedzy każdego rodzaju w zupełnie nowy sposób. Trudno jest zapamiętać, jak wyglądał świat w latach osiemdziesiątych, kiedy młody inżynier programista w CERN (the Center for European Nuclear Research; Europejski Ośrodek Badań Jądrowych) w Genewie zaczął myśleć o tym, jak zdobyć dostęp do rozrzuconych, niehierarchicznych kawałków i fragmentów wiedzy i jak je powiązać ze sobą.

Często nazywany Ojcem Sieci, Tim Berners-Lee w swej książce *Weaving the Web*, wspomina czasy CERN: "Napisałem *Enquiry*, mój pierwszy program dostosowany do sieci (...) w moim czasie wolnym, osobistym, właściwie wyłącznie z tej niezbyt wzniosłej przyczyny, żeby zapamiętać połączenia pomiędzy różnymi ludźmi, komputerami i projektami w laboratorium." Mówiąc krótko, sama Sieć była wynikiem prosumpcji.

¹⁷ Internet (ang.) - słownikowo, to połączenie dwóch angielskich słów: inter - między oraz net - sieć. Internet to sieć komputerowa o ogólnoświatowym zasięgu, która łączy inne, mniejsze sieci oraz podłączone do nich komputery. Internet jest platformą wykorzystywaną m.in. przez pocztę elektroniczną (e-mail). Natomiast World Wide Web (dost., ang.) - Ogólnoświatowa Pajęczyna/Sieć/Tkanina; w skrócie WWW) - mylnie niekiedy utożsamiany z Internetem, jest czymś zgoła innym, mianowicie systemem informacyjnym składającym się z powiązanych wzajemnie dokumentów wyposażonych w hipertekst oraz hiperłącza, czyli tzw. linki. Dokumenty WWW ogląda się za pomocą przeglądarek internetowych. Reasumując: World Wide Web to system udostępniania wiedzy, zaś Internet to infrastruktura wykorzystywana w tym celu - przyp. tłum.

Wynikiem tego było narzędzie intelektualne, które przekształciło nie tylko sposób myślenia naszej kultury i uczenia się młodych ludzi, ale także w coraz większym stopniu sposób wytwarzania pieniądza, sposób działania biznesu, funkcjonowania gospodarki i wytwarzania bogactwa.

Co więcej: jeśli przykłady Torvaldsa i Berners-Lee nie wystarczają, o czym świadczy sam Internet i trzy miliardy stron internetowych, które w sporej części stanowią produkt prosumpcji? Dziesiątki, jeśli nie setki tysięcy prosumujących profesorów i studentów, często w czasie wolnym od zajęć, wyciskają z siebie siódme poty, żeby wypełnić Internet pracami akademickimi i wynikami badań na każdy temat, jaki można sobie wyobrazić od historii średniowiecznej po matematykę.

Naukowcy posługując się Internetem - co rewolucjonizuje nasze relacje wobec głębokich fundamentów przestrzeni i wiedzy - również często w nie opłacanym czasie, wspólnie debatują nad najnowszymi odkryciami dowolnej dyscypliny nauki, od proteomiki po plastykę. Metalurzy i menadżerowie, publicyści i eksperci w dziedzinie wojskowości przekopują się przez miliardy internetowych stron wypełnionych informacjami i bez trudu dokładają się do tych zasobów. A setki tysięcy domorosłych dziennikarzy pisze lub komentuje informacje o bieżących wydarzeniach na swych własnych stronach lub w swoich blogach.

Załóżmy, że bezlitośnie odejmiemy, powiedzmy, 95 proc. wszystkich tych stron w Internecie, ponieważ uznamy, że akurat tyle to czysto komercyjne przedsięwzięcia lub zgoła bezsensowne, głupie, niedokładne lub atrakcyjne tylko dla bardzo nielicznych użytkowników. Ale nadal zostanie nam 150 milionów stron internetowych o zawartości, którą można przeszukiwać, łączyć albo zestawiać w niezliczone wzory, odnajdując świeże, wizjonerskie sposoby myślenia o niemal każdym aspekcie tworzenia bogactwa.

Te nieustannie powiększające się zasoby Internetu są wynikiem, między innymi, jednego z największych przedsięwzięć ochotniczych w dziejach ludzkości. Prosumenci, poprzez swój wkład w strukturę i zawartość, przyspieszają innowacje na widzialnym rynku. Są też częściowo odpowiedzialni za zmiany w tym, jak, kiedy i gdzie pracujemy, w jaki sposób firmy łączą się z klientami i dostawcami oraz, właściwie, chyba w każdym aspekcie widzialnej gospodarki.

Ekonomiści mogą wciąż sprzeczać się, czy istotnie Internet przyczynia się do tego, co oni nazywają "wzrostem." Mogą z uporem ignorować wzrost wytworzony przez prosumentów. Ale nie rozumieją jego znaczenia, dopóki będą lekceważyć fascynujące, skomplikowane współbrzmienie gospodarki widocznej i tej ukrytej - ujawniające się czy to w kształcie rodzicielstwa, poprawie zdrowia, angażowaniu się w samodzielne projekty w stylu "zrób to sam," zakładaniu nowych firm, odkrywaniu nowych potrzeb, zapowiadaniu nowych produktów, pisaniu bezpłatnych programów komputerowych czy ułatwianiu dostępu i organizowaniu olbrzymich ilości wiedzy niezbędnej w gospodarce intelektualnej.

To właśnie wtedy, kiedy zestawiamy obie te gospodarki ze sobą - pieniężną i jej ukrytą, drugą połowę - poznajemy tak zwany system wytwarzania bogactwa. A skoro tego dokonamy, odkrywamy inny fakt: system pieniężny znacznie się rozszerzy. Ale to, co robimy bez pieniędzy, będzie miało

coraz większy wpływ na to, co robimy za pieniądze. Prosumenci są cichymi bohaterami gospodarki jutra.

Rozdział 27

Lunch za darmo

Kiedy Rosalyn Bettiford, czterdziestosiedmioletnia pani redaktor, przyjechała do swego domku na działce w Washington, w stanie Connecticut - oddalonego o dwie godziny jazdy samochodem od Manhattanu - nastąpiła chłodna, lipcowa noc. Jej nastoletni syn spał już w swoim pokoju. W salonie było ciemno. Kiedy oczy przyzwyczyły się do ciemności, zauważyła, że jedno z wielkich, przesuwanych okien jest otwarte na oścież. Sięgnęła do klamki, aby je zamknąć, kiedy ciężkie skrzydło okienne nagle wysunęło się ze swego toru - straciła równowagę i z krzykiem, wśród odłamków szkła, upadła na posadzkę tarasu, trzy metry poniżej.

Wskutek tego upadku Rosalyn (imię zmieniliśmy ze względu na dyskrecję, ale opisywany przypadek jest prawdziwy) doznała licznych złamań kości czaszki, kilku kręgow, złamała ramię i zgruchotała sobie wszystkie palce u nóg. Jej przerażony syn znalazł ją jęczącą i w półprzytomną; z jej uszu wylewał się bezbarwny płyn.

Młodzi mężczyźni, którzy przybyli w kilka minut później, szybko unieruchomili jej ramię i z pedałem gazu wciśniętym do oporu zawieźli ją, gnając przez polne drogi, do najbliższego szpitala. W ten sposób uratowali jej życie i usunęli się w cień, kiedy tylko miejsce przy boku kobiety zajęli lekarze. Następnego dnia pojawili się przy jej szpitalnym łóżku, aby dowiedzieć się, jak się czuje. Byli członkami ochotniczej miejscowej straży pożarnej. Rosalyn i jej rodzina nie musieli przechodzić koszmaru 11 Września, aby przekonać się, jak szeroki zakres umiejętności posiadają ochotnicy w straży ogniowej, i to nie tylko w Stanach Zjednoczonych.

W Japonii w 2001 roku można było doliczyć się 951 069 mężczyzn będących członkami *shobodan* - lokalnych stowarzyszeń strażaków-ochotników. Podobne grupy istnieją w Austrii, Kanadzie, Finlandii, Niemczech Włoszech, Portugalii, Republice Południowej Afryki i innych krajach. Ich członkowie ryzykują - a nazbyt często i tracą - życie.

W kategoriach ekonomicznych ochotnicy są prosumentami, dostarczającymi wartościowych usług bez wynagrodzenia za czas, umiejętności i ryzyko.

Skala pracy wolontariuszy w Stanach Zjednoczonych jest olbrzymia: około 110 milionów ludzi poświęca przynajmniej kilka godzin tygodniowo na nie opłacaną pracę ochotniczą. Według raportu Independent Sector, stowarzyszenia darczyńców i organizacji non-profit, z 2001 roku, łączny wymiar pracy ochotniczej w Stanach Zjednoczonych szacuje się na 15,5 mld godzin. Wolontariusze wydają posiłki, opiekują się chorymi, zajmują się zdobywaniem funduszy na działalność społeczną różnego rodzaju, załatwiają sprawy innych osób lub sprawują rozmaite funkcje w parafiach i innych organizacjach pozarządowych. W raporcie zawarto szacunki, według których łączna wartość tych nie opłaconych wysiłków w wymiarze finansowym wynosi około 239 miliardów dolarów - co stanowi jeszcze jedną korzyść gospodarki widocznej, i to za darmo!

W roku 2005 huragany Katrina i Rita zdewastowały Wybrzeże Zatoki Meksykańskiej w Stanach Zjednoczonych, niszcząc setki tysięcy domów i miejsc pracy, doprowadzając zarazem do niemal całkowitego załamania rządowych działań ratunkowych. Tymczasem ochotnicy z całego Południa otwarli drzwi do swych domów dla uchodźców, oferując im żywność, opiekę medyczną i inne świadczenia.

A oto przykład z Japonii. Tamtejsze pogotowie energetyczne było poważnie niedorozwinięte aż do chwili, kiedy rejon Kobe został dotknięty trzęsieniem ziemi "Wielki Hanshin" w dniu 17 stycznia 1995 roku. Katastrofa ta zelektryzowała społeczeństwo i 1,35 miliona ochotników pośpieszyło z pomocą przy odbudowie, w opiece medycznej, zapewnianiu dostaw wody i żywności oraz pomocy doradczej. Jaki był pieniężny ekwiwalent tych usług dla gospodarki japońskiej? Czy jakkolwiek ich część wzięto pod uwagę przy obliczaniu PKB Japonii? A co bardziej istotne - jaka była ich wartość w wymiarze ludzkim?

Szacuje się, że w Korei Południowej pracuje około 6,5 mln wolontariuszy. Zapewniają pomoc po powodziach spowodowanych tajfunami. Pomagają budować domy wraz z organizacją Habitat for Humanity. Uczą uchodźców z Korei Północnej, jak mają się zaadaptować do życia na południu.

We Włoszech ochotnicy pomagają opiekować się chorymi na raka oraz pracują w hospicjach. A kiedy w 2002 roku bezprecedensowe powodzie pojawiły się w Niemczech, dziesiątki tysięcy ochotników ruszyło z odległych krańców kraju, aby walczyć z przybierającą wodą.

Wszystkie te działania są częścią ukrytej połowy gospodarki - w dużej mierze nie księgowanej - stanowiącej część systemu bogactwa każdego kraju. Jeśliby obliczyć prawidłowo ich pełną wartość, zmieniłoby to wiele decyzji obecnie podejmowanych przez liderów biznesu i polityków.

NAUCZYCIELE, PIELĘGNIARKI I KONIE

Kiedy gospodarki były lokalne i zdecentralizowane, prosumowanie także było ściśle lokalnym zjawiskiem. Wraz z powstaniem rynków ogólnokrajowych oraz państw narodowych pomocne ręce sięgnęły nieco dalej, poza granice miasteczka czy dzielnicy. Ostatnio, ponieważ gospodarki się globalizują czy też re-globalizują - wiele organizacji ochotniczych także nabiera ogólnoswiatowego charakteru, rozszerzając definicję społeczności w taki sposób, aby objąć nią całą ludzkość i także samo rozciągając swą działalność w każdej dziedzinie.

W bród jest przykładów międzynarodowego wolontariatu. W roku 1989, po trzęsieniu ziemi w San Francisco, Japońska Grupa Ratunkowa zorganizowała lotniczy transport nad Pacyfikiem dla wolontariuszy - studentów, którzy pomagali następnie ofiarom. Kiedy w 2002 roku w Zimbabwie pozostawiono na pastwę losu tysiące wygłodniałych koni, które należały do tamtejszych, wypędzonych z ziemi chłopów, ochotnicy z tak odległych zakątków świata, jak Szkocja, Szwajcaria oraz Republika Południowej Afryki pośpieszyli z pomocą wynędzniałym zwierzętom.

Na znacznie większą skalę Czerwony Krzyż i Czerwony Półksiężyc działają w 178 krajach na całym świecie. Instytucje te szacują liczbę swych wolontariuszy na 105 milionów osób i, podobnie jak inne organizacje pozarządowe o zasięgu ogólnoswiatowym, wysyłają lekarzy, pielęgniarki,

nauczycieli, agrotechników i innych specjalistów we wszystkie zakątki świata, by nieodpłatnie świadczyli profesjonalne usługi. Niemal za każdym razem do tych specjalistów dołączają miejscowi ochotnicy, wspomagający ich w walce z kryzysem czy w działaniach ratunkowych.

Nic jednak nie wytrzymuje porównania z istnym pospolitym ruszeniem wolontariuszy po uderzeniu wielkiego tsunami w grudniu 2004 roku. Rządy i organizacje publicznie obiecywały wielkie kwoty pieniędzy na działania ratunkowe. W sporej części potrzeba było sporo czasu na zmaterializowanie tych obietnic, jeśli w ogóle przyrzeczone pieniądze kiedykolwiek dotarły do potrzebujących. Tymczasem całkiem inaczej zachowali się wolontariusze - wyruszywszy z każdego niemal zakątka na świecie natychmiast pojawili się na miejscu katastrofy. Rząd australijski musiał wręcz zlikwidować infolinię dla ochotników po zarejestrowaniu dziesięciu tysięcy chętnych; skala naboru przekroczyła "najśmielsze oczekiwania". Organizacje ratunkowe na całym świecie zostały wprost zasypane zgłoszeniami ochotników, których wielu musiały odesłać z kwitkiem. Chęć bezinteresownego niesienia pomocy zgłosili krótkofalowcy amatorzy, piloci, pielęgniarki, nauczyciele, budowlańcy i trowcy.

Tak oto ukazało się nam niewidzialne bogactwo, ponad ofiarami pieniężnymi przesyłanymi z kraju do kraju i z jednego krańca Ziemi - na drugi.

AMATORZY MAJĄ GŁOS

W dzisiejszym, silnie profesjonalizowanym świecie termin "amator" wywołuje lekceważące uśmiešky na twarzach szefów firm i ekonomistów. A jednak na przestrzeni wieków nie opłacani amatorzy, pracujący dla samych siebie, swoich rodzin i sąsiadów, mogli poszczycić się wspaniałymi osiągnięciami w najróżniejszych dziedzinach, nie wyłączając z nich nauki i technologii.

Ponieważ nauka nie zawsze była opłacalnym zajęciem, pierwsi naukowcy byli niemal bez wyjątku amatorami. Wielu zyskało status opłacanych specjalistów w określonej dyscyplinie, ale największe zasługi historyczne odnieśli jako dorywczy prosumenci. Joseph Priestley, który w roku 1774 odkrył tlen, był politykiem. Pierre de Fermat, którego "zasada" przez całe stulecia frapowała matematyków, był prawnikiem. A Benjamin Franklin - drukarz, wydawca i mąż stanu - w czasie wolnym badał prądy oceaniczne, wynalazł przy okazji okulary dwuogniskowe i wykazał, że uderzenia piorunów są w istocie wyładowaniami elektrycznymi. On także był prosumentem.

Dzisiaj prosumujący amatorzy gromadzą wielkie ilości wartościowych danych na temat środowiska naturalnego, na przykład dane sejsmologiczne na Filipinach. Ale naprawdę ważnych odkryć dokonują amatorzy, często we współpracy z zawodowcami - w astronomii i kosmosie. Amatorzy zaczęli się w tej dziedzinie ujawniać dość szybko.

Kiedy *Sputnik*, pierwszy sztuczny satelita Ziemi, trafił na orbitę w roku 1957, amatorzy na całym świecie, zorganizowani przez astronoma Freda Whipple, dyrektora Obserwatorium Astronomicznego Smithsonian, zaczęli śledzić go na niebie. Ich wysiłek ochrzczono mianem Moonwatch. W swej książce *Trackers of the Skies* E. Nelson Hayes napisał: "Akcja Moonwatch wykazała, że amatorzy mogą wiele zdziałać, jeśli są odpowiednio zainspirowani i kierowani." Dzisiaj

astronomowie-amatorzy, oprócz innych rzeczy, nanoszą asteroidy na mapy i śledzą inne, potencjalnie niebezpieczne obiekty w przestrzeni międzygwiazdnej.

Generał brygady Simon "Pete" Worden, były astronauta, powiedział niedawno Komisji Senatu USA ds. Nauki, że małe obiekty "na skalę broni nuklearnej" wdzierają się w górne warstwy atmosfery ziemskiej z częstotliwością około raz na dwa tygodnie. W czerwcu 2002 roku do takiego wydarzenia doszło nad Morzem Śródziemnym; doszło wówczas do uwolnienia energii rzędu trzydziestu kiloton - większej niż w czasie zrzucenia bomby atomowej na Hiroszimę.

"Gdyby do tego doszło nad Indiami lub Pakistanem - stwierdził Worden - mogłoby to wywołać wojnę nuklearną." Zwracając uwagę na takie, mało prawdopodobne, ale potencjalnie niszczycielskie zagrożenia oddał hołd amatorskim obserwatorom, wskazując, że wielu z nich "to bynajmniej nie amatorzy."

Według Richarda Nugenta, jednego z takich właśnie amatorów tropiących asteroidy, publikującego na łamach "Starscan", biuletynu Towarzystwa Astronomicznego Ośrodka Kosmicznego im. L. Johnsona (Johnson Space Center Astronomical Society), "amatorzy doganiają profesjonalistów w niektórych dziedzinach, a w innych nawet ich prześcigają, jak na przykład w zakresie śledzenia asteroidów, nowych, supernowych, gwiazd zmiennych, zaćmień, kul ognistych, meteorytów, obserwacji planetarnych, ruchów satelitów i innych wyjątkowych wydarzeń."

Ponieważ instrumenty obserwacyjne są coraz tańsze, mniejsze, lepszej jakości i większej mocy, coraz bardziej możliwe są przyszłe zmiany w naszych odniesieniach wobec głębokich fundamentów wiedzy, a amatorzy mają większe możliwości zaistnienia w nowych dyscyplinach. A to prowadzi do kolejnych, pomijanych zaś z reguły, dokonań prosumentów.

KSIĄŻKI NIEZBYT KUCHARSKIE

Dosłownie każdego dnia niezliczone rzesze wolontariuszy na świecie wsiadają do samochodów i pędzą do szkół, kościołów, meczetów, synagog, szpitali, placów zabaw i domów kultury, aby świadczyć bezpłatnie swe usługi. Pomagają też w zakupach sąsiadom czy zawożą chorych krewnych do lekarza. Nikt nie wie, ileż to milionów kilometrów pokonują łącznie w ciągu roku, ile spalają benzyny lub też w jakim stopniu zużywają swe samochody -tworząc nie opłacaną wartość.

Oprócz tego, że wnoszą darmowo konkretną wartość do gospodarki pieniężnej, poświęcając swój niezapłacony czas i ofiarując pracę - dają także to, co wchodzi w skład aktywów prosumenckich - zużycie samochodów - a co umożliwia wytworzenie lub powiększenie wartości, jaką generują dla innych. To kolejny "lunch za darmo". (To prawda, że w Stanach Zjednoczonych, jeśli się trują, mogą odzyskać niewielką część swych wydatków w formie ulgi podatkowej, ale bardzo wątpliwe jest to, że większość wolontariuszy korzysta z tego prawa).

Używanie samochodów jednakże nie jest jedynym przykładem działania kapitału prosumenckiego. Jak się przekonaliśmy, prosumenci jako grupa wydają znaczne kwoty na zakup maszyn i narzędzi, czyli - dokładniej mówiąc - inwestują w dobra kapitałowe używane w prosumpcji. Mowa tu o najróżniejszych narzędziach, począwszy od teleskopów, maszyn do szycia i cyfrowych

testerów poziomu cholesterolu aż po samochody i inne urządzenia. A w nowej, coraz szybciej rozpowszechniającej się praktyce pojawia się nowy wzorzec postępowania: ci prosumenci, którzy są zbyt zajęci, czasami ochotniczo przekazują swe maszyny zamiast samej pracy. Wystarczy, że przeanalizujemy tego typu aktywność i już możemy odłożyć na półkę niektóre podręczniki ekonomii.

NA ZIEMIĘ...

Najbardziej znany jest przypadek SETI, the Search for Extraterrestrial Intelligence (Poszukiwanie Inteligencji Pozaziemskiej). Wprawdzie prawdopodobieństwo odnalezienia życia gdzieś w kosmosie, nie mówiąc już o życiu "inteligentnym", jest znikome, to jednak nie sposób nie docenić naukowych, filozoficznych i kulturalnych implikacji takich odkryć. A zatem ochotnicy zgłosili chęć pomocy.

Poszukiwanie wymaga zbioru olbrzymich ilości danych pochodzących z teleskopów radiowych, a ich analiza - o wiele więcej mocy superkomputerowej niż może zapewnić jakikolwiek pojedynczy komputer. Z tego powodu dwóch naukowców - informatyków ze Seattle, Craig Kasnoff i David Gedye - postawiło pytanie, czy nie mogliby - gdyby nie uzyskali dostępu do superkomputerów - stworzyć wirtualnego superkomputera, który byłby w stanie wykonać to zadanie.

Uznali, że mogą zbudować taki komputer, gdyby udało im się połączyć użytkowników komputerów osobistych za pośrednictwem Internetu, przy założeniu, że umożliwiliby oni swobodny dostęp do swoich maszyn i zezwolili badaczom SETI na posługiwanie się nimi w czasie, kiedy nie są używane do innych celów.

Kasnoff i Gedye mieli nadzieję, że w wariacie optymistycznym uda im się połączyć aż kilkaset tysięcy komputerów. Wiosną 2002 roku okazało się, że ponad 3,5 miliona użytkowników popularnych "PC-tów" udostępniło przedsięwzięciu organizowanemu przez SETI ponad milion lat czasu pracy procesorów. W wyniku tego powstał projekt badawczy zarządzany z University of California/Berkeley. W ramach tego projektu codziennie wysyła się sześćset tysięcy pakietów danych, które następnie przetwarzane są na prywatnych komputerach. Według Planetary Society (Towarzystwa Planetarnego), "sama siła milionów komputerów na całym świecie sprawiła, że SETI@home jest najbardziej dogłębnym badaniem przestworzy, jakie kiedykolwiek prowadzono."

ATAK WĄGLIKA

Model wypracowany przez SETI był wykorzystywany także przez innych. Naukowcy z Oxford University i inni zwrócili się do internautów na całym świecie z prośbą o pomoc w badaniach nad czarną ospą, rakiem, AIDS, zmianami klimatu i innymi ważnymi zjawiskami.

Kiedy na Wzgórzu Kapitołińskim w Waszyngtonie i w paru innych miejscach, po ataku terrorystycznym na Amerykę 11 września 2001 roku pojawiły się koperty zawierające węgiel, doszło do wybuchu ogólnonarodowej paniki. Trzy firmy zareagowały błyskawicznie: Microsoft, Intel i United Devices, a także Oxford University oraz National Foundation for Cancer Research (Amerykańska Fundacja Badań nad Rakiem). Wspólnie uruchomiły akcję poszukiwania molekuł, które byłyby w stanie zablokować śmiertelne działanie węgla. W ciągu dwudziestu czterech dni prześwietlili

3,5 miliarda różnych składników. Dzięki temu naukowcy mogli wyeliminować, jako pozostające bez związku, większość z nich. Pozostało 300 tysięcy składników, spośród których wybrano 12 tysięcy priorytetowych. W ramach przedsięwzięcia odkryto też liczbę potencjalnie pożytecznych składników, które zostałyby przeoczone, gdyby stosowano metody tradycyjne.

Nawet przy poparciu takich gigantów, jak Microsoft czy Intel, przełomu tego nie udało się osiągnąć bez wkładu prosumentów-ochotników. Badanie cząstek blokujących węglika częściowo dokonywało się na maszynach pozyskanych już do badań nad rakiem, a częściowo pozyskano nowe komputery. Łącznie w przedsięwzięciu wzięło udział ponad 1,35 miliona ludzi od Meksyku po Chiny i od Gwinei Równikowej po Azerbejdżan. W Stanach Zjednoczonych ochotnicy udostępniili ponad 100 tysięcy "pecetów," w Niemczech 14 tysięcy, Francuzi zgłosili 4,4 tysiąca, a z Korei Południowej na potrzeby tego projektu pozyskano 1593 komputery. W akcji uczestniczyły nawet cztery komputery z Afganistanu, co - wobec trwającego tam polowania na broń biologiczną Al Kaidy - mogło wywołać lekką konsternację.

Innowacje komputerowe zainicjowane przez SETI oraz badaczy zajmujących się węglikami i rakiem rozwinęły się gwałtownie w swego rodzaju matrycę czy schemat "obliczeń dystrybuowanych." Naśladując przedsięwzięcia prosumenckie, tysiące firm utworzyły swe własne, wewnętrzne matryce, których zadaniem było wykorzystanie nieużywanych mocy własnych komputerów i tak połączonych w firmową sieć.

A zatem stykamy się tu z jeszcze jedną formą darmowych świadczeń ze strony przedsięwzięć prosumenckich na rzecz gospodarki pieniężnej - w tym przypadku testowania potężnych innowacji na bardzo wstępnym etapie - która przeobraziła się w rynek o multimiliardowej wartości w ramach gospodarki pieniężnej. Po raz kolejny widzimy, że ściana oddzielająca świat komercyjny od świata prosumentów nie istnieje.

Przykład powyższy stanowi też dowód na to, że decydenci w świecie biznesu oraz w świecie polityki muszą zrozumieć i lepiej wykorzystywać fenomen tego "lunchu za darmo." Stwierdzenie to jest tym ważniejsze, że najprawdopodobniej prosumowanie, już dziś znacznie większe niż ktokolwiek z nas mógłby przypuszczać, będzie się jeszcze powiększać. Motorem tego wzrostu będą wzajemnie napędzające się siły społeczne, kulturalne i czynniki demograficzne, które z kolei same wpłyną na rozwój nowych technologii prosumenckich. A zatem wraz ze starzeniem się społeczeństwa amerykańskiego pojawi się całkowicie nowy typ emeryta.

Podobnie jak wiele innych linii granicznych, tak samo zaciera się granica pomiędzy pracą a emeryturą, skoro o wiele więcej starszych osób mieści się w kategorii pół-emerytów, wykorzystując nie opłacany czas na pracę w charakterze wolontariuszy i inne działania prosumenckie. Wedle AARP, organizacji skupiającej Amerykanów powyżej 50 roku życia, ta grupa wiekowa stanowi rdzeń wolontariatu w Stanach Zjednoczonych. Organizacja przewiduje, że wolontariat będzie się rozwijał wraz z przedłużaniem się życia, poprawy stanu zdrowia i niechęci do bezproduktywnego trybu życia. Taki sam mechanizm widoczny jest w Japonii.

Podobnie rzecz ma się z ciągłym zwiększaniem tempa zmian: wskazuje ono na stosunkowo wysoki poziom bezrobocia przejściowego - okresowego pozostawania bez zajęcia, w związku ze zmianą miejsca pracy, zawodu, przeprowadzek do innych miast. Dzisiaj "przejściowi wolontariusze" pracujący za darmo dla organizacji non-profit (działających nie dla zysku), to także specjaliści rozmaitych dziedzin - prawnicy, księgowi, znawcy marketingu, projektanci stron internetowych i tym podobni.

A oprócz tego wszystkiego, Internet przyczyni się do powstania tymczasowych ugrupowań różnego typu w związku z nowatorskimi, nieznanymi nawet dzisiaj działaniami prosumenckimi, a wraz z nimi bardzo często powodować będzie powstawanie tymczasowych rynków, nie wyłączając rynków nasyconych nowymi technologiami. Technologie te z kolei jeszcze bardziej zdywersyfikują prosumentów i wzmocnią ich pozycję.

Ten samonapędzający się proces dopiero się rozpoczął. Kiedy nabierze rozpędu, zmusi nas do tego, byśmy wreszcie zauważyli tę ukrytą połowę powstającego, rewolucyjnego systemu bogactwa - ale także poważnego ryzyka oraz fantastycznych możliwości, jakie z sobą niesie.

Jeśli wciąż masz wątpliwości, drogi Czytelniku, posłuchaj teraz dźwięków muzyki.

Rozdział 28

Muzyczna burza

W 1970 roku, w czasach rozkwitu kultury długowłosych, popalających trawkę hipisów, w wielu księgarniach w Stanach Zjednoczonych pojawiła się rozprawka Abbie Hoffman zatytułowana *Steal This Book* (mimo że niektórzy wkurzeni właściciele księgarni nie chcieli w ogóle jej sprzedawać; (ang. - *Ukradnij tę książkę*). Przesłanie płynące z jej tytułu, że własność lub posiadanie są z gruntu złe, samo w sobie było odpryskiem dziewiętnastowiecznej retoryki anarchistycznej. Natrafiło na pełnych entuzjazmu odbiorców. Tak bardzo entuzjastycznych, że pewnego ranka, kiedy nasza świeżo opublikowana książka *Szok przyszłości* wystawiona była w oknie księgarni Eight Street Bookshop w Greenwich Village, słynnej wówczas literackiej księżnicy, byliśmy świadkami, jak pewien młody klient wziął egzemplarz książki z półki, pokazał go równie młodemu sprzedawcy za ladą i zapytał o cenę.

“8 dolarów 95 centów” - odparł sprzedawca.

Speszony klient odłożył książkę i powiedział, że nie ma dość pieniędzy.

Na co sprzedawca radośnie odpowiedział: “Niecو dalej przy tej samej ulicy jest inna księgarnia. Możesz tam pójść i ukraść książkę.”

Ależ by się ucieszyła pani Hoffman, słysząc tę pogawędkę!

Ale zdarzyło się to w epoce Paleolitu, bo tak należałoby określić tamte czasy, jeśli wziąć pod uwagę prawo własności intelektualnej. Gdyby Hoffman żyła dzisiaj, bez wątpienia tytuł jej książki brzmiałby mniej więcej tak: *Ukradnij tę książkę i rozpowszechniaj ją bezpłatnie w Internecie wśród 80 000 000 ludzi*.

Dziś kontrowersje na całym świecie wzbudzają zagadnienia własności intelektualnej. Tym, którzy otrzymują wynagrodzenie w postaci stałej wypłaty i starają się przygotować swe dzieci do życia w przyszłym świecie, może się to wydawać sprawą uboczną i to nieco abstrakcyjną, jednak w istocie chodzi tu o grube miliardy dolarów, a także o los wielu naszych miejsc pracy i naszych najważniejszych dziedzin gospodarki. Za chwilę dokładniej wyłożymy te zagadnienia.

Ważniejsze jednak tutaj jest to, żeby uznać, iż kluczową rolę w tej ogólnoswiatowej walce odgrywają prosumenci i prosumpcja. Jeśli to zrozumiemy, z większą ostrością dostrzeżemy zadziwiający obraz tego, jak powstawać będzie bogactwo w przyszłości.

ESTOŃSCY KOMPUTEROWCY

Kiedy kochający muzykę, uparty osiemnastolatek w czapce z daszkiem na głowie zaczął bawić się nowym programem komputerowym - ani on, ani nikt inny nie przewidywał, jaką tym wywoła burzę.

Dla tych, którzy używają zatyczek do uszu, albo którzy przespałi pierwsze lata XXI wieku wyjaśniamy, o co chodzi. Otóż Napster - firma założona przez owego osiemnastolatka -

udostępniała oprogramowanie umożliwiające około osiemdziesięciu milionom dzieciaków bez przeszkód wymieniać się piosenkami ulubionych zespołów bez zważania na prawa autorskie. Nastolatek, który rozpoczął ten proceder, to Shaw Fanning, przez jednych ubóstwiany, a przez innych potępiany na pierwszych stronach gazet na całym świecie.

Cóż takiego zrobił? Udostępnił potężną, nową technologię, umożliwiającą wyprowadzanie produktów "na sprzedaż" poza gospodarkę pieniężną i wprowadzanie ich do gospodarki niepieniężnej - prosumenckiej połowy systemu bogactwa.

Bardzo szybko okazało się, że fani ściągają 2,8 miliarda mocno skompresowanych piosenek: całkowicie bezpłatnie, w wyniku zagłądania do cudzych komputerów - za zgodą ich użytkowników - i transferowania piosenek, które im się podobają na swoje własne PC-ty. Następnie, bardzo często, modyfikowali je lub po prostu się nimi wymieniali.

Żeby posłużyć się słowami Davida Benveniste, wziętego menadżera muzycznego: "Dzieciaki dzisiaj są tak łebskie, że potrafią wyszukać w Internecie, ściągnąć, rozpowszechnić i wyprodukować dowolny utwór lub technologię. Mogą ściągnąć piosenkę, wysłać ją kumplowi w Afryce Północnej, zremiksować wedle swego upodobania, dorobić do niej własny wideoklip i traktować jak swoje własne dzieło... Cała ta technologia daje im wielką siłę." Warto dodać, że potrafią to wszystko zrobić błyskawicznie.

Napster, o czym teraz wiemy, został w końcu zaskarżony przez branżę muzyczną, zamknięty nakazem Sądu Federalnego USA i zmartwychwstał jako serwis odpłatny - czyli wepchnięty z powrotem do gospodarki pieniężnej. Ale bitwa o bezpłatne wymienianie się plikami bynajmniej nie została zakończona. Napster był tylko pierwszym ostrzeżeniem. Burza, jaką wywołał, wcale nie przypominała muzyki lekkiej, łatwej i przyjemnej.

Nie minęło zbyt wiele czasu i pałeczkę sztafetową przejął Kazaa, stworzony przez dwóch Skandynawów i zespół estońskich komputerowców (w Estonii, a nie w Dolinie Krzemowej), dokładnie w tym miejscu, w którym porzucił ją Napster. Kazaa rozpowszechnił program do wymiany plików, który został zainstalowany na około 315 milionach komputerów osobistych, umożliwiając ich użytkownikom bezpłatne wymienianie się nie tylko muzyką, ale także filmami, pornografią i wieloma innymi rzeczami. Następnie ta sama grupa młodych programistów opracowała Skype'a - program umożliwiający bezpłatne rozmowy telefoniczne za pośrednictwem dwóch PC-tów.

Jak na łamach czasopisma "Fortune" powiedział Michael Powell, były przewodniczący U.S. Federal Communications Commission (Federalnej Komisji Telekomunikacyjnej USA), ta i inne aplikacje wykorzystujące głosowy protokół internetowy (Voice over Internet Protocol, w skrócie VOIP) oznaczają ni mniej, ni więcej, jak zmierzch istniejącej branży telekomunikacyjnej.

Nakładające się na siebie zmiany głębokich fundamentów - przyśpieszenie upływu czasu, globalne traktowanie przestrzeni i wiedza techniczna dająca nawet tym najmłodszym olbrzymią władzę - doprowadziły do tego, co niektórzy nazywają "bronią masowego zniszczenia." A te procesy

są jedynie zapowiedzią innych pomysłowych sposobów przemieszczania się dóbr i usług poza rynek płatny.

Przypadki te pokazują, że teraz nawet małe firmy albo nieformalne grupy programistów w stylu zwolenników Linuxa mogą za pomocą kreatywnych programistów przenosić mnóstwo aktywności z gospodarki pieniężnej do niepieniężnej, czyli gospodarki prosumenckiej. I na odwrót. Legalnie lub nielegalnie.

Napster w rezultacie "odrynkowił" - lub przynajmniej usiłował odrynkować - muzykę, ale w wielu przypadkach pojawiają się ruchy wręcz przeciwne. Jak przekonaliśmy się na przykładzie ciasteczek Famous Amos, ludzie wytwarzają produkty przez prosumpcję - a następnie postanawiają je urynkować. Lub też, ogólniej, przekształcają wartość prosumencką w wartość pieniężną.

Skoro, jak widzieliśmy, nadwyżki mocy komputerowej mają wartość i mogą być oddane do dyspozycji SETI czy zespołów badawczych zajmujących się nowotworami bądź jakichkolwiek innych pożytecznych inicjatyw - dlaczego nie można by ich także urynkować, czyli sprzedać przez pośredników jakiejś korporacji, która okresowo potrzebuje wirtualnego superkomputera? Te same technologie czasami mogą pomagać nam urynkować coś lub odrynkować, w zależności od potrzeb.

POTĘGA PROSCIMENTÓW

Implikacje tych zjawisk są porażające. Pytamy zatem: jeśli moc komputerową można, przynajmniej co do zasady, odsprzedawać klientom, dlaczego nie mielibyśmy tak samo czynić z energią?

Dzisiaj strumyczek nadwyżek energii płynący z przydomowych generatorów wiatrowych już zaczął płynąć w kierunku miejscowych firm energetycznych. Według U.S. Department of Energy (Amerykańskiego Departamentu Energetyki), na mocy Ustawy Regulacyjnej w Zakresie Dóbr Użyteczności Publicznej (Public Utilities Regulatory Policy Act) z 1978 roku, publiczne przedsiębiorstwa energetyczne mają obowiązek nabywać nadwyżki energii od właścicieli domów, których generatory spełniają określone wymagania.

Podczas gdy rzeczywista ilość energii w ten sposób przesyłana może być mała, uregulowanie tego typu pokazuje raz jeszcze złożoność i odwracalność ról. Załóżmy hipotetycznie sytuację, w której Tracy i Bill Parkerowie, uświadomieni ekologicznie, kupują wiatrak dla swego gospodarstwa domowego. Firma sprzedająca urządzenie bez wątplenia uważa ich za klientów czy konsumentów. Ale ich zakup stanowi de facto inwestycję kapitałową.

W takim stopniu, w jakim państwo Parkerowie wytwarzają własną energię i ją zużywają, są prosumentami energii. Ponieważ nie płacą sami sobie, pieniądze nie przechodzą z rąk do rąk, jeśli pominąć sam zakup wiatraka z oprzyrządowaniem, nie mamy tu do czynienia z transakcjami, jakie mogłyby się stać przedmiotem zainteresowania ekonomistów. Wartość wytwarzana przez Parkerów stanowi część gospodarki ukrytej.

Jeśli jednakowoż sprzedają swoją produkcję lub jej część miejscowej firmie energetycznej, są nie tylko prosumentami, ale także producentami energii. Uruchamiają transakcję pieniężną, która następnie jest analizowana i uwzględniana w statystykach PKB.

Teraz wyobraźmy sobie zaawansowane technologie w przyszłości, które miliony rodzin będą wykorzystywały zarówno do prosumpcji, jak i produkcji. Co może sprawić, żeby tak się stało? Tańsze, bardziej wydajne zestawy solarne. I jeśli rację mają liczni eksperci w zakresie energetyki, następnym etapem wielkiego postępu będzie sprzedaż nadwyżek energii z samochodów i domów zasilanych technologią ogniwi paliwowych. Koncerny samochodowe już zdążyły zainwestować dwa miliardy dolarów w badania nad ogniwami paliwowymi i w ich rozwój.

Wizjonerzy energetyki (w pozytywnym sensie) Amory i Hunter Lovins z Rocky Mountain Institute od dawna wyobrażali sobie gospodarkę "miękkiej energetyki." Zdaniem Amory Lovins "po zainstalowaniu ogniwa paliwowego do superlekkiego samochodu, otrzymuje się coś w rodzaju zmotoryzowanej elektrowni o mocy 20-25 kilowatów, która pracuje 4 proc. czasu a 96 proc. czasu spędza na parkingu. Dlaczego by nie wypożyczać tych samochodów osobom, które pracują w budynkach?"

Wedle tego scenariusza, twój samochód, po zaparkowaniu, byłby podłączany do budynku. Generowałby energię elektryczną, która byłaby sprzedawana systemowi energetycznemu w porach szczytu zapotrzebowania. W ostatecznym rachunku, przejście od ciężkich samochodów bez opamiętania pochłaniających benzynę do lekkich samochodów napędzanych ogniwami paliwowymi mogłoby, jak twierdzą Lovinsowie, zwiększyć "pięć- lub sześciokrotnie" wydajność energetyczną amerykańskiej energetyki.

Bez względu na to, jaką konkretnie formę przybiorą poszczególne rozwiązania, bez wątpienia stwarzają one możliwość silnego zdecentralizowania systemu energetycznego, w którym powiązane ze sobą byłyby domy, fabryki, biura i inne budynki wymieniające się energią. Jednocześnie mniej energii pochodziłoby z olbrzymich, scentralizowanych elektrowni zanieczyszczających atmosferę.

Nie miejsce tu, by rozpatrywać prawdopodobieństwo tego scenariusza czy imponujący potencjał technologii ogniwi paliwowych. Rzecz w tym, że wzajemne oddziaływanie widocznych i ukrytych części systemu bogactwa jest coraz liczniejsze i coraz bardziej złożone. A niektóre z jego przejawów są znacznie bardziej dalekosiężne niż wskazują na to scenariusze Lovinsów.

MALI PROSUMENCI

To, co następuje potem, może wydać się śmieszne, bowiem... dzieje się to dzisiaj. Ale jeśli, jako prosumenci, już dziś sami możemy wykonać swe własne składanki muzyczne czy filmowe, pocztówki, zdjęcia cyfrowe i wiele innych rzeczy i jeśli potrafimy sobie wyobrazić zarówno produkcję, jak i prosumpcję naszej własnej energii - dlaczego mielibyśmy zatrzymywać się w pół kroku?

Stąd już niedaleko do scenariusza ułożonego może nie przez speców od science fiction z Hollywood, ale przez szefów firmy 3D Systems z Valencii w Kalifornii, której założyciel, Charles Hull, w 1984 roku wynalazł coś, co nazwano stereolitografią. Pojawiają się tu zresztą różne nazwy - od

szybkiego prototypowania i druku trójwymiarowego po trwałe wizerunki, produkcję typu desktop, holoformowanie, hiperduplikację i fabbing. Dyscyplina ta jest wciąż w fazie rozwojowej i nie ustalił się jeszcze jej fachowy żargon. Ale bynajmniej nie oznacza to, że z tego powodu nie znaleziono zastosowań praktycznych dla tych zaczątkowych innowacji.

Fabbery (Fabber - akronim pochodzący od słów digital fabricator - ang. cyfrowy producent; przyp. tłum.) oparte są na założeniu, że produkcja w dużej mierze sprowadza się do skręcania lub zginania rzeczy, łączenia ich lub wykrawania, szatkowania, polerowania lub dowolnego rodzaju oddzielania kawałków materiału od siebie. Użytkownicy wykonują trójwymiarowy model cyfrowy pożądanego produktu, następnie programują narzędzia, by dodać, odjąć lub połączyć materiał, mniej więcej tak, jak drukarka pokrywa atramentem lub omija dane miejsce.

Kiedy inżynierom pracującym dla Penske Racing potrzebny był prototyp części silnika do samochodów, które mieli prowadzić Ryan Newman i Rusty Wallace w serii wyścigów Winston Cup, zwrócili się do firmy Charlesa Hulla z prośbą o szybkie ich wykonanie - szybsze niż przygotowanie tradycyjnych prototypów.

Technologie te wykorzystywano w innych dziedzinach do produkcji prototypów najróżniejszych produktów - od zamków błyskawicznych po żarówki i od zastawek kardiologicznych i rynien po zastawy stołowe i odciski ortodontyczne. Stosowali je architekci, rzeźbiarze, scenografowie w Hollywood, ortodonci i niejedna wielka firma, jak np. Airbus i Boeing, Mattel i Motorola, Tupperware i Texas Instruments. W rzeczy samej, jak twierdzi czasopismo "Discover", "dosłownie w każdym amerykańskim domu można dziś znaleźć produkty, których prototypy wykonano za pomocą maszyn stereolitograficznych."

Prototypowanie to jednak zaledwie pierwszy krok. Jeśli drukarki atramentowe mogą pokrywać atramentem pożądaną punkty na papierze, dlaczego nie miałyby rozprawiać innych substancji zgodnie z programami projektowania komputerowego? Albo zrobić to samo w trzech wymiarach? Dlaczego nie mielibyśmy budować pożądanego kształtu posługując się małym laserem, który by zbierał warstwa po warstwie niepotrzebny materiał? Albo łączyć komponenty wstrzykując materiał łączący w odpowiednie miejsca?

Dziś wciąż jeszcze egzotyczne i kosztowne, technologie te poprzedzają mniejsze, tańsze, bardziej zróżnicowane modele wykorzystujące zasobniki zawierające rozmaite proszki czy chemikalia zamiast atramentu. Umożliwiłoby to, w zasadzie, każdemu ściągnięcie z Internetu odpowiedniej instrukcji i uruchomienie czegoś w rodzaju miniaturowej fabryki w skali "desktop." Jak mówi Mervyn Rudgley z 3D Systems, "dzieci naszych dzieci będą same sobie drukowały zabawki." Czyżby w przyszłości i dzieci miały być prosumentami?

Jak słyszymy od fachowców, domowa produkcja komputerowa bynajmniej na tym nie poprzestanie. Według Marshalla Burnsa i Jamesa Howisona z Ennex Corporation w Los Angeles, produkcja na biurku (desktop) "stanowić będzie nową płaszczyznę wymiany między użytkownikami na tym samym poziomie," skoro będzie można wymieniać się plikami, dzięki którym wytwarzać będziemy "zabawki, odzież, meble, sprzęt sportowy, elektronikę a nawet, któregoś dnia,

samochody.” Użytkownicy tej metody produkcji któregoś dnia będą mogli wykonać “niemal każdy produkt, jaki możemy sobie wyobrazić (a może nawet takie, jakich nie potrafimy sobie wyobrazić)”

“A jeśli będziemy mogli ściągać z Internetu instrukcje do produkcji... toster, który drukuje obrazy na grzankach, równie łatwo jak teraz ściąga się pliki muzyczne?” - postawił pytanie magazyn “Forbes” w 2005 roku, sugerując, że cena własnej fabryki nabiurkowej może wkrótce spaść do tysiąca dolarów.

Każdy przedstawiciel branży przyznaje, że są to wciąż prymitywne technologie i obecnie mają ograniczone zastosowanie. Ale Neil Gershenfeld ze słynnego laboratorium Media Lab w MIT uważa rozpowszechnianie osobistych technologii produkcyjnych za “nieuniknione” i porównuje je do platform komputerowych. W 1943 roku prezes IBM Thomas Watson oświadczył, że “istnieje rynek światowy na, powiedzmy, pięć komputerów.” Gershenfeld wskazuje, że wówczas komputery także były “wielkimi urządzeniami (...) przechowywanymi w specjalnych pomieszczeniach (...) i do obsługi wymagane były specjalne umiejętności (...) a zastosowanie było ściśle produkcyjne (...) i to na bardzo ograniczonych rynkach.” Dzisiaj na całym świecie w użytku jest ponad 800 milionów komputerów osobistych. Jak powiada Hershfeld, produkcja domowa rozprzestrzeni się, ponieważ stanowi ona “brakujące dopełnienie komputera osobistego.”

Burns i Howison twierdzą, że “setki laboratoriów uniwersyteckich, firmowych i państwowych na całym świecie” pracuje nad technologiami fabbingowymi, a niewielka liczba ich użytkowników już dzisiaj wymienia się plikami. Bez wątplenia żartobliwie dodają: “Jeśli wytwórnie muzyczne wściekły się z powodu Napstera, poczekajmy tylko aż będzie można ściągnąć z Internetu Rolex.fab albo Ferrari.fab i wykonać je samodzielnie w domu.”

Zanim jednak fabbery pojawią się w milionach domów, możemy spodziewać się, że dojdzie do tego samego rozprzestrzenienia się, które sprawiło, że drukowanie i wywoływanie filmów przeniosło się ze scentralizowanych fabryk Kodaka i Fuji do punktów, które na każdym rogu w ciągu godziny drukują zdjęcia, a wreszcie, za sprawą aparatów cyfrowych - zostało przechwycone przez prosumentów. Etapem bezpośrednio poprzedzającym domową produkcję będzie, być może, pojawienie się punktów usługowych na każdej ulicy, gdzie będzie można pójść i za pomocą maszyn wyprodukować coś samodzielnie - mniej więcej tak, jak dziś można pójść do dowolnego punktu Kinko, żeby wykonać wydruki, kopie czy odbitki.

LIPOSUKCJA BEZ CHIRURGA

Ten stopniowy proces rozwoju może jednak przyspieszyć nagle, wykonując wielki, nieliniowy skok poprzez nałożenie się na postępy nanotechnologii - manipulacji materią w skali molekularnej: tak małej, że mierzy się ją w miliardowych częściach metra. Jeśli dobrze się tego nauczymy, zdobędziemy możliwości samodzielnego montowania produktów o potencjalnie niezliczonych zastosowaniach.

Wiele z tych nowinek opisał w książce *Unbounding the Future* K. Erie Drexler, założyciel the Foresight Institute: człowiek, który ukui termin “nanotechnologia.” Inne zostały opisane i omówione

przez naukowców i pisarzy science fiction, technofilów i technofobów, badaczy medycznych i liderów biznesu.

W ich wizjach pojawia się niemal wszystko - począwszy od samonaprawiających się zębów i samomyjących się naczyń, a skończywszy na tysiącrotnie szybszych komputerach, znacznie bardziej energooszczędnych i tańszych niż te działające w oparciu o krzem. Na liście znalazła się odzież, która automatycznie dostosowuje swoje rozmiary, fakturę, krój i styl; komórki solarne tak małe, że można je nanieść jak farbę na elewację domu lub wbudować w chodnik; mikro-roboty medyczne tak maleńkie, że mogą wwiercać się w arterie i usuwać płytki miażdżycowe czy materiały z wbudowanymi bilionami submikroskopijnych silników, komputerów, włókien i rozpór. Być może nadejdzie dzień, kiedy będziemy przeprowadzać liposukcję i operacje plastyczne za pomocą nanonarzędzi.

Porozumiewające się ze sobą sensory wielkości nano mogą stanowić instrument wywiadu wojskowego. Nanotechnologia może też ograniczyć odpady produkcyjne, wytwarzać energię i udostępnić nam nowe materiały "lżejsze niż balsa, ale silniejsze od stali." Aczkolwiek, podobnie jak energia jądrowa i inżynieria genetyczna, nanotechnologia wywołuje też niepokój, szczególnie, kiedy w jej kontekście pada słowo "autoreplikacja."

Nie miejsce tu na omawianie tych zagadnień. Chodzi nam raczej o to, że z pomocą nanotechnologii lub bez niej, stajemy wobec możliwości diametralnie odmienionej gospodarki jutra - znacznie bardziej zdecentralizowanej, w której miliony ludzi wymienia się plikami, zarówno prosumując dobra dla siebie, jak i produkując je dla innych. Możemy spodziewać się, że powstaną miliony małych firm dzięki zaawansowanym narzędziom umożliwiającym zindywidualizowaną produkcję i prosumpcję. A wraz z nimi pojawi się o wiele więcej rzemieślników wysokiej technologii, w rodzaju tych, których dziś obserwujemy w północnych Włoszech.

Oczywiście są to tylko spekulacje. W tym kierunku idą dziś trendy, ale czasami trendy zmieniają swój tor, skręcają, odwracają się lub są neutralizowane przez kontrtrendy.

Mimo to jasne jest, że rozwijamy coraz bardziej gęstą i złożoną siatkę współoddziaływań pomiędzy widoczną i wciąż ukrytą gospodarką obecną we wszystkich trzech dominujących na świecie systemach bogactwa - tych opartych na rolnictwie chłopskim, przemysłowej produkcji masowej i zaawansowanej wiedzy.

Przyszłość nas zaskoczy. Wraz z wciąganiem coraz większej liczby biednych do systemu pieniężnego, wnet ujrzymy w obszarach Pierwszej Fali stosunkowy spadek prosumpcji na tle biedy. Doświadczymy także pewnego wzrostu Trzeciej Fali - prosumpcji wysokotechnologicznej, opartej na rozpowszechnianiu się coraz bardziej zmiennych, nowych narzędzi w rękach zwyczajnych ludzi w najbardziej rozwiniętych gospodarkach. Fakt, że większość ekonomistów nie zdaje sobie sprawy z tego historycznego przełomu, uniemożliwia im zrozumienie rewolucyjnego bogactwa i tego, jak wpłynie ono na losy nas i naszych dzieci.

Rozdział 29

Hormon produktywności

Produkcyjność (definicja): Wkład prosumentów do produktywności

Jednym z najbardziej niezwykłych przejawów potęgi prosumentów w najnowszych dziejach jest diametralna zmiana sposobu pracy ludzi na całym świecie, zmiana sposobu bawienia się, życia i myślenia. Aż dziw, że niemal nikt tego dotąd nie spostrzegł.

Omówiliśmy powyżej bezpłatny wkład prosumentów, ów “lunch za darmo”, który fundują gospodarce pieniężnej wytwarzając bogactwa w gospodarce niepieniężnej. Ale czasami prosumenci robią znacznie więcej. Przekazują gospodarce pieniężnej hormony wzrostu, dzięki czemu szybciej się rozwija, ujmując rzecz bardziej formalnie, prosumenci wnoszą wkład nie tylko do produkcji, ale także do produktywności.

Niemal każdy ekonomista reprezentujący główny nurt tej dyscypliny przyzna, że zwiększona produktywność jest dobrym lekarstwem na większość bolączek gospodarki. Rzadko który jednak podjął próbę wyśledzenia wpływu prosumpcji na produktywność.

W istocie - ponieważ niemal nikt nie zwraca na nią uwagi - w tej profesji, która w przeciwieństwie do wielu innych wykształciła swój własny żargon, nie ma nawet odpowiedniego terminu na określenie tego zjawiska. A więc, aby ukuć odpowiednie określenie, nazywamy “produkcyjnością” ten dodatkowy zastrzyk, jaki wykonują prosumenci, kiedy oprócz tworzenia nie opłaconej wartości i przekazywania jej gospodarce pieniężnej naprawdę wzmacniają przy okazji jej wzrost.

WIĘCEJ NIZ EDUKACJA

Większość biznesmenów i ekonomistów przyzna, że podnoszenie poziomu wykształcenia siły roboczej prawdopodobnie zwiększa jej produktywność. Jednak, o czym dobrze już wiemy, trudno znaleźć bardziej niesprawne i przestarzałe instytucje niż rzekomo “nowoczesne” publiczne placówki edukacyjne, nawet w rozwiniętych gospodarczo krajach.

Co więcej, większość tak zwanych reform przyjmuje milczące założenie, że masowa edukacja w stylu fabrycznym jest jedyną drogą do wykształcenia. Reformy te w większości mimowolnie zaprojektowano tak, aby załedwie usprawnić działanie szkół-fabryk, a nie - by zastąpić je modelem postfabrycznym. I większość reform zakłada też, że tylko nauczyciele mogą uczyć.

W ten sposób przeoczono jedno z najbardziej niezwykłych wydarzeń w najnowszych dziejach edukacji.

Wydarzenie to zaczęło się w bardzo niezwykły sposób w 1977 roku. W owych czasach nie było na naszej planecie ani jednego komputera osobistego wykorzystywanego do jakichkolwiek praktycznych celów. A jednak w roku 2003, w samych Stanach Zjednoczonych w użyciu było ich już 190 milionów. Niespodzianka, nieprawdaż? Ale jeszcze bardziej zaskakujący był fakt, że ponad 150

milionów Amerykanów wiedziało, jak się nimi ma posługiwać. A największą niespodzianką jest to, jak się tego nauczyli.

PC-ty, od czasu, gdy pojawiły się pierwsze komputery typu Altair 8800 czy Sol 20, były dość przewrotnymi urządzeniami: były bardziej krnąbrne i o wiele bardziej skomplikowane w obsłudze niż jakiegokolwiek wcześniejsze sprzęty domowe. Miały mnóstwo guzików, wymagały dyskietek oraz oprogramowania (z którym wcześniej zetknęła się zaledwie garstka Amerykanów), a także podręczników. Do tego dochodziła przedziwna terminologia poleceń DOS-a.

A więc jak to się stało, że miliony ludzi - ponad połowa całego społeczeństwa - zgłębiły te złożone kwestie? Jak się tego nauczyliśmy?

Wiemy, czego nie zrobiliśmy. Przytłaczająca większość z nas, szczególnie w początkowym okresie, nie uczęszczała do szkół informatycznych. W rzeczy samej, poza nielicznymi wyjątkami, dysponowaliśmy bardzo niewielką liczbą formalnych instrukcji lub wręcz wcale nie zostaliśmy pouczeni, jak się posługiwać komputerem.

Nauka zaczęła się z chwilą przekroczenia progu sklepu komputerowego Radio Shack, jednej z pierwszych sieci detalicznych, które uruchomiły sprzedaż PC-tów. W owych czasach sklepy Radio Shack były małe, zawałone plątaniną kabli i elektronicznych gadżetów, zaś obsługę stanowili entuzjastycznie nastawieni szesnastolatki o policzkach obsypanych pryszczami. Z tych, co to czytają powieści science fiction i zostają zapalonymi komputerowcami.

Kiedy klient okazywał zainteresowanie TRS-em 80, jednym z najpierwszych PC-tów, ekspedient pokazywał mu (lub jej, choć niezmiernie rzadko w tamtych czasach), jak się włącza to cudo i stuknął parę razy w klawiaturę. Nabywca płacił 599 dolarów, pędził do domu, odpakowywał maszynę i czym prędzej podłączał ją do prądu. Następnie postępował zgodnie z instrukcjami i wnet przekonywał się, że w najlepszym razie komputer przyda mu się do czegoś w bardzo niewielkim stopniu. Nic dziwnego, że wracał do sklepu i zadawał sprzedawcy kilka dodatkowych pytań. Potem jednak okazywało się, że potrzeba mu czegoś więcej niż tylko ekspedienta. Poszukiwał komputerowego guru. Ale kto miał być takim guru?

I tak rozpoczynało się gorączkowe poszukiwanie kogokolwiek - sąsiada, przyjaciela, kolegi, przypadkowego znajomego - kto mógłby tu pomóc. Kogokolwiek, kto wiedziałby choćby trochę więcej o tym, jak posługiwać się nowym komputerem. Wkrótce wiadomo było, że takim guru był każdy, kto kupił komputer o tydzień wcześniej.

Następnie nadchodził szal wymieniania się informacjami na temat PC-tów, który objął chyba całe społeczeństwo Ameryki, stanowiąc niezwykle doświadczenie edukacyjne z udziałem milionów ludzi.

Dzisiaj niektórzy nazwą to nauką według modelu "równy z równym" (P2P; peer-to-peer). Ale w istocie było to bardziej skomplikowane niż handlowanie muzyką w stylu Napstera, ponieważ guru i uczeń nie byli równymi sobie. Ten pierwszy posiadał większy zasób wiedzy, a zatem miał się czym dzielić. Spotkali się nie ze względu na ekwiwalentność tej wymiany, ale ze względu na przewagę pod względem wiedzy. Samo w sobie jest to ciekawe, ale jeszcze bardziej interesujące jest to, że z

czasem - bywało - ich role się odwracały. Były uczeń stawał się guru, a niegdysiejszy guru - uczniem, w miarę jak dzielili się doświadczeniami i informacjami.

Od tych czasów prosumenci stają się coraz bardziej wyrafinowanymi użytkownikami komputerów. Jak piszą W. Keith Edwards oraz Rebecca E. Grinter z prestiżowego Palo Alto Research Center, dziś przeciętny użytkownik PC-ta radzi sobie z zadaniami, które "wyglądałyby znajomo jedynie w oczach administratorów systemu z czasów kapłańskich: upgradowaniem sprzętu, instalowaniem i odinstalowaniem oprogramowania itd."

Nikt nie kontrolował tego rozwijającego się procesu uczenia. Nikt nie stanął na jego czele. Nikt go nie organizował. Prawie nikt nie dostawał za to pieniędzy, a jednak na naszych oczach dokonywał się potężny proces społeczny, którego w zasadzie nie dostrzegali ani pedagodzy, ani ekonomiści. Proces ten odmienił oblicze amerykańskiej gospodarki pieniężnej, radykalnie zmienił organizację firm i wpłynął na wszystko - od języka po style życia. Prosumujący guru byli nieodzownymi, choć niezauważonymi przywódcami rewolucji komputerowej.

GRA RAJENDERA

Ten proces nadal trwa, a nawet przyśpiesza, choć przyćmiła go wymiana doświadczeń pomiędzy internautami i ich nowymi guru. Ludzie na całym świecie uczą się nawzajem, jak posługiwać się najbardziej skomplikowanym urządzeniem w dziejach człowieka. I często to dzieciaki uczą dorosłych.

Weźmy PC-ta z panelem dotykowym i szybkim łączem i wbudujmy go w kamienny mur w dzielnicy slumsów. Naprzeciwko zamontujmy kamerę, aby z biura obserwować, co też się będzie działo. Właśnie dokładnie to zrobił fizyk Sugata Mitra z NUT, firmy programistycznej i szkoły komputerowej z Delhi. Nie było ani instrukcji, ani dorosłych, którzy mogliby pomóc.

Długo nie trzeba było czekać, by komputer odkryły dzieci z pobliskiego osiedla Sarvodaya Camp. Zamiast go ukraść, Guddu, Satish, Rajender i inni - w większości chłopcy od sześciu do dwunastu lat - zaczęli się nim bawić. Po jednym - dwóch dniach nauczyli się i zaczęli uczyć innych, jak przeciągać, upuszczać, tworzyć pliki i foldery, wykonywać inne zadania oraz surfować po Internecie. Także i tutaj nie było żadnych lekcji, żadnych sprawdzianów, żadnych nauczycieli.

Przez trzy miesiące dzieci utworzyły ponad tysiąc folderów, wchodziły na strony z rysunkami Disneya, bawiły się grami on-line, rysowały cyfrowe obrazy i oglądały mecze krykieta. Najpierw indywidualnie, a potem dzieląc się tym, czego się nauczyły, opanowały to, co Mitra, który wymarzył sobie ten eksperyment i powtórzył go jeszcze gdzie indziej, nazywa podstawową wiedzą komputerową.

Jego zdaniem, odwoływanie się do ciekawości i zdolności uczenia się dzieci może znacznie zmniejszyć koszty pokonywania bariery cyfrowej. A to z kolei może przyczynić się do wyrwania milionów ludzi z kręgu ubóstwa, zwiększając zarazem gwałtownie tempo wzrostu i potencjał gospodarki indyjskiej - dzięki zastosowaniu zasady produktywności.

Niektórzy ekonomiści i statystycy, stający w obronie przestarzałych formuł i definicji, mogą jednak wciąż mataczyć. Ale chyba jedynie najbardziej zatwardziali fanatycy zaprzeczą, że bezpłatne dzielenie się umiejętnościami obsługi PC-ta było (i wciąż jest) p r o d u k c y j n e - to znaczy poprawia ono produktywność codziennych działań gospodarki pieniężnej.

Oczywiście edukacja powinna być czymś więcej niż tylko wykształceniem zawodowym. Jeśli zwiększanie bazy umiejętności w danej gospodarce może, między innymi, poprawić zarówno jej wynik, jak i produktywność, a nauczycielom płacimy za przekazywanie tych umiejętności, dlaczego w równym stopniu nie potrafimy oszacować wartości wkładu komputerowych guru? Zakładając, że i nauczyciel, i guru przekazują ten sam zestaw umiejętności - dlaczego jednego cenimy bardziej od drugiego?

Idąc jeszcze dalej: a jeśli ten sam zestaw umiejętności nabywamy samodzielnie - a tak przecież jest, bo wszak całe zastępy projektantów stron internetowych, programistów, autorów gier video i innych samodzielnie osiągnęły mistrzostwo, które następnie wykorzystały na rynku.

Samonauczanie i nauczanie przez guru są szczególnie produkcyjne, kiedy rozwijane przez nich umiejętności stanowią forpocztę najnowszych technologii - zanim powszechnie dostępne będą formalne, płatne kursy. Jeśli użytkownicy komputerów osobistych mieliby czekać, aż szkoły kupią komputery, zreformują programy nauczania, ułożą nowe grafiki zajęć, wyszkolą nauczycieli i zdobędą na to wszystko fundusze - znacznie opóźniłby się cały proces, w ramach którego technologia ta zagościła w biznesie i gospodarce. Tak więc to, co zrobili, było prawdziwie p r o d u k c y j n e: spontanicznie rozpowszechniając wiedzę i skracając owo opóźnienie, znacznie przyspieszyli postęp technologiczny w gospodarce płatnej.

Ta fala międzyludzkiego uczenia się zmieniła nasze relacje wobec wielu głębokich fundamentów bogactwa. Zmieniła to, jak i kiedy ludzie spędzają swój czas. Zmieniła nasze odniesienia wobec przestrzeni, przesuając lokalizacje, w których wykonywana jest praca. Zmieniła naturę wiedzy wspólnej w społeczeństwie.

Prosumenci nie są jednakże tylko produktywni. Są p r o d u k c y j n i. Stanowią siłę napędową wzrostu jutrzejszego, rewolucyjnego systemu bogactwa.

Rozdział 30

CODA: Niewidoczne kanały

Nadszedł teraz czas, by po raz kolejny zebrać pojedyncze wątki poruszone do tej pory w jedną, spójną całość. Tak więc do tej pory w książce tej przedstawiliśmy trzy kluczowe idee.

Po pierwsze: Świat przeżywa dziejową przemianę w zakresie tego, jak wytwarzane jest bogactwo, co stanowi część narodzin nowego sposobu życia czy cywilizacji, której forpocztą - przynajmniej na razie - są Stany Zjednoczone.

Po drugie: Głęboko pod powierzchownymi podstawami bacznie obserwowanymi przez firmy, inwestorów i ekonomistów są głębokie fundamenty. My zaś zmieniamy nasze relacje wobec nich w sposób rewolucyjny - szczególnie te relacje, które obejmują czas, przestrzeń i wiedzę.

Przyspieszające dziś zmiany, jak wskazaliśmy wcześniej, owocują desynchronizacją w coraz większej liczbie obszarów gospodarki. Wskazują na okres możliwej deglobalizacji w gospodarce i nasilonej globalizacji w innych dziedzinach. Przede wszystkim jednak przekształcają podstawę intelektualną, od której uzależnione jest wytwarzanie bogactwa, sprawiając, że całkiem spora jej część staje się bezużyteczną starowiedzą. Jednocześnie zmiany te podważają nie tylko naukę, ale także same definicje prawdy.

Po trzecie: Przekonaliśmy się, że gospodarka pieniężna jest jedynie częścią znacznie większego systemu bogactwa i zależy od niedostrzeganego na ogół wkładu wartości, jaki przekazuje jej masowa, ogólnoswiatowa gospodarka niepieniężna, której podstawą jest to, co nazwaliśmy prosumpcją.

Zrozumienie koncepcji tego dwuczęściowego systemu bogactwa powinno nam pomóc, między innymi, zobaczyć pieniądze w prawdziwym świetle. I pojąć, jak mają się do przyszłego, rewolucyjnego systemu bogactwa.

Potwierdzeniem przytłaczającej władzy pieniądza w naszym życiu jest bogactwo literatury przedmiotu. Willie Sutton, zapytany, dlaczego obrabowywał banki, ciekaw był, dlaczego zadaje mu się w ogóle tak głupie pytanie, i udzielił słynnej odpowiedzi: "Ponieważ tam są pieniądze!" Nie tak dawno natomiast aktor Cuba Gooding junior dodał też i swoje trzy grosze do literatury monetarnej, kiedy wściekle krzyknął w filmie *Jerry Maguire*: "Pokaż pieniądze!" A powieściopisarz Tom Robbins, wdając się w teologiczne egzegezy, przyznał, że "istnieje pewna buddyjska odmiana błogości pochodząca z posiadania pieniędzy w banku." Pieniądze zostały niemal wyniesione na ołtarze. Ale deifikacja jest też mistyfikacją.

Stwierdziliśmy zatem, że nadszedł czas odrzucenia fałszywych założeń, wedle których bogactwo pochodzi tylko z tego, co ogólnie mierzą ekonomiści. Czy też, że wartość powstaje jedynie wówczas, gdy pieniądze przechodzą z rąk do rąk. Zamiast tego warto, byśmy zwrócili uwagę na obszerniejszy system bogactwa - w którym gospodarka pieniężna zasilana jest "darmowymi lunchami", a podtrzymują ją przy życiu prosumenci, którzy także rzucają jej nie lada wyzwanie.

ODDZIAŁYWANIE PROSUMENTÓW

Przekonaliśmy się, że istnieje co najmniej dwanaście ważnych kanałów, przez które prosumenci i prosumowanie wchodzi w interakcje z gospodarką pieniężną, przemieszczając w tę i z powrotem wartość. W przyszłości ich znaczenie jeszcze bardziej wzrośnie. Spójrzmy na nie raz jeszcze, rozpoczynając przegląd od tych najprostszych.

1. Prosumenci wykonują nieodpłatnie pracę w ramach "trzeciego etatu" i samoobsługi.

Korzystając z bankomatów lub samodzielnie ustalając wartość zakupów przed opuszczeniem supermarketu, zmniejszają koszty pracy - oraz liczbę elementarnych miejsc pracy - w gospodarce pieniężnej. To samo, z drobnymi zmianami, odnosi się do sytuacji, w których osobiście opiekujemy się osobami chorymi lub starszymi lub kiedy gotujemy, sprzątamy mieszkanie, prowadzimy zajęcia szkolne w domu i wykonujemy wiele innych zadań we własnym zakresie, zamiast płacić za ich wykonywanie innym.

2. Prosumenci nabywają dobra kapitałowe pochodzące z gospodarki pieniężnej.

Kupują wszystko, począwszy od pił tarczowych, a skończywszy na komputerach i aparatach cyfrowych, dzięki którym mogą tworzyć wartość dla siebie i innych w gospodarce niepieniężnej. Czyniąc tak, sami stanowią rynek w ramach gospodarki pieniężnej.

3. Prosumenci udostępniają swe narzędzia i kapitał użytkownikom w gospodarce pieniężnej - oferując im jeszcze jeden "lunch za darmo".

Przykładów, jak się przekonaliśmy, jest wiele: umożliwiają innym bezpłatnie wykorzystywać nadwyżki mocy obliczeniowej komputerów na potrzeby badań medycznych czy ekologicznych, obserwacji astronomicznych i wielu innych ważnych społecznie działań.

4. Prosumenci podnoszą jakość zasobów mieszkaniowych.

Zwiększają ich wartość dla pieniężnej gospodarki narodowej. Czynią tak za każdym razem, kiedy malują, kładą nowe dachy, dobudowują nowe pokoje lub sadzą drzewa, zastępując własną pracą - etaty w branży budowlanej. Dzięki temu wartość zasobów mieszkaniowych wpływa na rynek kredytów hipotecznych, stopy procentowe i inne zmienne gospodarki pieniężnej.

5. Prosumenci "urynkowiają" produkty, usługi i umiejętności.

Czynią tak, kiedy opanowawszy pewne umiejętności, zdobywszy produkt czy możliwość świadczenia usługi na użytek własny, przeznaczają je potem na sprzedaż - czasami, przy okazji, tworząc nowe firmy czy całe branże. Linux stworzony przez prosumenta poza rynkiem generuje ważne produkty oszczędnościowe wewnątrz rynku płatnego.

6. Prosumenci także "odrynkowiają" produkty i usługi.

Wyprowadzają istniejące produkty i usługi z rynku, oferując ich użytkownikom bezpłatne alternatywy. Samo zagrożenie pochodzące spoza gospodarki pieniężnej prowadzi do powstawania nowych, często tańszych produktów w ramach tejże gospodarki - tak było na przykład z rozmowami telefonicznymi VOIP, iPodami itp. Prosumowanie może przyspieszyć cykl odrynkowania i urynkowania.

7. Prosumenci wytwarzają wartość jako wolontariusze, ochotnicy.

W sytuacjach nagłych oferują bezpłatną pomoc. A w mniej dramatycznych okolicznościach - na co dzień - pracują w ośrodkach dla osób starszych, zapewniają pomoc medyczną i wiele innych świadczeń społecznych. Walczą z gangami młodzieżowymi, zakładają i utrzymują stowarzyszenia sąsiedzkie, parafialne i inne grupy podnoszące spójność społeczności, której brak niejednokrotnie oznacza wysokie koszty finansowe w związku z koniecznością utrzymywania dodatkowych sił policji, więziennictwa itp.

8. Prosumenci zapewniają wartościową, lecz bezpłatną informację firmom komercyjnym.

Czynią tak uczestnicząc w testowaniu nowych produktów czy w sondażach, przyczyniając się do poznania nowych potrzeb konsumentów, biorąc udział w “marketingu wirusowym” i wykonując bezpłatnie na ich rzecz inne usługi.

9. Prosumenci zwiększają władzę konsumentów w gospodarce pieniężnej.

Dokonują tego, kiedy dzielą się informacjami o tym, co kupować, a czego nie kupować. Dzielą się swoimi doświadczeniami odnośnie do różnych problemów zdrowotnych i lekarstw, na przykład, często wzmacniając pozycję pacjentów w ich relacjach z lekarzami.

10. Prosumenci przyspieszają innowacje.

Występując bezpłatnie w roli guru, nauczycieli czy konsultantów, prosumenci szkolą się nawzajem w posługiwaniu się najnowszymi technologiami, kiedy tylko się pojawiają, zwiększając w ten sposób tempo zmian technologicznych i podnosząc produktywność w gospodarce płatnej. Są jednak nie tylko produktywni, ale i p r o d u k c y j n i .

11. Prosumenci szybko tworzą wiedzę, rozpowszechniają ją i przechowują w cyberprzestrzeni, udostępniając ją gospodarce intelektualnej opartej na wiedzy.

Spora część danych, informacji i wiedzy dostępnych w cyberprzestrzeni znalazła się tam za darmo za sprawą programistów, finansistów, socjologów, antropologów, naukowców, techników i przedstawicieli wszystkich innych profesji. Dokładność tych zasobów jest zróżnicowana, a wiele z nich może kiedyś zostać urynkowiona, ale powszechnie korzystają z nich na co dzień inwestorzy, biznesmeni, menadżerowie i inni pracownicy gospodarki pieniężnej. Kolejny darmowy wkład!

12. Prosumenci wychowują dzieci i reprodukują siłę roboczą.

Prosumenci zapewniają gigantyczny wkład jako rodzice i opiekunowie, co znacznie przyćmiewa wszystkie inne interakcje. Zaszczepiając swoim dzieciom umiejętność funkcjonowania w społeczeństwie, przekazując im dar języka, wpajając wartości zbieżne z tymi, które są **pożądane w dominującej** gospodarce, przygotowują kolejne pokolenia do wytwarzania bogactwa. Bez “darmowego lunchu”, jaki zapewniają, wkrótce gospodarka pieniężna przestałaby istnieć.

NIEZAUWAŻONA TERAPIA

Powyżej zaprezentowaliśmy jedynie dwanaście sposobów, za pomocą których te dwie części systemu bogactwa współdziałają ze sobą. Należy je jednak pomnożyć przez możliwe krzyżowe oddziaływania: w ten sposób powstaną nowe pytania o rewolucyjne bogactwo jutra.

Czy wciąż możemy utrzymywać, że w gospodarce pieniężnej nie ma nic za darmo? Jaka zatem, na przykład, jest wartość netto wszystkich tych darmowych świadczeń, które trafiają do gospodarki pieniężnej i ją opuszczają? W jaki sposób szersza wiedza na ten temat może zmienić nasze strategie biznesowe i osobiste?

Które z obecnych naszych założeń na temat oszczędzania, inwestycji, wzrostu, pracy, podatków i innych kluczowych zmiennych wciąż mają sens? W jaki sposób zmiana tych założeń może zmienić przyszłość bogactwa i ubóstwa na świecie?

A jeśli to co napisaliśmy jest w zasadzie słuszne, jaki ma to wpływ na często powtarzane oświadczenie, że różne klasy ludzi są "nieproduktywne"?

Czy ludzie bez pracy na pewno są nieproduktywni? Czy wszyscy odbiorcy świadczeń socjalnych są nieproduktywni? Czy wszyscy ludzie starsi i emeryci są nieproduktywni? Czy osoby cierpiące na tetraplegię¹⁸ są nieproduktywne? A może dogłębna choć darmowa porada telefoniczna, jakiej pewna tetraplegiczka udzieliła swoim przyjaciołom, stanowi równowartość terapii, jaką psychologowie świadczą za sto dolarów za godzinną sesję? A jaką wartość należy przypisać życiu, które tą radą osoba ta uratowała - skoro jej rozmówca właśnie zamierzał popełnić samobójstwo? Czy było warte dwieście dolarów za godzinę?

Rewolucyjne bogactwo to nie tylko pieniądze.

¹⁸ Tetraplegia- tzw. paraliż czterokończynowy spowodowany uszkodzeniem szyjnego odcinka rdzenia kręgowego. Medycyna nie potrafi obecnie odtworzyć uszkodzonych w wyniku tej choroby połączeń nerwowych; chorzy nie potrafią samodzielnie poruszać kończynami; w ramach rehabilitacji wykonują jedynie ćwiczenia oddechowe - przyp. tłum.

Część VII
Dekadencja

Rozdział 31

Ewangelia zmiany

Cywilizacja to jedno z tych wielkich, bogatych słów, które mogą zaintrygować filozofów i historyków, ale większość ludzi po prostu usypiają. Chyba że pojawi się w zdaniu "nasza cywilizacja jest zagrożona" - wówczas bardzo wielu ludzi rozgląda się za swym kałasznikowem.

Dzisiaj wielu ludzi rzeczywiście wierzy w to, że nasza cywilizacja jest zagrożona. I że zagrażają jej Stany Zjednoczone. I tak w istocie jest: zagrażają, ale nie w taki sposób, jak większość z nas sądzi.

TRZECIE ŹRÓDŁO

Krytycy Stanów Zjednoczonych na całym świecie wskazują na amerykańską armię i gospodarkę jako główne źródła dominacji USA. Jednak tak naprawdę to raczej wiedza w najszerszym sensie i nowe technologie oparte na niej stanowią podstawę potęgi militarnej i finansowej Ameryki i to one są jej główną siłą napędową.

To prawda, że zagrożona jest pozycja Ameryki jako światowego lidera w dziedzinie technologii. Wedle Narodowej Rady Nauki (National Science Board), blisko 50 proc. doktoratów w dziedzinie matematyki, informatyki i inżynierskich prac dyplomowych obronili obcokrajowcy. A amerykańska młodzież przejawia coraz mniejsze zainteresowanie tymi dyscyplinami wiedzy. Przedstawiciele NASA skarżą się, że wśród jej specjalistów jest trzykrotnie więcej naukowców po sześćdziesiątce niż tych poniżej trzydziestki.

Shirley Ann Jackson, ówczesna przewodnicząca Amerykańskiego Stowarzyszenia Postępu Naukowego (American Association for the Advancement of Science), przestrzega, że "na całym świecie gwałtownie przybywa ośrodków działań technologicznych, szkoleń i przedsiębiorczości, natomiast jednocześnie spada udział Stanów Zjednoczonych w tym globalnym rynku innowacji i idei".

Niemniej, Ameryka wciąż prowadzi w większości dziedzin technologii cyfrowych, mikrobiologii i ogólnie nauki. Amerykański budżet na badania i rozwój stanowi 44 proc. ogólnoswiatowych wydatków na ten cel. Spośród 38 noblistów w dziedzinie chemii, fizyki i medycyny w latach 1999 - 2003 niespełna dwie trzecie było albo Amerykanami, albo - w chwili otrzymania nagrody - pracownikami amerykańskich instytucji. Przynajmniej na razie Stany Zjednoczone stanowią niekwestionowaną potęgę naukową w skali całego świata.

Być może jeszcze ważniejsze jest tempo, w jakim wszelkie odkrycia naukowe i postęp technologiczny przekuwane są na zastosowania rynkowe lub produkty, rozprzestrzeniając się szybko w produkcji, finansach, rolnictwie, obronie narodowej, biotechnologii i innych sektorach gospodarki. Łącznie zwiększają one produktywność gospodarczą, jeszcze bardziej przyśpieszają tempo zmian i zwiększają amerykańską zdolność do konkurencyjności na poziomie światowym.

Wiedza jednak nie jest jedynie kwestią bitów i bajtów, nauki i technologii.

SIECZKA W GŁOWIE NASTOLATKÓW

Częścią gospodarki intelektualnej jest produkcja artystyczna i rozrywkowa, a Ameryka jest największym na świecie eksporterem kultury popularnej. Kultura ta obejmuje modę, muzykę, programy telewizyjne, książki, filmy i gry komputerowe.

Amerykanom zawsze powtarzano, że najważniejszym ich przesłaniem do świata jest demokracja, wolność jednostki, tolerancja, uszanowanie praw człowieka, a od stosunkowo niedawna także prawa kobiet. Jednakże w ciągu ostatnich trzydziestu lat, wobec tego, że media amerykańskie zaczęły docierać na niegdyś zamknięte lub nieistniejące rynki zagraniczne, komunikowano zgoła odmienny zestaw przekazów. W dużej mierze adresowane były one do ludzi młodych.

Oczywiście nie cały, ale w sporej części ten materiał eksportowy w dużym stopniu gloryfikuje sutenerów, gangsterów, baronów narkotykowych, dilerów narkotyków i ćpunów o szklistych oczach. Amerykańska produkcja rozrywkowa zawiera pochwałę skrajnych przejawów przemocy objawiającej się niekończącymi się pościgami samochodowymi, wymyślnymi efektami specjalnymi i piosenkami ociekającymi seksistowskim jadem. Oddziaływanie tych treści zostało następnie wzmożone intensywną, brutalną reklamą mającą promować te produkcje.

Hollywood, na przykład, wytworzył bajkowy obraz Ameryki, w której króluje niedojrzały hedonizm, a wszelkie autorytety - policja, nauczyciele, politycy i przywódcy biznesu - są rutynowo wyśmiewane.

W coraz to nowych filmach i programach telewizyjnych mówi się młodym widzom to, co tak bardzo pragną usłyszeć: że dorośli to nadęci idioci, że nie ma nic zdrowszego w tym, by być "głupim i głupszym", że "nie potrzebujemy tej całej edukacji", że bycie "złym" jest dobre i że seks, w niezliczonych wariacjach, odbywa się lub powinien się odbywać na okrągło i non-stop.

W tym urojonym świecie kobiety są zawsze chętne i dostępne, ale też mogą przeskakiwać wielkie budynki jednym krokiem (jak Superman), strzelać i zabijać (jak James Bond) i uprawiać sztukę walki (jak Bruce Lee).

Skrajności, jak nam się nieustannie powtarza, są dobre, a ograniczenia - złe. A przy okazji: Ameryka jest tak bogata, że nawet sekretarki, gliniarze, urzędnicy i inni zwyczajni ludzie pracy mieszkają co najmniej w ekskluzywnych apartamentach albo egzotycznych rezydencjach. Takie obrazy działają niezwykle silnie na wyobraźnię młodych ludzi od Tajpej po Timbuktu.

Rzadko który zagraniczny krytyk amerykańskiej kultury pop zdaje sobie sprawę z tego, że - paradoksalnie - wiele z ostentacyjnie amerykańskich firm produkujących i rozpowszechniających ten najgorszy chłam jest lub było własnością nie tyle Amerykanów, co kapitału europejskiego lub japońskiego.

Rzadko kto też rozumie, że programy te są produkowane przez, powiedzmy, europejskiego reżysera, australijską gwiazdę, chińskiego konsultanta ds. dalekowschodnich sztuk walki, animatora z Japonii i innych obcokrajowców.

Wpływ tej sieczki jest natomiast tak przemożny, że inne społeczeństwa obawiają się wręcz o przetrwanie swojej własnej kultury.

HISTORIA PAULA

Przez całe stulecia słowo Timbaktu funkcjonowało na Zachodzie jako synonim najodleglejszych zakamarków na świecie. Nie tak dawno temu nasz przyjaciel z Australii, znany autor i podróżnik Paul Raffaele, po dwóch dniach jazdy samochodem na północ od Bamako, stolicy Mali w Afryce Zachodniej - dotarł właśnie do Timbaktu. Następnie przysłał nam e-maila z relacją z tej podróży.

Timbaktu od wieków niewiele się zmieniło. (...) Nomadowie prowadzą na targ stada osłów, Tuaregowie w turbanach, okutani w szaty tak, że widać wyłącznie ich oczy, przechadzają się po alejach mijając meczety błotne z czternastego wieku (...). Aż tu nagle, tuż przede mną, widzę coś, co zakrawa na cud.

Mnóstwo nastolatków, czarnych, białych i brązowych, ubranych zupełnie tak samo, jak młodzież w czarnych dzielnicach amerykańskich miast, sunie sznurem przez ulicę. Chłopcy mają na sobie ciemne spodenki gimnastyczne, adidasy wedle najnowszego fasonu i długie, obszerne bluzki z nadrukowanymi nazwami amerykańskich drużyn koszykówki. Dziewczyny mają na sobie obcisłe dżinsy, adidasy i T-shirty.

Zmierzają w kierunku ratusza. Paul przyłącza się do nich. "Mamy konkurs rapowania" - wyjaśnia pewien chłopiec. Opowiada Paulowi, że młodzi mieszkańcy Timbaktu "odkryli rap przed kilkanaście laty, ale teraz to ich ulubiony rodzaj muzyki. (...) W Timbaktu jest dziś i telewizja kablowa, więc cały czas oglądamy rap w MTV." Wewnątrz ratusza setki podobnie ubranych dzieciaków - Arabów, Tuaregów, Fulanów i Songhajów - krzyczą i tupią, kiedy czterech młodych ludzi łapie za mikrofony.

Przez kolejne dwa tygodnie Paul widział jednakże zarówno na ulicach Timbaktu, jak i na pustyni - niemal wyłącznie stroje tradycyjne. "Być może tego jednego popołudnia - pisał Paul - kiedy młodzież Timbaktu obnosiła się ze swym zamiłowaniem do nowoczesnej odzieży i muzyki, ujrzałem obraz przyszłości?"

W pytaniu Raffaele'a pobrzmiwa echo zmartwienia, z jakim borykają się miliony rodziców na całym świecie, którzy są świadkami szturmów na ich kulturę. Czują, że Stany Zjednoczone uwodzą i uprowadzają ich dzieci.

Można zapytać - uprowadzają skąd? Paul zmyślnie podpowiada: "Pytam [chłopaka], dlaczego mi się wydaje, że na widowni nie ma dziewczyn starszych niż szesnastolatki. »Bo wtedy rodzice wydają je za mąż i większość czasu spędzają w domu«. Pytam, czy dziewczęta mogą sobie wybrać męża. »Oczywiście, że nie« - odpowiada. »Małżeństwo jest rzeczą zbyt ważną, żeby decyzję podejmowała dziewczyna lub chłopak. Zawsze decydują nasi rodzice«."

A zatem - Paul stwierdza jednoznacznie - są ściśle wytyczone granice nawracania się Timbaktu na Amerykę.

HEDONIZM MADE IN HOLLYWOOD

Podczas gdy Hollywood wysłał swój przekaz, wedle którego wolność jednoznaczna jest z nieskrępowanym hedonizmem, Wall Street wysłała równoległy przekaz, w którym stwierdzono, że nieograniczony biznes i handel stanowią najlepszą drogę do bogactwa.

Waszyngton, poruszając tenże sam temat, powtarzał jak mantrę, że nieograniczony wolny handel i "jednakowe warunki gry" przynoszą korzyść wszystkim. Połączono to z magiczną formułą:

liberalizacja + globalizacja = demokracja.

Przez kilkadziesiąt lat Ameryka mówiła zatem całemu światu i samej sobie, że laissez-faire (a szczególnie prywatyzacja i deregulacja) zaowocuje powstaniem demokracji - zupełnie tak, jakby jakakolwiek mechanistyczna, uniwersalna formuła mogła zdać egzamin w każdych warunkach, niwelując wszystkie różnice regionalne, kulturowe, historyczne oraz poziom rozwoju gospodarczego i instytucjonalnego.

Jeśli Ameryka prezentuje światu jedynie ostentacyjny brak hamulców - i jeśli to jest amerykańska definicja wolności - nie powinniśmy się dziwić, że dorośli żyjący w innych kulturach widzą tu nie tyle wolność, co raczej chaos.

Nieskrępowany hedonizm i niezachwiana wiara w wolny rynek nie są jednak nieodłącznym i nieuniknionym elementem towarzyszącym rozwojowi gospodarczemu Trzeciej Fali.

Zamiast tego odzwierciedlają fakt, że proces przechodzenia od gospodarki przemysłowej i społeczeństwa industrialnego do gospodarki intelektualnej i takiegoż społeczeństwa ma bezprecedensowy charakter. Żadne pokolenie w przeszłości nie doświadczało podobnej transformacji. Nie trzeba dodawać, że nie wiemy, jak w tej mierze odnieść sukces. Odpowiednie modele nie istnieją.

A zatem Ameryka - choć często wydaje się arogancka - aż drży z niepewności, eksperymentując z nowymi ideami, strukturami społecznymi i wartościami. A to może zdławić część dzisiejszego braku ograniczeń, wobec tego, że próbuje się i porzuca nieproduktywne modele zachowania.

Wprawdzie krytycy z całego świata narzekają, że stany Zjednoczone usiłują zdominować i zhomogenizować ich kulturę, jednakże są w stanie zrozumieć, że parcie na homogeniczność nie pochodzi z zaawansowanych sektorów Trzeciej Fali amerykańskiej gospodarki i społeczeństwa, lecz z ostatnich okopów Drugiej Fali.

Metody mass mediów, masowego marketingu i masowej dystrybucji, stanowiące podstawę amerykańskiego eksportu masowej kultury i wartości, w sposób kliniczny wyrażają aspiracje wczorajszego masowego społeczeństwa industrialnego, a nie jutrzejszej gospodarki intelektualnej, opartej wszak właśnie na indywidualizacji i odmasowianiu.

W rzeczy samej, bogata różnorodność towarzysząca rozwojowi opartemu na wiedzy stanowi gwarancję, że inne kraje będą zmierzać do przyszłości innymi drogami pod względem ekonomicznym, społecznym i politycznym. Nie będą wyglądać tak, jak Ameryka. Ale też i sama Ameryka będzie wyglądać zgoła odmiennie.

DWA RAZY DO TEJ SAMEJ WODY?

Prawdziwe przesłanie, które formułuje dziś Ameryka, ważniejsze od ideologicznej i handlowej retoryki, to Ewangelia Zmian.

Najgłośniejszym brzmieniem są właśnie te słowa, docierające do miliardów ludzi w powolnie zmieniających się społeczeństwach na całym świecie: Zmiany są możliwe - i to nie tylko gdzieś na horyzoncie, ale wkrótce, jeszcze za twójego życia lub za życia twoich dzieci.

Ta Ewangelia nie określa szczegółowo, czy zmiana będzie dobra czy zła. To mogłoby być różnie rozumiane i chyba nigdy nie ustałyby sprzeczki na ten temat. Ale sama myśl, że zmiany są możliwe, brzmi rewolucyjnie dla wielu społeczeństw na ziemi - a szczególnie dla najbiedniejszych na świecie ludzi młodych. Jednak, o czym świadczą niezliczone przykłady, kiedy ludzie uważają, że zmiany są niemożliwe - rzadko biorą przyszłość w swoje własne ręce.

Jeśli dorastające pokolenie zostanie zainspirowane tym duchem zmian, Amerykanie i Ameryka wcale nie będą uszczęśliwieni zmianami, które się pojawią. Na Bliskim Wschodzie mogą przybrać formę reżymów teokratyczno-faszystowskich wybieranych w powszechnych wyborach. W Afryce i Ameryce Łacińskiej mogą przybrać całkiem odmienne formy.

Ewangelia Zmian najbardziej zagraża ustabilizowanym instytucjom i ustalonemu łaadowi, dokładnie z tej przyczyny, że wcale nie jest powiedziane, iż jest prawicowa lub lewicowa, demokratyczna czy autorytarna. Metaprzekazem wynikającym implicite z owej Ewangelii jest dogłębne przekonanie, że nasze społeczeństwa, obecne style życia, a nawet nasze przekonania są wyłącznie tymczasowe.

Nie jest to przesłanie Adama Smitha albo Karola Marksa. Nie jest to przesłanie francuskich czy amerykańskich rewolucjonistów. Jest to przesłanie najbardziej rewolucyjnego spośród wszystkich filozofów - Heraklita z Efezu, którego najbardziej znana maksyma najlepiej podsumowuje sens owego przesłania: "Nie można dwa razy wejść do tej samej rzeki, ponieważ za drugim razem napłyną nowe wody i rzeka nigdy nie będzie już taka sama." Wszystko jest procesem. Wszystko jest zmianą.

Heraklit mówi nam, że wszystkie ideologie, religie, podobnie jak wszystkie instytucje mają charakter przejściowy historycznie. Tak naprawdę brzmi przesłanie Ameryki. I właśnie to, na najgłębszym poziomie, spędza sen z powiek miliardom ludzi i przynosi im w nocy koszmary.

Stany Zjednoczone nie mogą tu nic uczynić innego, jak tylko przekazywać tę wiadomość, ponieważ same stanowią ucieleśnienie zmian.

Dziś wiele krajów odchodząc od industrialnego systemu bogactwa i cywilizacji rozpoczęło transformację ku systemowi bogactwa, którego podstawą jest wiedza - nie zdając sobie sprawy z faktu, że nie będzie można osiągnąć nowego systemu bogactwa bez odpowiadającego mu nowego sposobu życia. Ameryka stoi nad krawędzią wszechobejmującej zmiany. A zmiana jest jej najważniejszym towarem eksportowym.

To dlatego nawet obecni i niegdysiejsi sojusznicy są coraz bardziej zatroskani rolą Ameryki w świecie. Mimo że sami też przechodzą poważne zmiany (na przykład niedawne poszerzenie Unii Europejskiej i odrzucenie przez niektóre państwa proponowanej konstytucji), jednak są tam one powolniejsze i mniej rewolucyjne. Ze wszelkich sił starają się budować swą własną przyszłość,

patrząc jednocześnie, jak Stany Zjednoczone pędzące ku nieznanej, burzliwej przyszłości pociągają za sobą inne kultury i kraje.

Jeśli wszystko istotnie jest tymczasowe, to także i potęga Ameryki.

Rozdział 32

Implozja

Miliony coraz bardziej niespokojnych, a często wręcz wściekłych ludzi na całym świecie martwi się z powodu dominacji Ameryki, ale jak długo może jakiekolwiek społeczeństwo, a nawet supermocarstwo zachować zewnętrzną władzę, jeśli jej wewnętrzne instytucje pogrążone są w kryzysie? Czy Amerykę czeka implozja?

Dotąd sporo mówiliśmy o upadku amerykańskiej Drugiej Fali czy też, stopniowo, wszystkich po kolei instytucji epoki industrialnej. Ale dopiero wówczas możemy otrzymać wyraźny obraz sytuacji, gdy poszerzymy zakres naszej analizy i dostrzeżemy wzajemne relacje pomiędzy nimi.

Jeśli Stany Zjednoczone są tak potężne, dlaczego nasz system opieki zdrowotnej pogrążony jest w kryzysie? Dlaczego kryzys objął system emerytalny, system edukacji, system prawny, a nawet świat amerykańskiej polityki -wszystko to jednocześnie?!

PANDEMIA SAMOTNOŚCI

Dlaczego także i amerykańska rodzina nuklearna - teoretycznie stanowiąca podwalinę społeczeństwa - znalazła się w tak opłakanym stanie? Dziś poniżej 25 proc. Amerykanów żyje w rodzinach, w których ojciec pracuje, a żona zostaje w domu z jednym lub dwojgiem dzieci w wieku poniżej ośmiu lat - cóż za odmiana w porównaniu z latami sześćdziesiątymi. Trzydzieści jeden procent amerykańskich dzieci dorasta w rodzinach, w których jest tylko jeden rodzic lub nie ma ich wcale. Około 30 proc. Amerykanów po sześćdziesiątce mieszka samotnie. Dlaczego 50 proc. małżeństw kończy się rozwodem? Młodzi Amerykanie mówią dziś o czymś na kształt "małżeństwa na próbę" - pierwszym, bezdietnym małżeństwie, zanim zacznie się prawdziwy show. Nie ma się co dziwić, że samotność ma w Stanach Zjednoczonych rozmiary pandemii.

Zjawiska te wywołują gorące spory. Jednak o zmianach debatuje się i sprzecza w sposób fragmentaryczny, bez dostrzegania faktu, że kryzys jednej instytucji może wiązać się wszak z kryzysami gdzie indziej. Kryzys rodziny nuklearnej jest częścią czegoś o wiele, wiele większego.

PO-PRZEDSZKOLNE FABRYKI

Pięćdziesiąt milionów amerykańskich dzieci wychowywanych w systemie rodziny niepełnej (zmieniającym się bardzo szybko, ale wciąż niedostosowanym do wymogów XXI wieku) każdego ranka udaje się do instytucji systemu edukacyjnego, który także jest ułomny.

Jak już zauważyliśmy, Stany Zjednoczone wydają blisko 400 miliardów dolarów rocznie na edukację publiczną od przedszkoli po szkoły średnie, co oznacza, że średnio wydatki na jednego ucznia wynoszą około 7 tys. dolarów. Mimo to 60 procent licealistów nie potrafi czytać na tyle płynnie, by poradzić sobie z podręcznikami, jedna trzecia absolwentów nie potrafi wykonać podstawowych działań matematycznych, jakich wymaga się od początkującego cieśli, a niespełna

jedna trzecia młodych ludzi wkraczających w dorosłość nie potrafi wskazać na mapie Oceanu Spokojnego.

Stolica Stanów Zjednoczonych, Waszyngton, wydaje ponad 10 tys. dolarów rocznie na statystycznego ucznia - więcej niż 49 spośród 50 stanów w Ameryce. A jednak mimo to waszyngtońskie szkoły osiągają najgorsze wyniki szkolne w całym kraju. Wyniki testów z 2002 roku, wedle "The Washington Post", "były gorsze niż w którymkolwiek z pięćdziesięciu stanów".

Strzelaniny, przemoc i narkotyki w szkołach trafiają na pierwsze strony gazet za każdym razem, gdy dochodzi do masakry w kolumbijskim stylu. Ale są to zaledwie symptomy choroby systemu edukacji na modłę fabryczną, który z nielicznymi wyjątkami nie został nigdy nastawiony, nie mówiąc już o restrukturyzacji, na przygotowanie ludzi młodych do życia w gospodarce intelektualnej.

I tak jak wadliwy system rodzinny wysyła dzieci do wadliwych szkół, tak też i szkoły wysyłają swych absolwentów do kolejnego zestawu wadliwych instytucji.

KREATYWNA KSIĘGOWOŚĆ

Jeśli nawet podstawowe instytucje amerykańskie, jak rodzina i szkoła, znajdują się w stanie zapaści, dlaczego miałyby nas tak bardzo zaszokować fakt, że także i kluczowe części amerykańskiej gospodarki nie funkcjonują prawidłowo? Pracodawcy amerykańscy ubolewają, że rodzice nie potrafią zaszcześcić dzieciom szacunku dla solidnej pracy, a szkoły nie są w stanie przekazać im umiejętności na miarę XXI wieku. Niepowodzenie jednej instytucji wpływa na działania innej.

Na przestrzeni pokoleń Amerykanie chlubili się posiadaniem najczystszej na świecie i najbardziej wydajnego systemu finansowego, który jest w stanie w stopniu najwyższym lokować kapitał tam, gdzie będzie pracował najbardziej efektywnie.

Pracownicy amerykańscy (a wielu z nich jest dziś także inwestorami) należący do pokolenia wyżu demograficznego, którzy przecież wychowywani byli w niepełnych rodzinach i kształceni w wadliwie działających szkołach, nie powinni być zdziwieni obserwując reakcję łańcuchową skandali, które nastąpiły pod koniec lat dziewięćdziesiątych, po spektakularnym upadku Enronu.

Fala bezprecedensowych skandali korporacyjnych na najwyższym szczeblu hierarchii zarządzania, niepowodzeń, ekscesów, żonglowania cyframi i kłamstw porwała WorldCom, Tyco, Rite Aid, Adelphia Communications, Gtwest, Xerox i szereg innych gigantów amerykańskiego biznesu wraz z niezwykle uczynnymi bankowcami inwestycyjnymi. Wszystkie te wydarzenia pociągnęły za sobą kolejne fale zwolnień.

Tymczasem główne firmy księgowe w Ameryce, które teoretycznie miały prowadzić audyt ksiąg i utrzymywać je w idealnym porządku, same trafiły wnet pod lupę śledczych. Arthur Andersen, audytor Enronu, zawiąnął się w mgnieniu oka i, jak ujął to "Fortune", "Wielka Czwórka - która odpowiedzialna jest łącznie za audyt 78 proc. piętnastu tysięcy amerykańskich spółek prawa publicznego - wciąż nie schodzi z pierwszych stron gazet przepelnionych słowami krytyki."

Satyrycy przedstawiali dziesięć tysięcy prezesów firm, jak uciekają przez południową granicę USA do Meksyku. Wystrychnięci na dudka inwestorzy wpadli we wściekłość. Zaufanie do

amerykańskiego rynku papierów wartościowych i amerykańskiego systemu biznesowego jako całości spłynęło wprost do ścieku. A wraz z nim wyparowały miejsca pracy i oszczędności na lata emerytury setek tysięcy pracowników.

Powolnie zmieniające się metody regulacyjne i egzekucyjne, wraz z normami prawnymi i społecznymi, pozostały daleko w tyle za coraz szybciej przeprowadzanymi zmianami w biznesie, wytwarzając tym samym turbulencje i zamieszanie - a dla niektórych wspaniałe okazje nie do przepuszczenia: gdzieś w obszarach o zamazanych granicach, które niegdyś były jak najbardziej jednoznaczne. Ot, kolejny przejaw efektu desynchronizacji.

INTENSYWNA OPIEKA

Jednocześnie w samej instytucjonalnej infrastrukturze supermocarstwa zaczęło poszerzać się pęknięcie: firmy i ich pracownicy z ledwością są w stanie opłacać niebotyczne koszty ubezpieczenia zdrowotnego.

Czy to możliwe - zapyta ktoś - że system opieki zdrowotnej sam wymaga intensywnej opieki, skoro w samym tylko 2000 roku przeznaczył równowartość 4499 dolarów na osobę w porównaniu z 56 dolarami przeznaczonymi na ten sam cel, powiedzmy, w Haiti?

Różne, rzecz jasna, bywają definicje kryzysu, ale fakty mówią za siebie: około czterdziestu milionów Amerykanów nie posiada ubezpieczenia zdrowotnego, śmiertelne w skutkach błędy w sztuce medycznej są na porządku dziennym w najobficiej finansowanych wszak szpitalach świata, a powracające mody zdrowotne rozprzestrzeniają się w społeczeństwie niczym zaraza: najpierw antynikotynowa, potem "antyotyłościowa" i dietetyczno-antywęglowodanowa. Jaka moda będzie następna?

Oprócz tego, przedstawiciel opieki zdrowotnej ostrzega podkomisję w Kongresie, że "system opieki zdrowotnej Stanów Zjednoczonych za chwilę imploduje, a detonatorem będzie choroba Alzheimera", ponieważ pokolenie wyżu demograficznego osiąga właśnie wiek, w którym ujawnia się ta okropna choroba.

Fakt, że warunki zdrowotne w większości innych państw są gorsze, nie zmienia postaci rzeczy. Najdroższy system opieki zdrowotnej na świecie jest głęboko dysfunkcyjny - i coraz bardziej pogrąża się w tym stanie.

ZŁOTE LATA

Amerykańscy pracownicy rozpoczynają swą życiową drogę od niesprawnie działającej rodziny i szkoły, następnie poznają także wadliwe instytucje medyczne. Mimo że skorumpowane instytucje finansowe skubią ich przez całe życie, ludzie jakoś dociągają do emerytury: wówczas patrzą przed siebie, na "złotą jesień" swego życia, długo wyczekiwany czas, kiedy będzie można wziąć głęboki oddech, spacerować tylko do własnej skrzynki pocztowej i wyjmować z niej czek z emeryturą.

Młodzi i starzy Amerykanie stoją jednak wobec jeszcze jednej katastrofy instytucjonalnej - systemu emerytalnego. Krytycy obecnych rozwiązań emerytalnych ostrzegają przed nadchodzącą

“odwilż finansową”. Niegdyś takie poglądy uważano za herezję, ale dzisiaj wyraża je nie kto inny, tylko sam amerykański sekretarz skarbu.

Zdaniem tygodnika “BusinessWeek”, “straty odnotowane przez firmowe plany emerytalne nawarstwiają się i dziś system ten wygląda jak posuwająca powoli stara, rozklekotana dreźyna.” Tylko w ciągu ostatnich trzech lat aktywa amerykańskich prywatnych funduszy emerytalnych zmniejszyły się o 15 procent, podczas gdy zobowiązania wzrosły o blisko 60 proc.

“Matką niedofinansowanych emerytur”, jak ją określił tygodnik, jest ni mniej, ni więcej, tylko ów behemot General Motors, a zaraz za nim - inni producenci samochodów, linie lotnicze i branża papiernicza. Firmowe plany emerytalne tych wszystkich firm razem wzięte winne były pracownikom amerykańskim 350 miliardów dolarów w 2003 roku więcej niż odłożyły na ten cel.

Aby zyskać pewność, że 45 milionów pracowników i emerytów nie zostanie na lodzie, administracja rządowa postanowiła gwarantować emerytury przy pomocy Pension Benefit Guaranty Corporation. Do 2003 roku jednakże sama PBGC odnotowała deficyt rządu 11,2 mld USD i - jak wynika ze słów jej dyrektora, Stevena A. Kandariana - jej sytuacja grozi wręcz wybuchem.

W warunkach bardzo szybkiego starzenia się społeczeństwa i braku środków na emerytury - wygląda na to, że szykuje się międzypokoleniowa wojna pomiędzy emerytami z jednej strony i młodymi pracownikami z drugiej, którzy obawiają się, że dla nich - kiedy sami przejdą na emeryturę - nie zostanie już ani grosika.

Wielu Amerykanów, osaczonych przez upadające instytucje, zwraca się z prośbą o pomoc do instytucji dobroczynnych, przez długi czas uważanych za etycznie czystsze od sektora komercyjnego, nastawionego na zysk. W taki sposób jednakże były postrzegane te instytucje do czasu, gdy najbardziej prestiżowe z nich - United Way oraz Amerykański Czerwony Krzyż - same nie stały się przedmiotem śledztwa w sprawie o fałszowanie ksiąg i niezgodne z przeznaczeniem wykorzystywanie pozyskiwanych środków finansowych.

A skąd tymczasem mieli się Amerykanie dowiedzieć czegoś więcej o wszystkich tych kryzysach? Oczywiście z Internetu. Ale jak pieczołowicie opisują to gazety, w Internecie pojawia się wiele informacji niesprawdzonych, stroniczych lub wręcz błędnych. Wydawcy powiadają, że niezbędne są informacje wiarygodne, precyzyjne, starannie sprawdzone i potem sprawdzone jeszcze raz.

Cóż z tego, skoro gazety, radio i telewizja same przeżywają kryzys wiarygodności, który zagraża ich przyszłości. Świadczą o tym skandale dziennikarskie, które wybuchły ostatnio w “The New York Times”, “USA Today”, CBS News, “Newsweeku” i nie tylko.

Skandale te rozgrywały się w warunkach spadającego czytelnictwa i kurczących się widowni telewizyjnych. “Los Angeles Times”, z ciężkim sercem, napisał w 2005 roku: “Nakłady gazet codziennych spadły blisko o 9 milionów od 1984 roku, kiedy osiągnięto najwyższe nakłady rządu 63,3 mln egz., jednakże w tym samym czasie liczba ludności USA zwiększyła się o około 58 mln osób.” W cytowanym artykule napisano też, że między rokiem 1960 a 2004 z rynku zniknęło w ogóle 306 gazet codziennych.

POLITYKA KSIĘŻYCOWA

Listę bolączek instytucji w mocarstwowej Ameryce można bez trudu przedłużyć i objąć nią niepowodzenia agend amerykańskiego wywiadu i kontrwywiadu. Ani one, ani Biały Dom za czasów zarówno Billa Clintona, jak i Georga W. Busha nie zdołały zapobiec katastrofie 11 Września mimo wielu wcześniej przechwyconych sygnałów ostrzegawczych. Nie zdołały też prawidłowo ocenić rzekomego irackiego zagrożenia bronią masowego rażenia.

Wreszcie, wysłuchawszy tej litanii nieszczęść, jakich doświadczają kolejne amerykańskie instytucje, dochodzimy do tej dopiero klęski, która może się okazać najważniejszą ze wszystkich. Historycy w przyszłości być może odnotują, że XXI wiek rozpoczął się od prezydentury zakończonej wszczęciem procedury usunięcia z urzędu, po której nastąpiła kadencja prezydenta umocowanego w Białym Domu nie tyle z woli wyborców, co mocą orzeczenia pięciu spośród dziewięciu sędziów Sądu Najwyższego. Dwukrotnie w ciągu dwóch lat kraj otarł się dosłownie o włos o poważne zaburzenia w swych najbardziej podstawowych instytucjach politycznych.

Wkrótce potem byliśmy świadkami zgoła surrealistycznego spektaklu, kiedy to starano się odsunąć od władzy gubernatora Kalifornii Graya Davisa. Kampania zachęciła 135 kandydatów do ubiegania się o ten urząd, zaś wśród księżycowych kandydatów pojawił się wydawca pornografii, emerytowany pakowacz mięsa, zawodnik sumo, sprzedawca używanych samochodów i starsza pani znana wyłącznie z tego, że na wielkich billboardach pojawił się jej wizerunek opatrzony nazwiskiem. W końcu zdołano wyrzucić Davisa i jego miejsce zajął mięśniak - aktor Arnold Schwarzenegger.

AWARIA SYSTEMU

Można powiedzieć, że kryzys to bardzo subiektywne określenie: jest czy go nie ma - zależy od obserwatora lub też od frazeologii partyjnych, których zainteresowani tylko sobą działacze domagają się wielkich zmian. Ale nawet jeśli wziąć pod uwagę niedokładność statystyk, uproszczenia ekstrapolacji trendów i przesadę politycznej retoryki, lub też różnice co do ich znaczenia, intensywności lub natychmiastowości - sama złożoność tych przypadków mówi nam o niezmiernie ważnej rzeczy: o tym, że całość jest czymś więcej niż jedynie arytmetyczną sumą części składowych.

Jeszcze nie tak dawno temu większość obserwatorów - amerykańskich czy zagranicznych - sądziła, że wszystkie te kryzysy instytucjonalne w Stanach Zjednoczonych nie są ze sobą powiązane. Ale ten pogląd jest już nie do obrony. Pozornie oderwane od siebie i z gruntu różne kryzysy amerykańskie - są ze sobą coraz ściślej powiązane. Opieka zdrowotna i emerytura. Emerytura i kryzys korporacji. Rodzina i szkoła. Polityczny kryzys i cała reszta napędzają się nawzajem.

A zatem wewnątrz Stanów Zjednoczonych rozwija się kryzys systemowy żywej infrastruktury instytucjonalnej, i to dokładnie w tym samym czasie, kiedy wielu ludzi uważa, że potęga Ameryki na świecie zmniejsza się.

EPIDEMIA KLĘSKI

Aby uchwycić w pełni znaczenie tej implozji, która nam zagraża, nie wystarczy jednak zajrzeć do wnętrza Ameryki. Ponieważ Stany Zjednoczone, jak się okazuje, nie są tu osamotnione. W istocie bowiem podobną epidemię klęsk odnotowały Niemcy, Francja, Wielka Brytania, Korea Południowa czy Japonia: coraz bardziej poszerzają się pęknięcia w monolocie kluczowych instytucji, począwszy, tak jak w Stanach - od rodziny nuklearnej.

W Japonii odsetek rozwodów, szczególnie wśród małżeństw z dwudziestoletnim i większym stażem, wzrasta do niespotykanych rozmiarów. Jeszcze bardziej frapujące są wyniki badania przeprowadzonego przez Japoński Instytut Badań nad Młodzieżą. Wedle czasopisma "Business 2.0" okazuje się, że podczas gdy 75 proc. amerykańskich uczennic zgodziło się ze stwierdzeniem "każdy powinien wyjść za mąż/ożenić się", o tyle zaskakujący odsetek aż 88 proc. japońskich nastolatków - nie zgodziło się z tym twierdzeniem.

Liczba rozwodów w Korei Południowej, tradycyjnie niska, należy dziś do najwyższych w świecie. W Wielkiej Brytanii londyński "The Times" donosi, że następuje "stały spadek liczby rodzin nuklearnych." Jak informuje gazeta, "liczba gospodarstw domowych prowadzonych przez klasyczne małżeństwo po raz pierwszy spadła poniżej 50 proc, co stanowi odzwierciedlenie radykalnych przemian społecznych w życiu brytyjskiej rodziny."

Kryzysy edukacyjne także nie są bynajmniej specjalnością wyłącznie Stanów Zjednoczonych. Nagłówki prasowe w Japonii krzyczą z łamów "Japan Times": "Upadek klasy opanował szkoły w całym kraju." "The New York Times" donosi zaś: "WYCHOWAWCY W JAPONII USIŁUJĄ UJARZMIĆ SZKOLNĄ DŻUNGLE."

Jednocześnie, podobnie jak w Stanach Zjednoczonych, niegdyś podziwiane powszechnie w Japonii gigantyczne korporacje nie uciekły od licznych skandali w stylu Enronu, tyle że po japońsku. Mimo że system bankowy Japonii ledwo zipie pod ciężarem nieobsługiwanych kredytów, prezes i przewodniczący rady nadzorczej Tokyo Electric Power Co. ustępują w niesławie, ponieważ wydało się, że firma fałszowała dane dotyczące bezpieczeństwa swoich elektrowni jądrowych. Wnet w haniebne ślady szefów TEPCO poszli także prezesi Mitsui, Snow Brand Food, Nippon Meat Packers, Mitsubishi Motors, Nissho Iwai i innych wielkich korporacji.

Potem było jeszcze gorzej: w 2005 roku kryzys objął także giełdę Tokyo Stock Exchange. Najpierw wskutek awarii systemu komputerowego trzeba było przerwać notowania, po raz pierwszy w 56-letniej historii tokijskiej giełdy. W kilka tygodni później obserwatorzy z ledwością powstrzymywali śmiech, kiedy to makler Mizuho Securities Co. przez pomyłkę sprzedał 610 tys. akcji w cenie 1 jena za akcję, zamiast jedną akcję za 610 tys. jenów, która to pomyłka kosztowała firmę, bagatela, 340 mln dolarów.

Niedawne kryzysy korporacyjne nabrały szczególnie dramatycznego kolorytu w Korei Południowej, gdzie skandale doprowadziły do ucieczki założyciela Daewoo, samobójstwa jednego z synów założyciela firmy Hyundai i uwięzienia szefa SK, kolejnego wielkiego czebola - jednej z tamtejszych megafirm.

W Europie skandale, które wybuchły niedawno, nie ominęły niemieckiego Volkswagena, firmy Parmalat we Włoszech, francuskiego banku Credit Lyonnais, Skandii w Szwecji i koncernów naftowych Elf oraz Royal Dutch/Shell.

A jeśliby tego było mało, by dać zajęcie dziennikarzom, wszystkim tym wydarzeniom towarzyszyły, podobnie jak w Stanach Zjednoczonych, zakłócenia i niepokoje w systemie opieki zdrowotnej wielu państw. W Stanach Zjednoczonych niektórzy politycy rutynowo wskazują na brytyjską opiekę zdrowotną jako model do naśladowania. Ale przecież British Council wyjaśnia, że "nie ma dnia, aby nie ujawniono kolejnego przypadku świadczącego o »kryzysie« w służbie zdrowia." Niemiecki system opieki zdrowotnej prasa określa jako "upadający", a o szwedzkim pisze się, że znajduje się w stanie "ostrego kryzysu finansowego." Japoński dziennik "Mainichi Daily News" donosi, że "system ubezpieczeń zdrowotnych w Japonii może załamać się w ciągu pięciu dni."

Jeśli chodzi o emerytury, francuski premier twierdzi, że niewydolny system emerytalny zagraża "dalszej egzystencji republiki." Francja jednak nie jest tu odosobnionym przypadkiem. "Europa stoi wobec kryzysu emerytalnego", twierdzi "BusinessWeek". Z kolei japońska gazeta codzienna "Daily Yomiuri" pisze, że "ujawniono szokujące dane w raporcie na temat państwowego systemu emerytalnego." Także "The Korea Times" wielkimi literami krzyczy: KRYZYS SYSTEMU EMERYTALNEGO. Czyżby niedofinansowane emerytury firmowe zdarzały się jedynie w Ameryce? A cóż innego dzieje się w niemieckim Siemensie, gdzie deficyt funduszu emerytalnego wynosi 5 miliardów dolarów?

ATAK GWIAZD

Tych samych trendów można doszukać się niemal wszędzie. Tak więc poważna utrata wiarygodności amerykańskich mediów jest też - choć z innych przyczyn - problemem "Le Monde" i "Le Figaro", czołowych gazet francuskich czy "Asahi Shimbun" w Japonii.

A instytucje charytatywne? Skandale, jakie dotknęły Amerykański Czerwony Krzyż oraz United Way, wydarzyły się także i to w zgoła spektakularny sposób nie tak dawno temu w Wielkiej Brytanii, gdzie słynny tenor Luciano Pavarotti, gwiazda rocka David Bowie i dramaturg Tom Stoppard publicznie odżegnali się od dalszego popierania War Child UK, organizacji dobroczynnej powołanej do udzielania pomocy dzieciom w krajach objętych działaniami wojennymi. Kiedy Pavarotti odkrył, że współzałożyciel i konsultant tej organizacji przyjmował łapówki od firmy świadczącej usługi na jej rzecz, odwrócił się wraz z innymi od tej organizacji, nie chcąc mieć nic wspólnego - jak to ujął rzecznik prasowy - "z czymkolwiek, co ma charakter korupcyjny."

Nie trzeba tłumaczyć, że historia pełna jest skandali, klęsk i kryzysów. Nie wymyśliło ich nasze pokolenie. Ale dzisiejsze wydarzenia w kolejnych krajach są jakościowo różne. Nigdy - może z wyjątkiem najgorszych lat II wojny światowej - żadne pokolenie nie doświadczyło tylu instytucjonalnych załamania w tak wielu krajach, pojawiających się w tak krótkich odstępach czasu i tak szybko się rozgrywających.

Nigdy też nie było tak, żeby tak wiele kryzysów instytucjonalnych nie było tak ściśle ze sobą powiązanych - niosąc z sobą poważne skutki dla rodziny, edukacji, pracy, zdrowia, emerytur, życia politycznego i mediów, a zatem - dla systemu bogactwa. I nigdy też dotąd re-globalizacja nie spowodowała, że skutki finansowe tych kryzysów tak szybko przekroczyły granice tak wielu państw.

A zatem to, co się dzieje, nie jest serią odrębnych awarii, lecz prawdziwym załamaniem systemowym. Stawia ono znak zapytania wobec możliwości przetrwania całych społeczeństw tak bardzo zależnych od wątych i mocno zdestabilizowanych instytucji.

Dzisiejsze zamieszanie instytucjonalne jest bezprecedensowe z jeszcze jednego, ważnego powodu.

Wszystkie te kryzysy na szczeblu ogólnokrajowym rozgrywają się w kluczowym momencie także dla instytucji globalnych, z Organizacją Narodów Zjednoczonych włącznie. Nawet w 2005 roku, kiedy ONZ wstrząsnęły oskarżenia o korupcję na wielką skalę w związku z programem "Ropa za żywność" w Iraku, a sekretarz generalny Kofi Annan znalazł się pod ostrzałem krytyki z powodu bliskich związków jego syna z firmą, której bardzo zależało na lukratywnych kontraktach w Iraku - do mediów trafiła kolejna awantura. Tym razem poszło o zarzuty pedofilii i przemocy na tle seksualnym stosowanej wobec kobiet przez przedstawicieli sił pokojowych ONZ w Afryce. Wcześniej zaś Annan ostrzegał, że cała ONZ jako instytucja znajduje się potencjalnie w stanie śmiertelnego kryzysu z powodu anachronicznej struktury tej organizacji.

Tymczasem całkiem inna wojenka toczy się wewnątrz Banku Światowego, który notabene analitycy krytykują za "niekompetencję, bezproduktywność i oderwanie od realiów." Do poważnego kryzysu przyznaje się także, choć z niejakim ociąganiem, uber-arogancki Międzynarodowy Fundusz Walutowy. Światowa Organizacja Handlu także się chwieje, podobnie jak wiele innych instytucji międzyrządowych. Również na szczeblu globalnym gwałtownie zbliżamy się do kryzysu systemowego.

A kiedy kryzysy instytucjonalne w wielkich krajach zaczną się nakładać na równie systemowe załamanie instytucji globalnych właśnie, co jest bardzo prawdopodobne - łączny, samonapędzający się skutek będzie odczuwalny nie tylko przez Amerykanów.

Odczują go zamożni smakosze kawy latte w Omotesando w Tokio, podobnie jak hodowcy kawy w Ameryce Środkowej, kobiety przy liniach montażowych w Chinach i drobni przedsiębiorcy w niemieckim Mittelstand czy analitycy finansowi i inwestorzy z Wall Street, Londynu, Frankfurtu, Singapuru czy Seulu.

To, co się wydarzy, w sposób naturalny będzie także poddane działaniu i innych potężnych czynników - wojen, terroryzmu, imigracji, katastrof ekologicznych, zmian geopolitycznych. Ale nawet bez nich, wzajemnie napędzające się i nakładające na siebie kryzysy na szczeblu państwowym oraz globalnym mogą wyzwolić coś znacznie większego i daleko bardziej niebezpiecznego niż zwyczajny niedowład którejś pojedynczej instytucji czy infrastrukturalna implozja w dowolnym kraju.

Ten splot porażek i skandali może pocieszyć tych, którzy nienawidzą Ameryki i Zachodu czy w ogóle bogatych państw. Ale postąpiliby rozsądniej, gdyby nie śpieszyli się zanadto z triumfowaniem.

Ponieważ, o czym od dawna wiedzą Chińczycy, kryzys i szansa są ze sobą nierozzerwalne. Zamiast dziejowej katastrofy, te powiązane ze sobą kryzysy można przekuć w gigantyczną przewagę. Skorzystałyby z niej natomiast kraje, które ich doświadczają.

Aby tak się stało, musimy zrozumieć, dlaczego tak wiele instytucji w tak wielu krajach oraz sam ogólnoswiatowy ład stoją tak niepewnie tuż nad krawędzią implozji.

Rozdział 33

Przerdzewiałe styki

*Świat, który powstaje,
wciąż jest na wpół pogrzebany w ruinach świata,
który osuwa się w otchłań...
i nikt nie wie, która z dawnych instytucji...
podniesie się, a która opadnie na dno.
Alexis de Tocqueville*

W dniu 14 października 2002 roku w podwaszyngtońskim przedmieściu Linda Franklin wraz z mężem Tedem była akurat przed sklepem z artykułami do remontowania mieszkań. Wraz z mężem wkładała właśnie zakupy do bagażnika samochodu, kiedy rozległ się strzał. Kula, która zabiła Lindę, pochodziła z karabinu snajpera terroryzującego od dwudziestu dwóch koszmarnych dni okolicę. Gdy strzały oddawane do przypadkowego tłumu zebrały żniwo w postaci dziewięciu ofiar z okolic Waszyngtonu, do akcji wkroczyły doborowe siły policyjne Ameryki: Federalne Biuro Śledcze (FBI).

Do dyspozycji obywateli oddano infolinię. Zgłoszenia przekazywane władzom za jej pośrednictwem były następnie wprowadzane ręcznie przez agentów FBI do bazy danych zwanej Rapid Start (Błyskawiczny Start). Jednakże zalew 67 tysięcy zgłoszeń spowodował zawieszenie systemu.

Okazało się, że uruchomiono Rapid Start dlatego, iż Automatyczny System Wsparcia (Automated Case Support System) nie umożliwiał jednoczesnego posługiwania się informacjami przez agentów w różnych oddziałach FBI. Co gorsza, podobno w systemie zapodziały się ponad cztery tysiące dokumentów związanych z rozprawą Timothy McVeigha, który zabił 168 osób wysadzając w powietrze rządowy biurowiec Alfred P. Murrah Office Building w Oklahoma City w 1995 roku.

A Linda Franklin zginęła w trzy miesiące po tym, jak dyrektor FBI Robert Mueller zapowiedział, że reforma informatyczna FBI potrwa blisko dwa lata. Uznano, że jest niezbędna, kiedy eksperci ds. technologii w FBI doszli do wniosku, iż większość ludzi ma lepsze komputery w domu niż agenci FBI - w pracy. W roku 2005 FBI dostała po nosie, kiedy politycy usłyszeli, że być może kluczowy element owej reformy będzie trzeba odrzucić, a cały projekt opóźni się o kolejne cztery lata.

Głównym źródłem problemu miał być Louis Freeh, poprzednik Muellera. Jako zdeklarowany przeciwnik komputerów, Freeh dopuścił do tego, że Biuro nie było w stanie dorównać technologicznie ani snajperowi, który miał w samochodzie laptopa, ani własnemu agentowi Robertowi Hanssenowi, utalentowanemu komputerowcowi, który - nawiasem mówiąc - był podwójnym agentem i pracował na rzecz KGB.

Jak na ironię, Linda Franklin pracowała w FBI analizując, między innymi, zagrożenia dla sieci cybernetycznej Biura.

Federalne Biuro Śledcze jest w Stanach Zjednoczonych czymś więcej niż tylko organizacją. Jest to instytucja i ona także pogrążona jest w kryzysie. Ale źródłem toczącego ją kryzysu, podobnie jak w przypadku innych instytucji, są poważne zmiany w odnoszeniu się społeczeństwa do głębokich fundamentów rewolucyjnego bogactwa.

CZAS FBI

Zacznijmy od tego, że w świecie, w którym transakcje biznesowe (a także transakcje kryminalne) przyspieszają, czas reakcji FBI, podobnie jak większości biurokracji, jest zbyt powolny. Kiedy w urzędzie pocztowym w Hamilton, w stanie New Jersey odnaleziono ślady węgla i w rezultacie zginęło pięć osób, FBI potrzebowało niemal roku na sprawdzenie wszystkich skrzynek pocztowych. A kiedy niemal znikąd pojawił się nagle wirus Slammer i zaatakował setki tysięcy systemów komputerowych, FBI publicznie poinformowało o zagrożeniu dopiero po 13 godzinach, kiedy prywatne firmy antywirusowe dawno już zdołały wydać swoje własne ostrzeżenia. Eksperti FBI byli wówczas w domu, jak wyjaśniał przedstawiciel Białego Domu, i trudno było skontaktować się “z odpowiednim personelem”, by podjąć stosowne działania.

Nie jest to jednakże opowieść o FBI, które wszak jest nieco odmienne, a nawet na wiele sposobów nieco lepsze od innych biurokracji państwowych. Bierność FBI w przypadku owego snajpera idealnie koresponduje z błyskotliwym działaniem Amerykańskiego Urzędu Imigracyjnego (US. Immigration and Naturalization Service), który w sześć miesięcy po ataku na World Trade Center wydał wizy studenckie śmiertelnie groźnym terrorystom: Mohammedowi Atta i Marwanowi al-Shehhi.

Tymczasem, odwołując się do tego, w jaki sposób na kryzys reaguje Departament Stanu, jego przedstawiciel, Marc Grossman, ubolewał w 2005 roku, że “procesy podejmowania decyzji tak bardzo przyspieszyły, że my w Departamencie Stanu działamy naprawdę zbyt powoli (...). Jeśli się nie zmienimy (...) po prostu zbankrutujemy.”

I faktycznie: Nowy Orlean “zbankrutował” po niszczycielskim uderzeniu huraganu Katrina w 2005 roku i załamaniu systemu miejskich wałów przeciwpowodziowych. Biurokracje na poziomie krajowym, stanowym i miejskim były beznadziejnie niezdolne do współpracy. Federalna Agencja Zarządzania Antykryzysowego (Federal Emergency Management Agency) okazała się tak nieodpowiedzialna, że setki tysięcy ofiar pozostawiono na pastwę losu.

Czy dzisiaj biurokracje, nie tylko w Stanach Zjednoczonych, ale także w Europie i Azji, poradziłyby sobie lepiej z pandemią nowej grypy?

Wszędzie znajdujemy dzisiaj powolnie działające i powolnie myślące biurokracje, bez powodzenia starające się nadażyć za przyspieszeniem i tak przyspieszających zmian. A jeśli wziąć pod uwagę wiele potężnych, splatających się sił, które popychają nas w tym kierunku - uznać musimy, że może być tylko gorzej.

Niezwykłe ostra konkurencja gospodarcza, kumulatywna natura badań naukowych, rosnąca liczba umysłów oddanych innowacji oraz natychmiastowość komunikacji - to zaledwie kilka

przykładów presji, które popychają transformujące się społeczeństwa w kierunku rzeczywistego czasu reakcji i - siłą rzeczy - pozostawiających biurokrację daleko w tyle. Wielu z nich aż kręci się w głowie od "efektu przyspieszenia."

Co gorsza, błyskawiczne przemiany gospodarcze i społeczne dokonują się nierównomiernie i - siłą rzeczy - wzmacniają efekt desynchronizacji. Na poziomie pojedynczej firmy, jak już zauważyliśmy wcześniej, kiedy jeden dział przechodzi do precyzyjnie ustalonych operacji "dokładnie na czas" ("just-in-time"), inny zmuszony jest dostosować się do niego, wywołując de-synchronizację w jeszcze innych działach firmy, nie mówiąc już o dostawcach (i ich dostawcach). W dużym stopniu podobne zjawiska zachodzą w agendach rządowych. Ale coś o wiele bardziej zasadniczego dokonuje się na wyższym szczeblu.

Ogólnie rzecz biorąc, sektor publiczny oddziela od prywatnego przepaść, ponieważ prywatny działa coraz szybciej, a publiczny - coraz wolniej i coraz bardziej odstaje od prywatnego. Ta sytuacja pogarsza relacje pomiędzy nimi, ponieważ firmy i rządy w sposób nieunikniony zderzają się, nie mogąc dopasować swoich harmonogramów, przeszkadzając sobie nawzajem, marnując swój czas i pieniądze. Tymczasem nasila się wrogość polityczna. Demonizuje się biurokratów, oskarżając ich o nieczułość, lenistwo i korupcję. Biznesmenów postrzega się jako ludzi pazernych. Polityka jeszcze bardziej wzmacnia tę polaryzację.

A niewydolność instytucji jest coraz boleśniejsza, przy czym przynajmniej częściowo jej motorem są współczesne zmiany transformacyjne w naszych relacjach wobec głębokiego fundamentu - czasu.

GLOBALNA PRZESTRZEŃ

Czas jednakże jest zaledwie jednym z głębokich fundamentów, od których zależą instytucje. Rosnącym rozbieżnościom w naszym traktowaniu czasu towarzyszą coraz większe rozbieżności w przestrzeni.

Dzisiaj dowolna firma może produkować w jednym kraju, umieszczać księgowość i inne operacje wspierające w innym, pisać oprogramowanie w jeszcze innym, lokować swe centra telefonicznej obsługi klienta w kolejnym kraju, utrzymywać biura sprzedaży na całym świecie, dla optymalizacji opodatkowania umieścić pewne operacje gdzieś na jakiejś karaibskiej wyspie i wciąż nominalnie przedstawiać się jako firma amerykańska. A przecież może być japońska - jak Sony, choć w 2005 roku 70 proc. akcjonariatu znajdowało się poza Japonią. Organizacje pozarządowe, takie jak Greenpeace czy Oxfam, działają - odpowiednio - w czterdziestu oraz w siedemnastu krajach.

Podczas gdy instytucje sektora prywatnego i organizacje pozarządowe są coraz bardziej globalne, większość organizacji sektora publicznego działa wyłącznie na szczeblu krajowym lub lokalnym.

Mówiąc krótko, ponieważ świat połączony jest błyskawiczną komunikacją - towary, usługi, ludzie, idee, przestępczość, choroby, zanieczyszczenia środowiska oraz terroryści bez trudu przekraczają granice państw. Podważając tym samym pojęcie suwerenności, sięgają urzędów, otaczają je i

prześcigają instytucje sektora publicznego, zbudowane wszak z myślą o czysto lokalnych czy krajowych celach.

Zmiany te, odnoszące się do głębokich fundamentów przestrzeni, wzmacniają rozdarcia w czasie. Nic dziwnego, że tak wiele instytucji - zaprojektowanych do wykonywania powolnych działań w świecie przedglobalnym - niemal nie jest w stanie skutecznie wykonywać swych zadań.

NADMIAR STAROWIEDZY

Grożąca nam implozja instytucjonalna zbliża się do nas jeszcze bardziej w wyniku zmian w zakresie głębokiego fundamentu, jakim jest wiedza. Tu także menadżerowie i pracownicy w sektorze publicznym są często w gorszym położeniu.

Gwałtowne zmiany sprowadzają coraz bardziej to, o czym wszyscy wiemy lub sądzimy, że wiemy - starowiedzę. Tempo zastępowania zdezaktualizowanej wiedzy, jej uaktualniania i re-formułowania często jest jednak szybsze w sektorze prywatnym, w którym presja konkurencyjna wymusza natychmiastowe reakcje, a umożliwia je lepsza technologia.

A zatem, zanim wielka część danych, informacji i wiedzy, niezbędnych pracownikom sektora publicznego do wykonywania pracy, dotrze do nich w użytecznej formie - dawno już zostanie wykorzystana w działaniu przez graczy sektora prywatnego.

Co gorsza, instytucje biurokratyczne w obu sektorach rozbijają wiedzę i jej części składowe, przechowując je i opracowując w odrębnych przedziałach czy też "silosach". Z czasem tych silosów przybywa, w miarę jak coraz węższe specjalizacje zwiększają liczbę takich nieprzekraczalnych barier. To sprawia, że niezwykle trudno poradzić sobie z szybko zmieniającymi się nowymi problemami wymagającymi wiedzy znacznie wykraczającej poza sztuczne granice działowe.

Oprócz tego wszystkiego należy jeszcze wziąć pod uwagę i to, że na straży każdego "silosu" stoi szef, którego władzę wzmacnia kontrola nad danymi, informacją i wiedzą, i to w sytuacji, gdy nie ma zbyt wiele zachęt do dzielenia się tymi zasobami. Jednakże dzisiaj, wobec tego, że łamią się bariery z epoki przemysłowej, ważne problemy można rozwiązać wyłącznie poprzez dzielenie się i wymianę informacji.

Niechęć do dzielenia się, którą zauważyliśmy wewnątrz organizacji, istnieje też na zewnątrz i tam jest jeszcze silniej widoczna. Tak więc CIA i FBI zwyczajowo odmawiają podejmowania współpracy ze sobą, jak na przykład w zakresie śledztw prowadzonych po zamachach z 11 Września. Lokalna policja nie chce dzielić się informacjami kryminalnymi z ogólnokrajową policją. Organizacje sprzedaży, partie polityczne, a nawet w coraz większym stopniu naukowcy usiłują trzymać swe karty dla siebie - czasami za przerażająco wysoką cenę.

A zatem obserwujemy współpowiązane ze sobą liczne zmiany w naszych relacjach wobec głębokich fundamentów, które wręcz topią osie i sprawiają, że rdzewieją styki, od biedy trzymające w całości nasze instytucje z epoki industrialnej.

Każda zmiana oddziałuje. Każda zwiększa prawdopodobieństwo implozji w instytucjach licznych państw świata, a także na szczeblu globalnym. Ale to właśnie kombinacja tych trzech zmian - czasu,

przestrzeni i wiedzy - może pogrążyć nasze instytucje i wepchnąć nas, nieprzygotowanych, w dziwne jutro gospodarki i społeczeństwa.

Ot, witaj Complexoramo!

I chyba nieprzypadkowo brzmi to jak nazwa wesołego miasteczka, ponieważ przyszłość istotnie będzie wypełniona dreszczem emocji, niespodziankami i - dla tych, urodzonych w połowie XX wieku - całkowitym poczuciem nierzeczywistości.

Rozdział 34

Complexorama

Czy ktoś zauważył, jak skomplikowany jest dziś sport? Dawno, dawno temu sport rekreacyjny, a nawet zawodowy stanowił stosunkowo prostą część nowoczesnej gospodarki.

Dzisiaj natomiast mamy coraz więcej klubów, coraz więcej lig, coraz więcej zasad i o wiele bardziej wielopłaszczyznowe są relacje pomiędzy klubami i ligami. Co więcej, świat sportu wplątał się w najróżniejsze sprawy - od przepisów farmaceutycznych, poprzez telewizję i politykę po związki zawodowe i równouprawnienie kobiet czy planowanie urbanistyczne i kwestie własności intelektualnej.

Sport jako biznes coraz silniej związany jest z innymi branżami, nowymi technologiami i audytoriami, kształtując o wiele bardziej skomplikowaną siatkę nieustannie zmieniających się relacji.

Ohio University zauważa, że jego absolwenci znajdują obecnie zatrudnienie w "lekkoatletyce międzykolegialnej, sporcie zawodowym, obiektach zgromadzeń publicznych, turystyce sportowej, sportach motorowych, biznesowych organizacjach sportowych, mediach sportowych oraz branży rozrywkowej."

Wydział Inżynierii Uniwersytetu w Kapsztadzie w Afryce Południowej oferuje studia w dziedzinie "testowania twardości kijów do krykieta, ciągu kół rowerowych, aerodynamiki rowerów górskich (...) oraz emisji ciepła kasków rowerowych." Jedna z firm programistycznych reklamuje się zauważając, że "coraz większa popularność wielkich imprez sportowych wywołała złożone problemy z układaniem harmonogramów", z którymi poradzić sobie może tylko zindywidualizowany program komputerowy. Im większa jest różnorodność i liczba wchodzących w interakcje ze sobą komponentów w dowolnym systemie i im szybsze są zmiany je obejmujące, tym większa jest ich złożoność. I nie jest tak tylko w piłce nożnej i łyżwiarstwie.

Wielkie systemy w dziejach - rolniczy, przemysłowy i intelektualny - różnią się od siebie pod względem stopnia złożoności. Dzisiaj doświadczamy historycznego, ogólnosystemowego skoku w kierunku większej złożoności gospodarczej i społecznej. Wywiera ona wpływ na wszystko - od biznesu po politykę i od wychowania dzieci po robienie zakupów.

W centrach handlowych można dziś kupić adidasy w coraz większej gamie stylistycznej. Nawet kiedy kupujemy pizzę, mamy do wyboru coraz więcej różnego rodzaju dodatków. Także woda mineralna występuje w coraz większej gamie smaków. Firmy farmaceutyczne zmierzają w kierunku leków zindywidualizowanych w zależności od potrzeb poszczególnych pacjentów.

Nic dziwnego, że wszystko w naszym życiu codziennym wydaje się dziś coraz bardziej złożone i współzależne. Zastanawiamy się, jaki wybrać model telefonu komórkowego, karty kredytowej czy dostawcy Internetu. Tak samo zresztą jest z wyborem przyjaciół przez nasze dzieci.

Dla ludzi młodych wybór przenośnych urządzeń cyfrowych wpływa na to, jakimi się bawią grami i w jakim kręgu znajomych się obracają. Środowisko zaś przesądza o tym, jak młodzi ludzie się ubierają, jakiej słuchają muzyki i o tym, kto jest “w porzo”, a kto jest “nie teges”.

Zdaniem Josepha Epsteina, autora książki na temat snobizmu, również kryteria stosowane przez snobów są coraz bardziej złożone. To kombinacja różnorodności i współzależności sprawia, że życie jest naprawdę skomplikowane.

O CZYM WIE BILL GATES

Jedną z przyczyn jest “nadmiar złożoności”, jaką narzuca się konsumentom, kiedy firmy chcą zbyt wiele funkcji pomieścić w pojedynczym produkcie w nadziei na poszerzenie rynku zbytu, co jest typowym przeżytkiem z czasów masowego handlu.

W rezultacie telefony komórkowe mogą odtwarzać muzykę, robią zdjęcia, wyświetlają filmy, oferują gry, porządkują kalendarz spotkań, pomagają zlokalizować położenie, przechowywać notatki elektroniczne i - przy odrobinie szczęścia - łączą i umożliwiają prowadzenie rozmów telefonicznych. A co powiecie na volkswagena Passata, który posiada 120 różnych funkcji, m.in. chłodzony schowek, w którym możemy utrzymać w świeżości porcję sushi. Ale im bardziej wielofunkcyjny jest produkt, tym bardziej niedoskonałe są poszczególne jego funkcje, tym jest droższy i tym trudniejszy w obsłudze. A ponieważ bardzo niewielu konsumentów chce mieć do dyspozycji lub rzeczywiście potrzebuje tylu funkcji, my wszyscy, pozostali, stajemy się ofiarami tej nadmiernej złożoności.

Złożoność na poziomie osobistym jest niezmiernie wzmacniana na poziomie biznesu, finansów, gospodarki i społeczeństwa. W Ameryce Bill Gates, który raczej zna się na rzeczy, mówi o “astronomicznie rosnącej złożoności.” W Niemczech Federalna Rada Nadzoru Finansowego mówi o “rosnącej złożoności w sektorze bankowym.”

W szwajcarskiej Bazylei potężny Bank Rozliczeń Międzynarodowych, który ustala nowe zasady dla banków na całym świecie i mówi im, ile potrzebują wolnego kapitału do dyspozycji, nakreślił nowy zestaw proponowanych regulacji, zwanych Basel II (Bazylea II). Zasady te mogą zachwiać największymi bankami na świecie i wszystkie rządy starają się zwalczyć te propozycje.

Jednak były one tak niejasne i złożone, że - zdaniem konsultanta bankowego Emanuela Pitsilisa z McKinsey & Co. - “nikt nie rozumie w 100 proc. zasad Basel II ani ich implikacji.”

Podobnie rzecz ma się z Konferencją ONZ ds. Handlu i Rozwoju, która pracuje nad zebraniem instrumentów finansowych i biznesowych wykorzystywanych w międzynarodowych inwestycjach bezpośrednich oraz transakcjach pomiędzy międzynarodowymi korporacjami. Kompendium pomyślane jako “przyjazne dla użytkowników” już w 2005 roku osiągnęło rozmiary, bagatela!, czternastu tomów.

Witajcie w “Complexoramie” - naszej nowej rzeczywistości.

Komputery powinny pomóc nam radzić sobie z tą złożonością, jednak oprogramowanie, jak twierdzi “Technology Review” publikowany przez MIT, “wyprzedziło naszą zdolność rozumienia go. Niemal niemożliwością jest pojęcie tego, co się dzieje (...) kiedy tylko program obejmuje więcej niż

kilkaset wierszy kodu - a dzisiejsze oprogramowanie używane w komputerach osobistych to miliony wierszy.” Wszechobecne Windowsy produkowane przez Microsoft zawierają pięćdziesiąt milionów wierszy kodowania, a produkt Vista jeszcze więcej. Jak powiada Ron S. Ross z National Information Assurance Partnership, złożoność systemów informatycznych “prześcignęła naszą zdolność do ich ochrony,” sprawiając, że “złożoność (...) jest wrogiem nr 1 bezpieczeństwa.”

Nawarstwiającą się złożoność dostrzec można dziś w każdym aspekcie biznesu - od ustalania harmonogramów i marketingu po obliczanie podatków. Szczególnie podatków!

Waszyngtoński the Cato Institute donosi, że ordynacja podatkowa w Stanach Zjednoczonych zmieniała się w ciągu ostatnich dwudziestu lat co najmniej 7 tysięcy razy, sprawiając, że o 74 proc. zwiększyła się liczba stron, na których można ją wydrukować. Złożoność systemu kosztuje Amerykanów, jak się szacuje, sześć miliardów godzin rocznie poświęconych na wypełnianie formularzy, próby zrozumienia zasad i zbieranie oraz przechowywanie dokumentacji transakcji.

Jest jeszcze zarzut, podniesiony przez “USA Today”, że i tak już niska roczna stopa oszczędności w Ameryce jeszcze bardziej się zmniejsza właśnie z powodu złożoności. Mamy siedem różnych typów kont emerytalnych i wiele innych oferowanych przez pracodawców, każde ze swymi własnymi zasadami i ograniczeniami. “Prosta niegdyś koncepcja oszczędzania urosła w niezrozumiały gąszcz, z którym można sobie poradzić wyłącznie z pomocą wysoko opłacanych księgowych.”

Dokładnie zatem, jak byśmy się tego mogli spodziewać, Amerykańskie Biuro Statystyki Pracy informuje, że gwałtownie przybywa miejsc pracy dla księgowych. Jak ujmuje to jedna z firm pośrednictwa pracy, ten rosnący popyt odzwierciedla “wzrastającą złożoność transakcji korporacyjnych i rozrost administracji rządowej.”

Jeszcze inną miarą coraz bardziej panoszącej się złożoności jest wzrost podspecjalizacji i pod-podspecjalizacji w wielu dziedzinach.

Pół wieku temu, zanim rozpoczął się marsz ku gospodarce intelektualnej, wśród zawodów opieki zdrowotnej można było wyróżnić 10 specjalizacji. Dzisiaj mamy ponad 220 kategorii zawodów medycznych, jak mówi dr David M. Lawrence z sieci zdrowotnej Kaiser Permanente. W latach siedemdziesiątych należało być na bieżąco mniej więcej z setką rozrzuconych, klinicznie kontrolowanych prób badawczych rocznie. Dzisiaj liczba ta w skali roku wynosi dziesięć tysięcy.

12 203 PROBLEMY

Poza Stanami Zjednoczonymi zaobserwować można powolniejszy ale podobny proces komplikacji w pracy. Jedna z agend unijnych zajmująca się badaniami i rozwojem mówi o “rosnącej złożoności wszystkich społeczeństw” i dodaje: “ »zdolność« firm do zarządzania tą złożonością będzie kluczowym czynnikiem określającym możliwości innowacyjne Europy.”

Przedstawiciel Office of Public Reform działającego przy premierze Wielkiej Brytanii twierdzi, że “bardziej skomplikowane problemy osobiste i społeczne zostały przedstawione z myślą o rozwiązaniach państwowych” oraz że “narodowe cele edukacji na wyższym poziomie, zdrowia i innych wyników mogą tylko wówczas odnieść sukces, jeśli zajmą się tą złożonością.”

Tymczasem Karola Kampf z Uniwersytetu w Moguncji w Niemczech opisuje eskalację złożoności szkolnictwa wyższego. Przywołuje “rosnącą liczbę poziomów systemu”, mnożące się typy “aktorów korporacyjnych” mających związek z uniwersytetem, wzrastające znaczenie organizacji pozarządowych i “aktorów pośredniczących”, “coraz większą liczbę obszarów polityki zajmujących się wyższym wykształceniem” i powstanie “różnych trybów koordynacji,”

Nasilająca się złożoność uniwersytetów jednakże, czy to w Europie, czy poza nią, to jeszcze nic w porównaniu z oszalałającą złożonością systemów opieki zdrowotnej zależnych od szybko różnicujących się specjalizacji medycznych, testów i form leczenia medycznego, wyposażenia, harmonogramów, regulacji państwowych, ustaleń finansowych i księgowych - nieustannie i w szybkim tempie wchodzących ze sobą we współzależności.

To zaledwie kilka przykładów. A na nie nakładają się jeszcze dodatkowe drobniejsze, skomplikowane, lokalne, krajowe i globalne rozwiązania ekologiczne, zasady finansowe i handlowe, prewencja zdrowotna, obostrzenia antyterrorystyczne, negocjacje dotyczące wody i innych zasobów oraz niekończąca się lista wzajemnie powiązanych funkcji, procesów i przepisów prawa. Oprócz tego istnieją też złożoności wprowadzane przez dziesiątki tysięcy organizacji pozarządowych, z których każda proponuje i żąda swych własnych, nowych złożoności.

Przed dziesięciu laty Związek Stowarzyszeń Międzynarodowych (Union of International Associations) w Brukseli opublikował dwutomową *Encyclopedia of World Problems and Human Potential* (Encyklopedię problemów światowych i potencjału człowieka). To bardzo ambitna pozycja książkowa: zawiera aż 12 203 “problemy światowe”, z których każdy powiązany jest z innymi, które mają charakter “bardziej ogólny, bardziej szczegółowy, powiązany, nasilający się, nasilony, pomniejszający się [czy też] pomniejszony.” Indeks tego dzieła składał się z niebagatelnej liczby 53 825 haseł oraz bibliografii liczącej 4650 pozycji. Ale to było kiedyś.

Dziś przechodzimy poza relatywną prostotę ery przemysłowej, która wszędzie podkreślała uniformizację, standaryzację i masowość według jednej sztancy. A Stany Zjednoczone nie są jedynym krajem produkującym nową złożoność. Weźmy jednak pod uwagę bizantyjskie komplikacje wprowadzane przez Unię Europejską w dążeniu do “harmonizacji” wszystkiego od edukacji po ser. Jedynie komputery są w stanie śledzić rozwój wypadków.

A zatem jesteśmy świadkami zmian w głębokich fundamentach, które wytwarzają rewolucyjny system bogactwa i odpowiadający mu styl życia. Podstawą zarówno owego systemu jak i stylu życia są bezprecedensowe złożoności gospodarcze i społeczne.

Wspólne oddziaływanie tych zmian w połączeniu z przyśpieszeniem, desynchronizacją i globalizacją, a także gigantycznym zalewem nową wiedzą, przytłacza nasze ledwo zipiące instytucje i coraz bardziej doprowadza do implozji.

Całe szczęście, że jest wyjście!

Rozdział 35

Rozwiązanie sepulvedyjskie

Los Angeles słynie ze swych autostrad, z których jedna, nr 405, jest niemal zawsze tak bardzo zakorkowana, że spora część ruchu rozlewa się całymi kilometrami na równoległą ulicę, Sepulveda Boulevard.

To właśnie na tym bulwarze znaleźć można najbardziej niezwykły biznes świata: myjnię samochodową. Dlaczego ta myjnia jest tak niezwykła? Nie z powodu myjek i samochodów, które się widzi parkując, ale z powodu niespodzianki, która czeka na podróżnych wchodzących do środka, żeby uregulować rachunek za usługę. Wówczas okazuje się, że zastosowano tu jedyne na świecie połączenie myjni samochodowej i księgarni.

Za chwilę przekonamy się, że trzeba pokonać ducha, który doprowadził do powstania tak dziwnego zestawienia, albo jeszcze lepiej: trzeba zapobiegać jego działaniu - systemowej awarii instytucji, na których polegamy w naszym codziennym życiu.

KAŻDA AMERYKANKA

Od samego początku swego istnienia w pierwszych latach XX wieku aż po lata osiemdziesiąte American Telephone and Telegraph (AT&T) była największą firmą na świecie. Aż trudno dziś wyobrazić sobie, jak bardzo obecność AT&T dominowała w życiu Ameryki przez większą część minionego stulecia.

“Ma Bell”, jak ją określano, była częścią każdej dzielnicy. Jej czarne aparaty telefoniczne z tarczą obrotową były obecne dosłownie w każdym amerykańskim domu. Firma dysponowała olbrzymimi wpływami politycznymi, nie tylko w Waszyngtonie, ale w każdym miasteczku na terenie całego kraju. Laboratoria AT&T, tzw. Bell Labs, obsypane nagrodami Nobla, były powszechnie uważane za największy ośrodek naukowo-badawczy świata.

Do lat siedemdziesiątych AT&T zatrudniała niemal milion pracowników. W epoce przed-cyfrowych telefonów olbrzymią liczbę tych pracowników stanowiły kobiety obsługujące centrale telefoniczne. Ich liczba rosła z roku na rok. W firmie żartowano nawet, że jeśli ten trend się utrzyma, każda Amerykanka prędzej czy później zostanie operatorem centrali telefonicznej.

Rząd amerykański rozbił firmę w 1984 roku, a AT&T w końcu skurczyła się do rozmiarów niewiele przypominających jej niegdysiejszą potęgę. W połowie roku 2005 jej pozostałości zostały przejęte przez SBC Communications. Jeśli coś takiego mogło się przydarzyć AT&T, może się również przytrafić, i to w o wiele szybszym tempie, nawet najbardziej, z pozoru, trwałym instytucjom.

PSEUDOTRANSFORMACJA

Chociaż instytucje w Europie, Japonii i innych gospodarkach także wstrząsane są zmianami swych głębokich fundamentów, to właśnie w Stanach Zjednoczonych - dokładnie z tego powodu, że znacznie wyprzedziły inne kraje, tkwiące jeszcze w epoce przemysłowej - potrzeba transformacji jest

najbardziej paląca. A zatem nigdzie indziej tak wiele nie mówi się o transformacji przy jednoczesnym znikomym zrozumieniu dla jej skutków.

Weźmy edukację. Wszyscy ostatni prezydenci USA chcieli przejść do historii jako prezydenci szczególnie wspierający edukację. George W. Bush nie jest pod tym względem wyjątkowy.

Lecz aby naprawdę poprawić jakość edukacji w Stanach Zjednoczonych, trzeba zdać sobie sprawę ze zmian, jakie są wymagane przez gospodarkę opartą przede wszystkim na produkcji i dystrybucji wiedzy. Edukacja bowiem to coś więcej, niż tylko przygotowanie zawodowe, ale - bez dwóch zdań - może też być wielkim oszustwem: przygotowując uczniów do wykonywania zawodów, których już nie będzie na rynku pracy. A dzisiejsze szkoły w stylu masowej produkcji - nie zsynchronizowane z gospodarką - wciąż głównie kładą nacisk na nauczanie rutynowe, powtarzalne, niemal fabryczne.

Radykalny rzekomo plan Busha, zamiast pobudzania w uczniach ciekawości, myślenia, kreatywności, indywidualności i spontanicznej przedsiębiorczości - a więc tych cech, które są potrzebne w gospodarkach intelektualnych - jeszcze bardziej polega na rutynie, zestandaryzowanych testach uczniów, nauczycieli i szkół: narzędziach mających zwiększyć efektywność przestarzałych szkół.

Równie zaskakującym przykładem czegoś, co nazwać można "pseudo-transformacją", jest reakcja biurokracji waszyngtońskiej na ataki 11 Września - utworzenie Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego (Department of Homeland Security). Ten resort w randze ministerstwa, dysponujący olbrzymim budżetem, jest zlepkiem dwudziestu dwóch istniejących już wcześniej piramidalnych urzędów, teraz dając w efekcie jedną megapiramidę.

Mówiąc krótko, Waszyngton zrobił to, co umie robić najlepiej: konstruować biurokracje w industrialnym stylu. Powstała w wyniku tego instytucja jest masywna, zorganizowana pionowo, hierarchicznie, a w jej wnętrzu działają niezliczone, rywalizujące ze sobą nawzajem jednostki organizacyjne. Organizacja ta ma koordynować i wspierać pracę dziesiątek tysięcy mniejszych urzędów gminnych i państwowych.

W przeciwieństwie do biurokracji, organizacje terrorystyczne zaprojektowane są tak, by otaczać pierścieniem biurokrację. Składają się z maleńkich, luźno ze sobą powiązanych komórek, których członkowie znają tożsamość tylko jednej lub dwojga innych osób; potrafią one podejmować decyzje szybko. Członkowie takich organizacji wyszkoleni są w tym, by uderzyć, uciec i zniknąć - lub wysadzić się w powietrze. W porównaniu z Departamentem Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Al Kaida jest płaska jak naleśnik, a jej członkowie na pewno nie są członkami związków zawodowych pracowników administracji.

Pozorna transformacja nie jest specjalnością wyłącznie amerykańską. Rozpowszechniła się też w Europie, gdzie przedsiębiorstwa i instytucje sektora publicznego na szczeblu krajowym zmuszone są podporządkować się rosnącym, sztywnym ograniczeniom narzucanym przez Unię Europejską, która wszak sama jest klinicznym przejawem organizacji biurokratycznej epoki industrialnej.

JAK NA KARUZELI

Z jeszcze bardziej uderzającymi przykładami udawanej transformacji, tym razem na szczeblu globalnym, można zetknąć się na korytarzach Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Ówczesny sekretarz generalny ONZ Kofi Annan, wobec zagrażającego ONZ kryzysowi, ogłosił w 2003 roku "pilną potrzebę" restrukturyzacji Rady Bezpieczeństwa, aby odzwierciedlała ona nowe "realia geopolityczne" XXI wieku.

Rada Bezpieczeństwa odzwierciedla dziś układ sił sprzed pół wieku a więc z czasów, kiedy Stany Zjednoczone, Wielka Brytania, ZSRR (obecnie Rosja), Francja i Chiny wraz z sojusznikami pokonały III Rzeszę i Japonię i wspólnie zapanowały nad światem. Każdy ze zwycięzców został nagrodzony stałym miejscem w Radzie Bezpieczeństwa oraz prawem weta wobec dowolnych działań proponowanych przez pełną radę.

Od tego czasu niektóre państwa tworzące tzw. Wielką Piątkę utraciły dotychczasową pozycję, podczas gdy takie kraje, jak Japonia, Indie, Brazylia i Niemcy zyskały większe znaczenie gospodarcze i dyplomatyczne, mimo to nie dysponują stałymi miejscami i prawem weta. Annan chciał zlikwidować tę nieprawidłowość. Jednak nie da się uratować ONZ jedynie poprzez redystrybucję miejsc pomiędzy państwami członkowskimi.

Wpływy ONZ w świecie słabną dziś, ponieważ jako grupa same państwa są coraz słabsze. A wnet przekonamy się, że coraz większe znaczenie mają inne organizacje - ogólnosiwiatowe korporacje, rynki papierów wartościowych i rynki walutowe, dziesiątki tysięcy organizacji pozarządowych oraz organizacje ponadnarodowe i jednostki regionalne. Wszystkie razem nadszarpują dominację poszczególnych narodów i państw. Wspólnie, nawet w jeszcze większym stopniu, osłabiają władzę ONZ

A zatem jeśli Organizacja Narodów Zjednoczonych naprawdę pragnie reprezentować nowe realia XXI stulecia, musi wprowadzić na salony również i te nowe siły globalne, dając prawo głosu nie tylko państwom, ale także im.

Okazuje się więc, że choć w tych bardzo zróżnicowanych przykładach mamy do czynienia z bardzo różnymi instytucjami, bez trudu dostrzec można to samo lekceważenie rewolucyjnego charakteru systemu bogactwa opartego na wiedzy, to samo lekceważenie głębokich fundamentów i tę samą rozpaczliwą nadzieję, że pseudotransformacja może uratować te instytucje.

APARATY I GLINY

Prawdziwa transformacja w korporacji, szkole czy dowolnej instytucji oznacza istotne zmiany w jej głównych funkcjach, technologii, strukturze finansowej, kulturze, ludziach i organizacji.

Dobrym przykładem jest strategiczna zmiana w IBM od korporacji, której głównym zajęciem było produkowanie "rzeczy" - ku firmie, dla której priorytetem jest sprzedaż usług. W roku 2004 przychody z tytułu świadczenia usług wynosiły 46 miliardów dolarów, czyli 48 proc. ogółu przychodów IBM. Wydział usługowy, zatrudniający dziś 175 tys. pracowników, jest obecnie największą częścią firmy.

Także w Kodaku spóźniona decyzja o wejściu na rynek aparatów cyfrowych była znakiem transformacji. Przez blisko stulecie głównymi funkcjami Kodaka były produkcja, wywoływanie i wykonywanie odbitek z filmów srebrno-halidowych, a więc procesy, które niemal całkowicie zostały wyeliminowane przez fotografię cyfrową. I już w 2004 roku Kodak miał bardzo poważne perspektywy zajęcia dominującej pozycji na tym polu.

Także w sektorze publicznym możliwa jest autentyczna transformacja, co wykazał William J. Bratton w 1994 roku, kiedy to objął dowództwo sił policyjnych w Nowym Jorku liczących wówczas 37 tys. osób. Ogłosił wówczas, że zadaniem policji nie jest zwyczajne łapanie przestępców, ale również koncentrowanie się na przyszłości i zapobieganie przestępczości.

Zanim pojawił się Bratton, skuteczność nowojorskiej policji względem innych wydziałów policyjnych mierzono na podstawie danych FBI udostępnianych raz na sześć miesięcy. Bratton zmusił niechętnych, przepracowanych, a czasami i wściekłych oficerów policji do przygotowywania tygodniowych raportów z przeznaczeniem dla nowej bazy danych COMPSTAT, która umożliwiała wskazanie, jakiego rodzaju przestępstwa w danym dystrykcie popełniane były częściej, a które rzadziej. Następnie poproszono oficerów, aby wyjaśniali - również raz na tydzień - co robią w związku z tymi przestępstwami w swych dystryktach. Lepsza i szybsza informacja zwrotna z terenu wnet wpłynęła na zwiększenie skuteczności działania.

Najgłośniejszą innowacją Brattona było wdrożenie zasady "wybitej szyby", wedle której policja miała ścigać nawet drobne wykroczenia, jak wybijanie szyb w oknach, malowanie graffiti czy nagabywanie kierowców poprzez wymuszanie pieniędzy w zamian za narzucane siłą umycie przedniej szyby samochodu. Wychwytywanie tych drobnostek zniechęcało do popełniania grubszych przestępstw i było sygnałem dla miasta, że policja to poważna firma.

Pod względem organizacyjnym Bratton przesunął decyzyjność, a więc i władzę do obwodów dzielnicowych i kulturalnie podniósł morale policji, energicznie wykorzeniając praktyki korupcyjne i stanowczo walcząc z przestępczością. Dzięki niemu odnowione siły policyjne zyskały szacunek, a zarazem i przekonanie, że w ich imieniu dowódca policji będzie walczył z politykami i opinią publiczną.

Wprowadziwszy innowacje na tych wszystkich płaszczyznach, Bratton całkowicie odwrócił kierunki działania NYPD (nowojorskiej policji). Wszystkie statystyki przestępczości są teraz, jakimś dziwnym trafem, doskonałe. Brattonowi powszechnie przypisuje się zmniejszenie liczby zabójstw w Nowym Jorku o 44 procent i "poważnych przestępstw" o 25 procent w ciągu dwudziestu siedmiu miesięcy jego kadencji w Nowym Jorku. Zreformował policję w Nowym Jorku, a teraz próbuje dokonać tego samego w Los Angeles.

TWORZENIE NOWYCH INSTYTUCJI

IBM, Kodak i NYPD to wielkie i stare firmy, a wręcz instytucje. Zapobieganie nadchodzącej implozji wymaga jednak czegoś więcej niż jedynie odnowienia istniejących instytucji. Oznacza też konieczność stworzenia nowego typu przedsiębiorstw, organizacji i instytucji, wielkich i małych, na

każdym szczeblu życia społecznego. Jest to zadanie dla wynalazców społecznych przygotowanych do zmierzenia się z brakiem środków, rywalizacją, podejrzeniami, cynizmem i najzwyczajniejszym w świecie oślim uporem.

Brzmi to cokolwiek zniechęcająco, jednak warto pamiętać, że żadna z dziś dobrze nam znanych instytucji - ani IBM, ani Kodak, ani ONZ, ani Międzynarodowy Fundusz Walutowy, ani policja, ani nawet poczta - nie od razu osiągnęły tak imponujące rozmiary jak obecnie.

Wszystkie nasze instytucje, od banków centralnych po banki krwi, od fabryk po remizy, od muzeów sztuki po porty lotnicze, były w istocie najpierw wymyślone przez innowatorów społecznych i biznesowych, którzy na początku musieli borykać się z o wiele głębiej zakorzenionym oporem wobec zmian niż ten, z którym stykamy się dzisiaj w gospodarce zaawansowanej. A wiele z ich innowacji w biznesie i społeczeństwie było co najmniej równie ważnych, jak innowacje w technologii.

Znamy wiele nazwisk wielkich innowatorów technologicznych, którzy zapisali się w dziejach - Savery i Newcomen (maszyna parowa), Whitney (odziarniarka do bawełny), Edison (światło elektryczne), Morse (telegraf), Daguerre (fotografia), Marconi (radio), Bell (telefon). I oddajemy im cześć za ich wielkie zasługi.

Niestety rzadko kto - poza specjalistami i historykami, jeśli w ogóle - potrafi wymienić nazwiska wynalazców społecznych, którzy pierwsi zgłosili koncepcję spółki z ograniczoną odpowiedzialnością. Lub nazwisko autora *Gesellschaft mit beschränkter Haftung*, a więc niemieckiego prawa z 1892 roku, w którym po raz pierwszy stworzono możliwość realizacji tejże koncepcji. Czy ktokolwiek z nas jest w stanie wyobrazić sobie, jak wyglądałaby dziś gospodarka światowa i system finansowy bez ograniczenia odpowiedzialności inwestorów? Czy to mniejsza zasługa niż, powiedzmy, telegraf?

Nie tak wielu inwestorów budowałoby dzisiaj dom, apartamentowiec, biurowiec, centrum handlowe, kino czy fabrykę bez polisy od ognia. Ciekawe zatem, kim był innowator w firmie Phoenix Assurance Company, który w latach dziewięćdziesiątych XVIII wieku zatrudnił kartografa Richarda Horwooda, by nakreślił pierwszą mapę Londynu mającą pomóc w określaniu wartości nieruchomości z myślą o oferowaniu ubezpieczenia od ognia?

Kto miał dość wyobraźni i odwagi, by założyć pierwszy fundusz inwestycyjny, pierwszą orkiestrę symfoniczną, pierwszy klub samochodowy i wiele innych firm i instytucji, których istnienie traktujemy dzisiaj jako rzecz najzwyczajszą pod słońcem? A gdzie nagroda Nobla za wynalazki społeczne?

Jeśliby niewielką część kwot wydawanych na badania oraz innowacje naukowe i technologiczne przeznaczono na pracownie mające projektować i testować struktury organizacyjne i instytucjonalne, na pewno mielibyśmy do dyspozycji o wiele szerszy wybór opcji wyjścia wobec zagrażającej nam implozji.

INNOWACJE RODZĄ INNOWACJE

Potrzebna była wielka wyobraźnia Muhammada Yunusa, by założyć bank pożyczający pieniądze najuboższym ludziom na świecie - wiejskim przedsiębiorcom, którym brakowało zaledwie trzydzieści

czy pięćdziesiąt dolarów na uruchomienie małego interesu. Banków konwencjonalnych nie stać na udzielanie i obsługę tak miniaturowych kredytów, tym bardziej że kredytobiorcy nie dysponują zabezpieczeniem ani historią kredytową.

W 1976 roku Yunus, ekonomista z Bangladeszu, założył Grameen Bank. I zamiast domagać się zabezpieczeń, prosił kredytobiorców, by skrzyknęli grupę znajomych w swojej dzielnicy, którzy by żyrowali pożyczkę. Grupa żyrantów miała wspólny interes w tym, aby mała firma owego kredytobiorcy odniosła sukces; mogła wyrzucić na niego presję lub zapewnić mu pomoc w razie problemów ze spłatą pożyczki. Członkowie takiej grupy sami mogliby zatem kwalifikować się do zaciągnięcia kredytu, pod warunkiem spłaty tej pożyczki.

Do 2005 roku Grameen udzielił kredytów 4,3 milionom ludzi, niemal wyłącznie kobietom - które na ogół są bardziej nastawione na sukces swoich przedsięwzięć i są bardziej solidnymi kredytobiorcami. Niewielkie kwoty złożyły się na portfel kredytów o wartości 4,7 mld dolarów. Grameen zainspirował i innych do uruchomienia podobnej działalności w co najmniej trzydziestu czterech państwach oraz założył fundację mającą wspierać organizacje pozarządowe i inne w replikowaniu modelu banku Grameena.

Dzisiaj mikrofundusze stanowią niemałą branżę na świecie. Dwa czynniki przesądziły o ich sukcesie: oprocentowanie tych pożyczek - bardzo wysokie wedle standardów amerykańskich czy europejskich - oraz wspaniały poziom obsługi kredytów (spłacono 98 procent mikropożyczek). Faktycznie Grameen nie miał żadnych trudności ze ściąganiem należności. A jednak, jak powiada Nancy Barry, pani prezes Women's World Banking, "pożyczkobiorcy ci są mniej ryzykowni niż wszyscy Donaldowie Trumpowie na świecie."

W tym wynalazku społecznym jeszcze ciekawsze jest transformacyjne jego oddziaływanie na inne instytucje. Zaczniemy od tego, że Grameen znalazł wielu naśladowców modelu, który wdrożył w Bangladeszu. W 2001 roku, jak pisze "The Wall Street Journal", "sklepiarze grający w karty w wiosce Bagil Bazar na pamięć znają warunki oferowane przez siedem konkurencyjnych mikrofunduszy."

Ponieważ zyski Grameena są nadzwyczaj duże, dwadzieścia sześć organizacji pozarządowych działających w biednych krajach samodzielnie utworzyło banki oferujące mikropożyczki, by wzmocnić finansowanie swojej działalności non-profit (nie nastawionej na zysk).

Z kolei rozpowszechnienie się mikrofunduszy doprowadziło do powstania MicroRate - agencji ratingowej zajmującej się bankami oferującymi mikrokredyty - która też jest pewnym novum. Zdaniem jej założyciela, Damiana von Stauffenberga, w ciągu najbliższych dziesięciu lat coraz więcej banków zakładanych przez organizacje pozarządowe przekształcać się będzie w tradycyjne banki, ponieważ w znacznym stopniu podniesie to ich zdolność do zaciągania i udzielania pożyczek. Pierwsze kroki w tym kierunku już podjęło około dwięście banków tego rodzaju.

Niektóre będą konkurowały z bankami konwencjonalnymi i to, zdaniem Stauffenberga, spowoduje, że w branży mikropożyczek pojawią się wielkie globalne banki detaliczne i lokalne banki komercyjne.

Jednym słowem: jedna nowa organizacja, Grameen, wywarła silny wpływ transformacyjny nie tylko na życie biednych przedsiębiorców, którym pomogła, ale na organizacje pozarządowe w zakresie tego, w jaki sposób pozyskują fundusze na swą działalność. Mogła także zmienić banki konwencjonalne, ponieważ zaciera granice pomiędzy światem zysków i światem nie dochodowym (non-profit).

Grameen jest nie tylko przykładem społecznego wynalazku o silnym oddziaływaniu. Amazon.com stworzył księgarnię bez księgarni. EBay rozwinął biuro aukcyjne, w którym aukcje przeprowadzają wyłącznie konsumenci. Googole, Yahoo! i inne wyszukiwarki opracowują około 600 milionów zapytań dziennie, zmieniając zakres działania bibliotek i wywołując zmiany - być może aż transformację - w statecznej branży wydawnictw książkowych.

Atakując model socjalny z epoki industrialnej, Vern Hughes w Australii utrzymuje, że "politykom wciąż uchodzi na sucho obiecywanie więcej szkół, więcej szpitali, więcej pielęgniarek i więcej policji", jakby pompowanie jeszcze większej ilości pieniędzy do tych instytucji mogło uzdrowić je z zagrażającego im kryzysu. Wedle tego modelu wiele agencji społecznych zapewnia usługi uśrednione, identyczne "odrzuconym, biernym i osłabionym »klientom«."

Jako alternatywę Hughes przywołuje program w Melbourne, zwany "W cztery oczy" (oryg. - *Person to Person*), obejmujący rodziny dzieci niepełnosprawnych. Rodziny miały już "dość zestandaryzowanych usług dla swych dzieci", z których każde ma inne potrzeby.

Rodziny te przekonały Ministerstwo Służb Socjalnych (Departament of Human Services), by wypłacały świadczenia w formie gotówki zamiast usług i przekazywały pieniądze grupowemu "koordynatorowi wsparcia" wybranemu przez rodziny. Koordynator kupowałby i przydzielał "zestaw usług wybranych przez rodziny (edukację, pomoc domową, opiekę dzienną, lekcje śpiewu itp.)."

Jak ujmuje to Hughes, kształtujący się wzorzec służb socjalnych "przenosi punkt ciężkości z dostarczania podażowego na personalizację popytową." To odmasowienie jest socjalnym odpowiednikiem indywidualizacji produktów na rynku.

JAK WYNALEZIONO THINK TANKI

To zaledwie kilka przykładów wyobraźni społecznej i modeli transformacji. Są ważne nie dlatego, że wszystkie na pewno działają zgodnie z zamierzeniami, ale właśnie dlatego, że odzwierciedlają innowacyjność społeczną w czasie, gdy tak wiele instytucji epoki przemysłowej pędzi w stronę implozji.

Liderzy, którzy podejmują próbę przebudowania starych instytucji, muszą liczyć się z odmową, twardym oporem i konfliktem. Innowatorzy pragnący zbudować nowe instytucje muszą liczyć się ze sceptycyzmem. Jedni i drudzy muszą zdobyć się na odwagę, wykazać się umiejętnościami politycznymi, wytrwałością, wyczuciem czasu i determinacją. I potrzebni są im sojusznicy.

Kryzys zewnętrzny - a nawet wewnętrzne przyznanie, że mamy do czynienia z kryzysem - nie wystarczy, by wyzwolić transformację, jeśli zabraknie przekonującej, logicznej, realistycznej wizji alternatywy. I to właśnie tutaj potrzebna jest wyobraźnia społeczna.

Na szczęście istnieją sprawdzone narzędzia jej wyzwalania. Jednym z nich jest dodawanie lub ujmowanie funkcji. Na przykład uniwersytet był pierwotnie miejscem nauczania studentów. W XIX wieku Uniwersytet Berliński do swych podstawowych funkcji dodał badania i stał się wzorcem dla innych uniwersytetów na całym świecie. W XX wieku innowatorzy uczynili rzecz zgoła odwrotną, odejmując studentów z modelu uniwersytetu badawczego, pozostawiając w nim wyłącznie badania. W wyniku tego zabiegu powstał całkiem nowy typ instytucji zwany think tankiem.

Ostatnio przez amerykański przemysł przeszła fala dodawania lub odejmowania funkcji, pod postacią outsourcingowania lub insourcingowania {{ Outsourcing (ang.) - wydzielanie niektórych funkcji poza firmę i zlecenie ich dostawcom. Insourcing (ang.) - włączanie ich do podstawowej działalności danej firmy - przyp. tłum.}}.

Transformacja firm pojawia się także wówczas, gdy istniejące funkcje albo gwałtownie rozszerzają się, albo ograniczają. Wystarczająco wielkie zmiany w skali mogą przyczynić się do transformacji jakościowej.

W świecie, w którym granice zamazały się, załamało się też rozróżnienie między sprawami zagranicznymi i wewnętrznymi. Czy zatem każde państwo nadal powinno posiadać własne ministerstwo spraw zagranicznych? A na uczelniach wyższych: czy wyraźne rozgraniczenia dyscyplin naukowych powinny mieć trwały charakter? A może wydziały warto zastąpić tymczasowymi zespołami, nastawionymi na konkretne zagadnienia, w skład których wchodziłoby studenci i profesorowie różnorodnych specjalności?

We wszystkich sektorach społeczeństwa - prywatnym, publicznym i obywatelskim - potrzebować będziemy całkowicie nowych modeli organizacyjnych: dziwnych kombinacji sieci w ramach biurokracji, biurokracji w obrębie sieci, organizacji matrycowej, organizacji na tyle elastycznych, by podwoić lub zmniejszyć o połowę swą wydajność z dnia na dzień, organizacji zdolnych przetrwać kształtowanie czasowych "koalicji ludzi dobrej woli" nastawionych na osiągnięcie konkretnego celu.

Jeżeli chcemy zapobiec implozji instytucjonalnej, musimy reformować nie tylko wielkie korporacje i resorty rządowe, ale również każdy szczebel gospodarki i społeczeństwa, od małych firm po kościoły, lokalne związki i lokalne organizacje pozarządowe.

W nieco mniejszej i powolniejszej skali mieliśmy już z tym do czynienia, kiedy rewolucja przemysłowa wciąż jeszcze była młoda i potrzebne nam były nowe instytucje postagrarne - od domów handlowych i policji po banki centralne i think tanki. Innowatorzy pojawiali się w najmniej oczekiwanych miejscach i tworzyli je mimo o wiele większego oporu i utrudnień niż te, z którymi mamy do czynienia w dzisiejszych społeczeństwach przeżywających transformację postindustrialną.

I na tym polu Stany Zjednoczone są chyba najsilniejsze. Nie muszą bronić tak głęboko zakorzenionych tradycji. Dysponują wieloma mniejszościami etnicznymi i kulturalnymi, które przywożą do Ameryki wiele inspiracji z różnych zakątków świata. Amerykanie należą do najbardziej przedsiębiorczych ludzi na świecie - i to nie tylko w biznesie.

Ameryka może się pochwalić wieloma przedsiębiorcami intelektualnymi, przedsiębiorczymi działaczami społecznymi, przedsiębiorcami internetowymi, religijnymi i akademickimi. I w

przeciwieństwie do społeczeństw tłumiących indywidualną przedsiębiorczość, Ameryka szczyli się duchem zmian, który sam z kolei przepełniony jest przedsiębiorczością.

Ameryka nie jest jedynym krajem dysponującym zasobami innowacyjnymi. Nigdy w dziejach człowieka nie było aż tylu wykształconych ludzi zdecydowanych na przeprowadzanie zmian. Nigdy nie było tak wiele różnych rodzajów instytucji ani tak wiele potężnych narzędzi dopasowywania, mieszania, symulacji, projektowania i testowania nowych modeli instytucjonalnych.

Na szczęście zaczynamy dostrzegać pojawiającą się "meta-instytucję" - garstkę laboratoriów wynalazczości społecznej i przedsiębiorczości - skupiającą się głównie na sektorze społeczeństwa obywatelskiego, który rozwija się energicznie i z wyobraźnią.

Niektóre uniwersytety kształcą obecnie studentów na kierunku innowacyjności społecznej. Istnieją fundacje oferujące skromne nagrody za najlepsze pomysły na tym polu. Urząd Patentowy USA zatwierdził patenty na nowe modele biznesowe. Ale czy nie mogłoby być nowej, wizjonerskiej formy patentu na równie kreatywne modele społeczne?

Albo innowacje zapoczątkują odgórnie liderzy gotowi na reformy istniejących instytucji, albo też eksplodują one samoczynnie i oddolnie, w związku z tym, że coraz więcej instytucji epoki industrialnej załamuje się wobec nadciągania implozji systemowej.

W zaawansowanych gospodarkach działają miliony wynalazców społecznych, innowatorów, ryzykantów organizacyjnych, marzycieli i praktyków - lepiej wykształconych, dysponujących dostępem do większych zasobów wiedzy z najróżniejszych źródeł, uzbrojonych w najpotężniejsze narzędzia intelektualne znane rodzajowi ludzkiemu i aż drżących z pragnienia budowy lepszego jutra. Są na całym świecie i są gotowi całkiem go przebudować.

Jeśli chodzi o Stany Zjednoczone - są one szczególnie zasobne w ludzi innowacyjnych, niestrudzonych wynalazców, eksperymentatorów, nieustraszonych praktyków gotowych testować nowe pomysły i nowe modele. Nawet Rozwiązanie z Sepulvedy - szalona, cudowna mozaika myjni samochodowej oferującej najnowsze bestsellery, poradniki i dzieła Cervantesa i Marqueza; Dantego, Darwina i Dubois; Whitmana i Wollstonecrafta, Arystotelesa i Platona; Machiavellego i Rousseau, Johna Locke'a i nie tracące nic na aktualności *Prawa człowieka* Thomasa Paine'a.

Myjnia, nawet połączona z księgarnią, nie zmieni Ameryki, nie mówiąc już o całym świecie. Ale tysiące, a właściwie miliony twórczych adaptacji w rynkach rozwijających się, w kulturze i warunkach gospodarki intelektualnej - owszem.

Jeśli myjnia samochodowa może być jednocześnie księgarnią - niech zakres możliwości przeciwdziałania implozji instytucjonalnej będzie ograniczony wyłącznie naszą wyobraźnią społeczną. Nadszedł czas, by ją uwolnić.

Rozdział 36

CODA: Postdekadencja

Jakiego wskaźnika materialnego byśmy nie zastosowali, nie może być najmniejszych wątpliwości, że większość Amerykanów ma się dzisiaj o wiele lepiej niż, powiedzmy, ich dziadkowie w latach pięćdziesiątych, kiedy rozpoczęła się "nowa" gospodarka. W tamtych czasach zwyczajna rodzina amerykańska przeznaczala prawie jedną piątą swego budżetu osobistego wyłącznie na jedzenie. W roku 2002 przeciętny Amerykanin jest w stanie wyżywić się za jedną dziesiątą swych zarobków. Dawniej na odzież trzeba było przeznaczyć 11 proc. łącznych wydatków osobistych. W roku 2003, mimo rozkwitu mody, kwotę tę ograniczyliśmy do 6 proc.

W latach pięćdziesiątych jedynie 55 proc. Amerykanów posiadało własny dom. Dzisiaj mówimy o około 70 proc, a domy są znacznie większe. Istotnie, w 2003 roku z ogółu sprzedanych domów 13 proc. stanowiły domy z drugiej ręki. Jeśli weźmiemy zdrowie - mimo wszystkich problemów - średnia długość życia wzrosła z 68,2 lat w roku 1950 do 76,9 lat w 2000 roku.

Ale jeśli to wszystko jest prawdą - a olbrzymia liczba dowodów potwierdza, że jest - dlaczego Amerykanie wydają się tacy nieszczęśliwi?

Klucz do zrozumienia tego zjawiska tkwi we wskaźnikach materialnych - będących przeciwieństwem niematerialnych. A zatem, wobec tego, że zarówno gospodarka pieniężna, jak i jej niepieniężny odpowiednik odchodzą od mięśni i gięcia metalu w stronę tworzenia bogactwa opartego na wiedzy i niematerialności, co przynosi ze sobą ten nowy system - jesteśmy świadkami kolejnej dziejowej zmiany: odrodzenia wartości **jako** głównego przedmiotu zainteresowania.

WOJNA NA WARTOŚCI

Jeśli uważnie wsłuchamy się w to, o czym rozmawiają dziś ze sobą zwyczajni Amerykanie, posłyszemy niekończące się narzekania na rosnącą nierówność dochodów, na coraz większe korki uliczne i brak czasu, na komputery, które się zawieszają i rozmowy przez komórkę, które są przerywane utratą zasięgu.

Kiedy jednak posłuchamy dłużej, to posłyszemy także narzekania na coraz większą niemoc, zachłanność, korupcję, bezmyślność lub głupotę, z czym stykają się na co dzień w szkole, biurze, szpitalu, mediach, na lotnisku, komisariacie policji, w lokalu komisji wyborczej - niemal w każdej załatwianej codziennie sprawie na styku z implodującymi instytucjami Ameryki.

Naprawdę gorąco robi się jednak dopiero wtedy, gdy rozmowa schodzi na wartości. W prywatnych rozmowach i przemówieniach politycznych aż huczy od wyrzeków na zmierzch "wartości rodzinnych", "wartości moralnych", "tradycyjnych wartości", "wartości religijnych" oraz zasad etycznych w życiu osobistym i zawodowym.

Rzadko kto chyba jednak zauważył, że istnieje bezpośredni związek pomiędzy implozją instytucji i implozją odchodzącego w przeszłość systemu wartości.

gołą? Albo seria aresztowań wśród czołowych sportowców za narkotyki, gwałty, przemoc, a nawet morderstwa, które oficjalnie wszyscy potępili, a tylko jeden właściciel pewnego klubu otwarcie przyznał, że skandale wspaniale wpływają na oglądalność w telewizji i stan klubowej kasy! Jeśli instytucja jest chora, jakiego rodzaju wartości propaguje?

W sporej części dziwaczne zachowania, które dostrzegamy wokół siebie, odzwierciedlają bitwę toczącą się dziś w społeczeństwie pomiędzy rozkładem a rewolucyjnym odrodzeniem. Na przestrzeni dziejów poszukiwanie ekstremów zawsze było cechą zarówno dekadencji, jak renesansu. Dzisiaj znajduje ono wyraz w zastosowaniu przymiotnika *ekstremalny* z niemal każdym rzeczownikiem, jaki jesteśmy w stanie sobie wyobrazić. A zatem mamy "sporty ekstremalne", "ekstremalny software", "skrajną modę", "ekstremalne przeróbki", "ekstremalne wycinanki w dyni" i, a jakże, "ekstremalnego Elvisa" on-line, czyli stronę internetową, z której można dowiedzieć się nieco więcej niż chciałoby się o nim w ogóle wiedzieć.

To wszystko to zaledwie preludium do "ekstremalnie fetyszystycznych stron porno w Internecie". W sferze seksu różnorodność i eksperyment są coraz bardziej publiczne i widoczne. A zatem w programach telewizyjnych widzimy gejów, sadomasochistów, mężczyzn ubierających się w damskie łaszki i transseksualistów. W druku zaś ogłoszenie *Completely Bare Spa* (Kompletnie Gołego Spa) oferujące "Cucci Couture" zilustrowano nagą dziewczyną ozdobioną jedynie znakiem towarowym Gucci na sromie. W katalogu firmy *Abercrombie & Fitch* adresowanym do nastolatków subtelnie utożsamia się tę markę odzieży z seksem grupowym. "Los Angeles Times" dostarczany jest do domu prenumeratorów w plastikowym woreczku z nadrukiem reklamującym loterię Vegas.com, w której zwycięzcy mogą liczyć na specjalny przelot do Las Vegas, w czasie którego "można zdjąć z siebie wszystko, z wyjątkiem pasa bezpieczeństwa."

Wszystko to zwiększa prawdopodobieństwo skrajnych reakcji ze strony rozjuszonych grup religijnych i innych Dulskich, pragnących przywrócić cnoty czasów wiktoriańskich, które - jak teraz powiadają historycy - wcale nie były takie znów cnotliwe!

Seks to jedno, a przemoc - drugie. Jakiż może być bowiem pożytek z przeboju internetowego, jakim jest gra *Grand Theft Auto: Vice City*, w której gracze zdobywają punkty za wirtualne zabijanie policjantów, sprzedawanie kokainy i katowanie na śmierć prostytutek? A o co chodzi agresywnym raperom ("gangsta" rappers), którzy nagrywają swe płyty we współpracy z wytwórniami o czarująco brzmiących nazwach, takich jak *Murder Inc.* (Morderstwo Sp. z o.o.) czy *Death Row* {{ Death Row (ang.) dost. Rząd Śmierci - część więzienia, w którym zlokalizowane są cele osób skazanych karę śmierci i oczekujących na jej wykonanie - przyp. tłum.}}, a sławę zdobyli śpiewając o zabijaniu policji albo gwałceniu kobiet?

A co począć z niemieckim kanibalem, który za pośrednictwem Internetu poszukiwał partnera skłonnego dać się zjeść żywcem, aby jeden z nich lub nawet obaj mogli przeżyć naprawdę ekstremalną przygodę? Bon appetit! (Niemieckie instytucje prawne skonstatowały, że są nieprzygotowane na takie nowinki, ponieważ nie ma przepisu, który by zabraniał kanibalizmu.)

Nie trzeba doktoratu, żeby zorientować się, iż duża część zachowań ekstremalnych ma w zamyśle wstrząsnąć rodzicami, społeczeństwem w ogóle oraz pozostałymi jeszcze pośród nas chłopami. Aczkolwiek coraz trudniej dziś znaleźć chłopca. Chłopi stanowią dzisiaj maleńką,

topniejącą grupkę, której miejsce już dawno temu zajęła rosnąca klasa średnia, uodporniona na wstrząsy za sprawą nadmiernej ekspozycji, czyli poddawania się oddziaływaniu kontrowersyjnych treści. Francuzi posługiwali się nawet specjalnym terminem - "epater le bourgeois", co znaczy "szokować klasę średnią". Dzisiaj różnica polega na tym, że klasa średnia pluje sobie sama w twarz, wprawiając się tym samym w nieposkromioną wesołość.

Przykłady te stanowią część o wiele szerszego sprawdzania, gdzie są w ogóle wszelkie behawioralne granice narzucone przez instytucje ery przemysłowej. Sprawdzaniem tych granic zajmują się bynajmniej nie tylko, jak to zwyczajowo bywa, członkowie bohemy i działacze rozmaitej maści. Jak czytamy na łamach czasopisma "BlackBook": "Ruchy kulturalne wskazują na to, że wiele osób czuje się nie na swoim miejscu. I nie chodzi tu wyłącznie o buntowników i odszczepieńców; dziś tak właśnie czują się bankowcy, maklerzy z Wall Street, panowie w garniturkach i pod krawatem, a także pracownicy fizyczni. Dokąd to wszystko prowadzi?"

Słowa te wyrażają nie tylko rozkład i rozpad wczorajszej infrastruktury instytucjonalnej, ale także umierającej kultury, systemu wartości i charakteru społecznego, który na nich wyrósł.

Fetor, który unosi się w powietrzu, to zapach dekadencji.

ANTYDEKADENCJA

Ale można wyczuć też słabiotki zapach odnowy.

Rewolucje zawsze mają dwa oblicza. I obecna rewolucja nie jest tu wyjątkiem. Jedno z nich to wściekła twarz dezintegracji. Stare się rozpada i rozwala się. Drugie oblicze to uśmiechnięta twarz reintegracji. Zarówno to, co stare, jak i to, co nowe - łączą się w całkiem nowe sposoby.

Dzisiejsze zmiany są tak szybkie, że oba procesy zachodzą niemal jednocześnie. Współ z antyspołecznymi bzdurami i dekadencją pojawia się także mnóstwo pozytywnych innowacji - prospołeczne przejawy dostosowywania się do powstającej gospodarki intelektualnej.

Nawet raperzy zaczynają zmieniać zdanie. Muzyka rap stała się wielkim przedsięwzięciem biznesowym, a poszczególne zespoły muzyczne ochoczo angażują się w reklamowanie odzieży, dezodorantów i wielu innych produktów. Niektórzy raperzy zaczęli zmieniać nazwiska i wizerunek. Lub też, jak ujął to Anonymous:

Now we let our diplomas show A jak masz studia, to pokaż co umiesz

instead of pushin' guns and blow. Zamiast z kałacha wymiatać

It may just be a temp'rary blip Może to tylko będzie na chwilę,

but rap is on a clean-up trip. Ale rap wszystko teraz naprawi. { { Tłumacz pragnie przeprosić Czytelnika za raczej nieudolną próbę

rapowania, ale z taką umiejętnością chyba trzeba się urodzić. - przyp. tłum. } }

Kilka grup raperskich rozpoczęło innowacyjne kampanie dające możliwość uzyskania stypendiów czy też akcje na rzecz rejestrowania się młodych wyborców - jakżeż to odmienne od nawoływania do strzelania do glin.

Niektórzy innowatorzy w poszukiwaniu wzorców sięgają do odległej, przed-industrialnej przeszłości, następnie rewolucjonizują je, w wyniku czego jakiegokolwiek podobieństwo do przeszłości ma co najwyżej kosmetyczny charakter. Takim właśnie zabiegiem są reanimowane swaty.

W życiu na wiejską modłę pary często spotykają się za sprawą miejscowej swatki. W warunkach miejsko-przemysłowych życie codzienne jest daleko bardziej anonimowe, a kontakty bardziej bezosobowe. Samotni młodzi ludzie szwendają się po barach w poszukiwaniu tej jedynej lub tego jedynej. Miliony zadowolają się bezradnym przeczesywaniem ogłoszeń matrymonialnych w nadziei, że tam znajdą swego życiowego partnera.

Dzisiaj wioskowa swatka powróciła, tyle że w formie elektronicznej, jako odpowiedź na poszukiwanie partnerów w Internecie przez coraz liczniejsze, milionowe już rzesze internautów. To internetowe swatanie on-line staje się dziś coraz bardziej wymyślną sztuką. Zamiast umawiać Kevina i Stacy tylko dlatego, że mają kilka wspólnych cech, eHarmony wymaga od użytkownika odpowiedzi na 480 pytań pomyślanych tak, aby nakreślić jego profil pod względem 29 cech, które psychologowie uważają za kluczowe dla długoterminowego sukcesu w małżeństwie.

Wydaje się, że proces ten, przynajmniej w teorii, pomaga ludziom uzmysłwić sobie, jakie sami wyznają wartości i ustalić kolejność priorytetów. W społeczeństwie rozdartym pomiędzy anachroniczne wartości i niepewność co do szybko nadchodzącego jutra takie badanie własnej duszy może się okazać bardzo pożyteczne dla danej osoby. Swatki przyszłości mogą posunąć się jeszcze dalej i prosić klientów, by zagraли on-line w grę w rodzaju Simsów, dzięki czemu - zanim zostaliby przedstawieni innym osobom - można by określić ich styl myślenia i nieuświadomione uprzedzenia zachowawcze. Za zawarcie małżeństwa mogliby pobierać premię, a także, za osobną opłatą, zorganizować uroczystości zaślubin.

Firmy świadczące on-line usługi pomagające nam znaleźć przyjaciół lub przyjaciół naszych przyjaciół mogą również opracowywać podobne gry, by umożliwić poznawanie się ludziom o podobnym nastawieniu. Jeszcze inni, być może reklamowani przez biura podróży, mogą przedstawiać "prześwietlonego" podróżnika przybywającego do nieznanego jeszcze miasta - rodzinie gospodarzy, również "prześwietlonych". Rodzina taka zapraszałaby naszego turystę do siebie do domu na obiad albo na wspólne wyjście na partyjkę kręgli czy koncert muzyki kameralnej. Liczne strony internetowe, takie jak meetup.com już dziś "organizują" spotkania najróżniejszych ludzi twarzą w twarz - od działaczy politycznych poprzez pokerzystów i obcojęzycznych studentów aż po miłośników filmu.

Tymczasem, stwierdziwszy rozpowszechniony głód przynależności do społeczności i kontaktów towarzyskich, firmy takie jak Starbucks i Borders promują się jako miejsca, gdzie ludzie mogą się spotkać. Czymże innym są te kafejki, jeśli nie reinkarnacją środkowoeuropejskich kawiarni z dawnych czasów? Tyle że dzisiaj zapewniają też bezprzewodową łączność szerokopasmową z Internetem, dzięki czemu za pomocą własnego laptopa można komunikować się ze światem sącąc Frappuccino.

Wszystkie te wysiłki mają złagodzić ból samotności spowodowany w dużym stopniu załamaniem się znanych nam instytucji, które jeszcze kilkadziesiąt lat temu zapewniały samotnym sercom miejsca, kontakty i poczucie wspólnoty.

POGAWĘDKI Z GRUBYMI RYBAMI

Całkiem gdzie indziej możemy natomiast natknąć się na zaiste wizjonerskie wysiłki mające zrekompensować niepowodzenie systemu edukacji społeczeństwa masowego.

Otóż kiedy masowa edukacja została wprowadzona na szeroką skalę, nauczyciele byli zazwyczaj najlepiej wykształconymi i pełnymi ogłady ludźmi w okolicy. Dzisiaj często jest tak, że rodzice są lepiej wykształceni od nauczycieli, którym powierzają swoje pociechy.

Uznając rolę, jaką rodzice mogą dziś odgrywać w promowaniu nauki czytania i pisania, jeśli czytają dzieciom książki, firma Dolly Parton's Imagination Library (Biblioteka Wyobraźni Dolly Parton), założona przez piosenkarkę, wysyła rodzicom darmową książkę co miesiąc od urodzenia dziecka aż do momentu, w którym ukończy ono pięć lat - razem sześćdziesiąt książek. Program obejmujący swym działaniem trzydzieści dziewięć stanów, w samym tylko 2004 roku dostarczył blisko milion książek.

Tymczasem coraz więcej rozczarowanych rodziców zabiera dzieci ze szkoły i naucza je samodzielnie, w domu. Korzystają oni ze wsparcia coraz bardziej urozmaiconych, nieustannie aktualizowanych serwisów internetowych i innych narzędzi on-line.

Jedynym problemem, jaki rodzi nauczanie dzieci w domu, jest obawa, że nie nauczą się radzenia sobie w grupie rówieśniczej. Szkoły publiczne są jednak w coraz gorszej kondycji, a często okazuje się, że w szkołach są narkotyki i w wielu z nich jest niebezpiecznie; rodzice zastanawiają się, czy takie warunki dla socjalizacji dzieci są aby zdrowe. Jeśli rodzice trzymają dzieci w domu, mogą rozwijać umiejętności społeczne swoich pociech, zachęcając je do gry w piłkę albo, kiedy nieco dorosną, do pracy w ramach wolontariatu w organizacji pozarządowej, gdzie mogą poznać innych młodych ludzi zaangażowanych w służbę społeczności.

Także i tutaj odnaleźć można odbicie dawnych, przedindustrialnych praktyk - wówczas większość dzieci kształciła się w domu - przekształconych tak, by dopasować się do postindustrialnych potrzeb.

Szkoły certyfikowane (charter schools) są próbą innowacyjności w ramach istniejącego systemu. Są to szkoły publiczne, którym przyznano pewien zakres swobody w postaci prawa do eksperymentowania. W Stanach Zjednoczonych do szkół takich uczęszcza poniżej 2 procent dzieci, a rezultaty nauczania są, bez wątpienia, rozmaite. Ale spośród nich znaleźć można także sporo potencjalnie pożytecznych innowacji.

W Ośrodku Badań i Technologii w Clovis w Kalifornii (Center for Advanced Research and Technology) tysiąc dwustu licealistów posługując się informatyką próbuje pomóc w rozwiązywaniu realnych problemów społeczności. Wśród opiekunów programu - mentorów znaleźć można miejscowych biznesmenów. Uczniów zachęca się do podejmowania pracy (w niepełnym wymiarze godzin) oraz do prowadzenia projektów badawczych poprzez wspólną z dorosłymi pracę w firmach, przemyśle, handlu czy usługach. Najważniejszym zadaniem ośrodka jest pokazanie młodym ludziom zagadnień akademickich w powiązaniu z praktycznymi problemami, oczekiwaniami związanymi z zatrudnieniem oraz zachowaniami w pracy.

Uczniowie zapraszani są zatem do wynajdywania nowych produktów, które można by wprowadzić na rynek, a które rozwiązują realne problemy. Uczniowie CART wynaleźli ultradźwiękowego psa dla niewidomych oraz inne urządzenia dla niepełnosprawnych. Główny efekt pracy tej szkoły to jednak nie wynalazki, ale jej absolwenci: ludzie przygotowani do realiów XXI wieku.

Wynalazki instytucjonalne i eksperymenty pojawiają się coraz liczniej także i w innych dziedzinach. Na przeciwległym wybrzeżu Ameryki, w Nowym Jorku, lekarz Seth Berkeley, który pracował jako epidemiolog w Ugandzie oraz w Brazylii, utworzył Międzynarodową Inicjatywę na rzecz Szczepionki na AIDS (International AIDS Vaccine Initiative). Do 2001 roku zdołał pozyskać 230 milionów dolarów na finansowanie poszukiwań szczepionki na AIDS.

Kwota ta była równa rocznym wydatkom państwowym w USA na wszystkie badania nad szczepionkami w tamtym roku; została wydana na sfinansowanie kilku odrębnych kierunków badań w różnych krajach. Godne podkreślenia jest jednak to, że w modelu IAVI każde lekarstwo wyprodukowane dzięki tym badaniom musi być sprzedawane w krajach biednych - po kosztach.

Takich społecznikowskich przedsiębiorców jest coraz więcej. Dzisiaj ponad trzydzieści uczelni biznesowych w Stanach Zjednoczonych, włącznie ze Stanfordem, Harvardem i Yale, a także Columbią i Duke, oferuje kursy z zakresu przedsiębiorczości prospołecznej. Santa Clara University w Dolinie Krzemowej utworzyła Global Social Benefit Incubator mający wspomagać innowatorów we wdrażaniu technologii służących palącym potrzebom społecznym oraz wspierać ich w rozwijaniu działalności na większą skalę.

Natomiast - mimo że wielu uważa doroczne Światowe Forum Ekonomiczne w Davos za warsztaty ideologiczne współczesnego kapitalizmu - szefowie organizacji pozarządowych oraz przedsiębiorcy społeczni mieszają się dziś chętnie z grubymi rybami i magnatami, gawędzą z prezydentami, premierami i innymi politykami najwyższego szczebla.

Niektórym przedsiębiorcom-społecznikom zależy na podniesieniu poziomu pracy istniejących organizacji non-profit oraz organizacji pozarządowych poprzez wdrożenie wewnątrz tych organizacji metod biznesowych. Inni uruchamiają nowe organizacje, które by miały rozwiązywać problemy społeczne w miarę ich pojawiania się. I jedni, i drudzy zazwyczaj polegają na wolontariuszach. Do tego przynajmniej stopnia stanowią część gospodarki niepieniężnej czy prosumenckiej, która, jak widzieliśmy, tworzy kapitał społeczny oraz "darmowy lunch", od którego zależy system pieniężny.

Wspaniały rozwój przedsiębiorczości społecznej odzwierciedla cięcia w rządowych, zorganizowanych wedle jednej sztancy programach skrojonych na miarę szybko odchodzących w przeszłość warunków industrialnych. Odzwierciedla niewydolność instytucji ery fabrycznej do wyprodukowania pełnych wyobraźni, zindywidualizowanych rozwiązań nowych problemów społecznych. Odzwierciedla też niecierpliwość milionów ludzi na całym świecie, którym nie chce się już dłużej czekać, aż rządy i instytucje formalne rozwiążą ich problemy.

W bogatych społeczeństwach odzwierciedla coś jeszcze. W przeszłości bardzo nieliczni ludzie dysponowali luksusem czasu, energii i wykształcenia, aby móc poświęcić się obmyślaniu i tworzeniu

nowych instytucji z myślą o przyszłości, albo walce o takie instytucje. Dzisiaj olbrzymia i wciąż rosnąca liczba mężczyzn i kobiet, w tym również tych najlepiej wykształconych i najbardziej kreatywnych, dysponuje czasem, pieniędzmi i dostępem do siebie nawzajem dzięki tej globalnej sile napędowej zmian - Internetowi.

WYNAJDOWANIE NOWYCH MODELI

Nie wszyscy innowatorzy społeczni gustują w demokracji, nie wszyscy przejawiają postawy obywatelskie i są przeciwnikami przemocy. Fanatycy - religijni, polityczni i zwykli wariaci - także mogą założyć sklep jako przedsiębiorcy społeczni. I w rzeczy samej - pewne organizacje terrorystyczne prowadzą szkoły i szpitale, niejako przy okazji dla uzasadnienia i zamaskowania swej podstawowej działalności: pozyskiwania funduszy. I oczywiście, jak to jest w ogóle z każdym zachowaniem ludzkim, nawet najbardziej złośliwe intencje mogą zaowocować nieprzewidzianymi, negatywnymi skutkami.

I mimo że nie powinniśmy wprowadzić przeceniać tego, co mogą osiągnąć tzw. przedsiębiorcy społeczni, nawet w demokracjach, to jednak byłoby jeszcze większą głupotą, gdybyśmy ich lekceważyli. Przecież za pośrednictwem ich eksperymentów - udanych i nieudanych - mogą powstać modele nowych typów instytucji. Pełnią oni zatem rolę laboratoriów badawczych w bitwie o zaprojektowanie lepszego jutra.

Jednakże ich wartość w dowolnym społeczeństwie, a właściwie ich istnienie zależy od stopnia tolerancji państwa i społeczeństwa wobec debaty wewnętrznej, niezgody i odchylenia od konwencjonalnych poglądów. Przedsiębiorczość społeczna i innowacje, ogólnie rzecz biorąc, nie mogą się rozwijać tam, gdzie są prześladowane przez władzę państwową, jak na przykład w Korei Północnej; przez policję religijną - jak w Iranie i Arabii Saudyjskiej; czy też po prostu przez przytłaczającą siłę tradycji. W Stanach Zjednoczonych, w przeciwieństwie do tych krajów, znaleźli bardzo przyjazną atmosferę.

Krytycy społeczni w Stanach Zjednoczonych oraz przywódcy religijni mogą obruszać się wobec załamania się tradycyjnych wartości i powstania etyki skrajnie permissywnej, która może, w istocie, przechylić się w stronę dekadencji.

Przeciwwagą dla takich obaw jest jednak otwartość Ameryki, powszechna akceptacja eksperymentu i innowacji oraz jej gotowość do ryzyka poprzez inwestowanie w nowe technologie, produkty, formy organizacyjne i idee - a więc cechy, które były siłą napędową rozwoju gospodarki intelektualnej od lat pięćdziesiątych XX wieku.

Łatwo jest zdyskredytować albo pomniejszyć znaczenie tego wzrostu wskazując, że dziś wystarczy dwoje żywicieli w rodzinie, by utrzymać standard życia klasy średniej. Sceptycy wskazują na nierówności dochodów i zwracają uwagę na bolączki Ameryki: zadłużenie, eksport miejsc pracy, problem bezdomnych i inne słabości gospodarcze. Nawet odkładając na bok politykę zagraniczną, można ciągnąć listę słabości Ameryki *ad nauseam*

Niemniej, mimo kasandrycznych prognoz nieustannie wypowiedzianych od chwili pojawienia się komputerów w biznesie, nowym technologiom nigdy nie towarzyszyło masowe bezrobocie w stylu lat trzydziestych. W istocie, oparta głównie na wiedzy gospodarka (intelektualna) w Stanach Zjednoczonych zatrudnia dziś ponad dwukrotnie więcej ludzi niż gospodarka przemysłowa po II wojnie światowej. A stopa bezrobocia w ciągu ostatnich lat była zdecydowanie niższa w Stanach Zjednoczonych niż w Europie, w której postęp dokonuje się wolniej.

Jeśli przyjrzymy się z bliska problemom Ameryki, przekonamy się, że wiele, jeśli nie większość tych słabości ma swe źródła w tym, że stara gospodarka przemysłowa naszego kraju oraz struktura społeczna odchodzą w przeszłość, a nowe, mające zająć ich miejsce - są zbudowane dopiero w połowie.

DIABELSKI MŁYN

Materialnej poprawie odnotowanej wcześniej odpowiadają w pewnym stopniu wyraźne osiągnięcia w zakresie jakości życia. Wedle U.S. Environmental Protection Agency (Agencji Ochrony Środowiska USA), "zdecydowanie przybyło urządzeń filtrujących przemysłowe zanieczyszczenia powietrza oraz ścieki komunalne. Wedle dowolnej miary - masy wagowej przechwyconych zanieczyszczeń, poprawionych parametrów wody, odnowionego zarybienia - osiągnięto znaczne ograniczenie rozmiarów zanieczyszczeń w punkcie pochodzenia, co doprowadziło do znacznej poprawy jakości wody na terenie całego kraju." Co więcej, od 1970 roku "zagregowane emisje sześciu głównych substancji zanieczyszczających zostały ograniczone o 48 procent." Ponadto 45 proc. papieru używanego w Stanach Zjednoczonych jest obecnie poddawanych recyklingowi, podobnie jak 62,6 miliarda puszek aluminiowych.

I po raz kolejny przyznajmy: dane mogą być użyte na tak wiele różnych sposobów, że ten, kto je ogłasza, zawsze będzie w stanie potwierdzić swoją tezę. A walka przeciwko niszczeniu przyrody wciąż jest na etapie bardzo wstępnym w kraju, w którym potężne lobby przemysłowe z powodzeniem opierają się koniecznym reformom. Odrzucenie przez Amerykę Protokołu z Kioto oburzyło miliony ludzi na całym świecie.

Aczkolwiek największe problemy ekologiczne Stanów Zjednoczonych - i świata w ogóle - pochodzą ze słabo zaawansowanych technologicznie linii montażowych, hut i dymiących fabryk - "diabelskich młynów" epoki przemysłowej, a nie z mniej materialnej aktywności, która stanowi podstawę intelektualnego systemu bogactwa.

Wreszcie, dogłębnym przemianom gospodarczym i ekologicznym w Stanach Zjednoczonych towarzyszyły doniosłe zmiany społeczne. Mimo wielu problemów Ameryka jest dzisiaj mniej rasistowska, mniej seksistowska i bardziej świadoma olbrzymiego wkładu wniesionego w jej rozwój przez wcześniejsze pokolenia emigrantów z Europy, Azji i Ameryki Łacińskiej, nie wspominając już o czarnych niewolnikach i ich potomkach.

Telewizja amerykańska, mimo wszystkich swych braków, jak nigdy dotąd, ukazuje dziś kolorowych. Supermarkety amerykańskie wypełnione są żywnością etniczną z całego świata, którą z

chęcią nabywają konsumenci o korzeniach we wszystkich narodach świata. Wszystko to oznacza coraz większą wewnętrzną dywersyfikację amerykańskiej kultury, produktów i ludzi oraz społeczną akceptację dla tych zmian.

Jest to dobra wiadomość dla Ameryki; z kraju, który prowadzi świat do nowej cywilizacji opartej na rewolucyjnym bogactwie.

POST-KASANDRA?

Historia opowiedziana na kartach tej książki, jak dotąd, jest zatem opowieścią o powstaniu nowego systemu bogactwa opartego na wiedzy oraz nowej cywilizacji, której stanowi część. Opowiadaliśmy o głębokich fundamentach, które stanowią podstawę zmiany gospodarczej i cywilizacyjnej. O roli czasu, przestrzeni i wiedzy w naszym życiu i jutrzejszym świecie. O anachronizmie ekonomii epoki przemysłowej i zagrożeniach wobec prawdy i nauki. Bo nie chodzi tu tylko o bogactwo, ale także o to, jakie jest miejsce bogactwa w zmianach i w cywilizacji, której jest częścią, podobnie jak my sami.

Te procesy i zjawiska, jeśli spojrzymy na nie łącznie, wymagają całkowitego przewartościowania roli i natury bogactwa na świecie. A to stawia nas wobec trzech pytań, których postawienia nie można uniknąć.

Czy kapitalizm, w formie, w jakiej go dziś znamy, przetrwa transformację do bogactwa rewolucyjnego?

Czy możemy naprawdę - a więc nie tylko w bełkotliwych rezolucjach ONZ - zlikwidować nędzę na świecie?

Wreszcie, w jaki sposób rozpowszechnienie gospodarek intelektualnych wpłynie na światowy układ sił?

Teraz zajmiemy się tymi palącymi kwestiami.

Część VIII

Przyszłość kapitalizmu

Rozdział 37

Koniec gry

Śmierć kapitalizmu ogłaszano wielokrotnie, zupełnie jak śmierć teatru na Broadwayu - zazwyczaj na dnie depresji albo szczycie inflacji. W istocie, są tacy, którzy mówią, że jeśli kapitalizm zdołał przetrwać powtarzające się zakłócenia finansowe XIX wieku i Wielki Kryzys lat trzydziestych, jego zdolności regeneracyjne zapewnią mu trwanie bez względu na wszystko. Mówią, że kapitalizm zagościł u nas na dobre.

A jeśli są w błędzie? Żaden inny wytwór człowieka nie trwał wiecznie. Więc dlaczego zakładamy, że kapitalizm jest wieczny? A jeśli regeneracja po prostu nam umknie? Przecież dzisiaj każda kluczowa cecha kapitalizmu, od własności, kapitału i rynków po pieniądź, staje się niemal nierozpoznawalna.

Wynik ich transformacji bezpośrednio wpłynie na to, co kto posiada, jaką wykonuje pracę, jak będzie opłacany, na naszą rolę jako konsumentów, na akcje, w które będziemy chcieli zainwestować, na sposoby alokacji kapitału, na walkę pomiędzy prezesami, pracownikami i akcjonariuszami, a wreszcie na powstanie i upadek krajów na całym świecie.

W naszej książce *Zmiana władzy (Powershift)*, która ukazała się w 1990 roku, poddaliśmy analizie rolę wszystkich tych czterech czynników - własności, kapitału, rynków i pieniędzy - w odniesieniu do władzy. W niniejszej książce skupiamy się na zmianach, jakie nastąpiły od tego czasu w tych właśnie obszarach: zmianach, które stanowią poważne wyzwanie nie tylko dla naszego osobistego dobrobytu, ale także dla przetrwania kapitalizmu. Wyłaniający się obraz będzie wstrząsem i dla przyjaciół, i dla wrogów tego systemu.

SAMOCHODY I APARATY FOTOGRAFICZNE

Zacznijmy od własności, ponieważ własność jest źródłem kapitału będącego podstawą kapitalizmu. Zarówno kapitał, jak i własność przepoczwarzają się dziś w coś nowego i dziwnego.

Własność często określana jest - w jednym z najpopularniejszych słowników języka angielskiego - jako "rzecz lub rzeczy należące do kogoś." Słowniki mogą się jednak mylić, a własność nigdy nie była tylko rzeczą lub rzeczami.

W swej pionierskiej książce *The Mystery of Capital* błyskotliwy peruwiański ekonomista Hernando de Soto wykazał, że bez względu na to, jak bardzo własność jest rzeczowa lub namacalna - zawsze miała też aspekt niematerialny.

Dom, samochód czy aparat fotograficzny nie stanowią własności, jeśli nie są chronione prawem i normami społecznymi, ani wówczas, gdy każdy może sobie je wziąć, kiedy ma na to ochotę i używać w dowolnym celu. W krajach zasobnych w kapitał, oprócz chronionych stosownymi przepisami praw oraz zasad własności, istnieje też olbrzymi system pomagający przekształcić własność w kapitał inwestycyjny, który z kolei stymuluje rozwój gospodarczy i tworzenie bogactwa.

System ten składa się z obszernej, nieustannie zmieniającej się podstawy intelektualnej (wiedzy), która stanowi swego rodzaju wykaz tego, kto jest właścicielem czego, rejestruje transakcje, egzekwuje odpowiedzialność za zaciągane zobowiązania, zapewnia informację kredytową i jest zintegrowana na szczeblu ogólnokrajowym, dzięki czemu jej użytkownicy nie muszą prowadzić swoich interesów jedynie lokalnie. To zwiększa wartość własności. Tak zaawansowanych systemów informacyjnych na próżno jednak by szukać w krajach biednych kapitałowo, jak uważa de Soto.

A zatem, mówiąc krótko, to ów niematerialny aspekt własności - a nie tylko wyłącznie aspekt fizyczny - definiuje własność i nadaje jej wartość. I z tego względu de Soto proponuje wartościowe zmiany polityczne, które upowszechniając i wzmacniając kapitalizm wspomogłyby też najbardziej zacofane gospodarczo kraje świata.

Kiedy jednak rozwiniemy tę ważną myśl, aby przekonać się, czy ma zastosowanie w najbardziej rozwiniętych gospodarkach, zaczynamy dostrzegać, że dzisiejszy system tworzenia bogactwa oparty na wiedzy podważa samą koncepcję własności, a wraz z nią - także i kapitalizm.

NIEDOTYKALNE

Coraz więcej jest dziś niematerialnych wartości, o które wzbogacamy własność materialną. Codziennie słyszymy o coraz to nowych precedensach prawnych, większej liczbie dokumentów dotyczących nieruchomości, danych związanych z transakcjami i tym podobnych. A zatem każda własność materialna zawiera większy komponent niematerialny. Mówiąc krótko, w gospodarkach zaawansowanych stopień niematerialności w bazie własnościowej społeczeństwa stale wzrasta.

Jakby nie dość tego, nawet produkcyjne molochy epoki przemysłowej zależą teraz od nieustannie rosnącego wkładu umiejętności, wyników badań, mądrego zarządzania, wywiadu rynkowego i tak dalej. Ich ulepszone linie montażowe są załadowane komponentami cyfrowymi wciąż przesyłającymi dane w tę stronę i z powrotem. Ich siła robocza coraz bardziej składa się z pracowników, którzy żyją z myślenia. Wszystko zmienia proporcje elementu materialnego wobec ogólnej bazy własnościowej w gospodarce, jeszcze bardziej zmniejszając rolę tego, co namacalne.

A teraz dodajmy do tworzonego tu obrazu gwałtowne powstanie tego, co powinno się określać mianem "podwójnej niematerialności" - czyli wartości niematerialnych stanowiących element własności, która sama w sobie jest niematerialna.

Inwestorzy, którzy stadnie i na oślep rzucali się na akcje Google w 2004 roku, przygotowani byli na zakup akcji firmy, której majątek i działania mają niemal wyłącznie postać niematerialną, na dodatek chronioną i dowartościowywaną przez inne walory niematerialne. Inwestujący w oprogramowanie Oracle lub rynki informacyjne, serwisy aukcyjne on-line, modele biznesowe czy systemy fakturowania nie martwią się już dzisiaj tym, że nie posiadają fizycznych surowców, pieców, węgla, podkładów kolejowych czy kominów.

Własność zatem pojawia się w dwóch odmiennych formach. W jednej z nich niematerialność jest osnuta wokół materialnego rdzenia. W podwójnej niematerialności jest ona osnuta wokół rdzenia, który sam ma niematerialną postać.

Dzisiaj nie mamy nawet odpowiedniego słowa pozwalającego rozróżnić własność wedle przynależności do tych klas. Łącząc je jednak - oraz sumując zawrotne tempa ich wzrostu - zyskujemy świeże spojrzenie na gigantyczną dematerializację towarzyszącą postępowi w intelektualnym (czyli opartym na wiedzy) systemie bogactwa.

FETYSZ DOTYKU

Własność w dzisiejszej gospodarce amerykańskiej jest już zaskakująco mniej dotykalna niż większość ludzi sobie to wyobraża.

Z opracowania Brookings Institution wynika, że już w 1982 roku aktywa niematerialne nawet w górnictwie i przedsiębiorstwach produkcyjnych stanowiły 38 proc. ich całkowitej wartości rynkowej. W dziesięć lat później - a więc na długo przed wzlotem i upadkiem dot.comów - niematerialny komponent stanowił pełne 62 proc, czyli blisko dwie trzecie wartości tych spółek.

Te wymowne liczby nie mówią jednak zbyt wiele o tym, co jeszcze przed nami. Tuż przed krachem na rynku akcji z końca lat dziewięćdziesiątych inwestorzy słyszeli, że gwarancję bezpieczeństwa da im materialność. Ale bez względu na to, co powiedzą przekupnie z Wall Street głoszący konieczność "powrotu do wartości fundamentalnych", wszystkie rozwinięte gospodarki bezlitośnie na nowo ruszą w stronę niedotykalnego.

Kluczową tego przyczyną jest przyśpieszenie - zmiana, z którą już zapoznaliśmy się - w naszych relacjach wobec głębokiego fundamentu, jakim jest czas. Ponieważ skraca on życie produktu, przyśpiesza starzenie się technologii i sprawia, że rynki mają bardziej tymczasowy charakter - następujący dziś wzrost tempa zmian wymaga od firm innowacyjności. Żeby posłużyć się słowami Barucha Lev'a, autora *Intangibles* oraz profesora finansów i rachunkowości na New York University: "Życie i śmierć korporacji zależą dziś od innowacji," co oznacza "olbrzymi wzrost wartości niematerialnych."

Co więcej, innowacje są zaraźliwe. Ultranowoczesne firmy wymuszają na innych, by dotrzymywały im kroku. Nawet małe firmy - niezbyt zaawansowani technologicznie dostawcy, zmuszeni są przez swych klientów do dostosowywania się i przebudowywania własnych systemów informatycznych, komunikowania się za pomocą poczty elektronicznej, korzystania z Internetu, aby połączyć się z siecią klienta, przeprowadzania transakcji biznesowych elektronicznie i prowadzenia więcej badań. Innymi słowy: zdematerializuj się lub giń!

Mądre firmy, które chcą przetrwać, systematycznie przestawiają się na produkcję wytwarzającą coraz wyższą i wyższą wartość dodaną. A taka strategia niemal zawsze rodzi zwiększone zapotrzebowanie na dane, informacje, wiedzę i inne wartości niematerialne.

Zauważmy następnie, że we wszystkich gospodarkach zaawansowanych, wedle ekonomisty z Uniwersytetu Stanford, Roberta E. Halla, "wyprodukowane dobra (...) stanowią coraz mniejszą część wydatków." Natomiast "wydatki ciężą w kierunku nabywania usług, które z kolei są coraz droższe." A usługi najwyraźniej obejmują zdecydowanie niematerialne dziedziny, jak zdrowie i edukację, media, rozrywkę i usługi finansowe.

Wreszcie jeszcze z jednej, ważniejszej przyczyny powinniśmy spodziewać się, że oba rodzaje niematerialności - pojedynczy i podwójny - staną się coraz większą częścią podstawy majątkowej społeczeństwa. Ta przyczyna jest prosta: jak już wcześniej mieliśmy okazję się przekonać, szybko rozwijające się walory niematerialne są w zasadzie nieograniczone. I sam ten fakt kładzie się łożowaną pieczęcią na losach kapitalizmu.

Tymczasem założenie o ograniczonej ilości zasobów mieści się, niestety, w samym jądrze ekonomii kapitalizmu. Nie ma bardziej świętego "prawa" kapitalistycznego niż prawo popytu i podaży. Jednak, jeśli wartości niematerialne obu rodzajów są dostępne, z przyczyn praktycznych, w nieograniczonej ilości, czy maksymalnie niematerialna gospodarka może współistnieć z kapitalizmem? Jak bardzo niematerialnego charakteru może nabrać podstawa majątkowa gospodarki - i wciąż mienić się kapitalistyczną?

KOŃ I PIOSENKA

W miarę jak cała podstawa majątkowa staje się coraz bardziej niematerialna, a zatem coraz bardziej niewyczerpana, coraz większa część zasobów traci też rywalizacyjny charakter. Z produktów intelektualnych, o czym już wiemy, mogą korzystać jednocześnie miliony ludzi bez ich naruszania. Ściąganie piosenek przez Internet bynajmniej nie pożera nut i dźwięków.

Także i ta zmiana niesie skutki oznaczające wstrząs dla systemu. Całe branże stoją w obliczu śmierci w związku z tym, że nowe technologie umożliwiają obejście tradycyjnych mechanizmów ochrony własności intelektualnej - praw autorskich, patentów i znaków towarowych - które stanowiły podstawę ich istnienia.

Korporacje medialne obserwują, jak pirackie kopie ich filmów i muzyki natychmiast trafiają do wolnego obiegu w Internecie i krążą po całym świecie. Firmy farmaceutyczne, które wydały setki milionów na badania i testowanie nowych lekarstw, przyglądają się, jak inni produkują ich podróbki, nie wydawszy ani centa na ich tworzenie i sprzedają je za grosze. Inne firmy patrzą, jak ich intensywnie promowane produkty, kopiowane wraz ze znakiem marki, sprzedawane są za bezcen przez ulicznych kramarzy lub na targowiskach. Ich zdaniem niemożność kontrolowania i egzekwowania swych praw wyeliminuje zachęty do innowacji, a nawet zniszczy całą branżę.

Całe armie doborowych prawników i lobbystów starają się jak mogą w rewolucyjnym środowisku, ale ich propozycjom daleko do rewolucyjności. Są to raczej coraz większe wysiłki takiego rozciągnięcia kodeksów prawnych epoki Drugiej Fali, aby uporać się z wyzwaniem rzucanym przez niezliczone, kolejno pojawiające się błyskawicznie wybuchowe technologie Trzeciej Fali.

"Prawnicy zajmują się wyłącznie coraz większym, stopniowym rozciąganiem starych modeli" - powiada z głośnym chichotem Eugene Volokh z University of California/Los Angeles Law School.

A to idealnie pasuje Johnowi Perry'emu Barlow'owi, niegdysiejszemu autorowi tekstów piosenek Grateful Dead, a obecnie przywódcy ruchu walczącego przeciwko dalszemu rozszerzaniu ochrony własności intelektualnej. "Inteligentni, skądinąd, ludzie - mówi Barlow - uważają, że nie ma różnicy pomiędzy kradzieżą konia i kradzieżą piosenki."

Koń, jako składnik majątku, jest zarówno materialny, jak rywalizacyjny. Piosenka - wręcz przeciwnie pod jednym i drugim względem. Niemożliwe, aby miliony ludzi osiodłały tego samego konia i na nim jeździły. Tymczasem, jak twierdzi Barlow, piosenki w pewnym sensie "chcą" być wolne, a kompozytorzy nie powinni zależeć od tantiemów, aby mieć pieniądze na życie.

Co więcej, Barlow i inni uważają rozszerzanie praw autorskich i innych instrumentów ochronnych za część większej, w istocie rzeczy złowieszczej strategii gigantycznych firm, mającej doprowadzić do narzucenia lub poszerzenia kontroli treści Internetu i innych mediów. Uważają, że nowe media wymagają radykalnej zmiany podejścia.

Jeśli chodzi o kwestię ochrony własności intelektualnej, obie strony utrzymują, że pragną uchronić wyobraźnię i innowacyjność - choć w debacie nie widać ani jednego, ani drugiego.

W wojnie o własność intelektualną jak na razie nie widać sygnałów do rozejmu. Konflikt nie osiągnął nawet jeszcze swego apogeum, ponieważ na razie nie obejmuje nadchodzących walk o własność wiekowych idei lub koncepcji rozwiniętych przez kultury nie-zachodnie.

Komputacja cyfrowa zależy od ustawienia zer i jedynek. Jeśli możemy opatentować nowe formy życia - co jeszcze niedawno wydawało się rzeczą nie do pomyślenia - ile czasu minie, zanim jakaś grupa fanatyków etnicznych, narodowych czy religijnych pojawi się w WIPO (World Intellectual Property Organization - Światowej Organizacji Własności Intelektualnej) i stwierdzi, że jest właścicielem "zera"? Lub też, dajmy na to, alfabetu? (Ach, jakież by z tego były tantiemy!)

Bez względu na to czy będziemy mierzyli wartości niematerialne dobrze czy słabo, czy będziemy je chronili czy też nie, nigdy niczego takiego nie odnotowano na kartach historii kapitalizmu. A nic głębiej nie jest w stanie podważyć samej koncepcji kapitalizmu. Przejście do rewolucyjnej niematerialności jest jedynie krokiem w stronę ekstremalnej przebudowy kapitalizmu, która już trwa. Przebudowy, dodajmy, której on sam może nie przetrzymać.

Rozdział 38

Konwersja kapitału

Pytanie: w jaki sposób w czasie największego kryzysu w dziejach świata bezrobotny sprzedawca systemów grzewczych, ledwo wiążący koniec z końcem, stał się milionerem?

Odpowiedź: Znajdując sposób na to, by miliony innych mogły się wzbogacić - ale tylko za pomocą fałszywych pieniędzy, jakimi płaci się w czasie gry w Monopol.

Od czasu, gdy Charles Darrow sprzedał grę braciom Parker w roku 1935, około pięćset milionów ludzi w osiemdziesięciu krajach przesuwało swe pionki po planszach wydrukowanych w dwudziestu sześciu językach, m.in. czeskim, portugalskim, islandzkim i arabskim. Grając w Monopol, wszyscy ci ludzie mieli okazję poznać okrągłą postać dżentelmena z białymi wąsiskami, we fraku, który ciągnie wielki worek pieniędzy do najbliższego banku.

Ta rysunkowa postać i akwizycyjna natura samej gry stanowią cokolwiek zgryźliwy komentarz na temat realiów wczorajszej Ameryki przemysłowej - kraju ukształtowanego przez bogactwo i władzę skoncentrowane w rękach kilku zaledwie rodzin: Morganów, Rockefellerów, Carnegie, Harrimanów, Vanderbiltów i Mellonów. Nastawieni pozytywnie wobec biznesu Amerykanie nazywali ich "kapitanami biznesu" - mężami, którzy zbudowali gospodarkę amerykańską. Amerykanie nastawieni antybiznesowo woleli określać ich mianem "baronów - rozbójników", uważając ich za kryminalistów, którzy kantowali raczej niż budowali Amerykę. Jedyni i drudzy zgadzają się tylko co do jednego terminu - ludzie ci byli mianowicie k a p i t a l i s t a m i .

Przez większą część epoki przemysłowej kapitał w najbardziej kapitalistycznym kraju świata był słusznie postrzegany jako ściśle skoncentrowany. "Zanim nastąpiły lata dwudzieste - pisze Ron Chernow w *The Death of the Banker* - Wall Street odtrącała z pogardą drobnych inwestorów, jako zbyt trywialnych, by o nich w ogóle myśleć."

W połowie lat pięćdziesiątych, kiedy liczba pracowników tzw. umysłowych oraz zatrudnionych w usługach zaczęła przerastać liczbę pracowników fizycznych, około 7 milionów Amerykanów posiadało akcje spółek. W roku 1970 liczba inwestorów-akcjonariuszy wzrosła do 31 milionów; głównie byli to, zapewne, posiadacze niewielkich rachunków inwestycyjnych, jednak stanowili już masę, której nie wolno już było lekceważyć. A w latach, które nastąpiły potem, wraz z transformacją ku gospodarce intelektualnej, bezpośrednia i pośrednia własność notowanych na rynku publicznym aktywów znacznie wzrosła.

Jedna po drugiej firmy kolejno uruchamiane przez indywidualnych inwestorów stopniowo sięgały po coraz szersze, publiczne źródła finansowania. Typowym przykładem jest tu Ford Motor Company. Początkowo firma była w całości własnością Henry'ego i Edsela Fordów (w 1919 roku); firma rozpoczęła publiczne notowania akcji w roku 1956 i obecnie ma 950 tysięcy akcjonariuszy.

Dzisiaj, jak pisze analityk biznesu James Flanigan, właściciele Ameryki to "ponad 100 milionów obywateli USA, którzy łącznie posiadają akcje o wartości ponad 5 bilionów dolarów - za

pośrednictwem funduszy emerytalnych, planów emerytalnych i indywidualnych rachunków. Amerykańscy pracownicy są właścicielami ponad 60 proc. akcji wszystkich amerykańskich firm notowanych na rynku.” Daje to zatem średnią 50 tys. dolarów, nie licząc wartości domów, których właścicielami jest blisko 70 proc. tych akcjonariuszy, oraz dodatkowych aktywów w postaci polis zdrowotnych, na życie oraz majątkowych.

Te statystyki własnościowe to tylko jedna strona medalu. Amerykanie, w dużej mierze także i owych 100 milionów obywateli, dźwigają również na swych barkach niczym ów kapitalista swój worek z pieniędzmi - gigantyczny, wciąż zwiększający się ciężar zadłużenia gospodarstw domowych, który jakże często przewyższa wartość aktywów.

W roku 2005, wedle Banku Rezerw Federalnych, wartość zadłużenia w zakresie kredytów hipotecznych wynosiła 8 bilionów dolarów. Z tytułu wydatków na kartach kredytowych, kredytów samochodowych oraz pożyczek konsumpcyjnych Amerykanie zadłużeni byli ponadto na kwotę 2 bilionów dolarów.

Ale nawet mimo to, za sprawą tak wielkiej powszechności akcji i innych aktywów, amerykańscy pracownicy są jednocześnie właścicielami na skalę niespotykaną w innych, większych krajach kapitalistycznych, z rządzonymi przez socjaldemokratów krajami Europy Zachodniej włącznie. Dla mieszkańców biednych krajów te liczby są wręcz niewyobrażalne.

Jak na ironię, jeśli nawet 10 proc. ludności Chin kupiłoby akcje niepaństwowych firm, notowanych na rynkach, Komunistyczna Partia Chin mogłaby wreszcie ogłosić wielki sukces w zakresie oddawania własności w ręce pracowników, czyli - jak mawiał Marks - “środków produkcji - klasie pracującej.” Obecnie jednak jedynie mniej więcej 1 proc. Chińczyków posiada akcje czegokolwiek.

STOPNIE RYZYKA

Nie tylko własność kapitału, ale sposób jego gromadzenia, alokacji i transferowania z kieszeni do kieszeni także przechodzi bezprecedensowe przemiany. Infrastruktura finansowa Stanów Zjednoczonych - owego matecznika światowego kapitalizmu - przeżywa bowiem rewolucję, zmieniając sposób działania - tak, aby dostosować się do zmian w głębokich fundamentach wiedzy, czasu i przestrzeni. Dziś inwestycje dokonują się w przeciągu milisekund. Pod względem przestrzennym mogą sięgać dowolnego zakątka Ziemi. A inwestorzy mają łatwiejszy dostęp do coraz szybszych, coraz bardziej zróżnicowanych, coraz bardziej zindywidualizowanych i bardziej przystępnych danych, informacji i wiedzy.

Główną funkcją tej rozwijającej się szybko infrastruktury jest ułatwienie konwersji własności na kapitał i, teoretycznie, alokowanie otrzymanego kapitału tam, gdzie będzie mógł możliwie najefektywniej pracować, przy czym efektywność mierzona jest wypracowanym zyskiem.

Ta nowa infrastruktura oferuje oszałamiające bogactwo możliwości uzależnionych od stopnia ryzyka, a zatem obligacje wysokiego zwrotu, venture capital, fundusze inwestycyjne oraz fundusze związane z indeksami giełdowymi. Inwestorzy mogą wybierać spośród derywatów, sekurytyzowanych hipotek czy pakietów finansowych o wymownych nazwach, jak np. Spider {{ Nazwa funduszy tego typu na pewno jest wymowna, jednak w istocie pochodzi od skrótu *Standard & Poor's Depositary Receipt*, w skrócie SPDR (Walory

Depozytowe Standard & Poor's). Fundusze te stanowią jedną z odmian tzw. Exchange Traded Funds, funduszy inwestycyjnych notowanych na giełdach. Fundusze te charakteryzują się tym, że są ściśle związane z indeksami giełdowymi, takimi jak np. S&P 500 czy Hang Seng Index lub też z sektorem, np. energetycznym, technologią, notowanym towarem, jak np. złotem czy ropą naftową. SPDR jest związany z indeksem S&P 500, który obejmuje listę 500 amerykańskich spółek sporządzoną przez agencję ratingową Standard & Poor's. Spider (ang.) - pajak, przyp. tłum. }, **Vipers** {{ *Vipers - Vanguard Index Participation Receipts*. Walory uczestnictwa w funduszu związanym ze wskaźnikiem Vanguard. VIPERs, to także fundusze ETF (patrz przypis na następnej stronie). Korzyść dla inwestora polega na tym, że ponosi zarówno niższy koszt z racji inwestowania w fundusz związany z indeksem, jak i dysponuje jednocześnie większą płynnością, typową dla akcji. VIPER-y można kupować i sprzedawać o dowolnej porze w trakcie dnia sesyjnego w aktualnej cenie rynkowej. Viper (ang) - Żmija, przyp. tłum. }}, **Qubes** {{ Nazwa *Qubes* pochodzi od literowego symbolu QQQ używanego na giełdzie NASDAQ dla oznaczenia funduszy typu ETF - związanych ściśle z indeksem NASDAQMOO (w jego skład wchodzi głównie spółki zaawansowane technologicznie). Qubes to najpopularniejsze fundusze typu ETF wśród inwestorów. Słowo *qubes* wymawia się tak samo jak *cubes* (ang.) - kostki, przyp. tłum.}} **CZY COCOS** {{ *CoCos - Contingent Convertibles* - papiery wartościowe podobne do tradycyjnych obligacji konwertowanych do akcji (przy czym obowiązuje cena akcji, tzw. strike price, w momencie konwersji obligacji na akcje). Różnica polega na tym, że jest jeszcze inna cena, wyższa niż strike price, którą właśnie strike price musi osiągnąć, zanim inwestor nabyte prawo do przeprowadzenia konwersji. Coco (ang.) - kokos, przyp. tłum.}}, **a także funduszy proponujących "społecznie odpowiedzialne" mechanizmy inwestowania, portfele ekologiczne, mikrofinanse i całe mnóstwo innych opcji.**

WROTA DEMOKRACJI

Większej różnorodności produktów finansowych i instrumentów odpowiada większa ich dostępność.

Ameryka zatem stała się areną tego, co John C. Duca, wiceprezes ds. badań Banku Rezerw Federalnych z Dallas {{ Bank centralny USA, zwany często Fed; system rezerw federalnych składa się z centralnej agencji rządowej w Waszyngtonie (Rady Gubernatorów) oraz dwunastu Banków Rezerw Federalnych w największych miastach USA, m.in. w Dallas - przyp. tłum.}}, określa mianem "demokratyzacji amerykańskich rynków kapitałowych."

W przeszłości przedsiębiorcy, a nawet od dawna ustabilizowane firmy musiały zapukać do niejednych drzwi, jeśli poszukiwały kapitału, by rozwinąć firmę lub założyć nową. Magnatom usadowionym na samym szczycie przychodziło to nieco łatwiej albo też ryzykowali własne środki, kiedy chcieli zainwestować w koleje w Argentynie, zakład pakowania mięsa w Chinach czy też w jakąś firmę, która twierdzi, że wie, jak zarobić krocie na "nafcie do lamp w Chinach." Przed pozostałymi drzwi się raczej zamykały.

Jeśli chodzi o obligacje, nawet zdrowe finansowo, ale średniej wielkości firmy uważane były za "poniżej poziomu inwestycyjnego," a wielu instytucjonalnym pożyczkodawcom zabroniono - albo drogą przepisów prawnych, albo regulacji specjalnych - inwestowania w nie.

Ale, jak pisze Duca w "Przeglądzie Ekonomicznym i Finansowym" publikowanym przez Bank Rezerw Federalnych ("Economic and Financial Review"), do uwolnienia inwestycji przyczyniło się kilka różnych czynników. Jednym z nich był rynek obligacji wysokiego zwrotu {{ Obligacje te, zwane obligacjami śmieciowymi (*Junk bonds*), charakteryzowało podwyższone ryzyko (poniżej poziomu BBB) oraz wyższa stopa zwrotu - przyp. tłum. }}. Innym było wprowadzenie zaawansowanych technologii informatycznych, które pozwoliły nie tylko zredukować koszty zaplecza administracyjnego, ale radykalnie zwiększyły ilość informacji dostępnych dla inwestorów.

Na poziomie małych i średnich firm, przedsiębiorcy niegdyś musieli polegać na własnych oszczędnościach lub w poszukiwaniu kapitału z kapeluszem w dłoni obkolędować znanych sobie

bogaczy lub członków rodziny. Dzisiaj, jak uważa Duca, "zwiększona otwartość czy też demokratyzacja amerykańskich rynków kapitałowych oznacza, że gospodarstwa domowe mają szerszy wachlarz możliwości inwestycyjnych, a małe firmy mają więcej źródeł kapitału."

Większość inwestycji wciąż dokonuje się przez pośredników - inwestorów instytucjonalnych, banki inwestycyjne, maklerów i innych, którzy albo dokonują alokacji zgodnie z życzeniami właściciela, albo sami podejmują decyzje w imieniu inwestora. Ale dzisiejsi inwestorzy - mali i duzi - mogą ominąć pośredników, posługując się Internetem, by handlować na własny rachunek, alokując kapitał bezpośrednio do firm wedle własnego wyboru.

Kiedy dwóch studentów Stanford University uruchamiało wyszukiwarkę Google, w 2004 roku postanowili sprzedawać akcje w ofercie publicznej; ogłosili jednak zaskoczonym obserwatorom, że akcje będą sprzedawane w drodze publicznej aukcji, a nie przez bank inwestycyjny, który ustaliłby odgórnie cenę akcji. Co więcej, założyciele Google'a zapowiedzieli, że przeciętni inwestorzy będą mieli takie same szanse na pozyskanie akcji - jak wielkie banki inwestycyjne i insiderzy (akcjonariusze-założyciele itp. - przyp. tłum.). Zainteresowanie inwestorów indywidualnych było tak olbrzymie, że Google, odwrotnie niż to zazwyczaj bywa, podjął kroki uniemożliwiające ustalenie ceny otwarcia na bardzo wysokim poziomie, zdając sobie sprawę z tego, że byłby on nie do utrzymania na dłuższą metę.

Banki inwestycyjne z Wall Street oraz giełdy papierów wartościowych, które otrzymały w ciągu ostatnich dziesięciu lat sporo ciosów i przeżyły niejedną poważny skandal, pokpiwały z tego, że ominą je udział w obsłudze emisji akcji Google - jednak prywatnie niejedną finansistą obawiał się, że także i inne firmy zaczną pozyskiwać kapitał samodzielnie, bez korzystania z ich kosztownych usług.

Te kumulujące się i wzajemnie powiązane procesy i wydarzenia odnoszące się do sposobu pozyskiwania i alokacji kapitału nie zachodzą jednak w próżni. Także producenci, o czym już była mowa wcześniej, zmierzają ku większej różnorodności i indywidualizacji swych produktów. A detaliści coraz bardziej mnożą drogi dotarcia konsumentów do towaru - z zakupami internetowymi włącznie.

Wszystko to stanowi część ogólnospołecznej konwersji na intelektualny system bogactwa. Dotyczy to także małżeństwa finansów z mass mediami - i ich oddziaływania na przepływ kapitału.

WZROST EKONOLANDII

Amerykańskie media mimochodem stały się żywotną częścią infrastruktury finansowej USA.

Wraz ze wzrostem potrzeb informacyjnych inwestorów rozrósł się także Ekonoland - pseudointelektualna agora, gdzie ekonomiści, biznesowi "uczeni w piśmie" i politycy dzień w dzień objaśniają zawilości świata finansów i ekonomii. Pomagają oni zaspokoić nieposkromiony apetyt telewizji i sieci domagających się gadania na temat finansów instytucjonalnych i osobistych przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Całodobowe relacje giełdowe, wywiady z szefami spółek, omawianie przejęć i połączeń, przewijające się u dołu ekranów telewizyjnych i komputerowych notowania akcji są już dzisiaj nie do

uniknięcia, podobnie jak karnawał konkurencyjnych reklam banków, funduszy inwestycyjnych, towarzystw ubezpieczeniowych, brokerów hipotecznych i innych usług finansowych.

Połączenie programów radiowych i telewizyjnych, telewizji kablowej i satelitarnej, a przede wszystkim Internetu sprawiło, że miliony zwyczajnych Amerykanów mają świadomość finansowych alternatyw w takim stopniu, jak nikt dotąd - może z wyjątkiem superbogaczy.

W sporej części programy Ekonolandu mają powierzchowny charakter albo bardzo konwencjonalny, a niekiedy wręcz wprowadzają w błąd. Ich hałaśliwa obecność zmienia jednak warunki gry w sposób nieprzewidywalny i nie analizowany, wpływając na ilość, formy i kierunki inwestycji kapitałowych.

Żeby posłużyć się słowami Roberta Thompsona, dyrektora Syracuse University Center for the Study of Popular Television (Ośrodek Badań nad Telewizją Popularną), telewizja kablowa jest w stanie wpędzić inwestorów-amatorów w panikę i sprawić, że "w każdym amerykańskim domu abonować się będzie serwisy giełdowe."

To nieustające bombardowanie amerykańskiej klasy średniej finansowymi faktami i pseudofaktami sprawia, między innymi, że opinia publiczna w sposób absolutnie bezprecedensowy skupia swoją uwagę na gospodarce. Każde słowo wypowiedane przez Alana Greenspana, byłego prezesa Banku Rezerw Federalnych, stawało się tematem nieformalnych rozmów na autostradowych miejscach postoju tirów czy w szpitalnych poczekalniach. Jeśli Warren Buffet zająknie się na temat rynku akcji, natychmiast jego słowa są przekazywane dalej przez nauczycieli i taksówkarzy, jak starotestamentowa mądrość.

Coraz większa uwaga, jaką opinia publiczna poświęca gospodarce ogólnie, a szczególnie - inwestycjom na rynku kapitałowym, kosztem innych zagadnień, ma wpływ na wszystko - od zaufania konsumentów po outsourcing, politykę handlową i codzienne wydarzenia polityczne. Stąd kampania prowadzona przez CNN przeciwko outsourcingowi pracy poza Stany Zjednoczone do Indii i innych państw stanowiła siłę napędową ataków Partii Demokratycznej na Białą Dom. W pewnym momencie Białą Dom zaprotestował wobec pokazywania przez dwa informacyjne kanały kablowe spadku notowań giełdowych, podczas gdy prezydent George W. Bush mówił o gospodarce.

Podobnie jak to jest z innymi zmianami w infrastrukturze finansowej, bujny wzrost Ekonolandu odzwierciedla też zmianę na poziomie głębokich fundamentów. Jego niemal natychmiastowy wpływ na zachowanie rynku kapitałowego jest częścią przyspieszenia ogólnej aktywności gospodarczej -zmian w wymiarze czasu.

Stale raporty na temat globalnych rynków kapitałowych - japońskiej Nik-kei, Hang Seng w Hongkongu, brytyjskiej FTSE, niemieckiej DAX czy meksykańskiej Bolsy - wraz z ostatnimi danymi dotyczącymi NASDAQ i giełdy nowojorskiej (NYSE) - odzwierciedlają przestrzenną integrację rynków kapitałowych. A silny strumień danych, wiedzy i informacji oraz dezinformacji na temat rynków kapitałowych jest bez wątpienia reakcją na powstanie systemu bogactwa zależnego od wiedzy.

NIECIERPLIWY I NERWOWY

Dziś dopiero zaczynamy dostrzegać oddziaływanie tej transformacji. Jednym z najważniejszych jej przejawów jest niecierpliwa nerwowość kapitału. W warunkach znacznie zwiększonej mobilności, kapitał nie pozostaje uwięziony w chybionych inwestycjach równie długo, jak niegdyś. Zobowiązania kapitałowe stają się coraz bardziej przejściowe.

Zdaniem ekonomisty Glenna Yago, pioniera ruchu na rzecz demokratyzacji dostępu do kapitału, współautora (wraz z Susanne Trimbath) książki na temat powiększania się rynków wysokiego zwrotu, zwiększona mobilność kapitału i rozproszenie ryzyka być może zapobiegły nasileniu recesji gospodarczej w USA na początku XXI wieku, przyczyniając się też do jej osłabienia i skrócenia.

Inny skutek zmiany ku nowej infrastrukturze kapitałowej jest mniej pozytywny i bardziej problematyczny. Polega on bowiem na tym, że może doprowadzić do desynchronizacji superszybkich finansów wobec o wiele powolniejszego tempa działania "realnej" gospodarki.

W czasie kryzysu azjatyckiego w latach 1997 - 1998 kurs waluty indonezyjskiej niemal z dnia na dzień spadł o 70 proc. "Gorące pieniądze" zniknęły z kraju, zupełnie tak, jakby 70 proc. siły roboczej rozpoczęło strajk lub jakby zamknięto 70 proc. sklepów. Ale nic takiego się nie wydarzyło. To szybkość i hiperaktywność finansów zastopowały gospodarkę, a nie odwrotnie.

Najwyraźniej będziemy jeszcze mieli do czynienia z większą liczbą efektów ubocznych - zarówno dobrych, jak i złych - rewolucji w infrastrukturze kapitałowej i finansowej. Dokąd zatem zmierzamy?

Prostoliniowa kontynuacja tych zmian prowadziłyby do jednolitego, całkowicie zintegrowanego, ogólnoswiatowego rynku kapitałowego. Można sobie wyobrazić, że w którymś momencie, w przyszłości, 20 milionów, albo, jeszcze lepiej, 100 milionów indyjskich inwestorów zakupuje akcje brytyjskich spółek w poniedziałek, tylko po to, by je we wtorek sprzedać. Albo wyobraźmy sobie gorączkowe nocne aukcje globalne, przy których doświadczenie Google wyglądałoby śmiesznie. Projekcja trendu jest jednak słabym narzędziem prognozowania, szczególnie w czasie transformacji, podobnie jak ta, którą obecnie przeżywamy. Ani historia, ani przyszłość nie dokonują się według linii prostych.

Alternatywny, bardziej skomplikowany scenariusz zmieniłby samo znaczenie kapitału poprzez uznanie i być może spieniężenie w jakiś sposób, innych jego form - kapitału intelektualnego, społecznego, ekologicznego i wkładu ze strony nie opłacanych prosumentów.

Ale nawet bez tego, już zmieniliśmy kapitał i to niemal nie do poznania. Zmieniliśmy tego, kto zapewnia kapitał, zmieniliśmy sposób jego alokacji, sposób, w jaki jest opakowany, szybkość, z jaką płynie, miejsca, w które się udaje, liczbę i rodzaj informacji i dezinformacji na jego temat oraz proporcje niematerialności do materialności w ramach majątku, z którego bierze się kapitał.

Mimo że zarówno własność, jak i kapitał przepoczwarzają się w coś drastycznie nowego, jeszcze bardziej dalekosiężne zmiany przekształcają inne kluczowe ostoje kapitalizmu: rynki i pieniądze.

Rozdział 39

Rynki niemożliwe

Słowo “bogactwo” - ostatnio, kiedyśmy je sprawdzali - pojawiało się w 52 milionach dokumentów w Internecie, pozostając zdecydowanie w tyle za słowem “Bóg” (142 miliony odnośników). Wydawało się, że mamona pozostaje na swoim miejscu. Ale czy istotnie?

Problem, jak się okazało, polegał na tym, że jeszcze inny termin pojawiał się aż 405 milionów razy - a więc dwukrotnie więcej niż “bogactwo” i “Bóg” razem wzięte. Tym terminem był “rynek”. Czczony przez szefów biznesu, prezesów, ekonomistów i polityków Zachodu, i traktowany z wrogością graniczącą z obrzydzeniem przez krytyków kapitalizmu. Rynki - podobnie jak własność i kapitał - także przekształcane są przez rewolucyjne bogactwo.

Aby w pełni docenić, jak bardzo zaskakujące są te zmiany - a szczególnie te, które dopiero nadejdą - warto obejrzeć się za siebie...

RZADKIE PIENIĄDZE

Barwne dzieje starożytnych rynków pełne są wielbłądzich karawan na Jedwabnym Szlaku między Chinami i Zachodem, piratów na pełnym morzu, bazarów w Bagdadzie i krwawej rywalizacji między bankierami z Wenecji i Genui. Te historie opowiadane były już wiele, wiele razy, a handel na pewno oddziaływał politycznie, wojskowo i gospodarczo o wiele silniej, niżby to wynikało z jego rozmiarów. A jednak najważniejszym faktem dotyczącym rynków na przestrzeni tysięcy lat dziejów człowieka nie jest to, jak ważne były, ale raczej, jak były małe i relatywnie rzadkie.

Przygniatająca większość naszych przodków, aż do niedawna, żyła w świecie przedrynkowym. Pewne formy handlu istniały, ale większość ludzi przez całe życie nigdy niczego nie kupiła ani nie sprzedała.

Jak już dowiedzieliśmy się z wcześniejszych rozdziałów, nasi poprzednicy - z wyjątkiem maluteńkiej mniejszości - byli chłopskimi prosumentami, którzy byli w stanie przetrwać uprawiając rolę, budując, szyjąc i w inny sposób produkując większość tego, co sami konsumowali. Jak pisze historyk Patricia Crone z Institute for Advanced Study w Princeton, “każda wioska czy folwark była mniej lub bardziej autarkiczna; pieniądze należały do rzadkości, a handel był niezwykle ograniczony.”

Nawet rynki ziemi na wsi, scentralizowanej i rolniczej, były rzadkie i oddalone od siebie. Większość ziemi pozostawała własnością królów albo państwa i nadawana była rodzinom szlacheckim, ale na zasadach ograniczających ich prawa do pozbywania się ziemi. Przechodziła ona zatem powoli z ojca na syna, z pokolenia na pokolenie.

Jeśli nie liczyć niewolnictwa, nie istniało też nic, co choć trochę przypominałoby rozwinięty rynek pracy. Crone przypomina nam, że “praca o wiele powszechniej była wynikiem przymusu, niż

przedmiotem transakcji” i że wraz z niewolnictwem istniały rozmaite formy służby feudalnej. Płatną pracę w najlepszym razie możemy określić jako rzadkość.

Jeszcze bardziej odległe od życia przeciętnego człowieka były rynki finansowe. Przynajmniej dwa miasta w Chinach, Chengu i Pingjao, utrzymują, że pierwszy bank w dziejach świata powstał właśnie tam, mniej więcej tysiąc lat temu. Włosi twierdzą, że “najstarszym bankiem świata” jest Banca Monte dei Paschi założony w Sienie w roku 1472. Bez wątplenia wiele miast chwali się podobnymi osiągnięciami, ale bez względu na to, który bank był tym pierwszym, transakcje finansowe zawierane były wyłącznie pomiędzy członkami elity i były nieosiągalne dla 98 czy 99 procent ludności. W tym sensie większość ludzi żyła w świecie nie tylko przedrynkowym, ale i przedkapitalistycznym.

MASA + MASA = MASA+

To rewolucja przemysłowa - niosąc Drugą Falę rewolucyjnego bogactwa - przekształciła relacje pomiędzy rynkami, specjalistami od marketingu i sprzedaży, a także zwyczajnymi ludźmi na całym świecie.

Industrializacja przekształciła miliony chłopów, którzy aż do wtedy żyli przede wszystkim jako prosumenci poza gospodarką pieniężną - w producentów i konsumentów wewnątrz gospodarki pieniężnej, tym samym uzależniając ich od rynku.

Płatna praca etatowa zlikwidowała niewolnictwo i stosunki feudalne w sektorze pracowniczym rynku, a w ich miejscu wyrosła wielka siła robocza. Oznaczało to, że pracownikom po raz pierwszy płacono pieniędzmi, wprawdzie bardzo mało, ale jednak.

Wraz z upowszechnianiem produkcji masowej rozpoczął się też związany z nią rozwój masowych rynków - rozwój napędzany wzajemnie wzmacniającymi się siłami. Pierwszą z nich była urbanizacja, związana z migracją chłopów do ośrodków miejskich. W czasie od roku 1800 do 1900 ludność Londynu eksplodowała z 860 tysięcy mieszkańców do 6,5 miliona; Paryża z 550 tysięcy do 3,3 miliona, a Berlina ze 170 tysięcy do 1,9 miliona. Kiedy ludzi w miastach przybywało jak grzybów po deszczu, miejskie rynki produkowanych masowo towarów coraz bardziej się rozszerzały. Pierwsze linie kolejowe umożliwiły dokonanie wielkiego skoku: z poziomu rynków lokalnych - do ogólnokrajowych.

Rynki masowe i masowa produkcja były zaś z kolei wspierane przez masowe środki przekazu. Tak więc na początku XIX wieku w Anglii zaczęto wydawać tzw. groszową prasę (*peny press*) - publikacje zawierające reklamy adresowane do “mas”. Wynikało to z gwałtownego rozwoju rynków - popytu na fabrycznie produkowane zegary, sprzęty domowe, okulary, tapety, odzież, cynkowe garnki i mnóstwo innych towarów.

Po innowacjach w technologii i w produkcji nadszedł czas na innowacje w rynkach i marketingu. Już w 1852 roku paryżanie mogli kupować w Bon Marche, pierwszym wielkim sklepie podzielonym na wiele działów. W dziesięć lat później na Manhattanie zbudowano dziesięciopiętrowy Cast Iron

Palace. Domy handlowe wszędzie stały się wnet "obowiązkowym" elementem centrów wielkich miast.

Aby masowo produkowane towary można było sprzedawać także ludności wiejskiej, Aaron Montgomery Ward w 1872 roku wynalazł papierowy odpowiednik domów towarowych. Korzystając z podniesienia poziomu usług pocztowych i rozwoju transportu, stworzył biznes wysyłkowy, który w 1904 roku trzem milionom potencjalnych klientów w Stanach Zjednoczonych wysłał dwukilogramowy katalog podzielony na rozdziały odpowiadające działom domu towarowego.

W końcu, kiedy masowa produkcja, masowe media i masowe rynki zaczęły się nawzajem napędzać, innowacyjni detaliści i deweloperzy wynaleźli istne świątynie konsumpcji, czyli centra handlowe. One także rozprzestrzeniły się w Ameryce, Europie, Ameryce Łacińskiej i Azji.

Mówiąc krótko, fala splatających się ze sobą zmian, którą nazywamy rewolucją przemysłową, znacznie poszerzyła rolę rynków w codziennym życiu większości ludzi.

RYNKI BŁYSKAWICZNE

Dzisiejsza transformacja w kierunku systemu bogactwa opartego na wiedzy po raz kolejny przekształca rynki w odpowiedzi na zmiany na poziomie głębokich fundamentów. Kiedy to zrozumiemy, będziemy w stanie przez mgnienie ujrzyć fragment przyszłości.

W zaawansowanych gospodarkach rynki wprost zarzucane są nowymi produktami, które są powiązane ze sobą nawzajem często w nieprzewidywalny sposób. Wraz ze wzrostem tempa, kiedy rynki walutowe i papierów wartościowych działają z tempie oszałamiającym, błyskawicznym, oślepiającym, rynkowy cykl życia produktów (i produktów z nimi związanych) będzie coraz krótszy. Synchronizacja bardzo wielu rynków napędzana przez pozornie niepowiązane z sobą firmy, stanie się pilną koniecznością. Już teraz widzimy współpracę wielkich korporacji według takiego właśnie schematu.

Podjęmowane przez specjalistów od marketingu próby mające zaowocować utworzeniem trwałych związków pomiędzy klientem i marką lub produktem będą coraz trudniejszym doświadczeniem i będą okazywały się coraz bardziej nieskuteczne. Szybkość spowoduje skrócenie, a nie wydłużenie czasowych relacji - również i lojalności konsumenta - wobec marek.

Tymczasem przestrzenne przesunięcie ku rynkom globalnym dodaje jeszcze do krajowej konkurencji tę zagraniczną, nie tylko w zakresie stałych i dobrze znanych produktów czy cen ale - tempa innowacji. Okazuje się, że przedsiębiorstwa z różnych stron świata konkurują ze sobą w obszarach tak ulotnych, że można by je prawdopodobnie określić terminem "rynku błyskawicznego."

Jednocześnie coraz wyższe poziomy niematerialności i złożoności wywołują znaczny wzrost przepływu danych, informacji i know-how. Marketingowcy coraz częściej będą musieli stawić czoło konsumentom uzbrojonym we własny arsenał faktów. Wielu z nich będzie domagało się prawa do uczestnictwa w projektowaniu produktów dla siebie - oraz zapłaty za dane, informacje lub wiedzę, którą udostępniają.

Marketerzy będą musieli też zmierzyć się z wręcz przeciwnymi postawami - konsumentów, którzy się śpieszą i buntują przeciwko marnowaniu czasu na nadmiar złożoności; ci konsumenci domagają się będą pozbawiania produktów niepożądanych funkcji.

Coraz lepsze technologie zmniejszą przewagę kosztową produkcji masowej, sprawiając, że kompromisowe wyjście, jakim było dopasowanie masowych produktów do potrzeb konsumentów, stanie się anachronizmem, ponieważ niemal bez jakichkolwiek dodatkowych kosztów dostępna będzie autentyczna personalizacja produktów.

Rynki będą zatem rozdrabniały się na coraz węższe, coraz bardziej tymczasowe i wymagające coraz więcej wiedzy segmenty. Odmasowienie będzie się rozpowszechniać wszędzie tam, gdzie jest klasa średnia lub kultura faworyzująca indywidualność wobec stadnej uniformizacji.

OSOBISTE CENY

Niemal niezauważalną konsekwencją tej rosnącej indywidualizacji produktów jest równoległa indywidualizacja cen na rynku - czyli odejście od stałych, standardowych cen za standardowe produkty i przejście w kierunku wiązanych lub negocjowanych cen za ten sam towar.

Na kilku przedindustrialnych rynkach, jakie w ogóle istniały, kupujący i sprzedający targowali się o cenę, co wciąż jest dziś praktyką w ubogich krajach. Tymczasem w gospodarkach, których podstawą jest masowa produkcja i w których funkcjonowała daleko idąca standaryzacja, panowała też zasada "taka sama cena za taki sam towar." Dzisiaj, zgodnie z zaiste Heglowską dialektyką, powracamy do elastycznych, osobistych cen.

Każdy, kto często podróżuje, dobrze wie, że ceny biletu lotniczego na takie samo miejsce tego samego lotu mogą diametralnie się różnić. Bywa, co nie powinno nikogo dziwić, że takie samo miejsce oferuje się w piętnastu różnych cenach. Posługując się "alternatywnym" lub "dynamicznym" modelem ustalania ceny, sprzedawcy mogą dziś manipulować ceną w sposób dostosowany do cech kanału dystrybucyjnego, czasu i indywidualnych cech klienta.

Coraz większa personalizacja cen znalazła wyraz w sukcesie eBay i innych stron w Internecie, na których ceny towarów ustalane są w drodze aukcji. Nic dziwnego, że we wszystkich branżach - od rezerwacji pokoi hotelowych poprzez narzędzia, lalki i łodzie aż po samochody, komputery i odzież - pojawiło się mnóstwo wyspecjalizowanych rynków aukcyjnych.

Priceline.com poszedł nawet kroczek dalej, organizując tzw. odwróconą aukcję, w której nabywcy, obojętni na marki kupowanych rzeczy, ogłaszają cenę, jaką są skłonni zapłacić i pozwalając sprzedawcom znaleźć do siebie drogę. Wkrótce pojawiły się inne wyspecjalizowane odmiany.

Aukcje z kolei dały początek innemu rynkowi niszowemu - specjalnemu "serwisowi płatności" dla swych uczestników. Na reklamie Western Union widzimy zadowolonego klienta internetowego serwisu płatności, bynajmniej nie wyglądającego na kuratora Muzeum Sztuki - tuż obok hasła: "Kupił obraz przedstawiający aksamitnego matadora."

Zjawisko indywidualizacji cen będzie się rozprzestrzeniać z kilku zbieżnych przyczyn. Wyprodukowanie lub zdobycie zindywidualizowanych lub quasi-zindywidualizowanych towarów nie kosztuje sprzedawców tyle samo. Komputery poradzą sobie z dodatkową złożonością licznych schematów ustalania cen. A sprzedawcy są w stanie zbierać dziś coraz więcej informacji o poszczególnych klientach.

Dla nabywców nadejdzie wreszcie jakżeż bardzo wyczekiwany dzień, kiedy to Internet przetrząsać będą zindywidualizowane "boty" lub programy-agenci wyposażeni w umiejętność zaspokajania najbardziej skomplikowanych i zindywidualizowanych specyfikacji, i to w najniższej możliwej cenie.

Jest ponadto także i głębsza przyczyna indywidualizacji. Stałe ceny - idealne w warunkach masowej produkcji przemysłowej - zdają egzamin na relatywnie stabilnych i powoli zmieniających się rynkach. A to akurat jest ostatnią rzeczą, której powinniśmy się spodziewać w najbliższym czasie.

GDZIE SĄ GRANICE?

Przejawem dalszego przyśpieszenia odwrotu od masowych rynków jest obecne zawirowanie w świecie mediów i reklamy, a więc w narzędziach, bez których rynki kapitalistyczne - takie, jakie znamy dzisiaj - nie mogłyby prawie działać.

Dominujące w przeszłości media masowe ustępują odmasowionym mediom, z powodzeniem adresowanym do coraz to mniejszych mikrorynków. Proces ten rozpoczął się dawno temu, bo już w 1961 roku, i gwałtownie się rozprzestrzenił - zgodnie z naszymi prognozami opublikowanymi wówczas w jednym z wydawnictw IBM. Do roku 2004 trudno było nie zauważyć tego, co "Financial Times" z pewnym ociąganiem ogłosił: nadejścia "jednoosobowego audytorium" i "końca rynku masowego."

Przedsiębiorstwa, którym nie udało się przenieść w nowe otoczenie rynkowe, narzekają dziś na "fragmentację". Te, które świetnie radzą sobie na nowych rynkach, wychwalają szeroki wybór oferowany konsumentom, którzy sami także są coraz bardziej zindywidualizowani.

Bezprecedensowa jest natomiast szybkość, z jaką poszczególne rynki i całe sektory rynkowe powstają i upadają. Metabolizm kapitalizmu nabiera tempa, skłaniając do postawienia pytania: cóż się stanie, kiedy zdecydowanie wykroczy poza swoje normalne granice?

Rozważmy, na przykład, tempo urynkowienia i odrynkowienia.

Żaden rynek nie przetrwa, jeśli nie ma nic na sprzedaż. A zatem rynki, z definicji, potrzebują wkładu - pozycji przeznaczonych na sprzedaż, określanych skądinąd mianem towaru. Taki towar to na przykład kilodżule energii, godziny pracy, para rękawiczek, odtwarzacz DVD, toyota Camry, czy, powiedzmy, bilet na Tosczę. Dzisiaj liczba i różnorodność przedmiotów, które można kupić na całym świecie, jest wprost astronomiczna i rośnie z każdą minutą. Suma wszystkich tych pozycji jest nieznana.

Komodytyzacja jest zresztą podstawową cechą kapitalizmu konkurencyjnego, co znaczy, że na sprzedaż przeznaczają się tak wiele rzeczy, usług i doświadczeń, tak wiele danych, informacji i wiedzy oraz tak wiele godzin dostępnej pracy, ile tylko będzie można sprzedać.

Rozpowszechnienie kapitalizmu rynkowego, hiperkonkurencja, szybsze tempo innowacji i wzrost liczby ludności - działając jednocześnie - wymuszają dalszą komodytyzację. Innymi słowy, coraz więcej rzeczy jest "na sprzedaż."

Ale też więcej rzeczy wycofuje się ze sprzedaży. Na przykład stare modele i części zamienne do nich. Mimo że Toyota rzuciła na rynek jeszcze jeden milion modeli Camry, Daimler Chrysler zamknął całą swą linię Plymouthów, a nowe Prowlery po prostu zniknęły z rynku.

A zatem na każdym rynku, w dowolnej chwili, rozpoznajemy działanie dwóch tych samych, podstawowych procesów: urynkowienia i odrynkowienia. Niestety, bardzo niewiele uwagi poświęca się szybkości, z jaką zachodzą te dwa procesy. Różnią się one w zależności od specyfiki poszczególnych branż oraz poszczególnych krajów, ponieważ różne jest tempo metabolizmu w każdym z tych państw czy branż.

A co się dzieje, kiedy te szybkości są zbyt rozbieżne? Albo odwrotnie: co się dzieje, jeśli oba te procesy synchronicznie ulegają spowolnieniu lub przyśpieszeniu? Czy istnieje jakaś maksymalna lub optymalna prędkość działania dla danego rynku? I w jaki sposób prędkości w jednym kraju wpływają na inne kraje? Czy ktoś to wie?

TAJEMNICE POWTARZANE SZEPTEM

Wiedza zawsze była czynnikiem wytwarzania bogactwa. Ale w żadnym z dotychczasowych systemów bogactwa sektor intelektualny nie odgrywał tak dominującej roli. Dzisiaj jesteśmy świadkami wybuchowego wzrostu ilości, różnorodności i złożoności wiedzy potrzebnej do projektowania, produkowania i dostarczania wartości na każdym rynku. Istotnie: rynek danych, informacji i wiedzy rozwija się bardzo szybko.

Konsumenci pochłaniają nieograniczone ilości informacji, niedokładnych informacji i dezinformacji na każdy możliwy temat, od biznesu i finansów po wiadomości i rozrywkę, zdrowie i religię, seks czy sport. Firmy przedzierają się przez nieustannie napływające strumienie danych na temat ich klientów, konkurentów i dostawców. Naukowcy i badacze zbierają wnioski i formuły z całego świata.

Wiedza zawsze była trudna do zdefiniowania, ale w takim znaczeniu, w jakim posługujemy się tutaj tym terminem, obejmuje ona nie tylko drukowane teksty lub dane komputerowe, ale i powtarzane szeptem tajemnice, obrazy, nieformalne opinie na temat akcji i inne wartości niematerialne. I nikt dzisiaj nie wie precyzyjnie, jak wielki jest sektor wiedzy; nie słabnie też dyskusja nad tym, co powinno być do niego zaliczone, a co wyłączone. Ale nigdy dotąd nie było tak, by bardzo dużo pieniędzy przechodziło z rąk do rąk w zamian za wiedzę, jej składniki - dane i informacje... lub też starowiedzę.

Nie można jednakże powiedzieć, że rynek wiedzy wyłącznie się poszerza. On również jednocześnie przeżywa przeobrażenie z powodu zmian na głęboko fundamentalnym poziomie systemu bogactwa.

Nigdy dotąd zbieranie, organizowanie i rozpowszechnianie wszystkiego - począwszy od całkiem surowych danych, a skończywszy na najbardziej abstrakcyjnej i wyszukanej wiedzy - nie zachodziło w społeczeństwie i rynku z taką zawrotną szybkością: szybkością klikania. Zjawisko to występuje równoległe, a nawet przewyższa procesy przyśpieszenia, które dostrzegamy w każdym sektorze gospodarki. Czas został skompresowany do nanosekund. Jednocześnie przekraczane są wszelkie granice, rozciągając przestrzenny zasięg wiedzy we wszystkich jej formach.

Jeszcze donioślejszy charakter mają zmiany w wiedzy na temat tego, co sami wiemy oraz w sposobie organizacji wiedzy w związku z faktycznym upadkiem długotrwałych dotąd podziałów dyscyplinarnych.

We wcześniejszych systemach bogactwa dostęp do wiedzy przedstawiającej wartość ekonomiczną był poważnie ograniczony. Dzisiaj w sporej części wyświetla się bez ograniczeń na milionach ekranów i monitorów w biurach, kuchniach i sypialniach od Manhattanu po Bombaj.

W społeczeństwach agrarnych przez tysiące lat chłopci musieli wiedzieć, jak uprawiać swoją łachę ziemi, jak przewidywać brzydką pogodę, przechowywać zebrane plony. Wiedza miała charakter lokalny, rozpowszechniana była ustnie i w zasadzie była niezmienna.

W gospodarkach przemysłowych zarówno pracownicy, jak i menadżerowie muszą posiadać wiedzę o charakterze ponadlokalnym, pochodzącą z wielu źródeł i dotyczącą większej liczby rzeczy. Wiedza ekonomicznie wartościowa - dotycząca, powiedzmy, postępu w metalurgii - nie wymagała jednak aż tak częstych aktualizacji.

Dziś jest zupełnie inaczej. Wiedza dezaktualizuje się niemal, zanim zostanie ogłoszona. Zakres przedmiotowy wiedzy nieustannie się poszerza. Coraz więcej jest źródeł. I mogą pochodzić z dowolnego zakątka świata.

A zatem jesteśmy dzisiaj świadkami samowzmacniających się, wchodzących w interakcje zmian, przekształcających relacje nie tylko pomiędzy produktami, ale całymi sektorami rynku. Nawet skumulowany wpływ wszystkich tych zjawisk na dłuższą metę traci jednak na znaczeniu wobec kolosalnego znaczenia tego, że powstaje całkowicie nowe, dotąd niemożliwe, otoczenie rynkowe.

BLIŹNIAK WIRTUALNY

Jak już zauważyliśmy wcześniej, dosłownie każdy tradycyjny sektor rynku - czy to rynku ziemi, czy pracy, czy kapitału, dóbr materialnych, usług, specjalistycznych umiejętności czy wreszcie rynku wiedzy - ma dzisiaj wirtualnego bliźniaka. W rezultacie wielki, globalny cyber-rynek nakłada dodatkową warstwę na każdy rynek konwencjonalny. Nigdy dotąd nic takiego nie funkcjonowało.

U schyłku minionego stulecia załamanie dot.comów sprawiło, że na krótko termin *e-commerce* traktowany był przez inwestorów jak brzydkie słowo, a media co rusz to obwieszczały kres biznesu w

Internecie: DOT.COMY SIĘ WYPALIŁY..., GRA SKOŃCZONA..., KATASTROFA DOT.COMÓW..., BOOM ZAKOŃCZYŁ SIĘ KLAPĄ..., KONIEC SZALEŃSTWA..., KONIEC ERY INTERNETU.

Ale, podobnie jak z przywróceniem do życia chłopczyka z Idaho w godzinę po ogłoszeniu jego zgonu {{ W 2004 roku w Boise, w stanie Idaho, pracownik szpitala zamierzał przygotować zwłoki 22-miesięcznego chłopczyka do transportu do domu pogrzebowego, jednak zauważył, że chłopczyk oddycha, mimo że już ponad godzinę wcześniej stwierdzono jego zgon. Dzień wcześniej chłopczyk, korzystając z nieuwagi opiekunki, oddalił się i wpadł do kanału. Wydarzenie było relacjonowane przez największe media amerykańskie. Niektórzy Amerykanie sądzą, że było to cudowne ożywienie - przyp. tłum.}}, być może nadgorliwi grabarze zbyt szybko pragnęli pochować *e-commerce*. W roku 2003 konsumenci na całym świecie zakupili produkty o łącznej wartości 250 miliardów dolarów za pośrednictwem e-rynków, które nie istniały (bo nie mogły istnieć) nawet dwadzieścia lat temu; a jest to przecież wartość rzędu około 50 dolarów rocznie na każdą osobę na świecie.

Być może nawet ta liczba jest drastycznie niedoszacowana, jeśli weźmiemy pod uwagę, że łączna sprzedaż detaliczna on-line w samych tylko Stanach Zjednoczonych w 2003 roku wyniosła 55 miliardów dolarów (a przecież ta wartość, podana przez Departament Handlu USA, nie obejmuje takich zakupów nietowarowych, jak usługi podróże, finansowe, bilety do placówek kulturalno-rozrywkowych i opłaty za udział w serwisach randkowych).

Nadal jednak nie mamy pojęcia, jakie są realne rozmiary, siła i potencjał rynków internetowych lub wymiany bezpośrednich transakcji handlowych między firmami (*business - to - business*).

Trzyście linii lotniczych, od All Nippon i KLM Royal Dutch po Lufthansę, Air New Zealand i Northwest, utworzyło Aeroexchange, wirtualny odpowiednik średniowiecznego targu, by zademonstrować towary na sprzedaż i zawierać transakcje. Dzisiaj trzydziestu trzech członków tego "targowiska" kupuje części od czterystu dostawców on-line w trzydziestu krajach. Podobne giełdy elektroniczne działają dziś w wielu branżach, włącznie z samochodową, usług komunalnych, sektora chemicznego, przemysłu zbrojeniowego, ochrony zdrowia, gastronomii, najróżniejszych napraw i dostaw części zamiennych.

W roku 2003 rozmiary *e-commerce* w ramach platformy *business-to-business* szacowano na 1,4 biliona dolarów rocznie. Nie jest to 50 dolarów na mieszkańca naszej planety, ale raczej kwota rzędu 230 USD. A wartość ta znacznie wzrośnie w ciągu najbliższych lat i stanowić będzie coraz większą część całego *e-commerce*.

To globalne przejście na oparty na wiedzy system bogactwa nie powinno być traktowane wyłącznie w kategoriach cen akcji i rozprzestrzeniania się technologii. Ma bowiem znacznie bardziej dogłębny charakter i zagraża kapitalizmowi, jak już zostało to opisane w tej książce wcześniej.

Kiedy Trzecia Fala i intelektualny system bogactwa upowszechnią się w Azji i innych częściach świata, mieszkańcy tamtych rejonów także będą świadkami rewolucyjnych zmian w ich podstawach majątkowych, kształtowaniu się kapitału, rynków - oraz, o czym przekonamy się za moment - w samym pieniądzu.

Rozdział 40

Życie na kredyt?

Ekonomia przyszłości jest nieco inna. Bo, widzisz, w dwudziestym czwartym wieku pieniądze już nie istnieją.” Tak powiedział Jean-Luc Picard, kapitan statku kosmicznego *Enterprise* w słynnym filmie science fiction *Star Trek: First Contact*. Prawdopodobnie wraz z pieniędzmi zniknie też do tego czasu kapitalizm, a jego następca może pojawić się na długo przed Anno Domini 2300.

Kiedy na świecie zaczyna rozwijać się rewolucyjne bogactwo, my sami też powoli wkraczamy do dziwnego, całkiem nowego świata. Jednak zarówno obrońcy, jak wrogowie kapitalizmu przez cały czas posługują się ponad stuletnimi kliszami pojęciowymi. Jeśli zmiany w naturze własności, kapitału i rynków nie wystarczą, by nimi wstrząsnąć i uwolnić ich myślenie od duchów przeszłości, być może zdoła tego dokonać spojrzenie na przyszłość pieniądza.

Podobnie jak inne kluczowe elementy kapitalizmu, pieniądze przeżywają najszybszą i najbardziej dogłębną rewolucję od stuleci. Rewolucja ta zaowocuje powstaniem diametralnie nowych form, nowych sposobów otrzymywania zapłaty i płacenia oraz znacznie większej liczby możliwości biznesowych, całkiem bez użycia pieniędzy.

UKRYTY PODATEK

Wynalezienie pieniędzy bez wątpienia było jednym z wydarzeń w dziejach człowieka, które w wielkim stopniu zmieniły oblicze świata. Dzięki temu wynalazkowi mogą działać wszystkie gospodarki kapitalistyczne.

Wynalazek ten, mimo że później bywał używany w cokolwiek nieprawidłowy sposób, otworzył drzwi do postępu w zakresie dobrobytu człowieka. Zarządzanie pieniędzmi, a właściwie systemem pieniężnym oznacza jednak niebagatelne koszty dla całego społeczeństwa i każdego z nas oddzielnie.

Prawie nie zauważamy tego kosztu, ponieważ zazwyczaj jest ukryty lub włączony w cenę, którą płacimy za towary, usługi i inne dobra rynkowe. Kiedy idziemy do kina albo na mecz, cena biletu w pewnej części pokrywa koszty pracy osoby, która pobiera pieniądze i wręcza nam bilet. To samo odnosi się do gigantycznej rzeszy 3,5 miliona kasjerek i kasjerów w hipermarketach Wal-Mart, Home Depot, 7-Eleven, Office Depot i Office Max, supermarketach, domach towarowych i stacjach kolejowych. Ale przecież ta liczba nie obejmuje wszystkich kasjerek i kasjerów zatrudnionych poza USA.

Poza tym, także w barach McDonald, Burger King czy innych przybytkach fast-foodu osoba za ladą przyjmuje zarówno nasze zamówienie, jak i gotówkę. Prawdą jest, że przyjmowanie zamówienia i przekazywanie go do kuchni jest czynnością odmienną technicznie od przyjmowania zapłaty. Oznacza to, że jedynie część wynagrodzenia tej osoby można przypisać do czasu poświęconego na przyjmowanie gotówki od klientów. Przyjmowanie gotówki jest też i częścią

obowiązków wielu osób wykonujących inne zawody - milionów kelnerów, fryzjerów i sprzedawców na całym świecie, których nikt nie zliczy. Wszystkie te koszty również są przerzucane na klientów.

Jest to jedynie najbardziej widoczny wydatek związany z działaniem światowego systemu pieniężnego. Ktoś musi śledzić wszystkie transakcje. I to także kosztuje. Wypadałoby też dodać tu przynajmniej część kosztów, które ponosimy na opłacanie 2,5 miliona księgowych na całym świecie. A ktoś musi jeszcze fizycznie drukować, przechowywać i transportować gotówkę, którą się posługujemy, chronić ją przed kradzieżą i fałszerstwem, uwierzytelniać dokumentację i tak dalej. To także kosztuje.

Koszty te, w ostatecznym rachunku przerzucane na klienta, są w rezultacie częścią ukrytego "podatku", który płacimy za wygodę posługiwania się pieniędzmi. I stanowią one jedynie małą jego część.

Co prowadzi do ważnego, frapującego pytania: co by było, gdybyśmy mogli ograniczyć lub wyeliminować ten ukryty "podatek"? Czy to możliwe? W rzeczy samej - czy w ogóle potrzebujemy pieniędzy, aby działać w systemie bogactwa, którego podstawę stanowi wiedza?

PUNKCIKI NA CHIPACH

Od czasu gdy osiemnastowieczni maklerzy zaczęli gromadzić się w Jonathan Coffee House {{ Kawiarnię pod tą nazwą założył Jonathan Miles około roku 1680. Handel papierami wartościowymi prowadzono tam, jak i w innych kawiarniach londyńskich zlokalizowanych przy Exchange Alley. Budynek mieszczący kawiarnię spłonął w 1778 roku, a giełda doczekała się siedziby z prawdziwego znaczenia (tzw. Stock Subscription Room), przy Threadneedle Street, w 1801 r. - przyp. tłum.}}, aby wnet potem zapoczątkować to, co stało się giełdą londyńską, system pieniężny w każdym kraju Zachodu obejmował branżę usług finansowych zaspokajającą potrzeby kredytobiorców i inwestorów. Branża ta polegała na najbardziej rozwiniętych sposobach przechowywania danych i komunikacji, jakie na przestrzeni stuleci były dostępne. Jeszcze w latach pięćdziesiątych XX wieku oznaczało to szafy z szufladami wypełnionymi papierami, urzędy pocztowe, telefony z tarczami i taśmy perforowane. Wszystko po to, by prawidłowo zarządzać wiedzą związaną z pieniędzmi.

Od tego czasu kształtowaniu się gospodarki opartej na wiedzy towarzyszyła nie tylko wyjątkowo gwałtowna ekspansja nieustannie zmieniających się danych, informacji i wiedzy, ale także szybki rozwój klasy średniej, pączkujących funduszy emerytalnych i polis ubezpieczeniowych, szeroki wzrost popytu na usługi finansowe - oraz potrzeby całkowicie nowej infrastruktury finansowej.

W 2002 roku w usługach finansowych znajdowało zatrudnienie aż 5,5 proc. całej siły roboczej Stanów Zjednoczonych. Innymi słowy: więcej niż co dwudziesty pracownik amerykański pracuje w bankowości, ubezpieczeniach, zarządzaniu funduszami emerytalnymi, bankowości hipotecznej, funduszach nieruchomości i bankowości inwestycyjnej.

Firmy te zarządzają przepływem pieniądza przez system pieniężny, zapewniając płynność, składając i alokując inwestycje, oceniając zdolność kredytową i udostępniając środki kredytowe, utrzymując drugorzędne rynki akcji i obligacji oraz oceniając ryzyka i zarządzając nimi.

W Wielkiej Brytanii, gdzie w londyńskim City umościły sobie siedziby niektóre spośród największych instytucji obracających euroobligacjami i derywatami oraz towarzystwa ubezpieczeniowe, w finansach pracuje ponad 1 milion osób. Na podobne skoncentrowanie usług finansowych natrafić można w Zurychu, Frankfurtie (zwanym niekiedy "Bankfurtem"), Tokio, Hongkongu i Singapurze. A od Szanghaju po Dubaj powstają jeszcze nowe ośrodki, o randze regionalnej. Wszystkie te i inne miejsca połączone są dzisiaj superwydajnymi komputerami i superszybkimi sieciami, za pośrednictwem których gromadzi się i redystrybuuje pieniądze przeznaczone na inwestycje i kredyt, nie wspominając już o spekulacjach.

W samym tylko roku 2001 firmy finansowe w Stanach Zjednoczonych, gdzie sieć jest najbardziej gęsta i najbardziej zaawansowana, wydały na informatykę 195 miliardów dolarów - więcej niż jakakolwiek inna branża i więcej niż - w tymże 2001 roku - całkowity produkt krajowy brutto krajów tak spragnionych technologii, jak Singapur czy Finlandia. A jednak popyt na jeszcze szybciej dostępne informacje, dane i wiedzę rośnie nieustannie.

Skutki tego przejścia od infrastruktury finansowej z epoki industrialnej do niemal natychmiastowej, prawie globalnej formy cyfrowej na razie jeszcze nie zostały w pełni zrozumiane, zarówno przez użytkowników, jak i przez klientów - a w najmniejszym stopniu przez polityków i opinię publiczną.

DZWON NA ZAMKNIĘCIE

Jedynie pewna nikła część kapitału wymienianego codziennie na światowych giełdach papierów wartościowych faktycznie trafia do firm w oparciu o analizę ich potrzeb i długofalowych perspektyw. Zamiast tego, odpowiednio zaprogramowane komputery skanują kursy i wyniki tysięcy notowanych firm po to tylko, by wskazać najdrobniejsze odchylenia w cenie ich akcji i "zainwestować" w nie pieniądze: ale nie na miesiące czy lata, lecz na minuty czy nawet sekundy. W rezultacie nie jest to już w dużej mierze inwestycja, lecz elektroniczny, superszybki poker oparty na matematyce.

I nie jest dla nikogo tajemnicą, że szczególnie jeden spośród tych rynków rozwinął się szybko i gwałtownie - na tyle, że "Financial Times" określa go jako "diametralnie innym rynkiem niż dziesięć lat temu." Jest to globalny rynek walutowy - rozdmuchany do tego stopnia, że każdego dnia dokonuje się na nim zakupów i sprzedaży na kwotę 1,2 biliona dolarów. Jest to ponad trzydzieści razy więcej niż łączna kwota, jaką obraca się na giełdzie nowojorskiej (New York Stock Exchange). Jak wyjaśnia "Financial Times", na rynku tym często multimiliardowe operacje zajmują zaledwie kilka sekund.

Ale o wiele mniej uwagi, albo zgoła wcale, poświęca się jeszcze bardziej kłopotliwemu zagadnieniu. Ponieważ tutaj po raz kolejny dostrzegamy zmiany na szczeblu głębokiego fundamentu czasu, stanowiące jeszcze jeden przejaw desynchronizacji.

Teoretycznie rzecz biorąc, wartość waluty danego kraju odzwierciedla w znacznym stopniu siłę jego gospodarki. Jednakże desynchronizacja pomiędzy działającym z wielką szybkością rynkiem walutowym a powolnym tempem, z jakim działa "realna" gospodarka, stała się tak wyraźna, że

biegunowość - przynajmniej w niektórych krajach - odwróciła się. Dlatego, jak zauważyliśmy uprzednio, to nie złe gospodarki zniszczyły azjatyckie rynki finansowe w latach 1997 - 1998, lecz złe rynki walutowe rozdzierające jedną gospodarkę po drugiej.

Działające w czasie niemal rzeczywistym rynki walutowe pogrążyły nie tylko prawdziwe gospodarki, ale także instytucje regulacyjne rynku finansowego. Wynikiem tego braku synchronii jest system uważany przez wielu za zagrożenie nie tylko dla poszczególnych państw, ale i dla całej gospodarki światowej. Superpowolne władze państwowe - kierujące się odmiennymi, sprzecznymi zasadami - nie mogą regulować superszybkich sieci globalnych.

Gospodarki i ekonomiści wciąż nie radzą sobie z gigantycznymi kwotami "pieniędzy", które istnieją jedynie jako tymczasowe jedynki i zera nieustannie wędrujące w systemach komputerowych, niemal bez udziału człowieka. Wyniki tych operacji są cokolwiek abstrakcyjne i z pozoru bezosobowe. A jednak raz na jakiś czas dostrzec można niezwykle ostry obraz oddający istotę rewolucyjnej zmiany: odejście od starej infrastruktury pieniężnej i przejście do nowej, dopiero się kształtującej.

Światowej sławy fotografik Robert Weingarten niedawno postanowił wykonać cykl zdjęć przedstawiających światowe giełdy papierów wartościowych. Zakładając, że giełdowe parkiety pręcej czy później ustąpią miejsca rynkom elektronicznym, Weingarten chciał uwiecznić ich zmierzch w cyklu zatytułowanym "Dzwon na zamknięcie." Zdjęcia miały uchwycić podnieconych maklerów, wrzeszczących i starających się dobić targu przy wtórze nieustannie dzwoniących telefonów i zmieniających się cen, migoczących na tablicach świetlnych nad głowami handlującego tłumu. Następnie sfotografowałby parkiet giełdowy po zamknięciu sesji: opustoszały i ponury.

Ponieważ fotografik ów pochodzi z Kalifornii, pierwszym jego przystankiem była Pacific Stock Exchange w San Francisco. Kiedy przybył, by zbadać miejsce, stwierdził, że niegdysiejszy parkiet jest właśnie przebudowywany. Giełda przekształciła już obrót papierami wartościowymi w elektroniczny system aukcyjny "Archipelago", dwudziestokrotnie zwiększając tym samym swe obroty. Specjaliści i maklerzy dawno już odeszli.

Parkiety właśnie udał się w drogę, by stać się podłogą sali gimnastycznej, a "Archipelago" właśnie łączył się z New York Stock Exchange.

DZIKA WALUTA

Na pierwszy rzut oka dzisiejsza rewolucja pieniężna, choć w sporej części dopiero się dokona, wygląda chaotycznie. Jednak jeśli przyjrzymy się bliżej, odkryjemy pewien ukryty motyw: ten sam, który dostrzec można w odmasowieniu i dywersyfikacji, a który już zdołał się ujawnić w produkcji, rynkach, mediach, strukturze rodziny - istotnie w całej kształtującej się nowej cywilizacji. Zmiany te - oraz te, które dopiero nadejdą - są tak dogłębne, że podważają samą definicję pieniądza.

Banki centralne mają swe własne odpowiedzi na pytanie "Czym są pieniądze?" Definicja Banku Rezerw Federalnych właściwie wiąże w jedną całość prawdziwą walutę z pieniędzmi na naszych kontach bieżących i czekach podróźniczych i łącznie nazywa ją pieniędzmi "M1." Jeśli do "M1"

dodamy kwoty z naszych kont oszczędnościowych i funduszy inwestycyjnych rynku pieniężnego, będzie się to nazywało "M2." Jeśli do tego koszyka dorzucimy inne, w większości zrozumiałe tylko dla specjalistów elementy - wszystkie razem staną się "M3."

Dla zwyczajnych ludzi pogrążonych w codziennej krzątaninie rozróżnienia te nie istnieją. Podstawową jednostką pieniężną w Stanach Zjednoczonych jest "wszechmocny" dolar. Rzadko kto z tych, którzy codziennie się nim posługują, wie, że zanim industrializacja kraju nabrała rumieńców, wspierany przez rząd dolar był jedynie jedną z ośmiu tysięcy różnych dzikich walut w Stanach Zjednoczonych, emitowanych przez stany, banki, pojedyncze spółki, kupców i górników,

Standaryzacja pieniędzy narzucona przez rząd USA w 1863 roku odbyła się równolegle ze standaryzacją produktów, cen i gustów konsumenckich, co z kolei wydarzyło się jako część procesu industrializacji. Takie same wydarzenia zaszły i w innych krajach.

Japoński jen zyskał status oficjalnej waluty państwowej dopiero w 1871 roku, wraz z erą Meiji, która skierowała kraj na ścieżkę nowoczesności i uprzemysłowienia. Podobnie niemiecka marka stała się oficjalną jednostką płatniczą w 1873 roku, kiedy Niemcy ze wszech sił starały się prześcignąć Wielką Brytanię i stać się czołową potęgą przemysłową.

Chiny przez długi czas tkwiły w chaosie monetarnym: lokalni wodzowie, państwa, bazy rewolucyjne, zagraniczne enklawy i inni emitowali tam swe własne waluty. Obecnie obowiązującą, jednolitą walutę - juana, zwanego też renminbi - wprowadzono w grudniu 1948 roku, kiedy władzę przejęli komuniści. Europa, jak wiadomo, dopiero niedawno dopracowała się własnego standardu w postaci euro.

Jak na ironię, ta spóźniona standaryzacja - jak wiele innych rzeczy w Unii Europejskiej - nadchodzi dokładnie wtedy, gdy intelektualny system bogactwa zaczyna ukierunkowywać zaawansowane gospodarki we wręcz przeciwnym kierunku. W istocie bowiem homogenicznym walutom już wkrótce zagrożą oszałamiająco liczne, najróżniejsze rozwiązania alternatywne.

PARA-PIENIĄDZE

W 1958 roku - zaledwie w dwa lata od chwili, gdy liczba pracowników umysłowych i osób zatrudnionych w sektorze usług przewyższyła liczbę pracowników fizycznych w Stanach Zjednoczonych - światło dzienne ujrzał prototyp pierwszej ogólnokrajowej karty kredytowej. Był to początek skoku Trzeciej Fali, który rozpoczął oddalać nas od konwencjonalnego pieniądza w kierunku czegoś, co dziś wydaje się niektórym dżunglą dzikich pieniędzy - gąszczem substytutów posiadających niektóre lub wszystkie cechy oficjalnej waluty, ale jednak nią nie będących.

Pieniądze są ekwiwalentne (wymienialne), co oznacza, że można ich użyć do tego, w zasadzie, by kupić niemal wszystko. Można je też transferować od kogokolwiek i do kogokolwiek. Te niemal uniwersalne zastosowania sprawiły, że pieniądze stały się bardzo poręcznym środkiem wymiany.

Dzieje się jednak coś dziwnego. Dzisiaj, kiedy w Stanach Zjednoczonych w użyciu znajduje się ponad 840 milionów kart kredytowych, Amerykanie wydają rocznie bilion dolarów płacąc plastykiem,

a zatem więcej niż gotówką. I wygląda na to, że codziennie wynajdujemy dodatkowe substytuty pieniądza.

Często bilety lotnicze określane są mianem “gratis”, ponieważ zapłaciliśmy za nie “milami” zarobionymi w programie lojalnościowym dla osób często korzystających z usług linii lotniczych. Pierwotnie mile te można było wykorzystać jedynie na bezpłatne przeloty. Były kompletnie niewymienialne i nie można było ich przekazać nikomu innemu. Miały naturę zgoła odmienną od pieniędzy.

Dopiero po długim czasie linie lotnicze zezwoliły nam na to, by mile mogły być wykorzystywane przez członków rodziny lub przyjaciół - wedle naszego uznania. Można je też dziś przeznaczać nie tylko na zakup biletów lotniczych, ale także posługiwać się nimi przy zapłacie za pokoje hotelowe czy wynajem samochodów, a następnie na zakup całkiem szerokiej gamy produktów - opłat członkowskich w siłowniach, biletów hokejowych, grillów, telewizorów plazmowych, sprzętów i węży ogrodowych. Na naszych oczach nabyły zatem większych zdolności transferowych oraz wymienialności. Mile zaczęły przypominać pieniądze.

Stały się prawdziwymi pieniędzmi, kiedy zaczęto je sprzedawać najróżniejszym pośrednikom “milowym”, którzy działają w szarej strefie punktów i mil - mimo sprzeciwu linii lotniczych.

Naprawdę, wzięwszy pod uwagę finansową wątpliwość co niektórych linii lotniczych emitujących owe mile, można mieć uzasadnione wątpliwości, czy wszystkie te mile będzie można wykorzystać. Ale często te niematerialne punkty za częste latanie mogą wnet być warte więcej niż waluty emitowane przez całkiem zbankrutowane rządy, które wciąż jeszcze są właścicielami linii lotniczych.

Oczywiście różne programy lojalnościowe, o większej lub mniejszej wymienialności, stosowane bywają nie tylko przez linie lotnicze. Proponują je czy to hotele InterContinental i Hilton, czy Neiman Marcus i Tesco w Europie, podobnie jak apteki CVS, restauracje Chart Mouse, a nawet motocykle Kawasaki.

W wirującym, zmieniającym się, rozkręconym rynku one także wykonują niektóre funkcje starych, dobrych pieniędzy, ale stanowi to jedynie część szerszej zmiany: nadejścia “elastycznej wymienialności” pieniędzy, które można programować. Twój trzynastoletni syn nie będzie tym zachwycony...

KARTA ANTYPRZEJEDZENIOWA

Strumień najnowszych technologii umożliwi tworzenie niezliczonych dalszych odmian tych parapieniędzy. A zatem karty, być może, wkrótce pozwolą nam zdecydować, ile potrzeba nam wymienialności. The Arab Malaysian Bank w Kuala Lumpur z myślą o swych klientach-muzułmanach wyemitował kartę, której zablokowano możliwość honorowania płatności w salonach masażu i klubach nocnych.

Nie minie zbyt wiele czasu i okaże się, że zaangażowane ruchy polityczne, na przykład, będą wydawały miliony “kart bojkotu”, które będą w pełni wymienialne - z tym tylko zastrzeżeniem, że nie będzie nimi można płacić za buty Nike, benzynę Shell, odzież Gap czy produkty innych firm z czarnej

listy. Żony i mężowie będą mogli zaprogramować obostrzenia na kartach rozrzutnych współmałżonków. Rodzice będą mogli zaprogramować dzieciom "szlaban" na słodczyce, alkohol, tytoń czy fast food.

Osoby cierpiące na nadwagę i pragnące unikać fast foodów, ale którym trudno jednak utrzymać się w odpowiedniej dyscyplinie, mogą skorzystać z pomocy karty, którą będą w stanie zaprogramować samodzielnie w taki sposób, by zablokować jakiegokolwiek płatności w Pizza Hut czy Taco Bell - albo w ogóle we wszystkich barach oferujących fast food. Wystarczy uczynić postanowienie, przestać nosić przy sobie więcej niż jednego dolara w gotówce i pozwolić, by to inteligentna karta wzmocniła naszą wolę.

Jeszcze nowsze technologie sprawiają, iż karty same w sobie stają się przeżytkiem. W Korei Południowej odpowiednikiem elektronicznych portfeli są telefony komórkowe zawierające wbudowany chip, udostępniony przez bank uczestniczący w programie. Za jego pomocą można upoważnić kasjerkę w sklepie do wypłaty gotówki z konta. Telefony są już używane w eleganckich sklepach odzieżowych, restauracjach, a także automatach z drobnymi produktami na stacjach kolejowych i w innych miejscach.

W Europie największe banki, takie jak UBS, Barclays, BNP Paribas i Deutsche Bank przyłączyły się do Visy i wspólnie badają potencjał podobnych technologii. Niezwykle entuzjastyczna Liisa Kannianen, wiceprezes skandynawskiego banku Nordea, mówi: "Nie sądzę, że wycofamy gotówkę za rok, ale kiedyś - i owszem." Pani prezes nie dodała, że technologie te stanowią nie tylko śmiertelne zagrożenie dla gotówki, ale także i dla kart płatniczych.

Trzy nowe, spójne siły dadzą nam jeszcze większą różnorodność opcji płatniczych.

Po pierwsze - nowe technologie pozwalają na ustalenie tożsamości użytkownika. W użyciu pojawia się coraz więcej skutecznych metod identyfikacji. Na przykład w Japonii największy emitent kart kredytowych, JCB, wprowadził system, który rozpoznaje osoby na podstawie analizy niepowtarzalnego wzoru naczynek krwionośnych w palcu. Dzięki przyśpieszeniu badań z uwagi na walkę z terroryzmem, banki oraz emitenci kart rozpatrują także i inne metody biometryczne, jak na przykład skanowanie siatkówki oka oraz rozpoznawanie głosu i twarzy.

Po drugie - nowe technologie bezprzewodowe, których jest zbyt wiele i zbyt szybko się zmieniają, żeby tu szczegółowo je omawiać.

Po trzecie - przejawiające się w wielu dziedzinach gigantyczne postępy miniaturyzacji.

Korzystając z innowacji w tych trzech dziedzinach, wiele firm, jak np. Sony, Philips, Sun Microsystems czy IBM, pracuje nad zaskakującymi materiałami zastępczymi wobec tradycyjnego "plastiku." Jak mówi John Gage: "Karty kredytowe są po prostu fizyczną odmianą dowodu tożsamości, a zatem każdy sposób pozwalający zidentyfikować osobę może być również sposobem na płacenie za rzeczy."

Jeśli połączymy te technologie z zasadą Gage'a, nietrudno nam będzie wyobrazić sobie, że kiedyś wszczeptać nam będą, powiedzmy, w mały palec, tyciuteńkiego chipa, który umożliwi nam kupowanie czegokolwiek i gdziekolwiek, kiedy tylko go aktywujemy.

Małeńki chip bezprzewodowo zapewni sprzedawcę w sklepie, że istotnie jesteśmy tym, za kogo się podajemy, poda nasz numer konta bankowego i jednocześnie upoważni bank do przelania odpowiedniej kwoty. Nowego znaczenia nabierze zatem powiedzenie, że się coś “ma w małym placu.”

Ta szybka dywersyfikacja zarówno metod płatności, jak stopnia wymienialności odzwierciedla generalne odejście zaawansowanej gospodarki od zuniformizowanego społeczeństwa masowego rodem z epoki industrialnej.

Największe firmy światowe badają dziś możliwości użycia jeszcze bardziej przełomowych opcji, włącznie z całkiem nowymi walutami. Sony, na przykład, rozważała utworzenie własnej waluty, z przeznaczeniem do użytku wewnątrz firmy. Dzięki temu chiński oddział firmy Sony mógłby prowadzić transakcje biznesowe z bliźniaczym oddziałem w Japonii czy gdziekolwiek na świecie bez konieczności wymieniać zagranicznych zysków na jeny. Głównym celem takiej operacji byłoby zmniejszenie ryzyka kursowego. Kolejną możliwością byłoby utworzenie wspólnej waluty z innymi firmami, takimi jak Honda czy Canon.

Dolar amerykański nie zawsze musi koniecznie być enklawą niskiego ryzyka dla inwestorów. I być może wydaje się to nieprawdopodobne, ale może nadejść taki dzień, kiedy o wiele bardziej będziemy cieszyć się z posiadania elektronicznej kieszeni wypełnionej “gatesesami” Microsoftu czy “moritasami” Sony niż euro czy dolarami. Czy też walutą, której podstawą jest 500 największych firm z rankingu “Fortune” czy, kiedyś w przyszłości, 500 największych firm z rankingu “Sinhua.”{{ Rządowa agencja informacyjna w Chinach, dysponująca siecią 2 tys. oddziałów w Chinach, posiadająca w praktyce monopol informacyjny w ChRL. Publikuje serwisy informacyjne w kilkunastu chińskich dialektach i tyłuż językach obcych- przyp. tłum.}}

STRUMIEN PNIENIEDZY

Spośród innych funkcji, parapieniądze są pomyślane tak, aby przyspieszyć lub spowolnić płatność. Tak więc karty kredytowe ułatwiają opóźnioną płatność (w zamian, rzecz jasna, za wysokie odsetki). Karty płatnicze nie tyle opóźniają płatności, co je przyspieszają, natychmiast ściągając kwotę odpowiadającą cenie zakupów z konta posiadacza takiej karty.

Kształtujący się nowy system bogactwa wytyczy też nowe kierunki diametralnych zmian w zakresie tego, jak, a przede wszystkim kiedy będziemy otrzymywać zapłatę za pracę.

Dawniej, w erze przemysłowej, pracownicy zazwyczaj otrzymywali zapłatę okresowo, na koniec tygodnia czy miesiąca. I większość z nas nadal w taki sposób jest opłacana. Oznacza to, że pracodawcy przez tydzień albo przez miesiąc dysponują pieniędzmi faktycznie stanowiącymi już własność pracownika. Ta różnica jest odpowiednikiem nieoprocentowanej pożyczki udzielanej firmie przez pracowników.

Całkiem odwrotnie rzecz ma się z usługami komunalnymi: klienci płacą na ogół rachunek dopiero po otrzymaniu prądu czy gazu przez cały miesiąc. W tym przypadku opóźnienie działa na korzyść klienta.

W szeroko rozumianej gospodarce niektóre przedsiębiorstwa, a nawet branże - na przykład wydawcy czasopism rozchodzących się w prenumeracie - żyją właśnie z tego opóźnienia. Ale

opóźnienie to, uważane przez niektórych ekonomistów za niewydajne dla całej gospodarki, być może odchodzi już w przeszłość.

Skoro firmy i klienci są już powszechnie podłączeni do Internetu (za pomocą kabla lub bezkablowo) i płacą rachunki elektronicznie, możemy spodziewać się, że przedsiębiorstwa komunalne będą chciały przejść na rozliczenia strumieniem płatniczym - czyli na mocy umowy zezwalającej ich komputerom zasysać płatności z rachunków bankowych klientów stopniowo, w miarę zużywania energii. Otrzymaliby, dzięki temu, pieniądze wcześniej, byłiby w stanie wcześniej je zainwestować i - przynajmniej teoretycznie - ograniczyć ceny swych usług.

Możemy też spodziewać się, że pewne grupy pracowników będą domagały się wypłat elektronicznie minuta po minucie za wykonywaną na bieżąco pracę, zamiast oczekiwania na dzień wypłaty.

Strumieniowe wypłaty i także regulowanie płatności to naturalna paralela przejścia zaawansowanych gospodarek nasyconych wiedzą od produkcji ładunków, czyli produkcji okresowej, do działania płynnego, nieustannego, przez 24 godziny na dobę i 7 dni w tygodniu. I im bardziej błyskawiczny będzie dopływ zapłaty oraz strumień płatności, tym bardziej podobne będą owe operacje do bezpośrednich transakcji gotówkowych.

Te coraz szybciej dokonujące się innowacje stały się podstawą wielu prognoz rychłego "zgonu pieniędzy". Kiedyś mogły się wydawać zabawnymi przepowiedniami. Ale czy dziś również?

MACHNIOM: WÓDKA ZA PEPSI

W czasie ogólnoświatowego Wielkiego Kryzysu w latach trzydziestych XX wieku w satyrycznej komedii francuskiej zatytułowanej *Le Million* ukazano dwóch rolników siedzących przed bistro, raczących się kieliszkiem bordo. Kiedy kelner przynosi im rachunek, czyli *l'addition*, jeden z rolników sięga do worka i wręcza mu kurczaka. Kelner powraca z resztą, kładąc na stole dwa jajka. Rolnik bierze jajka, ale jedno z nich odkłada z powrotem, jako napiwek, czyli *pourboire*.

Absurdalność tej sytuacji oddaje realia życia milionów ludzi w gospodarkach, w których pieniądze tracą wartość, co nie tak dawno temu miało wszak miejsce w Azji Południowo-Wschodniej, Rosji czy Argentynie.

Jednakże jutro może się okazać, że nie będziemy musieli czekać na kryzys, by zacząć prowadzić transakcje bezpieniężne. Wymiana barterowa, przez długi czas uważana za niepraktyczną na rozwiniętych rynkach, zaczyna dziś wracać do łask.

Słowo barter przeciętnej osobie przywołuje na myśl obrazy prymitywnego społeczeństwa lub też osobistej wymiany na niewielką skalę. Widzimy zatem prawnika, który sporządza testament dla przyjaciela - w zamian za lekcję tenisa. Wiele transakcji tego typu przeprowadzanych jest codziennie i są tak naturalne, że uchodzą za przyjacielskie przysługi. Pod względem ekonomicznym jednak są w istocie rzeczy drobną formą barteru.

Ale barter to także wielki biznes.

Godne zaufania statystyki globalne nie przydadzą się, ze względu na różnice w definicjach, jednak - jak pisze magazyn "Forbes" - "szacuje się, że ponad 60 proc. wszystkich firm z listy 500 »Forbes'a« stosuje barter. Nawet giganci, jak na przykład General Electric, Marriott czy Carnival Cruise Lines znane są z tego, że wymieniają barterowo towary lub usługi." Zdaniem "Fortune" dwie trzecie największych firm światowych regularnie stosuje barter i utworzyło nawet specjalne działy zajmujące się tymi transakcjami.

W roku 2002, w Argentynie, gdy gospodarka załamała się, a sprzedaż samochodów spadła na łeb na szyję, Toyota i Ford zgodziły się przyjmować zapłatę za samochody w postaci ziarna. Kiedy zadłużenie Ukrainy wobec Rosji za dostawy gazu ziemnego sięgnęło sufitu, Rosja przyjęła w rozliczeniu częściowym osiem bombowców TC1-160 w nomenklaturze NATO zwanych Blackjackami. Rosja zamieniła trzy miliardy dolarów w postaci wódki Stolicznaja na syrop do produkcji pepsi-coli. Inne rządy wymieniały się barterowo na wszystko - od wełny z alpaki po cynk.

Na poziomie globalnym, jak twierdzi Bernard Lietaer, były szef planowania banku centralnego w Belgii, jeden z architektów euro, międzynarodowy barter korporacyjny, zwany też niekiedy kontrahandlem, jest w "powszechnym użyciu pomiędzy co najmniej 200 państwami na całym świecie i osiąga wartość między 800 miliardów a 1,2 biliona dolarów rocznie." Wzrost barteru dokonuje się coraz szybciej.

Jednym z powodów tej sytuacji jest to, że być może stoimy dziś u progu kilkudziesięcioletniego okresu burzliwych warunków gospodarczych. Jak powiada Lietaer, obecnie główne waluty "zdradzają zmienność (wolatylność) czterokrotnie wyższą niż w 1971 roku."

Wysoka zmienność (wolatylność) wskazuje na to, że coraz więcej krajów stanie wobec okresowych braków wymiany zagranicznej. Barter daje rządowi i biznesowi sposób na prowadzenie handlu w czasach, kiedy nikt nie chce akceptować waluty własnego kraju. Jest to też sposób na ograniczenie ryzyka, kiedy kursy walut wykazują nadmierne wahania. Godząc się na wymianę dóbr czy usług zamiast pieniędzy, eliminujemy, w zasadzie całkowicie, ryzyko walutowe.

Aż do teraz głównym zastrzeżeniem wobec barteru była trudność dopasowania tego, co ktoś pragnie sprzedać, do tego, co ktoś inny ma do zaoferowania w zamian - co ekonomiści nazywają niezbędnym "zbiegiem potrzeb".

Jednakże powstanie Internetu diametralnie ograniczyło te przeszkody, sprawiając, że niemal natychmiastowo można dziś znaleźć potencjalnych partnerów handlowych na całym świecie i rozszerzyć zarazem różnorodność towarów nadających się do stosowania barteru.

W ten sposób nie tylko jest łatwiej - wzięwszy pod uwagę wspaniałe, współczesne sieci finansowe - znaleźć partnera dla handlu dwustronnego, ale dzięki dostępności danych i za pomocą ogólnoswiatowych rozwiązań telekomunikacyjnych możliwe jest też jednoczesne dopasowanie ofert i potrzeb bardzo licznych uczestników. Wskazuje to na bardziej skomplikowane, ale znacznie większe transakcje barterowe, które będą przeprowadzane w przyszłości.

O ile większe? Czy tak wielkie, że za naszego życia doprowadzą do likwidacji pieniędzy?

“Nie ma powodu, dla którego konsumenci i producenci nie mogliby handlować bezpośrednio produktami i usługami w drodze bezpośredniej wymiany. Byłaby to, w zasadzie, potężna gospodarka barterowa.” Wniosek ten wysnuł Mervyn King, były wiceprezes Bank of England.

Jeśli weźmiemy pod uwagę: (1) powstanie para-pieniędzy; (2) wzrost barteru; (3) zwiększenie niematerialności; (4) rozpowszechnienie się jeszcze bardziej skomplikowanych światowych sieci finansowych; (5) całkiem nowe technologie, które się wkrótce pojawią; i jeśli skonfrontujemy te zjawiska z (6) gospodarką światową oferującą niezwykle dźwignie finansowe; zdestabilizowaną nieregulowaną, w zasadzie, spekulacją; oraz (7) nadchodzącymi dziesięcioleciami “sejsmicznych” zmian w światowej geopolityce - może się okazać, że konwencjonalne pieniądze epoki industrialnej wcale nie znikną. Być może staną się co najwyżej rarytasem poszukiwanym przez kolekcjonerów.

ZAPŁATA PROSUMENCKA?

Te wielkie siły zlewają się dziś w jedno, jednocześnie jednak znaleźć można wiele porzucanych tu i ówdzie, małych eksperymentów z alternatywnymi walutami, głównie na poziomie gminy, często połączonych z elementami barteru.

Program, który zapoczątkowano w mieście Ithaca w stanie Nowy Jork, a który następnie skopiowały dziesiątki innych gmin, zezwala konsumentom i kupcom posługiwać się raczej własnymi asygnatami niż prawdziwą walutą przy nabywaniu najróżniejszych produktów i usług - począwszy od czynszu za mieszkanie i rachunków za leczenie, a skończywszy na biletach do teatru.

Inny system, stworzony przez Edgara Cahna i opisany w szczegółach w jego książce *Time Dollars*, pozwala ludziom zaciągać swego rodzaju kredyt serwisowy za usługi. System ten umożliwia np. opiekę nad starszym sąsiadem w czasie zakupów wymienić np. na usługę opieki nad dzieckiem (babysitting) od innego uczestnika sieci.

Na swój sposób wszystkie te przedsięwzięcia obejmowały uznanie oraz nadawanie quasi-pięniężnej wartości wielu przejawom wkładu prosumentów. Biorąc pod uwagę szerokie, nowe możliwości, jakie daje wymiana elektroniczna, niewykluczone, że będzie można objąć nimi także właśnie eksperymenty gminne oraz rozwijać na wielką skalę alternatywne waluty z myślą o niektórych rodzajach działalności prosumentów opisanej w poprzednich rozdziałach.

Na przeciwległym krańcu spectrum, o ponadnarodową walutę woła inicjatywa “Terra Project”. Waluta taka miałaby nie być oparta na złocie czy skaczących dziko kursach wymiany, ale na koszyku walorów i usług, które stanowią część handlu międzynarodowego.

Jednakże tak naprawdę musimy sobie odpowiedzieć na o wiele bardziej doniosłe pytanie, nie tylko o los pieniędzy, ale - o czym się już mieliśmy okazję przekonać - o przyszłość własności, kapitału i rynków, a także interakcji między nimi.

A tu będziemy musieli przeanalizować odejście od pracy etatowej do “pracy portfelowej” oraz samozatrudnienia; od prosumowania rzemieślniczego do prosumpcji technologicznej; od produkcji opartej na spodziewanym zysku do dobrowolnego wkładu w oprogramowanie, medycynę i inne dziedziny; oraz od wartości stanowiącej część maszyny i surowców do wartości opartej na ideach,

wizerunkach, symbolach i modelach wewnątrz miliardów mózgów. Uwzględniają one całkowicie inne sposoby posługiwania się czasem, przestrzenią i wiedzą - żeby wymienić te właśnie najgłębsze fundamenty bogactwa.

Jaki wpływ na kapitalizm mogą wywrzeć coraz silniejsze związki między nie opłacaną produkcją prosumencką w gospodarce niepieniężnej i produkcją w gospodarce pieniężnej? Co się stanie z kapitalizmem, kiedy doświadczać będziemy obfitości najważniejszego "surowca" - skoro będzie on w zasadzie nieograniczony i nierywalizacyjny? Co stanie się z kapitalizmem, kiedy własność w coraz większej części stanie się nie tylko niematerialna, ale wątpliwie niematerialna?

Z wszystkich tych powodów, Trzecia Fala ruguje uprzemysłowienie i rozciąga się daleko poza kraj pochodzenia (czyli Stany Zjednoczone), a kapitalizm staje w obliczu kryzysu predefinicyjnego. Czy to, co pozostanie, kiedy już dobiegnie końca ta rewolucyjna redefinicja, wciąż będzie kapitalizmem?

Część IX

Ubóstwo

Rozdział 41

Stara bieda?

Bogactwo rewolucyjne przynosi nową przyszłość biedzie.

Nikt nie zagwarantuje nam, że jakkolwiek przyszłość w ogóle nadejdzie, prawda? Jednak pojawienie się gospodarki Trzeciej Fali opartej na wiedzy niesie z sobą najlepszą, jak dotąd, szansę złagodzenia światowego ubóstwa raz na zawsze.

Byłoby utopią sądzić, że potrafimy całkowicie wyeliminować materialne ubóstwo na całym świecie. Ubóstwo ma zbyt wiele źródeł - od błędnej polityki gospodarczej i złych instytucji politycznych po zmiany klimatu, epidemie i wojny. Ale bynajmniej nie jest utopią przyznanie, że mamy dziś - lub też dzielą nas od nich milimetry - wyjątkowo potężne, nowe narzędzia do walki z ubóstwem.

Wydawać by się mogło, że bieda jest wrogiem wszystkich. Każdy, dosłownie, rząd na świecie twierdzi, że próbuje walczyć z nędzą. Tysiące organizacji pozarządowych zbierają pieniądze, by nakarmić głodne dzieci, zadbać o czystość wody na wsi i zorganizować tam opiekę medyczną.

Żarliwe rezolucje co rusz ogłaszane są przez Organizację Narodów Zjednoczonych, Bank Światowy, Międzynarodowy Fundusz Walutowy, Organizację ds. Wyżywienia i Rolnictwa (Food and Agricultural Organization) i inne organizacje międzynarodowe, których obowiązkiem, przynajmniej częściowo, jest walka z ubóstwem. A określenia, jakimi darzy się globalne ubóstwo, rozpoczynają się od zwykłego "chwytającego za serce" po "tragiczne," "wstydlive," "haniebne," "skandaliczne," "odrażające," "szokujące," "nie do opisania" i "niewybaczalne."

Problemowi temu poświęcono tysiące spotkań i konferencji. Tabuny niezwykle zaangażowanych ekspertów zapuszczają się w najodleglejsze zakątki globu, by zapewnić wsparcie techniczne potrzebującym; wokół walki z biedą wyrosła gigantyczna, multimiliardowa "branża udzielania pomocy."

W latach 1950 - 2000 od możliwych tego świata do kieszeni maluczkich przepłynął ponad 1 bilion dolarów w formie "pomocy" lub "wsparcia rozwoju." Część tych pieniędzy istotnie uratowała życie ludzkie i poprawiła jego warunki, np. w ramach programu walki z czarną ospą w latach sześćdziesiątych, szczepień dzieci w latach osiemdziesiątych oraz kampanii skierowanych przeciwko ślepcie rzecznej (onchocerciasis), jaglicy (wirusowemu zapaleniu spojówek), trądowi czy chorobie Heinego-Medina. Mimo to według Banku Światowego blisko 2,8 miliarda ludzi - prawie co drugi mieszkaniec naszej planety - wciąż dysponuje na przeżycie zaledwie równowartością dwóch dolarów dziennie lub nawet kwotą jeszcze niższą. Spośród nich około 1,1 miliarda żyje w skrajnej nędzy za nie więcej niż jednego dolara dziennie.

Zaskakują nas jednak dwie rzeczy. Po pierwsze - bezskuteczność intensywnych prób likwidacji biedy podejmowanych wielokrotnie w ciągu minionych pięćdziesięciu lat. A po drugie i przede

wszystkim - niewiarygodny sukces, jaki ma miejsce na podstawie danych, jeśli tylko spojrzymy na nie odwrotnie - w lustrzanym odbiciu.

W żadnym razie nie chcemy tu pomniejszać rozmiarów tragedii, jaką jest nędza w XXI wieku. Ale ktoś, kto podróżowałby w czasie, przybywając do nas z XVII wieku, byłby zaskoczony nie tym, w jakiej nędzy żyje ludzki ród, ale tym, jak niewiarygodnie jesteśmy bogaci.

Przybywszy ze świata, który ledwo co zapewniał przetrwanie 500 milionom ludzi nękanym kolejnymi plagami zarazy czy głodu, byłby zachwycony, gdyby się dowiedział, że na Ziemi żyje dziś 6 miliardów ludzi, przy czym aż 3,3 miliarda z nich - powyżej dwudolarowej granicy nędzy.

GRANICE MOŻLIWOŚCI

Przed rewolucją przemysłową koszmarna bieda nie była skupiona w Afryce, Azji czy Ameryce Łacińskiej. Według historyka Fernanda Braudela, w regionie Beauvaisis, we Francji, w XVII wieku rokrocznie umierała ponad jedna trzecia dzieci. Jedynie 60 proc. dożywało do 15 roku życia.

Braudel opisuje Europę nawiedzaną przez zarazy i nawracające fale głodu. Aby przetrwać, stłoczeni w miastach nędzarze żebrali i kradli. Dzieci i żony regularnie były porzucane, z których wiele kończyło w przytułkach wraz ze starcami i ludźmi zniedołężniałymi.

Historyk gospodarczy, noblista, Robert Fogel wskazuje, że "wartość energetyczna typowej diety we Francji na początku XVIII wieku była tak niska, jak w Rwandzie w 1965 roku, a więc w najbardziej wówczas niedożywionym kraju świata."

Francja nie była pod tym względem wyjątkowa. Przez dziesięć tysięcy lat jedynie bardzo nieliczna grupka ludności dysponowała czymś więcej niż tylko środkami pozwalającymi na przetrwanie. A najbogatsi ludzie na świecie byli jedynie dwukrotnie bogatsi od tych najbiedniejszych.

Jeśli, mniej więcej, tak samo było wówczas na całym świecie, przy całym zróżnicowaniu ludzi, kultur, religii i metod uprawy roli - jasno z tego wynika, że rolnictwo chłopskie w którymś momencie osiągnęło górną granicę swoich możliwości produkcyjnych.

NĘDZA STRATEGII

Mnóstwo ludzi wydobyło się z absolutnie skrajnej nędzy dopiero wówczas, gdy przemysłowy system bogactwa zaczął zastępować rolnictwo i kiedy gwałtownie wzrosła liczba ludności świata.

Dla ekonomistów i polityków płynęła z tego nauka, że jedynym sensownym pomysłem na tak zwany "rozwój" czy "modernizację" jest strategia wydobywania siły roboczej danego kraju i jego gospodarki z obszaru niskiej wydajności oraz rolnictwa o niskiej wartości dodanej - i marsz w stronę bardziej wydajnego wytwarzania przemysłowego i usług go wspierających - o wyższej wartości dodanej.

Od początku lat pięćdziesiątych ta strategia Drugiej Fali propagowana była w niezliczonych formach przez ekspertów ze Stanów Zjednoczonych, Europy, byłego ZSRR, Organizacji Narodów Zjednoczonych oraz agend rozwoju organizacji pozarządowych. I rzeczywiście nie było wówczas realnej alternatywy dla tego modelu.

Po dekadzie lat sześćdziesiątych niektórzy krytycy zaczęli atakować tę strategię i zaproponowali, aby koncentrować się nie tyle na fabrykach i towarzyszącej im urbanizacji, ale na "odpowiednich" oraz "alternatywnych" technologiach na nieco mniejszą skalę, które obliczone byłyby na dłużej i bazowały na lokalnych zasobach.

Od tego czasu ruch ten się rozwinął, dając impuls do rozwoju mikrofinansowania i tworzenia małych firm w najbiedniejszych krajach świata. Objął też naukę, dzięki czemu stał się nieco bardziej wysublimowany.

Z tegoż ruchu zrodziło się wiele wizjonerskich innowacji. Jednak głównym jego celem jest powstrzymanie lub spowolnienie dalszej industrializacji i ochrona warstwy chłopskiej. Co więcej, wychodząc z założenia, że "małe jest piękne", wielu gorących zwolenników tego ruchu wciąż żywi cokolwiek romantyczne przekonania co do chłopskiej egzystencji i sielskiego życia na wsi. Z drugiej strony demonizują oni niemal wszystkie maszyny (z wyjątkiem tych najprostszych) i nie dostrzegają różnicy między technologiami przemysłowymi i "inteligentnymi."

Twierdząc, że obie służą wyłącznie bogatym, krytycy ci ignorują korzyści, jakie technologia daje milionom nędzarzy na całym świecie. Co gorsza, nie rozumieją, że technologie Trzeciej Fali, pośrednio, już teraz zdołały podźwignąć z nędzy wielką liczbę ludzi biednych i że po raz pierwszy od trzech wieków dają nam znaczne szanse na zwalczenie biedy, którą cierpią ci najbiedniejsi.

TYPOWO JAPOŃSKI ŚMIEĆ

W przeszłości rozwój gospodarczy i ograniczanie rozmiarów nędzy zależały głównie od wewnętrznych czynników danego kraju - dostępności kapitału, lokalnych zasobów i środowiska, a także skłonności społeczeństwa do oszczędzania, zwyczajów w zakresie użytkowania samochodów i energii, kultury pracy itp.

Od połowy lat pięćdziesiątych czynniki te zaczęły tracić znaczenie. Wraz z nasilaniem się integracji gospodarki światowej, wraz ze zwiększaniem swobody wymiany handlowej, przepływu przez granicę ludzi, kapitału, a przede wszystkim wiedzy - większego znaczenia nabrały czynniki zewnętrzne.

Dotyczy to także pośrednich, drugorzędnych skutków, jakżeż często nie dostrzeganych czy ignorowanych. Niemożliwe jest zrozumienie istoty nędzy, jeśli nie weźmie się pod uwagę także tych szerszych implikacji.

Dobrym przykładem może być reakcja łańcuchowa, która przyczyniła się do rozwoju Azji - rozwoju, w wyniku którego pół miliarda Azjatów w ciągu zaledwie dwudziestu lat podźwignęło się z dwudolarowej (dziennie) sfery ubóstwa.

Wszystko zaczęło się w Stanach Zjednoczonych w połowie lat pięćdziesiątych, kiedy to państwo zaczęło rozwijać system bogactwa intelektualnego (opartego na wiedzy). Tymczasem po drugiej stronie Pacyfiku zrujnowana w czasie II wojny światowej gospodarka przemysłowa Japonii wciąż znajdowała się w dość opłakanym stanie, armia japońska była nieobecna, a polityka - w najlepszym razie - niestabilna.

W tym decydującym momencie Stany Zjednoczone, skonfrontowane z coraz silniejszym, wyposażonym w broń jądrową Związkiem Sowieckim, uzgodniły z Japonią trzyczęściowe porozumienie. Japonia miała się związać ze Stanami Zjednoczonymi sojuszem militarnym skierowanym przeciwko zagrożeniu ze strony komunistycznego ZSRR. W zamian za to Stany Zjednoczone miały - politycznie - poprzeć milcząco Partię Liberalno-Demokratyczną, a pod względem gospodarczym - otworzyć szeroko swój rynek wewnętrzny na japoński eksport.

Sęk w tym, że Japonia miała bardzo mało takich towarów, które Amerykanie chcieliby kupić. Na całym świecie japońskie towary uchodziły za wzbudzającą śmiech tandetę. W pewnej brytyjskiej sztuce teatralnej jeszcze w latach siedemdziesiątych aktor Robert Morley wywoływał salwy śmiechu na widowni, kiedy wspominał o "typowo japońskim śmieciu." Ale japoński eksport już wówczas bynajmniej "śmieciem" nie był.

Japonia rozwiązała swój problem wykorzystując dwie głównie amerykańskie innowacje. Pierwsza z nich obejmowała statystyczne metody kontroli jakości rozpowszechnione w Japonii przez Josepha M. Jurana oraz W. Edwarda Deminga latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Doskonałość linii montażowych stała się narodowym sportem. (Za osiągnięcia na tym polu cesarz przyznał obu panom Order Świętego Skarbu).

A amerykańskiemu przemysłowi potrzeba było jeszcze dobrych dziesięciu czy nawet dwudziestu lat, by "jakość" stała się równie ważnym hasłem. Nawet dzisiaj japońskie toyoty, hondy i nissany z reguły prześcigają samochody z Detroit i Europy w badaniach jakości J. D. Power {{ J. D. Power and Associates to międzynarodowa firma marketingowa specjalizująca się w opracowywaniu ratingów dóbr konsumpcyjnych - od samochodów po restauracje. Założona w 1968 r. Szczególnie znana jest z opracowań na temat satysfakcji konsumentów (Initial Quality Study; IQS) oraz niezawodności i trwałości nowych samochodów (Vehicle Dependability Study; VDS) - przyp. tłum.}}.

Innym amerykańskim wkładem w rozwój japońskiej potęgi gospodarczej był robot przemysłowy, na temat którego można opowiedzieć całkiem podobną historię. Inżynier Joseph F. Engelberger oraz przedsiębiorca George C. Devon spotkali się pewnego wieczoru 1956 roku przy drinku, rozmawiając o należącej do klasyki science fiction książce Isaaca Asimova *Ja, Robot*.

Wspólnie założyli firmę, nazwali ją Unimation (od "universal automation", czyli "powszechnej automatyzacji"), a pięć lat później wyprodukowali pierwszego na świecie robota przemysłowego. General Motors zainstalował go w swoich zakładach pod Trenton w stanie New Jersey, jednakże inne firmy amerykańskie zareagowały o wiele mniej entuzjastycznie na tę nową technologię sterowania komputerowego.

"Z amerykańskimi przemysłowcami szło mi bardzo ciężko" - wspominał potem Engelberger. Tymczasem "Japończycy zaskoczyli od razu. To dlatego robotyka jako branża ma dziś wartość 7 miliardów dolarów i jest zdominowana przez Japonię."

W roku 1965, według Japońskiego Stowarzyszenia Producentów Samochodów, "nowe technologie (...) stały się priorytetem najwyższej wagi." A konkretniej, do 1970 roku technologia cyfrowa, w dużej mierze importowana ze Stanów Zjednoczonych, doprowadziła "w bardzo krótkim czasie do komputeryzacji całego procesu produkcyjnego", podczas gdy roboty "stopniowo wyeliminowały potrzebę wykonywania jakichkolwiek ciężkich prac przez człowieka."

Do końca lat siedemdziesiątych, wedle Johna A. Kukowskiego i Williama B. Boltona, autorów raportu Japońskiego Ośrodka Ewaluacji, "to właśnie Japonia była światowym liderem w zakresie przemysłowych robotów montażowych. W roku 1992 na Japonię przypadało 69 proc. wszystkich zainstalowanych na świecie robotów, w porównaniu z 15 proc. - w Europie i 12 proc. - Stanach Zjednoczonych."

Japonia uzbrojona w te i inne zaawansowane narzędzia intelektualne, nasycone wiedzą, po zaledwie dziesięciu z górą latach zaczęła zadziwiać świat nie tylko produktami wysokiej jakości, ale także produktami, jakich nikt wcześniej nie widział.

Wkrótce takie nazwy, jak Sony, Fujitsu, Hitachi, Toshiba czy Mitsubishi zaczęły pojawiać się na billboardach reklamowych na całym świecie. W 1957 roku Toyota sprzedała w Stanach Zjednoczonych dokładnie 288 samochodów. W roku 1975 prześcignęła Europejczyków i zajęła pierwsze miejsce jako dostawca importowanych aut do USA. W roku 2002 Amerykanie kupili 1,7 miliona japońskich aut, z których sporo wyprodukowano w japońskich zakładach zlokalizowanych w USA.

Połączenie amerykańskiej myśli technologicznej i zapotrzebowania na produkty z Japonii z japońską żyłką technologiczną i niedocenianą innowacyjnością wstrzyknęło dawkę adrenaliny do japońskiej gospodarki.

Japońskie fabryki dostarczały na rynek takie produkty konsumpcyjne, jak odtwarzacze video, telewizory, aparaty fotograficzne i zestawy stereofoniczne, a jednocześnie Japonia intensywnie rozwijała produkcję układów półprzewodnikowych i komponentów komputerowych z przeznaczeniem na rynek amerykański, jeszcze bardziej przybliżając się do produkcji intelektualnej.

Do 1979 roku Japonia stała się głównym konkurentem IBM w sferze produkcji komputerów, a książka *Japan as No. 1* spotkała się ze znacznym zainteresowaniem po obu stronach Pacyfiku. W książce tej sugerowano, że źródłem sukcesu japońskiej korporacji w dużej mierze był jej głód wiedzy oraz nacisk na szkolenia - ściąganie do Japonii zagranicznych konsultantów i wysyłanie niezliczonych delegacji wizytujących światowe ośrodki, w których rozwijano najbardziej zaawansowane dziedziny wiedzy.

Pierwszą tajemnicą japońskiego sukcesu była "nauka, nauka, nauka." Drugą - twórcze zastosowanie komercyjne nowo pozyskanej wiedzy. Trzecią - szybkość.

W rezultacie, do lat osiemdziesiątych japońska technologia produkcji układów scalonych rozwijała się tak szybko, że Waszyngton wprowadził limity importowe na japońskie półprzewodniki.

Samochody, elektronika użytkowa, komputery, układy scalone, kserokopiarki - w żadnej mierze nie wydają się przedmiotami, które mogłyby mieć jakikolwiek związek z życiem chłopca na roli. Ani z działaniami skierowanymi przeciwko nędzy.

Ale mają.

NIE TAKIE ZNOWU NIC

Japoński cud przemysłowy ściągnął do Japonii tak gigantyczne ilości pieniędzy i wystrzelił kurs jena tak wysoko, że firmy japońskie zaczęły inwestować poważne środki w fabryki na Tajwanie, w Korei Południowej i, z czasem, w Malezji, Indonezji i na Filipinach - nadając impet procesowi rozwoju krajów NIC (*Newly Industrialized Countries*), jak je wówczas określano, czyli państw świeżo uprzemysłowionych.

W rezultacie Japonia zaczęła przerzucać produkcję niezbyt wartościową i niezbyt zaawansowaną technologicznie do sąsiednich krajów, w których siła robocza była o wiele tańsza. Wewnętrznie zaś coraz większe znaczenie miały działania wymagające wiedzy.

Japonia nie była wprawdzie jedynym źródłem, z którego płynęły bezpośrednie inwestycje do Azji, niemniej do lat osiemdziesiątych według studium Biblioteki Kongresu Amerykańskiego (*Library of Congress Country Studies*), przegoniła Stany Zjednoczone "jako największe źródło inwestycji i pomocy gospodarczej w azjatyckiej strefie Pacyfiku." Łącznie w latach 1980-2000 Japonia wpompuwała ponad 123 miliardy dolarów w swych azjatyckich sąsiadów.

Trudno jest dokładnie ocenić, jak wiele nowych miejsc pracy w produkcji i związanych z nią usługach w krajach azjatyckich powstało właśnie za sprawą napływu inwestycji japońskich, amerykańskich czy europejskich. Lub też za sprawą Korei Południowej i Tajwanu, które same zaczęły inwestować w swych uboższych sąsiadów - uruchamiając reakcję łańcuchową rozwoju obejmującego obszar od Stanów Zjednoczonych po Japonię i inne kraje.

Za sprawą tych inwestycji miliardami dolarów zostało zasilone również i rolnictwo regionu, w którym wciąż istnieją przejawy najbardziej dotkliwego ubóstwa na świecie.

W każdym z tych krajów-beneficjentów dostrzegamy ten sam proces: przeniesienie się siły roboczej z rolnictwa do przemysłu. W Korei Południowej jeszcze w 1970 roku 51 proc. siły roboczej wciąż znajdowało zatrudnienie w rolnictwie. Już w roku 2000 wartość ta zmniejszyła się do 9 procent, podczas gdy zatrudnienie w produkcji wzrosło do 22 procent.

Na Tajwanie w tym samym okresie zmiana przebiegła tak, że z 37 proc. ludności znajdującej zatrudnienie w rolnictwie nadal zajmowało się nim w 2000 roku zaledwie 7 proc. ludności czynnej zawodowo, a jednocześnie zwiększyło się zatrudnienie w przemyśle - do 35 proc. W Malezji odsetek ludności pracującej w rolnictwie zmniejszył się z ponad 50 proc. do 16 proc, podczas gdy produkcja zwiększyła zatrudnienie do 27 proc; podobne, choć nie tak znaczne zmiany zaszły w Tajlandii, Indonezji i na Filipinach.

W każdym przypadku transfer objął nie tylko pieniądze. Wraz z nimi nastąpił, jak nazywa to zjawisko ekonomista William Easterly, związany niegdyś z Bankiem Światowym, "wyciek" - dyfuzja wiedzy i to nie tylko o technologiach, ale także o finansach, rynkach i marketingu, o zasadach importu i eksportu oraz biznesu w ogóle.

Ostatecznym rezultatem tych wielkich przesunięć aktywności z epoki industrialnej oraz know-how było wyzwolenie mas najbardziej ubogiej ludności świata z okowów nędzy w jej najbardziej jaskrawej postaci. Oczywiście możliwość zamieszkania w wielkomiejskich slumsach niekoniecznie musi

uchodzić za postęp w opinii ludzi, którzy sami nie martwią się tym, co włożyć do garnka, ale dla większości milionowych rzesz Azjatów, zmuszonych do porzucenia ziemi przez suszę, głód i choroby, powrót na wieś byłby czymś jeszcze gorszym. I oni o tym wiedzą.

Proces, w czasie którego kraje przeżywające transformację ku gospodarkom intelektualnym przekazały część swych funkcji wytwórczych biednym, głównie rolniczym krajom od Azji po Amerykę Łacińską - wydaje się bardzo czytelny i konsekwentny.

W krajach przyjmujących te funkcje wzrosła przeciętna długość życia obywateli, spadła śmiertelność niemowląt oraz spadło tempo wzrostu demograficznego, które jest wszak jednym z ważniejszych czynników w mechanizmie ubóstwa. Między rokiem 1960 a 1999 produkcja żywności na 1 mieszkańca świata wzrosła o blisko 25 proc, a liczba osób, które dziennie spożywały mniej niż 2100 kalorii - a to jest granica wyznaczająca stan niedożywienia - spadła o 75 proc.

Nieprzypadkowo mniej więcej w tym samym czasie mieszkańcy Azji Wschodniej, zaczynając wprawdzie z bardzo niskiego pułapu, osiągnęli 400 proc. wzrostu średnich dochodów realnych.

Zdobycze tych i innych ubogich krajów, nie tylko w Azji, ale także w Ameryce Łacińskiej i w innych rejonach świata, nie są wynikiem odruchów dobrego serca bogatego świata. Te zastrzyki kapitału z zewnątrz, którym towarzyszyła stosowna, choć nie najświeższa już może wiedza, miałyby ograniczone oddziaływanie, gdyby nie intelekt, energia, ciężka praca, pomysły, przedsiębiorczość i walka przywódców oraz zwyczajnych mieszkańców tychże biednych krajów.

Ogólnie rzecz biorąc, mamy tu do czynienia ze wspaniałą gospodarką kaskadową, która z nieprzewidzianych powodów, mimowolnie, zdała egzamin, i to nie tylko w Azji.

Wypada tu jednak postawić ważne pytanie: w jakim stopniu dokonałby się w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat ów postęp w walce z ubóstwem, gdyby nigdy nie wynaleziono komputera i gdyby nie zrodził się najnowszy system rewolucyjnego bogactwa?

Opowieść ta nie kończy się wraz z postawieniem tego pytania. Ponieważ nic z tego, co do tej pory poznaliśmy, nie stanowi pełnego wyjaśnienia turborozwoju Azji. Nie wyjaśnia nam też, co się wydarzy, kiedy na arenę dziejów wmaszerują Chiny i Indie.

AZJA NIE CHCE CZEKAĆ

Wiele słów napisano o Dickensowskich okropieństwach początków społeczeństwa industrialnego. W sporej części można by powiedzieć to samo o życiu współczesnych nam nędzarzy; także o tych, którzy wyemigrowali do przeludnionych aglomeracji świata. Lewica często atakowała kapitalizm przemysłowy na gruncie ekonomicznym i apelowała, aby planowanie państwowe i postęp społeczny eliminował okropne "góry i doły", jakie mu towarzyszą. Niektórzy biadolą z powodu koszmarnego oddziaływania owego kapitalizmu na środowisko naturalne, często na gruncie estetycznym. Z kolei prawica z powodów kulturalnych i religijnych kreowała cokolwiek romantyczny obraz przeszłości, atakując zarazem industrialną nowoczesność. Często, na przykład w opinii luddystów, technologia postrzegana bywa jako dzieło szatana.

Dzisiaj wiele tychże samych argumentów kierowanych bywa do pionierów intelektualnego systemu bogactwa - oraz cywilizacji, jaka mu towarzyszy. Często przy tym używa się tych samych słów, jak gdyby nic nie zmieniło się przez ostatnie półwiecze. A przecież żyjemy w innej cywilizacji: cywilizacji rynku przejściowego i, w istocie, najszybszych i najgłębszych ogólnoswiatowych transformacji w dziejach ubóstwa.

Do tej pory obserwowaliśmy zmiany liniowe. Pierwsza Fala, Druga Fala - odpowiadające idealnie tradycyjnemu twierdzeniu, że jedyna droga wyjścia z biedy ma charakter sekwencyjny. Obecnie zmiany dokonują się jednak znacznie szybciej. Aby się do nich dostosować, czołowe przedsiębiorstwa w miejsce kolejnych kroków w procesie podejmowania decyzji i produkcji wprowadzają nowe systemy oparte na symultaniczności. Nie kończy się jednego etapu przed rozpoczęciem kolejnego. Różne części wykonuje się jednocześnie i szybciej się je integruje.

Właśnie to robią dziś Chiny i Indie. Wcale nie chcą już kończyć uprzemysłowienia Drugiej Fali, zanim rozpoczną rozwój w ramach Trzeciej Fali.

Wynikiem tego podejścia jest strategia równoległego, wielopasmowego rozwoju. I być może będą w stanie pominąć nawet pewne etapy tego procesu.

A zatem w krajach tych, których populacja chłopska stanowi rdzeń ubogiej ludności świata, obserwujemy ni mniej, ni więcej tylko największy w dziejach ludzkości eksperyment ograniczania ubóstwa.

Rozdział 42

Dwupasmowa droga do przyszłości

W październiku 1983 roku, zaledwie w cztery lata po tym, jak Deng Xiaoping zaczął uwalniać Chiny z żelaznego uścisku antykapitalizmu, w Pekinie zorganizowano konferencję czołowych polityków pod auspicjami reformistycznie nastawionego Zhao Ziyanga, który domagał się, aby Chiny rozpatrzyły koncepcję Trzeciej Fali, w wersji przedstawionej w naszej książce tak właśnie zatytułowanej.

Niektórzy, wciąż obawiając się odchylenia od teorii marksistowskiej, mieli rzekomo - za plecami Zhao - dotrzeć do ówczesnego sekretarza generalnego Partii Komunistycznej, Hu Yaobanga, pytając go o opinię na temat propozycji sformułowanych w czasie tejże konferencji. Hu, który sam był - jak na ówczesne warunki w Chinach - liberałem, odparł, że "zbyt wielu ludzi w partii boi się nowych idei."

Od tego czasu chińscy przywódcy - i dziesiątki milionów ich zwolenników - silnie wspierali myśl, wedle której Chiny nie powinny koncentrować się wyłącznie na industrializacji. Jednocześnie bowiem powinny, tak szybko jak tylko to możliwe, budować gospodarkę nasyconą wiedzą, przeskakując tradycyjne stadia industrializacji tam, gdzie to będzie możliwe.

To dlatego Chiny wysyłają astronautę w przestrzeń kosmiczną, to dlatego stają się "biotechnologicznym supermocarstwem" i z tego samego powodu, w ciągu kilku lat, osiągają poziom ponad 377 milionów użytkowników telefonów komórkowych i ponad 111 milionów internautów.

To dlatego Chiny podjęły próbę ustanowienia własnych standardów technicznych odtwarzaczy DVD, chipów i komputerów, bynajmniej nie dla ochrony własnej produkcji, ale po to, by wyrzucić wpływ na przyszły światowy postęp technologiczny. Przecież tak właśnie w XIX wieku uczynili Brytyjczycy i Amerykanie - w wieku XX.

Również z tej przyczyny Centrum Genomu w Pekinie zadziwiło świat, rozpracowując kod genetyczny ryżu w rekordowo krótkim czasie. To dlatego - podczas gdy Biały Dom pod rządami Busha spowalnia badania medyczne, znacznie ograniczając państwowe finansowanie badań nad embrionalnymi komórkami macierzystymi - Chiny energicznie posuwają się do przodu na tym polu.

To dlatego, według felietonisty "New York Timesa" Thomasa Friedmana, chińskie miasto Dalian staje się raczej ośrodkiem intelektualnym, a nie bazą produkcyjną. "Nieprawda - twierdzi Friedman - że tu się produkuje wyłącznie trampki. Takie firmy, jak General Electric, Microsoft, Dell, SAP, Hewlett Packard, Sony i Accenture stąd właśnie obsługują firmy azjatyckie i tu posiadają swoje informatyczne ośrodki badawczo-rozwojowe."

To dlatego Chiny kształcą rocznie 465 tysięcy inżynierów i naukowców i w bardzo przemyślany sposób starają się ściągać do kraju tysiące chińskich studentów pracujących w Stanach Zjednoczonych.

Z tego samego powodu setki międzynarodowych korporacji właśnie w Chinach otwiera swoje laboratoria badawcze; szacuje się, że rocznie przybywa w Chinach około dwustu takich laboratoriów. Jak mówi Harry Shum, szef ośrodka badawczego Microsoftu w Pekinie, "nigdzie na świecie nie ma większego skupiska potencjału intelektualnego."

I z tego samego powodu Chiny w 2003 roku prześcignęły Japonię i Europę w eksporcie urządzeń cyfrowych, a następnie, w 2004 roku, także Stany Zjednoczone - jak wynika z danych OECD.

Dwupasmowa strategia Chin - a więc sprzedawanie taniej siły roboczej w przemyśle i jednoczesny udział w wyścigu intelektualnym oraz budowa sektora intelektualnego - realizowana jest na tle znacznie osłabionego centralnego planowania, przeniesienia władzy do regionów i samorządów, ekspansji działań rynkowych i wielkiego nacisku, a jakże, na eksport.

Zmianom tym towarzyszy powszechne bezrobocie, gorycz i nieustannie grożące wybuchem niepokoje społeczne. Chińscy przywódcy mają słuszość traktując stabilizację jako swój naczelny priorytet.

Jak przekonamy się bardziej szczegółowo, muszą obawiać się także AIDS, SARS i wybuchów innych chorób w przyszłości; protestów, i to nie tylko na możliwym do opanowania lokalnym szczeblu, ale także tych ogólnokrajowych; paniki finansowej; kryzysów ekologicznych; niekontrolowanych kosztów energii i ewentualności niedoborów energii, a także konfliktów międzypokoleniowych, nie wspominając już o nasileniu destabilizacji stosunków z Tajwanem. Albo jeszcze gorzej: dwóch lub większej liczby kryzysów rozgrywających się jednocześnie! Naiwnością byłoby sądzić, że rewolucyjne zmiany przebiegają wedle trendów prostoliniowych.

Liderzy w Państwie Środka znają też dobrze swoją misję historyczną: położyć kres nędzy, która była cechą Chin od pięciu tysięcy lat. A według "The Economist", Chiny od 1979 roku zdołały wydobyć ze skrajnego ubóstwa 270 milionów ludzi, czyli więcej, niż mieszkańców liczy Ameryka Południowa.

Nie wiadomo, czy "szklanka jest w połowie pełna". Być może - w połowie pusta, ale przedtem Chińczycy nie mieli w ogóle nawet szklanki. Ani przyszłości.

Dwupasmowa strategia wdrażana jest nie tylko w Chinach. Olbrzymie obszary nędzy znaleźć można także w Indiach.

PRZEBUDZENIE INDII

Niewysoki mężczyzna o przyjaznym obliczu otoczonym bujną, siwą czupryną przykrywającą mu uszy pokonał kilka stopni, by wejść na estradę, wpiął sobie mikrofon w klapę szarej marynarki a la Nehru i zaczął mówić tak cicho i miękko, że mimo głośników trzeba było nieźle wyęczać słuch, kiedy komentował kolejne slajdy swojej prezentacji. Byliśmy w New Delhi w 2003 roku, kiedy występował na konferencji zatytułowanej "Indie - olbrzym czy karzeł?"

I choć nazwisko owego mówcy jest słabo znane poza Indiami, A.P. J. Abdul Kalam, syn ubogiego budowniczego łodzi, jest muzułmaninem w kraju zasadniczo hinduistycznym i byłym naczelnym

inżynierem indyjskiego programu satelitarnego, raketowego i jądrowego. Jest też prezydentem Indii.

Kalam nie zarządza krajem. Tym zajmują się politycy. On jest powszechnie podziwianym symbolem sukcesu w pokonywaniu biedy i budowania harmonii międzywyznaniowej. Jest też współautorem opracowania *India 2020 - A Vision for the New Millenium*.

Priorytetowym przedsięwzięciem Kalama, które wymienił w czasie naszej późniejszej rozmowy w pałacu prezydenckim, było zwiększenie komunikacji. Nie pomiędzy technologiami, ale wioskami, maleńkimi, zapomnianymi miasteczkami, znacznie oddalonymi od siebie nawzajem. Kalam opracował program spowalniania urbanizacji poprzez grupowanie miasteczek - łączenie ich fizycznie, elektronicznie, ekonomicznie - oraz pod względem dostępu do wiedzy.

Wbrew przekonaniom, że zaawansowane technologie nie mają żadnego wpływu na położenie biednych, to właśnie gospodarka intelektualna i technologie związane z nią doprowadziły do przebudzenia Indii z półwiecza postkolonialnego letargu, pomagając wydobyć z nędzy ponad 100 milionów Hindusów, dzięki czemu Indie znalazły się, według szacunków, dziesięć - piętnaście lat za Chinami.

To zapóźnienie można jednak nadrobić, jak twierdzą niektórzy, za sprawą trzech zalet, stanowiących przewagę Indii nad Chinami. Po pierwsze, powszechna znajomość języka angielskiego znacznie ułatwia kontakty i komunikację ze światem anglofońskim. Po drugie, Indie są mniej zależne od eksportu niż Chiny, a zatem mniej podatne na różne ryzyka, m.in. kursowe. I po trzecie, Indie są mniej autorytarnie rządzone, a Hindusi stanowią społeczeństwo stosunkowo otwarte, a zatem są bardziej skorzy do promowania innowacji.

CENTRUM HANDLOWE BANGALORE

Światowe media skupiają dziś swą uwagę na zaskakujących zmianach wywołanych outsourcowaniem pracy do Indii ze Stanów Zjednoczonych i innych państw. W rzeczy samej, opowieści o miejscach pracy dla informatyków, które przenoszone były szybko do Bangalore, Hyderabad, Pune, Gurgaon czy Jaipur trafiły na pierwsze strony gazet na całym świecie. Jeszcze w 2004 roku Indie zarabiały 12,5 miliarda USD rocznie utrzymując firmy obsługi telefonicznej tzw. call center, piszące oprogramowanie, wykonujące prace biurowe, prowadzące księgowość, a nawet analizy finansowe dla firm amerykańskich i innych.

Twierdzenie, że outsourcing odbiera pracę Amerykanom, jest mylne, ponieważ pomija efekty zgoła odwrotne. "Los Angeles Times" pisał: "Bangalore (...) pełne jest dowodów na to, że outsourcing jest korzystny bezpośrednio dla Stanów Zjednoczonych. Dobrze opłacani pracownicy ze swymi płacami przenoszą się do firm amerykańskich czy europejskich." Postępują tak w miejscach, jak np. Bangalore - nowe centrum handlowe, w którym można nabyć produkty takich firm, jak Levi's, Polo, Lacoste czy Jockey.

Boom outsourcingowy - czyli insourcingowy, z punktu widzenia Indii - raczej nie będzie dokonywał się w dotychczasowym tempie, ale przyczyni się do powstania segmentu nuworyszki:

ludzi młodych, przedstawicielei klasy średniej, skupionych na "tu i teraz," i o wiele sprytniejszych niż seniorzy.

Wybory w 2004 roku w Indiach doprowadziły do odtworzenia Partii Kongresowej, której na poły socjalistyczne korzenie wymusiły raczej konwencjonalne traktowanie rozwoju - czyli patrzenie nań przez pryzmat liczby fabryk i kominów, a nie - jako transformacji do systemu bogactwa intelektualnego. Prawdę zaczynają jednak rozumieć nawet tradycyjnie niezdecydowani, jak np. komuniści, na scenie politycznej plasujący się, przynajmniej teoretycznie, na lewo od Partii Kongresowej.

Całkiem niedawno pewien reporter łajał komunistycznego ministra rządu Zachodniego Bengalu, gdzie mieści się m.in. Kalkuta, wskazując, że "pańska partia wspierała protesty przeciwko wprowadzeniu do użytku komputerów."

Odpowiedź ministra: "To było w latach siedemdziesiątych. Nie było to zbyt mądre, oj, nie było! Zaczęło się, kiedy chcieli wprowadzić komputery do banków i [towarzystw ubezpieczeniowych]. Ich pracownicy protestowali i myśmy im udzielili poparcia (...). Dziś to zrozumieli. (...) Wkroczyliśmy do stulecia, w którym podstawą gospodarki będzie talent." Obecnie nawet Kalkuta, niegdysiejszy ogólnoswiatowy symbol miejskiej nędzy, postarała się: udało jej się ściągnąć inwestycje IBM.

Kolejne artykuły ukazywały utalentowanych pracowników działu informatyki jako zazdrosnych, nieodpowiedzialnych społecznie, japiszonowatych przedstawicielei klasy średniej. Mniej uwagi poświęcono temu, że dzięki komputerom 6,7 miliona chłopów w stanie Karnataka może obecnie za równowartość trzydziestu centów otrzymać wydrukowany odpis księgi gruntowej, zabezpieczając się w ten sposób przed przejęciem ich ojcowizny przez skorumpowanych kacyków znanych z zagarniania działek.

Na szerszą skalę, w 2005 roku konsorcjum korporacji hinduskich i amerykańskich, a także Banku Światowego ogłosiło plan instalacji kiosków internetowych w pięciu tysiącach miasteczek w Karnataka, za pomocą których mieszkańcy zyskaliby dostęp do bankowości, edukacji i służb administracyjnych.

Informatyka i telekomunikacja to nie jedyne zaawansowane technologie, które mogą przyczynić się do realnej wojny z nędzą. Po części dzięki prezydentowi Kalamie "Indie posiadają jeden z najbardziej udanych (w krajach rozwijających się) programów kosmicznych, zezwalający na projektowanie, rozwój, produkcję, uruchamianie swej własnej komunikacji oraz zdalne wykrywanie satelitów." Tak przynajmniej utrzymuje publicysta naukowy Dinesh C. Sharma na łamach "Futures". I dodaje: "Planuje się także wysłanie naukowego sprzętu, który za pomocą własnej rakiety okrążyłby Księżyc."

Powtórzmy: może się wydawać, że nie ma to żadnego związku z biednymi, pod warunkiem jednak, jak uważa Sharma, że naszym polom nie zagrozi nagła powódź i że nie trzeba nas będzie ratować od utonięcia, co jest możliwe tylko za pomocą satelitarnych systemów ostrzegania przed kataklizmami oraz technologii zdalnego ich wykrywania. Lub też, pod warunkiem, że nie znajdziemy się wśród stutysięcznej rzeszy pacjentów Regionalnego Ośrodka Nowotworowego w

Thiruvananthapuram, którzy muszą pokonywać wyjątkowo duże odległości, często wielokrotnie, co rodzi niebagatelne koszty - tylko po to, by kontynuować leczenie czy skorzystać z opieki pooperacyjnej.

Tymczasem za sprawą nowych technologii ośrodek ów otworzył niedawno sześć oddziałów zamiejscowych: wszystkie są tele-klinikami, połączonymi internetowo z Ośrodkiem głównym: liczba niezbędnych wizyt w ramach kontroli pooperacyjnej spadła o ponad 30 proc.

Indian Space Research Organisation (Indyjska Organizacja Badań Kosmicznych) także utworzyła satelitarne powiązania pomiędzy wielkimi, wielofunkcyjnymi szpitalami a ośmioma zamiejscowymi ośrodkami zdrowotnymi, które mogą wymieniać się kartotekami pacjentów, zdjęciami i danymi, a także wynikami badań pochodzącymi z urządzeń i aparatów medycznych; korzystają także z wizji na żywo i łączności głosowej. Oznacza to, że lekarze w ośrodkach głównych mogą wspierać radą lekarzy w odległych miasteczkach.

W zakresie biotechnologii, według Ernst & Young, Indie mogłyby wygenerować pięć miliardów dolarów i nawet milion nowych miejsc pracy ciągu najbliższych pięciu lat. Indyjski Urząd Regulacji Ubezpieczeń (Insurance Regulatory and Development Authority) wyraził zgodę na to, by towarzystwa ubezpieczeniowe inwestowały w biotechnikę, a rząd wprowadził szereg udogodnień dla zagranicznych podmiotów pragnących inwestować w przedsięwzięcia typu venture capital. To właśnie w tym sektorze, o czym się za chwilę przekonamy, można znaleźć niektóre z bardzo ważnych narzędzi walki z ubóstwem. I to nie tylko w Indiach.

Postęp Indii w sporej części ma wciąż charakter eksperymentalny i po prostu ograniczony. Jest chaotyczny i nie jest jeszcze systematycznie zintegrowany.

Ale w związku z tym, że w Indiach pojawia się w coraz więcej elementów systemu intelektualnego i elementy te zaczynają ze sobą wchodzić w interakcje i nawzajem się wzmacniają, ich pozytywny wpływ zwiększy się kombinatoryjnie, o ile nie wręcz wykładniczo, jak już to miało miejsce w przeszłości, kiedy spotykały się różne składniki systemu bogactwa przemysłowego - społeczny, instytucjonalny, polityczny i kulturalny.

Indie stoją wobec wielu takich samych wyzwań społecznych, politycznych i kulturalnych co Chiny - korupcji, AIDS, poważnych zagrożeń ekologicznych, potrzeby odnowy instytucjonalnej i konfliktu międzypokoleniowego - żeby wymienić tylko kilka z nich. Zewnętrznie Chiny mają problem z Tajwanem, a Indie - z niestabilnym, za to dysponującym technologią jądrową Pakistanem oraz krwawymi, niekończącymi się walkami z islamskimi separatystami w Kaszmirze. Oprócz tego Indie, w przeciwieństwie do Chin, borykają się z konfliktem kastowym i okresowymi morderczymi walkami między fanatykami hinduistycznymi i muzułmańskimi.

Mimo tego wszystkiego Indie wiedzą, że nie mogą zwlekać z kolejnym atakiem na ubóstwo - i że za pomocą samych tylko "kominów fabrycznych" nie uda się w tej walce odnieść zwycięstwa. Nie można jej też zwyciężyć tak długo, jak długo większość ludności będzie skazana na mało wydajny chłopski żywot, bez względu na to, ile wprowadzi się "odpowiedniej technologii" na małą skalę. Dzisiaj nie wystarczy już ani strategia Drugiej Fali, ani strategia Pierwszej Fali.

NAJWSPANIALSZE POKOLENIE?

Oczywiście tak jest nie tylko w Chinach i Indiach, ale ogólnie w całej Azji i reszcie świata. Jest to rzeczywistość, na której kształt olbrzymi wpływ wywarło pokolenie wspaniałych azjatyckich przywódców na długo przed liderami państw w innych częściach świata.

Lee Kwan Yew, założyciel niezależnego Singapuru, przeobraził senny niegdyś, kolonialny port w światowego lidera w dziedzinie zaawansowanej technologii i usług. W roku 2002 Singapur okazał się największym inwestorem azjatyckim w dziedzinie biotechnologii.

Były kontrowersyjny premier Malezji, Mahatir Mohammad, wyznaczył cele technologiczne dla Malezji aż do roku 2020 i przyciągnął inwestycje Microsoftu, Intela, japońskiej firmy NTT, British Telecom i innych. Kiedy Malezja uzyskała niepodległość w 1957 roku, jej głównymi towarami eksportowymi były guma i blacha. Dzisiaj kraj ten należy do czołówki eksporterów półprzewodników i elektroniki.

Prezydent Korei Południowej Kim Dae-jung, który przed obiosem na urząd zasiadał w Narodowym Komitecie Nauki i Technologii, zatwierdził budżet na badania w dziedzinie nanotechnologii w wysokości 1,1 mld dolarów. A odkąd tylko znalazł się w Błękitnym Domu, z powodzeniem walczył o uczynienie Korei światowym liderem w zakresie zastosowań informatyki i telekomunikacji szerokopasmowej, którym istotnie Korea jest po dziś dzień.

Nasze rozmowy z tymi i innymi przywódcami azjatyckimi nie pozostawiły wątpliwości, że z ich punktu widzenia słabo płatne miejsca pracy w produkcji przemysłowej, a nawet przeciętne miejsca pracy w teleserwisie - a przecież właśnie takie miejsca pracy zazwyczaj przenosi się z Zachodu do Indii - to zaledwie pierwsze, nieśmiałe kroki ku czemuś daleko bardziej radykalnemu. Tym czymś miał być skok do zaawansowanej intelektualnie gospodarki i takiegoż społeczeństwa.

Rozejrzawszy się po reszcie świata, możemy tylko zapytać, gdzie są tacy Lee Kwan Yew'owie czy Kim Dae-jung'owie Ameryki Łacińskiej czy Afryki. Na szczęście zaczynamy dostrzegać już pierwsze oznaki rozbudzenia w niektórych krajach świata arabskiego - państwach Zatoki Perskiej i w Jordanii, gdzie władzę sprawuje młody, obeznany z komputerami król Abdullah.

Co sprawia, że te różne regiony tak mocno ugrzęzły w ubóstwie? Kac po kolonializmie? Religia? Kultura? Korupcja? Klimat? Brak stabilizacji politycznej? Antagonizmy plemienne? A może wszystko lub część tych czynników naraz? Dlaczego regiony te są tak bardzo zacofane wobec Stanów Zjednoczonych, Europy i szybko rozwijającej się Azji? Odpowiedzi będą jednak różne, w zależności od czasu i miejsca. Jedno jest pewne: to właśnie w Azji - na chińskiej i indyjskiej wsi - znaleźć można najgłębsze pokłady światowej biedy i to w tych właśnie regionach najbardziej spektakularny sukces może odnieść system bogactwa, którego podstawą jest wiedza.

TAK, CZYLI NIE

Naiwnością byłoby sądzić, że Indie czy Chiny pokonają biedę jedynie za pomocą technologii. Tego nie osiągnęłyby żaden kraj. Przez cały czas powtarzamy wszak, że rewolucja bogactwa to coś

zdecydowanie więcej niż tylko komputery i sprzęt, a właściwie więcej nawet, niż ekonomia. Jest to bowiem zarazem także i rewolucja społeczna, instytucjonalna, edukacyjna, kulturalna i polityczna.

Ale jest też prawdą, że żaden kraj nie może wyeliminować odwiecznej biedy wiejskiej bez radykalnego zwiększenia wydajności rolnictwa i że na szerszą skalę nie można tego osiągnąć po prostu produkując lepsze motyki i pługi.

Dobrym rozwiązaniem nie jest też likwidacja dopłat rolniczych, które wypłaca się w Europie i w Stanach Zjednoczonych pozostałej tam jeszcze garstce rolników.

Skutki tych dopłat są o wiele bardziej skomplikowane niż sugerują to ich przeciwnicy. Można wszak sprzeczać się, że podczas gdy poważnie szkodzą rolnikom produkującym wyłącznie na własne potrzeby, mogą także pośrednio pobudzać rozwój przemysłowy. Bez wątplenia jednak średniookresowo oddziałują niszczycielsko na wiele ubogich krajów.

Tak. Europejskie i amerykańskie dopłaty (a w zasadzie: haracz płacony elektoratowi) powinny zostać zmniejszone. Niech nikt jednak nie sądzi, że nawet całkowita i natychmiastowa ich likwidacja rzeczywiście rozwiązałaby problem nędzy na wsi.

Tak. Bogaty świat, choćby tylko z powodów moralnych, powinien znacznie zwiększyć fundusze przeznaczane na pomoc humanitarną i udzielaną w przypadkach klęsk żywiołowych. Ale dożywianie ludzi w czasie katastrofy, wydobywanie ciał spod rumowisk oraz zapewnianie dachu nad głową ofiarom trzęsień ziemi czy tsunami nie pomoże rozwinąć gospodarki biednych krajów świata.

Tak. Należy zająć się problemem głodu. Trzeba zapewnić natychmiastową pomoc doraźną najbardziej wygłodniałym ludziom na świecie. Na pewno liczy się to, że działania te pomogą zachować w dobrym stanie umysły niedożywionych dzieci - umysły, które przydadzą się w przyszłości, w której wiedza będzie coraz ważniejsza. Ale jednorazowe dostawy żywności dla najuboższych nie zdławią biedy na świecie.

To samo odnosi się do AIDS i innych chorób pustoszących glob i pociągających za sobą miliony ofiar rocznie w Afryce i Azji. Trudno patrzeć na tę bezkresną tragedię ludzką bez przerażenia i ogromnego żalu. Musimy robić wszystko, co w naszej mocy, dla ratowania każdego życia ludzkiego. Powstrzymanie rozpowszechniania się tych chorób bez jednoczesnego wprowadzenia zasadniczych zmian - nie przerwie jednak zamkniętego koła degradacji obszarów wiejskich.

Postęp gospodarczy, o czym każdy już teraz powinien wiedzieć, wymaga, aby uchronić kobiety przed poniżeniem i nierównością. Niezbędne jest ograniczenie lub całkowite wyeliminowanie korupcji. Powinniśmy też wkładać tyle energii, ile tylko można w to, co dziś uchodzi za edukację.

Ale wszystko to, nawet wszystko to występujące jednocześnie, ostatecznie nie uwolni miliardów zamieszkujących biedną wieś nędzarzy, wiodących życie naznaczone niekończącą się, niewdzięczną, znojną pracą. Życie spotykające się z raczej oschłymi reakcjami świata.

Niestety: to właśnie ta oschła reakcja jest głównym powodem głębokiej nędzy.

Istnieje pewien pułap, nawet w najlepszych możliwych okolicznościach, powyżej którego niemożliwe jest osiągnięcie przez chłopów Pierwszej Fali więcej plonów jedynie z użyciem narzędzi, jakie obecnie posiadają.

Są też granice produkcji rolnej zmechanizowanego agrobiznesu Drugiej Fali, po przekroczeniu których produkcja ta odbywałaby się z poważnym naruszeniem środowiska naturalnego. (Jeśliśmy chcieli obliczać koszty takiej właśnie produkcji rolnej z uwzględnieniem rekultywacji skażonego środowiska - okazałoby się, że wydajność jest mniejsza, niżby się mogło wydawać.)

Natomiast biorąc pod uwagę rozmaite względy praktyczne, trzeba przyznać, rolnictwo Trzeciej Fali oparte na wiedzy nie ma żadnych ograniczeń. I to właśnie dlatego jesteśmy u progu najgłębszej przemiany w życiu wsi od czasów, gdy nasi przodkowie zaczęli uprawiać ziemię.

Rozdział 43

Chwyćmy biedę za gardło

W każdej strategii odnaleźć można marzenie: obraz tego, jak powinno być. Strategia Trzeciej Fali mówiąca o likwidacji nędzy rozpoczyna się od tego, co niektórym może wydawać się marzeniem, a w oczach innych - i to nawet dość rychło - może stać się rzeczywistością.

W istocie to stare strategie walki z ubóstwem, a nie te nowe, są nierealne. Wielkiego postępu, jakiego dzisiaj potrzeba, nie da się osiągnąć drogą pracy organicznej na poziomie pojedynczej wioski.

Ani Chiny, ani Indie, ani żaden inny kraj, który chciałby pójść ich drogą, nie powinien liczyć na sukces, jeśli przekształci się w megafabrykę zatruwającą powietrze, ziemię i wodę na nigdy niespotykaną dotąd skalę, tłocząc jednocześnie jak śledzie w beczce miliony chłopów w miastach, które już dziś pękają w szwach.

Jedynym sposobem na powstrzymanie chłopów przed ucieczką ze wsi do miejskich faveli, *uillas miserias*, slumsów i dzielnic biedoty - jest zmniejszenie przepaści między tym, co można osiągnąć za sprawą siły mięśni na gołej ziemi, i tym, co oferuje zaawansowana technologia dziś i co nam zaproponuje jutro. Ważne jest zatem, byśmy o wiele jaśniej określali cel naszych działań w tym zakresie.

Cała debata publiczna na temat światowej nędzy zamulona jest brakiem zdecydowania: czy naszym celem jest zminimalizowanie absolutnego ubóstwa, czy też zasypywanie przepaści między bogatymi i biednymi.

Możemy zasypać tę przepaść, doprowadzając do zubożenia ludzi zamożnych, ani odrobinę przy tym nie podnosząc standardów życiowych tych, którzy cierpią biedę. Bywało wręcz przeciwnie: rewolucja przemysłowa gwałtownie poszerzyła tę przepaść, choć przy okazji ograniczyła też rozmiary biedy. Próby poprawy losu wszystkich w równym stopniu każdorazowo kończą się kląpą. Celem naczelnym powinna być poprawa warunków życia ponad poziom ubóstwa absolutnego, bez względu na to czy relatywna przepaść poszerza się, czy też nie.

Dopiero wówczas, gdy zdobędziemy pewność, że każde dziecko jest nakarmione, że każdy człowiek ma dostęp do czystej i bezpiecznej wody pitnej, że średnia długość życia w krajach biednych wynosi przynajmniej 70 lat i kiedy osiągnięte zostaną inne podstawowe cele edukacyjne - możemy uznać, że zmniejszanie tej przepaści istotnie jest naszym priorytetem.

Potrzebna jest bowiem strategia, której celem będzie nie co innego, jak transformacja pogrążonych dziś w ubóstwie obszarów wiejskich w ośrodki zaawansowanych, wysokowydajnych przedsiębiorstw: w regiony, które wcale nie są już zależne od siły mięśni zharowanych, przedwcześnie postarzałych rodziców, ale od siły umysłów ich dzieci.

Realnie rzecz biorąc, strategia ta musi być dalekowzroczna i musi obejmować to, co dopiero się rodzi, choćby nawet było to dziś w formie zarodkowej. Na szczęście pomocą służyć nam mogą

rozwijane obecnie potężne narzędzia. Pierwszym z nich jest - skądinąd zawzięcie zwalczana - żywność modyfikowana genetycznie.

ZAMIAST PRÓB I BŁĘDÓW

Publiczna presja na poprawę stanu bezpieczeństwa i zapobieganie przypadkowemu krzyżowemu skażeniu zbóż jest w pełni uzasadniona i społecznie pożyteczna. Natomiast próby wprowadzenia zakazu produkcji żywności modyfikowanej genetycznie (GM) są, ogólnie rzecz biorąc, nieodpowiedzialne i, potencjalnie, śmiertelnie niebezpieczne. Nawet współzałożyciel Greenpeace, Patrick Moore, przyznał, że kampania przeciwko tej żywności jest oparta na "fantazji i charakteryzuje ją całkowity brak szacunku dla nauki i logiki."

Mimo iście luddystycznej opozycji, świat zmierza w stronę produkcji i konsumpcji ekologicznie bezpiecznej, modyfikowanej genetycznie żywności i innych produktów biotechnologii. W połączeniu z innowacjami przygotowywanymi w kilkunastu innych dziedzinach może się to przyczynić do zdławienia raz na zawsze ubóstwa na świecie.

Wiemy już dzisiaj, że za pomocą modyfikacji genetycznych i innych metod biotechnicznych można zwiększyć wartość odżywczą zbóż. Można zmniejszyć zatem zapotrzebowanie na nawozy, nawadnianie i pestycydy. Można pomóc w ten sposób roślinom, by rosły bez przeszkód na jałowej ziemi lub w chłodnym klimacie. Można radykalnie zwiększyć wydajność z hektara. Można zmniejszyć koszty upraw i zwiększyć wartość produkcji rolnej.

Aż do teraz zboża modyfikowane genetycznie na szerszą skalę uprawiano jedynie w sześciu państwach. Uprawy te ograniczały się w zasadzie do soi, rzepaku, kukurydzy i bawełny, ponieważ rośliny te są popularne na Zachodzie, a ich uprawy są bardzo zyskowe. To się jednak zmienia.

Indyjski Wydział Biotechnologii spodziewa się w niedługim czasie produkcji na wielką skalę transgenicznie ulepszonej kapusty, pomidorów i ziemniaków. Według byłego ministra rolnictwa Indii, Rajnatha Singha, Indie planują objąć badaniami genetycznymi dodatkowo dwanaście głównych roślin uprawnych, popularnych w ubogim świecie, a więc m.in. kukurydzę, maniok i papaję.

Chiny zatwierdziły niedawno import modyfikowanych genetycznie kukurydzy i soi produkcji firmy Monsanto. Niektórzy twierdzą, że z decyzją tą zwlekano nieco, aby dać własnym naukowcom dość czasu na dogonienie nowych technologii. Ale wielu rolników nie ma ochoty czekać.

Według Science and Development Network (Sieci Naukowo-Rozwojowej) "stanowcze kroki podjęte w ostatnich latach i stosowane dla zaostrzenia kontroli importu soi GM (modyfikowanej genetycznie) bynajmniej nie osłabiły tempa wzrostu importu żywności modyfikowanej genetycznie. W roku 2003 chiński import wyniósł ponad 20 milionów ton soi o łącznej wartości 4,8 mld dolarów - co oznacza wzrost o 100 proc. Ponad 70 proc. importowanej przez Chiny soi, to soja modyfikowana genetycznie."

Sytuacja ta stanowi doskonałą ilustrację skali trudności regulacji i kontroli tych nowych narzędzi, szczególnie w regionach, w których władza rządu jest jedynie iluzoryczna. Jednak bynajmniej nie oznacza to, że narzędzia te są niepotrzebne. Uznając ten oczywisty fakt, Chiny - jak pisze magazyn

“Science” - “rozwijają biotechnologiczne zdolności produkcyjne roślin na największą, poza Ameryką Północną, skalę.”

Richard Manning, autor historycznego studium rozwoju i oddziaływania rolnictwa, zatytułowanego *Against the Grain*, przypomina nam, że rolnicy krzyżowali i hodowali hybrydy od stuleci - podejmując próby za każdym razem popełniali błędy lub osiągnęli powodzenie. “Obecnie - pisze Manning - można zastąpić te niejasne czynniki precyzyjną informacją o roli, jaką każdy gen odgrywa w budowie rośliny. Naukowcy mogą błyskawicznie wypróbować pożądane cechy - a więc robić coś, na co dawniej potrzeba było dziesięciu i więcej lat.”

A GDZIE BANANY?

Z pomocą biotechnologii coraz więcej produktów żywnościowych wyposażonych będzie także w funkcje zwalczania chorób - także tych, które są szeroko rozpowszechnione w krajach ubogich.

Wirusowe zapalenie wątroby typu B zabija co roku pół miliona ludzi, przy czym co trzecia ofiara to mieszkaniec Azji. Na świecie żyje około czterysta milionów nosicieli tej choroby. W Stanach Zjednoczonych szczepienia przeciwko wirusowemu zapaleniu wątroby typu B składają się z trzech zastrzyków w łącznej cenie około dwustu dolarów - jest to kwota pozostająca daleko poza zasięgiem milionów biednych chłopów. Badacze z Cornell University usiłują zmniejszyć ten koszt do około dziesięciu centów za dawkę poprzez implantację szczepionki w bananach. Już niedługo może się okazać, że będziemy mogli nabyć także pomidory i ziemniaki wzmocnione szczepionkami przeciwko zapaleniu wątroby.

Być może pojawi się też odmiana “złotego ryżu” wzmocnionego witaminą A, która ułatwia zapobieganie ślepecie często dziś spotykanej wśród dzieci w biednych rejonach świata. Naukowcy indyjscy pracują z kolei nad żywnością wzbogaconą o funkcje szczepionki na cholere i wściekliznę.

Wciąż trwają badania nad pomidorami, które mogą chronić przed biegunką, zbierającą szczególnie obfite, śmiertelne żniwo wśród niemowląt, kukurydzą wyposażoną w arsenał do walki z mukowiscydozą (zwłóknieniem torbielowatym) czy owocami i warzywami o zwiększonej zawartości witamin.

Wobec tego, że coraz więcej wiemy dziś o genetycznej i proteomicznej budowie człowieka, nie powinno być dla nikogo niespodzianką, że projektuje się obecnie inne, znacznie wzbogacone produkty żywnościowe już nawet nie z przyczyn medycznych, ale kosmetycznych lub z myślą o lepszej kondycji własnej.

Ponieważ firmy zajmujące się biotechnologią otrzymują coraz to nowe gatunki nasion, “rolnicy” będą w stanie dostosować wielkość plonów do coraz mniejszych a za to bardzo wartościowych rynków, a w przyszłości wręcz produkować żywność dla pojedynczych osób.

W dziedzinach, w których wszyscy są, można powiedzieć, w blokach startowych, nie ma najmniejszego powodu, z którego ubogie kraje nie mogłyby dotrzymać kroku czołowym państwom i nie tylko lepiej wykarmić swoją ludność, ale także z zyskiem eksportować produkty rolne

o wysokiej wartości dodanej. Wszystko to jednak jest dziś dopiero początkiem tego, co jest i będzie możliwe.

BIO-GOSPODARKI

We frapującym, choć nie w pełni docenianym opracowaniu Ośrodek Technologii i Polityki Bezpieczeństwa Narodowego (the Center for Technology and National Security Policy; wydział Wyższej Szkoły Obrony Narodowej - National Defence University) w Waszyngtonie przedstawia świat, w którym "pola orne będą miały równie wielkie znaczenie, co pola naftowe."

Nawet prezesi koncernów naftowych zaczęli mówić o "ostatnich dniach Epoki Ropy Naftowej." Dr Robert E. Armstrong, autor wspomnianego opracowania NDCJ, rozwija tę myśl sugerując, że zmierzamy w kierunku bio-gospodarki, w której "miejsce benzyny zajmą geny" jako kluczowe źródło nie tylko wielu typów surowców i produktów, ale także energii.

Na początku naszego stulecia rolnicy amerykańscy produkowali rocznie 280 milionów ton odpadów w postaci liści, łodyg i innych części roślin. Część tej biomasy już dziś przetwarzana jest na chemikalia, elektryczność, środki nawilżające, plastyki, materiały przylepne, a przede wszystkim - paliwo.

Jest to jednak dopiero początek. Armstrong przepowiada, że krajobraz świata naszpikowany będzie małymi "biorafineriami", które przerabiać będą pochodzącą z odpadów biomasę na żywność, paszę, włókna, bioplastyk i inne dobra. Powołuje się przy tym na raport Narodowej Rady Badawczej (National Research Council) z 1999 roku, w którym oszacowano, że krajowa bio-gospodarka w Stanach Zjednoczonych może docelowo zapewnić "90 proc. amerykańskiego zużycia chemii organicznej i zaspokoić 50 proc. zapotrzebowania na paliwa płynne."

I bynajmniej nie jest to problem wyłącznie amerykański. A w takiej gospodarce, jak powiada Armstrong, "podstawowym surowcem będą geny, a te - w przeciwieństwie do ropy naftowej - można znaleźć po prostu wszędzie." A zatem naukowiec przepowiada wielkie geopolityczne przesunięcie ośrodka władzy z pustynnych krajów posiadających zasoby ropy naftowej do tropikalnych regionów hojnie obdarzonych przez naturę różnorodnością form życia.

"W bio-świecie - pisze Armstrong - nasze relacje z Ekwadorem (by użyć reprezentatywnego przykładu) będą ważniejsze od stosunków z Arabią Saudyjską." Powód: Ekwador posiada znacznie większą bioróżnorodność - a zatem także i różnorodność genetyczną - o potencjalnie wysokiej wartości dla świata. I jeśli tak będzie w odniesieniu do Ekwadoru, jakie może to mieć znaczenie dla Brazylii? Albo Ameryki Środkowej?

Tim Smit jest dyrektorem "największej szklarni świata," jak ją nazywa Fast Company, czyli Projektu Eden w Kornwalii, w Wielkiej Brytanii. "Jesteśmy u progu większej rewolucji, niż którakolwiek z tych dwudziestowiecznych" - powiada Smit. "Dziś dostępne są materiały złożone, które można wyprodukować z roślin, silniejsze od stali czy kevlaru. Wnioski z tego płynące są fenomenalne. Każdy kraj świata mógłby zdobyć dostęp do zaawansowanych materiałów tworzonych z własnych roślin dostępnych w tymże kraju."

Co więcej, zdaniem Smita "biorafinerie będzie trzeba budować blisko źródła surowców. Rozwinie się zregionalizowane rolnictwo: na pewnych obszarach uprawiać się będzie specyficzne zboża z myślą o zaopatrywaniu w materiał lokalne biorafinerie (...). Niebagatelne znaczenie ma też prawdopodobieństwo powstania nierolniczych miejsc pracy na terenach wiejskich."

Armstrong podsumowuje: "Bio-gospodarka w ostatecznym rachunku przyczyni się do powstrzymania tempa urbanizacji."

POMOC Z NIEBIOS

Chłopi nie są głupcami. Nie przetrwaliby, będąc niespełna rozumu. Doskonale znają swój maleńki skrawek ziemi. Znają zapach nadchodzącej burzy. Wiedzą, kiedy będzie susza. Ale to, co wiedzą, stanowi zaledwie niewielki ułamek tego, co mogliby wiedzieć. I właśnie ta delta - różnica - sprawia, że wciąż tkwią w nędzy.

Nawet mądrzy farmerzy w zamożnych krajach marnują pracę, energię, wodę, nawozy i środki owadobójcze, poważnie zatruwają środowisko naturalne i zbierają mniej plonów niż jest to możliwe: właśnie z powodu tego, czego nie wiedzą w szczegółach o swojej ziemi. Jednak pomoc już nadchodzi: wprost z nieba, z odległości dwudziestu tysięcy kilometrów.

Rolnicy, w tym również i przedsiębiorstwa rolne, zazwyczaj aż do teraz stosowali te same metody w odniesieniu do całego pola.

Ale dochodzimy do punktu, w którym ręczny odbiornik GPS - jeden dla całej wsi, albo nawet dla kilku wsi - odbierać będzie coraz bardziej szczegółowe informacje z satelitów aktualnie krążących po orbicie ziemskiej o konkretnych potrzebach każdej działki, albo nawet każdej rośliny - w odniesieniu do wskazanych nawozów, odżywek, wody i innych czynników.

W ten sposób rolnictwo się zindywidualizuje, umożliwiając chłopu zastosowanie nawozu, powiedzmy, tylko wówczas i tylko tam, gdzie jest potrzeby i to w najmniejszej potrzebnej dawce. Może też przekształcić obecne systemy wodne poprzez ulepszenie metod nawodnienia i recyklingu, a nawet umożliwić stosowanie wody o podwyższonej wartości na potrzeby specjalne.

W rzeczy samej, z badań wspomnianej Narodowej Rady Badawczej wynika, że "samo tylko ulepszenie technologii nawodnień może ograniczyć o połowę spodziewane ogólnoswiatowe zapotrzebowanie na dodatkowe zasoby wodne w ciągu najbliższych 25 lat."

W taki oto sposób dobre dla rolników i dobre dla środowiska metody "rolnictwa precyzyjnego" oraz indywidualnej puryfikacji zanoszą odmasowienie pod chłopskie strzechy.

Wskazuje to na większą zmianę, stanowiącą w istocie element transformacji. Wiemy, że rolnictwo w stylu przemysłowym prowadzi do niebezpiecznej ekologicznie jednogatunkowości i monokultury. Tymczasem teraz jesteśmy świadkami czegoś zgoła odmiennego: pierwszych sygnałów, że być może obieramy przeciwny kierunek, nie poprzez nawrót do metod przedindustrialnych, lecz poprzez znacznie bardziej dalekosiężny postęp.

W związku z tym, że rynki, przynajmniej w krajach zamożnych, domagają się żywności coraz bardziej dostosowanej do indywidualnych oczekiwań oraz produktów zdrowotnych, możemy

oczekiwać, że pojawią się nowe, zróżnicowane metody i technologie, które doprowadzą ostatecznie do tego, iż otrzymamy więcej różnych zbóż z całego świata; nastąpi więc to, czego ekolodzy powinni się spodziewać i powitać z radością.

Dzisiaj rolnictwo precyzyjne i wiele innych nowych metod dopiero się rodzi i jest jeszcze bardzo kosztowne. Ale koszty znacznie spadną.

TAJNE CENY

Zamieszkały w rolniczej prowincji Anhui, w Chinach, domokrążca Wang Hiwu zazwyczaj nosił swoje towary w koszu, mając nadzieję trafić na klientów w pobliskich wioskach i targach. Jego życie niewiele różniło się od życia wędrownych kupców i chłopów tysiąc lat temu.

Życie Wanga zmieniło się jednak w 1999 roku.

Wówczas bowiem zdał sobie sprawę z tego, że "pojawiła się cudowna szansa". I dziś klienci przychodzą do niego. Cudowną szansą okazał się Internet.

Wang nie był biegłym komputerowcem. I, jako pięćdziesięciodwulatka, trudno zaliczyć go też do młodzieży. Był jednak przedsiębiorczy i wnet surfował po Internecie nie wychodząc z domu, zbierając informacje rynkowe i przekazując je bezpłatnie swoim współziomkom.

Każdy rolnik zna wagę informacji cenowej, która przychodzi na czas. Tradycyjnie sprzedawcy musieli dostarczyć swoje zbiory lub stada na targ, licząc, że jakoś uda się im je spieniężyć. Dopiero dostawszy się tam, dowiadywali się, jakie obowiązują akurat ceny. System ten znacznie ograniczał ich siłę przekonywania w trakcie targowania się. Wang całkowicie zmienił tę sytuację, dostarczając bieżące informacje cenowe.

Następnie zaproponował sąsiadom, że będzie oferował ich produkty do sprzedaży w sieci - na przykład pięć milionów kilogramów szatkowanych słodkich ziemniaków. Pierwsze dwa miliony kilogramów sprzedał po wyższej cenie, niż możliwa była do osiągnięcia na lokalnym rynku. Nie trzeba było długo czekać i do Wanga zaczęło przychodzić sporo e-maili. Stał się businessmanem.

Historię Wanga opublikowała Sinhua, oficjalna chińska agencja prasowa, donosząc z entuzjazmem, że według stanu na rok 2001 większość chłopów w prowincji Anhui miała dostęp do komputera i że 1634 miasta tej prowincji, czyli 90 proc. ogółu, mogły uzyskać bezpłatnie informacje rynkowe za pośrednictwem Internetu. Prowincja sponsorowała także internetowe "giełdy," w ramach których właściciele zmieniali ponad 100 milionów kilogramów zboża rocznie.

Całkiem niedawno Sinhua doniosła, że ponad 17 tys. chińskich wsi - 41 proc. ogółu - także dysponuje obecnie dostępem do Internetu. Chiny jednak wciąż czeka daleka droga. Chińskie Ministerstwo Nauki i Technologii przedstawia mniej radosny obraz wiejskich realiów, szacując, że mieszkańcy obszarów wiejskich stanowią mniej niż 1 proc. użytkowników Internetu w kraju, którzy i tak są skoncentrowani w relatywnie niewielu prowincjach.

NAJSPRYTNIEJSZY AGRONOM

Cztery tysiące kilometrów dalej, Shashank Joshi, uprawiający soję na niespełna hektarze ziemi w stanie Maghya Pradesh w Indiach, także udostępnia informacje cenowe z Internetu rolnikom, jednak w ramach innowacyjnej działalności biznesowej zwanej *e-choupal*.

ITC, jedna z największych firm indyjskich, chciała usprawnić swój system zamówień soi, tytoniu, kawy, pszenicy i innych zbóż przeznaczonych na eksport. Z tego powodu założyła własną sieć informatyczną dla tysięcy rolników na indyjskiej wsi. Zapewniła komputery Joshiemu i innym rolnikom, takim jak on. W zamian za to odbiorca godził się przeobrazić swój dom w *choupal* czy też miejsce zebrań, w którym chłopi mogliby się spotykać, pogawędzić, napić się herbaty - i poznać bieżące ceny zbóż na miejscowych, nadzorowanych przez państwo rynkach. Czy też, gdyby mieli ochotę, na Giełdzie Towarowej w Chicago.

Według Kuttayana Annamalai oraz Sachina Rao z World Resources Institute (Instytutu Zasobów Światowych), każdy komputer zainstalowany w *choupalu* obsługuje "średnio 600 rolników z dziesięciu pobliskich wsi."

Oprócz śledzenia cen, rolnik może poznać nowe techniki upraw - albo wprost z ekranu, albo - ponieważ wielu z tamtejszych rolników jest analfabetami - z pomocą gospodarza, określanego mianem *sanchalak*. Niektóre informacje dostępne w Internecie są następnie dla ułatwienia przepisywane przez samych rolników.

Sanchalak otrzymuje zamówienia z ITC na zakupy dokonywane przez niego, chociaż "na mocy złożonej publicznie przysięgi ma obowiązek służyć całej społeczności lokalnej."

O co tu chodzi? Otóż kiedy ITC kupuje od rolników ich produkty, oferuje cenę zamknięcia z poprzedniego dnia. Dopiero wówczas rolnik odstawia zboże do ośrodka przetwórstwa należącego do ITC. Ceny okazują się średnio o 2,5 proc. wyższe od tych, które rolnik osiągnąłby w ramach rządowego systemu rynkowego.

A zatem: o co tak naprawdę chodzi? Mimo że Indie z powodzeniem ściągają biznes wyoutsourcowany z USA i innych krajów rozwiniętych technologicznie oraz mimo *e-choupali* i wielu innych innowacji i eksperymentów, kraj ten ma przed sobą jeszcze dłuższą niż Chiny drogę do nadrobienia zaległości w zakresie wdrażania technologii cyfrowych.

Informacja cenowa oraz parę podpowiedzi na temat poprawy plenności to najmniej istotna z wszystkich zalet sieci komputerowej, jeśli mowa o jej przydatności dla biednej ludności rolniczej. Internet jest bowiem w istocie najsprytniejszym agronomem świata: oferuje zainteresowanym ponad 21 milionów stron o tematyce rolniczej, dostępnych w podziale na konkretne rośliny, regiony, strefy klimatyczne, ekologię, chemię, biologię i wręcz każdy inny temat, który może być ważny dla rolnika.

Wieśniacy mogą nauczyć miastowych odwagi, uporów, pogody ducha w obliczu trudności, radzenia sobie z goryczą dnia codziennego. A aroganccy i nieświadomi wielu ważnych rzeczy przybysze z zewnątrz, płaczący się po wsi, by "pomóc" chłopom, bez wątplenia zasługują na pogardliwe traktowanie, z jakim często przychodzi im się spotkać.

W miarę zbliżania się średniej ceny komputera do poziomu około 100 dolarów, spadku ceny telefonów komórkowych i innych narzędzi, dzięki którym odosobnione umysły mogą kontaktować się ze sobą nawzajem, nie ma nic ważniejszego niż otwieranie wsi przed bogatym (i wzbogacającym) napływem wiedzy z zewnątrz.

W świecie, w którym wiedza i informacje składające się na nią oraz dane są coraz bardziej nierozzerwalnie związane z wytwarzaniem bogactwa, rolnicy muszą wiedzieć o sprawach, które - jak się wydawało - nigdy nie miały jakiegokolwiek znaczenia. O zagrożeniach dla nowych roślin i chorobach zwierzęcych z bardzo odległych źródeł, o zmieniającej się wartości nie tylko zbóż, ale ziemi i dostaw, o nadciągających zagrożeniach (i szansach) ekologicznych, o nowych sposobach zwalczania korupcji wśród miejscowych urzędników, o przełomowych zmianach w opiece medycznej i o nowych stylach życia - także o życiu dzieci, które z ciężkim sercem sami posłali do miasta.

Najlepsze współczesne narzędzia intelektualne, jak na przykład Internet, są nadal dość elementarne, nadal słabo rozpowszechnione na całym świecie, nadal dość nieporęczne, a wręcz niedostępne dla analfabetów, nieważne jak bardzo inteligentnych, którzy jednak zmuszeni są korzystać z pomocy pośredników. (Na pierwszy rzut oka może się to wydawać dziwne, ale złamanie bariery za pomocą taniej, prostej technologii rozpoznawania mowy ludzkiej mogłoby wywrzeć bardzo silny wpływ na życie wsi i kulturę słowa, ponieważ miliony ludzi nie musiałyby najpierw pokonywać własnego analfabetyzmu, żeby móc korzystać z Internetu. Byłby to spory postęp w likwidacji zapóźnienia cyfrowego biednej części świata.)

Internet, telefonia komórkowa, aparaty fotograficzne zamontowane w telefonach, zminiaturyzowane monitory mieszczące się na dłoni i kolejne technologie rozwijające się na bazie tych właśnie - będą jednak równie fundamentalną częścią rolnictwa przyszłości, jak dawniej łopata i motyka.

INTELIĞENTNY PYŁ

Zmiany w biotechnologii, kosmosie oraz Internet to niewielka część obrazu nowych technologii opuszczających laboratoria zamożnego świata na całym globie. Są wśród nich tysiące technologii rozwijanych do innych celów, które po stosownych modyfikacjach mogą mieć istotne zastosowania rolnicze w biednych krajach.

Technologie klonowania - takie jak te wykorzystane przy klonowaniu owcy Dolly w Szkocji i psa Snuppy w Korei Południowej, a także te stosowane przez naukowców z University of Georgia, którzy sklonowali krowę, która nie żyła już od czterdziestu ośmiu godzin - przeżywają nieustanny postęp. Bez względu na to, jaki jest nasz stosunek etyczny do klonowania, trudno przecenić jego potencjalne implikacje dla rolnictwa i produkcji zwierzęcej.

Krwiobiegiem rolnictwa są zasoby wody. Na zlecenie amerykańskiego Departamentu Obrony skonstruowano narzędzie wielkości długopisu, za pomocą którego można oczyścić do trzystu litrów

brudnej wody skuteczniej niż za pomocą chloru czy jodu. Czy można je - albo jakieś inne, podobne urządzenie - powiększyć na tyle, by wykorzystać do oczyszczania wody dla całej wsi?

Technologia sensorów okazuje się jedną z najważniejszych branż przyszłości. Nowe modele samochodów naszpikowane są właśnie sensorami. Sensory stają się już częścią odzieży. Dlaczego nie wykorzystać ich w rolnictwie i uprawie ziemi?

Już dziś testuje się sensory, które mówiłyby rolnikom, kiedy podlać winorośl. Niektórzy naukowcy wyobrażają sobie nawet ten dzień, kiedy każda z osobna roślinka będzie miała wbudowany maleńki biosensor i zegar sygnalizujący jej konkretne potrzeby dokładnie o czasie.

Inni przepowiadają, że powstaną sensory tak małe, że będzie można z nich uczynić "inteligentny pył", który można rozsypać na polach, by następnie odczytywać temperaturę gleby, wilgotność i inne zmienne.

Badacze testują też zastosowanie tkanki wątroby, płuc oraz komórek nerwowych i sercowych w roli sensorów, które rozpoznawałyby zagrożenia ze strony takich czynników, jak na przykład węglik. Czy te rozwiązania lub im podobne mogłyby przydać się do wskazywania zagrożeń dla zbóż?

A przecież są jeszcze nanourządzenia - mniejsze niż jedna miliardowa metra - będące w stanie monitorować funkcje żywej komórki wyczuwając delikatne zmiany napięcia ładunków elektrycznych na jej powierzchni. Rośliny są żywymi komórkami. W jaki sposób zmiany w ładunkach elektrycznych zmieniają ich naturę lub funkcje?

Podobnież prowadzone są obecnie badania nad "kontrolowanymi systemami biomimetycznymi i biologicznymi", które zbierają informacje pochodzące z populacji owadów! Niektóre owady w trakcie lotu gromadzą zarodniki bakterii lotnych na powierzchni swojego ciała. Czy mogą podpowiedzieć nam, jak mamy chronić nasze uprawy?

Musimy poznać też dokładniej magnetyzm uruchamiający i dezaktywujący takie czynności wewnątrzkomórkowe, jak na przykład syntezę protein czy zmianę kolorystyki. Jeśli aktualnie prowadzone badania zakończą się sukcesem, jakie będą miały skutki dla roślin? Czy hodowcy będą w stanie gwałtownie zwiększyć zawartość witaminową - a przy okazji wartość ekonomiczną - warzywa w ciągu kilkunastu godzin jedynie za pomocą maleńkiego wstrząsu magnetycznego?

To zaledwie kilka dość przypadkowych przykładów wybranych spośród tysięcy aktualnie prowadzonych badań, które pośrednio lub bezpośrednio będą miały wpływ na przyszłość rolnictwa. Wiele z tych pomysłów okaże się raczej niezbyt mądrymi, niepraktycznymi, bezużytecznymi marzeniami lub po prostu zbyt kosztownymi kaprysami. Ale pozostałe - bynajmniej. A prawdziwie wielkie przemiany będą miały swe źródła nie tyle w pojedynczych technologiach, nawet tych potężnych, ale w wybuchowym efekcie nakładania się na siebie dwóch technologii lub większej ich liczby. Już teraz łączy się sensory z technologią bezprzewodową, dzięki czemu można dokonywać pomiaru wzrostu temperatury w pryzmach buraków cukrowych.

A co powiecie na połączenie nanotechnologii i magnetyzmu? Naukowcy badają możliwość posługiwania się magnetyzmem na poziomie nano, aby monitorować i kontrolować aktywność biologiczną na szczeblu komórkowym lub wręcz cząsteczkowym.

A CO NA TO BILL GATES?

Wmawia się nam nieustannie, że zaawansowana technologia nie rozwiąże problemu ubóstwa. "Spójrzmy prawdzie w oczy" - apeluje się na ogół w mediach; "Bardzo mało wskazuje na to, że technologie informatyczne i telekomunikacyjne przygotowane są do frontalnego ataku na ubóstwo, który by poprawił los najbiedniejszych mieszkańców globu." Nawet Bill Gates wyrażał taki pogląd.

Te lamentsy oparte są na trzech kontrowersyjnych założeniach. Po pierwsze, odnoszą się do informatyki rozumianej bardzo wąsko, a nie do szerokiego wachlarza przemian technologicznych, jakie dokonują się obecnie. Pomijają też wpływ informatyki na inne technologie.

Po drugie, przekonanie to ma krótki horyzont czasowy. Nikt nie twierdzi, że ubóstwo można zlikwidować w tak krótkim czasie, jaki na ogół przywoływany jest w tego rodzaju wypowiedziach. Nawet w warunkach obecnego przyspieszenia i przejścia do symultaniczności, technologie zazwyczaj pojawiają się w nakładających się na siebie fazach.

Najpierw nową technologią posługują się tzw. early adopters, czyli swego rodzaju awangarda. Do tego czasu jest ona już ulepszana, a technologie w dziedzinach z pozoru z nią nie związanych zlewają się z nią i dodatkowo ją wzmacniają. Tak więc komputery, drukarki, urządzenia telekomunikacyjne i pozostały sprzęt zintegrowane - tworzą wzajemnie się wzmacniający system wielofunkcyjny.

Wreszcie, nieco wolniej, użytkownicy technologii systemowej zmieniają swe struktury organizacyjne, aby w pełni móc wykorzystywać ich potencjał. I to właśnie tutaj, choć niekoniecznie na koniec kolejnego kwartału i niekoniecznie na rynku papierów wartościowych, pojawią się największe zyski.

Argument ten jest zresztą również dość naiwny z punktu widzenia historycznego. W czasach, kiedy praktycznego waloru nabrał silnik parowy, rzadko kto był w stanie wyobrazić sobie, że ta nowomodna machina stosowana w górnictwie będzie mogła w jakikolwiek sposób wpłynąć na rolnictwo. I przez wiele lat tak istotnie było. A następnie pojawiły się napędzane energią parową fabryki tekstylne, które okazały się błogosławieństwem do hodowców bawełny. Na dodatek napędzane energią parową koleje żelazne poszerzyły rynki zbytu na produkty rolne. Para przeobraziła rolnictwo i na nowo określiła jego miejsce w gospodarce.

A zatem pogląd, który chcemy zaprezentować w tej książce, to nie szybki "myk" technologiczny, ale coś znacznie bardziej złożonego, realistycznego i dalekosiężnego.

Jednakże nie powinniśmy lekceważyć potencjalnego oddziaływania technologii. "Łatwo odeprzeć sugestię, że technologia rozwiąże wszystkie nasze problemy (...) jednakowoż musimy jakoś upewnić się, że nauka i technologia będą pełniły odpowiednio doniosłą rolę w rozwiązywaniu wielu coraz bardziej palących problemów świata" - powiada ekonomista Jeffrey D. Sachs, dyrektor Millenium Project ONZ.

NIEKTÓRE RZECZY SPRAWDZAJĄ SIĘ ŚWIETNIE, ALE TYLKO DO CZASU

Wdrożenie nowej technologii to bułka z masłem. O wiele bardziej skomplikowane i trudne jest pokonywanie licznych trudności pozatechnologicznych.

Po pierwsze: utrwalonej tradycji - oraz ugruntowanych przekonań, które ją podtrzymują. W tradycyjnych społecznościach wiejskich od dziesięcioleci, a nawet od stuleci kolejne pokolenia żyły mniej więcej tak, jak ich przodkowie. Obowiązkowo zatem jesteśmy skłonni zakładać, że przyszłość będzie powtórzeniem przeszłości.

Oznacza to, że co doskonale zdawało egzamin w przeszłości, będzie też się świetnie sprawdzało w przyszłości. A ponieważ człowiek żył zawsze na krawędzi, ledwie zapewniając sobie przetrwanie, chłopci na całym świecie mają mnóstwo powodów, by racjonalnie unikać ryzyka. Sam ich opór wobec tego co nowe spowalnia tempo przemian, jeszcze bardziej wzmacniając anachroniczne przekonanie, że przyszłość będzie taka jak przeszłość.

Drugą trudnością jest edukacja oraz jej brak.

Oczywiście wszyscy jesteśmy za edukacją. Są jednak pewne wyjątki.

Do wyjątków należałoby zaliczyć zdesperowanych rodziców, którzy - by uchronić swą rodzinę przed głodem - zmuszeni są wykorzystywać dzieci do pracy w polu, do opieki nad młodszymi dziećmi lub do wypraszenia jałmużny na skraju drogi. Albo ci, którzy uważają, że kobiety winny być posłuszne i niepotrzebne jest im wykształcenie. No i rządy i ich priorytety.

W jakże wielu wsiach na całym świecie to rodzina jest prawdziwą szkołą, przekazującą dzieciom wczorajsze podejrzenia względem jutra, często dodatkowo obarczone wskazaniem religii. Tam, gdzie istnieją szkoły państwowe, nauczyciele otrzymują zbyt niskie wynagrodzenie i sami są słabo wykształceni. Jakże często w szkołach brakuje nawet ołówków i papieru.

Zewsząd słychać głosy krytyki tej ogólnoswiatowej, haniebnej sytuacji. Ale alternatywa, jaką się na ogół proponuje, przypomina edukację w stylu fabrycznym, typowym dla społeczeństw industrialnych. Klasy. Biurka. Segregacja wiekowa. Zmianowość. Standardowe testy. Wymuszona punktualność. Uniformizacja w imię demokracji. Mówiąc krótko - system promujący, jak ją dawniej nazywali pracodawcy - "dyscyplinę pracy przemysłowej." Czy można go z powodzeniem wprowadzić w każdej wsi? Czy powinniśmy w ogóle to robić?

Masowa edukacja, zaprojektowana na miarę epoki przemysłowej, nie odpowiada na potrzeby ani przedindustrialnej wsi, ani postindustrialnej przyszłości.

Trzeba całkowicie przebudować system szkolnictwa wiejskiego - a właściwie każdy system szkolnictwa. Współczesna technologia daje bowiem nauczycielom narzędzia edukacyjne dostosowane do indywidualnych potrzeb rozmaitych kultur, małych grup, a nawet jednostek.

Nadchodzą czasy, kiedy będziemy w stanie - przy niewysokich kosztach - zapewnić każdej wsi komputer połączony ze światem zewnętrznym. Będą to czasy, kiedy dzieci, którym stworzono szansę, będą mogły, tak jak widzieliśmy to w Indiach, same uczyć się korzystania z Internetu. Czasy, kiedy dzieci będą się uczyć za pomocą gier, w których uczestniczy wielu graczy, a miejscowi nauczyciele będą mogli rozwijać własne zasoby wiedzy przy pomocy innych nauczycieli - on-line. W

tych czasach będziemy stosować “odwrotne kształcenie” w domu, bowiem to dzieci będą uczyły swoich rodziców, przyczyniając się do zmniejszenia ich podejrzeń wobec nowości.

Także i tutaj zatem sama technologia nie stanowi panaceum na niewiedzę. Trzeba jeszcze zmobilizować siły polityczne, ekonomiczne i społeczne, aby wykształcić kolejne pokolenie.

DYSTRYBUCJA ENERGII

Kolejną znaczną trudnością jest szczupłość zasobów energii na obszarach wiejskich. Jeśli nędzarze tego świata nie zdobędą dostępu do źródeł potężniejszej energii niż własne mięśnie i mięśnie zwierząt gospodarskich, nigdy nie wydobędą się z nędzy.

Na świecie, na którym 1,3 mld wieśniaków wciąż radzi sobie bez elektryczności, niepraktyczne jest - w obliczu masowego ubóstwa i współczesnych realiów — dogmatyczne sprzeciwianie się wszystkim nowym odmianom i zastosowaniom energii otrzymanywanej z węgla, gazu ziemnego, a nawet energii jądrowej, wobec dobrze znanych zagrożeń i kosztów ekologicznych.

Dwupasmowa strategia rozwoju Chin, wymagająca równoczesnego rozwijania sektorów Drugiej i Trzeciej Fali, obejmuje planowaną budowę dwóch nowych reaktorów rocznie przez kolejnych szesnaście lat. Kontrowersyjna Zpora Trzech Przełomów jest największym tego typu obiektem na świecie. Podobnie rządy innych państw świata, w Afryce, Azji i Ameryce Łacińskiej, także wydają znaczne kwoty na elektryfikację wsi.

Jednak, podobnie jak w przypadku edukacji, plany te zazwyczaj przewidują rozwiązania pochodzące z epoki industrialnej - systemy masowej energii zaprojektowane tak, by obsługiwać głównie ośrodki zurbanizowane, o znacznym zagęszczeniu zakładów przemysłowych i ludności.

Koszty stosowania tych rozwiązań wobec mocno rozproszonej ludności wiejskiej są gigantyczne. Według raportu indyjskiej komisji planowania z 2002 roku: “Podłączenie do tradycyjnej sieci nie ma uzasadnienia ekonomicznego w odniesieniu do wsi (...) Wziąwszy pod uwagę koszt oraz tempo elektryfikacji wsi, niepraktycznie byłoby oczekiwać, z punktu widzenia technicznego i finansowego, że do tej pory niezelektryfikowane wsie uzyskają zasilanie elektryczne nawet w ciągu najbliższych dwudziestu lat.”

Tymczasem, według tego samego raportu, “decentralizacja wytwarzania energii będzie możliwa przy wykorzystaniu odnawialnych źródeł energii, takich jak energia słoneczna, biomasa, małe elektrownie wodne i wiatraki.”

Niewielu planistów poważnie rozpatruje prawdopodobieństwo, że za życia kolejnego pokolenia czy nawet dwóch w energetyce, podobnie jak w wielu innych dziedzinach, nakładające się na siebie stare i nowe technologie zaowocują potężną hybrydą rezultatów i całkowitych przełomów, które zaskoczą nas wszystkich.

HIPERROLNICTWO

Nadchodzi dzień, kiedy zarówno rolnictwo chłopskie, jak agrobiznes w stylu przemysłowym staną się niepotrzebne i coraz częściej ich miejsce zajmować będzie “hiperrolnictwo”, które w ostatecznym

rachunku może wyrzucić znacznie silniejszy i to bardziej długoterminowy wpływ na biedę na świecie niż wszystkie zapomogi, cła i systemy finansowe razem wzięte.

Jutrzejsze dzieci wiejskie urodzą się w świecie całkiem odmiennym od dzisiejszego. Naszym zadaniem jest im ten świat odrobinę przybliżyć.

Pomoc humanitarna, zmniejszanie zadłużenia, dofinansowywanie przez bogate państwa świata oraz inne posunięcia doraźne lub krótkoterminowe nadal bez wątpienia będą potrzebne. Ale takie właśnie ingerencje ilościowe nie są w stanie uwolnić miliardów ludzi od ubóstwa, podobnie jak plaster nie uleczy z poważnej choroby.

Świat musi przyznać, że kraje, których ludność wiejska stanowi podstawową grupę światowej strefy nędzy, a więc Chiny i Indie, odrzucając zmiany sekwencyjne i decydując się na rozwój dwupasmowy, przecierają szlak dla reszty biednego świata.

Aby zrozumieć rangę tych zmian, musimy spojrzeć nieco dalej, niż tylko na zagadnienia monetarne, jak stopy procentowe, stosunki handlowe i finanse, choć oczywiście trzeba przyznać, że one też mają niebagatelne znaczenie. Chiny i Indie dokonują jednak czegoś na o wiele głębszym poziomie; zapewne nawet przywódcy tych państw nie w pełni są w stanie to docenić. Przyspieszają zmiany i podważają podstawy powolnego tempa życia chłopów - na nowo ustalając ich relacje wobec głębokiego fundamentu, jakim jest czas.

Jednocześnie przemieszczają oś siły gospodarczej na przeciwległe wybrzeże Oceanu Spokojnego - a zatem zmieniają funkcję głębokiego fundamentu przestrzeni.

A przede wszystkim, Chiny rozumieją (a Indie wciąż się tego uczą), że absolutnie największe znaczenie dla gospodarki ma wiedza. Proces transformacji gospodarczej w coraz większym stopniu zależy od danych, informacji i wiedzy - wytworzonej własnymi siłami, pochodzącej z przecieku, zakupionej lub zdobytej drogą piractwa intelektualnego. W ten sposób zmienia się relacja gospodarki wobec głębokiego fundamentu, jakim jest wiedza.

Przez całe tysiąclecia chłopcy żyli w głębokiej izolacji, odcięci informacyjnie od szerokiego świata, a często także od najbliższej wioski. Nawet najbardziej pożyteczna wiedza wędrowała do nich całymi miesiącami, a czasami nawet przez wiele lat. Wiedza, która mogła uchronić niejedno chłopskie dziecko przed chorobą czy śmiercią. Wiedza o uprawie roli. O cenach. Wiedza, której brak wpędzał chłopów w coraz większe zacofanie wobec ludności miejskiej pod względem standardu życia.

Milczenie to przerywają dziś technologie przynoszące obrazy, myśli i informacje, dające im prawo do ich przyjęcia lub odrzucenia - i skrócenia czasu niezbędnego do całkowitej eliminacji ubóstwa.

Strategia nakreślona tu z grubsza ma na celu nie tyle przekształcenie życia wsi, ale radykalne zmniejszenie rosnącej, niebezpiecznej presji wywieranej na miasta przez fale migracji ludności wiejskiej, uchodzącej przed inną presją, nie do zniesienia, która w każdej chwili może doprowadzić do eksplozji społecznej. Uwrażliwiając nas na nowe możliwości, dzisiejsze zmiany - dobre czy złe -

przynoszą niewielką nadzieję. I być może to właśnie jest najważniejszy i najsilniej motywujący przejaw postępu.

Każdego dnia, wszędzie bombardowani jesteśmy niekończącymi się, powtarzającymi się i paraliżującymi opisami losu biednych tego świata. Obrazami zagłodzonych dzieci. Manifestami zapalonych grup działaczy i rządów. Rezolucjami ONZ. Jednak pod z pozoru pozytywną retoryką oficjalną i apelami organizacji pozarządowych o to, by pomóc temu czy innemu dziecku, czai się koszmarnie poczucie bezradności. I beznadziei.

Biednym nie trzeba z zewnątrz mówić, jaki jest koszt biedy. A jeśli świat zewnętrzny chce pomóc, musi porzucić nieskuteczne strategie, przyspieszyć rozwój rewolucyjnie nowych narzędzi i zastąpić upiorny pesymizm - kulturą nadziei.

Industrializm przetaczając się przez znaczne połacie globu w stuleciach XVIII i XIX przeobraził całkowicie dystrybucję bogactwa i dobrobytu na Ziemi. Rewolucyjne bogactwo, o czym się przekonamy na kolejnych stronach, dokona tego raz jeszcze. I to w sposób, który nas wprawi w osłupienie.

Część X

Nowa tektonika

Rozdział 44

Kolejna niespodzianka z Chin?

Trzy tragiczne konflikty, które rozegrały się w XX wieku - I wojna światowa, II wojna światowa oraz tzw. zimna wojna - były przejawem śmiertelnego przesilenia epoki industrialnej i stały się przyczyną niespotykanego zderzenia fal bogactwa, którego teraz jeszcze jesteśmy świadkami.

Druga Fala bogactwa jest dziś w odwrocie. W przeciwieństwie do niej, system bogactwa Trzeciej Fali, zapoczątkowany w Stanach Zjednoczonych, w ciągu zaledwie kilku krótkich dziesięcioleci zdołał przekroczyć Pacyfik i odmienia dziś oblicze Azji. W ciągu najbliższych lat będziemy świadkami dotarcia tej fali do wybrzeży Ameryki Łacińskiej i Afryki. Już teraz widoczne są pierwsze tego sygnały.

Ta światowa transformacja, co wykazaliśmy wcześniej, polega w istocie na bezprecedensowych zmianach dokonujących się na poziomie głębokich fundamentów bogactwa. Najbardziej widoczny jest ten proces w historycznym odrodzeniu Azji i wielkim przebudzeniu Chin.

Azja, wymieniana często w informacjach finansowych, jest jednak w niedostatecznym stopniu rozumiana zarówno przez Wall Street, jak i Waszyngton, które - z przyczyn historycznych i geograficznych - zwracają się raczej ku Atlantykowi niż Pacyfikowi.

Pomiędzy latami 2001-2005, kiedy Stany Zjednoczone otwały negocjacje w sprawie wolnego handlu z dwudziestoma państwami, tylko jedno wśród z nich było państwem azjatyckim.

Pewien amerykański senator, krytykując ten stan rzeczy, przypomniał administracji Białego Domu, że to właśnie w Azji "jest sześć spośród dziesięciu najszybciej rozwijających się gospodarczo państw świata, pięć spośród dziesięciu państw o najwyższych obrotach w handlu z USA oraz ponad połowa ludności świata." Senator ów mógł też dodać, że w Azji mieszka przytłaczająca większość muzułmanów oraz że jest regionem najgęściej otoczonym bronią jądrową.

Przede wszystkim jednak w Azji leżą Chiny. I jeśli Stany Zjednoczone, Europa i reszta świata nie rozumieją, co naprawdę dzieje się w Chinach - a więc w kraju, który ukryty jest za masą niewiarygodnych statystyk gospodarczych i finansowych - trudno będzie pojąć, jaka jest przyszłość Państwa Środka. A przecież to, co się tam dzieje, w taki czy w inny sposób przesądzi o zasadniczej realokacji bogactwa i wstrząśnie światem.

WIDMO KRAŻY NAD ŚWIATEM

Do roku 2004 Chiny doganiały Japonię, by stać się trzecią światową potęgą handlową po Stanach Zjednoczonych i Niemczech. W tym samym roku Chiny przekroczyły pułap 500 miliardów dolarów rezerw walutowych, przy czym światowe zasoby walutowe wynosiły wówczas 3,5 biliona dolarów. Chiny były też w posiadaniu amerykańskich bonów skarbowych o wartości niespełna 175 miliardów dolarów. Bony o większej wartości zgromadziła jedynie Japonia, co znaczy, że Państwo Środka byłoby w stanie wstrząsnąć całą gospodarką światową, jeśli tylko chciałoby zastąpić dolary

europijskimi euro czy też koszykiem innych walut. W ciągu niewiele więcej niż dwudziestu lat Chiny stały się gigantycznym mocarstwem, którego widmo zaczęło krążyć nad gospodarką światową.

Ale czy ten spektakularny wzrost Chin może trwać nieprzerwanie? Czy państwo to istotnie stanie się globalną potęgą w roku 2020, zgodnie z wieloma prognozami?

Aby odpowiedzieć na te pytania, musimy zweryfikować wiele obiegowych poglądów na temat tego kraju, które uchodzą za mądrość godną lemingów. Musimy też pojąć, co sprawiło, że taki rozwój Chin w ogóle był możliwy.

Tradycyjnie uważa się, że imponujące postępy Chin rozpoczęły się dzięki zerwaniu z komunizmem i transformacji ku gospodarce rynkowej. Ale to nie jest wystarczające wyjaśnienie. Inne kraje próbowały podążać w tym samym kierunku, jednak żadnemu z nich nie udało się osiągnąć równie spektakularnego sukcesu. Co więcej, nawet teraz Chiny nie posiadają wszak w pełni rozwiniętej gospodarki rynkowej.

W tym "rynkowym" wyjaśnieniu pomija się efekt kaskadowania, uruchomiony, zgodnie z tym, co przedstawiliśmy uprzednio, kiedy Dolina Krzemowa stopniowo zaczęła przenosić co bardziej zaawansowaną produkcję komputerów do Japonii, Korei Południowej i Tajwanu. Wszystkie te państwa otworzyły następnie zakłady w Chinach i tam skierowały swe kapitały. A przecież wszystko to zdarzyło się, zanim tempa nabrał marsz Pekinu ku gospodarce rynkowej. Innym równie ważnym powodem wspaniałych osiągnięć chińskich jest sposób wdrażania przez Chiny swojej nowatorskiej strategii rozwoju dwupasmowego.

PODKRĘCANIE PRZYŚPIESZENIA

Pragnący dogonić Zachód chińscy przywódcy zdawali sobie sprawę, że byłoby to niemożliwe, jeśli Chiny skoncentrowałyby się wyłącznie na rozwijaniu Drugiej Fali, podczas gdy Stany Zjednoczone odsuwają na margines działalność przemysłową Drugiej Fali, co prędkiej budując gospodarkę Trzeciej Fali. A zatem doszli do wniosku, że Chinom potrzebne było coś więcej niż tylko prymitywne fabryki. Potrzebowały bowiem także przodującego na świecie sektora intelektualnego o światowej randze.

Aby ta polityka dwupasmowa zdała egzamin, Chiny musiały wyprzedzić czas, a więc osiągnąć w ciągu kilkudziesięciu lat to, co innym zajęło całe stulecie lub nawet więcej czasu. Chiny musiałyby także rozszerzyć swój zasięg przestrzenny. Co najważniejsze, potrzebowałyby zaawansowanej informatyki, telekomunikacji, digitalizacji i dostępu do najnowszej wiedzy o doniosłym znaczeniu dla gospodarki. To wyjaśnia, dlaczego chińska strategia - celowo czy mimo woli - skoncentrowała się na trzech głębokich fundamentach prezentowanych w tej książce: czasie, przestrzeni i wiedzy.

A zatem Chiny nabyły niesłychane umiejętności w zakresie posługiwania się szybkością jako konkurencyjnym orężem w międzynarodowym handlu. Według Roberta B. Cassidy, przedstawiciela amerykańskich służb w handlu zagranicznym, cytowanego w "Business Week", eksporterom z Japonii, Korei Południowej i Europy często trzeba było "czterech czy pięciu lat, by zająć odpowiednie miejsce na rynku (...). Chiny przytłaczają rynek tak szybko, że nie sposób nawet

zauważyć, kiedy się pojawiają.” Tak szybko, że “niemal niemożliwe jest, by pozostałe firmy przygotowały się do tego za pomocą swych tradycyjnych strategii, czyli automatyzacji lub wywierania presji na swych dostawców”. Kiedy w końcu to czynią - jest już za późno.

A kiedy Chiny wyznaczają sobie strategiczny priorytet, mogą także bić wewnętrzne rekordy szybkości.

“W latach dziewięćdziesiątych w Chinach doszło do autentycznego cudu” - pisze Robert C. Fong, były prezes Sprint Japan i szef Scientific-Atlanta w Szanghaju. “W ciągu dziesięciu lat Chiny zbudowały jedną z najbardziej zaawansowanych infrastruktur telekomunikacyjnych świata. Bardzo możliwe, że w ciągu kilku lat będzie to najnowocześniejsza infrastruktura telekomunikacyjna świata.”

Aby to osiągnąć, wyjaśnia Fong, Chiny powinny najpierw “jak najszybciej wdrożyć nowe technologie, zbadać je, skopiować je i ulepszyć.” Następnie powinny “rozwinąć rodzime zdolności technologiczne - takie same, jakie posiada świat zachodni - i posłużyć się nimi jako bazą do rozwijania większych zdolności we wdrażaniu dalszych innowacji technologicznych.”

Przyspieszenie w Chinach nie jest jednak ograniczone do taktyki biznesowej i technologii. Jest ono bowiem częścią nowej kultury tego kraju. Kiedy pisarz Alexander Stille udał się do Xianu, by pisać o zabytkowych dziełach sztuki, jak na przykład armii terakotowej z 111 r. p.n. e., zastanawiał się, czy dla zwyczajnych ludzi ów pośpiech był źródłem troski.

“Zaskakujące jest to, że Chińczycy - pisze Stille - z których większość zaznała głodu i innych trudności w życiu, nie przejmują się tymi zmianami (...). Dla większości młodych zmiany są wręcz zbyt powolne.” Teraz jest więc w Chinach zgoła inaczej, niż przez tysiące lat.

GLOBALNA PRZESTRZEŃ

Podczas gdy sąsiedzi Państwa Środka zastanawiają się nad sposobem odnalezienia swojego miejsca w nowej Azji, która - jak zakładają - będzie zdominowana przez Chiny, same Chiny nie postrzegają siebie jako potęgi wyłącznie azjatyckiej. Mówią wprawdzie o utworzeniu azjatyckiej strefy wolnego handlu, ale ambicje (gospodarcze, i nie tylko) mają globalne. Zmieniają nie tylko swoje relacje wobec czasu, ale także wobec głębokiego fundamentu, jakim jest czas.

Chiny za sprawą reform w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, a także zagranicznych inwestycji, wejścia do Światowej Organizacji Handlu (WTO), gigantycznej ekspansji w zakresie eksportu i importu - z każdym dniem pogłębiają i poszerzają swe związki ze światem zewnętrznym. I na tym polu ich dwupasmowa strategia jest również jak najbardziej ewidentna.

Na jednym poziomie, Chiny zalewają świat swymi tanimi produktami, podcinając gałąź, na której siedzą producenci tanich komponentów meksykańskich, indonezyjskiej odzieży czy kolumbijskich kabli miedzianych. To są bowiem w dużej mierze produkty chińskich fabryczek ery przemysłowej.

Ale Chiny zachęcają też firmy dysponujące zaawansowaną technologią, by ruszały za granicę i podbijały świat komputerów. Nic dziwnego zatem, że Lenovo, największy chiński producent komputerów osobistych, przejął oddział produkcyjny IBM. Wielka chińska firma informatyczna Huawei chwali się dziesięcioma tysiącami pracowników badawczych i utrzymuje laboratoria w

Indiach, Wielkiej Brytanii, Szwecji i Stanach Zjednoczonych. Wspólnie z Intel, Microsoftem, Siemensem i Qualcommem produkuje sprzęt telekomunikacyjny.

Coraz większy zasięg przestrzenny Chin będzie już wkrótce bardziej zauważalny w świecie finansów. Do końca 2003 roku Chiny uruchomiły ponad 3,4 tys. firm w 139 różnych krajach. Istotnie, według Konferencji Handlu i Rozwoju zorganizowanej pod auspicjami ONZ, do końca 2004 roku Chiny miały stać się piątą pod względem wielkości potęgą światową w zakresie bezpośrednich inwestycji w innych krajach, prześcigając tu również i Japonię.

W rzeczy samej, podczas niedawnej wizyty w Ameryce Południowej prezydent Hu Jintao przemknął przez cały kontynent, wszystkim naokoło obiecując znaczne inwestycje - od Kuby po Brazylię; w samej Argentynie Chiny miały ulokować 20 miliardów dolarów.

Powszechną uwagę skupiły na sobie aspekty ekonomiczne tej podróży, tymczasem rzadko kto zauważył jej znaczenie geograficzne. Chiny rzuciły się na bardzo głęboką wodę, pojawiając się na terytorium, które od dawna uważano za strefę wpływów Ameryki. W ten sposób zrównoważyły amerykańską obecność na swoim "podwórku" - w Tajwanie.

Ten ekonomiczny wypad do Ameryki Południowej wydarzył się w czasie, kiedy stosunki między Pekinem i Tajpei były bardzo napięte, przy czym Tajwan podkreślał swą niepodległość oraz poparcie Stanów Zjednoczonych, a Chiny groziły narzuceniem swojego zwierzchnictwa, nawet przy użyciu siły zbrojnej, jeśli miałyby się to okazać niezbędne.

Silny pęd Chin do ekspansji gospodarczej, przynajmniej teoretycznie, powinien odwieść chińskich przywódców od myślenia o awanturach z użyciem wojska. Państwa ościenne z coraz większym niepokojem przyglądają się rosnącym wydatkom zbrojeniowym Chin; szacuje się, że w latach 1994-2001 budżet zbrojeniowy tego państwa wzrósł co najmniej sześciokrotnie. To zaś można traktować jako kolejny dowód na poszerzającą się geograficznie strefę interesów Państwa Środka.

Chiny wchodzą obecnie w posiadanie bezzałogowych samolotów oraz wyposażenia umożliwiającego tankowanie w powietrzu, co z kolei poszerza zasięg działania chińskich sił zbrojnych. Chińczycy dysponują dziś pociskami nuklearnymi, które są w stanie osiągnąć celów na całym terytorium Stanów Zjednoczonych. I starają się przekształcić marynarkę wojenną, pomyślaną niegdyś jako siły obrony wód przygranicznych - w dalekomorską flotę wyposażoną w broń jądrową.

Chiny realizują śmiały program morski, który w 2005 roku - według emerytowanego admirała japońskiego Hideaki Kaneda - obejmował "linię baz strategicznych o znaczeniu wojskowym i dyplomatycznym, tzw. sznur pereł, a także korytarze morskie od Morza Południowo-chińskiego po Bliski Wschód."

Spośród innych przedsięwzięć militarnych, Kaneda wymienia budowę portu w Pakistanie "dla ochrony wejścia do Zatoki Perskiej," instalację obiektów gromadzących dane wywiadowcze na wyspach należących do Myanmaru (Birmy), budowę kanału w Tajlandii kosztem 20 miliardów dolarów, mającego stanowić alternatywną nitkę dostawy importowanej ropy naftowej, omijającą

Cieśninę Malakka oraz budowę pasów startowych na spornych wyspach Spratly i Paraceiskich, które byłyby w stanie przyjąć bombowce o dalekim zasięgu lotów.

A zatem Chiny ścieśniają czas, ale także rozszerzają swe wpływy przestrzennie, znacznie zmieniając swe tradycyjne gospodarcze - a także wojskowe - relacje wobec tych głębokich fundamentów.

KOPALNIE WIEDZY

Nawet te zmiany wydają się jednak niewielkie w porównaniu z żarłocznym pochłanianiem przez Chiny know-how mającego wpływ na bogactwo. Chiny stały się światowym liderem w dziedzinie tworzenia, nabywania (jak również kradzieży) danych, informacji i wiedzy.

Wnet po odkreśleniu przez Deng Xiaopinga grubą kreską Maoistowskiej przeszłości Chin, zimą 1983 roku, osobiście obserwowaliśmy naukowców w Pekinie, którzy rozpracowywali komputery do najdrobniejszych elementów, a ich koledzy w Szanghaju przeprowadzali pierwsze chińskie eksperymenty z włóknami optycznymi. Pracowali w bardzo prymitywnych warunkach, w brudzie i chłódzie. Chiny były wówczas koszmarnie biedne, ale chińscy przywódcy już wówczas rozumieli znaczenie technologii i piractwa.

Dzisiaj obraz chińskiej nauki jest zgoła odmienny. Powstaje coraz więcej nowoczesnych laboratoriów badawczych, a nakłady na badania i rozwój w roku 2003 wzrosły o 19,6 proc. w porównaniu z rokiem poprzednim. W tym samym czasie fundusze przeznaczane na badania podstawowe zwiększyły się o 18,8 proc, a więc trzykrotnie więcej niż w Stanach Zjednoczonych. Zauważyliśmy też, że tysiące naukowców chińskich wykształconych w USA wraca do ojczyzny.

Zdaniem Maximiliana von Zedtwitza, wykładającego zarządzanie na Uniwersytecie Qinghua, za pięć lat Ameryka wciąż będzie światowym centrum badań finansowanych przez korporacje. Do tego czasu Chiny prześcigną jednak Wielką Brytanię, Niemcy i Japonię.

Nie wolno przy tym zapominać o wilczym apetycie Chin na dane, informacje i pomysły ściągane ze świata zewnętrznego. Aby prowadzić działalność gospodarczą w Chinach, zagraniczne firmy zazwyczaj musiały transferować technologię - i wiele z nich zgodziło się na to w zamian za nawet ograniczony dostęp do gigantycznego rynku chińskiego.

Jednakże ten głód know-how bynajmniej nie ogranicza się do technologii. Kiedy Chiny, jeszcze jako państwo komunistyczne, zaczęły budować szersze stosunki gospodarcze z Zachodem, przy okazji zaszczebiały też na swoim gruncie praktyczną wiedzę w zakresie zarządzania kapitalistycznego, finansów i biznesu w ogóle. I do 2004 roku chińskie uczelnie zaczęły prowadzić ponad 60 programów MBA - wiele z nich we współpracy z czołowymi uczelniami amerykańskimi, takimi jak MIT, UC/Berkeley i Northwestern.

Na nieco mniej oficjalnej płaszczyźnie wiedzę transferuje ponad 600 tys. obcokrajowców mieszkających i pracujących w Chinach, co wszak ostro kontrastuje z czasami, gdy obcokrajowców traktowano jak szpiegów lub zezwalano im na wjazd na teren Chin jedynie w ramach ściśle kontrolowanych grup turystycznych.

Za tym zachwycającym rozwojem Chin stoi więc także radykalna odmiana postaw wobec wszystkich trzech głębokich fundamentów, jakie będą kluczowe dla gospodarki w przyszłości, co stanowi kolejny dowód na to, że Chiny istotnie pragną zbudować czołową gospodarkę intelektualną świata.

Wziąwszy razem te wszystkie fakty, trzeba przyznać, że Chiny odbywają teraz krótki, w dwójnasób szybki pochód do supermocarstwowości.

Pekin, jednakże, wie lepiej.

POLITYKA FALOWA

Niedawno chińscy obserwatorzy zaczęli formułować czarne scenariusze. Powiadają, na przykład, że Chiny mogą przeżyć kryzys finansowy podobny do tego, który dotknął pozostałe państwa azjatyckie w latach 1997 - 1998 lub też że kraj ów będzie przeżywał wzloty i upadki, które będzie chciał zniwelować posunięciami Keynesowskimi. Albo też, że kilka negatywnych zjawisk wystąpi razem - kryzys energetyczny, katastrofa ekologiczna lub też wybuchy epidemii znacznie poważniejszych niż SARS. Albo, jeszcze gorzej, że dojdzie do wojny z Tajwanem, w czasie której obie strony będą wystrzeliwały na siebie nawzajem pociski rakietowe, co zdestabilizuje w znacznym stopniu nową Azję. Którekolwiek z tych zjawisk bądź wszystkie naraz bez wątpienia uderzyłyby w światową gospodarkę w ciągu najbliższych kilku lat.

Jedną z najbardziej pesymistycznych ocen przyszłości Chin można znaleźć w książce Gordona G. Changa zatytułowanej *The Coming Collapse of China*, której już choćby spis treści jest bardzo wymowny, skoro "Rewolucja się zestarzała", "Niezadowolenie społeczne grozi eksplozją", "Przedsiębiorstwa państwowe umierają", "Najpierw padną chińskie banki," "Ideologia i polityka ograniczają postęp". A to tylko część listy nieszczęść.

Jeśli tezy Changa są słuszne choćby w połowie, światowy system finansowy będzie musiał zostać odwieziony na oddział intensywnej terapii. Poważnie mogą ucierpieć inwestorzy, korporacje i banki centralne na całym świecie. Cena t-shirtów i zabawek w najbliższym supermarkecie może jeszcze bardziej spaść, ale setki milionów pracowników na całym świecie - od brazylijskich hutników po bankowców z Manhattanu czy Tokio - będzie musiało rozglądać się za pracą.

Scenariusze te są wystarczająco straszne, choć nie zawierają najbardziej przerażających możliwości.

TRZY CHINY

Dopóki żył Mao Tsetung, gospodarka chińska podzielona była na dwie części. Jedną z nich stanowiła chińska wieś zaludniona rozpaczliwie biednymi chłopami. Drugą - zurbanizowane Chiny dymiące fabrycznymi kominami i szumiące taśmami montażowymi. Następcy Mao dodali szybko rozwijający się sektor, którego podstawą jest wiedza. W przeciwieństwie do dwudzielnych Chin przeszłości, dziś Państwo Środka jest trójdzielne.

I nie jest to jedyna trójdzielna gospodarka świata. Trzy całkiem odmienne systemy bogactwa można znaleźć także i w innych państwach - na przykład w Indiach, Meksyku czy w Brazylii. Istnienie

trójdzielnych krajów jest jednak nowością w światowej historii. Na tym obszarze Chiny także są pionierem.

Dwupasmowa chińska strategia rozwoju przyczyniła się do wyzwolenia wielkich rzesz ludzkich z ubóstwa, podniesienia ich znaczenia i wywierania wpływu na inne kraje. Ale wszystko ma swoją cenę. Każda fala bogactwa w tym kraju ma swe własne, powiedzmy, struktury - ludność, której cechy determinowane są nie tylko poprzez wykonywaną przez nią pracę, ale także potrzeby i wymagania. Wynikiem tego jest "zderzenie fal."

Kiedy przywódcy chińscy przeznaczają środki na supernowoczesne laboratoria, napotykają twarde opór ze strony tych, którzy domagają się pieniędzy na rozwój przemysłu wytwórczego i sfery socjalnej. Ta różnica zdań to jednak zaledwie drobna utarczka.

Na znacznie większą skalę, na szczeblu ogólnokrajowym, przejęcie władzy przez Hu Jintao w miejsce Jianga Zemina było wyrazem zasadniczej zmiany w "polityce fałowej". Ekipa Jianga była powszechnie postrzegana jako zwolennicy strategii "najpierw miasta." W przeciwieństwie do niej, kiedy tylko Hu objął ster rządów, odbył symboliczną wizytację odległych regionów kraju, obiecując zwiększenie pomocy dla znajdujących się w ciężkim położeniu chłopów. Kiedy tylko skończyła się ta podróż, bitwa między falami wybuchła na nowo. Przeciwnicy krytykowali wspieranie "terenu", twierdząc, że jest to gigantyczne marnotrawstwo pieniędzy i w jego miejsce zaproponowali przesiedlenie kolejnych milionów chłopów z zachodu do północno-wschodniego pasa przemysłowego.

W ten sposób nastąpiłoby pomnożenie rzeszy siedemdziesięciu milionów zubożałej ludności wiejskiej, która już utraciła ziemię i została zmuszona do przeprowadzenia się do miast. Tam czekała na nią katorżnicza praca w warunkach urągających godności ludzkiej.

Jest to zatem klasyczny proces, przypominający jako żywo wymuszoną migrację brytyjskich chłopów do miast na przełomie XVIII i XIX wieku pod wpływem prawodawstwa znanego jako Akt Ogradzania (Enclosure Act). Rezultatem tego procesu było stałe powiększanie zasobów niezmiernie ubogiej siły roboczej zatrudnianej w przemyśle fabrycznym, jak też - w konsekwencji - przekształcenie gospodarki angielskiej z rolnej w przemysłową.

Także w dziejach chińskich, jak również w historii byłego Związku Sowieckiego, toczono zaciekle boje ideologiczne wokół tzw. "odchylenia przemysłowego" - polityki, która owocowała gromadzeniem kapitału na rozwój przemysłu poprzez eksploatację i wpędzanie w głód nawet tych chłopów, którym udało się pozostać na roli. Rezultatem zderzenia fal były gułagi i śmierć dziesiątek milionów ludzi. Według "China Today", w latach 1953 -1983 chłopcy wypracowali ponad 72 miliardy dolarów na sfinansowanie programu uprzemysłowienia kraju.

Mimo obiecanych reform, także obecnie, pisze "New York Times", Pekin "narzuca system dwuklasowy, odmawiając chłopom dostępu do świadczeń zdrowotnych, emerytalnych i socjalnych, którym dysponuje ludność miejska, jednocześnie nie uznając ich prawa do nabycia statusu ludności miejskiej." Poza tym należy wziąć pod uwagę fakt, że - według Yashenga Hanga z MIT - "chiński boom urbanizacyjny w dużej części sfinansowany był olbrzymim, choć niebezpośrednim,

opodatkowaniem chińskiego chłopstwa, obejmującym również koszty edukacji na terenach wiejskich.”

Industrializacja Drugiej Fali nadal cieszy się w Chinach znacznym poparciem. Jednakże Wu Jinglian, doświadczony pracownik badawczy Chińskiej Rady Państwa, zauważył w 2005 roku, że strategia ta “zwiększa ryzyko kryzysu finansowego.” Co więcej, jak twierdzi Jinglian, polityka ta nakłada znaczne obciążenia na już mocno wydrenowane zasoby naturalne, niszczy delikatne ekosystemy kraju i “podważa wysiłki związane z innowacjami technologicznymi i podnoszeniem jakości produktów.” W ramach “polityki preferowania przemysłu ciężkiego przedsiębiorstwa zadowolają się wyłącznie zwiększaniem niezbyt rentownej produkcji produktów o niskiej wartości dodanej. W dłuższym okresie spowoduje to poważne szkody.”

Te walki polityczne na najwyższym szczeblu toczą się w warunkach coraz poważniejszych niepokojów społecznych. Chiny rozdierane są protestami zarówno chłopskimi jak robotniczymi. Policja i siły bezpieczeństwa pacyfikują marsze protestacyjne i demonstracje na terenie całego kraju. Powodem protestów bywają rozmaite kwestie - od bezrobocia, poprzez niewypłacanie pensji i korupcję na szczeblu regionalnym czy przymusowe przesiedlenia po wysokie podatki, opłaty i inne obciążenia. Protesty na tym tle wybuchają niemal codziennie.

Według Zhou Yongkanga, wysokiego rangą funkcjonariusza policji chińskiej, w roku 2005 odbyło się około 74 tys. manifestacji, w których udział wzięło 3,7 miliona uczestników; przyniosło to powszechne akty przemocy i liczne ofiary w ludziach. Oficjalne źródła chińskie podały, że w roku 2005 doszło do 87 tysięcy protestów.

Do wielu z tych wypadków dochodzi na terenach wiejskich, gdzie chłopi zostali oszukani przez miejscowych oficjeli lub w ramach oporu wobec rugowania chłopów z ziemi. W jednej z takich manifestacji w Sichuanie udział wzięło dziewięćdziesiąt tysięcy zdesperowanych chłopów, którym groziło wysiedlenie. Protestują także robotnicy zatrudnieni w przemyśle - pracownicy branży tekstylnej w Shaanxi, metalurzy z Liaoyangu, zwolnieni robotnicy w Daqingiu i górnicy w Fushun. W grudniu 2005 roku policja chińska użyła broni palnej przeciwko protestującym rolnikom w Dongzhou. Była to najbardziej krwawa konfrontacja w Chinach od czasu masakry na Placu Tiananmen w czerwcu 1989 roku. Lista tych wypadków, niestety, wciąż się wydłuża.

MERCEDESY, CENTRA HANDLOWE I MILICJA

Nie wolno też zapominać o przyroście ludności Trzeciej Fali: młodej, wykształconej, pewnej siebie klasy średniej - niecierplivej, coraz bardziej nacjonalistycznie nastawionej i przekonanej, że to właśnie ona - a nie jej rodzice, robotnicy, a już na pewno nie chłopi - jest falą przyszłościową. Młodzi ludzie otoczeni centrami handlowymi mają chrapkę albo na mercedesa, albo bmw. I posiadają coś, co bardzo jest dzisiaj w Chinach w cenie - komputer i umiejętności internetowe.

Tak bardzo są w cenie, że Chińska Armia Ludowo-Wyzwoleńcza bardzo dogłębnie badała sztukę wojny informacyjnej. Zorganizowała i wyszkoliła “milicję informacyjną” i opracowała doktryny ataku

nie tylko na wrogie cele militarne, ale także na zagraniczne sieci biznesowe, ośrodki badawcze i systemy telekomunikacyjne.

Wedle jednej z teorii, technologia informacyjna umożliwia prowadzenie wojny nie tylko przez wojsko, ale także przez setki milionów cywili, wspieranych najprawdopodobniej przez znaczną liczbę sympatyków za granicą. Razem mogą wykorzystać swe laptopy - udostępniając niewykorzystywane ich możliwości pamięciowe i tworząc w ten sposób superkomputery - w celu zaatakowania kluczowych elementów infrastruktury wroga, jak np. sieci finansowe i inne cele cywilne. Taki atak byłby najskuteczniejszy, jeśli by go przeprowadzić przeciwko Stanom Zjednoczonym, ponieważ ten kraj właśnie w najwyższym stopniu uzależniony jest od technologii informatycznych i telekomunikacji elektronicznej.

Byłaby to, o czym pisali już inni autorzy, zaskakująco nowa wersja tego, co Mao nazywał "wojną ludu." Warto jednak, by szczególnie entuzjaści wojny informacyjnej nie zapominali o tym, że wojna ludu prowadzona przez Mao nie była obroną istniejącego rządu, ale próbą jego obalenia. A łatwo można sobie przecież wyobrazić, że miliony Chińczyków zaangażowanych w walkę informacyjną może któregoś dnia wykorzystać swoją specjalistyczną wiedzę przeciwko królującej partii komunistycznej w obronie swych własnych interesów związanych z Trzecią Falą. W razie wojny domowej mogliby wykorzystać swe laptopy nawet przeciwko samej Chińskiej Armii Ludowo-Wyzwoleńczej.

WOJNA FAL

Protesty mogą być zrazu niewielkie, ale historia uczy nas, jak niebezpieczne mogą stać się konflikty fal, jeśli dojdzie do ich eskalacji. To właśnie zderzenie uprzemysławiającej się Północy z zacofanym, bazującym na niewolnictwie, rolniczym Południem doprowadziło do Wojny Secesyjnej w Stanach Zjednoczonych w latach 1861 - 1865. To właśnie konflikt fal w Japonii był źródłem Restauracji Meiji w kilka lat później. Konflikt fal uwidocznił się także w Rewolucji Październikowej w Rosji w 1917 roku. Sprzeczne interesy fal w Azji - zazwyczaj ujawniające się jako sprzeczności między miastem i wsią lub jako konflikty etniczne czy religijne - stanowią podwaliny trwającej obecnie przemocy w Indiach, Tajlandii i innych krajach tego regionu.

Wszystkie te przykłady obejmują działanie dwóch przeciwstawnych systemów bogactwa. W Chinach kształtują się trzy takie systemy, z których każdy przedstawia drastycznie odmienne potrzeby i interesy, stawiając rząd wobec bezprecedensowych napięć.

Postęp gospodarczy Chin nie może dokonywać się prostoliniowo i bez przeszkód. Niemożliwe jest uniknięcie konfliktu fal. Nieunikniona jest katastrofa, przy czym odbudowa może nastąpić dopiero za kilkadziesiąt lat, i to nie bez kolejnych wstrząsów, które Chiny zafundują gospodarce światowej.

Nie można powiedzieć, aby Chiny były na krawędzi załamania, ale coraz powszechniej dostrzega się fakt, że Pekin w coraz większym stopniu traci kontakt i kontrolę nad całymi połaciami kraju. W

komentarzu oficjalnej chińskiej agencji prasowej Sinhua czytamy, że "Chiny przeżywać będą albo złoty okres rozwoju" lub też nadejdzie "epoka pełna sprzeczności" i chaosu.

Nie oznacza to, że chińska strategia dwutorowości skazana jest na klęskę. Technologia i gospodarka są tą łatwiejszą częścią każdej rewolucji.

BEZSENNE NOCE

Pekin świetnie sobie radzi z protestami rolników walczących z korupcją lokalnych władz czy robotników wielkoprzemysłowych domagających się miejsc pracy. Bardziej martwi się ich eskalacją, niż skłonny byłby to przyznać.

Pozwala to zrozumieć pozornie skrajne reakcje na quasi-religijny kult ruchu Falun Gong, którego członków uwięziono, a według niektórych przekazów także torturowano czy nawet pozbawiono życia.

Falun Gong utrzymuje, że bynajmniej nie jest ruchem politycznym. Jednak kiedy na wezwanie ruchu pod murami rządowej dzielnicy Zhongnanhai w Pekinie stawilo się trzydzieści tysięcy członków ruchu, by zaprotestować przeciwko represjom, w sposób naturalny wielu przywiodło to świeże jeszcze wspomnienia masakry w czerwcu 1989 roku na Placu Tiananmen.

Źródłem niepokoju chińskich przywódców nie była zapewne religijno-mistyczna ideologia tego ruchu, pełna demonów i przybyszów z kosmosu, czy też ich mania gimnastyczna, ale sam fakt, że Falun Gong miał charakter ponadlokalny i ponadregionalny. Był wielki. Miał ogólnokrajowy zasięg. A jeszcze bardziej niepokojące było to, że wielu jego wyznawców znaleźć można było wśród policji i wojska.

Historycznie, Pekin usiłował blokować każdą wielką organizację z wyjątkiem samej tylko partii komunistycznej. Ale możliwości ekipy rządzącej są w tym zakresie coraz bardziej ograniczone: upowszechniająca się telefonia komórkowa, Internet i inne technologie znacznie ułatwiają demonstrantom samoorganizację.

Stanowi to zagrożenie dla przewodniej roli komunistów - coś, co spędzało sen z powiek wszystkim chyba przywódcom komunistycznym: idea sojuszu robotniczo-chłopskiego. A przecież właśnie dokładnie taki sojusz usiłowała utworzyć Komunistyczna Partia Chin aż do czasu, gdy Mao zerwał z sowieckimi doradcami i zaczął budować siłę rewolucyjną opartą raczej na chłopach, niż na trudnych do pozyskania robotnikach.

Ze względu na rywalizujące dziś potrzeby, trudno będzie zjednoczyć chłopów Pierwszej Fali, robotników Drugiej Fali i zwolenników Trzeciej Fali, chyba żeby...

PROSZĘ PAŃSTWA, OTO MAO II

Ludzie zajęci często koncentrują się na najbliższej przyszłości i zwracają uwagę tylko na najbardziej prawdopodobne, przynajmniej z pozoru, scenariusze. Jednak jeśli historia uczy nas czegokolwiek, to właśnie tego, że światem wstrząsają często najmniej spodziewane wydarzenia. Czy można wyobrazić sobie coś bardziej nieprawdopodobnego, niż, powiedzmy, atak dwóch samolotów pasażerskich na World Trade Center? Chiny także mogą nas zaskoczyć.

A zatem to, co się dzieje potem, jest najmniej prawdopodobne. Nałożenie się na siebie wydarzeń bardzo prawdopodobnych, jak te wspomniane wcześniej, a więc załamanie finansowe występujące jednocześnie z wybuchem epidemii i wojną z Tajwanem, bez wątpienia stałoby się początkiem o wiele poważniejszego, acz mało prawdopodobnego, kryzysu.

Wyobraźmy sobie to, o czym wielu mieszkańców Pekinu na pewno myśli - najgorszy koszmar, a mianowicie pojawienie się w przyszłości nowego Mao: Mao II. Charyzmatycznego przywódcy, który w warunkach niepokoju i rozruchów mógłby odsunąć od władzy obecną ekipę i wprowadzić coś, co dla Zachodu byłoby wręcz niewyobrażalne. Nie byłby to Mao komunistyczny. Ani Mao kapitalistyczny. W kraju spragnionym czegoś, co mogłoby zastąpić marksizm, mógłby pojawić się Mao stojący na czele chłopów i robotników oraz młodych przedstawicieli Trzeciej Fali pod sztandarami religijnymi.

Taką religią mogłoby być chrześcijaństwo, gwałtownie zyskujące popularność w Chinach. Bardziej prawdopodobne jest to, że byłaby to osobliwa, nowa religia, wyrosła z jednego z niezliczonych kultów kwitnących dziś w całym kraju. "New York Times" donosi o kipiącym kotle religijnej i pseudoreligijnej aktywności, a nawet rywalizacji, szczególnie na wsi, i dość ostrożnie szacuje, że około 200 milionów Chińczyków to regularnie lub okazjonalnie praktykujący wyznawcy rozmaitych wyznań religijnych. "Sekty chrześcijan powstają i mutują, starając się przyciągnąć do siebie niektóre grupy ludności upośledzonej społecznie. Są więc Wołający, Kościół Ducha Świętego, Stowarzyszenie Uczniów, Białe Słońce, Kościół Holistyczny i Bractwo Płaczu. Wiele z nich ma rys cokolwiek apokaliptyczny. Niektóre grupy są silnie antykomunistyczne. Trzy Stopnie Sług oraz Wschodnie Oświecenie należą do najliczniejszych, chwalcą się milionowymi rzeszami wyznawców."

I teraz wyobraźmy sobie Zhongnanhai w rękach nowej, potencjalnie fanatycznej ekipy. Dodajmy, że ekipa ta znalazłaby się w posiadaniu także broni jądrowej i rakietowej. A może władzę wydzierać sobie będą konkurujący ze sobą wojowniczy przywódcy kultów zawiadujący poszczególnymi prowincjami?

Tak skrajny scenariusz może się wydawać wręcz niemożliwy, czy wręcz niewyobrażalny dla zachodniej opinii publicznej czy zachodnich przywódców politycznych. Ale nie po raz pierwszy w Chinach doszłoby wszak do tego, że masowy ruch religijny doprowadziłby do rozlewu krwi na wielką skalę, próbowałby obalić rząd i rozedrzeć część kraju na strzępy.

Taki był dokładnie rozwój wypadków, kiedy Hong Xiuquan, uwierzywszy, że jest bratem Jezusa, a zatem Synem Bożym, zgromadził wyznawców, zbudował armię i w 1851 roku wyruszył z prowincji Guangxi na północ, próbując obalić dynastię Manchu.

Oddziały Xiuquana, wśród których były również i jednostki wyłącznie kobiece, słynące z okrucieństwa, zdobyły Longan, przeniosły się do Honanu, a następnie pokonały Yuezhou, Hankou, Suchang i Nanjing, którym następnie rządził przez jedenaście lat, aż wreszcie spacyfikowano to Powstanie Tajpingów kosztem co najmniej 20 milionów istnień ludzkich.

W Chinach nadto dobrze pamiętają tę lekcję historii, co wyjaśnia, dlaczego scenariusz typu "wejście Mao II" wydaje się Chińczykom mniej niedorzeczny niż ludziom Zachodu. Koszmarna tego świadomość być może była jeszcze jedną przyczyną brutalnego zdławienia Falun Gong.

Kiedy Zachód zachęca Chiny do przyśpieszenia transformacji demokratycznej, niemal na pewno odpowiedź Chin będzie w dużym stopniu przypominała to, co w 1988 roku powiedział nam w Pekinie Zhao Ziyang, ówczesny sekretarz generalny Komunistycznej Partii Chin. Kiedy naciskaliśmy go w sprawie demokracji, Zhao odparł: "Dla postępów demokracji niezbędna jest stabilizacja."

Zachód może powątpiewać w potrzebę stabilizacji. Chiny nie mogą sobie na to pozwolić - wobec bolesnych, wciąż świeżych i bardzo osobistych wspomnień z czasów tzw. Wielkiego Skoku i Rewolucji Kulturalnej, kiedy życie oddały dziesiątki milionów ludzi. Chiny przeżyły w tym czasie swoje własne piekło, podczas gdy Zachód stał z boku i się przyglądał - w spokoju, ponieważ wydarzenia te nie wywarły żadnego wpływu za granicą, skoro Chiny nie utrzymywały stosunków z Zachodem. Dziś jest zupełnie inaczej: obcokrajowcy - Amerykanie, Europejczycy, Japończycy, Koreańczycy z Południa, Singapurczycy i inni - są właścicielami chińskich fabryk, nieruchomości i innych aktywów wartych wiele miliardów dolarów.

Gdyby przemoc w Chinach miała się nasilić, rząd centralny nie byłby w stanie utrzymać tego w tajemnicy przed własnym społeczeństwem, dysponującym dziś Internetem i telefonami komórkowymi. Jeśli demonstranci zażądają secesji danego regionu (a już dziś jest to aktualny temat w muzułmańskiej, północno-zachodniej części Chin), a niepokoje społeczne wystąpią jednocześnie z innymi kryzysami, które Kenneth Curtis, wiceprezes Goldman Sachs Asia, określa, jako potencjalny "wybuch wulkanu" - mało prawdopodobne jest, że Zachód pozostanie biernym obserwatorem, ryzykując utratę tak wartościowego majątku.

W razie niekontrolowanej eskalacji zagranica może nie tylko wycofać swe inwestycje finansowe, ale dyskretnie interweniować w Chinach dla zapewnienia bezpieczeństwa swych fabryk i innych składników majątku trwałego, być może nawet dogadując się ze skorumpowanymi oficjelnymi lokalnymi czy zbuntowanymi pułkownikami. Tak właśnie działo się w chaotycznych latach trzydziestych, kiedy Chiny, rozdzierane rewolucją, zostały dodatkowo zaatakowane przez Japonię. Nie wolno do tego dopuścić po raz wtóry.

Rozwój Chin mający je przekształcić w nowoczesne i zamożne mocarstwo światowe nadal może zmienić kierunek, być zastopowany, a nawet na długie lata odwrócony. Może mieć zgoła tragiczny przebieg. W interesie całej ludzkości leży jednak, aby nie dopuścić do klęski tego wąskiego, skorumpowanego, przerażającego i wręcz bolesnego eksperymentu polegającego na dwutorowej likwidacji nędzy. Ponieważ to, w jaki sposób chińscy eksperymentatorzy poradzą sobie ze zderzeniem fal bogactwa, będzie miało wpływ na miejsca pracy, portfele inwestycji, produkty aż po odzież noszoną przez nasze dzieci i komputery, którymi się posługują.

Chiny są teraz częścią również i naszego świata.

Rozdział 45

Bambusowy pierścień Japonii

Kiedy japoński premier Hayato Ikeda składał wizytę we Francji w latach sześćdziesiątych, Charles de Gaulle miał ponoć zapytać: "Kim jest ten sprzedawca tranzystorów?" *Fauc pas* francuskiego przywódcy zostało skrętnie odnotowane na kartach historii, więc tym bardziej przyznać trzeba, że żaden inny kraj nie był tak bardzo niedoceniony przez resztę świata - pod względem rozmiarów swej gospodarki i jej znaczenia - jak w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych Japonia właśnie. (Jeszcze bardziej niedoceniony był natomiast sam tranzystor, ale to już całkiem inna historia.)

W latach osiemdziesiątych i na początku dziewięćdziesiątych sytuacja zmieniła się diametralnie. Jen zagroził dolarowi, zawojował Hollywood i Rockefeller Center, a Japonię ogłoszono "Numerem 1." Na finansowych stronach gazet na całym świecie można było wyczuć strach przed japońskim superpaństwem.

Wraz z nastaniem nowego stulecia, lemingi Ekonolandu, maszerując noga za nogą, przekonywały świat, że światowym "Numerem 1" już wkrótce staną się Chiny, zaś Japonia będzie pełniła co najwyżej rolę chińskiej maskotki. Tymczasem okazało się, że Japonia może raz jeszcze zaskoczyć świat.

Zasadnicze zmiany, które wprowadzi Japonia (lub których nie wprowadzi) w ciągu najbliższych dziesięciu lat, będą miały wpływ nie tylko na samochody, jakimi jeździmy, zużywaną przez nas energię, gry komputerowe czy naszą ulubioną muzykę, ale całkiem możliwe, że również na sposób traktowania przez nas osób starszych, na cenę emeryckiego mieszkania i przyszłość dolara.

To, co uczyni Japonia, będzie szczególnie istotne dla całej klasy krajów, które - jak Stany Zjednoczone, Unia Europejska czy Korea Południowa - przeżywają transformację w kierunku nasycenia wiedzą swej gospodarki i społeczeństw. Wolne od ciężaru, jaki stwarzałyby liczna ludność chłopska, nie są krajami trójsektorowymi, jak Chiny, Indie, Meksyk czy Brazylia, ale dwusektorowymi - czyli państwami podzielonymi wewnątrznie pomiędzy kurczący się sektor przemysłowy i rosnący sektor intelektualny.

KTO ZAMAWIAŁ CAFE LATTE?

Napisano tysiące analiz mających wyjaśnić, dlaczego w latach dziewięćdziesiątych japoński cud gospodarczy zaciął się i stanął w miejscu. Wyłania się z nich obraz dziwnego wypadku, jak to z wypadkami bywa.

Gdyby ktoś wybrał się na przechadzkę po tokijskiej Omotesando {{ Omotesando - nazwa tokijskiej ulicy, stacji metra i dzielnicy. Ulica uchodzi za jedną z najbardziej ruchliwych na świecie; szacuje się, że dziennie przejeżdża nią około 100 tysięcy samochodów - przyp. tłum.}}, gdzie obcokrajowcy i co bardziej modna młodzież mają w zwyczaju raczyć się kawą Grande Soy Hazelnut Vanilla Latte, nie

dostrzegłby zbyt wielu oznak kryzysu. Jak później Kenichi Ohmae napisał w swej książce *The Invisible Continent (Niewidzialny kontynent)*, "Gdzież są żebracy?! Gdzież owo dwucyfrowe bezrobocie?!" Sprzedaż wyszukanej wody mineralnej w butelkach wzrosła na potęgę. W pełni obłożone były rejsy luksusowymi statkami pasażerskimi. A młode Japonki tabunami kupowały "tyle markowych produktów od Hermesa, Prady, Louis Vuitton i tym podobnych, że Japonia stała się bezapelacyjnie największym rynkiem zbytu najbardziej luksusowych towarów na świecie."

A przecież japońska gospodarka jeszcze dziś odczuwa skutki krachu na rynku nieruchomości, w wyniku którego w latach 1990-2003 ceny spadły o 60 proc, a w samym Tokio - niemal o 80 proc.

Zachowanie samego tylko rynku nieruchomości nie wyjaśnia jednak tego, że japońskie banki jeszcze w roku 2003 wciąż wykazywały - wedle różnych szacunków - około 400 miliardów dolarów tzw. złych kredytów (czyli pożyczek tzw. nieregularnych). Co gorsza, produkcja wytwórcza w roku 2003 była o 10 proc. niższa niż w 1991 roku i, według raportu Rady ds. Stosunków Międzynarodowych, udział Japonii zarówno w światowej produkcji, jak i eksporcie "zmniejszył się po raz pierwszy od stu lat."

Cóż się takiego stało? Dlaczego superpaństwo tak się skurczyło? (Czy Chiny mogą popełnić te same błędy? Rynek nieruchomości w Chinach już dziś przypomina napompowany, japoński balon sprzed lat.) Trzeba spojrzeć nieco szerzej, niż tylko na szal na rynku nieruchomości i złe kredyty, by wyjaśnić, co się wydarzyło w Japonii. Ową tykającą od dawna bombą, która rozsadziła gospodarkę Japonii, było, w rzeczy samej, niepowodzenie na szczeblu głębokiego fundamentu, jakim jest czas.

KOŚLAWY SKOK JAPONII

Dowiedzieliśmy się już, jak doszło do tego, że Japonia dość wcześnie zaczęła posługiwać się zaawansowanymi technologiami informatycznymi dla zrewolucjonizowania swej bazy wytwórczej, dla diametralnej poprawy jakości swych towarów eksportowych oraz, przede wszystkim, po to, by na światowe rynki wprowadzić całkowicie nowe produkty. Wraz z tymi zmianami Japonia wprowadziła także niezwykle skuteczne nowe narzędzia zarządcze, jak na przykład precyzyjne określanie terminów dostaw (just-in-time). Jak świat światem, nie widziano jeszcze nigdy przedtem tak błyskawicznego sukcesu.

A nawet jeszcze dzisiaj, po kilku latach gwałtownych spadków, Japonia wciąż jest światowym liderem w wielu dziedzinach nauki i technologii. W zakresie ogniw paliwowych dla przemysłu motoryzacyjnego oraz w ogóle w dziedzinie alternatywnych źródeł energii, robotów przemysłowych i humanoidalnych, w zakresie badań nad sztuczną krwią i w zakresie glikobiologii, w elektronice cyfrowej, w dziedzinie gier i osprzętu, a także na wielu innych polach - Japonia jest albo na czele, albo bardzo blisko czołówki. W roku 2004 rząd wyasygnował z budżetu państwa 900 milionów dolarów - czyli więcej niż wszystkie państwa europejskie razem wzięte - na inwestycje w badania nad nanotechnologią. A japońscy badacze, naukowcy i inżynierowie przyzwyczajeni są do wyznaczania nowych granic w wielu dziedzinach.

Ale, co tak usilnie podkreślamy na kartach tej książki, same tylko nauka i technologia nie stanowią zaawansowanej gospodarki. A nasycona wiedzą gospodarka intelektualna, aby odnosić sukcesy,

nie może opierać się wyłącznie na produkcji. Wymaga także rozwiniętego sektora usług. Mimo to Japonia, choć przyspieszyła produkcję i wymusiła przyspieszenie w całym łańcuchu dostaw na świecie - o wiele wolniej wprowadzała jednak komputery i informatykę czy nowe modele biznesowe oraz koncepcje menedżerskie we własnym sektorze usług. Nic dziwnego, że w latach 1995 - 2003 w zakresie wymiany usługowej z zagranicą bilans Japonii był ujemny, przy czym saldo wynosiło 456 miliardów dolarów.

Mówiąc krótko, nieco wykrzywiony rozwój wytworzył pewien stopień de-synchronizacji, zakłócającej całą gospodarkę Japonii także i dzisiaj: produkcja i usługi wciąż nie są z sobą zsynchronizowane.

Żeby posłużyć się słowami "The Economist": "Trudno jest podać przykład choćby jednej dziedziny nieprodukcyjnej, w której Japonia byłaby naprawdę wybitna. Wysokie koszty transportu krajowego hamują rozwój dystrybucji towarów oraz turystyki. Brak konkurencji w energetyce i telekomunikacji zawyża koszty działania firm. Niedorozwinięty jest sektor usług specjalistycznych, takich jak doradztwo prawne czy rachunkowość. Opieka zdrowotna, kluczowa dla gwałtownie starzejącego się społeczeństwa, wykazuje fatalny - niski - poziom efektywności wedle standardów międzynarodowych."

Podniesienie branż usługowych do poziomu branż produkcyjnych wymagałoby skoku w przód, w kierunku bardziej inteligentnych działań intelektualnych oraz nowych form organizacyjnych. Nacisk kładziony na razie na produkcję wywołuje też inne skutki.

Eksport jest dla Japonii szczególnie ważny, ponieważ wobec braku wystarczających własnych źródeł energii i żywności w dużej mierze kraj ten opiera się na imporcie. A zatem wpływy z tytułu eksportu muszą w jakimś stopniu sfinansować ten import. Japonia jednak przesadziła! W rezultacie, jak czytamy w tymże samym raporcie Rady ds. Stosunków Międzynarodowych, Japonia stała się "niefunkcjonalną hybrydą superwydajnych branż eksportowych i superniewydajnego sektora wewnętrznego."

Okazuje się, że dzisiaj jest to szczególnie niekorzystna sytuacja, ponieważ świat się zmienił. Kiedy Japonia budowała swój "cud gospodarczy" bazując na eksporcie, takie państwa jak Korea Południowa, Tajwan, Malezja czy inne gospodarki azjatyckie nie stanowiły znaczącej konkurencji na rynkach światowych. Chiny w ogóle się nie liczyły. A dziś rynki eksportowe są niezwykle konkurencyjne, jeśli nie - wręcz przeładowane.

A zatem eksport, wciąż niezwykle ważny, nie może być dziś już traktowany jako jedyna droga do przyszłości Japonii. Japonia musi sprawić, by gospodarka wewnętrzna była w równym stopniu zaawansowana jak eksport. Nie można poprzestać na tym, co przesądziło o sukcesie Japonii w przeszłości.

ELAST-PAŃSTWA

Jeśli jest coś takiego, co można dziś uznać za niezbędne dla rozpędzonej gospodarki, to tym czymś będzie elastyczność organizacyjna niezbędna w warunkach przejściowych. Zasada ta odnosi

się do każdego społeczeństwa zmierzającego ku gospodarce intelektualnej. Jest ona szczególnie istotna dla Japonii, której sztywne reguły przemysłowe sprawiły, że elastyczność jest niemal nieosiągalna.

Dopóki te pozostałości epoki industrialnej nie zostaną poskromione albo wyrugowane, Japonia będzie wciąż wlokła się za peletonem w wyścigu do przyszłości. Gdy weźmiemy pod uwagę "drugofalowych" krytyków deindustrializacji czy nadreprezentację dawnych regionów rolniczych w polityce albo też biurokratyczny opór wobec restrukturyzacji - pod ich powierzchnią dostrzeżemy ten sam kontrrewolucyjny opór wobec przyszłej gospodarki Trzeciej Fali, z jakim stykamy się w innych krajach.

Wysiłki mające zmienić obowiązujące w Japonii zasady i instytucje rodem z epoki przemysłowej napotykały twarde opór ze strony tych, którzy w nie zainwestowali - czy to siviuteńskich szefów niegdysiejszych gigantów biznesowych, czy biurokratów z wieloletnim stażem w ministerstwie finansów, czy też profesorów powtarzających od dwudziestu pięciu lat jota w jotę te same wykłady. Trwa więc uprzejma i cicha - jednak całkiem zagorzała - wojna partyzancka przeciwko jutrzejszemu zderzeniu fal. Wojna po japońsku.

Mimo tej opozycji, jakieś zmiany jednak zachodzą. Sypie się, na przykład, słynny japoński system dożywotniego zatrudnienia. W ramach tego układu największe korporacje zatrudniały rokrocznie świeżo upieczonych absolwentów, w obustronnym przeświadczeniu, że pozostaną razem aż do emerytury. Zapewniało to jednostkom bezpieczeństwo, jednak znacznie ograniczało ich możliwości. Pracodawcy sporadycznie tylko mogli zatrudnić pracownika, który zwolnił się z firmy konkurencyjnej, co oznacza, że możliwości znalezienia innej pracy - a zatem w ogóle odejścia - były dlań ograniczone. Lepiej więc zostać tam, gdzie się jest. W istocie, kiedyś przepisy prawa pracy wręcz zabraniały wykwalifikowanym pracownikom porzucać miejsce pracy bez zgody szefa. Ten system wzmacniał tylko brak elastyczności.

Statyczne relacje ujawniały się także na poziomie firmowym. A zatem, podczas gdy zachodnie firmy wytwórcze mogły swobodnie dobierać sobie dostawców materiałów, komponentów czy usług, gigantyczne firmy japońskie jakże często stawały się mniej czy bardziej bezpośrednią częścią *keiretsu* - rodziny powiązanych finansowo i wzajemnie wspierających się firm skupionych wokół wielkiej firmy handlowej albo dużego banku.

System *keiretsu* dawał wielkim firmom więcej władzy nad małymi dostawcami, niż zazwyczaj na Zachodzie, często wymagając, by firmy-córki nabywały wszystko wewnątrz grupy, nawet wówczas, gdy lepszej jakości i tańsze części dostępne były gdzie indziej. *Keiretsu* także zatem ograniczała elastyczność.

W tym względzie Japonia niegdyś już dokonała niewyobrażalnego postępu. W ciągu pięciu lat, jak wynika z danych Japońskiej Organizacji Handlu Zewnętrznego, liczba kontraktów zawieranych między członkami tej samej *keiretsu* spadła z 70 proc. do 20 proc. Ale nawet tutaj bywa bardzo różnie. Potentat motoryzacyjny Mitsubishi zlikwidował swą organizację *keiretsu* w roku 2002 tylko po to, by w 2004 roku ją odtworzyć.

Japońscy menedżerowie i oficjele uczepili się także innej anachronicznej pozostałości epoki industrialnej. Są mianowicie przekonani, że duże jest (prawie) zawsze lepsze. Przekonanie to wywodzą z teorii ekonomii skali w produkcji masowej.

Pomija się jednak tym samym dysekonomie wielkich rozmiarów, jak na przykład w wielkich organizacjach, w których nie wie prawica (lub nic ją to nie obchodzi), co czyni lewica. Pomija się także różnicę pomiędzy branżami tradycyjnymi i nowymi, w których skoro tylko produkt niematerialny zostanie wytworzony przez małą firmę, można go powielać i rozpowszechniać na rynkach światowych niemal całkowicie bezkosztowo.

Ważniejszy jednakowoż jest brak elastyczności towarzyszący gigantomanii. Mała łódka może być o wiele bardziej zwrotna i zwinna niż krążownik. A we współczesnym, coraz bardziej przyspieszającym otoczeniu umiejętność bardzo szybkiego działania jest kluczowa dla przetrwania.

Jeśli dotychczasowe doświadczenia z Trzecią Falą czegokolwiek nas nauczyły, to właśnie tego, że mały biznes - jak pokazują przykłady z Doliny Krzemowej - może zmienić świat! Podobnie jak dowolne małe organizmy, małe firmy, a szczególnie te, które są zarazem pionierami technologii, wymagają jednak przyjaznego otoczenia. Oznacza to kulturę powrotu, w której niepowodzenie jest uważane nie tyle za koniec kariery, co raczej za pożyteczne i pouczające doświadczenie - jak w opowieści, być może cokolwiek apokryficznej, o Thomasie Watsonie, byłym prezesie IBM.

Kiedy zapytano go, czy zamierza zwolnić menedżera, który doprowadził do wielomilionowych strat, ponieważ zainwestował w całkowicie chybione przedsięwzięcie, Watson miał odpowiedzieć: "Miałbym go zwolnić? Nic podobnego. Dopiero co zapłaciłem za niego frycowe!"

Nowo powstające firmy technologiczne potrzebują skłonnych do ryzyka inwestorów (venture capital), których w Japonii nie ma zbyt wielu. Przyjazna kultura to także zdemokratyzowany świat finansów - finansów, które można zdobyć za pośrednictwem wielu różnych, konkurencyjnych kanałów. W Japonii głównym źródłem finansowania małych firm są banki, jeśli nie liczyć własnej rodziny. Pieniądze te są jednak dostępne pod warunkiem zapewnienia odpowiedniego zabezpieczenia. W wyniku tej i innych usankcjonowanych tradycją zasad i norm kulturowych, próby stworzenia japońskiej Doliny Krzemowej nigdy nie przyniosły zbyt wielu rezultatów. Kiedy dystygowani panowie o srebrnych skroniach z najważniejszej organizacji świata biznesu w Japonii - Keidanren - wreszcie zaczęli promować "Nowy Ład Cyfrowy" - osiągnęli bardzo niewiele.

Odrodzenie objęło natomiast branżę telekomunikacyjną wraz z upowszechnieniem się telefonów komórkowych i innych technologii, którymi chętnie posługują się dziś młodzi Japończycy. W jakiej mierze przełoży się to na przedsiębiorczość? W Stanach Zjednoczonych co dziesiąty obywatel zaangażowany jest w jakąś działalność gospodarczą. W Japonii - co setny.

W raporcie dla Asia-Pacific Research Center Uniwersytetu Stanforda Henry S. Rowen i A. Maria Toyoda napisali, że "japońskim firmom nie brakuje pomysłów. Japonia była światowym liderem pod względem liczby zgłoszonych patentów w okresie od 1992 do 1999 roku (na drugim miejscu uplasowały się Stany Zjednoczone) i zaliczała się do ścisłej czołówki światowej w zakresie patentów informatycznych. Ale w sektorze informatycznym - mimo silnej pozycji kraju pod względem kapitału

materialnego, wykształconej siły roboczej i głębokich zasobów technologii - nie przełożyło się to na udział w światowym rynku ani na wiele nowych, wartościowych produktów.”

Spółeczeństwa przemysłowe izolują instytucje tworząc biurokratyczne silosy. Przepisy prawa japońskiego zabroniły wręcz swego czasu tworzenia wspólnych przedsięwzięć między uniwersytetami i firmami. Porzucenie tych sztucznych granic przesądzi o rozwoju opartej na wiedzy gospodarki intelektualnej. Nigdy nie doszłoby do powstania Krzemowej Doliny w Stanach Zjednoczonych, gdyby nie można było przekraczać granic między uniwersytetami i firmami - gdyby Stanford University, the California Institute of Technology, MIT i inne uczelnie nie połączyły się z inwestorami typu venture capital w dążeniu do założenia nowych firm dysponujących zaawansowanymi technologiami.

Według tygodnika “Nikkei”, w latach 1980-2000 uniwersytety założyły 2624 firmy na terenie całych Stanów Zjednoczonych. Tymczasem w Japonii liczba nowych firm powstałych z inicjatywy uczelni wyniosła zaledwie 240.

W roku 2004 jednakże Japonia ostatecznie zerwała z żelazną kurtyną oddzielającą innowatorów akademickich od środowisk biznesu poprzez wprowadzenie przepisów zachęcających do zakładania firm przez uczelnie. Wynikiem tego, jak twierdzi Uniwersytet Tokijski, będzie powstanie dwustu nowych firm i to nie co dwie dekady, ale rocznie.

OPÓŹNIENIE DECYZJI

Aby stworzyć pozytywną kulturę, w której zagościć może elastyczna gospodarka nasycona wiedzą, Japonia będzie musiała zweryfikować zasady społeczne wzmacniające brak elastyczności - a zatem także i sposób podejmowania decyzji.

Wiele napisano już o tym, że w Japonii kładzie się nacisk na decyzje grupowe, szczególnie wobec faktu, że zazwyczaj po osiągnięciu konsensusu decyzje wdraża się szybko, ponieważ wszystkie ważne strony tego procesu wspierają dany cel i rozumieją, co trzeba zrobić, by go osiągnąć.

Drugą stroną medalu jest jednakże długość czasu niezbędnego do podjęcia decyzji oraz trudności wywoływane zmieniającymi się szybko odpowiedziami na nowe informacje czy warunki. Przekonaliśmy się, w jaki sposób to działa w czasie kręcenia programu telewizyjnego produkowanego przez ekipę japońsko-kanadyjsko-amerykańską. Zespół japoński był wyjątkowo profesjonalny i w czasie wielu miesięcy współpracy jego członkowie wypracowali bardzo ciepłą relację z ludźmi Zachodu. Obie strony miały okazję obserwować i uczyć się od innych.

Zazwyczaj wieczorem, przed dniem zdjęć nowej lokalizacji, japoński zespół do późna w nocy debatował zajadle o każdym aspekcie ich zadania - kto co robi, kiedy dokładnie i gdzie. Do rana zespół był świetnie przygotowany.

Tymczasem w przeciwieństwie do Japończyków, Amerykanie czy Kanadyjczycy chętnie spędzali wieczór na pogawędkach, wychylając jedno czy dwa piwa, a następnie szli spać.

Kanadyjski reżyser Wally Longul wstawał jednak bardzo wcześnie i samotnie udawał się na miejsce kręcenia zdjęć, by jeszcze raz dokładnie je sobie obejrzeć. Pewnego ranka odkrył w pobliżu

inne miejsce i uznał, że stanowiłoby o wiele lepsze tło do zdjęć. Kiedy zasugerował Japończykom, aby zmienić plan, natknął się na nieprzejeźdny opór - mimo że żaden z nich nie widział wcześniej tego nowego, proponowanego miejsca.

Przyczyna tego pozornie ślepego oporu była jasna. Japończycy zainwestowali dużo czasu i energii w podjęcie tej decyzji. Zmiana miejsca, co w tych warunkach byłoby lepszą decyzją, została odrzucona. A przecież we współczesnych, coraz bardziej przyśpieszających i coraz bardziej skomplikowanych gospodarkach i społeczeństwach zdolność do szybkich zmian planów i szybkiego podejmowania decyzji jest żywotnym mechanizmem przetrwania.

Możemy spodziewać się, że w Japonii nastąpi odwrót od zbiorowych decyzji pod naciskiem szybkich zmian oraz wskutek pojawienia się nowego, coraz bardziej zindywidualizowanego pokolenia.

KONIEC ŻYCIA PRZY GARACH

Aby jej gospodarka rozwijała się w okresie szybkich, a często niezrozumiałych i skomplikowanych zmian, Japonia będzie musiała poluzować swą sztywną strukturę ról - nie tylko w ramach życia zawodowego oraz ogólnie na rynku pracy, ale także głębiej - na polu życia rodzinnego oraz relacji między rolami kobiet i mężczyzn.

W przeszłość odchodzą dawne przekonania co do małżeństwa i rodziny oraz ich odniesień do gospodarki. Według "białej księgi" opublikowanej przez Kancelarię Rady Ministrów, w 1972 roku 80 proc. kobiet i mężczyzn uważało, że pracować zawodowo winni jedynie mężczyźni. Kobiety - żony - powinny pracować wyłącznie w gospodarstwie domowym. W roku 2002 nie zgadzało się z takim podziałem pracy aż 42 proc. mężczyzn i 51 proc. kobiet.

Młode kobiety wychodzą dziś za mąż później i nie czują się już tak bardzo napiętnowane społecznie, jeśli pozostają w stanie niezamężnym. Spośród kobiet w wieku 30 - 34 lat nigdy nie wyszło za mąż aż 27 proc. - jest to więc znaczny, bo dwukrotny wzrost w ciągu zaledwie dziesięciu lat. Dzisiejsze, bardziej asertywne kobiety stanu wolnego nie wyobrażają sobie życia "przy garach", jakby nie było dla nich lepszego miejsca na świecie.

Te panie, które wychodzą za mąż - rodzą mniej dzieci; stopa reprodukcji w Japonii jest najniższa od sześćdziesięciu lat i wynosi 1,29 na parę. Ponadto kobiety coraz częściej pracują zawodowo - obecnie pracuje o 13 proc. Japonek więcej niż w roku 1985. Wciąż jednak daleko im do uzyskania równych praw z mężczyznami.

Podczas gdy możliwości awansu kobiet przedstawiają się lepiej w branży informatycznej oraz firmach związanych z Internetem, "The Japan Times" donosi, że w roku 2003 kobiety stanowiły jedynie 9,9 proc. kadry zarządzającej w Japonii, w porównaniu z 45,9 proc. w Stanach Zjednoczonych i ponad 30 proc. w Wielkiej Brytanii, Francji, Niemczech czy Szwecji. A zarobki kobiet wciąż kształtują się na poziomie 46 proc. zarobków mężczyzn.

Tymczasem rząd, z myślą o powstrzymaniu spadku przyrostu naturalnego, wezwał przedsiębiorstwa do wprowadzenia urlopu "ojcowskiego", w nadziei, że panowie będą pomagać

swoim żonom i wzmocnią swe związki z nowo narodzonymi dziećmi. Tak mało mężczyzn skorzystało jednakże z tych nowych możliwości, że władze miejskie w Ota doszły do wniosku, iż niezbędne są bardziej surowe, bardziej kreatywne (i prokreatywne) rozwiązania.

W roku 2004 wprowadzono tam przepis, iż wszyscy mężczyźni zatrudnieni w instytucjach gminnych będą otrzymywali obligatoryjnie czterdzieści dni urlopu w ciągu roku po urodzeniu się dziecka w rodzinie. Ponadto mężczyzn zobowiązano do notowania i relacjonowania tego wszystkiego, czego nauczyli się dzięki temu doświadczeniu. Istotą pomysłu, jak powiedział jeden z wysokich rangą urzędników miejskich, było “zaangażowanie mężczyzn w wychowywanie dzieci” oraz przeciwdziałanie poglądom, wedle których takie postępowanie postrzegane jest jako przejaw zniewieściałości.

Przykład Oty dowodzi, że nawet urząd miasta może, raz po raz, myśleć niesztampowo. A także o tym, że wobec bezlitosnych statystyk przywódcy japońscy są autentycznie zdesperowani. Ale czy są w y s t a r c z a j ą c o zdesperowani?

Nie znaczy to przecież, że wszystkie kobiety muszą pracować zawodowo. Opieka nad dziećmi i prowadzenie domu to niezwykle istotne działania prosumenckie, które wszak również tworzą wartość ekonomiczną i utrzymują przy życiu gospodarkę pieniężną. Jednak dawny podział pracy, oparty na odrębnych rolach kobiety i mężczyzny, to jeszcze jedna sztywna struktura hamująca marsz japońskiej gospodarki ku rewolucyjnemu bogactwu.

W dzisiejszym ogólnoświatowym wyścigu w tworzeniu gospodarek pieniężnych, których podstawą jest wiedza, Japonia - kraj będący niegdyś liderem przemian - używa dziś zaledwie połowy swych intelektualnych zasobów. To chyba nie jest najmądrzejsze rozwiązanie...

SREBRNA FALA

Sztywne struktury przemysłowe marnują na wielką skalę potencjał nie tylko kobiet, ale także ludzi starszych.

Japonia nie jest jedynym mocarstwem, które stoi w obliczu załamania się programu zabezpieczeń społecznych wywodzącego się z epoki przemysłowej. To samo można zaobserwować w wielu krajach Europy i w Stanach Zjednoczonych. Jednak wydaje się, że ryzyko jest największe właśnie w Japonii. A Japonia mogłaby przecierać szlaki - znajdując rozwiązania bardziej odpowiednie w gospodarkach rozwiniętych.

W latach dwudziestych XX wieku w Japonii przyjęto jednakowy dla wszystkich wiek pięćdziesięciu lat jako obowiązkowy wiek emerytalny. Były to czasy, kiedy większość wykonywanej pracy miała charakter fizyczny, a przeciętny emeryt żył krócej niż 10 lat od chwili przejścia na emeryturę. Dopiero w roku 2000 wiek emerytalny podniesiono do 65 roku życia.

Wobec przeciętnej długości życia w Japonii wynoszącej 81,9 lat Japończycy - żeby posłużyć się słowami Juliana Chapple z Uniwersytetu Kyoto Sangyo - “bardzo szybko stają się najstarszą populacją w dziejach świata.” Przedstawiciele starszego pokolenia w Japonii osiągnęły

siedemdziesiąty piąty rok życia w dość dobrym zdrowiu, w porównaniu z sześćdziesięciolatkami w USA.

W oczach większości ludzi wynikiem tego jest poważny kryzys, który będzie z czasem stanowił poważne obciążenie dla młodego pokolenia i sprawi, że Japonia będzie mniejsza i biedniejsza.

W ożywionej debacie nad sposobem zaradzenia temu kryzysowi wiele zgłaszanych pomysłów rodzi też kłopotliwe pytania. Kto powiedział, na przykład, że posiadanie więcej dzieci jest rozwiązaniem dla starzejącego się społeczeństwa? Kto powiedział, że mniejsza liczba ludności od razu znaczy, że ludność ta będzie biedniejsza? Spójrzmy na Szwajcarię czy Singapur! Kto wie, ile pieniędzy będzie potrzeba dla zapewnienia godziwych emerytur w roku, powiedzmy, 2050?

Można racjonalnie założyć, na przykład, że w ciągu, powiedzmy, najbliższych dwudziestu lat uda się wyprodukować przynajmniej częściowe lekarstwa na tak kosztowne w leczeniu choroby, jak Alzheimer, cukrzyca, osteoporoza czy artretyzm reumatoidalny, które są szczególnie często spotykane wśród starszej populacji. A w każdym razie zostanie wdrożona profilaktyka zmniejszenia częstotliwości ich występowania. Analizowanie statystyk ubezpieczenia społecznego przy jednoczesnym braku refleksji na temat przyszłości zdrowia doskonale oddaje sens ograniczeń biurokratycznych, sprawiających, że ministerstwo finansów działa w oderwaniu od ministerstwa zdrowia.

A poza tym: możliwe, że wzrostowi wydatków przeznaczanych na osoby starsze będzie towarzyszył spadek nakładów na inne grupy wiekowe. Czy spadający przyrost naturalny nie wskazuje na potrzebę zmniejszenia liczby szkół podstawowych i średnich? Czy nie czas przewidzieć, że w przyszłości znacznie spadną koszty działania przychodni pediatrycznych i dziecięcej opieki zdrowotnej?

Potrzebne jest - i to nie tylko w Japonii - bardziej radykalne i bardziej holistyczne podejście do problemu, wymagające zarazem dużej dozy wyobraźni. Japonia będzie musiała wynaleźć wiele nowych sposobów na rozwiązanie problemów, które przynosi "srebrna fala", jak ją nazwano.

Jaki będzie, na przykład, wpływ docelowego outsourcowania usług emerytalnych na ekonomię starzenia się? Wedle danych prof. Davida Warnera z University of Texas, około dwóch milionów amerykańskich emerytów mieszka dziś poza granicami Stanów Zjednoczonych. Wiodą życie rozsiani po całym świecie, zaś w samym tylko Meksyku mieszka ich 600 tys., gdzie czteropokojowy dom pod Guadalajarą można wynająć za zaledwie siedemset dolarów miesięcznie.

Również za granicą mieszka około miliona brytyjskich emerytów, przy czym ich liczba ma do roku 2020 wzrosnąć do pięciu milionów, jak wynika z opracowania Alliance & Leicester International. Do 2012 roku, czytamy w opracowaniu, rządy ubogich państw będą starały się ściągnąć do siebie emerytów z zamożnych państw świata.

Powiada się o Japończykach, że niechętnie mieszkają za granicą z obawy przed samotnością i izolacją kulturową. Dwoje spośród nich, którzy wybrali takie właśnie życie na emeryturze, to Akira Nihei wraz z żoną. W roku 2003 przenieśli się z północnojapońskiego Hokkaido do Pengangu w o wiele cieplejszej Malezji. Twierdzą, że ich nowe, czteropokojowe mieszkanie kosztuje pięćset

dolarów miesięcznie - to wiele mniej niż tysiąc dwieście dolarów, które musieli wydawać na mieszkanie w Hokkaido. Poza tym, dodaje Nihei, mieszkanie w Hokkaido "nie posiadało basenu, kortu tenisowego, siłowni i ochrony."

Pewnego razu japońscy deweloperzy omawiali utworzenie na wielką skalę miast dla emerytów w tanich krajach, gdzie Japończycy nie czuliby się samotnie. Co stanie się z ogólną ekonomią starzenia się, jeśli znaczna część ludności wyjedzie za granicę, przy założeniu, że rząd japoński zrealizuje obietnice sfinansowania placówek medycznych o standardzie nie odbiegającym od japońskiego w każdym takim skupisku? Pakiet może zresztą obejmować ofertę pewnych usług medycznych świadczonych - we współpracy z resortem zdrowia danego kraju - także ludności miejscowej. Część kosztów takiego przedsięwzięcia mogłaby być pokrywana ze środków Official Development Assistance.

FILIPINKA CZY ROBOT?

Ujmując rzecz krótko, potrzebne jest bardziej innowacyjne podejście do problemu "srebrnej fali" - niezbędne są rozwiązania, które być może będą musiały przekraczać granice wielu istniejących biurokracji.

Emerytom na ogół zarzuca się, że są nieproduktywni. Starsze osoby wcale nie muszą być nieproduktywne i większość z nich nie jest nieproduktywna, jeśli zgodzimy się z tym, że oprócz opłacanej produkcji tworzą także wartość ekonomiczną w drodze prosumpcji.

Nie musimy tu powtarzać wywodów na temat prosumpcji z poprzednich rozdziałów. Japonia mogłaby być światowym liderem w zakresie rozwiązań problemów związanych ze starzeniem się, które polegałyby na tym, że zwiększano by produktywność i produktywność prosumentów w podeszłym wieku.

Wiemy, że prosumenci wytwarzają kapitał społeczny poprzez pracę w wolontariacie. Japonia mogłaby rozważyć ułatwienie wolontariatu starszym ludziom, i to na wielką skalę. Albo mogłaby wziąć pod uwagę uruchomienie pożyczek w umiarkowanej wysokości dla niektórych emerytów, dzięki którym mogliby zakupić narzędzia czy materiały. Wszedłszy w ich posiadanie emeryci wreszcie mieliby okazję sprawdzenia swoich od dawna hołubionych pomysłów dotyczących nowych produktów czy usług, które można by sprzedać w gospodarce pieniężnej. Dysponując narzędziami stolarskimi, emeryt mógłby produkować meble, które podarowałby znajomemu w zamian za podwożenie go do lekarza w każdą środę, po południu. Jak widać, istnieje wiele sposobów zwiększenia owoców pracy prosumentów. Poza tym zamiast regularnej wypłaty można tu posługiwać się alternatywnymi formami pieniędzy.

Emeryci wymagający opieki wcale nie muszą dokonywać wyboru między - jak ujął to dość bezceremonialnie pisarz science fiction Sakyo Komatsu - "Filipinką a robotem."

Przyznać trzeba jednak, że niektóre zarysowane tu pomysły mogą być niepraktyczne. Aby rozwiązać wiele problemów XXI wieku, niezbędne będzie przebadanie wielu niekonwencjonalnych

pomysłów. Wiele z nich przyniesie tym samym wyzwolenie od anachronicznych założeń rodem z epoki industrialnej.

Japończycy wielokrotnie udowodnili, że są narodem niezwykle kreatywnym, który potrafi odnajdować niewielkie, za to fascynujące i nowatorskie rozwiązania rozmaitych dylematów. Aby rozwiązać problemy, które piętrzą się właśnie dziś, będą musieli zaangażować tę samą kreatywność i ciekawość poznawczą, eksperymentując jednocześnie na dużą skalę.

CZEKAJĄC NA PIERŚCIEN

Gdzie by nie spojrzeć, niemal na każdym szczeblu, Japonia stoi w obliczu usztywnień strukturalnych, które - jeśli potraktować je *en bloc* - jeszcze trudniej wyeliminować niż złe kredyty albo techniczne czy organizacyjne zacofanie w sferze usług. Właściwie to ta sztywność organizacyjna stanowi zagrożenie dla Japonii, która w obliczu szybko nadchodzącej przyszłości musi stawić czoło bezprecedensowym przemianom. W Japonii, podobnie jak gdziekolwiek indziej, jest pewna granica, po przekroczeniu której sztywność staje się *rigor mortis* {{ Rigor mortis - (łac), dosł. "sztywność śmierci". Med. - "stężenie pośmiertne mięśni" - przyp. tłum. }}.

W 2005 roku premier Junichiro Koizumi z Partii Liberalno-Demokratycznej przełamał długotrwały *rigor mortis*, wykonując wielki gest politycznego jujitsu. Odwracając się od wyborców na wsi - od pięćdziesięciu lat stanowiących stabilny elektorat PLD oraz konserwatywny blok wyborców - zdobył poparcie w wielkich miastach i został ponownie wybrany.

Konflikt fal pomiędzy wsią i miastem był w Japonii obecny od dawna, a rząd "już od kilkudziesięciu lat dla zdławienia tego wewnętrznego konfliktu posługuje się deficytem budżetowym" - powiada Curtis z Goldman Sachs. "Konflikt fal został rozmiękczony za sprawą gigantycznych wydatków, które - w rezultacie - umożliwiły przejmowanie różnych branż gospodarki."

"Dla Japonii gra jest już prawie skończona. Jen jest bardzo osłabiony, ceny energii wysokie, a konkurencja z Chinami i z Indiami coraz większa. Jeśli możemy powiedzieć, że Chinom zagraża wulkan, należałoby uznać, że Japonii zagraża wewnętrzny wybuch."

Na szczęście Japonia zaczyna powoli zdawać sobie sprawę z potrzeby dogłębnego przewartościowania całego systemu, który służył jej tak dobrze przez niemal półwiecze od zakończenia II wojny światowej. Wskazuje na to choćby dyskusja na temat zmiany konstytucji. Najbardziej kontrowersyjne zagadnienie - jak i w ogóle czy zredefiniować rolę wojska - omawiane jest od kilkudziesięciu lat! Debata konstytucyjna idzie jednak znacznie dalej. Niektóre z proponowanych rozwiązań, które wywarłyby wpływ na przyszłość bogactwa, oddziaływałyby również na środowisko naturalne, bioetykę i - co ma kardynalne znaczenie dla gospodarki opartej na wiedzy - własność intelektualną.

Być może niezbędne jest też ustawodawstwo nakazujące okresowy przegląd zakresu władzy, roli i struktury biurokracji. Powinno ono zawierać klauzulę zwiększającą zakres praw kobiet oraz zmieniającą role i prawa imigrantów, a także mniejszości etnicznych - nie tylko ze względu na fakt,

że zasilają one siłę roboczą, ale także ze względu na różnorodność idei i kultur, które mogą stać się siłą napędową innowacyjności i czynnikiem wzbogacającym Japonię.

Wreszcie, Japonia w dość bolesny sposób weryfikuje rolę, jaką odgrywa w gospodarce światowej w świetle odrodzenia Chin. Inwestycje japońskie w Chinach dorównują dziś poziomem zaangażowania kapitałowego Japonii w Stanach Zjednoczonych; w 2002 roku Chiny prześcignęły Stany Zjednoczone w zakresie eksportu towarowego do Japonii, którego jedna trzecia pochodzi z japońskich zakładów położonych w Chinach.

Nie miejsce tu na omawianie problemów geopolityki Azji czy kwestii nawrotu do nacjonalizmu zarówno w Chinach, jak i w Japonii. Decyzje, jakie Japonia musi podjąć w ciągu najbliższych dziesięciu lat, wywrą jednak olbrzymi wpływ na gospodarkę i bezpieczeństwo Stanów Zjednoczonych i reszty świata.

Z jednej strony Japonia ze wszech sił dąży do maksymalnego wyzyskania niskich kosztów produkcji w Chinach oraz dostępu do chińskiego rynku wewnętrznego. Jednocześnie wzmacnia swe związki wojskowe ze Stanami Zjednoczonymi. Często jednak pomija się gospodarcze znaczenie istniejącego układu bezpieczeństwa między Stanami Zjednoczonymi i Japonią. A przecież bez niego aż tak spektakularny rozwój Azji być może nigdy nie miałby miejsca.

Amerykańsko-japoński Pakt o Współpracy Wzajemnej i Bezpieczeństwie odegrał kluczową rolę w stabilizowaniu azjatyckiej części basenu Oceanu Spokojnego w ciągu trwającego kilkadziesiąt lat okresu najbardziej gwałtownego i powszechnego wzrostu gospodarczego.

Bez tego czynnika stabilizującego o wiele trudniej byłoby Azji - a więc także i Chinom - przyciągnąć inwestycje z Europy i Stanów Zjednoczonych, nie wspominając już o Tajwanie i Korei Południowej. To między innymi dzięki temu takie firmy, jak GM, Intel i Anheuser-Busch ze Stanów Zjednoczonych, podobnie jak BMW, Siemens i BASF z Europy podjęły ryzyko inwestycyjne i usadowiły na terenie całej Azji fabryki, centrale infolinii, laboratoria badawcze i inne inwestycje.

Dziś, dzięki temu, że jednocześnie zacieśnia swe związki militarne z Ameryką i gospodarcze z Chinami, Japonia może stać się jeszcze bardziej kluczową siłą w regionie, w którym wciąż drzemie spory potencjał konfliktów zbrojnych, pandemii, katastrof ekologicznych, walk religijnych czy terroryzmu. Możliwy jest też zgoła odmienny rozwój wypadków: zmniejszenie siły przetargowej Japonii wobec obu tych krajów.

Podczas gdy wiele firm japońskich wręcz na wyścigi otwiera swe zakłady w Chinach, może się okazać, że te same firmy zaczną tracić udziały w globalnych rynkach na rzecz tanich produktów "made in China". W najbliższym czasie Japonii także potrzebna będzie polityka dwupasmowa. Japonia musi bowiem zmniejszyć swą zależność od eksportu - szczególnie masowych, tanich, nieosobistych produktów konsumpcyjnych. W tym samym czasie musi też dokończyć transformację ku gospodarce intelektualnej i społeczeństwu Trzeciej Fali - nawet jeśli wymagać to będzie drastycznych reform wewnętrznych. Albo obecne pokolenie, albo następne, niezwykle zajęte japońskimi filmami anime, czasopismami typu "manga" i grami komputerowymi, na własnej skórze doświadczą spadku japońskich wpływów i dostatku w coraz bardziej niestabilnej Azji.

Czasami powiada się, że Japonia przypomina bambus. Bambus rośnie podzielony na długie proste odcinki zielonego pnia naznaczonego raz po raz wąskimi szaro-brunatnymi pierścieniami. Powiedziano nam, że proste odcinki symbolizują długotrwały opór Japonii wobec zmian. Pierścienie, w przeciwieństwie do nich, oznaczają nagłe, rewolucyjne zmiany.

Przyszłość bogactwa wszędzie - od Stanów Zjednoczonych i Europy po Chiny i Azję Wschodnią - w dużym stopniu zależy będzie od tego, czy Japonia właśnie nie zbliża się do bambusowego pierścienia.

Rozdział 46

Zagubione przesłanie do Europy

Xavier de C*** (jego nazwisko niech pozostanie tajemnicą) jest szpiegiem. Jest też poszukiwaczem przygód, naukowcem i doradcą rządów. I autorem frapującej propozycji, by Europa pomogła utworzyć "Stany Zjednoczone Zachodu" i wspólnie z "Gwiazdą Ameryki" powołała do istnienia nowy supernaród, który sprawowałby pieczę nad różnymi barbarzyńcami w pozostałej części świata.

Swoją propozycję Xavier przedstawił w dowcipnym eseju, w którym okrutnie rozprawia się z tym, co uważa za francuskie ego, i wyjaśnia, dlaczego właściwie odrzucił swój francuski paszport i przyjął obywatelstwo Stanów Zjednoczonych.

Wymieniając wiele zalet powiększonego Zachodu, Xavier pisze o kulturze, współpracy militarnej i ekspansji amerykańskiej bazy podatkowej poprzez dokooptowanie do niej Europejczyków. Co więcej, utworzenie takich super-stanów dałoby Europejczykom prawo wyborcze w USA - a w opinii Xaviera tylko tamtejsze wybory mają jakiegokolwiek znaczenie.

Esej wywołał ostre protesty ze strony francuskich nacjonalistów, a także lewicy, którzy potraktowali jego propozycję dosłownie - mimo że Xavier, jak się potem okazało, był postacią fikcyjną. Został wymyślony przez Regisa Debray, oryginalnego intelektualistę, znanego głównie z tego, że w latach sześćdziesiątych przyjaźnił się z Che Guevarą i Fidelem Castro.

Xavier nie proponuje jednakowoż na poły poważnej analizy gospodarczej takiego wymyślanego, zjednoczonego państwa. Cóż takiego mogłaby do tego związku wnieść Europa? Na co mogłaby liczyć w zamian? Dokąd będą zmierzać obie gospodarki w ciągu najbliższych kilkudziesięciu lat? W jaki sposób będzie przepływać między nimi bogactwo?

NAJGORSZY OKRES W DZIEJACH

Bez względu na to, jakie są teoretyczne zalety takiego fikcyjnego związku, tak się niestety składa, że Stany Zjednoczone i Europa coraz bardziej się od siebie oddalają, zamiast się przybliżać.

I choć prawdą jest, że globalizacja skłoniła zarówno Europę, jak Stany Zjednoczone do przyjęcia pewnych wspólnych zasad gry w finansach czy mówienia tym samym językiem o zagadnieniach korporacyjnych, jak np. "przejrzystość procesów" - o wiele poważniejsze siły wymuszają wzajemne oddalenie się od siebie Europy i Ameryki. Jedną z takich sił jest odrodzenie Chin, które można przyrównać do wrzucenia wielkiego głazu do "światowego" basenu; teraz na powierzchni powstają potężne fale wywierające wpływ na wszystkie główne waluty i relacje handlowe oraz rozbijające długotrwałe sojusze.

Z historycznego punktu widzenia Europa i Stany Zjednoczone były dla siebie nawzajem najważniejszymi partnerami handlowymi. Od 1985 roku, wobec znacznego zwiększenia obrotów handlowych z Chinami zarówno przez państwa europejskie, jak przez USA, przepływ importu i

eksportu pomiędzy Ameryką i Europą, wyrażany odsetkiem obrotów handlu zagranicznego, zaczął spadać. Kto nie wierzy, niech kupi torbę od Vuittona. Najprawdopodobniej okaże się, że wyprodukowano ją w Chinach - legalnie czy też nielegalnie.

Zmniejszenie wzajemnej transatlantyckiej zależności gospodarczej występuje w warunkach coraz bardziej zaciekłych sporów handlowych: Europa wprowadziła zakaz importu żywności modyfikowanej genetycznie i podniosła cła na amerykańskie towary poczynając od miodu, bananów i łyżworolek, a skończywszy na reaktorach jądrowych.

William A. Reinsch z National Foreign Trade Council (Krajowej Rady ds. Handlu Zagranicznego) przypomina ponadto, że Unia Europejska zablokowała proponowane połączenie się Honeywell i General Electric w roku 2001 oraz nałożyła na Microsoft karę w wysokości 613 milionów dolarów za zachowania antykonkurencyjne, nakazując firmie Billa Gatesa wyłączenie programu do odtwarzania multimediiów z pakietu "Windows". Z kolei Stany Zjednoczone wprowadziły cła i zawiesiły import europejskiej stali, wędlin, łożysk kulkowych i makaronów.

Nic dziwnego, że już w 2004 roku miesięcznik "CFO" donosił, iż "nawet w ramach tradycyjnych zagadnień handlowych Stany Zjednoczone i Europa przeżywają najgorszy okres w dziejach."

Sytuacja pogorszyła się jeszcze bardziej w wyniku kontrowersji, do której doszło w 2005 roku w związku z europejskimi planami zniesienia embarga na sprzedaż broni Chinom. Dla Stanów Zjednoczonych oznaczało to mało prawdopodobną, ale za to niebezpieczną ewentualność: jeśli Chiny miałyby zaatakować Tajwan, do którego ochrony Stany Zjednoczone się zobowiązały, wojska amerykańskie mogłyby w razie konfliktu natknąć się na broń dostarczaną Chińczykom przez ich europejskich "partnerów." W 2005 roku Europejczycy zostali postawieni wobec konieczności wstrzymania planu.

Wszystkie te konflikty zatem można postrzegać jako wstępne utarczki zapowiadające poważniejsze konflikty na linii Europa - Ameryka w przyszłości.

CORAZ GŁĘBSZA PRZEPAŚĆ

Ostatnio erozję związków Stanów Zjednoczonych z państwami europejskimi przypisuje się ostrym różnicom zdań co do wojny w Iraku, ale działają tu także i znacznie głębsze siły.

Można powiedzieć, że sojusz transatlantycki stracił swoją rację bytu w tym samym dniu, kiedy Europa Zachodnia przestała bać się ataku Związku Sowieckiego i doszła do wniosku, że nie potrzebuje już opieki amerykańskich żołnierzy i podatników. I nawet jeśli rzeczywiście tak było, nie tłumaczy tego, co się naprawdę dzieje.

Rzecz w tym, że przepaść między USA a Europą zaczęła się pogłębiać kilka dekad wcześniej - kiedy to Stany Zjednoczone zaczęły zmieniać swoje relacje do głębokich fundamentów i zaczęły budować gospodarkę intelektualną. Główne państwa europejskie tymczasem koncentrowały się na odbudowie po II wojnie światowej i rozwoju gospodarki opartej na bazie przemysłowej.

Przez chwilę wydawało się, że Europa - dysponująca doborową, utalentowaną kadrą naukową, informatyczną, futurologami i myślicielami - doskonale wykorzysta nowe możliwości technologiczne.

Jednak na czele Europy stanęli zachowawczy liderzy biznesowi i politycy przesiąknięci wiodącymi doktrynami epoki industrialnej, niezdolni do myślenia poza wyznaczonymi ramami.

To prawda, że w ciągu ostatnich lat Europa posuwała się szybciej niż Stany Zjednoczone w wielu zaawansowanych sektorach, na przykład w zakresie telefonii komórkowej. Doskonale dawał sobie radę Airbus rywalizujący z pogrążonym po uszy Boeingiem. Europa wyprzedza Stany Zjednoczone w zakresie wykorzystywania udostępnianych w sieci wolnych mocy obliczeniowych komputerów. Francuzi konkurują bardzo ostro w sektorze umieszczania satelitów na orbicie okołoziemskiej, a Europa planuje uruchomienie konkurencyjnego - wobec amerykańskiego - systemu lokalizacji satelitarnej (GPS). Brytyjczyk Tim Berners-Lee dał nam World Wide Web, czyli podstawę Internetu. Linus Torvalds, Fin, ofiarował światu Linuxa. A Europejska Agencja Kosmiczna prowadziła przedsięwzięcie, w ramach którego - we współpracy z NASA - umieszczono sondę na Tytanie - księżycu Saturna. Listę można by jeszcze znacznie wydłużyć. Ale te sukcesy trzeba dojrzeć na nieco szerszym tle.

Otóż do dzisiaj myślenie w Unii Europejskiej wciąż zdominowane jest przez kluczowe zasady industrializacji, takie jak standaryzacja, koncentracja, maksymalizacja skali i centralizacja. A zatem wraz z odchodzeniem od masowości i wdrażaniem demasyfikacji w gospodarkach opartych na wiedzy, a zarazem wobec coraz większej różnorodności społecznej i kulturalnej, Europa homogenizuje odrębności narodowe. Unia Europejska chętnie mówi o tym, jak ważna jest różnorodność, jednakże w praktyce nieustannie "harmonizuje" wszystko - od podatków poprzez kosmetyki po podania o pracę i przepisy ruchu drogowego. Co gorsza, ujednocając z zasady wszystko, na ogół wybiera najtrudniejsze i najmniej elastyczne wersje spośród tych, które są dostępne.

Podobnie jak w Japonii i w innych krajach, sukces w zaawansowanych gospodarkach intelektualnych wymaga od biznesu i organizacji rządowych coraz większej elastyczności. Unia Europejska jednak specjalizuje się w narzucaniu sztywnego, kompleksowego sterowania - nawet w odniesieniu do budżetów i decyzji finansowych państw członkowskich.

Zgodnie z postanowieniami traktatu z Maastricht, każde państwo członkowskie Unii Europejskiej posługujące się walutą euro zobligowane jest do utrzymywania deficytu budżetowego w granicach maksimum 3 proc. PKB. Uzgodniono ten warunek głównie pod imperialną presją Niemiec, które wnet przekonały się, że obostrzenie to jest tak restrykcyjne, że same częstokroć łamały postanowienia nieelastycznego traktatu. Wymóg ten jeszcze nie tak dawno temu narzucany był innym państwom, z niemałym udziałem Niemiec. W roku 2004 "International Herald Tribune" zauważył, że "mniej więcej sześć państw członkowskich spośród dwunastu państw należących do strefy euro pozostaje w konflikcie z traktatem."

W roku 2005 Francuzi i Duńczycy odrzucili proponowaną konstytucję, czyli UE - biurokratyczne arcydzieło pomieszczone na "zaledwie" 400 stronach. Krytycy wytykali eurokratom, że autorzy Konstytucji Stanów Zjednoczonych na niespełna 10 stronach zdołali pomieścić nie tylko ustawę zasadniczą, ale także Kartę Praw.

SPIESZ SIĘ POWOLI

Poszerzający się rozdział pomiędzy Europą Zachodnią a Stanami Zjednoczonymi jest też odbiciem dwóch diametralnie odmiennych postaw wobec głębokiego fundamentu - czasu.

Europa i Ameryka działają z różną szybkością. Europa jest znacznie zapóźniona względem Stanów Zjednoczonych w zakresie pracy w domu, co zazwyczaj umożliwia pracownikom dowolnie kształtować godziny pracy. Nawet w sklepie czy biurze - Europa została w tyle pod względem elastyczności harmonogramów, działania 24/7 i innych odstępstw od typowej, przemysłowej rutyny.

Elastyczność siły roboczej niezbędna jest firmom, by mogły z powodzeniem rywalizować na globalnych dziś rynkach, ale pracownicy w Europie, podobnie zresztą jak pracodawcy, wpadli w pułapkę nieelastycznych rozwiązań czasowych.

I nie chodzi tu wyłącznie o dłuższe urlopy wypoczynkowe, ogólnie krótszy tydzień pracy czy, generalnie, wolniejsze tempo życia, stanowiące zresztą w Europie, szczególnie we Francji, powód do dumy. Postawa ta przejawia się nawet w odniesieniu do posiłków. W odpowiedzi na rozprzestrzenianie się na świecie powstałej w Ameryce branży fast food, Europa zapoczątkowała ruch "slow food", którego celem jest walka z fast foodami {{ *Slow food* ang. dosł. "powolne jedzenie" w przeciwieństwie do *fast food* - ang. "szybkie jedzenie"-przyp. tłum.}}.

Ruch ten, zapoczątkowany pół żartem, pół serio we Włoszech w 1986 roku, obecnie - jak twierdzi - skupia osiemdziesiąt tysięcy członków w stu krajach, w tym m.in. 145 oddziałów w Stanach Zjednoczonych. Uczestnicy ruchu organizują spektakle, publikują książki i celebrytują dobre (i wolne) jedzenie.

Z ruchu slow food wypączkował (powoli, oczywiście) kolejny, zwany *cittaslow*, skupiający się na utrzymywaniu powolnego tempa życia w małych miastach. Promuje lokalne produkty oraz ochronę środowiska naturalnego; jest tak bardzo oddany powolności, że - według stanu na 2002 rok - spośród trzydziestu miast włoskich, które współtworzyły ruch, żadne jeszcze nie zdołało uzyskać członkostwa. "Raczej nie uzyskają członkostwa szybko" - wyjaśnił jeden z organizatorów ruchu. "To może potrwać latami."

Być może wkrótce powstanie jeszcze jedna organizacja: dla tych, którzy cenią sobie zarówno szybkie, jak i powolne tempo życia - w zależności od sytuacji i którzy są w stanie zaspokoić w pośpiechu głód hamburgerem, ale potrafią też delektować się homarem.

Tymczasem Brytyjczycy uchodzą na wieś, do miejscowości typu Agincourt w północnej Francji, w poszukiwaniu spokoju i jeszcze wolniejszego tempa życia.

Ucieczkę tę wspierają bez wątpienia niższe ceny nieruchomości i być może również tunel pod kanałem La Manche oraz dodatkowe połączenia lotnicze, które wszak - aż wstyd przyznać - znacznie przyspieszają podróż. W tej sytuacji trudno się dziwić, że Maggie Kelly, agent nieruchomości z Agincourt, narzeka: "Ostatnimi dniami nie mam nawet pięciu minut, żeby się do czegośkolwiek zabrać!" I nie ma w tym wyznaniu żadnej ironii.

Sytuacje te, dość krotocwilne, nie powinny nas jednak zwieść. Pominąwszy przewagę powolnego życia nad życiem szybkim, istotniejsze jest to, w jaki sposób społeczeństwo radzi sobie z

czasem, ponieważ wywołuje to istotne skutki dla sposobu wytwarzania bogactwa - wpływa na desynchronizację w gospodarce i integrację z gospodarką światową.

Nagłówki europejskiej prasy nasycone są słowem "powoli" - np. NAJWIĘKSZE KRAJE EUROPEJSKIE POWOLI WDRAŻAJĄ..., UNIA EUROPEJSKA ZBYT POWOLNA W REFORMACH EKONOMICZNYCH I WPROWADZANIU RÓWNOUPRAWNIENIA KOBIET I MĘŻCZYZN: POWOLNY POSTĘP. Ale nie tylko Unia Europejska jest powolna. Także transakcje handlowe w Europie muszą pokonywać kolejne pokłady nieprzeniknionych regulacji prawnych.

Na łamach "Parliament Magazine", profesor Viktor Mayer-Schoenberger z Harvardu zauważa: "W Europie wszystko dzieje się wolniej, trwa dłużej i pochłania więcej energii." Nie powinno zatem nikogo dziwić, że sama Komisja Europejska stwierdza, iż "w USA na założenie firmy potrzeba sześciu godzin, jednak mimo różnic między państwami członkowskimi (...) w Europie - w każdym z tych państw zakładanie firmy trwa dłużej."

Spróbujmy, na przykład, uzyskać w Europie patent. Według Trevora Cooka z europejskiej firmy prawniczej Bird & Bird, "uzyskanie patentu w Europie trwa znacznie dłużej niż w Stanach Zjednoczonych, zazwyczaj przynajmniej cztery, a czasami nawet i dziesięć lat i jest to autentyczny problem dla szybko rozwijających się firm high-tech."

Albo też porozmawiamy z Ritą Villa, biegłą rachunkową z amerykańskim certyfikatem, która działa po obu stronach Atlantyku. "Sprawy dłużej trwają w Europie. Transakcje mają więcej etapów. Na przykład, jeśli firma z USA chce przenieść swą siedzibę, powiedzmy z Chicago do Dallas, nie ma sprawy. Ale jeśli niemiecka firma chce przenieść się z Berlina do Frankfurtu, niezbędny jest niezwykle czasochłonny i wielostopniowy proces »rejestracji«."

Albo też, jak powiada Villa, spróbujmy zmienić formę prawną spółki, na co często decydują się mniejsze firmy.

Jeśli miałabym spółkę z ograniczoną odpowiedzialnością (limited liability) w Stanach Zjednoczonych i chciałabym przekształcić ją w zwykłą spółkę z "Inc." na końcu nazwy, mogę to zrobić bardzo szybko. W Niemczech, kiedy chcieliśmy zmienić spółkę GmbH na AG - co jest zmianą porównywalną - trwało to ponad rok.

Powiedzmy, że firma chce wypłacić akcjonariuszom dywidendę. W Stanach spotyka się rada dyrektorów{{ Rada Dyrektorów jest odpowiednikiem połączonego Zarządu (przy czym role analogiczne do ról członków Zarządu pełnią dyrektorzy wykonawczy - executive directors i Rady Nadzorczej (dyrektorów niewykonawczych - nonexecutive directors) - przyp. tłum.}} i jeśli uzna, że to dobry pomysł, głosuje i po wszystkim. Ale w Niemczech to nie przejdzie. Najpierw pomysł muszą zatwierdzić audytorzy. Następnie obraduje nad ideą zarząd. Następnie projekt trafia pod obrady Rady Nadzorczej. Potem decyzja wędruje do notariusza, który w ostatniej chwili może zażądać zmian, nawet jeśli zainteresowane strony osiągnęły porozumienie między sobą. A potem uchwałę należy zarejestrować.

Różnice transatlantyckie w czasie i przestrzeni mogą wpłynąć nawet na europejski przemysł zbrojeniowy i wojsko. Amerykańska technologia militarna i zdolności USA w tej mierze nastawione są na zapewnienie coraz szybszego reagowania na kryzysy. Europejskie siły w NATO nie są w

stanie sprostać tym zadaniom, przez co utrudniają wspólne działania. Unia Europejska zaś zmierza - powoli - do tworzenia własnych sił "szybkiego reagowania."

Na wszystkich tych szczeblach zatem, od stylu życia i kultury po zagadnienia wojskowe i przede wszystkim w biznesie i gospodarce, przepaść w szybkości między Europą i Stanami Zjednoczonymi pogłębia się. Obie strony reagują na przyśpieszenie gospodarcze oraz głęboki fundament czasu na swój własny, całkiem odmienny sposób.

DAWNY OŚRODEK OBRONNY

Stany Zjednoczone i Europa w odmienny sposób traktują również i głęboki fundament, jakim jest przestrzeń.

Unia Europejska dzieląc industrialne przekonanie, że to co większe, niemal zawsze jest lepsze, wciąż przesuwając swe przestrzenne granice na wschód, przyjmując do grona swych członków coraz więcej krajów. Przywódcy UE sądzą, że im liczniejsza jest Unia, tym bogatsza będzie jej ludność. Jednak przez powiększanie swych rozmiarów Europa niejako przyznaje, że postrzega przestrzeń przez pryzmat minionej epoki.

Przywódcy Unii Europejskiej byłiby przerażeni, i słusznie, gdyby w jakikolwiek sposób porównać ich do nazistów. Pokojowa ekspansja Unii Europejskiej na wschód, polegająca na przyłączaniu dodatkowych państw i niewyraźnym przebąkaniu o przyłączeniu doń w przyszłości także Rosji, stanowi przeciwieństwo *Drang nach Osten* (Naporu na Wschód) hitlerowskich Niemiec, który sprawił, że pod bramy Moskwy wysłano zbrojne legiony śmierci.

Jedni i drudzy wpisywali się jednak w popularną niegdyś teorię geopolityczną, wedle której ten, kto sprawuje kontrolę nad "ośrodkiem obronnym" - będzie rządził światem. Ośrodek obronny, po raz pierwszy zdefiniowany przez Halforda Mackindera w 1904 roku, odnosił się do równiny rozciągającej się od Europy Wschodniej przez całą Rosję aż po Syberię. Oczywiście jego teorie zostały obrócone wniwecz za sprawą takich wynalazków, jak samoloty, pociski rakietowe i globalna telekomunikacja.

Taki sam los spotyka wiele założeń przyjmowanych a priori. Timothy Garton Ash z St. Antony's College w Oxfordzie uważa, że Unia Europejska jest raczej "międzypaństwową organizacją opartą na ponadpaństwowym prawie", niż "staromodnym (...) klasycznym państwem narodowym." Ale sam Ash odwołuje się do anachronicznych założeń, wedle których skala musi przekładać się na siłę ekonomiczną.

Tak więc pisze, że przyszłość Unii Europejskiej jest bardziej obiecująca niż przyszłość Stanów Zjednoczonych, ponieważ "krótko mówiąc Unia Europejska rośnie", podczas gdy "Haiti nie ma żadnych widoków na postąpienie w ślady Hawajów i przyłączenie się do unii amerykańskiej."

Oprócz przekonania, że "większe jest lepsze", w twierdzeniu tym tkwi także milczące założenie przestrzenne: że jeśli grupa krajów pragnie utworzyć "organizację międzypaństwową", kraje te powinny sąsiadować ze sobą, a zatem liczy się bliskość, i to w wymiarze geograficznym. A przecież podążamy dziś do świata, w którym bliskość znaczy coraz mniej, a to za sprawą szybkiego transportu, coraz lżejszych produktów oraz rosnącego handlu usługami niematerialnymi.

Gdyby w istocie powierzchnia miała tak wielkie znaczenie, Ash mógłby wziąć pod uwagę, że sama Rosja jest ponad czterokrotnie większa od poszerzonej Unii Europejskiej. Brazylia jest ponad dwa razy większa, ale z drugiej strony doskonale prosperujący Singapur zajmuje niespełna siedemset kilometrów kwadratowych wszystkiego razem. Jeśli, w istocie, Stany Zjednoczone chciałyby utworzyć "międzypaństwową organizację opartą na ponadpaństwowym prawie", cóż powstrzymałoby taką organizację przed przyjęciem do grona swych członków nie sąsiadującej z nią Korei Południowej, Singapuru czy Izraela? Albo nawet Japonii? Łączny PKB takiej grupy wynosiłby w 2004 roku 15,7 biliona dolarów, czyli o 4,7 biliona dolarów więcej niż Unii Europejskiej.

Nie sąsiadująca organizacja ponadpaństwowa składająca się tylko z Ameryki i Japonii - nazwijmy ją Jameryką - prześcignęłaby swym łącznym PKB wszystkich dwadzieścia pięć państw członkowskich Unii Europejskiej o 3,6 biliona dolarów.

Paradoksalnie, podczas gdy Unia Europejska z zapalem poszerza swą skalę i granice terytorialne, największych postępów w kierunku rewolucyjnego bogactwa dokonały raczej te mniejsze kraje, położone na peryferiach Unii. Finlandia ze swą Nokią i Szwecja z Ericssonem błyszczą w branży telekomunikacyjnej, podobnie jak Irlandia - w informatyce - choć w sporej części ich wyniki w dużej mierze wypracowują firmy amerykańskie, takie jak Microsoft, Oracle, Novell, Symantec czy Computer Associates.

MARZENIE Z LIZBONY

Stany Zjednoczone i Europa coraz bardziej różnią się między sobą pod względem swych relacji nie tylko wobec głębokich fundamentów ekonomicznych czasu i przestrzeni, ale także wiedzy - i to w zakresie technologii wykorzystujących zaawansowaną wiedzę.

W roku 1997, w piętnastu wówczas państwach członkowskich Unii Europejskiej wyprodukowano komputery o łącznej wartości 53,5 miliarda dolarów w porównaniu z produkcją amerykańską rzędu 82,4 miliarda dolarów i japońską wartą 67,7 miliarda dolarów. Produkcja podzespołów elektronicznych o wartości 40,1 miliarda dolarów stanowiła zaledwie połowę produkcji Stanów Zjednoczonych czy Japonii. Wśród dziesięciu największych firm informatycznych świata w roku 1998 - a więc IBM, Hitachi, Matsushita, Hewlett-Packard, Toshiba, Fujitsu, NEC, Compaq i Motorola - znalazła się jedna tylko firma europejska: Siemens. Jedynie trzydziestu producentów europejskich znajduje się na liście trzystu największych firm produkujących oprogramowanie i tylko dwie - Misys oraz SAP - zaliczają się do pierwszej dziesiątki.

W roku 2000 przywódcy Europy wreszcie zebrali się, w Lizbonie, i ze swadą zapowiedzieli, że do roku 2010 pragną uczynić z Europy "najbardziej konkurencyjną i dynamiczną gospodarkę intelektualną świata."

"Nie uśmiełem się tak od czasów, gdy komunistyczne Politbiuro ogłaszało całkowicie nierealne cele produkcyjne. To było dokładnie to samo" - skwitował to Radek Sikorski, były wiceminister spraw zagranicznych Polski, kiedy uchwalono ten cel.

W pewnym opracowaniu z 2001 roku Komisja Europejska stwierdziła, że “ogólny standard życia w Europie jest niższy niż w Stanach Zjednoczonych, przy czym zapóźnienia odnotowujemy w zakresie innowacyjności oraz zastosowań technologii informatycznych i telekomunikacyjnych, które to sfery uznawane są za najważniejsze czynniki pogłębiające przepaść (...). Różnica w standardach życiowych między Unią Europejską i USA jest obecnie większa niż kiedykolwiek w ciągu minionych 25 lat.”

W roku 2003 Komisja ostrzegała także, że Europa - w której utworzono wspomniane już ośrodki badań biotechnologicznych - może nie “załapać się” na rewolucję biotechnologiczną.

To samo można powiedzieć o nanotechnologii. W maju 2004 roku Komisja uznała, że zarówno Stany Zjednoczone, jak i Japonia inwestują (w przeliczeniu na mieszkańca) więcej w badania nad nanotechnologią niż Unia Europejska oraz że “należy się spodziewać, iż różnica ta się zwiększy.”

W roku 2004, w swoim kolejnym *cri de coeur*, Komisja orzekła, że “innowacyjność jest kluczem do sukcesu gospodarczego, ale jest to obszar, w którym Europa pozostaje znacznie w tyle za Stanami Zjednoczonymi.”

Pod koniec tegoż roku 2004 niemiecki kanclerz Gerhard Schröder doszedł do wniosku, że Europa być może nie zdoła osiągnąć “nierealistycznego” celu wyznaczonego na 2010 rok, a wylewny ówczesny przewodniczący Komisji Europejskiej Romano Prodi narzekał, że unijne próby nadgonienia Ameryki pod względem gospodarczym są “wielkim niepowodzeniem.”

W roku 2005, kiedy Unia Europejska podjęła jeszcze jedną próbę uruchomienia Strategii Lizbońskiej, europejska grupa gospodarcza Euro-chambres opublikowała raport, z którego wynika, że gospodarka UE znajduje się na takim etapie, jaki Stany Zjednoczone osiągnęły w latach siedemdziesiątych.

Podsumowując: Strategia Lizbońska mówiąc o roku 2010 szybko się zestarzała, a przywódcy europejscy wciąż poszukiwali rozwiązań w dziedzinie badań, nauki i edukacji naukowej, niezmiennie pomijając “nową gospodarkę” i narzekając na deindustrializację.

W swej książce *After the Empire*, opublikowanej w 2004 roku, francuski analityk geopolityczny Emanuel Todd określa Europę mianem “czołowej potęgi przemysłowej świata.” I ma rację. Tak jest. A Stany Zjednoczone są czołową, światową “potęgą już-nie-przemysłową.” Europa zaś, z pewnymi ważnymi wyjątkami, nie zdołała jeszcze w odpowiedni sposób odmienić swych relacji wobec głębokiego fundamentu - wiedzy - oraz rewolucyjnego bogactwa.

W ciągu najbliższych lat społeczeństwa wielkich krajów Europy Zachodniej doświadczą odpływu miejsc pracy związanych z wytwórczością w ramach niezaawansowanych technologii do tych krajów członkowskich Unii Europejskiej, w których koszty są niższe, a mianowicie głównie do krajów byłego bloku sowieckiego. Jeśli tych miejsc pracy nie zastąpi się innymi poprzez szybszą transformację do usług i produkcji opartej na wiedzy, nasyconej innowacyjnością i oferującej wyższą wartość dodaną - wzrośnie bezrobocie (które już dziś jest zdecydowanie wyższe, niż w Stanach Zjednoczonych i Japonii). To zaś z kolei jeszcze bardziej zwiększy nastroje wrogie wobec imigrantów, a także możliwość aktywizacji bojówek i terroryzmu w Europie, za sprawą licznej, aczkolwiek upośledzonej

ekonomicznie podklasy islamskiej. Płonące w 2005 roku we Francji samochody być może stanowią jedynie zapowiedź tego, co może się dzieć w przyszłości.

Częścią problemu Europy Zachodniej jest głęboko zakorzeniona wrogość wobec technologii. Związki zawodowe boją się utraty miejsc pracy. Organizacje pozarządowe sprzeciwiają się - w swoistym odruchu bezwarunkowym - nowym technologiom, ze względu na prawdziwe i wyimaginowane zagrożenia. Podczas gdy technofilska Azja prześciga się we wdrażaniu najnowszych wynalazków, technofobiczna Europa Zachodnia stwarza przeszkody, utrudniające zarówno rozwój technologii jak i jej wdrożenia.

Ta technofobia jest nieco mniej widoczna, im dalej udajemy się na wschód, do byłych krajów komunistycznych. Czechy, szczytujące się jednym z najwyższych na świecie odsetkiem naukowców i inżynierów w zestawieniu z ogólną liczbą przyznawanych tytułów naukowych, z powodzeniem przyciągnęły przedsięwzięcia finansowane przez IBM, Accenture, Logice czy Olympusa. Słowenia, jak donosi "Financial Times", posiada "wszystkie atrybuty doskonałej lokalizacji na mniejsze przedsięwzięcia gospodarcze wymagające zaawansowanej wiedzy, ośrodki high-tech, centra dystrybucyjne i logistyczne oraz centrale infolinii."

Węgry już dziś posiadają największy ośrodek badawczy Nokii poza Finlandią, a ExxonMobil otworzył nową siedzibę w Budapeszcie dla skonsolidowania swych europejskich służb informatycznych i wsparcia działu rachunkowości zarządczej. Zresztą już w 2001 roku, wedle samej Unii Europejskiej, wartość eksportu węgierskiego w dziedzinie high-tech dorównywała analogicznym osiągnięciom Danii czy Hiszpanii.

Członkowie Unii z Europy Wschodniej wkrótce zaczną, być może, zdobywać nisze technologiczne o wysokiej wartości dodanej ignorowane przez poruszające się nieco wolniej kraje Europy Zachodniej. Zapewne rozważać też będą wykonanie skoku w przód, który pozwoliłby im wręcz prześcignąć niektórych swych sąsiadów.

Mając zatem na względzie wszystkie trzy głębokie fundamenty - czas, przestrzeń i wiedzę - można stwierdzić, że Stany Zjednoczone i Europa oddalają się od siebie. I działałoby się tak nawet wtedy, gdyby nigdy nie doszło do różnicy zdań na temat wojny w Iraku.

Aby odwrócić ten proces, Stany Zjednoczone musiałyby zatrzymać się w miejscu lub zacząć się cofać, a Europa, nakreśliwszy nową mapę, musiałaby przyspieszyć swą transformację do systemu bogactwa Trzeciej Fali.

Któregoś dnia, jeśli wsłuchać się w co poniektóre buńczuczne zapowiedzi, Europa mogłaby stać się globalną przeciwwagą wobec tego, co wielu postrzega jako nadmierną potęgę Ameryki. Ale geopolityczna siła krajów wymaga najpierw potęgi gospodarczej i wojskowej - a obie wszak zależą dzisiaj od najbardziej niewymiernego ze wszystkich zasobów - wiedzy.

Z przykrością przychodzi mi stwierdzić, że do Europy wciąż nie dotarła ta właśnie zagubiona w żółwiej poczcie, ważna wiadomość.

Rozdział 47

Wewnątrz Ameryki

W Ameryce nowy sposób życia, którego podstawą jest rewolucyjne bogactwo, wciąż dopiero się kształtuje. Znajduje swój wyraz w błyskawicznych zmianach pracy, rozgłosie i blichtrze, szybkości, komercjalizmie, rozrywce 24/7, szybkości, czystszy powietrzu, coraz większej ilości brudów w telewizji, podupadłych szkołach, szybkości, niesprawnym systemie opieki zdrowotnej i dłuższym życiu, znowu w szybkości, idealnym lądowaniu na Marsie, natłoku informacji, złożoności nadmiaru, mniejszym nasileniu rasizmu, hiperdietach i hiperdzieciakach. Aha i jeszcze w jednym: szybkości, oczywiście!

Dodajmy do tego kalejdoskopu niezwykle liczne sprzeczności współczesnego życia w Ameryce. Reklamy viagry i pochody przeciwników aborcji. Wolny rynek, owszem, ale jednocześnie cła i dopłaty faworyzujące firmy z USA. Jakżeż bardzo są prowincjonalni ci Amerykanie - nie znają języków obcych, nie interesują się innymi kulturami. Ale pierwsi wołają: hip hip hura na cześć globalizacji!

Obserwatorzy z zewnątrz nie wiedzą, co myśleć o całym tym krzykliwym rozgardiaszu. Żeby posłużyć się określeniem Dominique Moisi, francuskiego eksperta w zakresie spraw zagranicznych, "nie chodzi o to, że my jesteśmy tak bardzo nastawieni przeciwko Ameryce, ale o to, że nie jesteśmy w stanie pojąć ewolucji tego kraju." Większość Amerykanów też tego nie pojmuje. A na zewnątrz nikt nie wie, że Amerykanie również nie wiedzą.

Być może pomogłoby tu myślenie o Ameryce nie tylko jako o najpotężniejszym państwie świata, jakim aktualnie jest, ale jako największym na świecie laboratorium przemian społecznych i gospodarczych.

Stany Zjednoczone są głównym miejscem na świecie, gdzie z ochotą testuje się nowe idee i nowe sposoby życia. Czasami Amerykanie posuwają się w tych testach do głupich lub wręcz okrutnych skrajności, zanim zdecydują się jednak na ich odrzucenie. W tym laboratorium eksperymentuje się nie tylko na polu technologii, ale także kultury, sztuki, wzorców seksualnych, struktury rodziny, mody, diety i sportów, nowych wyznań religijnych czy całkowicie nowatorskich modeli biznesowych.

Jednocześnie Stany Zjednoczone eksperymentują z wszystkimi trzema głębokimi fundamentami bogactwa. To stąd bierze się ta zawrotna szybkość i to dlatego tak wielu ludzi chciałoby, aby świat nieco zwolnił tempo. To dlatego maszyny być może będą musiały pracować szybciej, a ludzie - wolniej. Ameryka eksperymentuje z przestrzenią i tym, jak jest podzielona - świadczy o tym coraz większa przepuszczalność granic ekonomicznych. A przede wszystkim, rzecz jasna, Ameryka eksperymentuje w niezliczoną ilość sposobów przetwarzając dane, informacje i wiedzę - w bogactwo.

Stany Zjednoczone są miejscem, gdzie każdemu wolno popełnić błąd - tym bardziej, że błędy czasami prowadzą do wartościowych przełomów społecznych lub gospodarczych. Tutaj niemal

każdą winę można odkupić, a “marnotrawne dzieci” są raczej podziwiane niż potępiane (choć czasami szkoda, że tak jest!).

Wielkie laboratoria mają prawo do popełniania błędów. Jeśli nie ponosiłyby ryzyka błędu, nie sięgałyby w przyszłość. A Ameryka zmierza śmiało ku przyszłości.

Sęk w tym, że nie każdemu odpowiada życie w laboratorium, czy też przez ścianę z laboratorium. Błędy laboratoryjne mogą mieć wysokie koszty: ludzie mogą utracić miejsca pracy, wpływy, władzę, a nawet życie. Wielu Amerykanów obawia się zmian i pragnie powrotu do tak zwanych starych, dobrych czasów u progu lat pięćdziesiątych, kiedy Ameryka była krajem Drugiej Fali, a Trzecia Fala była ledwo, ledwo widoczna.

Amerykanom bardzo wygodnie jest dziś nie pamiętać, że w tych starych - rzekomo “dobrych” - czasach do powszechnych zjawisk należała wycieńczająca praca fizyczna, nienawiść rasowa i dyskryminacja kobiet. Dziś - ponieważ Amerykanie obawiają się utraty pracy, pozycji i prestiżu czy znaczenia - pomniejszają osiągnięcia teraźniejszości i obawiają się przyszłości i też usiłują stawiać jej opór. W rezultacie wewnątrz Ameryki rozgrywa się konflikt fal - w takim samym stopniu, jak w Chinach, Japonii, Europie i nie tylko.

Kiedy kształtuje się system rewolucyjnego wytarzania bogactwa, w pierwszym rządzie ujawniają się kontrrewolucjoniści. Nieżyjący już bankier Walter Wriston, w czasach prezydenta Reagana pełniący funkcję szefa Rady Polityki Gospodarczej Białego Domu (White House Economic Advisory Policy Board), stwierdził wprost: “Kiedy tylko następuje zmiana w sposobie wytwarzania bogactwa, stare elity oddają swe pozycje - powstaje nowa grupa i to ona kontroluje społeczeństwo. Teraz znajdujemy się w samym środku takiej zmiany.” Wriston zapomniał dodać, że stare elity nie ustępują bez walki.

WOJNA FAL

W Stanach Zjednoczonych i w większości zamożnych państw demokratycznych konflikt fal jest zazwyczaj delikatniejszy niż w biednym świecie. Niemniej, również tam występuje. Ujawnia się na wielu różnych szczeblach - począwszy od polityki energetycznej i transportu poprzez regulacje prawa handlowego po, przede wszystkim, edukację.

Fundamentem przemysłu amerykańskiego były tanie paliwa kopalne i gigantyczna infrastruktura dystrybucji energii na terenie całego kraju. Amerykański system dystrybucji energii jest raczej kosztowny i nadmiernie uzależniony od importu ropy naftowej i benzyny. W jego skład wchodzi 255 tysięcy kilometrów elektrycznych linii przesyłowych oraz 3,2 miliona kilometrów rurociągów, które - ponieważ stanowią majątek trwały o określonej specyfice - trudno zmienić w reakcji na błyskawicznie dokonujące się zmiany.

Stany Zjednoczone w szybkim tempie budują zaawansowaną gospodarkę intelektualną (tzn. opartą na wiedzy), jednak wciąż tkwią w systemie energetycznym odziedziczonym po epoce przemysłowej. Dzisiaj tego systemu bronią największe na świecie i najbogatsze koncerny, mimo że coraz powszechniejsze i coraz bardziej zdecydowane są społeczne żądania wprowadzenia

zasadniczych zmian w tymże systemie. Ten konflikt zazwyczaj nie jest przedstawiany w takim świetle, ale w istocie jest przejawem wojny fal.

24 MILIARDY GODZIN

Równolegle pojawia się konflikt powiązany ze wspomnianym wcześniej: dotyczy systemu transportowego Ameryki i zaczyna się od debaty na temat ponad 6 milionów kilometrów publicznych autostrad, dróg i ulic. Jeździ po nich 23 miliony ciężarówek prywatnych należących do 500 tysięcy przedsiębiorstw. Samochody te przewożą ponad trzy czwarte wszystkich towarów transportowanych na terenie Stanów Zjednoczonych. Razem firmy te tworzą branżę o wartości niemal 600 miliardów dolarów, która wraz z innymi środkami transportu zapewnia pełnych 11 procent PKB Stanów Zjednoczonych. A przecież nie tylko towary są transportowane. Ludzie także się przemieszczają.

Ta kolosalna infrastruktura była odpowiedzią na społeczeństwo masowe, które wzrastało razem z produkcją masową, urbanizacją i wzorcami pracy wymagającymi od mas pracowniczych dojeżdżania do i z pracy tą samą drogą według niemal tego samego rozkładu jazdy.

W roku 2000 około 119 milionów Amerykanów straciło około 24 miliardów godzin starając się dostać do pracy lub wrócić do domu po pracy i była to, bez dwóch zdań, jedna z najbardziej nieproduktywnych rzeczy, jakimi zajmują się Amerykanie. Dzisiaj, w związku z tym, że produkcja masowa ustąpiła coraz bardziej zindywidualizowanej, odmasowionej i zdecentralizowanej produkcji intelektualnej, wiele ludzi nie pracuje już w centrach miast. Wzorce pracy zmieniają się - przechodząc od stałych miejsc do dowolności w wyborze miejsca wykonywania pracy, a więc na przykład własnego mieszkania, przez co raz jeszcze zmienia się sposób posługiwania się czasem i przestrzenią.

W latach 1991-1997 amerykański resort transportu (*U.S. Department of Transportation*) testował alternatywę wobec Trzeciej Fali. Terminem "inteligentny transport" określano dążenie do wykorzystywania nowoczesnych technologii w zwiększaniu bezpieczeństwa i przepustowości istniejących wówczas autostrad. Według czasopisma "Government Technology", resort transportu uznał, że inteligentne "systemy zarządzania autostradami" mogłyby doprowadzić do "zmniejszenia liczby wypadków drogowych o 17 proc, umożliwiając jednocześnie zwiększenie ruchu o 22 proc. i zwiększenie prędkości podróżowania." Sama tylko komputeryzacja sygnalizacji świetlnej mogłaby skrócić czas podróży o 14 proc, a opóźnienia o 37 proc.

Jednak presja ze strony lobby "betonowego" znacznie przewyższyła wpływy polityczne rodzącego się dopiero sektora informatyczno-technologicznego. Kiedy prezydent Clinton w 1998 roku podpisał ustawę przyznającą 203 miliardy dolarów na reperację oraz "budowę dróg, mostów, systemów tranzytowych i kolei", ilość środków przeznaczonych na systemy inteligentne wynosiła w przybliżeniu jedną dziesiątą jednego procenta. Taki podział środków był dziełem administracji, która chętnie podkreślała swe poparcie dla "superautostrad informatycznych."

System transportowy w USA, od którego zależy los każdej firmy (pośrednio lub bezpośrednio), jest wciąż zablokowany przez potężną politycznie trójcę: koncerny naftowe, producentów samochodów i skorumpowane, często, firmy budujące autostrady.

A zatem podczas gdy w amerykańskim systemie telekomunikacyjnym wdrożono oszałamiającą serię innowacji umożliwiających dystrybucję wiedzy w taki sposób, jaki nigdy wcześniej nie był osiągalny - wciąż odmawia się Amerykanom takich systemów, jak energetycznego i transportowego, które byłyby bardziej wydajne, bezpieczniejsze i czystsze. Te kluczowe elementy infrastruktury amerykańskiej - oraz ich podsystemy składowe - są zdesynchronizowane i stały się przedmiotem walki głęboko zakorzenionych interesów z epoki industrialnej z przełomowymi innowatorami rozwijającymi intelektualny system bogactwa. Kolejny konflikt fal.

Podobnego wzorca można się dopatrzeć w wielu walkach o praktyki obowiązujące w biznesie. Na przykład, sposób księgowania opcji akcji stał się przedmiotem zażartej walki pomiędzy wpływową Radą Standardów Rachunkowości Finansowej (Financial Accounting Standards Board) zwaną też Fazbee, tradycyjnie faworyzującą aktywa materialne wobec niematerialnych - a nieopierzonymi jeszcze firmami opartymi na wiedzy, znacznie utrudniając im przyciąganie zarówno kapitału, jak i utalentowanych pracowników.

Zasygnalizowaliśmy tu pokrótce niezbyt intensywną wojnę fal, której przejawy można odnaleźć w niemal wszystkich instytucjach amerykańskich usiłujących znaleźć sobie miejsce w warunkach błyskawicznych przemian technologicznych i społecznych. Bezwzględnie największe znaczenie ma wynik tego konfliktu w amerykańskich szkołach.

OKRADANIE PRZYSZŁOŚCI

Stany Zjednoczone nie utrzymają swej czołowej roli w światowej rewolucji bogactwa, nie utrzymają pozycji globalnego supermocarstwa i nie zmniejszą pogłębiającej się przepaści między biednymi i bogatymi Amerykanami, jeśli nie zlikwidują - a nie tylko zreformują - systemu edukacji skoncentrowanego na przemyśle.

Konflikt fal rozgrywający się wokół systemu edukacji publicznej - a także wokół 400 miliardów dolarów, bo tyle kosztuje rocznie utrzymywanie obecnego systemu (nie licząc kosztów społecznych jego niewydolności i kosztów pośrednich dla gospodarki w postaci niewłaściwie wykształconej siły roboczej) - będzie w najbliższych latach podgrzewał osobiste i polityczne emocje.

Być może największy koszt konfliktu fal w Ameryce będzie musiało ponieść blisko pięćdziesiąt milionów dzieci zapisywanych dziś obowiązkowo do szkół usiłujących przygotować je - niezbyt skutecznie - do wykonywania zawodów, które przestaną istnieć. Nazwijmy to okradaniem ludzi z ich przyszłości.

W edukacji chodzi jednak o coś więcej niż tylko o pracę. Szkoły, z nielicznymi wyjątkami, także nie potrafią przygotować dzieci do ról konsumenta i prosumenta. System ten bynajmniej nie wspiera też dzieci w borykaniu się z coraz większą złożonością i nowymi możliwościami życiowymi, z jakimi stykać się będą w życiu seksualnym, małżeńskim, w zakresie zagadnień etycznych i innych

obszarach nowego społeczeństwa. W najmniejszym zaś stopniu system ten nie umożliwił dzieciom, poza nieliczną ich garstką, czerpania przyjemności z samego uczenia się.

BEZIMIENNA KOALICJA

Masowa edukacja dziś wydaje się określeniem cokolwiek pejoratywnym, jednak niegdyś była ona de facto znakiem postępu wobec realiów przedindustrialnych, kiedy to, w zasadzie, jedynie niewielki odsetek dzieci miał styczność ze szkołą, zaś analfabetyzm i brak umiejętności liczenia były zjawiskiem powszechnym wśród ubogiej ludności. Dzięki temu wiele pokoleń amerykańskich dzieci, w warunkach utrwalonego industrializmu, uczęszczało do szkół, a nie do wykorzystujących je już od maleńkości fabryk.

Dzisiaj wciąż przetrzymujemy miliony dzieci w szkołach zorganizowanych na modłę fabryczną, ponieważ tego właśnie żąda niewiarygodna, bezimienna koalicja specjalnych grup interesów.

Aby zrozumieć tę koalicję, musimy spojrzeć wstecz, na jej początki sięgające końca XIX wieku. Podczas gdy wielu rodziców sprzeciwiało się wówczas posyłaniu dzieci do szkół, wołając by raczej pracowały w polu czy w fabryce - niezwykle głośna grupa domagała się wprowadzenia bezpłatnej edukacji publicznej. Ta proedukacyjna koalicja zyskała realne wpływy dopiero wówczas, gdy świat biznesu doszedł do wniosku, że szkoły mogłyby przyczynić się do zwiększenia wydajności w gospodarce, poprzez narzucanie "przemysłowej dyscypliny" młodym pracownikom, którzy dopiero co porzucili pracę w rolnictwie.

"Wartości i postawy związane z dyscypliną przemysłową - pisze Lawrence A. Cremin w *American Education* - to (...) dyscyplina wewnętrzna, ciężka praca, punktualność, skromność, trzeźwość, skłonność do ładu i rozwagi." Szkoły nauczały ich "nie tylko poprzez zgłębianie podręczników, ale oddziaływały także samym charakterem organizacji - tworzenie klas, okresowość i obiektywna bezosobowość nie odbiegały znacznie od sytuacji w fabryce."

Dodatkowo, przybycie milionów imigrantów mówiących różnymi językami sprowadziło do Stanów Zjednoczonych tanią siłę roboczą z wielu rozmaitych krajów i kultur. Aby ten barwny tłum stał się wydajnym zespołem w gospodarce fabrycznej, należało umożliwić mu asymilację lub homogenizację w ramach dominującej wówczas kultury amerykańskiej. W latach 1875-1925 jedną z najważniejszych funkcji szkoły była amerykanizacja przybyszów urodzonych w innych krajach.

Biznes, mówiąc krótko, widział swój interes w budowaniu potężnej armii ludzi młodych, którzy by włączyli się do budowy gospodarki masowej produkcji ery przemysłowej.

Wraz z dalszym rozwojem industrializmu w XX wieku, dla ochrony interesów pracowniczych utworzono wielkie związki zawodowe. Związki z zasady silnie wspierały publiczne szkolnictwo - nie tylko dlatego, że ich członkowie pragnęli lepszego życia dla swoich dzieci, ale ponieważ związki także miały ukryte, niedostrzegalne udziały w systemie. Im mniejsza była dostępna siła robocza, tym słabsza była rywalizacja o miejsca pracy i tym wyższe płace. Związki walczyły nie tylko o zubożone cele, na przykład o likwidację pracy dziecięcej, ale często domagały się wydłużenia okresu

obowiązkowej nauki w szkołach - nie dopuszczając w ten sposób przez coraz dłuższy czas milionów młodych ludzi na rynek pracy.

Utworzenie związków zawodowych nauczycieli spotkało się z olbrzymim zainteresowaniem: powstała liczna grupa o jeszcze silniejszej - bo osobistej - motywacji do wspierania systemu masowego szkolnictwa zaprojektowanego w epoce przemysłowej.

Oprócz rodziców, przedsiębiorców i związków zawodowych także rząd miał swoje powody, aby wspierać wielką edukację. Agendy rządowe dostrzegały zalety ekonomiczne tego systemu, jednak miały też drugorzędny, mniej oczywisty powód do wspierania systemu. Kiedy obowiązkowe nauczanie funkcjonowało prawidłowo - wiele milionów młodych nastolatków (o podwyższonym poziomie testosteronu) siedziało w ławkach szkolnych, zamiast szukać przygód na ulicy, co znacznie poprawiało stan bezpieczeństwa i zmniejszało poziom przestępczości, a przy okazji także koszty dozoru policyjnego i więziennictwa.

Jak zatem widać, przez całą epokę industrialną istniała koalicja nie do rozbicia, która broniła fabrycznego modelu szkoły - systemu masowej edukacji, idealnie pasującego do szablonu masowej produkcji, masowych mediów, kultury masowej, masowego sportu, masowej rozrywki i masowej polityki.

Jak powiedział Sir Ken Robinson, doradca w zakresie polityki edukacyjnej prezesa słynnej Getty Foundation {{ Fundacja jest częścią The J. Paul Getty Trust, najbogatszej instytucji prywatnej w USA wspierającej sztukę dysponującej środkami rzędu 5,8 mld dolarów. Założyciel Fundacji, The J. Paul Getty (1892-1976), był magnatem naftowym; w chwili śmierci był uważany za najbogatszego człowieka świata, właściciela ponad 200 firm.}} w Los Angeles i autor *Out of Our Minds: Learning to Be Creative* - "cały aparat edukacji publicznej został w głównej mierze ukształtowany wedle potrzeb i ideologii industrializmu, którego podstawą były dawne założenia co do podaży i popytu na pracę. Kluczowymi cechami tego systemu jest liniowość, konformizm i standaryzacja."

SIŁY NAPĘDOWE ZMIAN

Dzisiaj na horyzoncie rysuje się nowy konflikt fal, i to nie tylko w Stanach Zjednoczonych. Nadchodzące zderzenie sprawi, że obrońcy naszego obecnego systemu kształcenia w fabrycznym stylu zetną się z coraz silniejszym ruchem, zdecydowanym wyeliminować przeciwników. Jest to ruch, do którego należą cztery grupy.

Nauczyciele: Istniejący system sprowadza nauczanie do mechanicznego instruowania ściśle według podręcznika oraz do standaryzacji testów, co pozbawia resztek kreatywności i ucznia, i nauczyciela. Dziś w szkolnictwie pracują miliony nauczycieli wypalonych zawodowo, którzy już się poddali i są skłonni aż do emerytury biernie wspierać status quo.

Jednakże w tych samych szkołach są też dziesiątki, a być może setki tysięcy heroicznym, koszmarnie opłacanych nauczycieli, którzy walczą z systemem od wewnątrz. Mimo narzuconych im ograniczeń, niektórzy z nich robią dla dzieci rzeczy wręcz wspaniałe; mają głowy pełne pomysłów, które pomogłyby wyrwać szkoły z ery industrialnej. Dysponując zaledwie niewielką pomocą z

zewnątrz, stanowić by mogli awangardę, która z ochotą przyłączyłaby się do ruchu na rzecz radykalnych, a nie tylko organicznych - zmian.

Rodzice: Także wśród rodziców widać nieomylnie znaki świadczące o niezadowoleniu z działania starej koalicji. Wielu wspiera maleńką, ale rosnącą liczbę szkół certyfikowanych lub "magnezowych" i innych eksperymentów na niewielką skalę w ramach istniejącego systemu edukacji. Inni wynajmują prywatnych korepetytorów lub posyłają dzieci na zajęcia pozalekcyjne, jak na przykład *juku* w Japonii. "Korepetycje - zauważa National Public Radio - stają się dziś zjawiskiem tak powszechnym, że w sposób zauważalny zmieniają oblicze amerykańskiej edukacji." Zjawisko to nie jest jednak ograniczone geograficznie. NPR podkreśla, że "nauczyciele w Indiach wspomagają amerykańskie dzieci w matematyce za pośrednictwem Internetu."

Inni rodzice, którzy stracili już wszelkie złudzenia co do starego systemu, sami uczą swe dzieci w domu - i to niekiedy z przyczyn religijnych. Internet oferuje im ponad milion wykazów i opisów pomocy do nauczania domowego.

Im bardziej ów system szkolnictwa epoki przemysłowej zawodzi wobec potrzeb gospodarki intelektualnej, tym bardziej prawdopodobne jest nasilenie się protestów rodziców. Rozgorzyczeni, a jednocześnie mający - dzięki zasobom internetowym - poczucie siły, aktywni rodzice mogą szukać bardziej radykalnych środków działania, niż tylko dzielnicowe Stowarzyszenia Rodziców-Nauczycieli: być może zaczną organizować się w lokalne, krajowe, a nawet globalne ruchy i domagać całkowicie nowych modeli edukacyjnych, metod dydaktycznych, programów nauczania i form instytucjonalnych w szkolnictwie.

Uczniowie: Przed wiekami dzieci nie miały wystarczającej władzy, aby mieć większe znaczenie w ruchu na rzecz utworzenia masowego systemu edukacji. Dzisiaj jednak mogą przyczynić się do jego obalenia. Już dziś prowadzą anarchizujące działania przeciwko systemowi. Ich rewolta przybiera dwie formy - jedną poza klasą i drugą - wewnątrz.

Dzieciaki zawsze buntowały się przeciwko szkole, jednak w przeszłości nie miały dostępu do telefonów komórkowych, komputerów, narkotyków w stylu ekstazy, pornografii czy Internetu. A kiedy osiągnęli dorosłość - trafiali do gospodarki, która potrzebowała nie tyle ich szarych komórek, lecz mięśni. Dzisiaj zaś wielu uczniów, o ile nie większość z nich, ma wewnętrzne, głębokie przekonanie, że współczesne szkoły przygotowują ich do tego, co było wczoraj, a nie tego, co nadejdzie jutro.

Pierwsza, dobrze znana forma buntu polega na porzuceniu szkoły i pozostawieniu nas z rachunkiem za nie ukończoną edukację. W szokującym manifeście, zatytułowanym *Leaving School: Finding Education [Rzuć szkołę: zdobędziesz wykształcenie]*, dwóch profesorów edukacji, Joan Wiles z Uniwersytetu Północnej Florydy oraz John Lundt z Uniwersytetu Montany, wyliczyli, że 30 proc. uczniów z klas od dziewiątej do dwunastej rzuca szkołę, przy czym dotychczasowe kształcenie każdego z nich kosztowało od 50 do 75 tys. dolarów, mimo że nauczyciele zarabiają tak nędznie. Opuściwszy mury szkolne, wielu z nich zasila szeregi tego, co przed stuleciem określano mianem

lumpenproletariatu - klasy niższej, składającej się z ludzi bezdomnych, przestępców, handlarzy narkotyków, umysłowo chorych i chronicznie bezrobotnych.

Bunt innego rodzaju dokonuje się wewnątrz klasy szkolnej. Atakując najgłębsze założenia szkolnictwa w stylu fabrycznym, Wiles i Lundt kwestionują zasadę obowiązkowej edukacji. Podobnie, bez wątplenia, uważa wielu nauczycieli, zmuszonych do wykonywania pracy strażników więziennych, kiedy to, dzień w dzień, mają do czynienia ze swego rodzaju zamieszkami na więziennym bloku - kiedy to uczniowie opierają się wszystkim przejawom dyscypliny.

Nauczyciele nie potrafią bronić się przed plagą przemocy mediów. Nie umieją bronić się przed kultem osób sławnych, znanych z telewizji i kolorowych czasopism (tzw. celebrities), nie wyłączając spośród nich i wielkich sportowców - które powszechnie oszukują, przyjmując środki dopingujące, okłamują swych współmałżonków, upijają się, wdają się bójki i muszą w sądzie odpiierać zarzuty o gwałt. Nauczyciele nie potrafią też, podobnie zresztą jak rodzice, bronić się przed pedofilami czyhającymi w Internecie na niczego nie spodziewające się dzieci. W niektórych szkołach przemoc - dotycząca zarówno nauczycieli, jak i uczniów - stała się tak wielką plagą, że korytarze szkolne muszą być patrolowane przez policję.

Młodzi zawsze kształcili się, również w całkiem niepożądanym sposób, sami. Dzisiaj jednak z pomocą przychodzą im cokolwiek podejrzane nowe media. Gry i telefony komórkowe ukrywane są pod otwartymi podręcznikami, a SMS-y przesyłane są w tę i z powrotem nawet w czasie wykładu nauczyciela.

W efekcie więc, kiedy mogłoby się wydawać, że uczniowie są uwięzieni w klasie przez nauczyciela - ich uszy, oczy i umysły odpływają gdzie indziej, by błąkać się gdzieś, w cyberprzestrzeni. Od bardzo młodego wieku utwierdzają się w przekonaniu, że żaden nauczyciel i żadna szkoła nie jest w stanie im zaproponować nawet ułamka tych fantastycznych danych, informacji i wiedzy - a także zabawy - jaką daje im świat on-line. Wiedzą, że w jednym świecie są więźniami, ale w tym drugim - są całkowicie wolni.

Biznes: Dopóki szkoły dostarczały firmom kolejne pokolenia pracowników przygotowanych do życia w fabryce, koalicja na rzecz szkół w stylu industrialnym trzymała się mocno. Począwszy jednak od połowy XX wieku, kiedy zaczął rozpowszechniać się nowy system bogactwa, niezbędne okazały się nowe, odmienne umiejętności pracownicze - umiejętności tych nie była w stanie zapewnić ogromna większość istniejących wówczas szkół. Przepaść pogłębiała się tak drastycznie, że do lat dziewięćdziesiątych w prasie gospodarczej mnóstwo było publikacji na ten temat, a w roku 2005 Bill Gates wreszcie powiedział to wprost:

“Amerykańskie licea są anachroniczne. Kiedy mówię anachroniczne, nie chodzi mi o to, że po prostu nie działają, są nieskuteczne i niedofinansowane. Mam na myśli to, że nasze licea - nawet jeśli działają dokładnie tak, jak powinny - nie są w stanie nauczyć naszych dzieci tego, co dzisiaj powinny wiedzieć (...). To nie jest wypadek przy pracy albo defekt systemu: to system jest wadliwy.”

Ten wyraźny apel o zastąpienie, a nie tylko o reformę systemu innym, lepszym - był istotny nie tylko dlatego, że potwierdził to, co inni krytycy mówili, ale dlatego, że wyraźnie zaznaczył

wystąpienie firm intelektualnych ze starej koalicji podtrzymującej przy życiu stary model szkoły fabrycznej.

Rozchodzą się bowiem interesy firm Drugiej i Trzeciej Fali. Po raz pierwszy od co najmniej stulecia możliwe stać się może dla rozgoryczonych rodziców, sfrustrowanych nauczycieli, firm, które bardzo potrzebują pracowników posiadających odpowiednie umiejętności, reformatorów szkoły, nauczycieli kształcących uczniów on-line, projektantów gier i samych dzieciaków - powołanie do życia nowej koalicji o sile wystarczającej nie tylko do zreformowania systemu, ale usunięcia edukacji w stylu linii montażowej.

CO DALEJ?

System energetyczny, infrastruktura transportowa oraz szkoły nie są jedynymi instytucjami, których postęp powstrzymywany jest przez szczątkowe interesy przemysłu.

Obrońcy dawnych porządków wciąż zasiadają w radach nadzorczych wielkich firm. Inni stanowią kadrę partii politycznych. Jeszcze inni, zazwyczaj widziani w trakcie lunchu w klubach uczelnianych, wykuwają ideologiczny oręż dla tych pozostałych. Otwarty czy ukryty konflikt fal można odnaleźć niemal w każdej instytucji w Stanach Zjednoczonych, tym bardziej że instytucje te coraz bardziej trzęsą się w posadach, desynchronizują się i stają się coraz mniej funkcjonalne.

Świat zewnętrzny może jednak z tego wyciągnąć naukę dla siebie, podobnie jak wszystkie kraje dokonujące transformacji do gospodarki intelektualnej, a więc nasyconej wiedzą. Bezprecedensowa transformacja od mięśni do umysłu i od kominów do oprogramowania - nie jest jedynie zagadnieniem technologicznym. Cały, błyskawiczny postęp technologiczny ostatnich dziesięcioleci i jeszcze bardziej zachwycające, najnowsze wynalazki naukowców - to ta łatwiejsza część rewolucji obejmującej wszystkie aspekty życia.

Jeśli przemiany instytucjonalne nie zachowają obecnego swego tempa - desynchronizacja rozerwie amerykańskie laboratorium na strzępy i odda pałkę pierwszeństwa w jutrzejszym świecie... Chinom? Europie? Islamowi?

Poszukując odpowiedzi na to pytanie, odbijmy teraz od brzegów Ameryki.

Rozdział 48

Poza Ameryką

Jeśliśmy przeprowadzili ogólnoswiatową sondaż, dowiedzielibyśmy się, że ogromne rzesze ludzi są święcie przekonane, iż wielkie bogactwo Ameryki zostało wyciśnięte z biednych tego świata lub im po prostu ukradzione. Echo takich przekonań często pobrzmiwa w hasłach skandowanych przez antyamerykańskich i antyglobalistycznych demonstrantów. To samo wątpliwe założenie odnaleźć można także w niedawnej powodzi pseudonaukowych książek i artykułów, w których nazywa się Stany Zjednoczone “nowym Rzymem” - najnowszym przejawem klasycznego imperializmu, czy też - jak to ujmują Chińczycy - nowym hegemonem świata.

Kłopot polega na tym, że analogie te nie odpowiadają modelowi Stanów Zjednoczonych w XXI wieku. Skoro Ameryka naprawdę jest tak bogatym i potężnym hegemonem - jak to się dzieje, że prawie 40 proc. amerykańskich obligacji skarbowych w 2004 roku znajdowało się w posiadaniu obcokrajowców? Czy tak się przedstawiały sprawy, kiedy światem władał Rzym? Albo kiedy dominowało imperium brytyjskie?

Dlaczego Stany Zjednoczone nie posłały stałych osadników do różnych krajów, w których rzekomo dominują? Rzymianie tak czynili. Hiszpanie tak samo. Brytyjczycy, Francuzi, Niemcy i Włosi - także samo, i to w całej Afryce. Tak właśnie kolonizowali Azję Japończycy. Proszę wskazać, który to amerykański uniwersytet szkoli elitarną klasę zarządców kolonii, gotowych poświęcić życie na zarządzanie odległymi prowincjami amerykańskiego imperium, tak, jak to czyniły szacowne uczelnie w Oxfordzie i Cambridge? I gdzie jest ten wielki społeczny entuzjazm Amerykanów wobec długotrwałej okupacji wojskowej obcych krajów?

Stany Zjednoczone są potężne i bez wątpienia dają odczuć światu swe znaczenie. Jest jednak jakieś zasadnicze nieporozumienie co do tego, w jaki sposób przedstawia się i rozumie Amerykę oraz świat. Krytycy Stanów Zjednoczonych wciąż rozumują w kategoriach rolniczej i przemysłowej przeszłości świata. Tymczasem wraz ze wzrostem nasycenia wiedzą zmieniły się reguły globalnej gry i zmienili się gracze, a wraz z nimi - przyszłość bogactwa.

STARA GRA

Wielka Brytania posiadająca w swej przemysłowej przeszłości imperium tak rozległe, że “słońce nigdy w nim nie zachodziło”, mogła nabywać bawełnę po zaniżonych cenach od jednej ze swych zacofanych, rolniczych kolonii, powiedzmy od Egiptu. Wysyłała następnie tę bawełnę do zakładów w Leeds czy Lancaster, przekształcała ją w odzież, aby następnie odsprzedać ją - już jako towary (o znacznie wyższej wartości dodanej) - na przykład Egipcjanom, i to po sztucznie zawyżonej wartości. Powstające w ten sposób nadzwyczajne zyski wracały do Anglii i tam współfinansowały kolejne fabryki. Wielka flota brytyjska, wojsko i zarządcy bronili kolonialnych rynków przed wewnętrznymi buntami i zewnętrzną konkurencją.

Oczywiście jest to karykaturalne przedstawienie znacznie bardziej skomplikowanego procesu. Kluczem do imperialnej gry było zazdrosne utrzymywanie zaawansowanej wówczas technologii - zakładów odzieżowych, na przykład - w Leeds albo Lancaster.

Dziś, dla odmiany, kiedy rozwinięte gospodarki coraz ściślej zależą od własnych podstaw intelektualnych, fabryki liczą się mniej. Coraz większe znaczenie ma wiedza, od której są uzależnione. Wiedza jednakowoż nie pozostaje tam, gdzie się ją odłożyło, o czym świadczy coraz więcej przypadków kradzieży własności intelektualnej. I Ameryka przegrywa właśnie walkę w jej obronie.

Cała ekonomicznie wartościowa wiedza nie ma wyłącznie charakteru technologicznego. Tak więc Alain Minc, kontrowersyjny były prezes francuskiego wydawnictwa publikującego dziennik "Le Monde", krok po kroku obala pogląd, wedle którego Stany Zjednoczone przypominają Rzym czy Wielką Brytanię z przeszłości. Owszem, nie są potęgą imperialną, ale - jak ujmuje to Minc - są pierwszym "światowym krajem." A misją amerykańskich uczelni wyższych, w przeciwieństwie do Oxfordu czy Cambridge, nie jest szkolenie elity kraju, lecz - żeby posłużyć się jego własnymi słowami - przekazywanie wiedzy, która ukształtuje "przyszłych przywódców świata."

Minc pisał swój tekst tuż przed zaostrzeniem kontroli imigracyjnych przez USA w wyniku zamachu z 11 Września. Podkreślał w nim, że w ciągu poprzednich pięćdziesięciu lat liczba studentów obcokrajowców w Stanach Zjednoczonych z wielokrotnością się siedemnaście razy. Mógł dodać, że coraz więcej owych studentów wraca teraz do swych krajów, dysponując bronią w postaci najnowszych zdobyczy wiedzy naukowej i technologicznej w dziedzinach tak zaawansowanych, jak integracja sieci wielkoskalowych, nanotechnologia i genetyka. Imperialiści i neokolonialiści byli znani, ale chyba nie do końca z tego.

"SZLACHETNY UCZYNEK"

II wojna światowa była początkiem końca klasycznego kolonializmu epoki industrialnej.

Osiągnąwszy swój punkt kulminacyjny w roku 1945, wojna szybko odchodzi w niepamięć, jednak pamięć o niej może się nam dziś przydać, abyśmy mogli ujrzeć świat w odpowiedniej perspektywie i przekonać się, że nic od czasu wojny nie może porównać się z nią nawet w niewielkim stopniu pod względem rozmiarów destrukcji, ale też i przemian gospodarczych, do jakich doprowadziła.

II wojnę światową swoim życiem przypłaciło co najmniej 50 milionów ofiar z ponad dwudziestu państw świata, w tym także ze Stanów Zjednoczonych. Weźmy głęboki wdech, aby przyjąć do wiadomości tę liczbę. To tyle istnień ludzkich, jak gdyby w ciągu sześciu lat uderzyło w nas 170 tsunami - równych temu, które zaatakowało Południowo-Wschodnią Azję w roku 2004. Mówiąc obrazowo - wyobraźmy sobie tsunami co dwa tygodnie, przez sześć lat z rzędu.

Sama tylko Rosja - ówczesny Związek Sowiecki - utraciła 21 milionów obywateli. Niemcy, zanim zostały pokonane, straciły ponad 5 milionów ludzi. Przemysł zachodnioeuropejski w dużej mierze uległ zniszczeniu. Koniec wojny przyniósł też głód i chaos w większej części Europy. Na przeciwnym froncie, w Japonii, życie straciło - przed kapitulacją - około 2,5 mln ludzi. Także w

Japonii kluczowe branże przemysłowe, takie jak górnictwo węglowe, wydobywanie rud żelaza, przemysł stalowy i produkcja nawozów zostały obrócone w stertę gruzu. We wszystkich tych rejonach świata wyglądało to tak, jakby rewolucja przemysłowa cofnęła się w czasie. Masowa wojna zniszczyła środki masowej produkcji.

W przeciwieństwie do innych państw najbardziej zaangażowanych w wojnę, Stany Zjednoczone utraciły niespełna 300 tys. żołnierzy i praktycznie wcale nie odnotowały strat wśród ludności cywilnej. Infrastruktura amerykańska nie była bombardowana, dzięki czemu po zakończeniu wojny USA były jedynym uprzemysłowionym krajem świata z w pełni działającą gospodarką i znaczną konkurencją.

Trzy lata po zakończeniu działań wojennych, Stany Zjednoczone - tak zwane, dziś, imperialistyczne mocarstwo - uczyniły coś przedziwnego.

Zamiast domagać się reparacji od pokonanych Niemiec i dosłownie wywozić całe pozostałe wyposażenie fabryk, wagony kolejowe i maszyny przemysłowe, jak to czynili Sowieci, i zamiast wykorzystać słabe punkty swoich konkurentów - Stany Zjednoczone uruchomiły program nazwany później Planem Marshalla. Pod swoimi auspicjami Stany Zjednoczone w ciągu czterech krótkich lat wpompowały 13 miliardów dolarów w Europę, z czego 1,5 miliarda dolarów przyznano Niemcom. Pieniądze te przeznaczono na odbudowę zdolności produkcyjnych, wzmocnienie walut i ponowne uruchomienie handlu.

Japonia, w ramach odrębnych programów, otrzymała pomoc z USA w kwocie 1,9 miliarda dolarów, z czego 59 proc. przeznaczono na żywność, a 27 proc. przyznano w formie dostaw przemysłowych i środków transportowych.

Winston Churchill, charyzmatyczny przywódca walczącej Anglii, nazwał Plan Marshalla "najbardziej szlachetnym uczynkiem w dziejach." Jednakże te programy wspierające zarówno aliantów, jak i wrogów, bynajmniej nie były działalnością charytatywną. Były częścią długofalowej strategii gospodarczej, która okazała się skuteczna.

Plan Marshalla przyczynił się do odbudowania rynków zbytu na amerykańskie produkty przemysłowe. Był jednym z czynników zablokowania nawrotu nazizmu w Niemczech. A przede wszystkim, dzięki pomocy amerykańskiej, udało się Europie Zachodniej i Japonii uniknąć lodowatego uścisku Związku Sowieckiego. Była to, patrząc z perspektywy czasu, najmądrzejsza inwestycja w dziejach świata.

A jeśli chodzi o imperializm, do końca wojny Moskwa zyskała kontrolę wojskową i polityczną nad wszystkimi krajami w Europie Wschodniej. W każdym zainstalowała swe oddziały wojskowe i osadziła reżymy komunistyczne oraz zagroziła, że uczyni to samo w Europie Zachodniej, gdzie wspierane przez Sowietów partie komunistyczne, szczególnie we Francji i Włoszech, cieszyły się szerokim poparciem społecznym.

Czyniąc tak, Sowieci stworzyli obszerny rejon, rozciągający się od Władywostoku aż po Berlin, w którym gospodarka planowana centralnie, niewymienialne waluty i wiele innych barier celowo odcięły 10 proc. ludności świata od reszty światowej gospodarki.

Do 1949 roku Chiny zdołały także przyłączyć się do bloku sowieckiego. To odcięło kolejnych 22 proc. mieszkańców Ziemi od szerszej gospodarki globalnej. Do połowy lat pięćdziesiątych, wraz z początkiem rewolucji bogactwa, jedna trzecia ludności świata żyła w warunkach absolutnie nie przystających do reszty świata pod względem handlu i finansów.

Jednocześnie Afryka, Ameryka Łacińska i południowa Azja pogrążone były w absolutnej nędzy, przy czym w niektórych regionach dokonywały się gwałtowne, często pełne przemocy procesy dekolonizacji - wobec wycofywania się z tych krajów europejskich panów kolonialnych.

A zatem, na początku lat pięćdziesiątych same tylko Stany Zjednoczone, o ludności stanowiącej zaledwie 6 proc. populacji świata, zapewniały 39 proc. światowego PKB i aż połowę produkcji przemysłowej. Konkurencja była wówczas wręcz nieznaczna.

POŚLIZG I ZAMIESZANIE

Dziś ten świat jest pod względem gospodarczym nie do poznania. Globalna produkcja wzrosła z 5,3 biliona dolarów w roku 1950 (w przeliczeniu na międzynarodową wartość dolara z 1990 roku) do 51 bilionów dolarów w 2004 r. A rola Ameryki w międzynarodowej gospodarce pieniężnej radykalnie się zmieniła.

Chiny i inne regiony, podobnie jak Europa, z biegiem lat przeprowadziły odbudowę, stając się potężnymi konkurentami w ramach Drugiej Fali. W rezultacie Stany Zjednoczone, zamiast zapewniać 30 proc. światowej produkcji, zmniejszyły swój udział do 21,5 proc. Mówiąc krótko, Ameryka zawiaduje znacznie mniejszą częścią światowej gospodarki niż niegdyś. Można powiedzieć, że Stany Zjednoczone przez pół wieku, relatywnie, podupadały.

Jeśli jednak spojrzymy na sytuację w ujęciu bezwzględny, otrzymamy zgoła odmienny obraz. Od połowy lat pięćdziesiątych absolutne bogactwo Ameryki - choć oczywiście mierzone w sposób konwencjonalny i nie odpowiadający realiom gospodarczym - znacznie wzrosło. Wartość produkcji rzędu 1,7 biliona dolarów w 1952 roku (w przeliczeniu na stałą wartość dolara) urosła do poziomu 11 bilionów dolarów w roku 2004.

Choć liczby dotyczące wkładu technologii opartych na wiedzy, procesów, organizacji i kultury mają raczej miękki charakter i są na pewno dyskusyjne, Stany Zjednoczone nie byłyby w stanie podtrzymać swej pozycji konkurencyjnej w świecie - pod względem wojskowym oraz gospodarczym - gdyby pozostały potęgą czysto przemysłową. Nie doświadczyłyby także poślizgu i niezrozumienia, jakiemu dzisiaj muszą stawić czoło.

Zwiększając rolę wiedzy w biznesie i gospodarce, Stany Zjednoczone podważają jednocześnie wagę kultury i, w konsekwencji, zwracają uwagę na fakt, że niektóre kultury bardziej sprzyjają wydajności niż inne.

W ten sposób docieramy do oskarżeń pod adresem USA - zarzutów o "imperializm kulturalny" i stojącą za nim gospodarkę. Re-globalizacja sprawia, że odmienne kultury zbliżają się do siebie - czasami w sposób wrogi. Co więcej, ludzie na całym świecie skarżą się na homogenizację - że wszyscy, gdzie by się nie obrócili, widzą te same Wal-Marty, McDonaldy, te same hollywoodzkie

filmy i tak dalej. Czy rzeczywiście to wyłącznie Ameryka narzuca wszystkim swój sposób na życie, jak twierdzą jej krytycy? A może dokonuje się tutaj coś jeszcze?

HOMOGENIZACJA NA ODWRÓT

Odpowiedź, jak wiemy, tkwi w zrozumieniu tego prostego faktu, że w istocie istnieją dwie Ameryki. To ta wczorajsza Ameryka masowej produkcji, a nie odmasowiona Ameryka jutra znajduje odzwierciedlenie w tendencji do homogenizacji.

Produkcja masowa, jak zauważyliśmy, zapewnia ekonomię skali tym, którzy wciąż produkują lub sprzedają ten sam produkt, z jednej sztancy, zmieniany tylko w niewielkim stopniu, absolutnie niezbędnym. Dzieje się tak dlatego, że modyfikacje produktu składanego na linii montażowej są wyjątkowo kosztowne. Tysiące pracowników zmuszonych jest stać bezczynnie i czekać, aż linia zostanie przebrojona - a zegar przez cały czas tyka, nieustannie zwiększając koszty stałe.

W przeciwieństwie do tej sytuacji, modyfikacja produktu na "inteligentnej" linii montażowej, może wymagać zaledwie niewiele więcej niż tylko dopisania kilku linijek w programie komputerowym. Pracownik musi jedynie nacisnąć guzik. Wynikiem tego jest tania różnorodność, przejawiająca się w mnogości rozmaitych marek, typów, modeli, rozmiarów i materiałów na półkach w sklepie.

Mówiąc krótko, wraz ze spadkiem kosztów indywidualizacji produktów do zera oraz jednocześnie ze zwiększeniem indywidualizacji ludzi, pęd ku uniformizacji zostanie zastąpiony swoim przeciwieństwem - rosnącą różnorodnością.

Ponieważ fale zmian nakładają się na siebie, nawet w Stanach Zjednoczonych, rewolucyjny system bogactwa nie jest jeszcze w pełni rozwinięty: Stany Zjednoczone wciąż eksportują i reklamują masowe produkty i usługi. Ale w coraz większym stopniu dokonuje się przesunięcie ku masowej indywidualizacji, a na dalszych etapach - ku pełnemu odmasowieniu produkcji projektowanej z myślą o coraz bardziej zindywidualizowanym konsumencie.

Dawno, dawno temu w kawiarni można było się napić kawy w jednym gatunku. Kawiarnie sieci Starbucks mogą wyglądać homogenicznie, ale zapewniają konsumentom dziesiątki możliwych smaków i odmian.

Nike umożliwia nabywcom swych produktów samodzielne projektowanie obuwia sportowego, wybór spośród tysięcy zestawień kolorystycznych, możliwość umieszczenia swego imienia czy innych słów na produkcie.

Lubicie M&M'sy? Możecie teraz skorzystać z możliwości, jakie daje Internet, by umieścić na jednej stronie każdego cukierka krótkie zdanie.

Nawet stateczna amerykańska Poczta eksperymentalnie pozwalała patentom umieszczać na znaczkach obrazy wedle własnego wyboru - na przykład buzię swej pociechy.

Są to tylko przystanki w drodze do prawdziwie spersonalizowanej produkcji, będącej przeciwieństwem homogenizacji oferowanej przez firmy ery industrialnej.

Szczególnie interesującym przypadkiem jest Spider-Man. Kiedy udzielono licencji na produkcję tego amerykańskiego komiksu w Indiach, zmieniono głównego bohatera i jego otoczenie, aby nie urazić wrażliwości religijnej hinduskiego czytelnika.

Bohaterowi zmieniono nazwisko - a zatem Peter Parker z Nowego Jorku stał się Pavitrem Prabhakarem z Bombaju. Ważniejszą jednak zmianą było wprowadzenie wyjaśnienia, w jaki sposób Pavitr nabył swą nadludzką moc.

Podczas gdy w wersji amerykańskiej zdolności Petera poszerzane były drogą radioaktywną, w Indiach nadnaturalna moc miała źródła religijne. Jak pisał tygodnik "Newsweek": "Bohater otrzymuje swą moc od jogina, który sprawuje nad nim rytualny obrządek (...) a złoczyńca jest demonem z hinduskiego panteonu bogów."

Krótko rzecz ujmując, homogenizacja kulturalna jest przesłaniem zanikającej Ameryki masowej produkcji. Heterogeniczność, odmasowienie i personalizacja są przesłaniem szybko rozwijającej się Ameryki, której potrzebna jest różnorodność i tę różnorodność także z siebie wydaje. I to nie tylko w zakresie towarów i komiksów.

Media Trzeciej Fali również zwiększają dostęp do nieskończonej różnorodności idei, wartości, stylów życia i punktów widzenia, włącznie z wszystkimi ideologiami politycznymi i odmianami kulturalnymi, jakie jesteśmy sobie w stanie wyobrazić. To dlatego w Chinach, na przykład, mimo realizowanej tam strategii dwupasmowego rozwoju, wciąż cenzuruje się i manipuluje większością treści dostępnych obywatelom w Internecie.

Dziś zasadniczym pytaniem nie jest ilość homogeniczności produkowanej przez Stany Zjednoczone, ale to, ile heterogeniczności dławią inne rządy, kultury i religie.

Być może aktualnie Stany Zjednoczone są jedynym supermocarstwem na świecie. Stoją jednak w obliczu utrudnień i złożoności, z jakimi nie musiało się borykać - ani nawet nie wyobrażało ich sobie - żadne inne mocarstwo w przeszłości.

Działając we własnym interesie - postrzeganym niekiedy, być może, błędnie - Stany Zjednoczone miały spory udział w budowaniu nowego, wielopłaszczyznowego ładu światowego - znacznie odmiennego od tego, jaki wyobrażali sobie przywódcy poprzedniego pokolenia.

Zacznijmy od gry gier.

Rozdział 49

Gra gier, jakiej jeszcze nie było

Przyszłość rewolucyjnego bogactwa w naszej kieszeni i na naszej planecie zależeć będzie nie tylko od współgrania poszczególnych rynków ze sobą. Tylko wyjątkowo, i to teoretycznie, sam rynek decyduje o tym, co komu przypada i co kto ma robić. Wszędzie na świecie o kształcie bogactwa decyduje władza, kultura, polityka i państwo. Na arenie świata zaś głównymi aktorami są państwa.

W ciągu najbliższych lat kraje wciąż będą tworzyły nowe bloki ekonomiczne, prowadziły walutowe gry kursami oraz wprowadzały cła i dopłaty (coraz obszerniej uzasadniane ekologicznie, kulturalnie czy jakkolwiek inaczej). Nadal będą twierdziły, że bezrobocie jest wynikiem stosowania przez inne państwa praktyk nieuczciwej konkurencji. Nadal będą domagały się zasady równych praw i szans dla wszystkich. Będą wokół tych spraw robiły wiele hałasu. I, oczywiście, będą ze swych obywateli ściągali podatki.

Kształtujące się dziś nowe potęgi, takie jak Indie, Chiny czy Brazylia, będą domagały się takiego samego, jak wielkie mocarstwa, traktowania w międzynarodowych instytucjach, jak na przykład Światowa Organizacja Handlu (WTO), Międzynarodowy Fundusz Walutowy (IMF), Bank Światowy czy Bank Rozliczeń Międzynarodowych (BIS), czyli organizacjach wywierających wpływ na handel, waluty, kredyt, rezerwy bankowe i mnóstwo innych czynników związanych z bogactwem.

Mimo że rywalizacja między państwami nasili się na dobrze znanym terenie, który możemy nazwać planszą gier państwowych - wszystkie będą w tej grze przegrywały. Bez względu bowiem na to, czy się to rządów poszczególnych państw podoba, czy nie podoba - władza coraz bardziej się od nich oddala. Wielkie potęgi są coraz mniej "wielkie." Dotyczy to również Ameryki.

NEO-GRY

Dzieje się tak dlatego, że narody i państwa nie są już jedynymi silnymi figurami w nowej meta-grze, składającej się z wielu różnych podgier powiązanych interaktywnie i rozgrywanych symultanicznie. Neo-szachy na jednym poziomie. Neo-poker lub neo-tryktrak czy neo-EverQuest na innych. Gracze rywalizują wedle nieliniowych zasad, zmieniających się po każdym ruchu lub w ich trakcie.

Korporacje grają w wielonarodowe gry już od dawna i zdobyły nieproporcjonalnie wielkie wpływy na szczeblu międzynarodowym. Dzisiaj, ponieważ w coraz większym stopniu mają globalny charakter, największe koncerny oraz instytucje finansowe przesuwają pionki po swej własnej planszy i w coraz mniejszym stopniu mogą być rozliczane ze swoich działań na poziomie kraju, z którego się wywodzą.

Kiedy Microsoft, Citigroup, Toyota, Royal Dutch Shell, Philips czy Samsung mówią - rządy państw słuchają. Ale liczą się przecież nie tylko gry krajowe i gry korporacyjne (lub interakcje między nimi).

Państwa i firmy także muszą radzić sobie z szybko rozwijającym się środowiskiem organizacji pozarządowych i innych kształtujących się sił.

A GDZIE CZŁOWIEK?

Wiele organizacji pozarządowych walczy przeciwko takim korporacjom, jak Monsanto, Shell Oil i McDonald's. Jak wiemy, zwalczają wolny handel i re-globalizację. Urządzają pokojowe manifestacje. Prowadzą kampanie w obronie wielorybów i lasów. I dzięki temu trafiają na pierwsze strony gazet.

Mniej widoczne, ale bardziej liczne i, kiedy wziąć pod uwagę ich łączne oddziaływanie, znacznie bardziej wpływowe są inne organizacje pozarządowe - jak na przykład ogólnoswiatowe stowarzyszenia branżowe, grupy zawodowe, kluby sportowe, organizacje naukowe i inne ciała. Większość z nich koncentruje się na wąskich, wyspecjalizowanych zagadnieniach, dotyczących rozmaitych branż i grup - począwszy od agencji celnych i prawników rodzinnych po genetyków, notariuszy, dystrybutorów plastyku, kucharzy, modeli i projektantów odzieży.

Niektóre organizacje pozarządowe bronią interesów producentów. Inne bronią konsumentów. Jeszcze inne organizują lub reprezentują prosumentów - jak na przykład grupy, które koordynowały wysiłki tysięcy wolontariuszy z całego świata udzielających pomocy ofiarom wielkiego tsunami w grudniu 2004 roku.

Wszystkie razem, jako masa uzbrojona w komputery, dostęp do Internetu i najnowszy sprzęt telekomunikacyjny oraz dysponująca wsparciem prawników, lekarzy, naukowców i innych ekspertów, organizacje te formują szybko rozwijającą się siłę międzypaństwową, z którą korporacje i państwa w coraz większym stopniu zmuszone są dzielić się władzą.

Co więcej, rozwój liczebny organizacji pozarządowych dopiero się zaczyna. Po pierwsze - dlatego, że Internet, sieci komputerowe, telefony komórkowe i doskonała komunikacja sprawiają, iż coraz łatwiej i taniej przychodzi ludziom rozpoznawać wspólne cele i wspólne troski, odszukać się nawzajem, połączyć i zorganizować. Po drugie - dzieje się tak dlatego, że przyspieszenie zmian stwarza nowe możliwości i wywołuje coraz to nowe obawy. Zanim, na przykład, rozpoznano embrionalne komórki macierzyste, nikt nie tworzył organizacji pozarządowych, które wspierałyby badania nad komórkami macierzystymi - ani takich, które by je zwalczały. Dziś takich organizacji jest wiele.

ORGANIZACJE JUTRA

Wiele organizacji pozarządowych, które wciąż działają na szczeblu lokalnym i krajowym, już wkrótce - jak można się spodziewać - postara się o to, by zostały zauważone na poziomie globalnym; tak samo jak organizacje ekologiczne, feministyczne czy ruchy praw człowieka: rozpoczynały działalność lokalnie, następnie rozwinęły się na skalę krajową, a wkrótce zaczęły prezentować swoje programy na arenie ogólnoswiatowej.

Dziś, na przykład, prawa homoseksualistów są silnie kontestowane w wielu krajach. Wobec zmiany stosunku liczbowego płci w wielu krajach, w których rodzi się o wiele więcej chłopców niż

dziewczynek (na przykład w Chinach współczynnik ten wynosi 120:100), brak kobiet być może przyczyni się do promowania męskiej homoseksualności. Nic dziwnego, że znany pisarz Mark Steyn pół żartem, pół serio pytał, czy Chiny "planują stać się pierwszym gejowskim supermocarstwem od czasów Sparty." Geje zaczną, kolejno w wielu krajach, wychodzić z cienia i otwarcie czy też w ukryciu organizować się politycznie, co zresztą już się dokonało w Ameryce Północnej i Europie. Następnie postulaty praw dla gejów, a więc między innymi legalizację małżeństw homoseksualnych, przeniosą na arenę ogólnoświatową.

Walki o wiele kwestii moralnych XXI wieku dadzą początek całkowicie nowym organizacjom pozarządowym.

Powstaną one, by zdobywać poparcie dla badań nad "nano-chorobami" lub walczyć z "nano-zanieczyszczeniami." Wraz z rozwojem nano-nauki, organizacje pozarządowe będą walczyły za lub przeciwko neuromanipulacji inteligencją człowieka.

A kiedy człowiek zostanie wreszcie sklonowany - co jest bardzo prawdopodobne, mimo prób wprowadzenia zakazu klonowania ludzi - być może będziemy świadkami organizowania się globalnych ruchów, które będą odmawiały klonom praw lub starały się je im zagwarantować.

W przyszłości będziemy dysponowali wieloma nowymi sposobami zmieniania zarówno ciała, jak umysłu za pomocą inżynierii genetycznej i nauki w ogóle. Podobnie jak kruszą się granice akademickie, polityczne i inne - tak samo znikną granice określające, co znaczy być człowiekiem.

Jak bardzo trzeba zmieniać ciało - chemicznie, biologicznie, genetycznie czy mechanicznie - aby ktoś uznał, że ciało to nie jest już na tyle "ludzkie", by zasługiwało na równe z ludźmi traktowanie? W przyszłości organizacje pozarządowe będą walczyły globalnie o to, co odróżnia człowieka od "trans-człowieka", i o to, jakie jednemu i drugiemu przysługują prawa.

Kwestie moralne, którym już niedługo będziemy musieli stawić czoło, są tak poważne i wzbudzają tak silne emocje, że bez trudu możemy wyobrazić sobie, iż staną się zaczynem fanatycznych ruchów, a przy okazji - jeszcze jednym źródłem światowego terroru.

Łącznie już teraz organizacje pozarządowe stanowią tygiel wrzących pasji, idei, wczesnych sygnałów ostrzegawczych i propozycji innowacji społecznych - dobrych i złych. Są w stanie już dziś organizować się i działać szybciej niż rządy i państwowe maszyny biurokratyczne (co stanowi kolejny przykład desynchronizacji). A ich działalność wywrze olbrzymi, w dużej mierze niespodziewany wpływ na produkcję i dystrybucję bogactwa w gospodarce świata.

To zaś prowadzi nas do największych organizacji pozarządowych świata, jeśli zechcemy tak je potraktować: religii.

RELIGIO-EKONOMIA

Wprawdzie tempo wzrostu liczby wyznawców religii w wymiarze ogólnoświatowym spada, to jednak tempo przyrostu wyznawców dwóch największych religii świata - chrześcijaństwa i islamu - jest coraz większe. Obie te religie w ciągu najbliższych kilkudziesięciu lat znajdą się pod wpływem technologii i radykalnej redystrybucji światowego bogactwa.

Związek między religią i pieniędzmi jest dziś przedmiotem ożywionego zainteresowania głównie ze względu na koszty terroryzmu. Osama bin Laden przechwalał się, że atak muzułmańskich ekstremistów z 11 Września kosztował gospodarkę amerykańską ponad bilion dolarów. Trzeba przyznać, bin Ladenowi przydałby się nieco lepszy księgowy.

Suma tych kosztów zależy bowiem od tego, co się do niej zaliczy. Wszelkie uznane badania nawet nie zbliżyły się do liczb podawanych przez bin Ladena. Prawdą jest natomiast, jak wskazano w raporcie przygotowanym dla Kongresu USA, że opóźnione wstrząsy odczuwalne były na rynku "aktywów zagranicznych, w turystyce i transporcie osobowym, w nastawieniu konsumentów oraz czasowo w zakresie przepływów kapitałowych."

Aby zbliżyć się do fantazyjnych danych cytowanych przez bin Ladena, trzeba by chyba być księgowym z Enronu, szczególnie wobec tego - jak uczą nas doświadczenia innych katastrof - że wiele kosztów można sobie powetować wraz z rozpoczęciem odbudowy. Pieniądze po prostu kierowane są z jednej części gospodarki - do innej.

Według tegoż samego raportu dla Kongresu, wydarzenia z 11 Września i późniejsze zamachy bombowe na Bali i w Madrycie były w przeważającej mierze pomyślane jako częściowy "atak na globalny system gospodarczy." Jeśli tak, to koszty, nawet te obejmujące "opóźnione skutki gospodarcze," należy uznać za "niewielkie w porównaniu z globalnym PKB." Bardziej odpowiednim określeniem byłoby: "znikome".

To dlatego bin Laden i inne grupy terrorystyczne są gotowe na wszystko - byle tylko pozyskać broń masowego zniszczenia. Z tego samego powodu należy za wszelką cenę powstrzymać terroryzm.

Ale nawet gdyby teo-terroryzm miał w czarodziejski sposób zniknąć z powierzchni Ziemi, znaczny wpływ na gospodarkę światową w ciągu najbliższych kilkudziesięciu lat będzie wywierała religia.

PRZEPROWADZKA PANA BOGA

Amerykane, określane jako "niewierni" przez muzułmańskich ekstremistów i "nadmiernie religijni" przez Europejczyków, muszą stawić czoło światu, który zamiast dążyć do sekularyzacji, jak to miało miejsce w czasach industrialnych, wydaje się zmierzać w kierunku zgoła przeciwnym.

David B. Barrett i Todd Johnson, współredaktorzy *World Christian Encyclopedia*, przewidują, że licząca dziś 2 miliardy wyznawców rzesza chrześcijan osiągnie do roku 2050 liczebność 2,6 miliarda osób - a więc wzrośnie łącznie o około 30 procent. Islam jednak rośnie znacznie szybciej. Z 553 milionów w roku 1970 urósł do 1,2 miliarda w roku 2001 i osiągnie, według szacunków, liczebność rzędu 1,8 miliarda do 2025 roku, co oznacza wzrost o 50 proc. w ciągu ćwierćwiecza.

Wprawdzie statystyki religijne nie są lepszej jakości niż dane gospodarcze, ale ogólny kierunek jest wyraźny. Liczby te zresztą są o wiele bardziej wymowne, jeśli weźmiemy pod uwagę, skąd rekrutować się będą nowi chrześcijanie i nowi muzułmanie.

W przypadku obu tych wielkich religii dostrzec można ważne geograficzne, czyli przestrzenne przesunięcie. Od połowy lat pięćdziesiątych, jak twierdzi Philips Jenkins, autor *The Next Christianity*,

“punkt ciężkości chrześcijaństwa przesunął się zdecydowanie do Afryki, do Ameryki Łacińskiej i do Azji. W każdym z tych regionów żyje dziś więcej chrześcijan niż w Ameryce Północnej. Już wcześniej zaś odnotowaliśmy wzrost popularności chrześcijaństwa w Chinach.

Rozwój i przestrzenna relokacja religii na świecie jest kolosalnym wydarzeniem dziejowym. Będzie ono, przynajmniej częściowo, kształtowało - i samo będzie kształtowane - przez nadchodzące transfery bogactwa na świecie.

Liczba muzułmanów w Europie podwoiła się w ciągu ostatnich dwudziestu lat, w dużej mierze w wyniku migracji. Szacuje się, że tempo rozwoju islamu w Europie przewyższy tempo wzrostu liczebności społeczności chrześcijan. Często pomija się fakt, że jedna trzecia wszystkich muzułmanów to etno-kulturalne mniejszości w krajach niemuzułmańskich, coraz bardziej oddalone od geograficznego centrum islamu.

Mamy tu do czynienia z płynną, mobilną populacją muzułmańskiej klasy średniej, intelektualistami, biznesmenami, inżynierami i profesorami, którzy mogą mieszkać i pracować kolejno w różnych krajach, zgodnie z wymogami rynku pracy.

Olivier Roy ze School of Advanced Studies in Social Sciences (Wyższej Szkoły Nauk Społecznych) w Paryżu twierdzi, że świat islamu znajdzie się - w zakresie polityki, stylu życia, kultury i poczucia tożsamości (a także - można dodać - postaw wobec kapitalizmu, rynków i biznesu) - pod coraz silniejszym wpływem milionów “wykorzenionych terytorialnie” muzułmanów, zamieszkujących przede wszystkim kraje europejskie.

Podczas gdy te procesy rozgrywają się na Zachodzie - najszybciej rośnie populacja muzułmańska na Wschodzie, w odradzającej się Azji, gdzie - szczególnie w Malezji i Indonezji - dominują bardziej umiarkowane formy islamu niż w Iranie i krajach arabskich.

Łącznie te przemiany na Wschodzie i Zachodzie mogą przenieść punkt ciężkości wpływów religijnych i kulturalnych islamu - poza Bliski Wschód. Dominacja ta jednakże, choć zakorzeniona w Mekce między innymi za sprawą hadżdżu - dorocznych pielgrzymek milionów muzułmanów do miejsca urodzenia Mahometa - de facto utrzymywana tam była za sprawą pieniędzy.

Od stuleci potęgą muzułmanów w gospodarce światowej wynikała ze strategicznej lokalizacji na Bliskim Wschodzie, rejonu o wysokiej wartości dodanej, pełniącego rolę głównego punktu tranzytowego w handlu między Azją i Europą. Rejon ten utracił swą przewagę finansową, kiedy europejscy i inni handlowcy, posługując się zaawansowanymi metodami nawigacji i umiejętnością żeglugi dalekomorskiej, zaczęli omijać Bliski Wschód - okrążając południowy cypel Afryki.

Dziś Bliski Wschód raz jeszcze stoi w obliczu utraty swego najcenniejszego źródła bogactwa oraz towarzyszących mu wpływów finansowych, kulturalnych i religijnych. Źródłem tym jest, rzecz jasna, ropa naftowa.

KRES PETRO-POTĘGI

Rozwój Chin, Indii i, nieco mniej rzucający się w oczy, Brazylii przyczynił się do wzrostu cen ropy naftowej, które osiągnęły rekordowy poziom w roku 2005 - dwukrotnie wyższy niż w 2002 r. Dzięki

temu coraz większym zainteresowaniem cieszą się alternatywne źródła energii. Powraca też pytanie o to, na jak długo starczy nam zasobów ropy naftowej. Nikt wprawdzie nie potrafi przewidzieć, kiedy zostanie wydobyta ostatnia baryłka ropy, jednakże w wielkich koncernach samochodowych i naftowych już dziś planiści z zapalem przygotowują strategie transformacji do gospodarki postnaftowej. GM ma nadzieję, że pierwszy spośród producentów samochodów osiągnie poziom miliona sprzedanych pojazdów napędzanych wodorem i wyposażonych w ogniwa paliwowe. A jeśli nie GM, to może Toyota? Albo rozwijający się coraz bardziej przemysł samochodowy Chin?

Jeśli rządy na Bliskim Wschodzie nie zaczną już teraz kreślić planów z myślą o postnaftowej, intelektualnej gospodarce usługowej, masowy exodus bogactwa z tego regionu może wyzwolić daleko groźniejszy terrorizm, napędzany dodatkowo jednoczesnym pogłębianiem się nędzy i beznadziei.

Każdy samochód wyposażony w ogniwo paliwowe wprowadzony w innej części świata, każda elektrownia jądrowa, każdy panel solarny, każdy wiatrak i każde nowe źródło i alternatywna wobec naftowej forma energii - przyspieszą upadek istniejących elit biznesowych i religijnych na Bliskim Wschodzie.

Kłęska tego typu opróżniłaby skarbcze saudyjskie z zasobów finansowych i jeszcze bardziej podważyłaby wpływy saudyjskie, przy okazji osłabiając też saudyjskie wpływy religijne w łonie islamu, zakłócając też równowagę między szyitami, sunnitami i innymi grupami.

Bajecznie bogaci naftowi szejkwowie saudyjscy wykorzystywani byli do promowania na całym świecie wahhabizmu, szczególnie konserwatywnej odmiany islamu. Fundusze, jakimi dysponowali, mogły być przeznaczone na edukację młodszego pokolenia muzułmanów - na przekazanie im umiejętności o wymiernej wartości ekonomicznej.

Zamiast tego jednak, finansowali ściśle religijne szkoły produkujące talibów w Afganistanie oraz bezrobotną, sfrustrowaną i agresywną młodzież na niemal całym świecie, w tym również terrorystów, którzy obecnie usiłują obalić ówże saudyjski reżym.

Wielu zewnętrznym obserwatorom wydaje się, że islam już teraz walczy sam z sobą. W wojnie tej wrogiem nie jest antymuzułmańska, imperialistyczna Ameryka czy jakiś inny antymuzułmański kraj. Czy w ogóle Zachód. Wrogiem w tej wojnie jest zachłanność, prowincjonalizm i krótkowzroczność, która wcale nie przeszkadzała tak wielu bliskowschodnim przywódcom rządzić przez tak długo. Z powodu tejże krótkowzroczności nie potrafili jednakże przeznaczyć ciężkich pieniędzy zarobionych na ropie naftowej na wykorzystanie Trzeciej Fali do budowy lepszej przyszłości dla swych braci.

EX-UTOPIA

Jak mogły się potoczyć sprawy na Bliskim Wschodzie - dzięki czemu zniechęcona młodzież muzułmańska zobaczyłaby światelko w tunelu - ilustruje jeden z akapitów autorstwa ekonomisty Rima Khalafa Hunaidfego, byłego wicepremiera Jordanii, obecnie dyrektora Regionalnego Biura Programu Rozwoju ONZ dla krajów arabskich:

“To wiedza coraz wyraźniej zaznacza granicę między bogactwem i biedą, pomiędzy możliwościami i bezsilnością oraz między spełnieniem i frustracją. Kraj zdolny do zmobilizowania i rozpowszechnienia wiedzy może szybko podnieść swój poziom rozwoju, wesprzeć rozwój i rozkwit swoich obywateli oraz zająć należne sobie miejsce na globalnej arenie XXI wieku.”

Po tym wprowadzeniu następuje dwunastostronicowe streszczenie opastego raportu za 2003 rok na temat “budowania społeczeństwa wiedzy” w świecie arabskim. Dokument ów, przygotowany przez ponad trzydziestu naukowców muzułmańskich i politologów dzięki wsparciu Arab Fund for Economic and Social Development (Arabskiego Funduszu Rozwoju Społeczno-Ekonomicznego) oraz U.N. Development Program (Programu Rozwoju ONZ). Opiera on nadzieję na renesans świata arabskiego na pięciu “filarach”, które tak scharakteryzował Hunaidi:

Wolność opinii, słowa i stowarzyszania się;

Ogólnodostępna (...) edukacja dobrej jakości;

Zakorzenie nauki w społeczeństwie arabskim (...) i zdecydowane przyłączenie się do rewolucji informacyjnej;

Szybki marsz ku produkcji opartej na wiedzy, zapewniającej wyższą wartość dodaną;

Rozwój oświeconej wiedzy arabskiej inspirującej krytyczne myślenie, umiejętność rozwiązywania problemów i kreatywność przy jednoczesnym propagowaniu języka arabskiego, różnorodności kulturalnej i otwartości na inne kultury.

Streszczenie to jest wobec świata arabskiego szczere do bólu. Czytamy w nim, że “aktywność gospodarcza w świecie arabskim w dużej mierze koncentruje się na prymitywnych towarach, co widać na przykładzie rolnictwa - w znacznym stopniu tradycyjnego”, podczas gdy “jednocześnie udział przemysłu dóbr kapitałowych oraz branż wykorzystujących nowsze technologie nieustannie się kurczy.”

“Dostęp do mediów cyfrowych należy do najniższych na świecie,” zarówno w kategoriach liczby komputerów i dostępu do Internetu.”

Równie wymowne są też dane na temat badań naukowych. Z raportu wynika, że liczba naukowców i inżynierów zajmujących się pracą badawczą na milion ludności wynosi w świecie arabskim około jednej trzeciej średniej światowej. I podczas gdy świat arabski stanowi 5 proc. ludności świata, w państwach arabskich publikuje się 1,1 proc. ogółu książek.

Kluczową tezę zespołu autorów raportu jest stopień, do jakiego islam, przynajmniej w krajach arabskich, sam odcina się od idei, wiedzy i innowacyjności reszty świata.

Ahmad Kamal Aboulmagd, profesor prawa publicznego na Uniwersytecie w Kairze, doradca zespołu opracowującego raport, podważa jednak to twierdzenie, powiadając, że tożsamość muzułmańska nie oznacza “izolacji od reszty ludzkości, zamknięcia wewnątrz własnego kręgu kulturowego, otoczonego murem bez drzwi.”

Analizując historię interakcji kulturalnej świata arabskiego ze światem zewnętrznym, autorzy raportu konkludują: “Otwarcie, interakcje, asymilacja, absorpcja, rewizjonizm, krytycyzm i badania muszą okazać się stymulatorem produkowania kreatywnej wiedzy w społeczeństwach arabskich.”

Jakżeż kontrastuje to z islamską wizją przeszłości, odniesioną do przyszłości.

A zatem w kategoriach głębokich fundamentów czasu, przestrzeni i przede wszystkim wiedzy islamscy terroryści nie niosą zewnętrznemu światu nic prócz mordów, zaś własnemu światu - jedynie nędzę.

Poświęciliśmy tutaj więcej miejsca islamowi i Bliskiemu Wschodowi oraz ich utraconym szansom, z powodu aktualnej, gorącej sytuacji na świecie, ale przecież Afryka i Ameryka Łacińska także muszą zmierzyć się z własną przyszłością. Tam wrzenie wywołuje konflikt fal rozgrywający się wokół takich zjawisk, jak własność ziemi, obszary nędzy w wielkich miastach, agrobiznes, sytuacja plemion autochtonicznych, zagadnienia etniczne i ekologia - nasilonych i skomplikowanych dodatkowo przez rasizm i narkoterroryzm. Stany Zjednoczone tak bardzo koncentrują się na Bliskim Wschodzie, że zbyt mało uwagi poświęcają tym dwóm wielkim kipiącym wulkanom.

KRUCHOŚĆ POTĘGI

Nieuniknione w przyszłości kryzysy pojawiają się na tych właśnie "planszach" gier opisanych powyżej. W ich tle rozgrywa się wielka, nieliniowa, coraz bardziej skomplikowana, wielokierunkowa i przyśpieszająca "meta-gra."

Oznacza to, że nawet najbardziej przenikliwa narodowa strategia Chin czy Stanów Zjednoczonych - czy dowolnego państwa - może być obalona, zawrócona lub pozbawiona sensu, jeśli nie uwzględni neo-gier rozgrywanych przez organizacje pozarządowe, religie i innych uczestników tej szerszej meta-gry. Problemy Ameryki w Iraku w dużej mierze można przypisać temu, że Waszyngton nie zdołał przewidzieć skutków masowych demonstracji antywojennych organizowanych przez organizacje pozarządowe na całym świecie oraz drastycznemu niedoszacowaniu znaczenia konfliktów religijnych i plemiennych po obaleniu Saddama Husseina.

W tej grze Stany Zjednoczone, jak każdy kraj, nadal będą dbały o własny, dobrze lub źle pojmowany interes ekonomiczny - lub interesy swych wpływowych elit. Ale czy w trakcie tej partii meta-gry Stany Zjednoczone pozostaną (a jeśli tak, to jak długo) dominującą potęgą gospodarczą świata?

Każda dominacja jest tymczasowa, a dziś Ameryka zaczyna czuć oddech Chin na plecach. Nawet Waszyngton jest podzielony: podczas gdy jedni pogodzeni są z myślą, że Chiny w ciągu kilkudziesięciu lat staną się czołową siłą gospodarczą świata, inni za wszelką cenę pragną uratować przywództwo Ameryki.

Ale jest to nazbyt uproszczony podział. O wiele ważniejszą kwestią jest to, do jakiego stopnia kruche bogactwo Ameryki zależy od dominacji gospodarczej? Doświadczenie Planu Marshalla uczy nas, że gigantyczny udział Stanów Zjednoczonych w światowym PKB - amerykański kawałek światowej gospodarki - może się skurczyć, podczas gdy zamożność obywateli Ameryki może jednocześnie wzrosnąć. Czy ta prawidłowość jest aktualna również i dzisiaj? A jeśli tak, to w jakiej formie?

Jeśli Ameryka jest - jak się jej zarzuca - imperialistycznym mocarstwem, zachłannie wzbogacającym się kosztem innych, powstaje pytanie, w jakim stopniu jej wzrost i wartość netto faktycznie są konsekwencją jej "imperialistycznej" polityki? Kto to wie? Prawdziwe potęgi imperialistyczne w ostatecznym rachunku straciły pieniądze na tym interesie. I na odwrót: w jakim stopniu bogactwo Ameryki jest wynikiem pracy, kreatywności i szybkiej akumulacji wiedzy jej producentów i prosumentów?

W jaki sposób zmieni się gospodarka USA - i, w rzeczy samej, relatywna pozycja innych krajów - kiedy w pełni weźmiemy pod uwagę prosumpcję i produktywność, co jest wszak nieuniknione? Jakie formy pieniądza, przyszłe systemy płatności i nowe instytucje finansowe okażą się niezbędne, aby dokonać mogły się te zmiany?

Czy Stany Zjednoczone jeszcze bardziej się wzbogacą, jeśli będą nadal rozpowszechniały w innych krajach najnowsze technologie, zaawansowane modele zarządzania i media - czy też podążą w przeciwnym kierunku? Czy outsourcing badań i skomplikowanych zadań do Indii i innych krajów umożliwi tym krajom przeskoczenie Stanów Zjednoczonych? Czy Ameryka będzie w stanie temu zapobiec, jeśli zechce? Notoryczna kradzież własności intelektualnej przez Chiny i inne kraje sugeruje coś wręcz przeciwnego. Bogactwo rewolucyjne nie jest już bynajmniej własnością Ameryki. Jest codziennością na miarę całego globu.

Jak zatem zmieni się obecny trójpodział świata - na trzy różne systemy bogactwa - jeśli na czele przemian stanie Azja, a nie Ameryka? I czy choć trochę poprawi się przez to los najbiedniejszych regionów świata?

Globalna dominacja jest jednakże kwestią nie tylko bogactwa ale i bezpieczeństwa, wartości, praw człowieka i moralnej niezależności oraz wpływów. Jak wyglądałby świat, z gospodarką włącznie, gdyby siłą dominującą stały się Chiny lub Europa na czele z Francją lub Niemcami czy też wzmocnionymi Indiami, Rosją czy którymś innym krajem?

Wielu uczonych w piśmie domaga się dziś nowej, globalnej "równowagi władzy." Ale czy tak zwany wielobiegunowy świat, podzielony na rywalizujące ze sobą sojusze lub bloki regionalne, rzeczywiście byłby w lepszej kondycji gospodarczej i bardziej pokojowy niż jednobiegunowy świat, pod przewodnictwem lub dominacją jednego kraju lub regionu? Historycy są beznadziejnie podzieleni, kiedy ich zapytać o doświadczenia historyczne. Nawet gdyby między nimi zapanowała jednomyślność, na ile doświadczenia z przeszłości można w naszej meta-grze odnosić do nieliniowej przyszłości?

Równowaga oznacza utrzymywanie stanu zrównoważenia, equilibrium. Czy światowa gospodarka jest zrównoważona? Nikt już teraz, za sprawą teorii złożoności, nie powinien mieć złudzeń, że równowaga nie jest ani trochę bardziej naturalnym stanem rzeczy niż nierównowaga i chaos. Czy dyplomacja równowagi sił, która tak dobrze zdawała egzamin za sprawą starań księcia Metternicha w XIX wieku, przyda się nam na coś w XXI stuleciu?

Równowaga sił w swoim czasie odnosiła się do państw. Równowaga sił w przyszłości, jeśli w ogóle będzie osiągalna na dłużej, musiałaby oznaczać równoważenie także sił niepaństwowych, a więc i korporacji, organizacji pozarządowych oraz religii.

Metternich, ów wielki dyplomata austriacki, także żył w czasach, kiedy uwagę opinii publicznej przyciągały nowe technologie, a w Europie z wolna rozprzestrzeniała się rewolucja przemysłowa. Jednak tempo "modernizacji" było wówczas - według naszych obecnych standardów - wręcz żółwie. Ludzie i instytucje mieli wówczas sporo czasu na dostosowanie się do nowości. Rewolucyjne bogactwo nam takiej szansy nie daje.

Ameryka nie może kontrolować pędem zmierzających ku nam największych przemian gospodarczych, politycznych, kulturalnych i religijnych. Co najwyżej może próbować. Wciąż musi przy tym reformować własną gospodarkę i instytucje wewnętrzne, neutralizując zagrożenia zewnętrzne i zmniejszając niektóre spośród powszechnych niebezpieczeństw grożących nam wszystkim.

NANO-TERAZ

Wedle spiskowych teorii dziejów klika amerykańskich kapitalistów nieustannie knuje, jak by tu zawładnąć całym światem i kontrolować gospodarcze losy świata. Tymczasem w rzeczywistości Stany Zjednoczone nie dysponują niczym, co by choć trochę przypominało spójną strategię długoterminową radzenia sobie w świecie - po raz pierwszy podzielonym na trzy odmienne systemy bogactwa. W ogóle nikt takiej strategii nie posiada.

Silna koncentracja Ameryki na terażniejszości odzwierciedla kulturę niecierpliwych Amerykanów - dzieci "Pokolenia Teraz" ("Now Generation"), jak je kiedyś nazwano w reklamówce pepsi-coli. Kiedy PepsiCo posłużyło się tym hasłem, owo "teraz" trwało dłużej. Dla dzisiejszego pokolenia - wielozadaniowego i pozostającego w nieustannym ruchu - teraz znaczy co najwyżej "nano-teraz."

Nic dziwnego, że w Stanach Zjednoczonych Hollywood i inne media kreują raczej takich bohaterów, którzy "strzelają z biodra," niż tych, którzy by zastanawiali się i planowali z wyprzedzeniem. Oglądanie pościgu samochodowego na ekranie telewizora jest o wiele bardziej ekscytujące wizualnie niż oglądanie ludzi zatopionych w myślach.

Kiedy amerykańscy politycy - sporadycznie - odnoszą się do problemów w ujęciu długoterminowym, zazwyczaj nawiązują do poszczególnych instytucji lub wąsko wyspecjalizowanych programów, niż do zagadnień systemowych. A kiedy zdarzy im się patrzeć poza horyzont jednej kadencji urzędowania, opozycja wyśmiewa ich, jako marzycieli pozbawionych kontaktu z rzeczywistością.

Pewien wysoki rangą polityk waszyngtoński, jeden z tych nielicznych, którzy myślą o wielkich problemach w perspektywie kilku przyszłych dekad, wyznał nam ze smutkiem w głosie: "Kongres uważa, że strategia, to roczny albo dwuletni budżet."

Jeden z doradców Białego Domu ds. bezpieczeństwa narodowego miał nawet stwierdzić, że nie miał czasu na strategię oraz że strategia jest jedynie etykietką, jaką opatruje się działania, ale - post factum, czyli dopiero wówczas, gdy już je podjęto.

Koncentracja na tym, co natychmiastowe, ujawnia się także w biznesie. W ciągu ostatnich lat rozmaici guru zarządzania powtarzali szefom firm, że sprawy rozwijają się zbyt szybko, żeby firmy zwracały sobie głowę strategiami. Zdaniem tychże ekspertów, potrzebna jest nam nie tyle strategia, co obrotność i zwinność. Jeśli kraje i firmy posiadają wystarczająco rozwinięte umiejętności adaptacyjne, są wystarczająco elastyczne i szybkie - nie potrzebują żadnych strategii.

Oczywiście, że obrotność jest absolutnie niezbędna. Ale obrotność bez strategii jest czysto reaktywna. Sprawia, że dana osoba, firma czy nawet kraj zostają podporządkowani strategii kogoś innego, albo wręcz kaprysowi losu.

Strategie, podobnie jak ludzie, którzy je tworzą, zawsze są niedoskonałe. I, bez dwóch zdań, muszą być elastyczne, szybko poddające się przeformułowaniu. Fakt: inteligentne strategie muszą uwzględniać nie tylko obecną szybkość zmian, ale także przyspieszenie, jakie pojawi się jutro.

Trzeba przyznać, że łatwo to wszystko powiedzieć, ale niezwykle trudno zrobić. Gdybyśmy jednak chcieli zastąpić strategię obrotnością, to tak, jakbyśmy popędzili na łeb nas szyję na najbliższe lotnisko i przystali na to, by tłum nas popychał lub porywał w dowolnym kierunku. I nie byłoby w tym nic złego, gdyby było nam wszystko jedno, do którego samolotu wsiądziemy i dokąd polecimy: do Teksasu, Tokio czy Teheranu, podczas gdy bagaż i tak wyląduje w Timbuktu.

Nam jednak nie jest wszystko jedno. Musi nam zależeć. Ponieważ jutro należy do tych, którym zależy - w Ameryce czy poza nią.

Rozdział 50

Epilog: Prolog to już przeszłość

Czarnowidztwo to jeden z najłatwiejszych sposobów udawania mądrości. A powodów do pesymizmu jest wokół nas aż nadto. Trwały pesymizm jednak to tylko substytut myślenia.

“Żaden pesymista nie odkrył tajemnic gwiazd ani nie pozełgował do nieznanymi krain i nie otworzył wrót do nowych niebios ludzkiego ducha” - napisała Helen Keller, wspaniała, niewidząca i niesłysząca pisarka, autorka jedenastu książek, inspiratorka dwóch filmów nagrodzonych Oskarami, walcząca o prawa niewidzących aż do swej śmierci, w wieku osiemdziesięciu siedmiu lat.

Dwight Eisenhower - dowodzący lądowaniem aliantów na plażach w Normandii w czasie II wojny światowej, a następnie trzydziesty czwarty prezydent Stanów Zjednoczonych - ujął to bardziej dosadnie: “Pesymizm nigdy jeszcze nie zwyciężył w żadnej bitwie.”

Im bardziej zagłębiamy się w XXI wiek, lista potencjalnych koszmarów z pozoru wydaje się nie mieć końca. Wojna między Chinami i Stanami Zjednoczonymi; ogólnoświatowe załamanie w stylu kryzysu lat trzydziestych, wyrzucające na bruk miliony pracowników i przekreślające dziesięciolecia postępu gospodarczego; ataki terrorystyczne z wykorzystaniem broni jądrowej, węglik, gaz chlorowy lub cyberatak na kluczowe, rządowe lub biznesowe sieci komputerowe; katastrofalne braki wody od Mexico City poprzez Iran po Republikę Południowej Afryki; zbrojne starcia pomiędzy rywalizującymi organizacjami pozarządowymi; nowe choroby na poziomie nano; rozpowszechnienie się technologii kontrolowania ludzkich umysłów; kres prywatności; nasilony fanatyzm religijny i przemoc; klonowanie ludzi; kombinacje i współwystępowanie powyższych zjawisk - a przecież to wszystko nie obejmuje trzęsień ziemi, kolejnych tsunami, trzebień lasów i globalnego ocieplenia.

Wszystkie te zagrożenia zasługują na poważną refleksję. Ale pesymizm w dużej mierze jest dziś po prostu w modzie - dokładnie tak samo, jak na początku XIX wieku (aż do połowy stulecia), wówczas gdy rewolucja przemysłowa rozlewała się na całą Europę, niełicho przerażając swych przeciwników.

Z ich przestraszenia i złości skierowanej przeciwko nowoczesności, wraz z rosnącą sekularyzacją i racjonalizmem, nadszedł romantyczny pesymizm znajdujący upust w poezji Lorda Byrona i Heinricha Heinego, muzyce Ryszarda Wagnera i Schopenhauerowskiej filozofii *pessimismus*. W tym samym nurcie mieści się także twórczość anarchistycznego filozofa Maxa Stirnera - tłumacza dzieł Adama Smitha na język niemiecki. Trudno zresztą o lepszego eksperta w dziedzinie pesymizmu: matka Stirnera była obłąkana, jego pierwsza żona umarła przy porodzie martwego dziecka, a on sam zainwestował fortunę kolejnej swojej żony i stracił wszystko; po czym utracił również żonę.

BRYGADY NOSTALGII

Obserwowanie, jak nowa cywilizacja wdziera się na teren starej, nieuchronnie prowadzi do porównań między nimi. Ci, którzy byli uprzywilejowani w przeszłości lub też ci, którzy wiedzieli, jak sobie dawać radę, formują nostalgiczną brygadę, wychwalając lub gloryfikując to, co było i przeciwstawiając dawne czasy jeszcze nie do końca uformowanej, niekompletnej przyszłości.

Cierpiąc z powodu zgonu tego, co dobrze znane, nie mogąc wyzwolić się z szoku przyszłości wywołanego morderczym tempem zmian - miliony mieszkańców świata Zachodu patrzą na resztki popadającej w ruinę gospodarki przemysłowej.

Niepokojąc się o pracę i patrząc, jak błyskawicznie rozwija się Azja, bombardowani są - szczególnie młodzi - dystopijnymi obrazami przyszłości w filmach, serialach telewizyjnych, grach i Internecie. Wykreowane przez media gwiazdy prezentowane są jako wzorce osobowe, mimo że ukazują się nam w roli zbirów wystających na rogach ulic, muzyków demolujących pokoje hotelowe czy naszprycowanych anabolikami sportowców. Powtarza się im nad głową przesłania religijne, wedle których koniec jest bliski. Zalewa potokiem apokaliptycznych przekazów gigantycznego, niegdyś nawet postępowego ruchu ekologicznego, którego dominującym hasłem stało się "Just say no."¹⁹ Mimo to przyszłość okaże się feerią niespodzianek wszelakiego rodzaju, wymykających się prostym podziałom na to, co dobre i to, co złe oraz wyborom albo-albo. A największą niespodzianką może się okazać to, że rewolucyjny system bogactwa oraz cywilizacja opisywana w tej książce mimo wszystko miliardom ludzi stworzy kolosalne możliwości lepszego, zdrowszego, dłuższego i bardziej pożytecznego społecznie życia.

Podkreślaliśmy już, że kształtującego się systemu bogactwa nie można zrozumieć w ramach terminologii konwencjonalnej ekonomii, a zatem aby z lekka tylko zerknąć w przyszłość, musimy zbadać głębokie fundamenty, które zawsze stanowiły podstawę tworzenia bogactwa, od najdawniejszych czasów po dziś dzień dzisiejszy; tak samo będzie też i jutro.

Omawialiśmy je kolejno - rodzaj i podział pracy, systemy wymiany, dostawy energii, strukturę rodziny i cechy środowiska fizycznego. Ale najslabiej przebadanymi dotąd głębokimi fundamentami, a jednak najistotniejszymi dla przyszłości są: czas, przestrzeń i wiedza. Na temat każdego z nich można by ułożyć odrębną bibliotekę.

Nie ma wątpliwości, że powtarzane codziennie, ale powierzchownie, opinie o gospodarce formułowane w Ekonolandzie koncentrują się jedynie na maleńkiej części rzeczywistości gospodarczej. Niestety, wzięwszy pod uwagę ograniczenia objętościowe pojedynczej książki - wszelkie próby pogłębienia powszechnych opinii i ukazania wytwarzania bogactwa we właściwym świetle zaowocują obrazem zgoła niekompletnym.

Ukazaliśmy, jak miliony ludzi odczuwają dziś katorżniczą pogoń za czasem zarówno w pracy, jak i w domu - w jaki sposób rozregulowujemy nasze codzienne harmonogramy i w jaki sposób firmy okradają nas z naszego czasu i narzucają nam wykonywanie nieopłaconej "trzeciej pracy."

¹⁹ "Just say no" - ang. "Po prostu powiedz nie" - trawestacja sloganu reklamowego firmy Nike, producenta obuwia i odzieży sportowej (oryg. "Just say yes" - "Po prostu powiedz tak") - przyp. tłum.

Obserwowaliśmy, w jaki sposób zmieniamy tempo trafiań towarów na sprzedaż i następnie z niej wycofywania. I omówiliśmy też, jak - poprzez synchronizację niektórych naszych działań - siłą rzeczy desynchronizujemy innych nie wiedząc, jaki jest tego koszt. Rewolucjonizujemy składnik bogactwa, jakim jest czas.

Rewolucji tej towarzyszą zasadnicze przesunięcia przestrzennego umiejscowienia bogactwa oraz przedsiębiorstw i technologii, które je produkują. I dowiedzieliśmy się, dlaczego - nawet gdyby wszyscy antyglobaliści zabrali swe zabawki i wrócili do domu - możemy spodziewać się spowolnienia integracji gospodarczej, przy równoczesnym przyśpieszeniu w zakresie wszystkich innych parametrów globalnej integracji. Jest to jeszcze jeden przejaw desynchronizacji, związany z krzyżowaniem się zmian w czasie i przestrzeni.

Jeśli chcemy poznać pełną transformacyjną siłę aktualnych procesów, winniśmy na wszystkie te przemiany patrzeć wzięwszy pod uwagę szersze tło, czyli rewolucję w systemie wiedzy. Rozwój wydarzeń w tym zakresie wpływa bowiem nie tylko na gospodarkę. Nie wystarczy, by przedsiębiorstwa tylko zainstalowały sobie "system zarządzania wiedzą" i działały dalej.

Dzisiejsze przemiany wpływają na to, jak podejmujemy decyzje, włącznie z prawdami (czy fałszywymi przekonaniem), na których je opieramy. Dziś kwestionowane są wszak także utrwalone kryteria oddzielania prawdy od fałszu. A dziedzina najbardziej niezbędna dla postępu gospodarczego - wiedza - także jest powszechnie atakowana.

Nauka, jak wskazaliśmy wcześniej, znalazła się w większych tarapatach, niż większość z nas by podejrzewała. Mamy tu do czynienia z kryzysem obejmującym daleko szersze zagadnienia, niż jedynie sprawy bieżące, jak na przykład zmniejszenie środków finansowych przeznaczanych na finansowanie badań podstawowych. Nauka trwa za sprawą hojności kultury, w której funkcjonuje. A ta kultura nabiera wrogości względem nauki, której przejawami są coraz silniejsze ataki kreacjonistów na ewolucjonizm (niegdyś wydawało się, że bitwa ta skończyła się w roku 1925 wraz z procesem Scopesa) {{

Proces zwany "małpim procesem", wytoczony w stanie Tennessee nauczycielowi gimnazjum J. T. Scopesowi, który nauczał na lekcjach teorii ewolucji. W rozprawach ogniskujących uwagę opinii publicznej uczestniczyli najsłynniejsi prawnicy amerykańscy. Mimo że przeciwnicy teorii ewolucji zostali w trakcie procesu ośmieszeni, Scopes jednak został skazany na grzywnę. Na szczelbu sądu apelacyjnego w postępowaniu odwoławczym udało się uzyskać orzeczenie uchylające wyrok, choć tylko ze względów proceduralnych. W wyniku procesu stopniowo uchylano jednak przepisy stanowe zabraniające nauczania teorii ewolucji, jako niezgodne z Konstytucją USA - przyp. tłum.}} czy tak zwany ruch inteligentnego projektu. {{ Ruch, którego uczestnicy wyznają koncepcję, wedle której najlepszym wyjaśnieniem cech Wszechświata i organizmów żywych jest "inteligentna przyczyna", a nie przypadkowe procesy występujące w przyrodzie. Teoria ta stanowi wyraz przekonania, że w przyrodzie działają procesy za sprawą zaangażowania jakiegoś czynnika rozumnego. Teoria uważana jest za przejaw pseudonauki, ponieważ nie posługuje się aparatem naukowym - przyp. tłum.}}

Nauce zagraża dziś oślepiająca nawałnica subiektywizmu, którego siłą napędową jest postmodernizm i kwitnący "spirytualizm" spod znaku New Age. Ranga i prestiż nauki znacznie osłabiane są przypadkami korupcji wiążącymi naukowców z koncernami farmaceutycznymi i innymi branżami, powtarzanymi w mediach obrazami naukowców jako ludzi z gruntu złych czy też lękiem przed kolejnymi przełomowymi odkryciami biologicznymi, które zagrażają tradycyjnej definicji człowieczeństwa.

Ważniejsze natomiast jest to, że sama metoda naukowa jest również atakowana przez “zarządców prawdy”, którzy wolą, by decyzje były podejmowane w oparciu o inne kryteria - od mistycznego objawienia po autorytet polityczny czy religijny. Nieustanna bitwa o prawdę stanowi część transformacji naszych relacji wobec głębokiego fundamentu, jakim jest wiedza.

ŚCIEŻKA PROSUMENTA

Przeciwko tym rewolucyjnym zmianom w sposobie posługiwania się przez nas czasem, przestrzenią i wiedzą jest skierowane inne jeszcze, nieoczekiwane wydarzenie dziejowe - mianowicie pojawienie się zjawiska, które nazwaliśmy tu prosumpcja.

Wiemy, że w czasach starożytnych nasi przodkowie żywili się, ubierali i zapewniali sobie schronienie samodzielnie, na długo przed wynalezieniem pieniądza. Sami produkowali wszystko, co było im potrzebne do konsumpcji. Wiemy też, że stopniowo, na przestrzeni tysiącleci, ludzie prosumowali mniej; z czasem bardziej polegali na pieniądzach i rynkach. Wspólnym założeniem tych, którzy poświęcili tym zagadnieniom odrobinę refleksji, było przyjęcie, że z czasem prosumpcja będzie coraz mniejsza - że wartość wytwarzana poza rynkiem, za którą ludzie nie otrzymywali zapłaty, będzie pozbawiona większego znaczenia.

A jednak dziś jesteśmy świadkami czegoś całkiem odmiennego. W czasie Pierwszej Fali prosumpcja istotnie się kurczyła, jednak teraz gwałtownie rozszerza się w całkiem nowy sposób, zgodny z Trzecią Falą. Produkuje coraz większą wartość ekonomiczną, udostępniając gospodarce pieniężnej coraz więcej “darmowych lunchów” i to za pośrednictwem coraz większej liczby kanałów. Prosumpcja zwiększa wydajność w sektorze pieniężnym oraz, o czym świadczy Internet i Linux, jest w stanie skutecznie rzucić wyzwanie największym i najpotężniejszym rządów i korporacjom świata.

Prosumpcja może nawet, w ostatecznym rachunku, odmienić sposoby rozwiązywania problemów w rodzaju bezrobocia. Od czasu Wielkiego Kryzysu w latach trzydziestych oraz sformułowania ekonomii Keynesowskiej, częścią obowiązkowego programu walki z bezrobociem był zastrzyk publicznych środków finansowych aplikowany gospodarce pieniężnej w celu pobudzenia popytu konsumpcyjnego, a w rezultacie - w celu tworzenia nowych miejsc pracy. Rozsądnym założeniem było, że jeśli miliony pracowników pozostają bez zatrudnienia, utworzenie milionów nowych miejsc pracy rozwiąże problem.

W gospodarce intelektualnej jednakże takie założenie jest z gruntu fałszywe. Po pierwsze, Stany Zjednoczone i inne kraje nie wiedzą już dzisiaj dokładnie, ilu jest bezrobotnych, ani co w ogóle oznacza ten termin, skoro tak wielu ludzi łączy swą “pracę” z samozatrudnieniem i/lub tworzy nie opłacaną wartość w drodze prosumowania.

Bardziej istotne wydaje się to, że nawet utworzenie pięciu milionów miejsc pracy nie rozwiąże problemu jednego miliona bezrobotnych, którzy nie posiadają konkretnej wiedzy lub zestawu umiejętności niezbędnych na nowym rynku pracy. Problem bezrobocia zatem nabiera charakteru raczej jakościowego niż ilościowego. Przeszkolenie nie jest też zbyt pożyteczne, mimo że brzmi interesująco, ponieważ zanim pracownicy zdobędą nowe umiejętności, wymagania gospodarki

intelektualnej znów mogą się zmienić. Mówiąc krótko, bezrobocie w gospodarkach intelektualnych jest odmienne od bezrobocia w gospodarkach linii montażowych. Ma charakter strukturalny.

Pomijane częstokroć realia są takie, że nawet bezrobotni są zatrudnieni. Są zajęci, jak my wszyscy, wytwarzając wartość, za którą nie otrzymuje się zapłaty. Jest to kolejny powód, dla którego należy zweryfikować całą relację sektora pieniężnego i niepieniężnego wewnątrz systemu bogactwa - dwóch elementów myślącej gospodarki jutra.

Nowe, potężniejsze technologie zwiększą wydajność prosumentów. Jak można to wykorzystać bardziej efektywnie dla stymulowania gospodarki pieniężnej? Czy istnieją lepsze sposoby przekazywania wartości w tę i z powrotem między tymi dwoma częściami systemu bogactwa? Czy Linux i Internet to jedyne wzorce? Czy istnieją sposoby na wynagradzanie tych, którzy nie otrzymują wynagrodzenia za swój wkład - być może za pomocą skomputeryzowanych systemów barterowych dostępnych wielu uczestnikom czy może nowych "para-walut" takiego czy innego rodzaju?

NACZELNY PESYMISTA KRAJU

Nowe problemy wymagają myślenia poza ramami tego, co już znamy, a najbardziej takie właśnie nowe myślenie potrzebne jest ze względu na coraz bardziej pogłębiający się światowy kryzys energetyczny.

Nie mamy dziś wątpliwości, że obecny nasz system energetyczny zmierza ku katastrofie i to nie z powodu samej tylko ilości potrzebnej energii, ale z powodu swej scentralizowanej struktury i nadmiernie skoncentrowanej własności. Oba te elementy były jak najbardziej odpowiednie w gospodarkach przemysłowych. Ale są zdecydowanie nie do przyjęcia w rozproszonych gospodarkach intelektualnych, w coraz większym stopniu opierających się na pierwiastku niematerialnym.

Rozwój ekonomiczny takich krajów, jak Chiny i Indie, przynosi z sobą zwiększenie popytu na energię w czasie, gdy rosną koszty wydobycia ropy naftowej, gdy rosnące uzależnienie od paliw kopalnych nasila problemy ekologiczne oraz gdy ropa naftowa pochodzi z najbardziej niestabilnych politycznie rejonów naszego globu.

U progu XXI wieku rocznie kupuje się i sprzedaje około 400 biliardów Btu {{ Btu - British Thermal Unit - Brytyjska Jednostka Termiczna stosowana w USA i sporadycznie w Wielkiej Brytanii jako jednostka energii; 1 Btu odpowiada 1054-1060 kilodżuli (wartości są zmienne ze względu na nieprecyzyjną definicję tej jednostki, uzależnionej od zmiany ciepła właściwego wody w różnych temperaturach). 1 mln Btu to około 293 kWh, zaś 400 biliardów (czyli wedle nomenklatury amerykańskiej kwantyfikatorów - *quadrillions*) Btu to około 117,3 bln kWh - przyp. tłum.}} energii na światowych rynkach energetycznych. Do głównych źródeł energii należą ropa naftowa, gaz ziemny, węgiel oraz paliwa jądrowe, przy czym dominującą pozycję ma ropa naftowa zaspokajająca około 40 proc. ogólnego zapotrzebowania na energię. Amerykański Departament Energetyki w 2004 roku przewidywał, że do 2025 roku ogólne zapotrzebowanie na energię wzrośnie o 54 %, do poziomu 623 biliardów Btu (182,5 bln kWh).

Mimo tego zwiększonego zapotrzebowania, resort energetyki zapewniał nas, że ceny paliw kopalnych "pozostaną na relatywnie niskim poziomie" oraz że alternatywne źródła energii "raczej nie

staną się konkurencyjne”, o ile nie zostaną podjęte przez rząd działania zmniejszające emisje gazów cieplarnianych, zgodnie z postanowieniami Protokołu z Kioto; jeśli tak by się stało, wówczas “energia jądrowa oraz odnawialne źródła energii - hydro-elektryczne, geotermalne, otrzymanywane z biomasy, energia słoneczna i wiatrowa - zwiększą swą atrakcyjność.” Mówiąc krótko: nic specjalnego się nie wydarzy.

O ileż odmienne są prognozy naczelnego pesymisty kraju, Matthew R. Simmonsa, wpływowego bankiera inwestycyjnego specjalizującego się w energetyce. Simmons, posługując się ropą naftową jako punktem odniesienia do obrazu energetyki w ogóle, powiada nam, że wiele z najważniejszych złóż ropy naftowej przeżywa “poważny regres”, że nie powinniśmy dawać wiary szacunkom branży naftowej w zakresie zasobności podziemnych złóż ropy oraz że znajdowanie nowych pokładów ropy jest coraz bardziej kosztowne.

Weźmy pod uwagę także fakt, że tankowce, rafinerie, pola wiertnicze oraz ludzie już dziś “osiągają blisko maksimum swojej wydajności”, jak twierdzi Simmons, i że jest to problem, którego “uzdrowienie potrwa dziesięciolecie.” Co gorsza, jego zdaniem koncerny naftowe oraz elektrownie, podobnie jak inne branże przemysłowe, które przeszły na działalność “just-in-time”, zminimalizowały swoje zapasy awaryjne, przygotowując warunki do katastrofy.

Wykazaliśmy już wcześniej, że kryzys energetyczny, przynajmniej częściowo, jest daleko idącą konsekwencją działania desynchronizacji - gwałtownego wzrostu popytu w Azji, który nastąpił o wiele szybciej, niż wskazywałyby na to przewidywania przemysłu energetycznego i rynku. Być może to tłumaczy, dlaczego na czas nie zbudowano odpowiedniej liczby tankowców, rafinerii czy nie zgromadzono odpowiednich zapasów energii z myślą o sytuacjach kryzysowych.

Simmons wypowiedziawszy swe mocne opinie, cofa się jednak o krok i bynajmniej nie zapowiada apokalipsy. Raczej pociesza nas stwierdzając, że “kreatywność człowieka wydaje się najwspanialsza właśnie w czasach wielkich kryzysów”.

Żadna z tych projekcji jednak nie mówi nam dokładnie, co może się wydarzyć, a co w zdecydowanym stopniu mogłoby ogólny obraz sytuacji poprawić lub pogorszyć: niepokoje społeczne i stagnacja gospodarcza w Chinach lub w Indiach, albo w obu krajach naraz, regionalne epidemie powodujące olbrzymi spadek liczby ludności; przejęcie kontroli przez Chiny nad cieśniną Malakka i szlakami morskimi wykorzystywanymi do transportu ropy naftowej dla Azji z Bliskiego Wschodu; lub też małe rzucające się w oczy usprawnienia technologiczne umożliwiające oszczędności energii - na przykład dalsza miniaturyzacja produktów, które ważą mniej, a zatem znacznie ułatwiają transport i magazynowanie.

Jeszcze ważniejsze będzie jednak wycofanie z użytku silnika spalinowego o spalaniu wewnętrznym i zastąpienie go ogniwami paliwowymi napędzanymi wodorem. Jak powiada Robert Walker, były przewodniczący Komisji ds. Nauki Izby Reprezentantów Kongresu USA: “W ciągu kilku lat na ulicach Chin pojawi się milion samochodów napędzanych ogniwem paliwowym. W Chinach nie ma tak silnej tradycji dystrybucji benzyny, jak u nas. Będziemy mieć samochody, których ogniwo paliwowe o mocy 110 kilowat stanowić będzie alternatywne źródło zasilania. A na terenach

wiejskich, gdzie nie ma elektryczności, będzie można dojechać do miasteczka, podłączyć dane urządzenia do samochodu i pobrać energię do ogniwa paliwowego czy do innych celów”. Najwyraźniej, mimo że będziemy stawiali wiele fałszywych kroków i niejednokrotnie poniesiemy klęskę, wkraczamy w epokę, w której nie będziemy stosować paliw kopalnych.

ENERGIA Z KSIĘŻYCA

A teraz jeszcze lepsze wiadomości. Nie zabraknie nam źródeł energii. Energię można pozyskiwać z niezliczonych źródeł, nie wyłączając tych, które na pierwszy rzut oka wydają się cokolwiek osobiwe - jak silnik parowy na początku swych dziejów. Nieco hałaśliwy i bez wątpienia koszmarnie drogi, jak na owe czasy, miał zwiększyć ilość dostępnej energii niezbędnej do pracy pomp opróżniających kopalnie węgla z wody.

Craig Venter, szef zespołu, który z powodzeniem odcyfrował ludzki kod genetyczny, pracuje obecnie nad stworzeniem sztucznych organizmów, które pomogłyby w likwidacji zanieczyszczeń środowiska naturalnego i które, przy okazji, mogłyby wytwarzać energię. “Biologia - mówi Venter - może zmienić naszą zależność do paliw kopalnych” - i nie jest w tym poglądzie osamotniony. Profesorowie Stanford wraz z grupą absolwentów poszukują sposobów biologicznej produkcji wodoru z genetycznie modyfikowanych bakterii. Zespół przedsiębiorcy Howarda Berke’a pracuje nad materiałem równie cienkim jak folia do żywności, który przetwarzałby promieniowanie słoneczne na elektryczność, z zastosowaniem do ładowania telefonów komórkowych, GPS i innych urządzeń.

Inni zgłębiają tajemnice fal i przyptywów dla pozyskiwania energii z oceanów. Elektrownia La Rance we Francji wytwarza energię o mocy 240 megawatów właśnie czerpiąc ją z energii przyptywów. Inne systemy przyptywowe stosowane są w Norwegii, Kanadzie, Rosji i w Chinach. Dodatkowo codziennie słońce przesyła wprost do oceanu energię cieplną, której moc stanowi ekwiwalent 250 miliardów baryłek ropy naftowej; istnieją już technologie odzyskiwania tej energii i przetwarzania jej w elektryczność.

Nieco bardziej odległe w czasie i przestrzeni jest kolejne, potencjalnie gigantyczne źródło energii - Księżyc. Okazuje się, że na Księżycu są spore zasoby helu-3, który - w połączeniu z deuterem, izotopem wodoru - może dać nam, jak to określił Lawrence Taylor, dyrektor Instytutu Geologii Planetarnej Uniwersytetu Tennessee, “przerażające ilości energii.”

Rzeczywiście, zdaniem Taylora “zaledwie 25 ton helu, który można przetransportować za pomocą promu kosmicznego, wystarczyłoby dla pełnego zaspokojenia rocznego zapotrzebowania na energię USA.” Równie wybitny znawca przedmiotu, Abdul Kalam, prezydent Indii i astrofizyk, uważa, że “na Księżycu znaleźć można dziesięciokrotnie więcej energii w postaci helu-3 niż we wszystkich paliwach kopalnych na Ziemi.”

Dodajmy do tego długą listę innych potencjalnych źródeł i staje się jasne, że ludzkość absolutnie nie powinna się martwić niedoborem dostępnych zasobów energii. Potrzebne są nam natomiast nowe, kreatywne sposoby eksploatacji tych zasobów. A dziś mamy na szczęście więcej naukowców,

inżynierów, wynalazców i źródeł finansowania oraz skłonnych do ryzyka inwestorów niż kiedykolwiek dotąd.

Będziemy też prawdopodobnie świadkami oddziaływania procesu odmasowienia, kiedy światowy system energetyczny zacznie funkcjonować w ramach nowej struktury - bardziej odpowiadającej potrzebom zaawansowanych gospodarek intelektualnych. Oznacza to zwielokrotnienie źródeł energii, dzięki czemu system nie będzie tak poważnie uzależniony od węgla, ropy naftowej i gazu ziemnego. Oznacza to więcej rozmaitych źródeł i więcej różnych technologii, a zarazem więcej różnych graczy i producentów - włącznie z prosumentami, którzy - dysponując swymi ogniwami paliwowymi czy wiatrakami lub innymi technologiami do użytku indywidualnego - w coraz większym stopniu będą samodzielnie zaspokajali swoje zapotrzebowanie na energię.

Pytaniem kluczowym zatem nie jest "czy," ale "jak szybko" pokonamy nadchodzącą katastrofę energetyczną. Rozwiązanie problemów zależeć będzie od wyniku konfliktu fal pomiędzy rozległymi interesami grup wciąż czerpiących zyski z systemu energetycznego ery przemysłowej a pionierami badań naukowych, projektowania i walki o przełomowe rozwiązania systemowe.

Stojąc w obliczu tej bitwy, nie powinniśmy pozwolić pesyście, by ich ostrzeżenia ograniczyły nasze poglądy na to, co w ogóle jest możliwe. Warto przypomnieć sobie wcześniejszy nieco kryzys, który także dotyczył energii - w tym przypadku nuklearnej.

W sierpniu 1945 roku cały świat zadrżał na wieść o tym, że dwie bomby atomowe - najstraszliwsza broń wynaleziona kiedykolwiek przez człowieka - zostały zrzucone na Japonię, gwałtownie przypieczętowując kres II wojny światowej. Ta broń masowego zniszczenia idealnie odpowiadała masowej produkcji ery przemysłowej. Jednak, jakimś cudem chyba, przez następne półwiecze w czasie jakichkolwiek działań wojennych już więcej nie użyto tej broni. Dziś martwi nas rozprzestrzenianie się broni jądrowej; żyjemy obawy, że w posiadanie jednej czy kilku takich bomb mogą wejść terroryści. Są to jak najbardziej realne zagrożenia. Ale zagrożenie nie dorównuje nawet w małej części temu, jakie istniało w czasie, gdy Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki utrzymywały dosłownie tysiące rakiet z głowicami atomowymi wycelowanych na siebie nawzajem, gotowych do natychmiastowego odpalenia.

NADZIEJA DLA LUDZKOŚCI?

Nie w każdej kulturze życie stanowi wartość najwyższą, nie mówiąc już o długowieczności. Miliony ludzi codziennie tańczą ze śmiercią - w swych wierzeniach religijnych czy miejscowych. Reinkarnacja jest dla wielu drogą jak najbardziej realną. Na innych w raju oczekują hurysy. Albo po prostu - niebo.

Niemniej dla tych, którzy cenią sobie życie na tym świecie, ostatnie stulecie było niezwykle. Mimo faktu, że ludność świata niemal podwoiła się, przeciętna długość życia na świecie - włącznie z tym "biednym światem" - wydłużyła się o 42 proc. między pięćdziesiątką 1950-1955 i okresem 2000-2005.

Nawet w ubogich krajach przeciętny noworodek powinien przeżyć sześćdziesiąt cztery lata. Jest to jednak wciąż o wiele mniej, niż można spodziewać się po dziecku urodzonym w krajach

zamożnych. Kierunek i tempo przemian absolutnie nie uzasadniają pesymizmu w tej mierze. Istniejąca dziś jeszcze różnica stanowi całkiem dobry powód do zaangażowania się w jej całkowitą likwidację.

Jednym z powodów, z których przychodzące na świat dzieci - i bogate, i biedne, - mają dziś większą szansę na przeżycie, jest bezpieczniejsza woda pitna. W ciągu zaledwie dwunastu lat, między rokiem 1990 a 2002, jak wynika z danych ONZ, ponad miliard ludzi uzyskało dostęp do czystej wody. Pozostaje zatem jeszcze aż 17 proc. ludzkości. Dla nich także mamy dobre wieści i - dla siebie - dobry powód podjęcia działań, a nie - popadania w paraliżujący pesymizm.

Przedłużanie długości życia człowieka nie przynosi już nasilenia biedy. ONZ publikuje bardzo bogate statystyki ukazujące koszmarnie rozmiary biedy w dzisiejszym świecie, ale sam Program Rozwoju ONZ przypomina nam, że "odsetek ludności świata żyjącej w ubóstwie przez minionych pięćdziesiąt lat spadał szybciej niż w ciągu poprzednich pięciuset lat."

Na pewno nie można przypisać tego sukcesu zjawisku Trzeciej Fali, które ukształtowało się w tej samej połowie stulecia. Zbieżność czasu nie przesądza tu o przyczynowości. Jednak niektóre elementy wskazują na istnienie jakiegoś związku. Najpierw dał o sobie znać efekt kaskadowania, kiedy to Ameryka, a potem także Japonia, Tajwan i Korea Południowa wyeksportowały pracę o niskiej wartości dodanej do Chin i innych krajów w zasadzie wyłącznie rolniczych, tworząc w rezultacie setki milionów miejsc pracy.

Postęp osiągnęty przez biedniejszą część świata odzwierciedla także, przynajmniej po części, wspaniałą ekspansję intelektualnej bazy ludzkości w czasie ostatniego półwiecza, towarzyszącą rozprzestrzenianiu się rewolucyjnego systemu bogactwa ze Stanów Zjednoczonych na inne kraje, a więc między innymi upowszechnianiu najnowszej wiedzy na temat rolnictwa, żywienia, prenatalnej opieki zdrowotnej, wykrywania chorób i zapobiegania nim, a także technologii.

Nasycona wiedzą gospodarka intelektualna, pojawiwszy się w bogatym świecie, zrodziła takie oto, dość dziwne zjawisko: miliony pracowników umysłowych, przedstawicieli klasy średniej, codziennie przebiega niejednym kilometrem w ramach porannego joggingu lub ćwiczy w siłowni czy w domu, pocąc się, męcząc i sapiąc, ale jednocześnie wychwalając wysiłek fizyczny. Większość z nich zapomina o dość doniosłym fakcie: żyjemy w takich warunkach gospodarczych, które dają nam prawo wyboru rodzaju wysiłku - w przeciwieństwie do większości pracowników fizycznych na świecie, czy to chłopów czy robotników fabrycznych, którzy mają bardzo ograniczony wybór i muszą się trudzić, aby przetrwać.

Każdy, kto przez całe lata wykonywał niewolniczą pracę, zginając plecy w polu, pozostając na łasce i niełasce pogody oraz pana feudalnego czy też ktoś, kto był zaledwie dodatkiem do linii montażowej, dobrze wie, jak bardzo nieludzkie bywają warunki takiej pracy. Przejście do pracy intelektualnej i zaawansowanych usług, nawet w najgorszym wydaniu, jest pierwszym krokiem w kierunku wyzwolenia i lepszej przyszłości.

OD PIKO DO JOKTO

Można sporządzić listę pozostałych osiągnięć w dziedzinie opieki zdrowotnej i wielu innych sfer życia na dowód tego, że świat staje się coraz bardziej przyjaznym miejscem dla wielu ludzi. Kiedy jednak przyszłe pokolenia spojrzą wstecz, być może najbardziej będą ceniły sobie niezwykle odkrycia, jakich dziś dokonujemy - my, przedstawiciele pierwszego pokolenia, które żyje w warunkach rodzącej się gospodarki intelektualnej.

A zatem w czasie ostatniego półwiecza doszło do dogłębnego przewartościowania miejsca ludzkości we wszechświecie.

Od czasu, gdy pierwszy satelita został wystrzelony w niebiosa, co nastąpiło w dniu 4 października 1957 roku, astrofizycy zyskali dostęp do gigantycznej ilości nowych danych, za pomocą których można potwierdzić bądź obalić wcześniejsze teorie dotyczące kosmosu. A większość nowych danych zdaje się potwierdzać odkrycie, wedle którego wszechświat powstał wraz w wielkim wybuchem 13,7 mld lat temu, przy czym margines błędu tych szacunków wynosi zaledwie 0,2 mld lat.

Podobnie jak w przypadku wszystkich odkryć naukowych, także i to może zostać zweryfikowane w świetle nowych dowodów. Ale jak dotąd wiele rozmaitych eksperymentów pasuje do siebie nawzajem, wspierając tym samym koncepcję wielkiego wybuchu. Wszechświat nie powstał wcale, jak niektórzy wciąż skłonni są uważać, przed mniej więcej sześcioma tysiącami lat i nie jest statyczny. Podobnie jak wszystko w kosmosie, a więc i ludzkość - wszechświat też ulega zmianom. Bez zmiany nie tylko nie ma życia: nie ma też wszechświata.

W czasie, gdy niektórzy naukowcy poszerzają nasze rozumienie kosmosu, inni badają coraz mniejsze jego fragmenty i zaprzęgają pozyskaną w ten sposób wiedzę do zaspokajania praktycznych potrzeb człowieka. Stąd wzięły się zatem aktualne, przełomowe odkrycia na poziomie nano, gdzie zjawiska mierzy się miliardowymi częściami metra. Nanotechnologia daje nam obietnicę zapewnienia wielu, wielu spraw, które wcześniej były poza naszym zasięgiem - od wytworzenia nowych materiałów budowlanych poprzez precyzyjne aplikowanie lekarstw i stawianie diagnoz po zastąpienie nowymi rozwiązaniami krzemowych układów scalonych.

Warto, zatem spojrzeć na nanoprodukcję i nanoprodukty - stanowiące źródło wielkiego podniecenia na rynku akcji, ale również na pojedynczy zaledwie krok w kierunku manipulacji jeszcze mniejszymi materiałami w przyszłości. Te kolejne kroki, na razie dość odległe, mogą ostatecznie pomóc nam wytwarzać bogactwo na coraz to mniejszym poziomie, począwszy od takiego, którego nie mierzy się w nano, ale piko, femto, atto i, kto to wie, być może i jokto. Wyjaśnijmy, że joktometr to 0,000 000 000 000 000 000 000 001 część metra. Zejście na poziom nano - dość wysoki, jeśli porównamy go z wymienionymi powyżej - jest tak ekscytujące dlatego, że w miarę posuwania się w dół skali, wszystko staje się nie tylko mniejsze, ale coraz dziwniejsze. Rzeczy zachowują się inaczej. I jeśli nanotechnologia daje nam nadzieję na nowe lekarstwa, wyobraźmy sobie, co możemy osiągnąć schodząc do jeszcze mniejszej skali - w sensie pozytywnym i negatywnym.

W skali zarówno najmniejszych zjawisk oraz samego kosmosu, w obecnym pokoleniu, dowiedzieliśmy się więcej o naturze i naszym gatunku niż wszyscy nasi przodkowie razem wzięci.

Podjęliśmy wyzwanie rzucone ludzkości przez Francisca Bacona w 1603 roku - aby nie tworzyć jakichś "konkretnych wynalazków, choć pożytecznych", lecz aby nauczyć się z powodzeniem "zapalać w naturze światło - światło, które samym swym pojawieniem się powinno dotyczyć i oświetlać wszystkie rejony pograniczne, które rozpoczynają się na zewnątrz kręgu określającego naszą obecną wiedzę."

Wyprodukowaliśmy więcej nowych danych, informacji i wiedzy niż wszyscy nasi przodkowie razem wzięci i zorganizowaliśmy je inaczej, rozpowszechniamy je inaczej, łączymy i rozłączamy wedle coraz to nowych, przejściowych wzorców. Utworzyliśmy też całkiem nowe cyberświaty, w których idee, zarówno wspaniałe, jak i przerażające, objają się o siebie nawzajem, jak biliony inteligentnych piłeczek pingpongowych.

W ramach przewidywalnej przyszłości, w drodze połączenia neuronauki, cybernetyki i manipulacji mediami, utworzymy daleko bardziej realistyczne doświadczenia sensoryczne, zmysłowe i inne, wirtualne efekty. Będziemy przeprowadzali symulacje przyszłych wydarzeń osobistych (i nie tylko), w świecie cyfrowym, zanim zdecydujemy się w nich uczestniczyć "na żywo." I będziemy wchodzić w wirtualne lub też cielesne, bezpośrednie interakcje z ludźmi z całej planety. Takie próby generalne będą mogli urządzać przestępcy! Na szczęście święci - także.

Wreszcie, stoimy u progu czasów, kiedy na nowo trzeba będzie określać znaczenie takich słów, jak "żywy" i "martwy" czy też "ludzki" i "nieludzki." Będzie to konsekwencją nowych możliwości, jakie otwały się przed rodzajem ludzkim, zarówno na ziemi, jak i w międzygwiazdnych koloniach. Mówiąc krótko, nikt nie obiecuje utopii. Rewolucja, jaka się właśnie rozpoczęła, nie położy kresu wojnom, terroryzmowi czy chorobom. Nie może nam zagwarantować idealnej równowagi ekologicznej.

Obiecuje jednak, że nasze dzieci będą żyły w fascynującym świecie - całkowicie odmiennym od naszego, pełnym korzyści, niebezpieczeństw i wyzwania. Nie możemy dziś stwierdzić, czy ten kształtujący się świat będzie w zasadzie "dobry" czy w zasadzie "zły", ponieważ zmienią się definicje tych określeń. Poza tym to nie my, ale nasze dzieci i ich dzieci będą tu sędziami i będą budować nowe znaczenia wedle swych własnych wartości.

Żyjąc na początku tego stulecia, staliśmy się bezpośrednimi lub pośrednimi uczestnikami projektowania nowej cywilizacji, której rdzeniem będzie rewolucyjny system bogactwa. Czy proces ten dobiegnie końca - czy też wciąż nieukończona rewolucja bogactwa zatrzyma się z hukiem i trzaskiem?

Odpowiedź podsuwa nam historia rewolucji przemysłowej.

Między połową XVII wieku, kiedy się rozpoczęła, i połową lat pięćdziesiątych XX wieku, kiedy zaczęła się na nią nakładać i ją wypierać gospodarka intelektualna, światem targały niezliczone zaburzenia. Niekończące się wojny. Wojny domowe w Anglii. Szwedzki potop w Polsce. Wojna turecko-wenecka. Walki portugalsko-holenderskie w Brazylii. Wojna Manchu-Ming w Chinach.

Wszystkie te wojny, i nie tylko te, zaczęły się w ciągu tego samego dziesięciolecia, począwszy od około 1650 roku.

Następnie doszło do wojen królowej Anny przeciwko Hiszpanii, wojen francuskich i indyjskich, wojny o sukcesję w Kambodży i tak dalej. To wszystko wydarzyło się na długo przed Rewolucją Francuską czy wojną o niepodległość Stanów Zjednoczonych, podbojami napoleońskimi w Europie, amerykańską wojną secesyjną, I wojną światową, Rewolucją Październikową w Rosji i najgorszą ze wszystkich II wojną światową.

Konflikty te naznaczone były też zarazami, załamaniem na giełdach światowych, odejściem w przeszłość obszernej, wielopokoleniowej rodziny, kryzysami gospodarczymi, skandalami korupcyjnymi, upadkami reżymów, wynalezieniem kamery filmowej, elektryczności, samochodu, samolotu, filmu i radia, kolejnymi stylami w sztuce Zachodu - od prerafaelityzmu poprzez romantyzm po impresjonizm, futurizm, surrealizm i kubizm.

Jednakże mimo tych wszystkich przemian i wstrząsów, jedna rzecz rzuca się w oczy. Nic, ani nawet wszystko razem, nie powstrzymało postępu rewolucji przemysłowej i rozpowszechniania się nowego systemu bogactwa, jaki przynosiła. Nic.

Dlaczego? Ponieważ Druga Fala nie była jedynie kwestią technologii czy gospodarki. U jej źródeł odnaleźć bowiem można również siły społeczne, polityczne i filozoficzne, a także konflikt fal, w którym pozostałości elit epoki agrarnej stopniowo poddawały się siłom Nowego.

Druga Fala prowadziła do ekonocentryzmu: idei, wedle której kultura, religia i sztuka miały znaczenie drugorzędne i - wedle Marksa - determinowane były przez gospodarkę.

Coraz silniejszą podstawą rewolucyjnego bogactwa Trzeciej Fali jest wiedza. Trzecia Fala zawraca gospodarkę na miejsce jej należne - jako części szerszego systemu, na piedestał wprowadzając za to - może to dobrze, a może nie - takie sfery życia ludzi, jak tożsamość kulturowa, religia i moralność.

Zagadnienia te należy postrzegać raczej jako części procesu sprzężenia zwrotnego, a nie jako sfery podrzędne wobec gospodarki. Rewolucja Trzeciej Fali ukazuje się nam w kostiumie technologii, ponieważ technologie przychodzące wraz z nią są tak spektakularne. Podobnie jak w przypadku industrializacji i "modernizacji", tak i teraz mamy do czynienia z wszechogarniającym procesem przemian cywilizacji. I mimo wahań na giełdzie i innych perturbacji, ewolucyjne bogactwo będzie kontynuowało swój nieubłagany pochód przez świat.

Wraz z kształtowaniem się przyszłej gospodarki i społeczeństwa, wszyscy z nas - pojedyncze osoby, przedsiębiorstwa, organizacje i rządy - stoimy dziś u progu najbardziej szaleńczej i najszybszej podróży do przyszłości spośród wszystkich, jakich doświadczały inne pokolenia.

Kiedy już wszystko zostało powiedziane, dodajmy, że żyjemy we wspaniałych czasach!

Witajcie w pozostałej części XXI wieku!

Bibliografia

- [1] Aaron Henry J., Schwartz William B., red.: *Coping with Methuselah*, Brookings Institution Press, Waszyngton 2004.
- [2] Adams James: *The Financing of Terror*, New English Library, Londyn 1986.
- [3] Aikman David: *Jesus in Beijing*, Regnery, Waszyngton 2003.
- [4] Al-Harran Saad Abdul Sattar: *Islamic Finance*, Selangor Darul Ehsan, Pelanduk Publications, Malezja 1993.
- [5] Alkaly Roger: *The New Economy*, Ferrar, Straus & Giroux, Nowy Jork 2003.
- [6] Amsden Alice H.: *The Rise of "The Rest"*, Oxford University Press, Nowy Jork 2001.
- [7] Applebaum Herbert: *Work in Non-Market & Transitional Societies*, State University of New York Press, Albany 1984.
- [8] Attali Jacques, Guillaume Marc: *Anti-Economique*, Presses Universitaires de France, Paryż 1974.
- [9] Bai Chong-En, Yuen Chi-Wa: *Technology and the New Economy*, MIT Press, Cambridge (USA) 2002.
- [10] Bakar Osman: *Classification of Knowledge in Islam*, Institute for Policy Research, Kuala Lumpur 1992.
- [11] Baxter Brian: *Ecologism*, Edinburgh University Press, Edynburg 1999.
- [12] Beaud Michel: *A History of Capitalism*, Monthly Review Press, Nowy Jork 2001.
- [13] Becker Gary S.: *A Treatise on the Family*, Harvard University Press, Cambridge (GSA) 1993.
- [14] Becker Gary S.: *Human Capital*, University of Chicago Press, Chicago 1983.
- [15] Becker Gary S.: *The Economic Approach to Human Behavior*, University of Chicago Press, Chicago 1976.
- [16] Becker Gary S., Becker, Guity Nashat: *The Economics of Life*, McGraw-Hill, Nowy Jork 1996.
- [17] Becker Jasper: *The Chinese*, John Murray, Londyn 2000.
- [18] Beinin Joel: *Workers and Peasants in the Modern Middle East*, Cambridge University Press, Cambridge 2001.
- [19] Berners-Lee Tim: *Weaving the Web: The Past, the Present and Future of the World Wide Web*, Orion Business Books, Londyn 1999.
- [20] Blair Margaret M., Wajlman Steven M. H.: *Unseen Wealth, Report of Brookings Task Force on Intangibles*, Brookings Institution Press, Waszyngton 2001.
- [21] Blake Robert: *Disraeli*, St. Martin's Press, Nowy Jork 1967.
- [22] Boden Mark, Miles Ian: *Services and the Knowledge-Based Economy*, Continuum, Londyn 2000.
- [23] Boisot Max H.: *Knowledge Assets*, Oxford University Press, Oxford 1999.
- [24] Booker Christopher, North Richard: *The Great Deception*, Continuum, Londyn 2005.
- [25] Booth Ken: *Strategy and Ethnocentrism*, Croom Heim, Londyn 1979.

- [26] Boserup Esther: *Women's Role in Economic Deuelopment*, St. Martin's Press, Nowy Jork 1970.
- [27] Boulding Kenneth E.: *Beyond Economics*, University of Michigan Press, Ann Ar-bor 1970.
- [28] Brahm Laurence J.: *Zhong Han Hai*, Naga, Hongkong 1998.
- [29] Brandt Barbara: *Whole Life Economics*, New Society Publishers, Gabriola [sland 1995.
- [30] Brass Tom: *Peasants, Populism and Post-Modernism*, Frank Cass, Londyn 2000.
- [31] Braudel Fernand: *Capitallsm and Material Life 1400-1800*, Harper Colophon, Nowy Jork 1975.
- [32] Brown Michael Barratt: *The Economics of Imperialism*, Penguin Books Ltd., Mid-dlesex 1976.
- [33] Brownstone David, Franek Irene: *Timelines of War*, Little, Brown, Nowy Jork 1994.
- [34] Bryson John R., et al., red.: *Knowledge, Space, Economy*, Routledge, Londyn 2000.
- [35] Burggraf, Shirley R: *The Feminine Economy & Economic Man*, Addison-Wesley, Reading 1997.
- [36] Burns Scott: *Home Inc.*, Doubleday & Co., Nowy Jork 1975.
- [37] Burns Tom: *Industrial Man*, Penguin Books Ltd., Middlesex 1973.
- [38] Cahn Edgar: *Sernice Credits. A New Currency for the Welfare State*, London School of Economics, Londyn 1986.
- [39] Cahn Edgar, Jonathan Rowe: *Time Dollars*, Rodale Press, Emmaus 1992.
- [40] Camerer Colin, et al., red.: *Aduances in Behauioral Economics*, Russell Sage Foundation, Nowy Jork 2004.
- [41] Camporesi Piero: *Bread of Dreams*, University of Chicago Press, Chicago 1989.
- [42] Center for Medieval and Renaissance Studies, University of California, Los Angeles: *The Dawn of Modern Banking*, Yale University Press, New Haven 1979.
- [43] Cerf Christoper, Victor Navasky: *The Experts Speak*, Pantheon, Nowy Jork 1984.
- [44] Chancellor Edward: *Devil Take the Hindmost*, Farrar-Straus-Giroux, Nowy Jork 1999.
- [45] Chandler Tertius: *Four Thousand Years of Urban Growth*, Edwin Mellen Press, Le-wiston 1987.
- [46] Chang Gordon G.: *The Corming Collapse of China*, Random House, Nowy Jork 2001.
- [47] Chang Jung, Jon Halliday: *Mao, The Unknown Story*, Knopf, Nowy Jork 2005.
- [48] Chase Alston: *Harvard and the Unabomber*, W.W. Norton, Nowy Jork 2003.
- [49] Chernow Ron: *The Death of the Banker*, Vintage, Nowy Jork 1997.
- [50] Cipolla Carlo M.: *Before the Industrial Revolution: European Society and Economy, 1000-1700*, W.W. Norton, Nowy Jork 1994.
- [51] Clough Shepard Bancroft, Cole Charles Woolsey: *Economic History of Europe*, Heath, Boston 1947.
- [52] Cohen Benjamin J.: *The Future of Money*, Princeton University Press, Princeton 2004.
- [53] Cohen Benjamin J.: *The Geography of Money*, Cornell Oniversity Press, ithaka 1998.
- [54] Cohen Stephen P.: *India. Emerging Power*, Brookings Institution Press, Waszyngton 2001.

- [55] Cook Nick: *The Hunt for Zero Point*, Broadway Books, Nowy Jork 2002.
- [56] Cornish Edward, red.: *Futuring*. World Future Society, Bethesda 2004.
- [57] Cox W. Michael, Alm Richard: *Myths of Rich and Poor*, Basic Books, Nowy Jork 1999.
- [58] Cremin Lawrence A.: *American Education*, Harper Colophon, Nowy Jork 1980.
- [59] Crockett Andrew: *Money*, Thomas Nelson & Sons, Londyn 1973.
- [60] Crone Patricia: *Pre-Industrial Societies*, One World Publications, Oxford 1989.
- [61] Crook Nigel, red.: *The Transmission of Knowledge in South Asia*, Oxford University Press, Delhi 1996.
- [62] Curtin Philip D.: *Cross-Cultural Trade in World History*, Cambridge University Press, Londyn 1984.
- [63] Czeschin Robert W.: *The Last Waue*, Shot Tower Books, Boca Raton 1994.
- [64] Dattel Eugene R.: *The Sun That Never Rose*, Probus Publishing, Chicago 1994.
- [65] Davis Jim, Hirschl Thomas, Stack Michael, red.: *Cutting Edge*, Verso, Londyn 1997.
- [66] Deane Phyllis: *The Evolution of Economic Ideas*, Cambridge University Press, Cambridge 1979.
- [67] Debray Regis: *Empire 2.0. A Modest Proposal for a United States of the West*, North Atlantic Books, Berkeley 2004.
- [68] Delamaide Darrell: *The New Superregions of Europe*, Dutton, Nowy Jork 1994.
- [69] De Soto Hernando: *Tajemnica kapitału: dlaczego kapitalizm triumfuje na Zachodzie, a zawodzi gdzie indziej*, tł. Szymon Czarnik, Fijorr Publishing, Warszawa-Chicago 2002.
- [70] De Soto Hernando: *The Other Path*, Harper and Rowe, Nowy Jork 1989.
- [71] De Villiers Marq.: *Water*, Houghton Mifflin, Boston 2000.
- [72] Devlin Keith: *Goodbye, Descartes*, John Wiley & Sons, Nowy Jork 1997.
- [73] Donnelly Desmond: *Struggle for the World*, St. Martin's, Nowy Jork 1965.
- [74] Dorpalen Andreas: *The World of General Haushofer*, Kennikat Press, Port Washington 1942.
- [75] Downs Ray F., red.: *Japan Yesterday and Today*, Bantam Pathfinder, Nowy Jork 1970.
- [76] Drexler Erie K., Chris Peterson, Gayle Pergamit, współpr.: *Unbounding the Future*, William Morrow, Nowy Jork 1991.
- [77] Dukes Paul: *The Superpowers*, Routledge, Londyn 2000.
- [78] Dunbar Nicholas: *Inventing Money*, John Wiley & Sons, Chichester 2000.
- [79] Easterbrook Gregg: *The Progress Paradox*, Random House, Nowy Jork 2003.
- [80] Easterly William: *The Elusive Quest for Growth*, MIT Press, Cambridge (USA) 2002.
- [81] Edelstein Michael: *Overseas Investment in the Age of High Imperialism*, Columbia University Press, Nowy Jork 1982.
- [82] Edvinsson Leif, Malone Michael S.: *Intellectual Capital*, Harper Collins, Nowy Jork 1997.
- [83] Emmott Bill: *The Sun Also Sets*, Times Books, Nowy Jork 1989.
- [84] Epstein Joseph: *Snobbery. The American Version*, Houghton Mifflin, Nowy Jork 2002.

- [85] Evans Philip, Wurster Thomas S.: *Blown to Bits*, Harvard Business School Press, Boston 2000.
- [86] Everard Jerry: *Virtual States*, Routledge, Londyn 2000.
- [87] Fattah Hassan M.: *P2P: How Peer - to - Peer Technology Is Revolutionizing the Way We Do Business*, Dearborn Trade Publishing, Chicago 2002.
- [88] Feigenbaum Edward, et al.: *The Rise of the Expert Company*, Times Books, Nowy Jork 1988.
- [89] Ferguson Niall: *The Cash Nexus*, Basic Books, Nowy Jork 2001.
- [90] Fernandez-Armesto Felipe: *Millenium, A History of the Last Thousand Years*, Charles Scribner's Sons, Nowy Jork 1995.
- [91] Fingleton Eamonn Blindside: *Why Japan Is Still on Track to Overtake the U.S. by the Year 2000*, Houghton Mifflin Co., Nowy Jork 1995.
- [92] Fishman Ted C: *China, Inc.*, Scribner, Nowy Jork 2005.
- [93] Fogel Robert W.: *The Escape From Hunger and Premature Death 1700- 2100*, Cambridge University Press, Cambridge (USA) 2004.
- [94] Fogel Robert W.: *The Fourth Great Awakening*, University of Chicago Press, Chicago 2000.
- [95] Frowen Stephen F., red.: *Unknowledge and Choice in Economics*, Macmillan Press Ltd., Londyn 1990.
- [96] Fuwei Shen: *Cultural Flow Between China and Outside World Throughout History*, Foreign Languages Press, Pekin 1996.
- [97] Galbraith John Kenneth: *Pieniądz: pochodzenie i losy*, tł. [z ang. i przedm.] Stanisław Raczkowski, Państwowe Wydawnictwo Ekonomiczne, Warszawa 1982.
- [98] Galbraith John Kenneth: *Economics in Perspectiue*, Houghton Mifflin Co., Boston 1987.
- [99] Gardels Nathan, red.: *The Changing Global Order*, Blackwell, Oxford 1997.
- [100] Garnsey Peter: *Food and Society in Ancient Antiquity*, Cambridge University Press, Cambridge 1999.
- [101] Garraty John A.: *Unemployment in History*, Harper & Row, Nowy Jork 1978.
- [102] Garreau Joel: *Radical Evolution*, Doubleday, Nowy Jork 2005.
- [103] Gates Bill, współpr. Collins Hemingway, *Biznes szybki jak myśl*, przeł. Bohdan Baryłko, Izabela Zygmunt-Fijalkowska, Prószyński i S-ka, Warszawa 1999.
- [104] Geerken Michael, Gove Walter R.: *At Home and at Work*, Sage Publications, Beverly Hills 1983.
- [105] Gershenfeld Nett: *FAB*, Basic Books, Nowy Jork 2005.
- [106] Gershenfeld Neil: *When Things Start to Think*, Henry Holt, Nowy Jork 1999.
- [107] Ghazali Aidit, Omar Syed, red.: *Readings in the Concept & Methodology of Islamic Economics*, Pelanduk Publications, Selangor Darul Ehsan (Malezja) 1996.
- [108] Giarini Orio, Stahel Walter R.: *The Limits to Certainty*, Kluwer Academic Publi-shers, Dordrecht 1993.

- [109] Giffi Craig, et al.: National Center for Manufacturing Sciences. *Competing in World-Class Manufacturing*, Business One Irwin, Homewood 1990.
- [110] Gingrich Newt: *Winning the Future*, Regnery Publishing, Waszyngton 2005.
- [111] Glazer Nona Y.: *Women's Paid and Unpaid Labor*, Tempie University Press, Filadelfia 1993.
- [112] Good H.G.: *A History of Western Education*, Macmillan, Nowy Jork 1947.
- [113] Goodstein David: *Out of Gas*, W.W. Norton, Nowy Jork 2004.
- [114] Government Accountability Office: *Informing Our Nation, Improving How to Understand and Assess the USA's Position and Progress*, U.S. Government Accountability Office, Waszyngton 2001.
- [115] Group of Thirty. *Global Institutions, National Supervision and Systemic Risk*, DC, Group of Thirty, Waszyngton 1997.
- [116] Hale J.R.: *Renaissance Europe 1480-1520*, Collins, Londyn 1971.
- [117] Hamid Ahmad Sarji Abdul: *Malaysia's Vision 2020*, Pelanuk Publications, Selangor Darul Ehsan (Malezja) 1995.
- [118] Hammer Michael, James Champy: *Reengineering the Corporation*, Harper Business, Nowy Jork 1993.
- [119] Hanegraaff Wouter J.: *New Age Religion and Western Culture*, State University of New York Press, Albany 1998.
- [120] Harding Sandra: *Whose Science? Whose Knowledge?*, Cornell University Press, Ithaka 1991.
- [121] Harding Sandra: *The Science Question in Feminism*, Cornell University Press, Ithaka 1986.
- [122] Lawrence E. Harrison, Samuel P. Huntington, *Kultura ma znaczenie: jak wartości wpływają na rozwój społeczeństw*, przekł. Sławomir Dymczak, Zysk i s-ka, Poznań 2003.
- [123] Hayes E.N.: *Trackers of the Skies*, Doyle, Cambridge (USA) 1968.
- [124] Henderson Hazel: *Paradigms in Progress*, Knowledge Systems, Indianapolis 1991.
- [125] Henry John: *Knowledge is Power*, Leon Books, Cambridge 2003.
- [126] Herbolzheimer Emil, et al.: *Innovating Proposals for Rethinking the Economy*, Fundacion Jaume Provenca, Barcelona 1995.
- [127] Holstein William J.: *The Japanese Power Game*, Charles Scribner's Sons, Nowy Jork 1990.
- [128] Hope Jeremy, Tony Hope: *Competing in the Third Wave*, Harvard Business School Press, Boston 1997.
- [129] Hourani Albert: *A History of the Arab People*, Warner Books, Nowy Jork 1992.
- [130] Hutchings Graham: *Modern China*, Harvard University Press, Cambridge (USA) 2001.
- [131] Iqbal Muzaffar: *Islam and Science*, Ashgate Publishing, Aldershot 2002.
- [132] Joshi Akshay: *Information Age and India*, Institute for Defense Studies and Analyses, New Delhi 2001.

- 133] Kalam A.P.J. Abdul, Rajan Y.S.: *India 2020. A Vision for the New Millennium*, Viking, Nowy Jork 1998.
- 134] Kanigel Robert: *The One Best Way*, Viking Press, Nowy Jork 1997.
- 135] Kepel Gilles: *The War for Muslim Minds*, Harvard University Press, Cambridge (USA) 2004.
- 136] Kepel Gilles: *Jihad*, Harvard University Press, Cambridge (USA) 2003.
- 137] Kepel Gilles: *Allah in the West*, Stanford University Press, Stanford 1997.
- 138] Klarę Michael T: *Resource Wars*, Owi Books, Nowy Jork 2002.
- 139] Knoke William: *Bold New World*, Kodansha, Nowy Jork 1996.
- 140] Kornai Janos: *Rush Versus Harmonie Growth*, North Holland Publishing Co., Amsterdam 1972.
- 141] Kuhn Robert Lawrence: *The Man Who Changed China*, Crown Publishers, Nowy Jork 2004.
- 142] Kuhn Thomas S.: *The Structure of Scientific Revolutions*, University of Chicago Press, Chicago 1996.
- 143] Kuran Timur: *Islam & Mammon: The Economic Predicaments of Islamism*, Princeton University Press, Princeton 2004.
- 144] Kurtzman Joel: *The Death of Money*, Simon & Schuster, Nowy Jork 1993.
- 145] Lal Deepak: *The Poverty of 'Development Economics'*, The MIT Press, Cambridge (USA) 2000.
- 146] Laulan Yves Marie: *La planete balkanisee*, Economica, Paryż 1991.
- 147] Le Goff Jacques: *Time, Work & Culture in the Middle Ages*, University of Chicago Press, Chicago 1980.
- 148] Lev Baruch: *Intangibles. Management, Measurement, and Reporting*, Brookings Institution, Waszyngton 2001.
- 149] Levathes Louise: *When China Ruled the Seas*, Oxford University Press, Nowy Jork 1996.
- 150] Levitt Steven D., Dubner Stephen J.: *Freakonomics*, William Morrow, Nowy Jork 2005.
- 151] Levy Frank, Murnane Richard J.: *The New Division of Labor*, Russell Sage Foundation, Nowy Jork 2004.
- 152] Levy Pierre: *Collective Intelligence*, Plenum Trade, Nowy Jork 1997.
- 153] Lewis Alan, et al.: *The New Economic Mind*, Harvester/Wheatsheaf, Londyn 1995.
- 154] Lipnack Jessica, Stamps Jeffrey: *The Age of the Network*, OHver Wight Publications, Essex 1994.
- 155] Loebel Eugen: *Humanomics*, Random House, Nowy Jork 1976.
- 156] Łowy Michael, Sayre Robert: *Romanticism Against the Tide of Modernity*, Duke University Press, Durham 2001.
- 157] Machlup Fritz: *The Production and Distribution of Knowledge in the United States*, Princeton University Press, Princeton 1962.
- 158] Maddison Angus: *The World Economy, 1950-2001*, Organization for Economic Cooperation and Development, Paryż 2004.

- [159] Maddison Angus: *The World Economy*, Organization for Economic Cooperation and Development, Paryż 2001.
- [160] Maddison Angus: *Chinese Economic Performance in the Long Run*, Organization for Economic Cooperation and Development, Paryż 1998.
- [161] Malos Ellen: *The Politics of Housework*, Allison & Busby, Londyn 1982.
- [162] Manning Richard: *Against the Grain*, Farrar, Straus & Qiroux, Nowy Jork 2004.
- [163] Mansell Robin, Wehn Uta, red.: *Knowledge Societies*, Oxford University Press, Nowy Jork 1998.
- [164] Mansfield Edward D.: *Power, Trade and War*, Princeton University Press, Princeton 1994.
- [165] Margiotta Franklin D., Sanders Ralph: *Technology, Strategy and National Security*, National Defense University Press, Waszyngton 1985.
- [166] Marks Karol: *Pre-Capitalist Economic Formations*, International Publishers, Nowy Jork 1971.
- [167] Marks Karol: *Selected Writings in Sociology and Social Philosophy*, McGraw-Hill, Nowy Jork 1964.
- [168] Mau Bruce: *Massive Change*, Phaidon Press Ltd., Londyn 2004.
- [169] Mawdudi Mawiana: *The Revivalist Movement in Islam*, The Other Press, Kuala Lumpur 2002.
- [170] May Jon, Thrift Nigel: *Timespace*, Routledge, Londyn 2001.
- [171] Mayer Arno J.: *The Persistence of the Old Regime*, Pantheon Books, Nowy Jork 1981.
- [172] McGrath Joseph E., Kelly Janice R.: *Time and Human Interaction*, The Guilford Press, Nowy Jork 1986.
- [173] McKnight Lee W., Bailey Joseph, red.: *Internet Economics*, The MIT Press, Cambridge (USA) 1997.
- [174] McNeill William H.: *Keeping Together in Time*, Harvard University Press, Cambridge (USA) 1995.
- [175] McNeill William H.: *The Pursuit of Power*, University of Chicago Press, Chicago 1982.
- [176] Mead Walter Russell: *Mortal Splendor: An American Empire in Transition*, Houghton Mifflin Co., Boston 1987.
- [177] Menzies Gavin: 1421. *The Year China Discovered America*, Perennial, Nowy Jork 2004.
- [178] Meulders Daniele, et al.: *Atypical Employment in the EC*, Aldershot 1994.
- [179] Miller Daniel: *Acknowledging Consumption*, Routledge, Londyn 1995.
- [180] Minc Alain: *Ce monde qui uient*, Bernard Grasset, Paryż 2004.
- [181] Monden Yasuhiro, et al.: *Innovations in Management: The Japanese Corporation*, Industrial Engineering and Management Press, Atlanta 1985.
- [182] Mosher Steven W.: *Hegemon: China's Plan to Dominate the World*, Encounter Books, San Francisco 2000.

- [183] Murakami Yasuke: *An Anti-Classical Political-Economic Analysis*, Stanford University Press, Stanford 1996.
- [184] Napoleoni Loretta: *Modern Jihad. Tracing the Dollars Behind the Terror Networks*, Pluto Press, Londyn 2003.
- [185] Nathan John: *Japan Unbound*, Houghton Mifflin, Boston 2004.
- [186] National Commission on Terrorist Attacks, *The 9/11 Commission Report*, W.W. Norton, Nowy Jork 2004.
- [187] Needham Joseph: *Science in Traditional China*, Harvard University Press, Cambridge (USA) 1981.
- [188] Nef John U.: *The Conquest of the Material World*, Meridian Books, Cleveland 1967.
- [189] Nelson Robert H.: *Economies as Religion*, Pennsylvania State University Press, University Park 2001.
- [190] Nisbett Richard E.: *The Geography of Thought*, Free Press, Nowy Jork 2003.
- [191] Nonaka Ikujiro, Takeuchi Hirotaka: *The Knowledge-Creating Company*, Oxford University Press, Nowy Jork 1995.
- [192] Nye David E.: *Electrifying America*, The MIT Press, Cambridge (USA) 1992.
- [193] Ochoa George, Corey Melinda. *The Timeline Book of Science*, Ballantine Books, Nowy Jork 1995.
- [194] Odescalchi Edmond: *The Third Crown. A Study in World Government Exercised by the Popes*, University Press of America, Oxford 1997.
- [195] O'Driscoll Gerald P, Rizzo Mario J.: *The Economies of Time and Ignorance*, Basil Blackwell, Oxford 1985.
- [196] Office of International Affairs, *Marshaling Technology for Development, Proceedings of a Symposium*, National Academies Press, Waszyngton 1995.
- [197] O'Hanlon Michael, Mochizuki Mike: *Crisis on the Korean Peninsula*, McGraw-Hill, Nowy Jork 2003.
- [198] Ohmae Kenichi: *The Next Global Stage*, Wharton School Publishing, Upper Saddle River 2005.
- [199] Ohmae Kenichi: *The Invisible Continent*, Nicholas Brealey, Londyn 2001.
- [200] Ohmae Kenichi: *End of the Nation State, The Rise of Regional Economies*, Free Press, Nowy Jork 1995.
- [201] Ormerod Paul: *The Death of Economies*, John Wiley & Sons, Nowy Jork 1997.
- [202] Packard Vance: *The Hidden Persuaders*, Pocket Books, Nowy Jork 1958.
- [203] Paine Lynn Sharp: *Value Shift*, McGraw-Hill, Nowy Jork 2003.
- [204] Parry J., Bloch M., red.: *Money and the Morallty of Exchange*, Nowy Jork 1989.
- [205] Parente Stephen L, Prescott Edward C: *Barriers to Riches*, MIT Press, Cambridge (USA) 2002.
- [206] Pasinetti Luigi L.: *Lectures on the Theory of Production*, Macmillan Press Ltd., Londyn 1978.

- [207] Perelman Lewis J.: *School's Out*, Avon Books, Nowy Jork 1992.
- [208] Pillsbury Michael, red.: *Chinese Views of Future Warfare*, National Defense University Press, Waszyngton 1997.
- [209] Pine II Joseph, Gilmore James H.: *The Experience Economy*, Harvard Business School Press, Boston 1999.
- [210] Pink Daniel H.: *A Whole New Mind*, Penguin, Riverhead 2005.
- [211] Pink Daniel H.: *Free Agent Nation*, Warner Books, Nowy Jork 2001.
- [212] Polanyi Karl: *The Great Transformation*, Beacon Press, Boston 1971.
- [213] Porter Roy: *The Creation of the Modern World*, W.W. Norton, Nowy Jork 2000.
- [214] Posner Richard A.: *Catastrophe*, Oxford University Press, Nowy Jork 2004.
- [215] Prahalad CK.: *The Fortune at the Bottom of the Pyramid*, Wharton School Publishing, Upper Saddle River 2005.
- [216] Price Colin: *Time, Discounting & Value*, Blackwell Publishers, Oxford 1993.
- [217] Putti Joseph M.: *Management - Asian Context*, McGraw-Hill, Singapur 1991.
- [218] Pyenson Lewis, Sheets-Pyenson Susan: *Servants of Nature: A History of Scientific Institutions, Enterprises and Sensibilities*, W.W. Norton & Co., Nowy Jork 1999.
- [219] Quinn James Brian: *Intelligent Enterprise*, Free Press, Nowy Jork 1992.
- [220] Rampton Sheldon, Staub John: *Trust Us, We're Experts! How Industry Manipulates Science and Gambles with Your Future*, Tarcher/Putnam, Nowy Jork 2002.
- [221] Rees Dai, Rose Steven, red.: *The New Brain Sciences*, University Press, Cambridge 2004.
- [222] Rees Martin: *Our Final Hour*, Basic Books, Nowy Jork 2003.
- [223] Revel Jean-Francois, *Anti-Americanism*, Encounter Books, San Francisco 2000.
- [224] Reynolds Christopher: *Global Logic*, Prentice Hall, Singapur 2002.
- [225] Rheinbold Howard: *Smart Mobs: The Next Social Revolution*, Perseus Publishing, Nowy Jork 2002.
- [226] Riessman Frank, Carroll David: *Redefining Self-Help*, Jossey-Bass, San Francisco 1995.
- [227] Roberts Paul: *The End of OH*, Houghton Mifflin, Boston 2004.
- [228] Robinson Alan G., Schroeder Dean M.: *Ideas Are Free*, Berrett-Koehler Publishers, San Francisco 2004.
- [229] Robinson Ken: *Out of Our Minds. Learning to Be Creative*, Capstone/Wiley, Indianapolis 2001.
- [230] Roy OHvier: *Globalized Islam. The Search for a New Ummah*, Columbia University Press, Nowy Jork 2004.
- [231] Roderick Jack: *Crude Dreams*, Epicenter Press, Seattle 1997.
- [232] Rodinson Maxime: *Islam and Capitalism*, Pantheon Books, Nowy Jork 1973.
- [233] Rosenblatt Roger, red.: *Consuming Desires*, Island Press, Waszyngton 1999.
- [234] Rostów W.W.: *The Stages of Economic Growth*, Cambridge University Press, Cambridge 1971.

- [235] Roy Olivier: *Globalized Islam*, Columbia University Press, Nowy Jork 2004.
- [236] Rueschemeyer Dietrich: *Power and the Division of Labor*, Polity Press, Cambridge 1986.
- [237] Ryan Michael P.: *Knowledge Diplomacy*, Brookings Institution Press, Waszyngton 1998.
- [238] Sakaiya Taichi: *What is Japan?* Kodansha America, Nowy Jork 1995.
- [239] Sakaiya Taichi: *The Knowledge-Value Revolution*, Kodansha International, Tokio 1985.
- [240] Sanders T. Irene: *Strategie Thinking and the New Science*, Free Press, Nowy Jork 1998.
- [241] Sardar Ziauddin: *Desperately Seeking Paradise*, Granta Books, Londyn 2004.
- [242] Schechter Danny: *Falun Gong's Challenge to China*, Akashic Books, Nowy Jork 2001.
- [243] Schofield Robert E.: *The Lunar Society of Birmingham*, Clarendon Press, Oxford 1963.
- [244] Shourie Arun: *The World of Fatwas*, Rupa & Co., New Delhi 2002.
- [245] Simmons Matthew R.: *Twilight in the Desert*, Wiley & Sons, Hoboken 2005.
- [246] Singh Simon: *Big Bang. The Origin of the Universe*, Fourth Estate, Nowy Jork 2004.
- [247] Smith Adam, *Badania nad naturą i przyczynami bogactwa narodów*, przekł. Oswald Einfeld i Stefan Wolff, De Agostini we współpracy z Ediciones Altaya Polska, Warszawa 2003.
- [248] Solomon Lewis D.: *Rethinking Our Centralized Monetary System*, Praeger Publishers, Westport 1996.
- [249] Solomon Richard H.: *Mao's Revolution and the Chinese Political Culture*, University of California Press, Berkeley 1971.
- [250] Spence Jonathan D.: *God's Chinese Son*, W.W. Norton, Nowy Jork 1996.
- [251] Spence Jonathan D.: *The Search for Modern China*, W.W. Norton, Nowy Jork 1990.
- [252] Staley Charles E.: *A History of Economic Thought, From Aristotle to Arrow*, Blackwell, Cambridge (USA) 1989.
- [253] Steidl Rose E., Bratton Esther Crew: *Work in the Home*, John Wiley & Sons, Nowy Jork 1968.
- [254] Stephens Mitchell: *A History of News*, Viking, Nowy Jork 1988.
- [255] Stille Alexander: *The Future of the Past*, Farrar, Straus and Giroux, Nowy Jork 2002.
- [256] Sveiby Karl Erik: *The New Organizational Wealth*, Berrett-Koehler Publishers, San Francisco 1997.
- [257] Swedberg Richard: *Economics and Sociology*, Princeton University Press, Princeton 1990.
- [258] Tapscott Don, et al.: *Digital Capital*, Harvard Business School Press, Boston 2000.
- [259] Taverne Dick: *March of Unreason*, Oxford University Press, Oxford 2005.
- [260] Tawney R.H.: *Religion and the Rise of Capitalism*, New American Library, Nowy Jork 1954.
- [261] Tay Simon S. C, red.: *Pacific Asia 2022*, Japan Center for International Exchange, Tokio 2005.
- [262] Thapar Romila, red.: *India, Another Millennium?*, Penguin Books India, New Delhi 2000.
- [263] Thompson E.P.: *The Making of the English Working Class*, Vintage, Nowy Jork 1963.
- [264] Thompson Laurence G., przekł. Ta Tung Shu: *The One-World Philosophy of K'ang Yu-wei*, Allen & Clnwin Ltd, Londyn 1958.

- [265] Todd Emmanuel: *After the Empire: The Breakdown of the American Order*, Columbia University Press, Nowy Jork 2003.
- [266] Turner Howard R.: *Science in Medieval Islam*, University of Texas Press, Austin 1995.
- [267] Union of International Associations, *Encyclopedia of World Problems and Human Potential*, t.I: *World Problems*, IV wyd. K.G. Saur, Londyn 1994.
- [268] Union of International Associations, *Encyclopedia of World Problems and Human Potential*, t. 2: *Human Potential*, IV wyd. K.G. Saur, Monachium 1995.
- [269] Valenze Deborah: *The First Industrial Woman*, Oxford University Press, Nowy Jork 1995.
- [270] Van Kooten G. Cornelis, Bulte Erwin H.: *The Economics of Nature*, Blackwell Publishers, Malden 2000.
- [271] Van Wolferen Karei: *The Enigma of Japanese Power*, Alfred A. Knopf, Nowy Jork 1989.
- [272] Vickers Douglas: *Economics and the Antagonism of Time*, University of Michigan Press, Ann Arbor 1997.
- [273] Vogel Ezra E: *Japan As No. 1.*, Charles E. Tuttle, Rutland, Vermont 1980.
- [274] Waley Arthur: *Three Ways of Thought in Ancient China*, George Allen & Unwin Ltd., Londyn 1946.
- [275] Wallach Lori, Sforza Michelle: *Whose Trade Organization?* Public Citizen Foundation, Waszyngton 1999.
- [276] Warden III John, Russell Leland A.: *Winning in Fast Time*, Venturist Publishing, Montgomery 2002.
- [277] Warsh David: *The Idea of Economic Complexity*, Viking Press, Nowy Jork 1984.
- [278] Warwick David R.: *Ending Cash*, Vision Books International, Santa Rosa 1997.
- [279] Weatherford Jack: *The History of Money*, Crown Publishers, Nowy Jork 1997.
- [280] Weber Max: *Economy and Society*, University of California Press, Berkeley 1978. [281] Wen Sayling, Chih-Chung Tsai: *Taiwan Experience*, Locus Publishing Co., Tajpei 1998.
- [282] White Andrew Dickson: *A History of the Warfare of Science with Theology in Christendom*, t.I, Dover Publications 1960. [283] Wiles Jon, Lundt John: *Leaving School, Finding Education*, Matanzas Press, St.Augustine 2004.
- [284] Williams Ann, Martin G.H., red.: *Domesday Book*, Penguin, Nowy Jork 1992.
- [285] Wolf Charles Jr., et al.: *Fault Lines in China's Economic Terrain*, RAND, Santa Monica 2003.
- [286] Wolf Michael J.: *The Entertainment Economy*, Times Books, Nowy Jork 1999.
- [287] Wolin Richard: *The Seduction of Unreason*, Princeton University Press, Princeton 2004.
- [288] Wolters Willem: *Locating Southeast Asia*, Singapore University Press, Singapur 2005.
- [289] Woo Henry K. H.: *The Unseen Dimensions of Wealth*, Victoria Press, Fremont 1984.
- [290] Woolfson Adrian: *Life Without Genes*, Flamingo, Londyn 2000.
- [291] Yago Glenn, Trimbath Susanne: *Beyond Junk Bonds, Expanding High Yield Markets*, Oxford University Press, Nowy Jork 2003.

Podziękowania

Napisanie tej książki było możliwe dzięki zaangażowaniu bardzo wielu osób, które zasługują na wyrazy szacunku i podziękowania. Tym razem odwrócimy jednak zwyczajową kolejność podziękowań literackich i zanim pokłonimy się światu zewnętrznemu, zaczniemy od spraw domowych, bo przecież książka ta powstawała właśnie w domu, a następnie zajrzemy do naszego biura, które działa w nieodległym sąsiedztwie.

Musimy podziękować Lindzie Paul, która z pomocą Carol Simmons nadzorowała nasze nieustannie rozrastające się zasoby archiwalne, porządkując je poprzez wyodrębnienie około pięciu tysięcy kategorii. Od kilkudziesięciu lat Linda jest tą osobą, która wie, gdzie co jest, dlaczego komputer się zepsuł, jak wydobyć spod ziemi bilet lotniczy w ostatniej chwili na ten najlepszy lot, jak przemawiać słodko do obcych, a przede wszystkim, jak śmiać się do rozpuku.

Alicia Garcia natomiast zajmowała się naszym biurem domowym - i w ogóle naszym domem - dbając o porządek i będąc przy nas w czasie najgorszych dni śmiertelnej choroby naszej ukochanej córki. Alicia jest mądra i uprzejma i, co więcej, niezawodna.

Zarówno w domu, jak w czasie naszych podróży po świecie poznaliśmy wielu mądrych ludzi, od których wiele się nauczyliśmy i którym jesteśmy za to bardzo wdzięczni. Spośród nich pragniemy złożyć podziękowania następującym osobom:

Williamowi Easterly, autorowi *The Elusive Quest for Growth*, współdyrektorowi Development Research Institute na New York University, poprzednio związanemu z Bankiem Światowym, za jego przemyslenia na temat roli wiedzy oraz zachęt w walce z ubóstwem.

Ekonomistom finansowym Glenn Yago i Suzanne Trimbath z the Milken Institute, z którymi spędziliśmy popołudnie, zgłębiając nie tak znowu oczywiste związki pomiędzy pieniędzmi i czasem.

Emerytowanemu profesorowi, panu Michaelowi D. Intriligatorowi, iście renesansowemu ekonometrykowi z University of California Los Angeles, którego krąg zainteresowań obejmuje rozmaite dziedziny - od modeli zasobów zdrowotnych i zapasów wody po rozprzestrzenianie broni jądrowej oraz postkomunistyczną transformację w Rosji ku gospodarce quasi-rynkowej.

Specjalne podziękowania kierujemy do Jeffreyego Eisenacha, stojącego na czele zespołu pięćdziesięciu ekonomistów, prezesowi CapAnalysis, LLC, w Waszyngtonie, który zaaplikował nam pierwszą pomoc, kiedy uznał, że jej wymagamy, wystrzelivując późną nocą e-maile, dzięki którym, bywało i tak, zmienialiśmy zdanie.

Chcemy też okazać pamięć nieżyjącemu już nobliście w dziedzinie chemii fizycznej. Ilya Prigogine, bo o nim tu mowa, był jednym z autorów teorii złożoności. Liczne z nim rozmowy pogłębiły nasze rozumienie chaosu i ładu, które także stanowią podstawy bogactwa.

Nasze rozmowy prowadzone w Meksyku z Carlosem Slimem i jego rodziną poszerzyły naszą wiedzę nie tylko o biznesie i ekonomii Meksyku i Ameryki Łacińskiej, ale także o daleko szerszych

zagadnieniach. W czasie obiadu z nim równie łatwo można natknąć się na Carlosa Fuentesa i Gabriela Garcíę Marqueza co na Billa Clintona i Magie Johnsona.

Z Newtem Gingrichem, byłym przewodniczącym Izby Reprezentantów Kongresu USA, na przestrzeni lat prowadziliśmy wiele dyskusji, sprzecaliśmy się i śmialiśmy. Bez względu na różnice zdań w tematach politycznych między nami, ani razu nie zdarzyło się nam spędzić z nim godziny, by nie przyniosła ona nam jakiejś pożytecznej nauki. Warto być w kontakcie z tym światłym umysłem, szczególnie jeśli są powody, by się w czymś nie zgadzać.

Podobnie winni jesteśmy podziękowania Lee Kwan Yew'owi, ojcu-założycielowi i byłemu premierowi Singapuru, który przyczynił się do pobudzenia wielkiego potencjału gospodarczego Azji. Jako zasłużony mąż stanu i wielkiego kalibru myśliciel, dzielił się z nami swymi poglądami na przyszłość Azji.

Dziękujemy też Richardowi Danzigowi, byłemu sekretarzowi marynarki wojennej USA, który zaprosił nas do wspólnej podróży do Chin, gdzie mieliśmy okazję uczestniczyć w dyskusjach z biznesmenami w Szanghaju i spotkać admirałów chińskiej marynarki wojennej.

Podziękowania należne są również nieżyjącemu już Sayling Wen'owi z Inventec na Tajwanie, który walczył o zmniejszenie dystansu, jaki oddzielał Chiny od krajów rozwiniętych w zakresie technologii cyfrowych - od Pekinu po region Rzeki Żółtej Owcy - w jednym z najbiedniejszych rejonów Chin.

Bliżej domu, dziękujemy naszym przyjaciołom Bobowi i Pam Weingarten za śmiałe, szczere słowa, za korygowanie naszych błędów, zanim trafiły do druku oraz za ich entuzjazm i wieloletnie wsparcie w trakcie pisania kolejnych rozdziałów książki.

Jesteśmy głęboko wdzięczni Ałowi i Sally Burtonom, z którymi omawialiśmy tę książkę w miarę postępów w pracy nad nią, za ich inspirujące przemyślenia na temat mediów, kultury popularnej, polityki oraz kolejnej "wielkiej sprawy," a także po prostu za bycie z nami w najtrudniejszych momentach.

Dziękujemy Wiktorowi i Ewie Osiatyńskim. Wiktor, wybitny konstytucjonalista i pisarz, jest profesorem prawa i socjologii na Uniwersytecie Środkowoeuropejskim; wykładał też na University of Chicago Law School. Oboje, Ewa i Wiktor, są światowej rangi liderami walki z alkoholizmem, którego skutki ekonomiczne - dla wydajności, przestępczości, funkcjonowania policji i życia rodzinnego - często się pomija.

Słowa podziękowań należą się także naszemu wydawcy w Wydawnictwie Knopf, Ashowi Greenowi, który zasługuje na Nagrodę Nobla za cierpliwość. Pomagał nam trzymać właściwy kurs w pracy nad rękopisem, kiedy groziło dryfowanie w najróżniejszych kierunkach.

Dziękujemy Timowi Knowltonowi, Dave'owi Barborowi i Grace Wherry, starym przyjaciołom z Curtis Brown Ltd., naszej wieloletniej agencji literackiej. Praca z nimi zawsze stanowi dla nas wielką przyjemność. Gdybyż wszyscy autorzy mieli tyle szczęścia, co my...

Podziękowania kierujemy także do Billa Leigha, Larry'ego Lesona i pozostałych pracowników Leigh Bureau, którzy wysłali nas z odczytami dookoła świata - wszystkich tych podróży nie jesteśmy

w stanie spamiętać. Dało nam to możliwość poznania nie tylko wielu myślicieli i praktyków, tworzących system rewolucyjnego bogactwa, ale także spotkania się z inteligentnymi, aktywnymi w zadawaniu pytań audytoriami reprezentującymi wiele różnych kultur.

Dziękujemy Nathanowi Gardelsowi, redaktorowi naszego comiesięcznego felietonu, o umyśle większym niż jego kolosalnych rozmiarów notes z kontaktami.

Wreszcie, specjalne podziękowania kierujemy do naszych kolegów z Toffler Associates. Tomowi Johnsonowi, współzałożycielowi i partnerowi, za jego nieocenione uwagi krytyczne na temat rękopisu, jego bezwarunkowe poczucie humoru, codzienną kontrolę postępów prac i za delikatne, choć nieustające podkręcanie tempa. Jest naszym bliskim przyjacielem od kilkadziesiątu już lat. Dziękujemy Dickowi Szafrzańskiemu, którego intelektualna ciekawość i myśl ostra niczym brzytwa zawsze prowadzą do świeżych myśli. Dziękujemy Dębowi Westphalowi, współtwórcy GPS, który, między innymi, jest naszym nauczycielem w dziedzinie wszystkiego, co znaleźć można na niskiej orbicie okołozemskiej lub powyżej. Wyrażamy też podziękowania Aaronowi Schumanowi, który dysponuje zarówno wspaniałymi możliwościami intelektualnymi, jak i umiejętnością mocnego stąpania po ziemi.

Ponadto chcielibyśmy podziękować wszystkim kolegom z Toffler Associates, którzy odpowiadali na nasze sporadyczne zapytania, którzy organizowali i brali udział w naszych obiadach, kiedy to wygłaszaliśmy prelekcje, ale - co ważniejsze - kiedy mogliśmy też posłuchać tego, co mają do powiedzenia wyjątkowo mądry ludzie. Było to też zasługą pozostającej w naszej serdecznej pamięci Bonnie O'Gorman, której niedawna śmierć tak mocno wszystkich nas dotknęła.

Jest oczywiście bardzo wiele innych osób, zbyt wiele, by je tu wszystkie wymienić, które wspominamy z wdzięcznością; w czasie kilkunastu lat wniosły przydatne dane, informacje i wiedzę, poświęcały nam swój czas osobiście, odpowiadały na nasze e-maile i telefony.

Musimy też wspomnieć tysiące anonimowych osób, które wspólnie wpłynęły na nasze postrzeganie zmieniającego się świata - setki autorów, których książki pojawiają się w bibliografii, akademików, którzy prezentują swe przemyślenia w Internecie oraz zapracowanych, często w trudnych warunkach, słabo opłacanych i nierzadko nie podpisujących się własnym nazwiskiem reporterów, którzy dzień w dzień, pracując w nieustannym pośpiechu, piszą o biznesie, polityce gospodarczej i związanych z nimi zagadnieniach, tworząc na swych klawiaturach "pierwszy zarys historii."

Wielu z nich raz po raz popełnia błędy, podobnie jak - bez wątpienia - i my, na tych stronach. Rzecz jasna, trudno wyobrazić sobie rękopis tych rozmiarów, który byłby całkowicie pozbawiony błędów. Niestety, nie bardzo mamy na kogo zrzucić winę. A zatem utarta formułka *mea culpa*, jaką zazwyczaj można odnaleźć w podziękowaniach tego typu, także i tu będzie uzasadniona: to my, autorzy, jesteśmy w ostatecznym rachunku odpowiedzialni za każde słowo, pod którym się podpisujemy. A zatem wszystkie błędy i braki są wyłącznie naszą winą.

Spis treści

Wstęp

CZĘŚĆ I - Rewolucja

Rozdział 1. Forpoczta bogactwa

Krzyk mody miesiąca • Rozluźnione okowy • Gitary i antybohaterowie • Śmieszne wieści • Zakorzenianie inteligencji • Kapitałowe narzędzia wiedzy • Dzikie pola • Współwystępujące możliwości

Rozdział 2. Dziecko pragnienia

Znaczenie bogactwa • Rządcy pragnień

CZĘŚĆ II - Głębokie fundamenty

Rozdział 3. Fale bogactwa

Prehistoryczny Einstein- Człowiek, który pożarł samego siebie- Nie do pomyślenia • Dzisiejsza fala bogactwa • Trzy życia, trzy światy

Rozdział 4. Głębokie fundamenty

Nieomylni • Przeszarżałe fundamenty • Przyszłość pracy • Współgra

CZĘŚĆ III - Nowa organizacja czasu

Rozdział 5. Zderzenie prędkości

Punktualne pociągi?- Wedle radaru- Liderzy i hamulcowi- Kiedy słonie obstają przy swoim • Inercja kontra superszybkość

Rozdział 6. Branża synchronizacyjna

Tanecznym krokiem ku wydajności • Nigdy więcej zimnych jajek • Koniec z improwizacją na ostatnią chwilę

Rozdział 7. Gospodarka arytmiczna

Ekologia czasu • Ofiary czasu • Postfuzyjny blues • Podatek od straconego czasu • Do technologicznego tanga trzeba dwojga • Kolacja bez sushi

Rozdział 8. Nowy czasobraz

Okowy czasu • Superszybka miłość • Czas skrojony na miarę • Kiedy pojawiają się dobre pomysły • Czas mediów • Rodzina, przyjaciele i spotkania twarzą w twarz z drugim człowiekiem • Amerykanizacja czasu? • Przyszłość 24/7 - Pędem, ale dokąd?

CZĘŚĆ IV - Rozciąganie przestrzeni

Rozdział 9. Koło historii

Azja, ho ho ho! • Otwarcie tamy

Rozdział 10. Miejsca o wyższej wartości dodanej

Wczorajsze miejsca • Po co nam te granice? • Wyścigi taniej siły roboczej

Nieruchomości jutra

Rozdział 11. Zasięg przestrzenny

Osobista geografia • Mobilne pieniądze • Zdobywcy i zdobywani

Rozdział 12. Świat niegotowy

Bardziej święta od papieża • Test wody Evian i ketchupu • Żółty pył • Gorliwi wyznawcy

Rozdział 13. Na wstecznym biegu

Nowy Titanic • Przeciążenie eksportu • Nano-łyżeczka do herbaty • Scenariusze a la *Mad Max*

Rozdział 14. Pęd do przestrzeni

Od dializy do sztucznego serca • Piloci, samoloty i paczki • Niezbadane granice bogactwa

CZĘŚĆ V - Zaufajmy wiedzy

Rozdział 15. Rubieże wiedzy

Proszę nie kopać opon

Rozdział 16. Ropa naftowa jutra

Im więcej zużywamy...? • Walcownie i komputery • Nasz wewnętrzny "magazyn" • Po prostu ASK (zapytaj) • Zapomnijmy o Alzheimerze

Rozdział 17. Pułapka starowiedzy

Wczorajsze prawdy • Na strychu u cioci Emilii

Rozdział 18. Czynniki Głuesnaya

Ekonomia kulą w płot • Szacunki ekstrapolowane • Niewidoczny Internet

Brakujące ramy • Lekarz kochanki

Rozdział 19. Filtrowanie prawdy

Próba prawdy • Sześć filtrów • Konsensus • Konsekwencja i spójność • Autorytet • Objawienie • Trwałość • Nauka • Zmiany prawdy

Rozdział 20. Dewastacja laboratorium

Żyłki i prawa • Polityka wańki-wstańki • Patriarchat i chiromancja • Las Vegas jako wzór do naśladowania • Eko-misjonarze • Tajna nauka

Rozdział 21. Zarządcy prawdy

Przekonać szefa

Rozdział 22. CODA: Konwergencja

W żółwym tempie * Niegdyś uprawnione analogie • Mapa poznawalnego

CZĘŚĆ VI - Prosumpcja 187

Rozdział 23. Ukryta połowa

Gospodarka prosumencka • Jedna taka mama na milion • Test nocni-kowy • Ile kosztuje dezintegracja? • Produkt Kłamliwy Brutto (PKB)

Rozdział 24. Prosumenci zdrowia

Sto lat, sto lat, niech żyje nam! • Strefa paniki • Natłok przełomów • Gra z cukrzycą

Rozdział 25. Nasza trzecia praca

Za bufetem • Przerzut supermarketowy

Rozdział 26. Nadchodzi eksplozja prosumpcji

Gitary i torby na kije do golfa • Zaciekły konsumeryzm? • Ciasteczka i symulacje • Hollywood to pestka! • Prosumpcja zbiorowa • Burzenie hierarchii

Rozdział 27. Lunch za darmo

Nauczyciele, pielęgniarki i konie • Amatorzy mają głos • Książki niezbyt kucharskie • Na ziemię...

• Atak węglik

Rozdział 28. Muzyczna burza

Estońscy komputerowcy • Potęga prosumentów • Mali prosumenci • Li-posukcja bez chirurga

Rozdział 29. Chormon produkcyjności

Więcej niż edukacja • Gra Rajendera

Rozdział 30. CODA: Niewidoczne kanały

Oddziaływanie prosumentów • Niezauważona terapia

CZĘŚĆ VII - Dekadencja

Rozdział 31. Ewangelia zmiany

Trzecie źródło • Sieczka w głowie nastolatków • Historia Paula • Hedonizm madę in Hollywood •

Dwa razy do tej samej wody?

Rozdział 32. Implozja

Pandemia samotności • Po-przedszkolne fabryki • Kreatywna księgowość

Intensywna opieka • Złote lata • Polityka księżycowa • Awaria systemu

Epidemia klęski • Atak gwiazd

Rozdział 33. Przerdzewiałe styki

Czas FBI • Globalna przestrzeń • Nadmiar starowiedzy

Rozdział 34. Complexorama

O czym wie Bill Gates • 12 203 problemy

Rozdział 35. Rozwiązanie sepulvedyjskie

Każda Amerykanka • Pseudotransformacja • Jak na karuzeli • Aparaty i gliny • Tworzenie nowych instytucji • Innowacje rodzą innowacje • Jak wynaleziono think tanki

Rozdział 36. CODA: Postdekadencja

Wojna *na* wartości • "Sporty" ekstremalne • Antydekadencja • Pogawędki z grubymi rybami •

Wynajdowanie nowych modeli • Diabelski młyn • Post-Kasandra?

CZĘŚĆ VIII - Przyszłość kapitalizmu

Rozdział 37. Koniec gry

Samochody i aparaty fotograficzne • Niedotykalne • Fetysz dotyku • Koń i piosenka

Rozdział 38. Konwersja kapitału

Stopnie ryzyka • Wrota demokracji • Wzrost Ekonolandu • Niecierpliwy i nerwowy

Rozdział 39. Rynki niemożliwe

Rzadkie pieniądze • Masa + Masa = Masa + • Rynki błyskawiczne • Osobiste ceny • Gdzie są granice? • Tajemnice powtarzane szeptem • Bliźniak wirtualny

Rozdział 40. Życie na kredyt?

Okryty podatek • Punkciki na chipach • Dzwon na zamknięcie • Dzika waluta • Para-pieniądze • Karta antyprzejedzeniowa • Strumień pieniędzy

Machniom: wódka za pepsi • Zapłata prosumencka?

CZĘŚĆ IX - Ubóstwo

Rozdział 41. Stara bieda?

Granice możliwości • Nędza strategii • Typowo japoński śmieć • Nie takie znowu NIC • Azja nie chce czekać

Rozdział 42. Dwupasmowa droga do przyszłości

Przebudzenie Indii • Centrum Handlowe Bangalore- Najwspanialsze pokolenie? • Tak, czyli nie

Rozdział 43. Chwyćmy biedę za gardło

Zamiast prób i błędów • A gdzie banany? • Bio-gospodarki • Pomoc z niebios • Tajne ceny • Najsprytniejszy agronom • Inteligentny pył • A co na to Bill Gates? • Niektóre rzeczy sprawdzają się świetnie, ale tylko do czasu • Dystrybucja energii • Hiperrolnictwo

CZĘŚĆ X - Nowa tektonika

Rozdział 44. Kolejna niespodzianka z Chin?

Widmo krąży nad światem • Podkręcanie przyspieszenia • Globalna przestrzeń

Kopalnie wiedzy • Polityka falowa • Trzy Chiny • Mercedesy, centra handlowe i milicja • Wojna fal • Bezsenne noce • Proszę Państwa, oto Mao *U*

Rozdział 45. Bambusowy pierścień Japonii

Kto zamawiał cafe latte? • Koślawy skok Japonii • Elast-państwa • Opóźnienie decyzji • Koniec życia przy garach • Srebrna Fala • Filipinka czy robot? • Czekając na pierścień

Rozdział 46. Zagubione przestanie do Europy

Najgorszy okres w dziejach • Coraz głębsza przepaść • Śpiesz się powoli • Dawny ośrodek obronny • Marzenie z Lizbony

Rozdział 47. Wewnątrz Ameryki

Wojna fal • 24 miliardy godzin • Okradanie przyszłości • Bezimienna koalicja • Siły napędowe zmian • Co dalej?

Rozdział 48. Poza Ameryką

Stara gra • "Szlachetny Uczynek" • Poślizg i zamieszanie • Homogenizacja na odwrót

Rozdział 49. Gra gier, jakiej jeszcze nie było

Neo-gry • A gdzie człowiek? • Organizacje jutra • Religio-ekonomia • Przeprowadzka Pana Boga * Kres petro-potęgi • Ex-Utopia • Kruchość potęgi • Nano-teraz

Rozdział 50. Epilog: Prolog to już przeszłość

Brygady nostalgii • Ścieżka prosumenta • Naczelnny pesymista kraju • Energia z Księżyca • Nadzieja dla ludzkości? • Od piko do jokto

Bibliografia

Podziękowania